

Libba Bray

WRÓŻBIARZE

Mojej matce, Nancy Bray,
która swoim przykładem nauczyła mnie
miłości do książek

I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?
- William Butler Yeats, Drugie przyjście
(przełożył S. Barańczak)

PÓŹNE LATO, WIECZÓR

W domu w Upper East Side, modnej dzielnicy Manhattanu, palą się wszystkie światła. Trwa przyjęcie, ostatnie tego lata. Na tarasie, z którego można oglądać wspaniałą panoramę Manhattanu, orkiestra zrobiła sobie niezbędną przerwę. Jest dziesiąta trzydzieści. Przyjęcie trwa od ósmej, a goście są już znudzeni. Modne debutantki w pastelowych szyfonowych sukniach osuwają się na skórzane fotele jak zmrożone ptifurki roztopiające się w lipcowym słońcu. Pewny siebie student drugiego roku Princeton chce, by przyjaciele poszli z nim do Greenwich Village, do nielegalnego lokalu z alkoholem, o którym słyszał od znajomego znajomego.

Gospodyni, śliczna i zepsuta młoda dama, z niejakim niepokojem spostrzega zniecierpliwienie gości. To jej osiemnaste urodziny i jeśli nie zrobi czegoś, by wskrzesić to przyjęcie, przez wiele kolejnych dni wszyscy będą plotkować, że zorganizowane przez nią spotkanie było równie nudne jak herbatka w kościele.

Wskrzesić.

W poprzedni weekend została zmuszona, by udać się z matką w głąb stanu na poszukiwanie antyków - zupełnie koszmarnie zadanie, aż natrafiły na starą tabliczkę ouija. Tabliczki ouija to ostatni krzyk mody; jasnowidze twierdzą, że dzięki „gadającej tabliczce” pana Fulda otrzymują wiadomości i ostrzeżenia z drugiej strony. Handlarz antykami wciskał jej matce, jak to natrafił na nią w tajemniczych okolicznościach.

- Powiadają, że jest nawiedzona przez niespokojne duchy. Ale może pani i pani siostrze uda się nad nią zapanować? - powiedział z przesadnym pochlebstwem.

Naturalnie, matka je łyknęła i w efekcie zapłaciła stanowczo za dużo. Cóż, dziewczyna miała zamiar sprawić, by błąd matki przyniósł jej teraz korzyść.

Gospodyni biegnie do przedpokoju i gestem wzywa służącą.

- Bądź tak kochana i zdejmij to. Pokojówka potrząsa głową, zdejmując tabliczkę.

- Panienska nie powinna się tym bawić.

- Nie bądź głupia. To prymitywne.

Z wdzięcznym piruetem godnym Clary Bow gospodyni wpada do salonu, unosząc tabliczkę ouija.

- Kto chce się porozumieć z duchami?

Chichocze, by pokazać, że nie traktuje tego w najmniejszym stopniu poważnie. W końcu jest nowoczesną dziewczyną, aż do szpiku kości.

Znudzone dziewczęta zrywają się z foteli.

- Co ty tu masz? Czy to ta tabliczka li - dzi? - pyta jedna z nich.

- Uroczą jest, nie sądzicie? Matka mi ją kupiła. Podobno jest nawiedzona - stwierdza gospodyni ze śmiechem. - Oczywiście, ja w to nie wierzę. - Dziewczyna umieszcza pośrodku tabliczki deseczkę dla medium w kształcie serca. - Wyczarujmy trochę zabawy, co?

Wszyscy zbierają się dookoła. George przysuwa się do niej. Jest studentem przedostatniego roku na Yale. Wiele nocy spędziła, leżąc bezsennie na łóżku i wyobrażając sobie wspólną przyszłość.

- Kto chce zacząć? - pyta, zbliżając palce do jego dłoni.

- Ja - ogłasza chłopak w absurdalnym fezie.

Nie pamięta jego imienia, ale słyszała, że ma w zwyczaju zapraszać dziewczęta na tylne siedzenie samochodu na seans macanek. Przymyka oczy i kładzie palce na deseczce.

- Pytanie do wieków. Czy dama po mojej prawej jest we mnie szaleńczo zakochana?

Dziewczęta piszczą, a chłopcy śmieją się, gdy deseczka powoli odpowiada T - A - K.

- Kłamiesz! - sprzeciwia się wzmiankowana dama, spoglądając ze złością na deseczkę ze szklanym kółkiem w środku.

- Nie walcz z tym, kochanie. Mogłabyś mnie dostać całkiem tanio - mówi chłopiec.

Atmosfera się poprawia, pytania stają się coraz odważniejsze. Upili się dżinem, dobrą zabawą i głupiutką rozrywką przepowiadania przyszłości. „Każdego ranka, każdego wieczoru, czyż się nie bawimy”, jak głosiła popularna piosenka Ain't we got fun.

- Wywołajmy prawdziwego ducha - proponuje George.

Gospodyni czuje ściskanie w żołądku z ekscytacji i niepokoju. Handlarz antykami zalecał rozwagę. Ostrzegał, że przyzwane duchy muszą później zostać odesłane poprzez zerwanie połączenia, wypowiedzenie pożegnania. Ale też opowiadał tę historyjkę, żeby lepiej sprzedać swój towar, a poza tym mamy rok 1926 - kto wierzy w nawiedzenia i chochliki, skoro mamy samochody, samoloty, Cotton Club i ludzi takich jak Jake Marlowe, którzy rozwijają amerykański przemysł?

- Nie mów mi, że się boisz.

George uśmiecha się złośliwie. Ma okrutne usta. To czyni go jeszcze bardziej godnym pożądania.

- Boję się czego?

- Że skończy się nam dżin! - żartuje chłopiec w fezie i wszyscy się śmieją.

George szepce jej do ucha.

- Ochronię cię.

Kładzie dłoń na jej plecach.

Ach, to z pewnością najwspanialsza noc na świecie.

- Przyzywamy ducha tej tabliczki, by posłuchał naszego wezwania i przepowiedział naszą przyszłość! - Deklamację

gospodyni przerywają ataki śmiechu. - Musisz być posłuszny, duchu!

Przez chwilę nic się nie dzieje, a później deseczka zaczyna powolną podróż po wypisanym gotycką czcionką alfabecie, tworząc słowo.

W - I - T - A - M.

- To duch - rzuca ktoś.

- Jak się nazywasz, o duchu? - pyta gospodyni.

P - A - S - K - U - D - N - Y - J - O - H - N.

George unosi brew.

- Podoba mi się to imię. Dlaczego jesteś tak paskudny, staruszk?

Z - O - B - A - C - Z - Y - C - I - E.

- Zobaczymy co?

Bezruch.

- Chcę potańczyć! Chodźmy do Moonglow - bełkocze jedna z dziewcząt, podpita i nadąsana. - Kiedy wraca zespół?

- Za chwilę. Nie denerwuj się - mówi gospodyni ze śmiechem, lecz kryje się w nim ostrzeżenie. - Spróbujmy zadać inne pytanie. Czy masz dla nas proroctwo, Paskudny Johnie? Przepowiednię?

Posyła przebiegłe spojrzenie George'owi. Deseczka nie rusza się.

- Powiedz nam coś jeszcze, dobrze?

W końcu na tabliczce zaczyna się ruch.

- Nauczę... was... strachu - czyta gospodyni.

- Brzmi prawie jak dyrektor szkoły Choate - żartuje chłopiec w fezie. - A jak to zrobisz, staruszk?

S - T - O - J - Ę - U - D - R - Z - W - I - I - K - O - Ł - A - C - Z - Ę. (Ten i wszystkie następne cytaty biblijne na podstawie: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum 1990 (przyp. tłum.).)

J - E - S - T - E - M - B - E - S - T - I - A.

S - T - A - R - O - Ż - Y - T - N - Y - M - S - M - O - K - I
- E - M.

- Co to ma znaczyć? - szepce pijana dziewczyna. Cofa się lekko.

- To nic nie znaczy. To bełkot. - Gospodyni łaje gościa, ale boi się. Zwraca się w stronę chłopaka słynącego z robienia dowcipów. - Sprawiasz, że to mówi!

- Wcale nie. Przysięgam! - mówi, unosząc palec wskazujący do serca.

- Dlaczego tu jesteś, staruszkę? - pyta George. Deseczka porusza się tak szybko, że z trudem nadążają.

M - A - M - K - L - U - C - Z - E - Ś - M - I - E - R - C - I -
I - O - T - C - H - Ł - A - N - I.

N - A - D - C - H - O - D - Z - I - D - Z - I - E - Ń - G - N -
I - E - W - U - A - R - M - A - G - E - D - D - O - N - N - I - E
- R - Z - A - D - N - I - C - A - B - A - B - I - L - O - Ń - S - K
- A.

- Przestań natychmiast! - krzyczy gospodyni. N - I - E - R -
Z - A - D - N - I - C - A - N - I - E - R - Z - A - D - N - I - O - A -
powtarza deseczka. Młodzi ludzie cofają palce, ale deseczka nadal się porusza.

- Niech przestanie, niech przestanie! - piszczy jedna z dziewczyn, a nawet zblazowani chłopcy bledną i się cofają.

- Przestań, duchu! Powiedziałam przestań! - krzyczy gospodyni.

Deseczka nieruchomieje. Goście patrzą po sobie z niepokojem. W drugim pokoju zespół wraca do instrumentów i zaczyna grać szybki kawałek taneczny.

- Alleluja! Chodź, kochanie. Nauczę cię tańczyć black bottom. - Pijana dziewczyna prostuje się z trudem i ciągnie za sobą chłopca w fezie.

- Zaczekaj! Musimy wypowiedzieć do widzenia na tabliczce! Taki jest odpowiedni rytuał! - prosi gospodyni, gdy goście zaczynają odchodzić.

George obejmuje ją w pasie.

- Nie mów mi, że boisz się Paskudnego Johna.

- Cóż...

- Wiesz, że to tamten gość - mówi, a jego oddech łaskocze ją w ucho. - On ma swoje sztuczki. Wiesz, jacy oni są.

Wie, jacy oni są. To pewnie ten paskudny chłopak przez cały czas robił z nich idiotów. A ona nie jest idiotką. Ma osiemnaście lat. Życie będzie niekończącym się kalejdoskopem przyjęć i tańców. „Noc czy dzień to czas na zabawę, czyż się nie bawimy?” Jej wcześniejsze obawy zniknęły. Wygląda na to, że przyjęcie potrwa do białego rana. Zwinięto dywany i goście tańczą. Długie sznury pereł opadają na sukienki o obniżonym stanie. Lakierki stukają wyzywająco na drewnianej podłodze. Wyciągnięte ręce, uderzające w powietrze - wszystko przypomina ożywiony dadaistyczny obraz.

Gospodyni wpycha tabliczkę do kredensu, gdzie wkrótce zostanie zapomniana, biegnie w stronę salonu oświetlonego jasnymi elektrycznymi lampami - najnowszy cud pana Edisona - i beztrąsko dołącza do ostatniego przyjęcia tego lata.

Na zewnątrz wiatr przez chwilę unosi się przy tych jasnych oknach, po czym z gwałtownym podmuchem odchodzi i pędzi chodnikiem. Przez chwilę wiruje wokół modnych kapelusików dwóch młodych dam wyprowadzających pudła wzdłuż East River i plotkujących o śmierci Rudolpha Valentino. Rusza dalej, zalany neonowym blaskiem kanionami, ponad pociągiem kolejki nadziemnej, grzechocącym nad Drugą Aleją. Potrząsa oknami

biedaków próbujących zasnąć przed nadejściem ranka - ranka z klaksonami taksówek, tramwajami i pociągami, pucybutami polerującymi czubki butów biznesmenów na Union Square, gazeciarzami wykrzykującymi najnowsze wiadomości na Times Square, telefonistkami patrzącymi z tęsknotą na najnowsze suknie z wykładanymi kołnierzami, kuszące na sklepowych wystawach, majestatycznymi drapaczami chmur wznoszącymi się nad wszystkim jak rozświetleni bogowie ze stali, cegły i szkła.

Wiatr zatrzymuje się na chwilę przed klubem jazzowym, wsłuchując się w tę nową muzykę wznoszącą się w noc. Drży w rytm trąbek, pasażerów na pianinie zrodzonych z bluesa i ragtime'a, synkopowanych rytmów, w których odbija się ekscytacja miasta.

Przy Bowery, w bogato zdobionym szkielecie niegdyś popularnego teatru wodewilowego trwa maraton taneczny. Biorące udział w konkursie młode dziewczęta i ich chłopcy wspierają się nawzajem, zdecydowani zostawić ślad, pochwycić sny sprzedawane w prasowych reklamach i w radio. Mają odciski na stopach, lecz gwiazdy w oczach. Kawalek dalej, Great White Way, Wielką Białą Drogę, nazwaną tak od oślepiającego blasku teatralnych świateł, opuszczają goście. Niektórzy wielbiciele czekają w bocznych uliczkach, mając nadzieję ujrzeć śliczne tancerki lub dostać autograf jednej z wielu gwiazd Broadwayu. To czas gwiazdek, sławy, bogactwa i wyciągniętych rąk, a młodzi płoną ukrytą ambicją.

Wiatr traktuje to z obojętnością. Jest tylko wiatrem. Nie zostanie gwiazdą radia ani wielkim przemysłowcem. Nie będzie się ubiegać o stanowisko, nie zakocha się w Douglasie Fairbanksie ani nie będzie śpiewał piosenek z Tin Pan Alley, piosenek o tęsknocie, żalu i dobrych czasach („czyż się nie bawimy?"). I dlatego rusza dalej, mijając rzeźnie przy

Czternastej Ulicy i nieszczęsnice sprzedające się w ciemnych uliczkach. Statua Wolności wznosi w zatoce swoją pochodnię, światło przewodnie dla wszystkich, którzy przybili do tego brzegu, by uciec przed prześladowaniami, głodem lub beznadzieją. To bowiem jest ziemia obiecana.

Wiatr opada na czynszówki przy Orchard Street, gdzie niektórzy z tych marzycieli z gwiazdami w oczach umarli, a inne marzenia rodzą się w nędzy i ubóstwie. Szarpie praniem rozwieszonym na sznurkach między kamienicami, ponad brudnymi, zaniedbanymi ulicami, gdzie nawet o tej porze dzieci przeszukują śmietniki w poszukiwaniu jedzenia. Wiatr istniał od zawsze. Wiele widział w tym kraju marzeń i reklam mydła, starej grozy i rozlewu krwi. Był niemym świadkiem palenia wiedźm i szedł Drogą Łez, widział, jak statki wiozące niewolników wypuszczają w portach swój ludzki ładunek, mrużący oczy i przerażony, pozbawiony wszelkiego dobytku poza smutkiem. Wiatr był przy tym, jak prezydent Lincoln zginął od kuli. Czuł zapach prochu nad Antietam. Biegał z bizonami i ostrożnie dotykał wysokich czarnych kapeluszy purytanów. Niósł krzyki miłości i osuszał łzy na tyłu twarzach, że wszystkich ich nie spamiętał.

Wiatr pędzi Bowery i nurkuje nad West Side, domem irlandzkich gangów w rodzaju Dummy Boys, którzy jeżdżą konno po Dziewiątej Alei, by ostrzec przemysłników alkoholu. Pędzi wzdłuż potężnej rzeki Hudson, obok ożywionego nocnego życia Harlemu, pełnego wielkich myślicieli, pisarzy i muzyków, aż znajduje odpoczynek przy ruinach starej rezydencji. Zbutwiałe deski zasłaniają wybite okna. Śmieci zablokowały rynsztok. Dawno, dawno temu ten dom był siedzibą wielkiego zła. Teraz jest reliktem minionej epoki, zapomnianym w cieniu rozwoju i dobrobytu miasta.

Drzwi skrzypią na zawiasach. Wiatr ostrożnie zagląda do środka. Skrada się wąskimi korytarzami, które wiją się i

zakręcają. Po obu stronach znajdują się chore pokoje, rozkładające się i zaniedbane. Drzwi otwierają się, ukazując ceglane ściany. Kłapa zakrywa szyb, który prowadzi do ogromnej podziemnej sali grozy i jeszcze bardziej przerażającego pomieszczenia. Wciąż śmierdzi - krwią, moczem, złem i strachem tak mrocznym, że stał się częścią tego domu na równi z drewnem, gwoździami i zgnilizną.

Coś porusza się w głębokich cieniach, coś straszliwego, i wiatr, który dobrze zna zło, cofa się. Ucieka w stronę tych wspaniałych wysokich budowli, pełnych obietnicy błękitnego nieba, przyszłości, przemysłu i dobrobytu. Przyszłości, która nie wierzy w zło przeszłości. Gdyby wiatr był strażnikiem, podniósłby alarm. Wykrzyknąłby ostrzeżenie przed nadchodzącą grozą. Ale jest tylko wiatrem i dobrze wie, że nikt nie słucha jego krzyków.

Głęboko w piwnicy podupadłego domu ożywa palenisko, z grzechotem przypominającym ostatnie gorzkie kasznięcie umierającego, który śmieje się pogardliwie ze swojego losu. Ciemny i smrodliwy ziemny grób zaczyna emanować słabym blaskiem. Tak, w cieniach znów się coś porusza. Zwiastun o wiele większego zła. Paskudny John wrócił do domu. I ma coś do zrobienia.

EVIE O'NEILL ZENITH, OHIO

Evie O'Neill przycisnęła obwisły woreczek z lodem do pulsującego bólem czoła i przeklęła godzinę. Było południe, ale głowa bolała ją tak bardzo, że czuła się jak o szóstej rano. Przez ostatnie dwadzieścia minut ojciec suszył jej głowę z powodu przyjęcia, jakie poprzedniego wieczoru odbywało się w hotelu Zenith. Kilkanaście razy wspomniał o jej picciu, jak również niefortunnych igraszkach w miejskiej fontannie. Oraz całym zamieszaniu pomiędzy. Zapowiadał się naprawdę paskudny dzień. Jej głowa pulsowała żądaniem: „Woda. Aspiryna. Proszę, przestań gadać”.

- Zarówno ja, jak i twoja matka nie akceptujemy pijaństwa. Nie słyszałaś o osiemnastej poprawce?

- Prohibicja? Piję za zdrowie, kiedy tylko mogę.

- Evangelino Mary O'Neill! - warknęła matka.

- Twoja matka jest sekretarzem kobiecego Towarzystwa Krzewienia Wstrzemięźliwości w Zenith. Czy pomyślałaś o tym? Czy pomyślałaś, jak to będzie wyglądać, jeśli ludzie zobaczą jej córkę pijaną na ulicy?

Evie popatrzyła zaczerwienionymi oczami w stronę matki, która siedziała sztywno i z zaciśniętymi wargami, z długimi włosami upiętymi na karku w kok. Na końcu nosa miała okulary - "bryle", jak mówiły dziewczyny w jej wieku. Wszystkie kobiety z rodziny Fitzgeraldów były drobne, jasnowłose i koszmarnie krótkowzroczne.

- I co? - zagrzmiął jej ojciec. - Czy masz coś do powiedzenia?

- Rany, mam nadzieję, że pewnego dnia nie będę potrzebować bryli - mruknęła Evie.

Jej matka westchnęła głęboko. Od czasu śmierci Jamesa zrobiła się jeszcze drobniejsza i bardziej zmęczona, jakby tamten telegram z Ministerstwa Wojny odebrał jej duszę w chwili, kiedy go otworzyła.

- Wy, młodzi ludzie, traktujecie wszystko jak żart, prawda?

Ojciec zaczął się rozpętać - „odpowiedzialność”, „obywatelski obowiązek”, „dojrzałe zachowanie”, „myślenie o przyszłości”. Dobrze znała tę śpiewkę. Evie tak naprawdę potrzebowała klina, ale rodzice skonfiskowali jej piersiówkę. A piersiówka była naprawdę pierwsza klasa - srebrna, z wygrawerowanymi inicjałami Charlesa Warrena. Kochany Charlie. Obiecała, że zostanie jego dziewczyną. Wytrzymała tydzień. Charlie był uroczy, ale też koszmarnie nudny. Na jego wizję pieszczot składało się sztywne położenie ręki na piersi dziewczyny, jak starannie wykrochmalonej serwetki na stoliku na przyjęciu u ciotki, oraz cmokanie jej w usta jak ptak dziobiący ziarno. Quelle tragedie.

- Evie, słuchasz mnie? - Ojciec miał ponurą twarz. Zmusiła się do uśmiechu. - Jak zawsze, tato.

- Dlaczego mówiłaś te okropne rzeczy o Haroldzie Brodie? Evie po raz pierwszy zmarszczyła czoło.

- Zasłużył na to.

- Oskarżyłaś go o... o... - Ojciec poczerwieniał na twarzy.

- O zrobienie bachora tej biedaczce?

- Evangelino! - Matka aż sapnęła.

- Przepraszam. „O uwiedzenie i porzucenie w trudnej sytuacji rodzinnej”.

- Dlaczego nie możesz być bardziej jak... - Matka umilkła, ale Evie umiała dokończyć zdanie za nią: „Dlaczego nie możesz być bardziej jak James?”.

- To znaczy martwa? - odparowała.

Matka skrzywiła się i w tej chwili Evie nienawidziła samej siebie.

- Dosyć, Evangelino - ostrzegł ją ojciec. Evie pochyliła zbolaną głowę.

- Przepraszam.

- Chyba powinnaś wiedzieć, że o ile nie przeprosisz publicznie, państwo Brodie zagrozili pozwem o zniesławienie.

- Co takiego? Nie przeproszę! - Wstała tak szybko, że głowa zaczęła ją boleć dwa razy mocniej, i musiała znów usiąść. - Mówiłam prawdę.

- Grałiscie w grę... - To nie była gra.

- Grę, przez którą wpakowałam się w kłopoty...

- Harold Brodie to menda i uwodziciel, oszukuje w kartach i co tydzień ma inną dziewczynę na tylnym siedzeniu samochodu. To jego coupe to ab - so - lut - nie pałac pieszczot. I do tego kiepsko całuje.

Rodzice Evie wpatrywali się w nią w oszołomionym milczeniu.

- Tak w każdym razie słyszałam.

- Czy możesz udowodnić swoje oskarżenia? - naciskał ojciec. Nie mogła. Musiałaby im wtedy zdradzić swoją tajemnicę, a tego nie mogła zaryzykować.

- Nie przeproszę. Matka odchrząknęła.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie. Evie popatrzyła po rodzicach.

- Do szkoły wojskowej też nie ucieknę.

- Żadna szkoła wojskowa by cię nie przyjęła - mruknął ojciec. - Może chciałabyś pojechać na trochę do Nowego Jorku. Zatrzymałabyś się u wuja Willa.

- Ja... ach... to znaczy na Manhattanie?

- Spodziewaliśmy się, że odmówisz przeprosin - stwierdziła matka zjadliwie. - Rano rozmawiałam z bratem. Przyjmie cię.

„Przyjmie cię”. Kamień z serca. Akt miłosierdzia. Matka musiała wpędzić wuja Willa w spore poczucie winy.

- Na kilka miesięcy - mówił dalej ojciec. - Aż cała sytuacja się wyjaśni.

Nowy Jork. Knajpy sprzedające nielegalnie alkohol i zakupy. Sztuki na Broadwayu i eleganckie kina. Wieczorami chodziłaby na tańce do Cotton Clubu. Dnie spędzałaby z Mabel Rose, kochaną Mablesie, która mieszkała w tym samym domu, co wuj Will. Poznały się, kiedy miały dziewięć lat i Evie na kilka dni przyjechała z matką do Nowego Jorku. Od tego czasu korespondowały. W ostatnim roku korespondencja ze strony Evie ograniczała się do krótkich liścików od czasu do czasu, lecz Mabel pisała systematycznie, głównie o Jericho, przystojnym asystencie wuja Willa, który był na przemian „malowany pociągnięciami Pędzla anioła” i „odległym brzegiem, do którego mam nadzieję przybić”. Tak, Mabel jej potrzebowała. A Evie potrzebowała Nowego Jorku. W Nowym Jorku mogła stworzyć się na nowo. Mogła być kimś.

Kusiło ją, by pośpiesznie wykrztusić swoją zgodę, ale dobrze znała matkę. Gdyby nie zrobiła wrażenia, że to dla niej kara, którą musi znieść, i „dobra lekcja”, utknęłaby w Zenith i musiała jednak przeprosić Harolda Brodie.

Westchnęła i wypłakała stosowną ilość łez - nie za dużo, żeby przypadkiem nie ustąpili.

- Pewnie tak by było najrozsądniej. Choć naprawdę nie wiem, co będę robić na Manhattanie ze starym kawalerem jako przyzwoitką, podczas gdy wszyscy moi drodzy przyjaciele pozostaną w Zenith.

- Powinnaś pomyśleć o tym wcześniej - powiedziała matka, a na jej twarzy pojawił się dumny uśmiech moralnego triumfu.

Evie stłumiła uśmiech. Bułka z masłem, pomyślała. Ojciec spojrział na zegarek.

- Pociąg odjeżdża o piątej. Chyba powinnaś zacząć się pakować.

Evie jechała w milczeniu z ojcem na stację. Zazwyczaj rozpierała ją duma, kiedy jechała lincolnem Boattail Roadster. To był jedyny kabriolet w całym Zenith, najlepszy model w należącem do ojca salonie samochodowym. Dziś jednak nie chciała, by ktoś ją widział. Żałowała, że nie jest równie nieistotna, jak duchy w jej snach. Czasem po popijawie tak się właśnie czuła - wstyd z powodu najnowszego wyczynu zmieszany ze stłumionym gniewem na tych małostkowych drobnomieszczan. „Och, Evie, ty się po prostu tu nie mieścisz”, mówili z uprzejmym uśmiechem. To nie był komplement.

Nie mieściła się - w Zenith w stanie Ohio. Czasami próbowała się skurczyć, żeby dopasować się do starannie nakreślonych oczekiwań. Ale jakimś sposobem zawsze udało jej się powiedzieć czy zrobić coś oburzającego - przyjmowała wyzwanie i wspinała się na maszt flagowy, opowiadała nieco bardziej pikantny żart albo wybierała się na przejażdżkę z chłopakami - i nagle znów stawała się „tą straszną O'Neillówną”.

Instynktownie uniosła palce do monety na szyi. To była półdolarówka, którą brat przysłał jej „stamtąd” podczas wojny, prezent na jej dziewiąte urodziny - w tym dniu zginął. Pamiętała telegram z Ministerstwa Wojny, dostarczony przez biednego pana Smitha z poczty, który, podając go, wymamrotał przeprosiny. Pamiętała, jak matka krzyknęła bardzo cicho i osunęła się na podłogę, wciąż ściskając poźółkłą kartkę zapisaną bezdusznym czarnym pismem maszynowym. Pamiętała ojca siedzącego w gabinecie na długo po tym, jak powinien się położyć, z otwartą butelką zakazanej whisky na biurku. Evie później przeczytała telegram: z PRZYKROŚCIĄ INFORMUJEMY... SZEREGOWIEC

JAMES XAVIER O'NEILL... POLEGŁ NA POLU CHWAŁY... NAGŁY ATAK O ŚWICIE... ODDAŁ ŻYCIE

W SŁUŻBIE OJCZYŹNIE... SEKRETARZ WOJNY PROSIŁ
O PRZEKAZANIE NAJSERDECZNIEJSZYCH
WYRAZÓW WSPÓŁCZUCIA Z POWODU ŚMIERCI
SYNA...

Minęli wóz konny kierujący się w stronę jednej z podmiejskich farm. Wydawał się staroświecki i nie na miejscu. A może to ona była tutaj nie na miejscu?

- Evie - odezwał się cicho ojciec. - Co się wydarzyło na przyjęciu, kochanie?

Przyjęcie. Z początku było klawo. Ona, Louise i Dottie ubrały się odświętnie. Dottie pożyczyła Evie opaskę wysadzaną kryształem górskim, która doskonale wyglądała na jej miękkich lokach. Z przyjemnością wzięły udział w pełnej werwy, choć pozbawionej znaczenia dyskusji na temat procesu pana Scopesa w Tennessee w poprzednim roku i samego pomysłu, że ludzkość pochodzi od małp.

- Nie mam najmniejszego problemu, żeby w to uwierzyć - powiedziała Evie, zalotnie trzepocąc rzęsami w stronę grupy studentów, którzy właśnie w porywający sposób zaśpiewali po raz dwunasty The Sweetheart of Sigma Chi.

Wszyscy byli pijani i zadowoleni. I wtedy właśnie przyszedł Harold ze swoimi pochlebstwami.

- Witaj, kochanie, witaj moja miła, witaj moja Evie - zanucił i uklonił się do jej stóp.

Harry był przystojny, uroczy i wbrew temu, co mówiła, świetnie się całował. Jeśli Harry'emu podobała się dziewczyna, na tę dziewczynę zwracano uwagę. Evie lubiła, kiedy zwracano na to uwagę, szczególnie kiedy piła. Harry miał się zaręczyć z Normą Wallingford. Nie kochał się w niej - Evie dobrze to wiedziała - lecz w jej rachunku bankowym i wszyscy wiedzieli, że wezmą ślub, kiedy skończy studia. Ale jeszcze się nie ożenił.

- Czy mówiłam ci, że mam niezwykle moce? - spytała Evie po trzecim drinku.

Harry uśmiechnął się.

- Nie wątpię.

- Mówię całkiem poważnie - powiedziała niewyraźnie, zbyt podpita, by odrzucić jego wyzwanie. - Wystarczy, że wezmę drogi ci przedmiot i się na nim skupię, a poznam twoje tajemnice. - Obecni na przyjęciu zaśmiali się uprzejmie. Evie popatrzyła na nich wyzywająco, jej niebieskie oczy błyszczały pod rzęsami pokrytymi grubą warstwą tuszu. - Jestem ab - so - lut - nie poważna.

- Jesteś ab - so - lut - nie ululana, Evie O'Neill! - wykrzyknęła Dottie.

- Udowodnię to. Normo, daj mi coś, szalik, szpilkę, rękawiczkę.

- Nic ci nie dam. Mogę tego nie odzyskać. - Norma się roześmiała.

Evie zmrużyła oczy.

- Jakaś ty bystra, Normo. Właśnie tworzę kolekcję rękawiczek na prawą dłoń. Posiadanie kompletu jest takie burżuazyjne.

- Cóż, ty z pewnością nie chciałybyś robić nic zwyczajnego, prawda, Evie? - Norma uśmiechnęła się, ukazując zęby.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Evie poczerwieniała.

- Nie, to pozostawiam tobie, Normo. - Evie odsunęła włosy z czoła, ale natychmiast znów wpadły jej do oczu. - Skoro już o tym mowa, twoje tajemnice pewnie by nas uspiły.

- Świetnie - powiedział Harold, zanim zrobiło się gorąco. - To mój sygnet uniwersytecki. Zdradź moje mroczne tajemnice, madame O'Neill.

- Dzielny z ciebie facet, skoro dajesz swój pierścień dziewczynie takiej jak Evie! - krzyknął ktoś.

- Cisza, s'il vous plait! - rozkazała Evie dramatycznym tonem.

Skupiła się, czekając, aż przedmiot rozgrzeje się w jej dłoniach. Czasami jej się udawało, a czasami nie, i, na duszę Rudolpha Valentino, miała nadzieję, że to będzie jeden z tych razów, kiedy się udawało. Wiedziała, że później czeka ją ból głowy - taka była wada jej daru - ale od czego miała dżin? I tak już zdążyła się znieczulić. Evie odrobinę uniosła powiekę. Wszyscy ją obserwowali. Obserwowali i nic się nie działo.

Harry sięgnął ze śmiechem po sygnet.

- Dostyc, dziewczyno. Zabawiłaś się. Czas trochę otrzeźwieć. Gwałtownie cofnęła rękę.

- Odkryję twoje tajemnice, musisz tylko zaczekać!

Zdaniem Evie niewiele rzeczy było gorszych od bycia zwyczajnym. Zwyczajność była dla bałwanów. Evie chciała być niezwykła. Jak jasna gwiazda. Nie przejmowała się, że czeka ją najgorszy ból głowy w historii. Zamknęła oczy i przycisnęła sygnet do dłoni. Rozgrzał się, wyjawiając jej swoje tajemnice. Uśmiechnęła się szerzej. Popatrzyła na Harry'ego.

- Harry, ty niegrzeczny chłopcze... Wszyscy zbliżyli się, zainteresowani. Harold zaśmiał się z zażenowaniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pokój numer dwadzieścia dwa w hotelu. Ta ładna pokojówka. L... El... Ella! Ella! Dałeś jej duży plik banknotów i powiedziałeś, żeby się tym zajęła.

Norma podeszła bliżej.

- O co chodzi, Harry? Harry zacisnął wargi.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Evangelino. Przedstawienie się skończyło. Chcę odzyskać swój sygnet.

Gdyby Evie była trzeźwiejsza, być może by przestała. Ale dżin dodawał jej głupiej odwagi. Cmoknęła z dezaprobatą.

- Zrobiłeś jej dzieciaka, ty niegrzeczny chłopcze.

- Haroldzie, czy to prawda? Harold Brodie zaczerwienił się.

- Dosyć, Evie! To już nie jest śmieszne.

- Haroldzie?

- To Norma Wallingford.

- Ona kłamie, kochanie - powiedział Harold, uspokajająco.

Evie wstała i zatańczyła charlestona na stole. - Twój sygnet twierdzi inaczej, kolego. Harold próbował złapać Evie, lecz ona z piskiem cofnęła się i wyrwała komuś szklankę.

- A niech to! To napad! Napad na Harolda Brodie! Ratuuj się, kto może!

Dottie chwyciła sygnet i oddała go Harry'emu. Później wraz z Louise niemal siłą wyciągnęły Evie na zewnątrz.

- Siostro, urzęnął się. Idziemy.

- Pozostaję niezru... niewru... spokojna w obliczu kłopotów. O, ruszamy się. Rany! Gdzie idziemy?

- Otrzeźwić cię - powiedziała Dottie, wpychając Evie do lodowatej fontanny.

Później, po kilku filiżankach kawy, Evie kuliła się w swojej przemoczonej sukience pod kocem w ciemnym kącie damskiej toalety. Dottie i Louise poszły poszukać aspiryny, a ona, samotna i ukryta, podsłuchiwała rozmowę dwóch dziewcząt, które, stojąc przed lustrem w złoconych ramach, plotkowały o kłótni Harolda i Normy.

- To wszystko wina tej koszmarnej Evie O'Neill. Wiesz, jaka ona jest.

- Nie umie odpuścić.

- Tym razem naprawdę przesadziła. W tym mieście jest skończona. Norma już o to zadba.

Evie zaczęła, aż wyjdą, po czym podeszła do lustra. Jej tusz do rzęs spłynął, pozostawiając ciemne plamy pod oczami,

a mokre loki lepiły się do twarzy. Zaczynał się koszmarny ból głowy.

Wyglądała równie żałośnie, jak się czuła. Miała ochotę się rozplakać, ale płacz nic by nie zmienił.

Harold wpadł do środka, zamknął za sobą drzwi i przytrzymał je.

- Skąd się dowiedziałas? - warknął, chwytając ją za ramię.

- M - mówiłam ci. Z t - twojego... Mocniej zacisnął rękę na jej ramieniu.

- Przestań gadać głupoty i powiedz mi, skąd wiesz! Przez tą twoją sztuczkę Norma grozi mi, że mnie zostawi. Żądam publicznych przeprosin, by oczyścić moje imię.

Miała zawroty głowy i było jej niedobrze, co było typowym następstwem czytania przedmiotów. Zupełnie, jakby kompletnie się zalała, a później dostała najgorszego kaca w życiu. Uświadomiła sobie, że Harold Brodie nie był czarującym playboyem, który lubił się zabawić. Był draniem i tchórzem. Kogoś takiego nie miała zamiaru przeproszać.

- S - spadaj, Harry.

Dottie i Louise waliły w drzwi z drugiej strony.

- Evie? Evie! Otwieraj.

Harold puścił jej rękę. Evie czuła, że po tym uścisku zostanie jej siniec.

- To jeszcze nie koniec, Evangelino. Twój ojciec zawdzięcza swój interes mojemu ojcu. Być może jednak ponownie rozważysz te przeprosiny.

Evie wymiotowała na Harolda Brodie.

- Evie? - odezwał się teraz ojciec.

Wróciła do rzeczywistości i pomasaowała się po bolącej głowie.

- Nic takiego, tato. Żałuję, że miałeś z tego powodu piekło. Nie robił jej wymówek za użycie słowa „piekło”.

Na dworcu ojciec pozostawił samochód na jałowym biegu na tyle długo, by odprowadzić ją na peron. Zapłacił bagażowemu za wzięcie jej kufrów i upewnił się, że zostaną dostarczone do nowojorskiego mieszkania jej wuja. Evie niosła jedynie małą kraciatą walizeczkę i torebkę zdobioną koralikami.

- Cóż - powiedział ojciec, spoglądając na kabriolet. Podał jej dziesiątaka, który Evie wcisnęła za wstążeczkę kapelusika z szarego filcu. - To na drobne wydatki.

- Dzięki, tato.

- Nie umiem się żegnać. Sama dobrze wiesz. Evie zmusiła się do uśmiechu.

- Jasne. Jest pierwsza klasa, tato. Mam siedemnaście lat, nie siedem. Poradzę sobie.

- No tak.

Stali na drewnianym peronie.

- Lepiej, żeby autko nie odjechało bez ciebie - powiedziała, wskazując na kabriolet.

Ojciec ucałował ją lekko w czoło, po raz ostatni napomniał bagażowego i odjechał. Kiedy lincoln zniknął z jej pola widzenia, Evie poczuła ukłucie smutku i czegoś jeszcze. Lęku. To było właściwe słowo. Nieznanego, nieopisanego strachu. Czują go od miesięcy, od kiedy zaczęły się sny.

- Rany, ale mam stracha - powiedziała cicho i zadrżała. Dwie świętoszkowate damy siedzące na pobliskiej ławce spojrzwały z dezaprobatą na sięgającą zaledwie kolan sukienkę Evie. Dziewczyna postanowiła pokazać im coś więcej. Uniosła spódnicę i nucąc radośnie pod nosem zsunęła pończochy, ukazując nogi. Wywarło to spodziewany efekt na świętoszkach, które przeniosły się na drugi koniec peronu, mamrocząc coś o „tej dzisiejszej młodzieży”. Uznała, że nie będzie tęsknić za tym miejscem.

Kremowe coupe skręciło niebezpiecznie z drogi i zatrzymało się, o włos mijając peron. Wyszły z niego dwie modnie ubrane dziewczyny. Evie uśmiechnęła się i zaczęła machać.

- Dottie! Louise!
- Słyszałyśmy, że wyjeżdżasz, i chciałyśmy cię pożegnać
- powiedziała Louise, wspinając się na barierkę.
- Dobre wieści szybko się rozchodzą.
- W tym mieście? Jak błyskawica.
- To świetnie. I tak nie mieszczę się w Zenith w stanie Ohio. W Nowym Jorku mnie zrozumieją. Będą o mnie pisać w gazetach i zapraszać do apartamentu Fitzgeraldów na koktajle. W końcu moja matka jest z domu Fitzgerald. Musimy być jakoś spokrewnieni.

- A skoro mowa o koktajlach...

Dottie z szerokim uśmiechem wyciągnęła z torebki coś, co wyglądało jak niewinna buteleczka aspiryny, na wpeł wypelniona przezroczystym płynem.

- Masz. Odrobina rozweselacza, żebyś przeżyła podróż. Przepraszam, że nie ma więcej, ale ojciec zaczął robić znaczki na butelkach.

- I jeszcze egzemplarz „Photoplay” z salonu piękności. Ciotka Mildred nie zauważy braku - dodała Louise.

Evie poczuła, że ma łzy w oczach.

- Nie przeszkadza wam, że zobaczą was z wyrzutkiem miasta? Louise i Dottie uśmiechnęły się słabo - potwierdzenie, że rzeczywiście była wyrzutkiem - ale i tak przyszły.

- Jesteście prawdziwymi aniołami. Gdybym była papieżem, beatyfikowałabym was.

- Jestem skłonna sądzić, że papież miałby inne zdanie na twój temat.

- Nowy Jork! - Louise bawiła się koralami. - Norma Wallingford zadreżczy się z zazdrości. Jest diabelnie wściekła na ten twój numer.

Dottie zachichotała.

- Przyznaj się, jak się dowiedziałaś o Haroldzie i pokojówce? Uśmiech Evie na chwilę zbladł.

- Po prostu zgadłam. - Ale...

- Patrzcie! Pociąg jedzie - powiedziała Evie, uciszając dalsze pytania. Uścisnęła je mocno, wdzięczna za ten ostatni życzliwy gest z ich strony. - Kiedy spotkamy się następnym razem, będę sławna! I obwiozę was po całym Zenith moim sedanem z szoferem.

- Kiedy zobaczymy cię następnym razem, będziesz sądzona za jakąś pomysłową zbrodnię! - odparowała Dottie ze śmiechem.

Evie wyszczerzyła się.

- Byle tylko znali moje nazwisko.

Bagażowy w niebieskim mundurze poganiał wsiadających. Evie zajęła miejsce w swoim przedziale. Było duszno, a żeby otworzyć okno, musiała stanąć na siedzeniu w swoich pantoflach z zielonej satyny.

- Pomóc panience? - zaproponował inny, młodszy bagażowy. Evie spojrzała na niego przez rzęsy, które rano umalowała tuszem w kamieniu, i posłała mu uśmiech warg pokrytych czerwoną pomadką Coty.

- Mógłbyś, mój drogi? Byłoby świetnie.

- Jedzie panienska do Nowego Jorku?

- Owszem. Wygrałam konkurs miss kostiumu kąpielowego i teraz jadę do Nowego Jorku na zdjęcia do „Vanity Fair”.

- To coś, co nie?

- Owszem. - Evie zatrzepotała rzęsami. - Okno? Młody mężczyzna odsunął zasuwę i opuścił okno.

- Proszę bardzo!

- Dziękuję - wymruczała Evie.

Była w drodze. W Nowym Jorku mogła zostać kimkolwiek zechce. To było wielkie miasto - właściwe miejsce dla wielkich marzycieli, którzy musieli zabłysnąć.

Evie wysunęła głowę przez okno pociągu i pomachała Louise i Dottie. Wiatr szarpał jej loki, kiedy senne miasteczko powoli znikało za jej plecami. Przez chwilę żałowała, że nie może pobiec do bezpiecznego domu rodziców. Ale to przypominało mgłę jej snów. To był martwy dom - od lat. Nie. Nie będzie przygnębiona. Będzie wspaniała i błyszcząca. Prawdziwa gwiazda. Jasne światło Nowego Jorku.

- Do zobaczenia wkrótce! - krzyknęła.

- Pewnie!

Jej przyjaciółki stały się jedynie plamkami barw na zamglonym horyzoncie. Evie posłała im całusy i próbowała się nie rozplakać. Powoli machała mijającym ją dachom Zenith w stanie Ohio, gdzie ludzie lubili czuć się bezpiecznie, przytulnie i komfortowo, gdzie w najzwyczajniejszy sposób posługiwali się najzwyczajniejszymi przedmiotami i nigdy nie widzieli tajemnic innych ludzi, które nie powinny wyjść na jaw ani nie mieli przerażających koszmarów o martwych braciach. Odrobinę im zazdrościła.

- Będzie tak panienska stała przez całą drogę? - spytał bagażowy.

- Chcę się tylko odpowiednio pożegnać - odpowiedziała

Evie. Uniosła dłonie w ostatnim błogosławieństwie, machając domom jak królowa. - Na razie, frajerzy! Wszyscy jesteście mięczakami!

MEMPHIS CAMPBELL HARLEM, NOWY YORK

W Harlemie był ranek, a ranki należały do posłańców od liczb. Od 130 Ulicy na południu do 160 Ulicy na północy, od Amsterdam Avenue w West Side po Park Avenue na wschodzie posłańcy zajmowali swoje stanowiska, gotowi wypisać pokwitowania dla klientów i pobiec z kombinacjami liczb do bankierów, działających na zapleczu trafik i zakładów fryzjerskich, w nielegalnych barach podających alkohol i piwnicach kamienic. Wszystko to musiało się odbyć przed dziesiątą rano, kiedy to w biurze informacyjnym przy Wall Street publikowano liczbę tego dnia; ktoś wykorzystywał szansę jedną na tysiąc i wygrywał kupę kasy, ale częściej przegrywali. Tym z Harlemu rzadko się udawało, ale i tak grali, licząc, że któregoś dnia będą mieli więcej szczęścia.

Memphis Campbell, lat siedemnaście, siedział pod latarnią uliczną na swoim miejscu na rogu Lenox Avenue i 135 Ulicy, w pobliżu wejścia do metra. Łapał klientów, kiedy szli do pracy. Miał oko na gliniarzy, jednocześnie wypisując kolejne pokwitowania. „Tak, panno Jackson, piętnaście centów na liczbę praczki”. „Czterdzieści cztery, dwadzieścia dwa, zapisałem”. „Dolar na liczbę śmierci, choć przykro mi słyszeć, że kuzynka ciotki odeszła”. „Cóż, jeśli zobaczył pan to we śnie, byłby pan głupcem, nie stawiając na tę liczbę”.

Liczyby były wszędzie wokół nich, wzorce czekające na odkrycie i zmianę w złoto, szczęście w powietrzu - w modlitewnikach, plakatach, ślubach, pogrzebach, narodzinach, meczach bokserskich, wyścigach konnych, pociągach, zawodach, bractwach i snach. Szczególnie w snach.

Memphis nie lubił myśleć o swoich snach.

Szczególnie ostatnio.

Kiedy tłumy pędzące do pracy się przeredziły, zaczął przyjmować zakłady w holach bloków mieszkalnych. Pokwitowania wsuwał do skórzanej saszetki, którą trzymał w

skarpecie, na wypadek gdyby miał zostać przeszukany. Zajrzał do salonu piękności DeLuxe, słynącego nie tylko z usług fryzjerskich, ale i plotek.

- No to powiedziałam jej, że mogę być specjalistką od skóry głowy, ale nie jestem cudotwórczynią! - Właścicielka, pani Jordan, zabawiała klientki rozmową. - Hej, Memphis. Co u ciebie?

Panie się wyprostowały.

- Boże, ten chłopak jest przystojny jak jakiś faraon - powiedziała ze śmiechem jedna z młodszych kobiet, wachlując się gazetą. - Kochanie, masz dziewczynę?

- W każdym kwartale! Pani Jordan roześmiała się.

Memphis wiedział, że jest przystojny. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie bary, do tego wysokie kości policzkowe odziedziczone po przodkach Tainach. Fryzjer Floyd przycinał jego włosy krótko i smarował pachnącą słodko pomadą, a krawiec Levine pilnował, by jego garnitury były zgodne z najnowszą modą. Ale uśmiech był tym, co ludzie zauważali na początku. Kiedy Memphis Campbell postanawiał wykorzystać swój urok w pełni, zawsze zaczynało się od uśmiechu - z początku nieśmiały, później szeroki i oślepiająco błyszczący, a do tego spojrzenie jak u szczeniaczka, które sprawiało, że nawet ciotka Octavia czasami mu odpuszczała.

Memphis wykorzystał teraz ten uśmiech.

- Późno się robi, moje panie.

- Owszem. - Pani Jordan nie przerywała prostowania włosów kobiety siedzącej przed nią na fotelu. - Postaw na moją zwyczajową liczbę. Biorę je z Ciotki Sally księgi snów dla graczy. Pewnego dnia będę bogata.

- Pewnego dnia zbankrutujesz - prychnęła masywna kobieta czytająca „New Amsterdam News”.

Pani Jordan uniosła prostownicę w jej stronę.

- To mi się w końcu opłaci. Zobaczycie. Prawda, Memphis? Chłopak przytaknął.

- W tamtym tygodniu słyszałem o człowieku, który przez rok grał na tę samą liczbę. Wygrał dużo. - Memphis znów pomyślał o swoim niepokojącym śnie. Może jednak miał jakieś znaczenie. Może oznaczał szczęście, a nie pecha. - Pani Jordan, czy książka ciotki Sally mówi coś o rozstajach dróg albo burzy?

- Wydaje mi się, że burza oznacza pieniądze. Burza to pięćdziesiąt cztery.

- Wcale nie! Burza oznacza śmierć. I stawia się na jedenaście.

Panie zaczęły kłócić się o różne interpretacje snów i możliwe kombinacje liczb. Nikt nigdy nie doszedł do porozumienia i jedynej właściwej odpowiedzi. I właśnie dlatego ta gra była tak ekscytująca - te wszystkie możliwości.

- A oko i błyskawica pod nim? - spytał Memphis.

Pani Jordan zawahała się, nie wyjmując prostownicy z włosów klientki.

- Nie wiem. Ale ktoś inny mógłby ci powiedzieć. Czemu pytasz, kochanieńki?

Memphis zorientował się, że marszczy czoło. Znów przywołał na twarz ten uroczy uśmiech, którego oczekiwali od niego ludzie.

- Och, widziałem to we śnie, nic więcej. Klientka na fotelu najeżyła się.

- Auć! Fifi, zaraz poparzysz mi skórę tą prostownicą.

- Wcale nie! Masz za delikatną głowę, w tym cały problem.

- Do widzenia paniom. Mam nadzieję, że to będzie wasza liczba - powiedział Memphis i wycofał się pośpiesznie.

Nad Harlemem szare chmury rozstały się, ukazując idealnie błękitne niebo. Memphis minął drogerię Lenox, do

której czasem zaglądał z młodszym bratem Isaiahem, kupował hamburgery i rozmawiał z właścicielem, panem Reggie. Przeszedł na drugą stronę ulicy, by ominąć dom pogrzebowy Merrick, ale nie mógł odepchnąć od siebie wspomnienia. Wyłoniło się z głębin, wciąż silne na tyle, by pozbawić go tchu.

Jego matka leżąca w otwartej trumnie, z rękami założonymi na piersi, wokół niej bukiety konwalii.

- Kiedy mama się obudzi, Memphis? Przegapi przyjęcie, a tyle ludzi przyszło, żeby ją zobaczyć - spytał Isaiah.

Ojciec siedział na krześle z wyplatanym oparciem, wpatrując się w swoje wielkie dłonie trębacza, żałobnicy płakali i jęczeli, a ktoś śpiewał Swing Low, Sweet Chariot. Dotyk ziemi w palcach Memphisa, gdy rzucał jej bryłki na trumnę. Ciche uderzenie, gdy dotknęła wieka trumny, ostateczność tego dźwięku. Pamiętał, jak ojciec zapakował ich dobytek z mieszkania przy 145.

Ulicy i odesłał synów do ciasnego pokoiku w mieszkaniu ciotki Octavii kilka ulic na północ, sam zaś udał się do Chicago, żeby poszukać pracy. Obiecał, że pośle po nich, kiedy się zadomowi. To było dwa lata, dziesięć miesięcy i piętnaście dni temu, a oni wciąż dzielili pokoi u ciotki Octavii.

Memphis zwinął butelkę mleka z ganku i pociągnął długi łyk, jakby mógł odegnać przeszłość. Skóra swędziała go z niepokoju, miał uczucie, jakby cały świat miał się rozpaść. A wiązało się to ze snem.

Przez całe dwa tygodnie noc w noc śniło mu się to samo. Rozstaje dróg. Kruk lecący znad pola. Ciemniejące niebo i chmury kurzu wznoszące się nad drogą przed tym, co nadchodziło. I symbol, zawsze symbol. Zaczynał bać się snu.

W jego umyśle pojawiła się fraza. Memphis wiedział, że jeśli jej nie zanotuje, nie będzie jej już pamiętał, kiedy będzie

gotów ją zapisać. Dlatego zatrzymał się i zapisał ten nowy fragment poezji na dwóch pustych pokwitowaniach, po czym wcisnął je do innej kieszeni. Później, kiedy będzie mógł pójść na cmentarz, gdzie lubił pisać, przepisze je do notatnika w brązowej skórzanej oprawie, w którym znajdowały się jego wiersze i opowiadania.

Memphis wyszedł za róg. Ślepy Bill Johnson siedział na ganku z gitarą. Odwrócony kapelusz leżał u jego stóp, na wytartej podszewce zebrało się trochę drobniaków.

- „Spotkałem mężczyznę na ciemnej drodze, na ręce miał znak” - śpiewał bluesman szorstkim głosem. - „Spotkałem mężczyznę na ciemnej drodze, na ręce miał znak. Burza nadchodzi, tak powiedział, i spadnie na nasz świat”. - Kiedy Memphis go mijał, Ślepy Bill zawołał: - Panie Campbell! Panie Campbell! To pan?

- Tak. Skąd pan wiedział? Staruszek zmarszczył nos.

- Floyd dobrze sobie radzi z nożyczkami, ale ten jego olejek obudziłby umarłych. - Zaśmiał się szorstko. Palcami obmacał zbiór drobniaków w kapeluszu, dotykał każdej monety, aż znalazł dwie dziesiątki. - Dwadzieścia centów na moją liczbę, panie Campbell. Jeden, siedem, dziewięć. Niech pan idzie i postawi. Postawi w imieniu starego Ślepego Billa - powiedział z naciskiem.

Memphis chciał mu poradzić, żeby oszczędzał na coś innego. Wszyscy wiedzieli, że Bill mieszkał w schronisku Armii Zbawienia, a czasem na ulicach, jeśli pogoda była ładna. Ale to nie było jego rolą, więc schował monety i wypisał pokwitowanie.

- Tak, proszę pana. Postawię.

- Potrzebuję trochę szczęścia, i tyle.

- Wszyscy go potrzebujemy - odparł Memphis i ruszył dalej.

Za jego plecami bluesman znów wziął gitarę i zaczął śpiewać o mężczyznach na mrocznych drogach i o umowach zawieranych pod bezksiężycowym niebem, a choć znajdowali się w centrum miasta w hałasie pociągów i tętniących życiem ulic, Memphis poczuł dziwne ściskanie w żołądku.

- Memphis! - zawołał inny posłaniec z drugiej strony ulicy. - Lepiej się pośpiesz! Prawie dziesiąta!

Chłopak zapomniał o koszmarach. Wrzucił pustą butelkę po mleku do kosza na śmieci, zarzucił plecak na ramię i pobiegł ulicą w stronę Hotsy Totsy, by tam zaczekać na podanie liczby tego dnia.

Na latarni zakrakał kruk. Ślepy Bill przerwał piosenkę i zeszywniał, nasłuchując. Ptak zakrakał raz jeszcze, po czym zamachał błyszczącymi skrzydłami i ruszył za Memphisem Campbellem.

MUZEUM NIESAMOWITOŚCI

Evie wysiadła z pociągu, machając bagażowym i konduktorom, z którymi grała w pokera od Pittsburgha aż do dworca Pennsylvania Station. Była teraz bogatsza o dwadzieścia dolarów, trzy nowe adresy w notatniku oprawionym w brązową skórę i kapelusz tragarza, który nosiła na bakier na złotych włosach.

- Na razie, panowie! Było klawo!

Konduktor, młodzieniec w wieku lat dwudziestu dwóch, wyjrzał z pociągu.

- Napiszesz do mnie, prawda, kochanie?

- Oczywiście. Jak tylko nauczę się dobrze pisać - skłamała Evie. - Ciotka na mnie czeka. Jest niewidoma, więc powinnam się pośpieszyć. Biedna ciotka Martha.

- Wydawało mi się, że ma na imię Gertrude.

- Gertrude i Martha. To bliźniaczki i obie są ślepe. Biedaczki. Do zobaczenia!

Z walącym sercem Evie zeszła na peron. Nowy Jork - w końcu!

Telegram od wuja Willa zawierał szczegółowe polecenia - miała wziąć taksówkę z dworca Pennsylvania Station przy Ósmej Alei i powiedzieć taksówkarzowi, żeby zawiózł ją do Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej przy Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, niedaleko Central Park West. Była pewna, że to żaden problem. Teraz w zamieszaniu Pennsylvania Station poczuła się nieco zagubiona. Dwa razy poszła w złą stronę i w końcu znalazła się w ogromnej hali głównej z wielkimi łukowatymi oknami wznoszącymi się od podłogi do sklepienia i ogromnym zegarem pośrodku, którego zdobione wskazówki przypominały pasażerom, że czas ucieka - i pociągi też.

W pobliżu, bardzo efektowna kobieta ubrana mimo upału w długie do ziemi futro z soboli przyciągała coraz większy tłum wielbicieli i fotografów.

- Kto to? - spytała Evie jakiegoś mężczyznę z tłumu. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale jej agent zapłacił mi dolara, żebym stał i gapił się, jakby to była sama Gloria Swanson. Najłatwiej zarobiony dolec w moim życiu.

Evie przyśpieszyła kroku i niemal wywróciła gazetciarza reklamującego „Daily News”.

- Valentino otruty? Przeczytajcie o tym! Próba zamachu bombowego anarchistów powstrzymana! Nauczyciele szaleją na punkcie ewolucji! Tutaj wszystkie wiadomości! Tylko dwa centy! Gazetę, panienko?

- Nie, dziękuję.

- Ładny kapelusz.

Mrugnął, a wtedy Evie przypomniała sobie czapkę bagażowego.

W oknie drogerii wisiało lustro. Zatrzymała się, żeby poprawić fryzurę i zastąpić nakrycie głowy bagażowego własnym szarym kapelusikiem. Obracała głowę w prawo i w lewo, chcąc się upewnić, że wygląda doskonale. Wzięła banknot dwudziestodolarowy, który wygrała w pokera i po chwili zastanowienia wcisnęła go do kieszeni czerwonego letniego płaszcza.

- Nie dziwię się, że podziwiałaś widok. Sam się przyglądałem od dłuższej chwili.

Głos był męski i nieco chrapliwy. Evie zauważyła jego odbicie w lustrze. Gęste ciemne włosy z jednym dłuższym kosmykiem z przodu, który nie chciał się dać zaczesać. Bursztynowe oczy i ciemne brwi. Do jego uśmiechu pasował jedynie przymiotnik „drapieżny”.

Evie odwróciła się powoli.

- Czy my się znamy?
- Jeszcze nie. Ale mam zamiar to naprawić. - Wyciągnął rękę. - Sam Lloyd. Evie dygnęła.

- Panna Evangeline O'Neill z O'Neillów z Zenith.
- O'Neillowie z Zenith. Teraz czuję, że jestem ubrany niedostatecznie elegancko. Pozwól, że pójde po smoking.

Znów się wyszczerzył, a Evie poczuła się nieco wytrącona z równowagi. Był średniego wzrostu i raczej krępy, nosił koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie nieco powycierane na kolanach. Na czubkach palców miał czarne plamy, jakby przed chwilą pastował buty. Na jego szyi wisiały lotnicze gogle. Jej pierwszy nowojorski wielbiciel okazał się nieco nieokrzesany.

- Miło było pana poznać, panie Lloyd, ale powinnam...
- Mów mi Sam. - Podniósł jej walizkę tak szybko, że nawet nie zauważyła ruchu jego ręki. - Pozwól, że pomogę ci to nieść.

- Naprawdę. Mogę... - Sięgnęła po walizkę, ale on już ją trzymał.

- Nalegam. Matka obdarłaby mnie ze skóry za taki brak galanterii.

- Cóż... - Evie rozejrzała się nerwowo - ...ale tylko do drzwi.

- Dokąd jedziesz?
- Zadajesz mnóstwo pytań.
- Niech zgadnę, jesteś jedną z dziewcząt Ziegfelda? Evie potrząsnęła głową.

- Modelką? Aktorką? Księżniczką? Jesteś zbyt ładna, by być kimś zwyczajnym.

- Jesteś uczciwy?
- Tak uczciwy, że aż mi to szkodzi.

Pochlebiał Evie, co sprawiało jej przyjemność. Uwielbiała przykuwać uwagę. Była jak kieliszek szampana - musująca i

upajająca - i, podobnie jak jest z szampanem, zawsze chciała więcej. Nie chciała jednak wydawać się osobą łatwą.

- Jeśli już musisz wiedzieć, przyjechałam wstąpić do zakonu - powiedziała Evie, sprawdzając go.

Sam Lloyd obejrzał ją od stóp do głów i potrząsnął głową.

- Jak dla mnie to marnotrawstwo. Taka śliczna dziewczyna.

- Służba naszemu Panu nigdy nie jest marnotrawstwem.

- Pewnie tak. Oczywiście, mówi się teraz, że kiedy mamy Freuda i automobile, Bóg umarł.

- Nie umarł, jest jedynie bardzo zmęczony.

Kąciki jego warg uniosły się w rozbawieniu i Evie znów poczuła się usatysfakcjonowana. Uważał ją za bystrą, ten Sam Lloyd ze znaczącym uśmiechem.

- Cóż, to ciężka praca - odparował. - Całe to gromienie i tworzenie. Powiesz mi, do którego zakonu się wybierasz?

- Tego z tymi wszystkimi paniami w czerni i bieli.

- Jak się nazywa. Może go znam? - Sam pochylił głowę. - Jestem bardzo wierzący.

Evie powstrzymała ciche „ha!”.

- Do... Najświętszej Maryi Panny.

- Oczywiście. Której Najświętszej Maryi Panny?

- Absolutnie Najświętszej Maryi Panny, jaką możesz sobie wyobrazić.

- Posłuchaj, zanim oddasz swoje życie Chrystusowi, może pozwolisz, żebym oprowadził cię po mieście? Znam wszystkie świetne miejsca. Jestem przewodnikiem pierwsza klasa.

Wziął ją za rękę i Evie poczuła się jednocześnie podekscytowana i wytracona z równowagi. W mieście była od pięciu minut i już młody mężczyzna - trzeba przyznać, całkiem atrakcyjny młody mężczyzna - chciał ją namówić, żeby z nim poszła. To było podniecające. I trochę przerażające.

- Posłuchaj, zdradzę ci tajemnicę. - Rozejrzał się. - Jestem łowcą talentów dla największych nazwisk w tym mieście. Ziegfelda. Shubertów. Pana White. Znam ich wszystkich. Chybaby mnie powiesili, gdybym im nie przedstawił talentu takiego jak ty.

- Myślisz, że jestem utalentowana? - Wiem, że jesteś. Widzę. Mam wycucie. Evie uniosła brew.

- Nie umiem śpiewać. Nie umiem tańczyć. Nie umiem grać.

- Widzisz? Prawdziwa potrójna groźba. - Wyszczерzył się. - Prawdziwy konkurs dla młodych talentów u Najświętszej Maryi Panny.

Evie roześmiała się wbrew sobie.

- W porządku. Ty i ta twoja przenikliwość... co takiego niezwykłego we mnie widzisz? - spytała z fałszywą skromnością i spojrzała na niego spod rzęs, jak to widziała wcześniej w wykonaniu Colleen Moore w filmie *We Moderns*.

- Po prostu masz coś w sobie - odpowiedział, nic właściwie nie mówiąc, co ją rozczarowało.

Sam oparł dłoń na ścianie nad jej głową, nachylając się bliżej. Evie poczuła ucisk w żołądku. Nie chodziło o to, że nie umiała sobie radzić z facetami, ale to był facet z Nowego Jorku. Nie chciała zrobić sceny i wyjść na kompletną prowincjuszkę. Była dziewczyną, która umiała zatroszczyć się o siebie. Poza tym, gdyby jej rodzice się o tym dowiedzieli, natychmiast ściągnęliby ją z powrotem do Ohio.

Evie sięgnęła więc pod ręką przystojnego Sama Lloyda i chwyciła swoją walizkę.

- Obawiam się, że muszę już lecieć. Wydaje mi się, że widziałam, no, główną zakonnice wchodzącą do damskiej toalety.

- Główną zakonnice? To znaczy matkę przełożoną?

- No pewnie. Siostrę... siostrę... no...

- Siostrę Benito Mussolini Fascisti?

- Właśnie!

Sam Lloyd uśmiechnął się złośliwie.

- Benito Mussolini jest premierem Włoch. I faszystą.

- Wiedziałam - powiedziała Evie, rumieniąc się.

- Oczywiście, że tak.

- Cóż...

Evie przez chwilę stała niepewnie. Wyciągnęła rękę na pożegnanie. Sam Lloyd przyciągnął ją do siebie i pocałował mocno w usta. Słyszała, jak pucybuci śmieją się, kiedy cofnęła się, czerwona na twarzy i zdezorientowana. Powinna go spoliczkować? Zasługiwał na to. Ale czy tak właśnie postępowali wyrafinowani mieszkańcy Manhattanu? A może wzruszali ramionami, jakby to był stary żart, z którego nie chciało im się już śmiać?

- Nie możesz mieć pretensji do gościa, że całuje najładniejszą dziewczynę w Nowym Jorku, co nie, siostrzo?

Uśmiech Sama bynajmniej nie był przepraszający. Evie szybko i zdecydowanie uniosła kolano, a on padł na ziemię jak worek ziarna.

- Nie możesz mieć pretensji do dziewczyny, że reaguje odruchowo, co nie, kolego?

Odwróciła się i pośpieszyła w stronę wyjścia. Sam Lloyd zawołał za nią zbolalym głosem:

- Życzę siostrom powodzenia. Dobre siostrzyczki od Najświętszej Maryi Panny nie wiedzą, co je czeka!

Evie starła wierzchem dłoni pocałunek z warg i wyszła na Ósmą Aleję, ale kiedy zobaczyła majestat miasta, całkiem zapomniała o Samie Lloydzie. Środkiem ulicy jechał po stalowych torach tramwaj. Samochody omijały gromadki ludzi i inne auta z wdziękiem tancerzy baletowych. Wyciągnęła szyję, by zobaczyć wszystko. Wysoko nad ruchliwymi ulicami mężczyźni tańczyli na stalowych belkach, wznosząc nowe

budynki podobne do tych, które już przebijały chmury, jakby nawet niebo nie mogło zatrzymać ich ambicji. Obok przeleciał sterowiec, srebrzysta plama na błękitnie. To było jak krajobraz ze snu, który w każdej chwili mógł się zmienić. Do krawężnika podjechała taksówka i Evie wsiadła.

- Dokąd, panienko? - spytał taksówkarz, włączając licznik.

- Poproszę do Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej.

- Aha. Muzeum Niesamowitości. - Taksówkarz zachichotał. - Dobrze, że jedzie panienka je zobaczyć, póki jeszcze można.

- To znaczy?

- Mówią, że zalegają z podatkami. Władze miasta od lat mają to miejsce na oku. Chcą tam wybudować apartamentowce.

- Ojej.

Evie wpatrzyła się w zdjęcie, które dała jej matka. Przedstawiało wuja Willa - wysokiego, szczupłego, jasnowłosego - stojącego przed muzeum, wspaniałą wiktoriańską rezydencją z wieżyczkami i witrażowymi oknami, którą otaczał parkan z kutego żelaza.

- Im szybciej, tym lepiej, jeśli mam być szczery. Ludzie czują się tam niezręcznie... te wszystkie głupie przedmioty ponoć mają w sobie mnóstwo magii.

Przedmioty. Magia. Evie stukała palcami o drzwi.

- Słyszała panienka o tym gościu, co je prowadzi? Evie przestała stukać.

- To znaczy?

- Dziwak. Był obdzektorem.

- Co takiego?

- Sprzeciwiał się pójściu do wojska - powiedział taksówkarz, wypluwając słowa, jakby były trujące. - Podczas

wojny. Nie chciał walczyć. - Potrząsnął głową. - Słyszałem, że może być też jednym z tych bolszewików.

- Cóż, jeśli tak jest, mnie o tym nigdy nie wspominał - stwierdziła Evie, wygładzając rękawiczki.

Taksówkarz napotkał jej wzrok we wstecznym lusterku.

- Zna go panienka? Co ktoś tak miły ma wspólnego z takim gościem?

- To mój wuj.

Na te słowa taksówkarz umilkł.

W końcu taksówka skręciła w boczną uliczkę przy Central Parku i zatrzymała się przed muzeum. Ukryte wśród brudu i stali Manhattanu muzeum samo w sobie wydawało się reliktem, budowlą z innego miejsca i innej epoki. Jego piaskowcową fasadę zniszczyły czas, sadza i pnącza. Evie przeniosła wzrok z ponurego, podupadłego cienia przed sobą na piękny dom ze zdjęcia.

- To na pewno ten lokal?

- To właściwe miejsce. Muzeum Niesamowitości. Dolar i dziesięć centów.

Evie sięgnęła do kieszeni, lecz wyciągnęła z niej tylko podszewkę. Z coraz większym przerażeniem przeszukała wszystkie kieszenie.

- Co jest? - Taksówkarz spoglądał na nią podejrzliwie.

- Moje pieniądze! Wszystkie zniknęły! Miałam dwadzieścia dolarów w tej kieszeni i... i nie ma ich.

Potrząsnął głową.

- Mogłem się domyślić. Pewnie też bolszewik, jak wuj. Cóż, panienko, w ostatnim tygodniu trzech pasażerów uciekło mi z taksówki bez płacenia. Nie tym razem. Jesteś mi winna dolara dziesięć albo możesz opowiedzieć swoją historyjkę gliniarzowi.

Taksówkarz pomachał do konnego policjanta, który znajdował się na końcu ulicy.

Evie zamknęła oczy i przypomniała sobie wszystko. Tory. Okno drogerii. Sam Lloyd. Sam... Lloyd. Evie gwałtownie uniosła powieki, gdy przypomniała sobie jego namiętny pocałunek. „Masz coś w sobie...”. Na pewno - dwadzieścia dolarów. Nie minęła godzina w mieście i już została oszukana.

- Ten sukin... - zaklęła Evie, uciszając taksówkarza.

Wściekła, wyjęła zza wstążki kapelusika dziesięć dolarów, zaczęła na resztę i zatrzasnęła drzwi taksówki.

- Hej! - wrzasnął kierowca. - A może tak napiwek?

- Jeszcze czego - odpowiedziała Evie i ruszyła w stronę starej wiktoriańskiej rezydencji, ciągnąc za sobą długi jedwabny szal. - Nie całować obcych mężczyzn na Penn Station.

Evie zastukała mosiężną kołatką w kształcie głowy orła i czekała. Na tablicy obok masywnych dębowych drzwi przeczytała:

TU ZNAJDUJĄ SIĘ NADZIEJE I MARZENIA
NARODU STWORZONEGO NA GRZBIETACH
LUDZI

I WZNIESIONEGO NA SKRZYDŁACH ANIOŁÓW.

Ale ani ludzie, ani aniołowie nie odpowiedzieli na jej stukanie, więc sama weszła do środka. Przedsiónek był bogato zdobiony - czarno - biała marmurowa posadzka, ściany pokryte boazerią i oświetlane połączanymi kinkietami. Jasnobłękitne sklepienie zdobił fresk przedstawiający anioły spoglądające na pole bitwy pełne żołnierzy walczących o niepodległość. Budynek wypełniała woń kurzu i starości. Obcasy Evie stuknęły na marmurze, kiedy ruszyła długim korytarzem.

- Halo?! - zawołała. - Wuj Will?

Szerokie schody o rzeźbionej balustradzie prowadziły na podest na pierwszym piętrze, oświetlony promieniami słońca, które wpadały przez witrażowe okno, po czym zniknęły jej z

oczu. Po lewej stronie Evie znajdował się mroczny salon, w którym zaciągnięto zasłony. Po prawej drzwi przesuwne prowadziły do zatechłej jadalni. Długi drewniany stół i trzynaście krzeseł krytych adamaszkiem robiło wrażenie, jakby nikt z nich od lat nie korzystał.

- A niech to. Kto umarł? - mruknęła Evie.

Wędrowała po domu, aż trafiła do długiej sali mieszczącej kolekcję eksponatów w szklanych gablotach.

- „Muzeum Niesamowitości”, jak mniemam.

Evie przechodziła od obiektu do obiektu, odczytując umieszczone pod nimi wypisane na maszynie karteczki.

TORBA GRIS GRIS I LALECZKA VOODOO NOWY ORLEAN, LUIZJANA
FRAGMENT KOŚCI CHIŃSKIEGO ROBOTNIKA KOLEJOWEGO UZNAWANEGO ZA CZAROWNIKA

PÓŁNOCNA KALIFORNIA, OKRES GORĄCZKI ZŁOTA

KRYSTAŁOWA KULA UŻYWANA PODCZAS SEANSÓW PRZEZ PANIĄ BERNICE FOXFORTHY W OKRESIE MODY NA SPIRYTYZM, OKOŁO 1848 R.

TROY, NOWY JORK

TALIZMAN OCHRONNY ODŻIBWEJÓW REJON WIELKICH JEZIOR

ŚCINKI CZAROWNIKA BATON ROUGE, LUIZJANA
NARZĘDZIA I KSIĘGI MASONA, OKOŁO 1776 R.
FILADELFIA, PENSYLWANIA

Widziała też zdjęcia duchów, zaludnione przez niewyraźne postaci, przezroczyste jak koronkowe firanki unoszące się na wietrze. Laleczki. Lalkę brzuchomówcy. Oprawną w skórę księgę zaklęć. Książki o alchemii, astrologii, numerologii, czarownikach, voodoo, mediach i uzdrowicielach, jak również kilka tomów na temat spotkań z

duchami w obu Amerykach, począwszy od początku siedemnastego wieku.

Na stole leżał otwarty Dziennik Mercy Prowd. Evie przechyliła głowę, próbując rozczytać siedemnastowieczne pismo ręczne. „Widzę duchy zmarłych. Przez to napiętnowali mnie jako wiedźmę...”.

- Powiesili ją. Miała zaledwie siedemnaście lat.

Evie odwróciła się, zaskoczona. Mówiący wyłonił się z cieni. Był wysoki, szeroki w ramionach i miał jasnopolielate włosy. Przez chwilę światło padające ze starego żyrandola sprawiało, że robił wrażenie surowego anioła z renesansowego obrazu.

- Jakiej zbrodni się dopuściła? - spytała Evie, odzyskawszy głos. - Zmieniła dżin w wodę?

- Była inna. To był jej grzech. - Uścisnął jej dłoń. - Jestem Jericho Jones. Pracuję dla twojego wuja. Poprosił mnie, bym dotrzymał ci towarzystwa, kiedy on prowadzi zajęcia.

Czyli to był ten sławny Jericho, w którym tak zadurzyła się Mabel.

- Wiele o tobie słyszałam! - wyrwało się Evie. Mabel zabiłaby ją za taką niedyskrecję. - To znaczy, słyszałam, że wuj Will nie poradziłby sobie bez tego... no, co dla niego robisz.

Jericho odwrócił wzrok.

- Szczerze w to wątpię. Chciałabyś obejrzeć muzeum?

- Świetny pomysł - skłamała Evie.

Jericho prowadził ją po schodach w górę i w dół, pokazując zatęchłe pomieszczenia, w których znajdowały się kolejne nudne, zakurzone przedmioty, Evie zaś walczyła, by zachować na ustach uprzejmy uśmiech.

- A na koniec miejsce, w którym spędzamy większość czasu, czyli biblioteka.

Jericho otworzył mahoniowe drzwi przesuwne, a Evie zagwizdała. Nigdy nie widziała takiego pokoju. Wyglądał, jakby został żywcem przeniesiony z jakiegoś nawiedzonego zamku z bajki. Całą przeciwległą ścianę zajmował ogromny kominek z piaskowca. Meble nie robiły większego wrażenia - brązowe skórzane fotele, mocno powycierane, kilka starych stołów i przygaszone lampy emanujące słabym zielonym blaskiem. Na poziomie piętra całe pomieszczenie otaczała galeria pełna regałów z książkami. Evie przechyliła głowę, żeby objąć całość wzrokiem. Sufit musiał się znajdować na wysokości co najmniej sześciu metrów, a jakie robił wrażenie! Zajmowała go panorama amerykańskiej historii - purytanie w czarnych kapeluszach potępiający grupę kobiet. Indiański szaman wpatrujący się w ogień. Uzdrowiciel ściskający jedną ręką węża, z drugą na czole chorego. Ojcowie założyciele w siwych perukach podpisujący Deklarację Niepodległości. Niewolnica unosząca korzeń mandragory. Malowane anioły i demony unosiły się nad historycznymi scenami, obserwując. Czekaając. - I co sądzisz? - spytał Jericho.

- Moim zdaniem powinien zwolnić malarza pokojowego.
- Evie opadła na jeden z foteli i poprawiła szew pończochy. Nie mogła się doczekać, kiedy spotka się z Mabel i zwiedzi miasto. - Czy wujkowi długo to zajmie?

Jericho wzruszył ramionami. Usiadł przy długim stole i wyciągnął z wysokiej sterty jedną książkę.

- To doskonała historia osiemnastowiecznego mistycyzmu w koloniach, gdybyś miała ochotę zabijać czas lekturą.

- Nie, dziękuję - odparła Evie, tłumiąc pokusę, by przewrócić oczami. Nie wiedziała, co Mabel widzi w tym gościu. Wymagał pracy, to pewne. - Powiedz mi... - Evie przyciszyła głos. - Nie masz przypadkiem przy sobie rozweselacza?

- Rozweselacza? - powtórzył Jericho.
- No wiesz, sznapsu? Okowity? Gorzały? - próbowała Evie. - Dżinu?
- Nie.
- Nie jestem drobiazgowa, burbon też może być.
- Nie piję.
- To musisz być bardzo spragniony. - Evie się roześmiała. Jericho nie.

- Powinienem wracać do muzeum - powiedział, idąc szybko w stronę drzwi. - Rozgość się. Wuj powinien wkrótce przyjść.

Evie zwróciła się do wypchanego grizzly stojącego przy kominku.

- Ty pewnie nie masz żadnej gorzały? Nie? Może później.

Poza Jericho nie widziała w muzeum żywej duszy. Była głodna, spragniona i trochę zła, że zostawiono ją samą, a wuj nawet nie przyszedł się przywitać. Jeśli miała zamieszkać w Nowym Jorku, musiała zacząć sama troszczyć się o siebie.

Evie poklepała splątane futro niedźwiedzia.

- Przepraszam, staruszkule, ale musisz sobie radzić sam - powiedziała i wyszła z biblioteki w poszukiwaniu jedzenia.

Usłyszała męskie głosy i podążyła za tym dźwiękiem, aż dotarła do dużego pomieszczenia na tyłach muzeum, gdzie wuj Will, odziany w szare spodnie, kamizelkę, koszulę z podwiniętymi rękawami i niebieski krawat, prowadził właśnie wykład. Przez lata jego włosy pociemniały, dorobił się też starannie przystrzyżonego wąsika.

- Obecność zła to zagadka, która dręczyła umysły zarówno filozofów, jak i teologów... - mówił.

Evie wysunęła głowę zza rogu, by obejrzeć sobie pokój. Grupa studentów siedziała i robiła notatki z wykładu Willa.

- Do roboty - wyszeptała Evie. - Przepraszam za spóźnienie! - zawołała, wchodząc do sali.

Studenci zwrócili głowy w jej stronę, gdy ze zgrzytem przesunęła krzesło, by do nich dołączyć. Wuj Will przyglądał się jej ponad okrągłymi okularami w rogowej oprawce.

- Mów dalej, wuju. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Evie usiadła na krawędzi krzesła obok studentów i bardzo starała się robić wrażenie zainteresowanej.

- Tak... - Przez chwilę wydawało się, że oszołomiona mina wuja Willa pozostanie na jego twarzy na stałe. Jednak wkrótce znów złapał rytm i zaczął spacerować z rękami za plecami. - Jak już wspominałem, jak można wyjaśnić obecność zła?

Chłopcy popatrzyli po sobie.

- Człowiek czyni zło poprzez swoje wybory - powiedział ktoś.

- To Bóg i diabeł walczą. Tak w każdym razie twierdzi Pismo - sprzeciwił się inny.

- Jak może istnieć diabeł, skoro jest Bóg? - spytał chłopak w pumpach. - Zawsze się nad tym zastanawiałem. Wuj Will uniósł znacząco palec.

- Aha. Teodycea.

- Czy to skrzyżowanie teologii z odyseją? Will pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Nie do końca. Teodycea to gałąź teologii zajmująca się obroną Boga w obliczu istnienia zła. I w tym momencie pojawia się kolejne pytanie. Skoro Bóg jest wszechwiedząca, wszechpotężną istotą, jak może pozwolić na istnienie zła? Albo nie jest tak wszechmocny, jak nam mówiono, albo jest wszechmocny, wszechwiedzący i okrutny, gdyż pozwala istnieć złu i nic z tym nie robi.

- Cóż, to z pewnością wyjaśnia prohibicję - zażartowała Evie. Chłopcy zaśmiali się z uznaniem. A wuj Will spojrzał na Evie tak, jakby była eksponatem, którego jeszcze nie umiał sklasyfikować. - Cechą dobrego świata jest to, że mamy wolną

wolę, prawda? - mówił dalej. - Czy możemy się zgodzić w tej kwestii? Ale jeśli ludzie mają wolną wolę, mają też możliwość dokonywania wyborów... i dopuszczania się zła. I tak oto ta bardzo dobra rzecz, wolna wola, pozwala również na istnienie zła w naszym wspaniałym świecie. - Zapanowało milczenie. - Kwestia do zastanowienia. Ale jeśli mogę kontynuować naszą wcześniejszą dyskusję...

Chłopcy wyprostowali się, gotowi robić notatki, a Will wciąż spacerował.

- Ameryka ma bogatą historię wierzeń, jak gobelin utkany z nici różnych kultur. Nasza historia jest pełna tego co nadnaturalne, niewyjaśnione, mistyczne. Pierwsi osadnicy przybyli tu w poszukiwaniu swobody wyznania. Emigranci, którzy podążyli za nimi, przywieźli swoje nadzieje i obawy, od wschodnioeuropejskich legend o wampirach po chińskie „głodne duchy”. Rdzenni Amerykanie wierzyli w szamanów i duchy. Niewolnicy z Afryki Zachodniej i Karaibów, choć pozbawieni wszystkiego, co mieli, przywieźli ze sobą zwyczaje i wierzenia. Jesteśmy nie tylko tygłem kultur, ale też duchów i przesądów. Tak?

Chłopak w granatowej marynarce podniósł rękę.

- Czy pan wierzy w zjawiska nadnaturalne, doktorze Fitzgerald?

- Ach. Wydawałoby się to nielogiczne, prawda? W końcu żyjemy w nowoczesnych czasach. Ludzi trudno zmusić nawet do wiary w metodyzm. - Will uśmiechnął się, gdy chłopcy zaczęli chichotać. - A jednak pozostały tajemnice. Jak można wyjaśnić historie ludzi obdarzonych niezwykłymi mocami?

Evie poczuła dreszcz na plecach.

- Mocami? - powtórzył chłopak, tonem sceptycznym, wręcz pogardliwym.

- Ludzie twierdzący, że rozmawiają z umarłymi, jak jasnowidze i media. Ludzie, którzy mówią, że uleczyło ich

nakładanie dłoni. Którzy widzą przebłyski przyszłości albo zgadują kartę przed jej rozegraniem. Purytanie słyszeli o przebiegłym ludzie. A podczas wojny o niepodległość Benjamin Franklin pisał o proroczych snach, które wpłynęły na przebieg wojny i ukształtowały naród. Co na to powiesz?

- Ci ludzie potrzebują pomocy psychiatry... choć dla pana franklina zrobiłbym wyjątek.

Znów rozległy się chichoty, do których Evie dołączyła, choć wciąż nie czuła się swobodnie. Wuj Will zaczekał, aż śmiech ucichnie.

- Jak może wiecie, to muzeum zostało stworzone przez Corneliusa Rathbone'a, który zgromadził fortunę, budując koleje. Skąd wiedział, że nadchodzi wiek stali?

Will przerwał, a kiedy nikt nie odpowiedział, znów zaczął spacerować z rękami za plecami.

- Twierdził, że wiedział dzięki proroczym wizjom swojej siostry Liberty Anne. Kiedy Cornelius i Liberty byli dziećmi, całymi godzinami bawili się w lesie. Pewnego dnia Liberty poszła do lasu i zgubiła się na całe dwa dni. Mężczyźni z miasteczka szukali jej, ale nie mogli znaleźć żadnego śladu. Kiedy w końcu wróciła, była całkiem siwa. Miała zaledwie jedenaście lat. Liberty Anne twierdziła, że spotkała tam mężczyznę, „dziwnego, wysokiego mężczyznę, chudego jak strach na wróble, w wysokim cylindrze, którego płaszcz ukazywał cuda i strachy świata”. Dostała gorączki. Posłano po lekarza, ale nic nie mógł zrobić.

Przez następny miesiąc leżała w sennym transie, wypowiadając proroctwa, które jej zaniepokojony brat zapisywał w dzienniku. Te proroctwa były zadziwiająco dokładne. Twierdziła, że widzi "wielkiego człowieka z Illinois odebranego nam, kiedy odwiedzał amerykańskiego kuzyna", co jest nawiązaniem do zabójstwa prezydenta Lincolna na balkonie teatru, kiedy oglądał przedstawienie Nasz

amerykański kuzyn. Mówiła o „wielkim stalowym smoku przemierzającym kraj i dyszącym czarnym dymem”, co większość interpretuje jako linię kolejową. Przewidziała zniesienie niewolnictwa, Wielką Wojnę, rewolucję bolszewicką oraz wynalezienie samochodów i samolotów. Mówiła nawet o upadku naszych banków i późniejszym kryzysie gospodarczym.

- Z pewnością nie wszystko widziała - stwierdził chłopak w pumpach. - Do tego nigdy nie dojdzie.

Will postukał w biurko.

- Odpukać w niemalowane, jak to mówią.

Uśmiechnął się, a studenci zaśmieli się z jego żartu z przesądów. Bawił się srebrną zapalniczką, obracając ją i od czasu do czasu przeciągając palcem po kamieniu, aż pojawiały się iskry.

- Liberty Anne umarła dokładnie miesiąc po wyjściu z lasu. Pod koniec jej prorocstwa zrobiły się mroczne. Mówiła o „nadchodzącej burzy”, niebezpiecznym czasie, kiedy potrzebni będą Wróżbiarze.

- Wróżbiarze? - powtórzyła Evie.

- Tak nazywała ludzi obdarzonych podobnymi co ona mocami.

- A co mieliby zrobić ci Wróżbiarze? - spytał chłopak w pumpach.

Will wzruszył ramionami.

- Jeśli to wiedziała, nic nie mówiła. Umarła wkrótce po ogłoszeniu tego prorocstwa, pozostawiając brata Corneliusa w żałobie. Jego obsesją stały się dobro i zło oraz idea, że ten kraj nawiedzają duchy. Że istnieje coś poza tym, co widzimy. Poświęcił życie i majątek na próby udowodnienia tego.

Studenci dyskutowali, aż jeden z nich zaczął przekrzykiwać pozostałych.

- Dobrze, ale profesorze, czy pan osobiście wierzy, że istnieje świat poza naszym i że istoty z tego świata mogą nam pomagać lub nam szkodzić? Czy wierzy pan, że nasze działania tutaj, dobre lub złe, mogą powołać do istnienia zło? Czy wierzy pan, że istnieją duchy, demony i Wróżbiarze?

Wuj Will wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł nią okulary.

- „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, Niż się ich śniło waszym filozofom”. (William Shakespeare, Hamlet, tłum. Józef Paszkowski, Wydawnictwo Greg, 2009, s. 41.) - powiedział, znów zakładając okulary. - To cytat z Williama Szekspira, który, zdaje się sporo wiedział o ludzkości i zjawiskach nadnaturalnych. Ale na egzaminy będziecie potrzebować następujących konkretnych informacji...

Chłopcy zaczęli jęczeć, kiedy Will zasypał ich oszłamiającą liczbą faktów, a oni z trudem nadążali z notowaniem.

Evie wyslizgnęła się i poszła poczekać na Willa w jego gabinecie. Tykanie stojącego zegara dotrzymywało jej towarzystwa, gdy rozglądała się dookoła. Na biurku leżało mnóstwo wycinków z gazet i stało wiele niebezpiecznie wysokich stert książek. Evie z nudów przejrzała wycinki. Były to doniesienia z całego kraju o spotkaniach z duchami, nawiedzeniach i dziwnych zjawiskach w rodzaju zmarłych krewnych, pojawiających się na chwilę w ulubionych fotelach, i czerwonych "demonicznych" psach, które przstraszyły dozorcę śmietniska w głębi stanu. Niektóre wycinki pochodziły sprzed dwóch lub trzech lat, ale większość była nowa - z ostatniego roku. Evie zaczęła czytać artykuł o dziewczynie, która twierdziła, że rozmawia z umarłymi i którą „dobre duchy” ostrzegały o nadchodzących kłopotach. Właśnie dotarła do części o nagłym zniknięciu dziewczyny, kiedy wuj Will zaanonsował swoją obecność cichym chrząknięciem.

Evie odsunęła wycinki na bok.

- Witaj, wujku.

- To moje biurko.

- Owszem - odparła Evie radosnym tonem. - I to bardzo porządne.

- No tak. Cóż, tym razem jakoś to zniosę - mruknął wuj Will. Wyjął papierosa z niewielkiej srebrnej papierośnicy, którą trzymał w kieszeni na piersi. - Dobrze wyglądasz. - Zapalił i zaciągnął się mocno. - Czy Jericho pokazał ci muzeum?

- Pewnie. Jest bardzo... interesujące.

- Miałaś wygodną podróż?

- Pierwsza klasa, choć zostałam obrobiona na Penn Station - powiedziała Evie i natychmiast tego pożałowała. A jeśli Will uzna, że nie umie zatroszczyć się o siebie i odeśle ją z powrotem do Ohio?

Wuj Will uniósł brew.

- Naprawdę?

- Przez ohydny młodego człowieka imieniem Sam Lloyd. A w każdym razie tak mi się przedstawił, zanim mnie pocałował i ukradł mi dwadzieścia dolarów.

Will zmrużył oczy.

- Co takiego zrobił?

- Ale nie martw się. Umiem zatroszczyć się o siebie. Jeśli kiedyś go jeszcze zobaczę, pożałuje, że ze mną zadarł.

Will wydmuchnął chmurę dymu, która zawisła w powietrzu.

- Twoja matka powiedziała mi, że w domu narobiłaś sobie kłopotów. Przez jakiś dowcip czy coś w tym rodzaju.

- Dowcip - mruknęła Evie.

- I masz zostać do października?

- Do grudnia, jeśli to tylko możliwe. Aż sytuacja w domu się uspokoi.

- Hm. - Will spochmurniał. - Twoja matka błagała mnie, żebym posłał cię do szkoły dla dziewcząt Sary Snidewell. Obecnie mają zbyt wielkie obłożenie, więc wydaje się, że twoja nauka spada na mnie. Dostarczę ci książki i oczywiście możesz uczyć się na moje wykłady. Sugeruję, żebyś skorzystała z licznych muzeów i wykładów organizowanych przez Stowarzyszenie Kultury Etycznej i inne.

Evie uświadomiła sobie, że jest wolna od nudy szkoły. Robiło się coraz lepiej. Wuj Will przerzucał w zamyśleniu karty książki.

- Masz siedemnaście lat, tak?

- Owszem.

- Cóż, w wieku siedemnastu lat możesz już robić właściwie co chcesz. Nie będę cię trzymał na krótkiej smyczy, o ile ty będziesz się trzymała z dala od kłopotów. Umowa stoi?

- Stoi - odparła zaskoczona Evie. - Na pewno jesteś spokrewniony z moją matką? Na porodówce nie doszło do pomyłki?

Will uśmiechnął się.

- Twoja matka nigdy nie doszła do siebie po śmierci twojego brata.

- Nie tylko ona tęskni za Jamesem. - Jeśli chodzi o nią, jest inaczej.

- Tak mówią. - Evie stłumiła złość. - To, o czym mówiłeś na wykładzie... o ludziach, którzy widzą przyszłość albo... - Odetchnęła. - Odczytują przedmioty. Wróżbiarze. Znasz kogoś takiego?

- Osobiście nie. A dlaczego pytasz?

- Bez powodu - odpowiedziała pośpiesznie. - Pewnie gdyby istnieli, pisaliby o nich w gazetach i mówili w radio, prawda?

- Albo, o ile historia jest tu jakąś wskazówką, spalono by ich na stosie. - Will wskazał na otaczające ich liczne regały. - Mamy całą bibliotekę poświęconą takim historiom, jeśli chciałabyś dowiedzieć się więcej na temat amerykańskiej wiary w zjawiska nadnaturalne.

Zgasił papierosa w wypełnionej niedopałkami popielniczce.

- Obawiam się, że mam pewne zaległości, a ty z pewnością chciałabyś się rozpakować i odświeżyć. Bennington nie jest daleko stąd, dziesięć przecznic. Mam poprosić Jericho, żeby cię odprowadził?

- Nie - odpowiedział Evie. Nawet krótki spacer ze stoickim Jericho z pewnością byłby boleśnie nudny. - Sama sobie klawo poradzę.

- Przepraszam?

- Klawo. Na medal. Yy... nic mi nie będzie. Poszukam Mabel. Pamiętasz Mabel Rose? Koresponduję z nią.

- Aha - powiedział Will, rozproszony przez kolejną książkę. - W porządku. To twój klucz. Tuż obok holu Benningtona znajduje się jadłodajnia. Weź sobie coś do jedzenia i powiedz, żeby zapisali na moim rachunku. Powinniśmy wrócić z Jericho najpóźniej wpół do siódmej.

Evie wsunęła klucz do torebki. W Zenith nie miała klucza, rodzice kontrolowali wszystkie jej wyjścia. Tu będzie inaczej. Będzie doskonale. Ucisnęła wuja Willa, który wyciągnął do niej rękę -

- Witaj w Nowym Jorku, Evie.

TO TYLKO BENNINGTON, KOCHANIE

- Mabel! - Evie objęła przyjaciółkę i zatańczyła z nią w holu Benningtona, przyciągając spojrzenia innych mieszkańców apartamentowca. - Och, tak się cieszę, że cię widzę.

- Ojej, jak ty się zmieniłaś - powiedziała Mabel, wpatrując się w modnie obcięte loki Evie i jej nowoczesny ubiór: sukienkę w stylu marynarskim z obniżonym stanem i czerwony płaszcz z pelerynką haftowaną w maki.

- A ty wcale. Wciąż ta sama Mabel. Niech ci się przyjrzę. Evie cofnęła się, by przypatrzeć się burej, źle dopasowanej i sięgającej sporo za kolana sukience Mabel. Nadawała się na pogrzeb. Właściwie, tej sukience należał się pogrzeb.

- Mabel, nie obcięłaś jeszcze włosów?

Dziewczyna przeciągnęła dłonią po długich gęstych kasztanowych lokach upiętych na karku.

- Prezentuję swoją indywidualność.

- Z pewnością. Podobnie jak stary dobry Bennington.

Evie gwizdnęła cicho, czym wystraszyła mężczyznę wyciągającego pocztę z jednej z mosiężnych skrzynek. Bennington prezentował podupadłą urodę niegdyś modnego adresu. Marmurowe posadzki były podniszczone, meble zużyte, a farba spłowiała, lecz w oczach Evie to nadawało mu jeszcze większego uroku.

- Nawet jeśli jest dość skromna - odparła Mabel.

- Czy możesz w to uwierzyć? Ty, ja i Manhattan? Zostaniemy królowymi miasta!

Evie zaczęła prezentować swoje plany, zaczynając od wycieczki na zakupy do Bergdorfa, kiedy w holu pojawiła się oszałamiająca dziewczyna. Była ubrana w męską piżamę pod męskim jedwabnym szlafrokiem, a kruczoczarne włosy miała obcięte na chłopczycę w stylu Louise Brooks. Pod ciemnymi

oczami wciąż widniały ślady tuszu do rzęs i kredki do oczu. Na szyję zsunęła jedwabną maseczkę do spania.

- Kto to? - wyszeptała Evie.

- To Theta Knight. Jedna z tancerek Ziegfelda.

- A niech to. Twoja znajoma? Mabel pokręciła głową.

- Ona mnie przeraża. Nigdy nie zebrałam się na odwagę, by powiedzieć coś więcej niż „dzień dobry” i „ładny dzisiaj dzień”. Mieszka tu z bratem. - Mabel uśmiechnęła się znacząco. - Cóż, w każdym razie twierdzi, że to brat. Wcale nie są do siebie podobni.

- Z kochankiem? - wyszeptała podekscytowana Evie. Mabel wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć?

- Przyniesiono je dla pani, panno Knight.

Odźwierny trzymał ponad tuzin długich czerwonych róż. Theta stłumiła ziewnięcie i rozerwała kopertę z kartą.

- „Róża dla róży. Z wyrazami najgłębszej sympatii, Clarence M. Potts”. Ech, bracie! - Theta wepchnęła mu kwiaty z powrotem. - Daj je swojej dziewczynie, Eddie. Ale najpierw wyrzuć kartę, bo inaczej wpakujesz się w tarapaty.

- Nie możesz wyrzucić tych róż. Są takie piękne! - wyrwało się Evie.

Theta spojrzała na nią.

- Te łodygi? Są od straszego pana Potts'a. Ma czterdzieści osiem lat i cztery małżeństwa za sobą. Ja mam siedemnaście lat i nie mam zamiaru dać się zaprowadzić do ołtarza, żeby zostać żoną numer pięć. Znam wiele tancerek rewiowych, które szukają bogatego męża, ale nie ja, siostró. Ja mam swoje plany. - Skinęła Mabel głową. - Hej. Madge, tak?

- Mabel. Mabel Rose.

- Miło cię poznać, Mabel. - Theta spojrzała wilgotnymi oczyma na Evie. - A ty jesteś?

- Evangeline O'Neill. Ale wszyscy mówią mi Evie.

- Theta Knight. Możesz mi mówić jak chcesz, byle nie przed południem. - Wyjęła papierosa z kieszeni szlafroka i zaczęła, aż odźwierny go przypali. - Dzięki, Eddie.

- Evie zatrzymała się u wuja, pana Fitzgeralda - wyjaśniła Mabel. - Pochodzi z Ohio.

- Tak mi przykro - powiedziała Theta ze śmiertelną powagą.

- Ty to powiedziałaś... i to jak! Pochodzisz z Nowego Jorku? Theta uniosła cieniutką brew.

- W Nowym Jorku wszyscy pochodzą skądinąd.

Evie uznała, że lubi Thetę. Trudno było się nie poddać jej urokowi. W Ohio nie znała żadnej kobiety, która kierowała własnym życiem, nosiła jedwabną męską piżamę, wychodziła w niej do holu budynku publicznego i wyrzucała tuzin róż jak kawę z automatu.

- Naprawdę jesteś tancerką u Ziegfelda?

- Winna.

- To musi być strasznie ekscytujące.

- Zapewnia mi utrzymanie - odparła Theta, wypuszczając dym. - Powinnyście kiedyś przyjść na występ.

Evie aż zadrżała na tę myśl. Rewia Ziegfelda!

- Z przyjemnością.

- Świetnie. Podaj datę, a ja zostawię dla was obu bilety. Cóż, chętnie bym tu została i pogadała, ale jeśli mam być później w formie, muszę się wyspać. Miło cię było poznać, Evil (Zło (przyp. tłum)).

- Evie.

- Już nie! - zawołała Theta przez ramię i zniknęła w windzie.

- Nie mogę uwierzyć, że tu naprawdę jesteś - powiedziała Mabel. Siedziała z Evie w podupadłej sali jadalnej

Benningtona nad kanapkami klubowymi i coca - colą. - Co takiego zrobiłaś, że tak szybko wywalili cię z Ohio?

Evie bawiła się lodem w szklance.

- Pamiętasz sztuczkę, o której wspominałam ci kilka miesięcy temu? Cóż...

Evie opowiedziała Mabel historię sygnetu Harolda Brodiego.

- A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja mam rację, a on udaje teraz pokrzywdzonego, ten hipokryta!

- Ojej - powiedziała Mabel.

Evie uważnie wpatrzyła się w twarz przyjaciółki.

- Och, Mablesie. Wierzysz mi, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- I nie uważasz mnie za jakąś tanią kuglarkę?

- Nigdy. - Mabel z namysłem obracała szklankę. - Ale zastanawiam się, dlaczego nagle stałaś się do tego zdolna. Nie upadłaś i nie uderzyłaś się w głowę czy coś w tym rodzaju, prawda?

- Dziękuję ci bardzo. - Evie uniosła brew.

- Nic takiego nie miałam na myśli! Po prostu zastanawiam się, czy nie ma to przyczyn medycznych. Naukowych - dodała pośpiesznie Mabel. - Opowiedziałaś o tym wujowi?

Evie pokręciła głową.

- Nie mam zamiaru robić zamieszania. Z wujaszkiem wszystko układa się na medal i wolę, żeby tak pozostało.

Mabel zagryzła wargi.

- Poznałaś Jericho?

- Owszem. - Evie dopiła colę.

- Co o nim sądzisz? - Mabel się nachyliła.

- Bardzo... porządny. Mabel pisnęła cicho.

- Czyż nie jest piękny?

Evie pomyślała o mężczyźnie, którego niedawno poznała - cichym, poważnym, trzeźwym Jericho. Nie było w nim nic choć odrobinę uwodzicielskiego.

- Dla ciebie jest i to się liczy. To co zrobiłaś z tą sytuacją?
- Cóż... w poprzedni piątek, kiedy oboje staliśmy przy skrzynkach na listy? - Tak? - Evie znacząco uniosła brwi.

- Stałam bardzo blisko niego...

- No, no.

- I powiedziałam, tak od niechcienia: „Ładny dzisiaj dzień, prawda?”.

- I?

- I tyle. Cóż, on odpowiedział, że tak. Czyli oboje zgodziliśmy się co do pogody.

Evie opadła na ławę.

- Rany. To jak impreza bez konfetti. Dziewczyno, potrzebny nam plan. Romantyczna napaść o epickim charakterze.

Wstrząśniemy murami Jericho. Nie będzie nawet wiedział, co go trafiło.

Mabel nadstawiła uszu.

- Świetnie! To jaki jest plan? Evie wzruszyła ramionami.

- A żebym to ja wiedziała. Ale jest nam bez wątpienia potrzebny.

- Och - westchnęła Mabel.

- Och, kochanie. Nie przejmuj się. Coś wymyślę. A na razie pójdziemy na zakupy, zobaczymy występ Thety w rewii... założę się, że zna wszystkie modne lokale, i będziemy tańczyć charlestona do upadłego. Będziemy się bawić, dzieciaku! To mają być najbardziej ekscytujące cztery miesiące w naszym życiu. A jeśli dobrze rozegram karty, zostanę tutaj. - Evie zatańczyła na siedzeniu. - To gdzie są dziś wieczorem twoi staruszkowie?

Mabel się zarumieniła.

- Och. W śródmieściu jest wiec dla poparcia apelacji w sprawie Sacca i Vanzettiego. Matka i ojciec reprezentują „The Proletariat” - powiedziała, przypominając Evie nazwę socjalistycznego pisma, które prowadzili i rozprowadzali rodzice Mabel. - Poszłabym tam, ale, no wiesz, musiałam się z tobą zobaczyć!

- Cóż, pewnie spotkam się z nimi jutro. Mabel spochmurniała i potrząsnęła głową.

- Matka będzie rozmawiać z przedstawicielkami związku zawodowego szwaczek. A ojciec musi się zajmować gazetą. Robią tak wiele dla tak wielu.

Listy przyjaciółki były pełne informacji na temat wysiłków podejmowanych przez jej rodziców w mieście. Wyraźnie była z nich dumna. A jednocześnie ich walka sprawiała, że nie pozostawało im wiele czasu dla córki.

Evie poklepała Mabel po dłoni.

- I dobrze. Rodzice wchodzą w drogę. Moja matka zrobiła się nieznośna od czasu, kiedy zachorowała. Mabel zrobiła przerażoną minę. - Ojej. Co jej dolega? Na wargach Evie pojawił się uśmiech.

- Wstrzemięźliwość. Skrajna.

Ich śmiech przerwało przybycie dwóch starszych pań.

- Panno Rose, młode damy nie powinny się tak zachowywać w miejscach publicznych. Takie wybryki są stanowczo niestosowne.

- Tak, panno Proctor - odpowiedziała pokornie Mabel.

Evie zrobiła minę, którą tylko jej przyjaciółka mogła zobaczyć, i Mabel musiała zagryźć wargę, żeby znów się nie roześmiać.

- Panno Lillian, panno Adelaide, pozwólcie, że przedstawię pannę Evie O'Neill. Panna O'Neill zatrzymała się na pewien czas u swego wuja, pana Fitzgeralda.

Pod stołem Mabel ostrzegawczo nadepnęła na stopę Evie. Panna Lillian uśmiechnęła się.

- Och, jak cudownie. I cóż za urocza twarz. Czy ona nie ma uroczej twarzy, Addie?

- Zaiste, urocza.

Długie siwe włosy panien Proctor opadały w lokach jak u uczennic z przełomu wieków. Wywoływało to dziwne wrażenie, jakby porcelanowe laleczki postarzały się i pomarszczyły.

- Witamy w Benningtonie. To wspaniała stara budowla. Swego czasu uważano go za najlepszy adres w mieście - mówiła dalej panna Lillian.

- Jest pierwsza klasa. To znaczy cudowny. Cudowne miejsce.

- Tak. Czasami w nocy słyhać dziwne dźwięki. Ale nie bój się. To miasto ma swoje duchy.

- Są we wszystkich najlepszych lokalach - powiedziała Evie z udawaną powagą.

Mabel zakrztusiła się coca - colą, ale panna Lillian nie zwróciła na to uwagi.

- W osiemnastym stuleciu te okolice były domem cierpiących na gorączkę. Te biedne, cierpiące dusze jęczące z bólu w namiotach, żółte na twarzy i krwawiące, a ich wymioty miały barwę najczarniejszej nocy!

Evie odsunęła kanapkę.

- Jakże to ohydnie fascynujące. Właśnie mówiłam Mabel... pannie Rose... że za mało rozmawiamy o czarnych wymiotach.

Pod stołem Mabel prawie przygwoździła stopę Evie do podłogi.

- Po czasach gorączki grzebano tu biedaków i chorych umysłowo - mówiła dalej panna Lillian, jakby nic nie słyszała.

- Oczywiście, przed wybudowaniem Benningtona zostali

ekshumowani, a w każdym razie tak mówiono. Choć, gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, nie wierzę, by udało im się odnaleźć wszystkie trupy.

- Trupy są takie kłopotliwe - zauważyła Evie z cichym westchnieniem, a Mabel musiała odwrócić głowę, żeby się nie roześmiać.

- W rzeczy samej. - Panna Lillian zacmokała. - Powiadają, że kiedy w roku 1872 wybudowano Benningtona, architekt, który pochodził z rodu wiedźm, zaprojektował budynek zgodnie z zasadami okultyzmu, by stanowił swego rodzaju magnes dla zjawisk nadnaturalnych. Jak więc już mówiłam, nie zwracaj uwagi na dziwne odgłosy czy widoki, jakie możesz napotkać. To tylko Bennington, kochanie.

Panna Lillian spróbowała się uśmiechnąć. Na zębach miała ślad czerwonej pomadki, jak plamę krwi. Stojąca obok niej panna Addie uśmiechała się i kiwała głową, jakby witała niewidzialnych gości.

- Proszę o wybaczenie, ale musimy odejść - stwierdziła panna Lillian. - Wkrótce spodziewamy się gości i musimy się przygotować. Będziesz tak miła i odwiedzisz nas pewnego wieczoru, prawda?

- Jakże mogłabym tego nie zrobić?

Panna Addie nagle odwróciła się do Evie, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. Miała ponurą minę.

- Nie jesteś jedną z nich, prawda?

- Panna O'Neill jest siostrzenicą pana Fitzgeralda - wtrąciła Mabel.

- Nie. Jedną z nich - powiedziała panna Addie ponaglającym szeptem, od którego Evie przeszedł dreszcz.

- Addie, spokojnie, pozwól tym dziewczętom pójść na kolację. My mamy co robić. Adieu!

Ledwie siostry Proctor zdążyły opuścić salę jadalną, a Mabel zgięła się wpół w ataku śmiechu.

- „Po gorączce byli biedacy” - powiedziała, nie przestając się śmiać.

- Jak myślisz, o co jej chodziło, kiedy spytała: „Czy jesteś jedną z nich?”. Czy mówi to każdemu, kogo poznaje? - spytała Evie. Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać niepokoju, który czuła.

Mabel wzruszyła ramionami.

- Panna Addie czasem spaceruje korytarzami w koszuli nocnej. Ojciec kilka razy musiał ją odprowadzać do jej mieszkania. - Mabel postukała palcem w skroń. - Nie wszystko po kolei. Pewnie miała na myśli, że jesteś jedną z tych chłopczy i jej się to nie podoba - zażartowała, grożąc palcem jak surowa belferka. - To naprawdę będą najlepsze dni naszego życia, prawda? - powiedziała z takim entuzjazmem, że Evie zapomniała o niepokojącym pytaniu panny Addie.

- Ab - so - lut - nie! - powiedziała Evie, unosząc szklankę.
- Za Benningtona i jego duchy!

- Za nas! - dodała Mabel. Stuknęły się szklankami za przyszłość.

Dziewczęta spędziły popołudnie, dzieląc się najnowszymi wiadomościami, a kiedy Evie wróciła do mieszkania wuja Willa, była prawie siódma i obaj mężczyźni dotarli już do domu. Mieszkanie było większe niż pamiętała i zadziwiająco przytulne jak na apartament należący do kawalera. Wielkie wykuszowe okno wychodziło na zielony Central Park. Sofa i dwa krzesła otaczały duży radiodbiornik. Evie aż westchnęła z ulgą. Niewielki, porządnie utrzymany aneks kuchenny robił wrażenie, jakby rzadko z niego korzystano. W łazience znajdowała się wanna idealna do wylegiwania się w kąpiel, lecz brakowało najbardziej podstawowych luksusów. Evie postanowiła szybko to naprawić. Do tego trzy sypialnie i gabinet. Jericho zaprowadzi' ją do wąskiego pokoju

wyposażonego w łóżko, biurko i szafę na ubrania. Łóżko skrzypiało, ale było wygodne.

- Prowadzą na dach - powiedział Jericho, wskazując na schody przeciwpożarowe za jej oknem. - Stamtąd możesz zobaczyć całe miasto.

- Och - wykrztusiła Evie. - Byczo.

Zamierzała zrobić coś więcej niż tylko oglądać miasto z dachu. Postanowiła znaleźć się w jego sercu. Jej skrzynia dotarła do celu i Evie zaczęła się rozpakowywać, zapełniając puste szuflady i wieszaki wzorzystymi pończochami, kapeluszami, rękawiczkami, sukienkami i płaszczami. Długie sznury pereł zawiesiła na słupkach łóżka. Jedynym, czego nie odłożyła, był prezent od Jamesa - wisiołek z monety. Później usiadła z Jericho i wujem Willem w salonie. Mężczyźni spożywali kolację w postaci kanapek zapakowanych w pergamin, które kupili w pobliskich delikatesach.

- Jak to się stało, że zostałeś zatrudniony przez wuja? - Evie zwróciła się do Jericho z teatralną powagą.

Młodszy mężczyzna spojrzał na wuja Willa, który żuł kanapkę. Żaden się nie odezwał.

- Cóż. To pewnie tajemnica - mówiła dalej Evie. - Gdzie jest Agata Christie, kiedy jest potrzebna? Będę musiała wymyślić historyjki na wasz temat. Ty, Jericho, jesteś księciem, który utracił swoje księstwo, a wujaszek ukrywa cię przed wrogimi siłami w twoim ojczystym kraju, które z chęcią pozbawiłyby cię głowy.

- Twój wuj był moim opiekunem prawnym do czasu, kiedy ukończyłem osiemnaście lat. Teraz pracuję dla niego jako zastępca kustosza.

Mężczyźni dalej jedli kanapki, nie zaspokajając ciekawości Evie.

- W porządku. Jak wujaszek...? - Musisz mnie tak nazywać? Evie rozważyła to pytanie.

- Sądzę, że muszę. Jak wujaszek został twoim opiekunem? - Jericho był sierotą i przebywał w szpitalu dziecięcym.

- Och, tak mi przykro. Ale jak...

- Sądzę, że dostałaś już odpowiedź na pytanie - stwierdził wuj Will. - Jeśli Jericho zechce powiedzieć ci coś więcej, zrobi to na swoich warunkach i w swoim czasie.

Evie miała ochotę skomentować to złośliwie, ale była gościem, więc zmieniła temat.

- Czy w muzeum zawsze jest tak pusto?

- Co masz na myśli? - spytał wuj Will.

- Pusto w sensie nieobecności istot ludzkich.

- Ostatnio ruch trochę się zmniejszył.

- Zmniejszył się? Jest jak w kostnicy! Potrzebujecie gości albo zbankrutujecie. Przydałoby się trochę reklamy.

Will spojrział na Evie z dziwną miną.

- Reklamy?

- Tak. Z pewnością o niej słyszałeś. To taki świetny nowoczesny wynalazek. Sprawia, że ludzie dowiadują się o czymś, czego potrzebują. O płatkach mydlanych, pomadkach, radioodbiornikach... albo twoim muzeum. Moglibyśmy zacząć od chwytliwego sloganu, na przykład: „Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy tajemnej - poczuj prawdziwego ducha!”.

- To, co mamy, wystarczy - powiedział Will, jakby to kończyło dyskusję.

Evie zagwizdała.

- Widziałam coś zupełnie innego. Czy to prawda, że miasto chce odzyskać budynek za zaległe podatki?

Will zmrużył oczy nad opadającymi okularami.

- Kto ci to powiedział?

- Taksjarsz. Stwierdził też, że jesteś obdżektorem i pewnie bolszewikiem. Mnie to nie obchodzi. Pomyślałam po prostu,

że mogłabym ci pomóc odpicować to miejsce. Ściągnąć ludzi. Zarobić kasę.

Jericho spoglądał to na Willa, to na Evie. Odchrząknął.

- Mógłbym włączyć radio?

- Proszę bardzo - odpowiedział Will. Rozległ się głos spikera:

- A teraz orkiestra Paula Whitemana zagra Wang Wang Blues. Orkiestra zagrała swingującą melodię i Evie zaczęła nucić.

MIASTO MARZEŃ

Dziewczyna była wyczerpana i zła. Przez siedemdziesiąt osiem godzin ona i jej chłopiec, Jacek, męczyli się w tanecznym maratonie z nadzieją na zdobycie głównej nagrody, ale Jacek w końcu usnął i prawie ją przewrócił. Mistrz ceremonii poklepał ich po ramionach, co oznaczało koniec konkursu, a wraz z tym i ich marzeń.

- Musiałeś sobie usnąć, ty kartoflu!

Uderzyła go w ramię, gdy opuścili konkurs, a on zatoczył się, z trudem zachowując przytomność.

- Ja? Ze cztery razy cię podtrzymałem. A ty ciągle deptałaś mi buty tymi swoimi kajakami.

- Kajakami? - W oczach miała łzy. Zamachnęła się na niego i aż zachwiała z wysiłku.

- Chodź, Ruta. Nie bądź taka. Wracajmy do domu.

- Nigdzie z tobą nie idę. Jesteś głupkiem.

- Wcale tak nie myślisz. Chodź. Usiądź ze mną na tym schodku. Zaczekamy do rana i pojedziemy kolejką.

Wyczerpanie, z którym walczyła tak długo, w końcu ją dopadło.

- Nie wracam, wszyscy będą się z nas śmiać i mówić, że nie jestem nikim wyjątkowym i nigdy nie zostanę! - wyłkała.

Ale Jacek nie słyszał. Już usnął na schodach noclegowni.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz tu zamieszkać! - wykrzyknęła. Tory kolejki nadziemnej tworzyły klatkę nad głową Ruty, kiedy szła na południe Bowery, szukając takich schodów prowadzących na górę, na których nie leżeli próżniacy. Z każdym krokiem czuła rozczarowanie, że musi wrócić z pustymi rękami na Greenpoint, gdzie jej rodzina mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu w popadającym w ruinę budynku przy ulicy, gdzie niemal wszyscy mówili po polsku, a starsi mężczyźni palili papierosy przed sklepowymi witrynami obwieszonymi grubymi pętami kielbasy. To był zupełnie inny świat niż jasne światła Manhattanu. Spojrzała w stronę odległego, zamglonego blasku Park Avenue, gdzie mieszkali bogacze. Ona chciała mieć w tym swój udział. Miała już dość codziennego odbierania telefonu w podrzędnej kancelarii prawnej, gdzie zarabiała tyle, że ledwie wystarczało jej na kino. Ruta miała zaledwie dziewiętnaście lat i tym, co znała w życiu najlepiej, był brak - ciągła tęsknota za lepszym życiem, które widziała wszędzie dookoła.

Ruta Badowski. Ruta. Nie cierpiała tego imienia. Było takie polskie, nadali je rodzice, ale ona sama urodziła się tutaj, na Brooklynie, w Nowym Jorku, w Stanach Zjednoczonych. Zmieni je na coś o bardziej amerykańskim brzmieniu, na przykład, Ruthie albo Ruby. Ruby brzmiało dobrze. Ruby... Bates. Jutro Ruta Badowski rzuci pracę telefonistki, a Ruby Bates pojedzie autobusem do teatru pana Ziegfelda i weźmie udział w przesłuchaniu na tancerkę. Pewnego dnia jej nazwisko pojawi się w blasku reflektorów, a Jacek i cała reszta będą mogli gapić się na nią z najtańszych miejsc i w ogóle się wypchać.

- Dobry wieczór.

Ruta wzdrygnęła się, ten głos ją zaskoczył. Zmrużyła oczy.

- Kto tam? Lepiej spadaj. Mój brat jest gliniarzem.

- Zawsze z wielkim szacunkiem traktowałem prawo. -
Nieznajomy wyszedł z cienia.

To musiało być złudzenie, ponieważ mężczyzna wydawał się niemal duchem. Jego ubranie było dziwne, staromodne - tweedowy garnitur, choć było ciepło, w komplecie z kamizelką, a do tego melonik. Nosił laseczkę zwieńczoną srebrną gałką w kształcie wilczego łba. Wilk warczał, a jego oczy były czerwone jak rubiny. Ruby - ha! Zadrżała, choć nie wiedziała dlaczego. Przyszło jej na myśl, że nie jest w bezpiecznym miejscu. Maratony taneczne zazwyczaj organizowano w gorszych dzielnicach, gdzie nie wzbudzały zbyt wielkiego zainteresowania władz miasta.

- Młoda dama nie powinna spacerować samotnie po takiej paskudnej okolicy - powiedział nieznajomy, jakby czytał jej w myślach. Wyciągnął rękę. - Czy mogę pomóc?

Ruby Bates znajdowała się w drodze do sławy, ale Ruta Badowski dorastała na ulicy.

- Dziękuję panu bardzo, ale nie potrzebuję pomocy - powiedziała.

Kiedy odwróciła się, żeby odejść, wykręciła kostkę i skrzywiła się z bólu.

Głos nieznajomego był głęboki i uspokajający:

- Wraz z siostrą prowadzimy w pobliżu pewien przybytek, bardzo porządny pensjonat z jadalnią. Może chciałabyś tam poczekać? Mamy telefon, gdybyś chciała zadzwonić do rodziny. Moja siostra, Bryda, pewnie zrobiła już pączki i zaparzyła kawę.

- Pączki? - powtórzyła Ruta. - Jest pan Polakiem? Nieznajomy uśmiechnął się.

- Wszyscy jesteśmy marzycielami, próbującymi znaleźć swoją drogę w tym niezwykłym kraju, czyż nie, panno...?

- Ruta... Ruby. Ruby Bates.

- Miło mi panią poznać, panno Bates. Nazywam się Hobbes. - Uchylił kapelusza. - Ale przyjaciele mówią mi John.

- Dziękuję, panie Hobbes - odpowiedziała Ruta. Zakołysała się lekko z wyczerpania.

- Mam sole trzeźwiące, które mogą ci pomóc.

Mężczyzna nasaczył chusteczkę i wyciągnął ją. Ruta odetchnęła. Zapach był ostry, aż zaswędziało ją w nosie. Ale rzeczywiście poczuła przyływ energii. Nieznajomy znów wyciągnął rękę, a ona tym razem ją przyjęła. Wydawał się potężnym mężczyzną, ale jego ręka ukryta pod grubą tkaniną była cienka jak zapalka. Coś w tym ramieniu sprawiło, że Rucie zrobiło się zimno, i szybko cofnęła rękę.

- Już mi lepiej. Sole pomogły. Ale trzymam za słowo z tą kawą, Joe.

Uklonił się jej lekko.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy szli, laseczka mężczyzny wystukiwała rytm na kamieniach bruku. Nucił melodię, której nie rozpoznawała.

- Co to za piosenka? Nie słyszałam jej w radio.

- Pewnie nie - odpowiedział nieznajomy.

Lewą ręką wskazał na zrujnowaną Bowery, liczne kościelne przytułki i noclegownie, podłe hoteliki i salony tatuażu, sklepy z zaopatrzeniem dla hoteli i warsztaty produkujące tandetę.

- „Upadł, upadł wielki Babilon”.

Wskazał na miejsce, gdzie dwóch pijaków spało na schodach noclegowni.

- To straszne. Ktoś powinien pozbyć się tej hołoty, zatrzymać ich na granicach. Oni nie są tacy jak ja i ty, panno Bates. Czyści. Porządni obywatele. Pełni ambicji. Wspomagający rozwój tego świetlistego miasta na wzgórzu.

Ruta nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale teraz pokiwała głową. Spojrzała na tych ludzi z nowym obrzydzeniem. Różnili się od jej rodziny. Byli obcy.

- Nie tacy jak my. - Nieznajomy potrząsnął głową. - Kiedyś Bowery była domem najwspanialszych restauracji i teatrów. Bowery Theatre, ten wielki amerykański teatr, policzek dla elitarnych europejskich teatrów. Po jego deskach chodził wielki aktor J.B. Booth, ojciec Johna Wilkesa Bootha. Czy jesteś wielbicielek sztuki, panno Bates?

- Ano. To znaczy tak. Jestem. Jestem aktorką.

Z jakiegoś powodu Rucie kręciło się w głowie. Ulice emanowały uroczym blaskiem.

- Ależ oczywiście! Taka śliczna dziewczyna jak ty! Jest w tobie coś wyjątkowego, prawda, panno Bates? Widzę, że masz ważne przeznaczenie do wypełnienia, w rzeczy samej. „A niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perły...”.

Nieznajomy uśmiechnął się. Mimo później godziny, dziwacznych okoliczności i bólu nóg, Ruta również się uśmiechnęła. Nieznajomy - nie, wcale nie był nieznajomym, prawda? Był panem Hobbesem. Cóż to za miły człowiek. I jaki elegancki - z klasą. Pan Hobbes uważał, że jest niezwykła. Widział to, czego nie widzieli inni. To było coś, co jej babcia nazwałaby "wróżbą". Chciała rozplakać się z wdzięczności.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- „A na jej czole wypisane imię - tajemnica” - powiedział nieznajomy, a jego twarz rozświetlił dziwny ogień.

- Jest pan kaznodzieją albo coś w tym rodzaju?

- Bez wątpienia chcesz zadzwonić do rodziny - odpowiedział pan Hobbes. - Z pewnością będą się martwić?

Ruta pomyślała o ciasnym mieszkaniu na Greenpoincie i próbowała się nie roześmiać. Ojciec leżał bezsennie obok matki, kaszląc z powodu wilgoci, papierosów i fabrycznego

pyłu w płucach. Czwórka braci i sióstr chrapała ściśnięta w sąsiednim pokoju. Nikt za nią nie tęsknił. A jej nie śpieszyło się z powrotem.

- Nie chciałabym ich obudzić - powiedziała, a wtedy pan Hobbes się uśmiechnął.

Przeszli przez oszalałą liczbę bocznych uliczek, aż Ruta zupełnie się zgubiła. Most Manhattański wznosił się w pewnej odległości niczym brama do podziemnego świata. Mżyło.

- Zaraz, zaraz, panie Hobbes, czy to jeszcze daleko?

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Oto i twój rydwan - powiedział, a Ruta ujrzała podniszczony wóz, staromodny w stylu, ciągnięty przez starą szkapę.

- Mówił pan, że to blisko.

- Ale jesteś zmęczona. Ten ostatni odcinek przejedziemy. Ruta wspięła się do powozu, a jego łagodne kołysanie i stukot końskich kopyt ukołysały ją do snu. Kiedy stary wóz zatrzymał się, ujrzała ruiny wielkiej posiadłości na wzgórzu, otoczone zachwaszczonymi pustymi działkami. Ruta się cofnęła.

- Chyba mówił pan, że ma pensjonat. Tu są tylko ruiny.

- Moja droga, oczy cię zawodzą. Spójrzj znowu - wyszeptał pan Hobbes.

Machnął ręką i tym razem ujrzała uroczy rząd szeregowców, ciepłych i przytulnych, a na jego końcu piękną rezydencję podobną do tych, w których mieszkali milionerzy, ludzie o nazwiskach w rodzaju Carnegie czy Rockefeller. Ten pan Hobbes sam mógł być milionerem! Mżawka przeszła w deszcz. Aksamitne pantofle obszywane koralikami, z kryształowymi klamerkami - jej najcenniejsza rzecz, na którą wydała całą tygodniówkę - zniszczyłyby się, więc podążyła za mężczyzną na drugą stronę ulicy, żeby się schować. Przestraszył ją czarny kot, który przebiegł jej przez drogę.

Zaśmiała się nerwowo. Robiła się równie przesądna jak ciotka Pela, która wszędzie widziała złe omeny. Drzwi zatrzasnęły się ze skrzypieniem za jej plecami i Ruta aż podskoczyła. Mężczyzna uśmiechnął się pod gęstym wąsem, ale uśmiech nie dodał ciepła jego przenikliwym niebieskim oczom. Ta myśl pojawiła się na chwilę w jej głowie, ale uznała ją za głupią. Nie stała już na deszczu i za chwilę będzie mogła dać odpocząć umęczonym nogom.

Jednakże wewnątrz dziwnie śmierdziało. Wilgocią, zgnilizną i czymś jeszcze, czego nie umiała nazwać, ale od czego robiło jej się niedobrze. Uniosła rękę do nosa.

- Niestety, gdzieś wśród murów zaginął nieszczęsny kot. Obawiam się, że jego woń wciąż się tu utrzymuje - powiedział pan Hobbes. - Ale ty jesteś zmarznięta i zmęczona. Usiądź. Rozpalę ogień.

Ruta podążyła za mężczyzną do innego pokoju. Mrużąc oczy w ciemności, zauważyła zarys kominka. Zatoczyła się i wyciągnęła rękę, żeby odzyskać równowagę. Ściana wydawała się wilgotna i lepka. Ruta gwałtownie cofnęła dłoń i z drżeniem wytarła ją o sukienkę.

Pan Hobbes stanął przed zimnym, poczerniałym kominkiem i zaraz pojawił się huczący ogień. Ruta próbowała zrozumieć płomienie, które nagle polizały komin. Nie, powiedziała sobie, przyniósł drewno i zapalił zapalniczkę. Oczywiście, że tak. Nie pamiętała tego, ale z pewnością tak właśnie musiało być. Rany, ten maraton naprawdę zamieszał jej w głowie.

- S - sądzę, że powinnam jednak zadzwonić do rodziców. Inaczej będą źli.

- Oczywiście, moja droga. Obudzę siostrę. Ale najpierw obiecywałem kawę.

Nagle w jej dłoni pojawiła się filiżanka.

- Wypij. Zaraz wracam.

Z ukłonem i uniesieniem śmiesznego kapelusza zniknął jej z oczu. Słyszała jednak jego nucenie i uznała, że nie podoba jej się jego piosenka. Z jakiegoś powodu dostawała od niej dreszczy. Kawa była mocna i gorąca. Pozostawiała gorzki posmak, ale wypełniła pusty żołądek i Ruta wypła ją do dna. Mimo to, nie mogła się równać z jej wyczerpaniem. Zamrugła, wpatrując się w ogień. Jej powieki były coraz cięższe...

Ruta gwałtownie uniosła głowę. W ustach miała kredowy posmak. Ogień zgasł. Jak długo spała? Czy zadzwoniła do rodziców? Nie. Gdzie był pan Hobbes? A co z jego siostrą? Po jej bucie przebiegł szczur. Ruta krzyknęła i podskoczyła. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, jakby sam pokój był żywy. Mogłaby przysiąc, że ściany oddychały. Ale to niemożliwe!

- Panie Hobbes?! - zawołała. - Panie Hobbes!

Nie odpowiedział. Gdzie był? Gdzie ona była? Dlaczego z nim poszła? Przecież nie była taka głupia - poszła za nieznanym.

Nie, nie był nieznanym, przypominała sobie. Był panem Hobbesem, życzliwym panem Hobbesem, który uważał, że jest ładna i wyjątkowa. Panem Hobbesem, który mógł być krewnym milionerów. Który mógł być jej biletem do lepszego świata.

To dlaczego z takim trudem oddychała?

Wydawało się, że dom emanuje złem. Tak. Powiedziała to. Zło. To słowo przyszło jej na myśl, kiedy mijała samotną lampę gazową. Jej nierówny płomień podawał w wątpliwość prawdziwą naturę ścian. Miały złocisty odcień, a w następnej chwili Ruta patrzyła na brudną tapetę odklejającą się od tynku. Miejsce oświetlone przez lampę przecinały wydłużone plamy. Przyjrzała się uważnie i zobaczyła brudne odciski palców.

Nie. To nie brud. Krew. Krwawy odcisk dłoni. Cztery. Tylko cztery odciski palców. Piątego brakowało.

Serce Ruty zaczęło bić szybciej, nogi się pod nią ugięły. To był straszliwy błąd. Musiała wyjść. Odwróciła się i z przerażeniem patrzyła, jak resztki iluzji rozpływają się i dom na jej oczach zmienia się w mroczną, gnijącą dziurę, a zgnilizna wspina się po ścianach w jej stronę. Smród uderzył ją jak cios pięścią, aż się zakrztusiła. I jeszcze szczury. Boże, jak ona nie cierpiała szczurów. Ruta krzyknęła cicho i zatoczyła się do przodu, jakby mogła uciec przed ciemnością zbliżającą się do niej. Gdzie są drzwi? Nigdzie ich nie widziała! Jakby dom ukrywał je przed nią. Jakby chciał ją tu zatrzymać.

- „A na jej czole wypisane imię - tajemnica: Wielki Babilon. Macierz nierządnic...”.

Nie widziała nieznajomego, ale słyszała go, pogwizdującego tę swoją przekłętą piosenkę. Musiało być jakieś inne wyjście!

Okno po prawej wydawało się obiecujące, więc popędziła w jego stronę. Przez deski, którymi je zabito, widziała bezdomnego zataczającego się w stronę pustej działki po drugiej stronie ulicy, żeby się odlać.

- Hej! Hej, proszę pana, pomocy! Proszę, niech mi pan pomoże! - krzyknęła.

Zaczęła uderzać dłońmi o drewno. Szarpała nieruchome deski, aż palce zaczęły jej krwawić, a w dłonie wbiły się drzazgi. Na zewnątrz niczego nieświadomy pijak skończył co swoje i odszedł w mrok, a Ruta opadła na brudną podłogę i załkała.

Kiedy miała trzy latka, matka zamknęła ją w skrzyni, żeby właściciel mieszkania nie dowiedział się, że mają kolejne dziecko i nie wyrzucił ich na ulicę. Siedziała tam samotnie, ściśnięta w ciemności, milcząca i absolutnie przerażona.

Wydawało się, że minęło wiele godzin, zanim znów ją wypuścili, i od tego czasu, za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że jest uwięziona, znów czuła się jak przerażone dziecko. Panika sprawiała, że jej umysł stawał się pusty. W desperacji wędrowała po ogromnym domu. Przypominające labirynt korytarze prowadziły ją do zapuszczonych pokoi, drzwi otwierały się, ukazując ceglany mur. Wokół siebie słyszała straszliwe pogwizdywanie mężczyzny. W końcu odnalazła drzwi, których jeszcze nie sprawdziła. Położyła dłoń na gałce. Podłoga zapadła się pod jej stopami i Ruta runęła w dół długim szybem, lądując w paskudnej piwnicy. Kostka ugięła się pod jej ciężarem. Dziewczyna jęknęła z bólu. Próbowwała zrobić krok, ale cierpienie było nie do zniesienia. Znów upadła na zimne i twarde klepisko.

Nad nią zaskrzypiała podłoga. Słyszała odległe pogwizdywanie nieznanego. Jej umysł opuściło wszystko poza myślami o przetrwaniu. Zamrugła w ciemności. Spadła z dużej wysokości - piwnica była głęboka, znajdowała się około sześciu metrów pod poziomem ulicy. Ruta była pewna, że mogłaby krzyczeć cały dzień, a i tak nikt by jej nie usłyszał. Potrzebowała broni. Podciągała się centymetr po centymetrze, macając dłonią w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wykorzystać. W końcu jej dłoń spoczęła na gładkim kiju. Był lekki, ale gdyby z wystarczającą siłą uderzyć nim w gardło lub w oko, mógłby zranić. Mocno przycisnęła go do piersi i czekała. Wysoko nad nią uchylły się drzwi, wpuszczając do środka odrobinę światła. Widziała schody za ścianą, ale w swoim obecnym stanie nie mogła do nich dotrzeć. Kij był jej najlepszą szansą. Być może będzie musiała zrobić coś więcej niż zranić.

Pan Hobbes zamknął drzwi i światło zniknęło. Znów znalazła się w zupełnych ciemnościach, jak w skrzyni. Ruta zmuszała się, by oddychać jak najciszej, choć pragnęła

krzyczeć ze wszystkich sił. Kroki nieznajomego zbliżały się do niej, były ciche, lecz miarowe. Zorientowała się, że już nie ma laski. Jego piosenka odbijała się echem w piwnicy. Tym razem dodał słowa.

- Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma. Poderżnie gardło i kości weźmie, sprzeda za grosze dwa.

Ruta poczuła gulę w gardle. Była zbyt przerażona, by przełknąć. Stare palenisko nagle zapłonęło, wypełniając pomieszczenie pomarańczowym światłem, które rzucało makabryczne cienie.

Dziewczyna schowała się za zniszczoną zasłoną wiszącą na zapomnianym sznurze na pranie i przyglądała się przez tkaninę. Nie widziała pana Hobbesa, ale wciąż go słyszała. - "...Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi. A była to piąta ofiara, jak nakazał Pan". Ruta czuła, że język ciąży jej w ustach. Niepokojące stwory przemykały na krawędzi jej pola widzenia, lecz kiedy odwracała głowę, znikaly. Jej lewa noga zdrętwiała.

- „I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły i morza już nie ma. I Miasto Święte - Jeruzalem Nowe ujrzałem zstępujące z nieba od Boga, przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swojego męża. I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu »Oto przybytek Boga z ludźmi: i zamieszka wraz z nimi i będą oni Jego ludem a on będzie Bogiem z nimi«". Słuchasz, Ruby?

Ruta mocniej ścisnęła kij i nic nie odpowiedziała. Mężczyzna dorzucił coś do paleniska, które rozpałiło się mocniej.

- „I rzekł Zasiadający na tronie: »Oto czynię wszystko nowe. Jam Alfa i Omega, Początek i Koniec. Ja pragnącemu dam darmo pić ze źródła wody życia. Zwycięzca to odziedziczy i będzie Bogiem dla niego, a on dla mnie będzie synem«".

Mówiąc te słowa, mężczyzna chodził dookoła pomieszczenia.

- „A dla niewiernych, obmierzłych, rozpustników i bałwochwalców: udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. Albowiem tylko wybrani wzniosą się z Bestią. A świat w popiół się obróci”.

Znajdował się po drugiej stronie pomieszczenia, o czym świadczył jego głos. Rucie zrobiło się ciemno przed oczami, było jej niedobrze. Z przerażeniem zorientowała się, że nie może poruszyć nogami. Co się z nią działo? Przypomniała sobie nasączoną chusteczkę i kawę, którą wypila, i jej serce zaczęło bić szybciej. Co w nich było? Znów spojrzała na kij w rękę i zorientowała się, że to kość. Krzyknęła i odrzuciła go z obrzydzeniem. Zasłona się cofnęła. Pan Hobbes wznosił się nad nią jak ognisty bóg.

- Niech cię nie zraża mój wygląd, moja droga. Dopiero zaczynam się objawiać.

Jego ramiona i szyję pokrywały dziwne tatuaże, symbole, których nie rozumiała. Znaki falowały i wznosiły się. Jego ciało poruszało się, jakby coś prześlizgiwało się tuż pod skórą. Strach Ruty znajdował ujście jedynie w jej ojczystym języku i tak oto zaczęła szeptać modlitwy po polsku.

Mężczyzna się skrzywił.

- Modlitwy? Sądziłem, że jesteś nowoczesną dziewczyną w nowoczesnych czasach.

Z blaskiem paleniska za plecami nieznajomy był mrocznym demonem.

Odrętwienie dotarło do jej rąk. Ruta zaczęła się trząść.

- P - proszę. Proszę. N - nikomu n - nie p - powiem.

- Ależ powiesz. - Nieznajomy pociągnął Rutę za bezwładną rękę. - Mówiłem ci, że masz ważne przeznaczenie do wypełnienia i tak jest. Ty, Ruby Bates, jesteś początkiem końca. Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma...

Kiedy dotarł do ściany tuż za paleniskiem, przeciągnął po niej bladymi palcami. Ukryte drzwi otworzyły się, ukazując kolejne pomieszczenie.

- Nie, nie, nie - wyszeptała Ruta po polsku, jakby mogła zmusić drzwi do zamknięcia się.

- „Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i Otchłani”.

Uśmiechnął się do niej, a w jego oczach widziała ogień i niekończącą się wirującą czerń. Puściły jej zwieracze.

- Znow zaczyna się rytuał - powiedział nieznajomy. Wciągnął Rutę do ukrytego pomieszczenia, a ona mogła tylko krzyczeć.

NIEZNAJOMY PRZECHODZIEN

- Słynny nowojorski klub Hotsy Totsy przedstawia: Count Carruthers i jego orkiestra oraz śliczne Hotsy Totsy Girls!

Zza kulis Memphis Campbell patrzył, jak skąpo odziane tancerzki rozpoczynają szybki taniec. Tego wieczoru klub szalał. Trąbka Gabe'a zawodziła, a palce Counta waliły we wszystkie osiemdziesiąt osiem klawiszy pianina. Gabe zagrał fragment słynnej pieśni patriotycznej America the Beautiful, zmieniając ją na krótko w pieśń żalobną i pozwalając, by jego trąbka osunęła się w otchłań rozpacz, zanim znów podchwycił rytm. Biały na widowni nic nie zauważyły, ale na twarzach czarnych widzów pojawił się uśmiech.

Gabe zagrał ostatnią przeszywającą nutę. Widownia zaczęła klaskać, gdy tancerki ukloniły się i rozkołysanym krokiem zeszły ze sceny. Kształtna dziewczyna imieniem Jo pogłaskała Memphisa po policzku, kiedy przechodziła obok.

- Hej, Memphis. - Hej, ty.

Kumpela Memphisa imieniem Alma przewróciła oczami, poprawiając górę kostiumu.

- Ty tu dla kasy czy dla rozrywki, Memphis?

- I to, i to, mam nadzieję.

Jo zachichotała i połaskotała go czubkami palców po ramieniu. Memphis przywołał swój uśmiech.

- Nieznajomy przechodniu! - powiedział, unosząc dłoń do serca. - Czy wiesz, z jaką tęsknotą spoglądam na ciebie. Jesteś tym, którego szukałem, lub tą której szukałem (przypominam to sobie jak przez sen), Gdzieś na pewno żyłem szczęśliwie z tobą... (Walt Whitman, Kim ostatecznie jestem, tłum. Krzysztof Boczkowski, interesse, s. 93.)

- Ty żeś to napisał, kochanie? - wymruczała Jo.

Memphis potrząsnął głową.

- Walt Whitman. „Do nieznajomego”. Czytałaś jego wiersze?

- Nie czyta nic poza ploteczkami w gazetach - powiedziała

Alma. Jo posłała jej mordercze spojrzenie.

- Dużo tracisz - powiedział Memphis, kierując całą moc uśmiechu na Jo.

- Ten chłopak mieszka w bibliotece przy Sto Trzydziestej Piątej Ulicy. Chce być kolejnym Langstonem Hughesem - ogłosiła Alma.

- To prawda? - spytała Jo.

- Mógłbym ci kiedyś poczytać wiersze.

- Może w niedzielę? - zaproponowała tancerka. Oblizwała wargi.

- Niedziela to mój szczęśliwy dzień.

Alma przewróciła oczami i pociągnęła Jo za sobą.

- Dalej, dziewczęta. Nie mamy czasu na głupoty. Musimy się przebrać do numeru z księżycem.

- Pa, kochanie.

Jo posłała Memphisowi buziaka, a on udał, że go łapie.

- Memphis! - ryknął inspicjent, trzymając w zębach cygaro. - Nie płacę ci, żebyś bawił się z dziewczynami. Papa Charles chce cię zobaczyć. Rusz się.

W wąskim korytarzu Memphis minął Gabe'a i Counta, którzy kierowali się z powrotem na scenę.

- Hej, szefie - powiedział Gabe, chwytając Memphisa za rękę. - Idziemy na tę imprezę w sobotę? Mnóstwo niezłych lasek i whiskey.

- Czyja whiskey? Nie chcę dostać jakiegoś rozpuszczalnika od nie wiadomo kogo i trafić z tobą do kostnicy.

Wszyscy wiedzieli, że podejrzani przemytnicy mieszały czasem gorzałę z naftą albo benzyną.

Gabe rozłożył szeroko ręce i wyszczerzył się.

- Zostaw to Gabe'owi, bracie.

Memphis roześmiał się. Poza Isaiahem Gabe był jedyną stałą w jego życiu. Poznali się w czwartej klasie, kiedy Gabe sprzedawał papierosy za szkołą i wpakował się w kłopoty. Memphis został wyznaczony na jego opiekuna, który miał mu pomóc wyjść na prostą. To ustaliło naturę ich przyjaźni - Memphis wciąż wyciągał Gabe'a z tarapatów, a Gabe pomagał Memphisowi się w nie pakować. Jedynym, co chłopak traktował poważnie, była muzyka. Był jednym z najlepszych trębaczy w mieście. Krążyły opowieści o tym chudym dzieciaku z wielką muzyką. Nawet Duke Ellington przyszedł raz, żeby go posłuchać. Między innymi z tego powodu Papa Charles nadal go trzymał. Gabe był dowcipnisiem, który ciągle sprawiał problemy, ale kiedy zaczynał grać, było to warte każdej ceny.

- Idziemy na dymka. Chcesz trochę zioła? - spytał Gabe. Już miał przekrwione oczy.

Memphis potrząsnął głową.

- Muszę zachować jasność myśli, Gabe.

- Rób jak uważasz, babciu.

- Zazwyczaj tak właśnie jest.

Memphis przeciągnął dłonią po lampie nad głową, czując ciepło żarówki, po czym przeszedł tunelem do sąsiedniego budynku w którym znajdowały się wszystkie biura. Kilka sekretarek siedziało przy długich stołach, przeliczając pieniądze zebrane podczas porannej gry liczbowej. Memphis uchylił kapelusza i wślizgnął się do gabinetu Papy Charlesa. Siedzący za mahoniowym biurkiem Papa Charles machnięciem ręki kazał Memphisowi usiąść na krześle, zaś sam dokończył rozmowę telefoniczną.

Papa Charles był niekwestionowanym królem Harlemu. Kierował loterią liczbową, wyścigami konnymi i meczami bokserskimi. Zarządzał przemytem i załatwiał sprawy z gliniarzami. Jeśli ktoś potrzebował pożyczki, szedł do Papy

Charlesa. Kiedy kościół potrzebował nowego budynku, Papa Charles dawał im pieniądze. Szkoły, bractwa, nawet drużyna koszykówki z Harlemu, New York Renaissance, w skrócie Rens - wszystkie po części finansował Papa Charles, „Elegancki Dżentelmen”. A w kilku klubach i barach nielegalnie podających alkohol, jak Hotsy Totsy, prezentował najlepszych muzyków i tancerki w mieście.

- Dopóki ja prowadzę loterię liczbową w Harlemie, pozostanie czarna - powiedział stanowczo Papa Charles do słuchawki - i możesz przekazać Dutchowi Schultzowi i jego współnikom, że ja tak powiedziałem.

Z trzaskiem odłożył słuchawkę i podniósł pokrywę srebrnego pudełka, wyciągając cygaro. Odgryzł koniec i wypluł go do kosza. Memphis przypalił cygaro, starając się nie rozkaszczać, kiedy pojawiły się pierwsze kłęby dymu.

- Kłopoty?

Papa Charles machnął ręką, rozpraszając dym. - Biali przemysłowcy chcą teraz prowadzić także loterię liczbową w Harlemie. Nie mam zamiaru im pozwolić. Ale oni bardzo się starają. Ponoć policja wczoraj zrobiła nalot na jeden z lokali Queenie.

- Wydawało mi się, że się im opłacała.

- Bo tak jest. - Pozwolił, by te słowa wybrzmiały i pociągnął cygaro, wypełniając powietrze korzennym dymem.

- Białasy tracą zainteresowanie naszymi gramami. Mają swój przemysł, to ich zajmuje. Ale może powinieneś być ostrożniejszy. Mówię to wszystkim swoim posłańcom. Jak się miewa ciotka Octavia?

- Doskonale, proszę pana.

- A Isaiah? Z nim wszystko w porządku?

- Tak, proszę pana.

- Dobrze, dobrze. A jak na ulicach?

- Wszystko idzie gładko jak solówki Gabe'a.

Papa Charles uśmiechnął się.

- Najlepiej poznać interes, zaczynając na ulicy. Któregoś dnia możesz pracować tutaj, u mojego boku.

Memphis nie chciał pracować dla Papy Charlesa. Chciał czytać swoją poezję w salonie panny A'Lelii Walker, obok Countee Cullena, Zory Neale Hurston i Jeana Toomera - może nawet obok samego pana Hughesa.

- Wszystko w porządku, synu? Coś się stało? Memphis uśmiechnął się.

- Przecież pan mnie zna. Ja się nie przejmuję. Papa Charles uśmiechnął się z cygarem w zębach.

- To Memphis, którego znam.

Stary dobry Memphis. Godny zaufania. Czarujący i swobodny. Opiekujący się bratem. Memphis był kiedyś gwiazdą. Cudotwórcą. I skończyło się smutkiem. Nigdy więcej nie zaryzykuje. Obecnie ukrywał swoje uczucia na kartach zeszytów.

- Pora zebrać napiwki od naszych wdzięcznych przyjaciół - powiedział Papa Charles.

Oznaczało to haracz, jaki każdy interes płacił Eleganckiemu Dżentelmanowi, jeśli pragnął pozostać w interesie i mieć jego ochronę. To miasto napędzała korupcja na równi z elektrycznością.

- Tak, proszę pana.

- Memphis, na pewno wszystko w porządku? Memphis znów błysnął swoim uśmiechem.

- Nigdy nie było mi lepiej, proszę pana.

Wychodząc z klubu, Memphis skinął szoferowi Papy Charlesa, który pełnił straż przed nowiutkim Chryslerem Imperialem, po czym rozpląnął się w tłumach imprezowiczów na Lenox Avenue. Odwiedził liczne nocne kluby prowadzone przez Papę Charlesa - Yeah Man, Tomb of the Fallen Angels, Whoopee - jak również mniejsze bary podające nielegalny

alkohol, a ulokowane w piwnicach kamienic przy porośniętych drzewami bocznych uliczkach. Podążał za potężnymi mężczyznami przez tylne pokoje, szare od papierosowego dymu, gdzie ludzie siedzieli przy stolikach przykrytych zielonym sukniem i grali w karty, bilard albo kości. Kobiety głaskały go po policzku, nazywały przystojniakiem i prosiły do tańca. Wymawiał się, uśmiechem łagodząc odmowę. Czasem właściciele klubów proponowali mu drinka albo pozwalali posłuchać jazzu i popatrzeć na tancerki. Czasem jednak musiał czekać na piętrze w kiepsko oświetlonym gabinecie i nie był pewien, czy wróci do niego z pieniędzmi, czy może z thompsonem. W księgach starannie zapisywał przyjętą sumę, unikając pytań, czy Papa Charles wiedział może, czy ta walka albo tamta gra były ustawione.

- Jestem tylko posłańcem - mówił i wykorzystywał swój uśmiech.

Na ulicach miał oko na tajniaków. Gdyby go aresztowali, Papa Charles wyciągnąłby go w ciągu paru godzin, ale i tak wolał nie ryzykować.

Było dobrze po jedenastej, kiedy Memphis wrócił do Hotsy Totsy. Podbiegł do niego Gabe.

- Gdzie się podziewałeś, szefie?

- Miałem sprawy do załatwienia. A czemu pytasz?

- Chodź szybko! Chodzi o Jo. Przewróciła się i coś jej się stało.

- To zadzwońcie po lekarza.

- Ona pytała o ciebie, Memphis.

Jo siedziała na dole schodów prowadzących na scenę i płakała, a otaczały ją zaniepokojone tancerki. Przez szparę w kurtynie Memphis widział rosnące zniecierpliwienie widowni. Zbliżała się pora kolejnego numeru, a kostka Jo już zaczynała puchnąć.

- Zaczepiłam obcasem o drugi stopień i skręciłam - wybelkotała przez łyzy. - Boże, proszę, niech nie będzie złamana.

- Lepiej powiedzcie Francine, że przyszła jej kolej - stwierdziła jedna z tancerek.

Jo potrząsnęła głową.

- Muszę dziś wyjść. Potrzebuję pieniędzy! - Z nadzieją podniosła wzrok na Memphisa. - Przypomniałam sobie o tobie. Co umiałeś zrobić. Proszę, możesz mi pomóc, Memphis?

Chłopak zacisnął zęby.

- Już tego nie umiem.

Jo załkała, a Gabe położył dłoń na jego ramieniu.

- Dalej, bracie. Tylko spróbuj...

- Mówiłem, że już nie mogę!

Memphis strząsnął dłoń Gabe'a i zbiegł po schodach. Inspicjent wziął Jo na ręce i zabrał nieszczęsną dziewczynę na tyły. Na scenie mistrz ceremonii zaanonsował kolejny numer, Black Bottom, i wszystkie pozostałe tancerki wraz z Francine wybiegły na scenę. Na twarzach miały uśmiechy, a poza tym bardzo niewiele na sobie. Memphis zostawił sekretarkom zebrane pieniądze. Znów wyszedł w mrok, a jego umysł wypełniały niepokojące wspomnienia z czasów, kiedy był kimś innym, Cudownym Memphisem, Uzdrowicielem z Harlemu.

Uzdrowiająca moc przyszła do Memphisa nagle, kiedy miał czternaście lat, po długiej chorobie. Przez wiele dni leżał na wpół świadomy, a jego umysł przepełniały najdziwniejsze wizje, gdy ciało trawiła gorączka. Matka go nie opuszczała. Po tym, jak wrócił do zdrowia, poszli do kościoła z dziękczynieniem. W tamten niedzielny poranek w kościele Mother AME Zion Memphis uzdrowił po raz pierwszy. Jego siedmioletni brat Isaiah spadł z drzewa i złamał sobie rękę.

Kość wystawała przez skórę pod koszmarnym kątem. Memphis próbował jedynie uspokoić wrzeszczącego brata i położył na nim dłonie. Nie spodziewał się wielkiego gorąca, które nagle wypełniło przestrzeń między skórą Isaiaha i jego dłońmi. Opadł na niego trans. Jego oczy wywróciły się białkami do góry, a on sam miał wrażenie, jakby opuścił ciało i został uwięziony w śnie na jawie. W tym dziwnym pustym miejscu widział różne rzeczy, których nie rozumiał: twarze w mgle, widmowe cienie i dziwnego mężczyznę w cylindrze, którego płaszcz wyglądał, jakby został stworzony z ziemi. Później padło ostre światło i rozległ się łopot skrzydeł, a kiedy Memphis odzyskał przytomność, na kościelnym dziedzińcu zgromadził się tłum. Isaiah wyslizgnął się spod rąk brata i machał ręką.

- Naprawiłeś ją, Memphis. Jak to zrobiłeś?

- N - nie wiem. - Mimo upału letniego dnia w Nowym Jorku, który wciskał się pod kołnierz jego niedzielnej marynarki Memphis zadrżał.

- To cud - powiedział ktoś. - Chwalcie Jezusa! Memphis zobaczył matkę stojącą na uboczu oszołomionej

kongregacji. Uniosła dłoń do ust i chłopak bał się, że uderzy go za to, co zrobił. Ona jednak go przytuliła. Kiedy się cofnęła, miała w oczach łzy.

- Mój syn jest uzdrowicielem - wyszeptała, ujmując jego twarz w dłonie.

- Słyszeliście to? Ten chłopak jest uzdrowicielem - krzyknął ktoś. - Pomódlmy się.

Pochylili głowy i wyciągnęli do niego ręce, a gdy Memphis poczuł ich dłonie błogosławiące jego głowę i ramiona, palce matki ściskające jego rękę, strach zmienił się w euforię. Zrobiłem to, pomyślał w zadziwieniu. Jak to zrobiłem?

Jedynie ciotka Octavia była sceptyczna.

- Dlaczego dobry Bóg miałby tak obdarzyć chłopca? - spytała później jego matkę, w domu przy 145. Ulicy.

Siedziały w salonie przy radioodbiorniku i obierały fasolkę na kolację następnego dnia. Memphis nie mógł spać przez upał i wstał, żeby się napić. Kiedy usłyszał ich rozmowę, ukrył się w ciemnym korytarzu, nasłuchując.

- Czasami dar jest tak naprawdę zamaskowanym przekleństwem, Violo. Próba od dobrego Boga. W tym chłopaku może być sam diabeł.

- Cicho, Octavio - powiedziała jego matka. Rzadko sprzeciwiała się starszej siostrze i Memphis poczuł się z niej dumny, choć słowa Octavii zasiały w nim ziarno wątpliwości.

- Mój chłopiec jest wyjątkowy. Zobacysz.

- Cóż, mam nadzieję, że się nie mylisz, Vi - powiedziała Octavia po chwili. Później było słychać już tylko trzask fasolki szparagowej łamanej na pół i wrzucanej do miski.

Wieści o mocach Memphisa szybko się rozeszły po kościołach Harlemu. Kiedy pastor Brown sprzeciwił się wykorzystywaniu daru chłopca podczas mszy w Mother AME Zion - „Nie jesteśmy tego rodzaju religią, Violo” - matka zaczęła go zabierać do różnorakich kaplic zielonoświątkowców i spirytualistów, mimo sprzeciwów Octavii: „Oni rzucają się po ziemi... a niektórzy nawet rozmawiają z umarłymi, Vi. Nic dobrego z tego nie przyjdzie, zapamiętaj moje słowa”.

Tam, w czwartą niedzielę każdego miesiąca, przez osiem kolejnych miesięcy Memphis stał przy ambonie, spoglądając na twarze pełne nadziei lub sceptyczne. Gdy chór śpiewał Wade in the Water, a ludzie modlili się lub czasem nawet krzyčili do Boga, wierni podchodzili ze swoimi dolegliwościami, a Memphis kładł na nich dłonie, czując rodzące się ciepło i widząc w umyśle to inne miejsce, miejsce niewyraźnych twarzy we mgle. Cudowny Memphis. A

później, kiedy miało to największe znaczenie, cud go zawiódł. Nie, nie tylko zawiódł - zwrócił się przeciwko niemu.

Od czasu do czasu widział, jak Octavia spogląda na niego zza drzwi, a na jej twarzy maluje się coś pomiędzy strachem a pogardą.

- Niewiele trzeba, żeby diabeł wszedł do środka, Memphisie Johnie. Zapamiętaj to.

Memphis zazwyczaj sądził, że obsesja ciotki na temat diabła była szaleństwem. Ale jeśli miała rację? Jeśli coś było bardzo nie tak, jakaś mroczna część jego osoby, która czekała? Ta myśl była jak jego sen, niepokojąca i nieczytelna.

Kłopoty Jo w klubie wstrząsnęły Memphisem i dlatego, załatwiwszy wszystkie sprawy tego wieczoru wskoczył do piętrowego autobusu Fifth Avenue Coach Company i wysiadł przy 155. Ulicy. Przeszedł kilka kwartałów ulic na północ, później skręcił na zachód w stronę rzeki, gdzie domy się przerzedzały, aż dotarł do niewielkiego afrykańskiego cmentarza na skarpie, miejsca ostatniego spoczynku wyzwolonych niewolników i czarnoskórych żołnierzy. Tam, w ciszy i spokoju przodków, Memphis siadał i pisał. Znalazł latarnię, którą ukrył w dziupli wielkiego dębu. Zapalił zapałkę z paczki, którą zwinął w klubie Yeah Man. Płomień latarni emanował ciepłym blaskiem. Memphis usiadł na chłodnej ziemi i otworzył zeszyt. W pewnym sensie pisanie było jak uzdrawianie - lekarstwo na samotność, którą odczuwał. Czasami lekarstwo działało, a czasami nie. Ale wciąż próbował. Pochylił głowę nad zeszytem, pisząc przy blasku latarni, łapiąc słowa jak ogony komet. Otaczający go Harlem był pełen pisarzy, muzyków, poetów i myślicieli. Zmieniali świat. Memphis chciał być częścią tej przemiany.

Jego skupienie przerwało krakanie kruka usadowionego na pobliskim nagrobku. Matka mówiła Memphisowi, że ptaki są zwiastunami. To. była głupota, jakiś stary afrykański przesąd.

Ptaki były tylko ptakami. Przez chwilę myślał o krukach w swoim śnie, lecz ta myśl szybko odeszła. Było późno i oczy piekły go ze zmęczenia. Dziś już nie będzie słów. Zgasił latarnię, wrzucił wszystko do plecaka i ruszył pustą ulicą z pojedynczą gazową latarnią.

Złocisty księżyc w pełni wznosił się nad ruinami starego domu na wzgórzu, dawnej rezydencji Knowlesów, teraz przytłoczonej przez wznoszące się w pewnej odległości rzędy bloków mieszkalnych. Nikt w niej nie mieszkał odkąd Memphis chodził na cmentarz. Widok domu budził dreszcz i Memphis zazwyczaj szedł środkiem ulicy, z dala od niego.

Zimne światło zalewało zabite deskami okna i zasypany odpadkami trawnik. Zbierało się na marmurowych kończynach zniszczonej rzeźby anioła i sprawiało, że martwe drzewa ożywały. Memphis spojrzał na dom i zatrzymał się. Wydawało mu się, że kątem oka zobaczył jakiś ruch. Miał wrażenie, że rezydencja wygląda inaczej, choć nie umiał stwierdzić, dlaczego.

Irytujący kruk przeleciał obok. Memphis aż podskoczył i pośpiesznie ruszył dalej. Kiedy znów znalazł się na zatłoczonych ulicach Harlemu, potrząsnął głową i zaśmiał się cicho nad swoją nerwowością. Znajdował spokój w neonowych reklamach i jazzowych nutach wypływających z klubów, kiedy grupki szczęśliwych ludzi otwierały drzwi i wychodziły na ulice w swoich najlepszych ubraniach. Ślepy Bill Johnson włókł się ulicą, macając laską drogę. Memphis nie miał ochoty z nim rozmawiać, więc uskoczył w boczną uliczkę i ruszył biegiem. To było wspaniałe uczucie, tak biec w ciepłą wrześnie noc. Miał zeszyt wierszy, książki i kieszeń pełną pieniędzy. Czym miał się przejmować? Czas przestać się martwić i zacząć żyć dalej. Z całym swoim światem na grzbiecie, Memphis przeszedł resztę drogi do Harlemu. Minął licowane piaskowcem kamienice Sugar Hill,

wpatrywał się z daleka w emanujące ciepłym bursztynowym blaskiem okna, za którymi ludzie prowadzili życie, na jakie i on miał nadzieję, i ruszył do domu.

Jego brat Isaiah spał na wąskim łóżku przy oknie w pokoju na tyłach. Memphis zdjął buty, rozebrał się i jak najciszej wślizgnął się do swojego łóżka. Isaiah usiadł i Memphis wstrzymał oddech z nadzieją, że brat przewróci się na drugi bok i będzie spał dalej. Miał nadzieję, że go nie obudził.

Isaiah siedział nieruchomo, wpatrując się w mrok.

- Jestem smokiem. Starożytną bestią - powiedział. Memphis wsparł się na łokciach.

- Stary? Wszystko w porządku? Isaiah nie poruszył się.

- Stoję u drzwi i kołaczę.

Kilka sekund później opadł na poduszkę, głęboko uśpiony. Memphis pomacał czoło brata, ale było chłodne. Koszmar, jak się domyślał. Memphis dobrze je znał. Przewrócił się na bok i rozluźnił. Jego powieki opadły i opanował go sen.

We śnie Memphis stał na zakurzonej drodze pośród pól kukurydzy. Nad jego głową kłębiły się ciemne, gniewne chmury. W pewnej odległości widział wiejski dom, czerwoną stodołę i powyginane drzewo, pozbawione liści. Na skrzynce na listy umieszczonej na drewnianym słupie krakał kruk. Ptak wyleciał nad pole i usiadł na ramieniu wysokiego mężczyzny w dziwnym kapeluszu. Jego skóra była szara jak niebo, a oczy czarne i błyszczące. Półksiężycy jego paznokci były brudne, a na każdym palcu nosił pierścień.

- Nadszedł czas - powiedział mężczyzna, choć Memphis nie widział, by jego wargi się poruszały.

Sen się zmienił. Memphis stał w długim korytarzu. Na końcu znajdowały się metalowe drzwi, a na drzwiach symbol - oko otoczone promieniami słońca, a pod nim błyskawica, jak długa zygzakowata łąza. Usłyszał cichy łopot skrzydeł, a

później zagubił się w gęstej mgle, a głos jego matki wołał do niego:

- Och, mój synu, mój synu...

Memphis nie był świadom łez, które spływały po jego policzkach. Zajęczał cicho we śnie, przewrócił się na drugi bok i zatonął w zupełnie innym śnie, w którym śliczne tancerki machały wachlarzami z piór, posyłały mu całusy i obiecywały wszystko.

SEN EVIE

Sen Evie zaczął się tak samo jak zwykle, od mgły, śniegu i lasu. James stał na obrzeżach lasu w swoim starannie wyprasowanym mundurze w kolorze khaki, blady i ponury. Wargi Evie wypowiedziały jego imię, ale we śnie nie było dźwięku. James nakazał jej gestem podążyć za sobą.

Drzewa rosły coraz rzadziej, aż dotarli do niewielkiej polany pełnej żołnierzy. Chłopak w mundurze sierżanta zaczął wykrzykiwać rozkazy i w obozie zapanowało nagle zamieszanie - papierosy gaszono pod butami, cynowe kubki z kawą porzucano, zakładano maski przeciwgazowe, zajmowano pozycje, wszyscy mężczyźni byli czujni i gotowi. Nad głowami kłębiły się czarne chmury. Mrok przebiły błyskawice, jak ostrzał - jedna, druga, trzecia! Ktoś wciągnął ją w głębokie okopy i Evie zsunęła się po ziemnych, przypominających grób ścianach, ukrywając się przed wrogiem, którego nie widziała. Zapanowała niepokojąca cisza, jakby świat wstrzymywał oddech, a później Evie patrzyła w oszołomieniu, jak niebiosa przecina potężna fala błyskawicy. Po chwili gwałtowna siła rzuciła ją na ziemię jak cios niewidzialnego olbrzyma.

Powietrze wypełniały popiół i dym. Evie wyczołgała się z okopu i przewróciła na żołnierza, którego kości rozpadły się w pył.

Wyglądał, jakby został wydrążony. Jego oczy zniknęły, wargi wykrzywiał ohydny grymas. Krwawe łzy spływały po pomarszczonych, zapadniętych policzkach. Evie wrzeszczała i gramoliła się po spalonej ziemi, gdzie ciała żołnierzy leżały jak zdeptane kwiaty. Piękne drzewa zmieniły się w poczerwiałe smugi. Na zamglonych krańcach pola widziała widmowych żołnierzy, ale kiedy odwracała głowę, znikali. Evie zawołała Jamesa i oto był, na ścieżce przed nią, bezpieczny. Podbiegła do niego, ale na jego twarzy malowało

się ostrzeżenie. Mówił coś, ale tego nie słyszała. Jego oczy. Coś się działo z jego oczyma. James wyciągnął ręce i odrzucił głowę do tyłu. Kolejny oślepiający błysk.

Evie obudziła się, tłumiąc krzyk. Mały wiatraczek obok jej łóżka kręcił się, ale ona była cała zlana potem. Drżącymi palcami sięgnęła do włącznika lampy, po czym zamrugła, kiedy nagle zrobiło się jasno. Nieznajomy pokój sprawił, że poczuła się jeszcze bardziej zdenerwowana. Musiała odetchnąć. Wspięła się po chwiejnych schodach pożarowych na dach, gdzie było chłodniejsze powietrze i mnóstwo przestrzeni. Jericho miał rację, widok był wspaniały. Manhattan rozwijał się przed nią jak aksamit jubilera zdobiony diamentami. Nawet o tak później porze pociągi wciąż grzechotały po torach. Miasto było równie niespokojne jak ona. Na gzymsie gołąb zagruchał i zaczął dziobać resztki chleba.

- Ty i ja dzieciaku, weźmiemy to miasto szturmem - zażartowała Evie, wycierając z oczu łzy, które zamgliły jej wzrok. - Nie bądź sentymentalna, stara - złażała samą siebie. - Rozchmurz się.

Evie pozwoliła, by wiatr całował jej policzki. Otworzyła ramiona, jakby chciała objąć Manhattan. Następnego dnia, powiedziała sobie, świat będzie wyglądał inaczej. Pójdzie z Mabel na zakupy i do kina. W sobotę mogą pojechać metrem na Coney Island, zanurzyć stopy w oceanie i przejechać się kolejką górską Thuderbolt. Wieczorem znajdzie sobie jakąś imprezę i będzie tańczyć, jakby nie było zmarłych braci i koszmarów sennych. Wszystko będzie tip - top.

Evie założyła ręce na piersi. Wytarła nos rękawem i zanuciła cicho Manhattan:

- Zgiełk miasta nie zniszczy marzeń chłopca i dziewczyny. Zmienię Manhattan w wyspę radości.

Obok przejechał pociąg. Przestraszony gołąb zerwał się do lotu.

W pełnych blasku kanionach z cegieł i neonowych świateł miasto żyło dalej. Ludzie spotykali się i rozstawali, śpieszyli i lenili. Metro dudniło. Klaksony dźwięczały. Światła przechodziły od zielonego przez żółty do czerwonego i z powrotem.

W Harlemie Ślepy Bill Johnson leżał na swoim pościeli w długiej sali pełnej podobnych pościeli w budynku YMCA i czekał na sen. W pomieszczeniu było ciepło, jak wtedy, kiedy słońce padało na jego kark, gdy przed laty pracował na polach bawełny w Missisipi. Widział teraz to maślane słońce we wspomnieniach, jak przebijało się przez deszczowe chmury i odbijało od ciemnego samochodu, w którym jechali mężczyźni jak cienie.

Mabel Rose czytała Tolstoja przy świetle lampki i próbowała ignorować kłótnię rodziców w drugim pokoju. W końcu przewróciła się na plecy, wpatrzyła w sufit i wyobrażała sobie, że kilka pięter wyżej Jericho leży bezsennie w swoim łóżku i myśli tylko o niej.

Na cmentarzu Afrykanów liście prześlizgiwały się po milczących grobach i spadały na trawnik domu na wzgórzu. Zniszczona rzeźba anioła nie poczuła chłodu długiego cienia padającego na dziedziniec. Jej ślepe oczy nie zauważyły nieznajomego wycierającego krew z dłoni, gdy wpatrywał się w majestat gwiaździstego nieba. A jej głuche uszy nie słyszały mroźnej krew w żyłach melodii z przeszłości, która przez chwilę unosiła się na wietrze, zanim roztopiła się w gorączkowym jazzie miasta.

Panna Addie stała przed wielkim oknem wykuszowym wyglądającym na zbiornik i Belvedere Castle w Central Parku, skąpane w lekko pomarańczowym blasku księżyca. Kołysała się lekko na piętach i nuciła piosenkę znaną od dzieciństwa.

- Herbata prawie gotowa - powiedziała panna Lillian, dołączając do niej przy oknie. - Ach. Popatrz tylko, jak światło księżycyca pada na Belvedere. Jakie to piękne.

- Owszem. - Panna Addie uniosła dłoń do szkła, jakby mogła wziąć zamek w dłonie. - Czujesz zmianę, siostrze?

Panna Lillian pokiwała głową.

- Tak, siostrze.

- Nadchodzą.

Panna Addie znów spojrzała na park, pełniąc nocną straż, aż księżyc zbladł na tle jaśniejącego nieba, a nietknięta herbata wystygła w filiżance.

CZTERECH JEŹDŹCÓW APOKALIPSY

Pierwszy tydzień spędzony w Nowym Jorku okazał się dla Evie rzeczywiście tak ekscytujący, jak liczyła. Popołudniami jeździła z Mabel kolejką nadziemną do kina, gdzie oglądały Douglasa Fairbanksa, Bustera Keatona i Charlie Chaplina, a pewnego szczególnie ciepłego dnia pojechały na Coney Island. Tam zanurzyły stopy w chłodnym Atlantyku i przespacerowały się obok salonów gier i innych rozrywek, udając, że nie słyszą nawoływań chłopców, którzy błagali o ich zainteresowanie. Kiedy Mabel kończyła naukę, a Evie lektury polecane przez Willa, chodziły do domu towarowego Gimbels, mierzyły płaszcze z kołnierzami z futra i kapelusiki bez ronda, w których czuły się jak gwiazdy filmowe. Później kupowały świeżo prażone orzeszki ziemne w Chock Full O'Nuts albo zatrzymywały się na kanapki w Horn & Hardart Automat, gdzie Evie z dreszczykiem emocji wyciągała jedzenie z małego szklanego pojemnika po tym, jak wrzuciła monetę i nacisnęła guzik.

Wieczorami Evie i Mabel schodziły na dół do podupadłej sali jadalnej Benningtona i siadały pod migoczącymi światłami, popijając koktajle czekoladowe i planując kolejne przygody. Kiedy pewnego wieczoru Mabel musiała pomóc rodzicom podczas wiecu robotników, Evie pozwoliła sobie złożyć wizytę Thecie i Henry'emu w ich mieszkaniu. Henry przywitał ją w drzwiach w bonzurce narzuconej na rozpiętą koszulę smokingową i szerokich spodniach w stylu arabskim. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie są spokrewnieni - jego jasne włosy i piegi kontrastowały z jej śniadą urodą - ale ich zachowanie wyraźnie świadczyło, że nie są też kochankami, jedynie bliskimi przyjaciółmi. Opierając się o futrynę, Henry uniósł brew i powiedział, charakterystycznie przeciągając samogłoski:

- Nie sędzę, żebyś przyszła w sprawie przeciekającego zlewu?

Evie roześmiała się i obiecała, że przeżuje tyle miętovej gumy, żeby zalepić otwór, a wtedy Henry szeroko otworzył drzwi, mówiąc:

- Entrez, mademoiselle!

Theta leżała na kanapie w swojej męskiej jedwabnej piżamie, a na głowie miała szal we wzór pawich piór.

- Och. Cześć, Evil. Co u ciebie?

Całą trójką pili dzin, który Theta podkrađła z imprezy w hotelu Waldorf - Astoria, i wymyślali głupiutkie piosenki. Henry wygrywał je na ukulele i nikt nie narzekał, że Evie kompletnie nie ma słuchu. Później aż do świtu grali w karty i Evie wślizgnęła się do mieszkania Willa tuż przed wschodzącym słońcem, z poczuciem, że na Manhattanie jest wszystko możliwe i że czeka ją wielka przygoda - kiedy już odeśpi tę noc.

Teraz na drzewach w Central Parku pojawiły się pierwsze czerwone i złociste liście, a jesienne słońce świeciło nad Manhattanem. Evie, Mabel i Theta wsiadły w swoich najmodniejszych strojach do zatłoczonego tramwaju, by pojechać do kina. Całą trójką pobiegły na tył, gdzie stłoczyły się na podwójnym siedzeniu, rozmawiając z podnieceniem.

- Evie, jak się miewa Jericho? - spytała Mabel i zagryzła wargi.

Próbowała brzmieć swobodnie, ale bynajmniej nie miała kamiennej twarzy i Evie wiedziała, że musi umierać z ciekawości.

- Co to za Jericho? - spytała Theta.

- Asystent mojego wuja - wyjaśniła Evie. - Ten wysoki blondyn.

- Jest absolutnie doskonały - powiedziała Mabel, a wtedy Theta uniosła cienkie brwi.

- Robisz do niego maślane oczy?

- I to jak - potwierdziła Evie. - Moją misją jest złączyć tych zakochanych. Zaczęłyśmy powoli, ale z pewnością teraz Operacja Jericho nabierze tempa.

- Naprawdę? - Theta chłodno oceniła Mabel. - Tobie potrzebna jest wizyta u fryzjera, dzieciaku.

Mabel zacisnęła dłoń na warkoczu zwiniętym na karku.

- Och. Och, nie sądzę, bym mogła. - Oczywiście, jeśli się boisz... - Theta mrugnęła do Evie. - Ależ tak. Nie każdy może być dzielny. - Evie cmoknęła i poklepała Mabel po dłoni.

- Mogłabym obciąć włosy w każdej chwili - sprzeciwiła się

Mabel.

- Wcale nie musisz, okrągła bużko - stwierdziła Evie, trzepocąc rzęsami.

- Skoro się boisz - dodała Theta.

- Musicie wiedzieć, że stawiałam czoło rozwścieczonym tłumom na wiecach mojej matki i brałam udział w pikietach. Z pewnością nie boję się fryzjera! - Mabel pociągnęła nosem.

- Dobra. To postawmy na to trochę kasy. Daję dolara, jeśli dziś obetniesz włosy.

- Dwa dolary - dodała Evie.

Mabel zbladła. Po chwili jednak uniosła wysoko brodę jak jej pochodząca z dobrej rodziny matka.

- Świetnie - powiedziała i gestem dała znać motorniczemu, żeby się zatrzymał.

Mabel nerwowo spojrzała na wystawę salonu fryzjerskiego Esquire, która głosiła OBCINAMY WŁOSY! WYGLĄDAJ JAK GWIAZDY KINA I ESTRADY! Obok znajdował się rysunek przedstawiający śliczną chłopczycę w opasce z piór.

- Mablesie, świetnie byś wyglądała w takiej fryzurze - powiedziała Evie. - Jericho byłby zachwycony.

- Jericho jest myślicielem i uczonym. Nie zwraca uwagi na fryzury - odparła Mabel, ale wydawała się przerażona.

Theta musnęła pomadką usta, przeglądając się w witrynie.

- Nawet uczony ma oczy, dzieciaku.

Evie przeciągnęła dłonią po niewidzialnej zasłonie.

- Wyobraź to sobie, wchodzisz do muzeum jako zupełnie nowa Mabel... Mabel Uwodzicielka! Mabel Nowoczesna! Mabel Jazzowa Laska!

- Mabel, Która Powinna Się Zdecydować Albo Spóźnimy Się Na Film - dodała Theta.

- Zrobię to.

- Dzielna dziewczyna! - powiedziała Evie.

Popchnęła Mabel w stronę zakładu fryzjerskiego. Evie i Theta popędziły do okna i przykleiły twarze do szyby. Mabel rozmawiała z fryzjerem, który posadził ją na fotelu. Spojrzała nerwowo na dziewczęta. Evie pomachała i uśmiechnęła się zwycięsko.

- Nie robi tego - powiedziała Theta.

- Zrobi.

- W porządku. Podnieśmy stawkę. Dziesięć dolarów. Dziesięć dolarów było sporą sumą, ale Evie nie miała zamiaru się wycofać.

- Zrobione!

Ucisnęły sobie ręce i wróciły do okna. W środku Mabel usiadła na fotelu i pozwoliła, by fryzjer okrył ją fartuchem.

- Za twoje dziesięć dolarów kupię sobie najmodniejsze pończochy, Theta.

Theta uśmiechnęła się złośliwie.

- To jeszcze nie koniec, dzieciaku.

Mabel chwyciła tapicerowane oparcia fotela, kiedy fryzjer nacisnął pedał i uniósł ją wyżej. Zbliżył nożyczki do włosów dziewczyny. Mabel otworzyła szeroko oczy, zeskoczyła z

fotela, rzuciła fartuch i popędziła w stronę drzwi, aż dzwonek zadźwięczał niczym sanie Świętego Mikołaja.

- A niech to - syknęła Evie.

Theta wyciągnęła rękę.

- Z chęcią skorzystam z tych pończoch, Evil.

- Przepraszam, nie mogłam - wykrztusiła Mabel, gdy ruszyły w stronę Times Square. - Zobaczyłam te nożyczki i pomyślałam, że zaraz zemdleję!

- Nic się nie stało, Mablesie. Nie każdy może być Zeldą - powiedziała Evie, biorąc przyjaciółkę pod rękę.

- Jeśli mam zdobyć Jericho, zrobię to taka, jaka jestem teraz.

- I zrobisz to! - zapewniła ją Evie. - W taki czy inny sposób.

Na skrzyżowaniu 42. Ulicy i Piątej Alei pomachały policjantowi usadowionemu w szklanej budce wysoko nad poziomem ulicy, który za pomocą czerwonych, żółtych i zielonych świateł kierował ruchem. Mężczyzna uchylił czapki, a dziewczęta roześmiały się, unosząc się wśród tłumu przechodzącego między samochodami i piętrowymi autobusami. Nad kratkami ściekowymi kłębiła się para, jakby miasto i ludzie byli jedynie częścią wielkiego mechanizmu napędzanego niewidzialnym silnikiem. Kiedy czekały na możliwość przejścia przez ulicę, obszarpany mężczyzna na rozklekotanym wózku inwalidzkim zabrzęczał cynowym kubkiem. Miał na sobie brudny mundur. Nogi amputowano mu poniżej kolan.

- Litości dla tego, który służył - wychrypiał.

Evie sięgnęła do portmonetki, z której wyjęła dolara i wrzuciła go do kubka.

- Proszę.

- Dziękuję - odparł. Spojrzał na Evie i wymamrotał cicho.
- Nadszedł czas; nadszedł czas; nadszedł czas. Ostrożnie...
ostrożnie... ostrożnie...

- Jeśli będziesz się nabierać na każdą łzawą historyjkę na ulicy zbankrutujesz w ciągu tygodnia, Evil - ostrzegła ją Theta, kiedy przeszły na drugą stronę ulicy.

- Mój brat służył. Nie wrócił.

- Ojej, dzieciaku. Przepraszam.

- To było dawno temu - powiedziała Evie. Nie chciała popsuć ich przyjaźni taką przykrą nutą. - Popatrz tylko na sukienkę tej kobiety! Ostatni krzyk mody!

Kiedy dotarły do kina Strand, kupiły bilety za dwadzieścia pięć centów, a bileter w czerwonym uniformie i białych rękawiczkach zaprowadził je do miejsc na balkonie wznoszącym się nad olbrzymią połączoną sceną ze złotą kurtyną. Evie nigdy wcześniej nie widziała czegoś tak wspaniałego. Siedzenia były miękkie i kryte aksamitem. Ściany zdobiły płaskorzeźby i freski. Marmurowe kolumny podtrzymywały bogato zdobione loże i balkony. W rogu ktoś grał na organach Wurlitzera, a poniżej znajdował się kanał dla pełnej orkiestry.

Zrobiło się ciemno. Światło z projektora padało na powoli rozsuwającą się kurtynę. Evie słyszała cichy klekot szpuli. Na ekranie pojawiły się migoczące słowa: KRONIKA FILMOWA PATHE.

GENEWA, SZWAJCARIA. 7. ZGROMADZENIE OGÓLNE LIGI NARODÓW. Mężczyźni w garniturach i kapeluszach stali przed pięknym budynkiem. ZGROMADZENIE WITA NIEMCY WŚRÓD CZŁONKÓW LIGI NARODÓW.

- Chcemy Rudy'ego! - krzyknęła Evie w stronę ekranu. Mabel szerzej otworzyła oczy, ale Theta uśmiechnęła się i Evie poczuła przyjemny dreszczyk, że jej buntowniczość

została dobrze przyjęta. Mężczyzna cztery siedzenia dalej zaczął ją uciszać.

- Znajdź sobie robotę, Ojcie Czaście - mruknęła i dziewczęta z trudem stłumiły śmiech.

Na ekranie mężczyzna o urodzie gwiazdora filmowego odwiedzał fabrykę i ścisnął ręce robotników. Pojawiły się białe słowa na czarnym tle: AMERYKAŃSKI BIZNESMEN I WYNAŁAZCA JAKE

MARLOWE BIJE NOWY REKORD PRODUKCJI PRZEMYSŁOWEJ.

- Z tego Jake'a Marlowe'a to jest prawdziwy szejk - mruknęła Theta z podziwem. - Moi rodzice go nie lubią - szepnęła Mabel. - Twoi rodzice nie lubią nikogo, kto jest bogaty - odparła

Evie.

- Mówią, że nie pozwala swoim robotnikom zakładać związków zawodowych.

- To jego firma. Dlaczego nie miałyby robić tego, co uważa za stosowne? - stwierdziła Evie.

Niezadowolony mężczyzna wezwał gestem biletera. Dziewczęta natychmiast się uciszyły i próbowały wyglądać niewinnie. Po kronice zaczął się film. Na ekranie pojawił się napis Metro przedstawia wyreżyserowaną przez Rexa Ingrama ekranizację dzieła Vincenta Blasco Ibañeza CZTERECH JEŹDZCÓW APOKALIPSY. Zamilkły, urzeczone blaskiem ekranu i urodą Rudolpha Valentino. Evie wyobrażała sobie samą siebie na srebrnym ekranie, całującą kogoś takiego jak Valentino, i swoje zdjęcie w magazynie „Photoplay”. Może mieszkałaby w posiadłości w stylu mauretańskim w Hollywood Hills, z dywanikami z tygrysich futer. To właśnie Evie kochała w kinie - szansę, by wyobrazić sobie inne, wspanialsze życie. Ale później, w filmie pojawiły się sceny wojenne. Evie wpatrywała się w żołnierzy w okopach,

młodych mężczyzn czołgających się po błotnistej ziemi niczyjej pola bitwy, ginących w wybuchach. Zakręciło jej się w głowie, myślała o Jamesie i straszliwych snach. Dlaczego tak ją dręczyły? Kiedy przestaną? Dlaczego James nigdy się do niej nie odzywał? Dałaby wszystko, żeby usłyszeć jego głos.

Pod koniec filmu wszystkie miały łzy w oczach - Mabel i Theta opłakiwały zmarłego gwiazdora, Evie brata.

- Nigdy nie będzie drugiego takiego jak Rudy - stwierdziła Mabel, wydmuchując nos.

- Dobrze mówisz, siostrzyczko - zgodziła się Theta, kiedy wyszły na popołudniowe słońce. Zatrzymała się, widząc wściekłą minę Evie. - Co się stało, Evie?

- Sam Lloyd - warknęła Evie i ruszyła pośpiesznie w stronę grupki ludzi przyglądających się grze w trzy karty.

- Kim jest Sam Lloyd? - zapytała Mabel Thetę.

- Nie wiem - odparła tancerka. - Ale z pewnością jest trupem.

- Patrzcie na królową kier, ludzie. To karta pieniędzy. - Sam umieścił trzy karty na tekturowym pudle, poruszając nimi tak szybko, że aż się rozmywały. - Proszę pana, tak, do pana mówię. Zechciałby pan zgadnąć? Pierwsza runda jest za darmo. Żeby pokazać państwu, że to uczciwa gra.

Evie przewróciła pudło razem z kartami i pieniędzmi.

- Pamiętasz mnie, Casanovo?

Minęła chwila, nim Sam się uśmiechnął.

- No proszę, czy to nie moja ulubiona zakonnica. Jak tam matka przełożona, siostrzyczko?

- Nie mów do mnie „siostrzyczko”. Okradłeś mnie.

- Kto? Ja? Czy ja wyglądam na złodzieja?

- Ależ tak.

Tłumy z zainteresowaniem przyglądały się kłótni, a Sam rozejrzał się nerwowo. Mocniej naciągnął czapkę na czoło.

- Laleczko, przykro mi, że cię oskubali, ale to nie byłem ja.

- Jeśli nie chcesz, żebym w tej sekundzie zawołała tu gliniarza i opowiedziała mu, jak próbowałeś mnie wykorzystać, oddasz mi moje dwadzieścia dolarów.

- Siostro, nie zrobiłabyś...

- Ab - so - lut - nie bym zrobiła! Kojarzysz Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej?

- Tak, znam je, ale...

- Znajdziesz mnie tam. Lepiej mi przynieś moje dwadzieścia dolców, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre.

- Albo co? - zaszydził Sam.

Evie zauważyła jego kurtkę przewieszoną przez hydrant. Chwyciła ją i narzuciła na ramiona.

- Oddawaj! - warknął Sam.

- Dwadzieścia dolców i jest twoja. Muzeum. Do zobaczenia wkrótce! - Evie ze śmiechem pobiegła wzdłuż ulicy.

- Kto to? - spytała Mabel, kiedy ją dogoniła i razem wpadły do kawiarni.

- Sam Lloyd. - Evie prawie wypłuła to nazwisko. Opowiedziała im o spotkaniu na Pennsylvania Station, kiedy ją pocałował i okradł.

Theta popijała kawę, zostawiając na białej filiżance czerwony ślad pomadki.

- Wygląda, jakby mógł ulotnić się z czymś więcej niż tylko twoimi dwudziestoma dolarami, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Lepiej miej na niego oko, Evil.

- Do tego mam za mało oczu - mruknęła Evie.

- Przejrzyj jego kieszenie. Może znajdziesz pieniądze - zaproponowała Mabel.

- No, no, Mabel. Cóż za błyskotliwy pomysł? Czy tak wyglądała twoja postępową edukacja w czerwonej szkółce?

Evie przejrzała liczne kieszenie kurtki, ale nie znalazła nic poza kłaczkami, połową paczki miętówek Lifesavers i pocztówką z kolorowym rysunkiem przedstawiającym góry i wysokie drzewa. Z tyłu napisano coś po rosyjsku. Wiedziała, że mogłaby spróbować odczytać jeden z przedmiotów, by dowiedzieć się więcej o Samie Lloydzie, ale to nie było warte późniejszego bólu głowy. Ufała, że on przyjdzie po kurtkę. Był wrzesień i wkrótce musiało się ochłodzić.

Kiedy Evie wróciła do muzeum, wuj Will i Jericho siedzieli przy stole i rozmawiali z wysokim, dobrze zbudowanym dżentelmenem. Mężczyzna ów miał smutne ciemne oczy przypominające szczeniaczki ze sklepów ze zwierzętami, które nie zostały wybrane na gwiazdkowy prezent, jak również nos zdeformowany po co najmniej kilku bójkach. Na marynarce nosił odznakę detektywa.

- Wujaszku! O co cię oskarżyli? Potrzebujesz kaucji?

- Terrence, to moja siostrzenica Evie O'Neill. Evie, to detektyw Malloy.

Mimo smutnych oczu detektyw Malloy miał ciepły uśmiech. Wyciągnął rękę.

- Jestem starym przyjacielem z czasów, kiedy twój wuj pracował dla rządu.

- Ach tak? Kiedy to było, wujaszku? Will zignorował ją.

- Wiem, że obiecywałem zabrać cię na obiad do Chinatown, ale obawiam się, że muszę pojechać z detektywem Malloyem do śródmieścia.

- Czyli ktoś musi wpłacić kaucję - stwierdziła Evie.

- Wcale nie. Policja poprosiła mnie o pomoc. W sprawie morderstwa.

- Morderstwo! Ojej. Muszę zmienić buty - powiedziała dziewczyna podekscytowanym głosem. - Zajmie mi to tylko chwilę Evie skakała na jednej nodze, kiedy zdejmowała pantofle i zakładała nowe półbuty.

- Miałabym przegapić scenę prawdziwego morderstwa?
Nigdy w życiu!

- Jest paskudna, panienko. Nie dla prawdziwej damy -
stwierdził detektyw.

- Mnie nie jest tak łatwo przestraszyć. Obiecuję, że będę
twarda jak Al Capone. - Evie zawiązała pierwszy but.

- Zostajesz tutaj - powiedział Will i odwrócił się do niej
plecami.

- Wujaszku, obiecałeś, że zabierzesz mnie i Jericho na
obiad do Chinatown. Nie ma sensu tu po mnie wracać.

- Evangeline...

- Obiecuję, że nie będę sprawiać żadnych kłopotów.
Zostanę na tylnym siedzeniu samochodu i zaczekam, aż
skończycie.

Will westchnął.

- Zgodzisz się, Terrence?

- Nie ma problemu. - Detektyw otworzył przed nią drzwi.

- Ale proszę nie narzekać na późniejsze koszmary senne,
panno O'Neill.

Evie stłumiła wisielczy śmiech.

NIERZĄDNICA PRZYODZDOBIONA W MORZU

Most Manhattański górował nad nimi, kiedy skręcili w Pike Street. Przed czynszówkami grupa dzieciaków grała w palanta.

Kiedy samochód przejeżdżał obok, przyglądały mu się, mrużąc oczy.

- Przyszli chuligani - powiedział detektyw, parkując na końcu ulicy. - Jeśli któryś z was, gów... - spojrzał na Evie - ...bachorów choć dotknie tego samochodu, obiecuję, że będzie szukać zębów w rzece.

Mężczyźni wysiedli z samochodu, a Evie podążyła za nimi.

- Miałaś zaczekać w samochodzie - przypomniał jej Will.

Evie skłoniła wuja, żeby zabrał ją tutaj. Nie miała zamiaru dotrzeć tak daleko i nie zobaczyć miejsca zbrodni. Morderstwo na Manhattanie! Już wyobrażała sobie, jak pisze do Dottie i Louise o swoich przygodach: „Najdroższe przyjaciółki, nie uwierzycie, co dzisiaj widziałam... Naturalnie, jak każda nowoczesna dziewczyna, wcale się nie bałam...”. To zupełnie jak w tych powieściach Agathy Christie, które uwielbiała. Ale musiała dotrzeć bliżej.

- Och, wuju Willu, ale dziewczynie czekającej w samochodzie mogłoby się coś stać. - Spojrzała znacząco na dzieciaki grające w palanta. - Co by powiedziała moja matka?

Przybrała niewinną minkę.

- Jericho może zaczekać z tobą.

Evie szybko spojrzała na młodszego mężczyznę.

- Lepiej bym się czuła z tobą, wuju. Obiecuję, że nie będę wchodzić ci w drogę. I nie musisz się martwić, że jestem jedną z tych delikatnych panienek, które durnieją na widok krwi. Wręcz przeciwnie, kiedy rok temu Betty Hornsby prawie odcięła sobie palec, próbując zonglować nożami do steku, jako jedyna nie padłam na miejscu na widok całej tej krwi. To

było naprawdę paskudne, ale ja byłam ab - so - lut - nie jak skała. Obiecuję.

Postarała się zrobić zupełnie spokojną minę, jakby codziennie widywała trupy. Wuj Will zaczął się sprzeciwiać, ale detektyw Malloy tylko wzruszył ramionami.

- Jeśli obieca, że nie zemdleje, mnie nie przeszkadza. Ale to nie jest powieść kryminalna, panno O'Neill. Proszę to potraktować jako ostrzeżenie.

Przy pomocy zebrał się spory tłumek. Gliniarze w niebieskich mundurach z mosiężnymi guzikami próbowali ich przegonić. Na końcu pomostu cumowały trzy łodzie poławiaczy ostryg, podskakując na falach.

- Ciało jest tam - powiedział Malloy. - Znaleźli je rybacy. Zostało porzucone tu wczoraj, na ile umiemy ocenić. Przykrywała je sterta muszli, dlatego nikt nie zobaczył go wcześniej. Wszystko w porządku, Fitz?

Wuj Will pobladł.

- Nie cierpię smrodu ryb.

- Nie martw się. To, co zobaczysz, sprawi, że zapomnisz o smrodzie. Ciało wygląda naprawdę paskudnie. - Malloy posłał Evie spojrzenie, na które nie zareagowała, żeby nie dać mu satysfakcji. - Razem z nim znaleźliśmy jakieś dziwne czary - mary, dlatego przyszedłem do ciebie. Mówię ci, Fitz, nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Malloy zaprowadził ich do miejsca zasypanego porzuconymi muszlami ostryg, bladoróżowymi w blasku słońca. Policyjny fotograf rozstawił już statyw. Lampa błyskowa oślepiła Evie. Magnezja spłonęła, zostawiając w ustach dziewczyny ostry posmak. Kiedy się zbliżyli, Evie przytłoczył smród ryby, moczu i gnijącego mięsa. Poczula nagły atak mdłości. Oddychała ostrożnie, zasłaniając usta dłonią. Wokół krążyły czarne muchy, które machaniem ręki odganiała od twarzy.

- Dalej panienka nie pójdzie - powiedział detektyw Malloy i był to wyraźnie rozkaz.

Skinął na Jericho w jakimś niewypowiedzianym męskim kodzie, który kazał młodszemu mężczyźnie dotrzymać jej towarzystwa, co tylko jeszcze bardziej ją zirytowało.

Detektyw poprowadził Willa za ścianę muszli. Patrzyła, jak wuj blednie jeszcze bardziej i unosi dłoń do ust, jakby chciał powstrzymać krzyk lub wymioty. Odwrócił się na chwilę i zgiął w pól, co Evie uznała za swoją szansę.

- Wujaszku, wszystko w porządku? - spytała, podbiegając do niego.

- Evie... - zaczął mówić, ale było za późno. Odwróciła się. Tylko raz w życiu tak bardzo zaparło jej dech w piersiach, a było to w dniu, kiedy przybył telegram z Ministerstwa Wojny. Minęła chwila, nim jej umysł zarejestrował, że to coś, co leżało na starym drewnianym pomoście było kiedyś ludzką istotą. Przyjmowała to po kawałku. Na w pól zsunięty but. Brudne, podarte pończochy zebrane wokół spuchniętych, poczerniałych kostek. Podarta sukienka i posiniaczone kończyny. Skóra powiek obwisła i zapadnięta nad pustymi oczodołami.

Oczy. Zabójca zabrał jej oczy.

Przez Evie przeszła fala zawrotów głowy, jakby ktoś mocno uderzył w karnawałowy dzwon. Wbiła paznokcie w dłonie, żeby zachować przytomność.

Zmaltretowane ciało dziewczyny ułożono na pomoście, z wyciągniętymi rękami i nogami. Została ostrzyżona na łyso za wyjątkiem kilku kosmyków, które nożyczki przegapiły. Jej szyję otaczały tanie sztuczne perły, a na palcach miała pierścionki ze sklepu z zabawkami. Pobladła twarz była jaskrawo wymalowana, mnóstwem pudru i różu. Czerwona pomadka nie ukrywała siniego odcienia warg. Na czole wypisano: NIERZĄDNICA.

Policjant podał Willowi sole trzeźwiące i mężczyzna wyprostował się, wciąż nieco oszołomiony. W mieszkaniu to wszystko wydawało się bardzo ekscytujące - prawdziwa scena morderstwa, coś, o czym mogłaby opowiedzieć swoim przyjaciółom. Ale teraz, patrząc na zbezczeszczonego trupa, Evie wątpiła, by kiedykolwiek miała ochotę o tym rozmawiać. Żałowała, że nie może tego odzobaczyć. Po jej policzku spłynęła łza. Wytarła ją szybko i wpatrzyła się w czubki butów.

- Nie żyje mniej więcej od tygodnia - powiedział detektyw Malloy. Jego głos dochodził do Evie jak przez tunel.
- W jej portfelu jest kartka z nazwiskiem i adresem. Ruta Badowski z Brooklynu. Dziewiętnaście lat. Skontaktowaliśmy się z rodziną. Nieco ponad tydzień temu Ruta poszła na jeden z tych zwariowanych maratonów tanecznych ze swoim stałym chłopakiem, Jackiem Kowalskim. Przesłuchaliśmy go, nic z tego nie wyszło. Mówi, że usnął na schodach, a rano poszedł do pracy w cegielni. Szef to potwierdził.

Evie znów spojrzała na zniekształconą twarz dziewczyny. Dziewiętnaście lat. Zaledwie dwa lata starsza od niej samej. Wyszła na tańce. Teraz nie żyła.

- A to chciałem, żebyś zobaczył. - Malloy rozsunął sukienkę dziewczyny. Na jej piersi, nad spłóviałym biustonoszem, znajdowało się duże piętno w kształcie pięcioramiennej gwiazdy otoczonej przez węża zjadającego własny ogon.

- Co to jest, Fitz, jakiś urok voodoo? - spytał Malloy.

- To nie ma nic wspólnego z voodoo. A voudon to po prostu zachodnioafrykańska i karaibska odmiana spirytyzmu, oparta na naturze - odparł niecierpliwie wuj Will.

Malloy zrobił przeproszający gest.

- Dobrze już, dobrze. Nie! denerwuj się, Fitz. W takim razie, co to jest?

Will pochylił się, żeby się lepiej przyjrzeć. Evie nie wiedziała, jakim cudem nie zaczął krzyczeć.

- To pentakl, symbol wszechświata - wyjaśnił Will. - Wykorzystuje go wiele religii i zakonów... poganie, gnostycy, religie wschodu, starożytni chrześcijanie, masoni. Pieczęć Salomona to najszlachetniejszy z takich symboli. Często stosuje się go dla ochrony.

- Jej to nie pomogło - zauważył Malloy. Wuj Will obszedł ciało.

- Ten jest odwrócony. - Wskazał na dwa końce zwrócone ku górze i jeden do dołu. - Jak słyszałem, odwrócony pentagram oznacza brak równowagi, triumf świata materialnego nad duchowym. Niektórzy utrzymują, że taki pentagram można wykorzystywać w mrocznej szych celach, do czarnoksięstwa lub zakazanej magii, przywoływania demonów i aniołów. - Will wstał i odwrócił się na chwilę, trzykrotnie zaczerpując tchu. - Ryby. Nie cierpię smrodu ryb.

- Proszę, wujaszku - powiedziała Evie, wyciągając z torebki pudełeczko z perfumami w kamieniu.

Will pociągnął nosem i oddał pojemniczek. Evie również uniosła go do nosa. Znow zrobiło jej się słabo i zmusiła się, by spojrzeć na wspaniały stalowy łuk wznoszący się nad rzeką w stronę Brooklynu.

- Czy morderca mógł pracować w fabryce albo z bydłem? - spytał Jericho, przerywając milczenie.

Evie nawet nie zauważyła, że podszedł bliżej i stanął obok niej.

- Rozejrzeliśmy się już po mieście, żeby sprawdzić, czy piętno nie wygląda znajomo. Jak na razie bez rezultatu - odparł Malloy. - I jest coś jeszcze.

Malloy wezwał jednego ze stójkowych, który przyniósł mu pożółkły kawałek papieru. Podał go Willowi. Evie zbliżyła się do wuja, czytając mu przez ramię.

- "A Niewiasta, Nierządnica Babilońska, była przyozdobiona w złoto, drogi kamień i ziemskie skarby, i spojrziała na chwałę Bestii w jego szatach, i zapłakała, gdy teraz otwarły się jej oczy, i poznała zło świata, które musiało zostać odkupione przez krew i ofiarę. I Bestia wzięła jej oczy i rzuciła Nierządnicę Przyozdobioną w wieczne morze wewnątrz Znamienia. A była to piąta ofiara".

- To z Biblii?

- Jeśli tak, to nigdy na taką Biblię nie natrafiłem. Will wyciągnął notatnik i zaczął coś zapisywać.

Evie wskazała na rząd symboli wzdłuż dolnej krawędzi papieru.

- Co to? - Jej głos brzmiał dziwnie w jej własnych uszach. Will przekręcił papier bokiem i do góry nogami.

- Jeszcze nie jestem pewien. Jakieś pieczęcie, jak sądzę. Terrence, chciałbym zadać ci parę pytań. Prywatnie, jeśli to możliwe.

Mężczyźni przeszli na szarpany wiatrem odcinek pomostu, żeby porozmawiać. Evie znów spojrziała na ciało dziewczyny, skupiając się na jej butach. Były przemoczone i zniszczone, ale Evie wiedziała, że są wyjątkowe, pewnie to była najlepsza para zabitej. Pozostała jedna kryształowa klamerka, wisząca luźno na pasku. To była ostateczna zniewaga i Evie chciała ją naprawić. Bezskutecznie próbowała zapiąć ją z powrotem.

- Proszę - wyszeptała, bliska łez.

Pełna determinacji, mocno zacisnęła dłoń. Przedmiot odsłonił swoje tajemnice tak szybko, że Evie nie zdążyła zareagować.

Obrazy umykały szybko, jak film odtwarzany w przyśpieszonym tempie. Pasek łuszczącej się żółtej tapety. Palenisko. Rzeźnicki fartuch. Przekręcający się zamek. Piętno. Niebieskie oczy otoczone czerwienią. Straszliwe oczy, okna do piekła. Pogwizdywanie - wesola melodyjka straszliwie nie

na miejscu, jak kołysanka na polu bitwy. A później jej głowę wypełniły krzyki.

Evie z sapnięciem puściła klamerkę. Zatoczyła się na brzeg i zwymiotowała ciastko z automatu. Za jej plecami policjanci zaczęli się śmiać.

- To nie miejsce dla dziewczyny - powiedział jeden z nich. Ktoś podał jej chusteczkę.

- Dziękuję - powiedziała upokorzona.

- Nie ma za co - odparł Jericho i pozwolił jej spokojnie się wytrzeć.

Na rzece prom wzbudzał fale, które po chwili się wygładzały. Evie wpatrywała się w jego ruch i próbowała znaleźć sens w tym, co właśnie zobaczyła. Te straszliwe obrazy w jej głowie były prawdopodobnie poszlakami. Ale jak mogła powiedzieć komukolwiek, skąd się wzięły? A jeśli jej nie uwierzą? A jeśli jej uwierzą, każą znów wziąć do ręki tę klamerkę i ponownie spojrzeć w koszmar? Tego by nie zniosła. Nikt nie musiał wiedzieć o tym, co zobaczyła. Wuj Will sobie poradzi. Nie musiała nic mówić.

- Evie. Pora iść! - zawołał wuj Will.

- Idę - odpowiedziała Evie, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie.

Od East River powiał mocny wiatr. Chwycił beżowy szal dziewczyny, unosząc go jak rękę wyciągniętą po pomoc. Evie odwróciła się i poszła naokoło, nie patrząc w jej stronę.

ODPĘDZAJĄC DUCHY

- Mówiłem ci, że to nie jest dobry pomysł - powiedział wuj Will.

Siedzieli w restauracji w Chinatown, Evie rozboleła głowa.

Goniła łyżką błyszczące pierożki w miseczce zupy.

- Kto by mógł zrobić coś takiego? - spytała w końcu Evie.

- Biorąc pod uwagę całą ludzką historię, pytanie powinno brzmieć raczej: dlaczego ludzie częściej nie robią takich rzeczy? - odparł Will. Zręcznie chwycił pałeczkami kawałek wołowiny i wsunął go do ust.

- To mogła być robota gangu. Może jej rodzina była winna komuś pieniądze - zasugerował Jericho.

- Ale czemu zadali sobie tyle trudu? - zastanawiał się Will. - Czemu postarali się, żeby zbrodnia robiła wrażenie okultystycznej... i to w dość dziwny sposób?

Will i Jericho rozważali różne pomysły, ale większość odrzucili. Evie milczała. Czuła, że musi się napić.

- Czy to z Apokalipsy? - spytał Jericho. - Nierządnicą Babilońska.

- Tak, też o tym pomyślałem. Apokalipsa wspomina o Nierządniczy Babilońskiej. Ale „nierządnicą przyozdobioną”... to bardzo charakterystyczna fraza. Nie wydaje mi się, bym słyszał ją wcześniej. - Pokręcił głową i zjadł kolejny kęs. - A przynajmniej nic mi nie przychodzi na myśl.

Evie wpatrywała się w miseczkę i myślała o straszliwych rzeczach, które widziała, kiedy trzymała klamerkę buta Ruty Badowski. A jeśli były ważne?

- Czy... czy kiedyś słyszeliście tę melodię? - spytała Evie, po czym zagwizdała melodyjkę, którą usłyszała w wizji.

Will zacisnął wargi i się zastanowił.

- Co to jest? Coś z radio? Jeśli zgadniesz, wygrasz w nagrodę zapas mydła Pears?

Evie pokręciła głową.

- To tylko głupia piosenka, którą ostatnio słyszałam. Zastanawiałam się, czy może coś znaczyć i... - Co? Czy mogła powiedzieć coś, co miałoby sens? - Nic takiego.

- Skoro tak mówisz. Spróbujesz kaczki?

Zwalczywszy falę mdłości, machnęła pałeczkami i odepchnęła jedzenie. Ale poczuła też ulgę. Może te niepokojące obrazy i piosenka nie miały nic wspólnego ze śmiercią dziewczyny. To mogło być cokolwiek. Naprawdę cokolwiek.

Uwagę Evie przyciągnęło jakieś zamieszanie. Obsługująca ich kelnerka, dziewczyna w czerwonej sukience w wieku Evie, popchnęła zawiniątko w stronę młodego mężczyzny i zwróciła się do niego po chińsku. Mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Pod jej spojrzeniem młodzieniec cofnął się. Drzwi do kuchni zatrzasnęły się za nim. Dziewczyna w czerwonej sukience pojawiła się przy ich stoliku ze srebrną tacą pełną ciasteczek z wróżbą. Evie zwróciła uwagę na jej bladozielone oczy.

- Podać coś jeszcze? - spytała z nutą uprzejmej irytacji.

- Nie, dziękuję. - Wuj Will zapłacił, a Evie wyciągnęła z ciasteczka kawałek papieru.

- I co masz? - spytał Jericho.

- „Twoje życie wkrótce się zmieni”. - Evie odrzuciła papieraś na bok. - Liczyłam na „Poznasz przystojnego bruneta”. A twoje, Jericho?

- „Aby zyskać zaufanie, trzeba zaryzykować tajemnice”.

- Intrygujące. Wujaszku?

Will pozostawił swoje nietknięte na tacy.

- Nigdy nie przepowiadam przyszłości, jeśli tylko mogę tego uniknąć.

Wyszli na brukowaną, wijącą się Doyers Street, zwaną „krwawym zakrętem”, ze względu na liczbę porachunków

między gangami, jakie się na niej odbywały. Ale tej nocy na ulicy panował spokój. Po drugiej stronie wąskiego bruku grupa mężczyzn zapalała świece w niewielkich białych lampionach i patrzyła, jak wznoszą się w ciemniejące niebo. Ulicę wypełniał zapach kadzidła.

- Święto Środka Jesieni - wyjaśnił wuj Will. - To ważna tradycja, święto plonów.

Kawałek dalej papierowe lampiony ozdobiły witrynę sklepu - Mee Tung Co., Importerzy. Łopotały na wieczornym wietrze. Obok sklepu, do ceglanego muru przyklejono kawałki papieru zapisane chińskimi znakami. Mężczyźni idący ulicą spoglądali na nie ukradkiem, kiedy je mijali.

- Co to takiego? - wyszeptała Evie.

- Lista firm, które nie współpracują z Tongami.

- Te nowomodne południowoamerykańskie tańce? Uwielbiam je!

- Tong to rodzaj bractwa lub też samorządu. W Chinatown są obecnie dwa, Hip Sing Tong i On Leong Tong. Rządziły Chinatown od dziesięcioleci, a od czasu do czasu prowadziły też krwawą wojnę. Przedsiębiorcy umieszczają te listy jako deklarację neutralności, by nie dotknęła ich przemoc.

- Co się tam dzieje? - spytała Evie. W jednym ze sklepów świeciło się światło, ukazujące zebraną grupę mężczyzn. - Najpewniej wysyłają listy do żon.

- Ich żony nie mieszkają z nimi?

- Ustawa wykluczająca Chińczyków z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego. - Wuj Will patrzył na nią, czekając na odpowiedź. - Czego oni teraz uczą w szkołach? Będziemy mieć naród kreacjonistów bez pojęcia o historii.

- W takim razie powinnam się cieszyć, że mnie uczysz.

- Tak. No cóż - odezwał się niepewnie Will, po czym wrócił do wykładu. - Ustawa wykluczająca Chińczyków miała powstrzymać kolejnych Chińczyków przed przyjazdem tutaj, kiedy już skończyli budować nasze linie kolejowe. Nie mogli sprowadzać swoich rodzin. Nie chroniło ich prawo. Zostali sami.

- To nie brzmi zbyt po amerykańsku.

- Wręcz przeciwnie, to niezmiernie amerykańskie - odparł gorzko Will.

Obeszli dookoła herbaciarnię i zobaczyli chłopca, którego tak zastraszyła dziewczyna w restauracji. Klęczał przed niewielkim ogniskiem i wkładał do niego arkusze kolorowego papieru.

- Co on robi? - spytała Evie.

- Odpędza duchy - powiedział wuj Will. Nie powiedział nic więcej.

MIEJSCE NA ŚWIECIE

Memphis usadowił się na idealnie czystej błękitnej sofie w saloniku na tyłach domu siostry Walker i czekał, a jego brat Isaiah siedział przy stole w jadalni, koncentrując się na rozłożonych kartach. Siostra Walker trzymała jedną w dłoni tak, że tylko ona ją widziała.

- Jaką kartę trzymam, Isaiahu?

- As trefl - odpowiedział chłopiec. Siostra Walker uśmiechnęła się.

- Bardzo dobrze. Dziewiętnaście z dwudziestu poprawnie. Naprawdę dobrze, Isaiah. Możesz poczęstować się cukierkiem.

- Następnym razem będę miał wszystkie dwadzieścia, siostró.

Isaiah sięgnął do misy z cukierkami stojącej na papierowej serwetce pośrodku świeżo nawoskowanego stołu, wyciągnął dwa cukierki Bit - O - Honey i rozerwał niebiesko - czerwony papierek.

- Zobaczymy, ale dziś świetnie ci poszło. I czujesz się dobrze?

- Tak, proszę pani - wymamrotał Isaiah z cukierkiem w ustach.

- Nie mów z pełnymi ustami - złajał go Memphis.

- To jak mam odpowiedzieć? Mam tylko jedno usta - odparł Isaiah, patrząc spode łba.

Niewiele było trzeba, żeby się wściekł, Memphis dobrze to wiedział.

- Dziękuję, siostró - powiedział Memphis znacząco, spoglądając na Isaiaha, który go ignorował.

- Oczywiście. Isaiahu, pamiętasz, co masz powiedzieć ciotce Octavii, prawda?

- Pomagała mi siostra w rytymetyce.

- Co zrobiłam, więc to żadne kłamstwo. Pamiętaj, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie powiesz cioci o tej dodatkowej pracy z kartami.

- Proszę się nie martwić - odparł Memphis. - Nie powiemy, prawda, mały?

- Chciałbym móc powiedzieć wszystkim, żeby wiedzieli, że jestem kimś - mruknął Isaiah.

- Jesteś kimś. - Siostra Walker podała mu kolejnego cukierka.

- Kimś innym - zażartował Memphis. Położył dłoń na głowie brata i obrócił ją. - Masz głowę jak piłka. I to jeszcze nierówną.

- To mój mózg! - Isaiah wiał się w uścisku Memphisa.

- Naprawdę? Sądziłem, że przez cały czas ukrywasz tam cukierki.

Isaiah zamachnął się na brata, który uskoczył ze śmiechem. Chłopiec znów ruszył do ataku, prawie przewracając przy tym lampę.

Siostra Walker popchnęła ich w stronę drzwi.

- A teraz, panowie, proszę zabrać swoje głupie pomysły na dwór i zostawić mój dom w jednym kawałku.

- Przepraszam, siostro - powiedział Memphis. Isaiah już ciągnął go na ganek. - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Ciotka Octavia czekała na nich w ciemnym salonie. Włożyła fartuch i nie wyglądała na szczęśliwą.

- Gdzie wy się podziewaliście? Wiecie, że kolacja jest o szóstej piętnaście, a jeśli się spóźnicie, to jej nie zjecie.

- Przepraszam, ciociu. Siostra Walker chciała być pewna, że Isaiah rozumie arytmetykę - powiedział Memphis, posyłając bratu ostrzegawcze spojrzenie.

- Margaret Walker - mruknęła Olivia. Podniosła łyżkę. - Nie wiem, czy chciałabym, żebyście utrzymywali z nią

kontakty. Ostatnio słyszałam o niej różne rzeczy, które mi nie pasują.

- Na przykład? - dopytywał się Isaiah.

- Nie chodzi do kościoła, to jedno.

- Chodzi! Należy do Abisyńskiego Kościoła Baptistów.

- Ha! - prychnęła Octavia. - Selma Johnson chodzi do Abisyńskiego i mówi, że Margaret Walker rzadko przekracza jego próg. Pan by jej nie poznał, gdybyś pokazał Mu zdjęcie. Prędzej traficie na starego Ślepego Billa Johnsona w kościele niż na pannę Margaret Walker.

Zapowiadało się na początek długiego wykładu i Memphis miał tylko nadzieję, że uda mu się zmienić temat. Ciotka czasami wygłaszała długie tyrady na temat ludzi, z powodu rzekomych zniewag i wyobrażonych krzywd. „Pan nie poznałby Panny Takiej - i - Owakiej, gdybyś pokazał Mu zdjęcie”. „Jeśli mnie spytacie, Barnabas Damson nie dostał od Boga ani krzty rozumu”. „Corinne Collins nie powinna uczyć w szkółce niedzielnej. Ona przecież nie radzi sobie nawet z własnymi dzieciakami, które zachowują się jak banda błaznów”. „Wiecie, spotkałam w spożywczym Swoosie Terell i udawała taką ważną, a to wszystko po tym, jak upiekłam jej placek ze śliwkami, kiedy jej matka była chora”. Zastanawiał się, jaki drobny grzeszek siostry Walker tak bardzo denerwował Octavię.

- Mówią, że Margaret Walker przed laty miała kłopoty - mówiła dalej Octavia. - Wyszła z więzienia i przeprowadziła się tutaj, żeby zacząć nowe życie. Gdyby nie była starą przyjaciółką waszej mamy, nie poświęciłabym jej nawet chwili.

- Siostra Walker była w więzieniu? - Isaiah otworzył szerzej oczy.

- Nie wiesz, czy to prawda, więc nie powtarzaj, stary - ostrzegł go Memphis.

- Nie wiesz wszystkiego, Memphisie Johnie! - Ciotka Octavia zbliżyła się do niego. - Ida Hampton mi powiedziała, a ja sądzę, że ona wie więcej niż ty.

Memphis zastanawiał się, czy Ida Hampton raczyła wspomnieć komukolwiek o swoim drobnym nałogu hazardowym.

- Słyszałam, że zajmuje się różnymi rzeczami, które nie są dobre.

„Nie są”, poprawił w duchu Memphis.

- Może nawet zajmuje się voodoo.

- Siostra Walker nie zajmuje się voodoo. Pomaga Isaiahowi w nauce liczenia.

- Nie wiem, czy to dobrze, że się z nią zadajecie. - Ciotka Octavia oparła dłonie na biodrach i odwróciła się do Isaiaha. - Robi coś takiego z tobą, Isaiahu? Magiczne sztuczki z kartami albo kładzie twoje ręce na kryształowej kuli i rozmawia z duchami? Cokolwiek w tym rodzaju?

Memphis próbował ostrzec wzrokiem młodszego brata: „Nic nie mów”.

- Nie, proszę pani.

- Patrz mi w twarz, kiedy to mówisz. Spójrz mi prosto w oczy i powtórz.

Isaiah lekko poruszył głową, próbując spojrzeć poza Octavię na Memphisa, ale ciotka się zorientowała i podeszła bliżej, zasłaniając mu widok.

- Nie patrz na brata. To ja pytam. Patrz na mnie. Memphis wstrzymał oddech. Czuł pulsowanie krwi w czaszce.

- Pomaga mi z rytmetyką - powiedział Isaiah. Ciotka Octavia stała przez chwilę bez ruchu.

- Cóż. Macie być ostrożni w jej obecności, słyszycie? Memphis odetchnął głośno.

- Tak, proszę pani - odpowiedzieli jednym głosem obaj chłopcy.

- Memphis, wiem, że nie wmieszałbyś swojego brata w sprawy diabła - powiedziała Octavia, wpatrując się w niego. - Nie po tym wszystkim, co przeszła ta rodzina.

Memphis zacisnął zęby.

- Nie, ciociu. Nie zrobiłbym tego.

Octavia jeszcze przez chwilę patrzyła mu w oczy, po czym naląła im do szklanek mrożonej herbaty.

- Obiecałam waszej mamie, że się wami zaopiekuję. Nie zniosłabym, gdyby któremuś z was coś się stało. - Octavia ujęła policzki Isaiaha w dłonie i pocałowała go w czubek głowy. - Umyjcie się przed kolacją. Memphis, ty dziś odmawiasz modlitwę. A później możesz wziąć Pismo z kredensu i zająć się czytaniem go. - Kiedy Memphis nie odpowiedział, Octavia zawołała z kuchni: - Słyszałeś mnie, Memphisie Johnie Campbellu?!

- Tak, proszę pani - mruknął Memphis. Pewnego dnia zabierze ich obu z domu ciotki.

Kiedy już się starannie umyli, usiedli przy starym drewnianym stole, który ich dziadek, cieśla, wyrzeźbił w prezencie ślubnym dla swojej młodej żony, i pochylili głowy.

- Pobłogosław, Panie Boże, te dary, które z Twojej szczodroblewości spożywać mamy...

Memphis wypowiedział te słowa bez uczucia. Nie myślał o wdzięczności za kolację, lecz o szczodroblewości, na jaką sam liczył. Modlił się o miejsce na świecie - własne słowa w książce i wieczór literacki w salonie przy Striver's Row, miejsce przy stole obok Whitmana, Cullena i pana Hughesa.

- Przez Jezusa, Pana naszego. Amen.

Octavia postawiła na stole naczynie żaroodporne z pieczonymi słodkimi ziemniakami.

- Chcę, żebyście byli bardzo ostrożni. Słyszeliście o tej sprawie pod mostem?

Chłopcy potrząsnęli głowami.

- Pewnie nie. Usłyszałam to od Bessie Watkins, która dowiedziała się od Delilah Robinson, której mąż pracuje w dokach. Zadzwoił do niej niedawno. Jakiś szalenciec pocałował kobietę.

- To nie jest temat do rozmowy przy obiedzie! - powiedział Isaiah z ustami pełnymi ziemniaków.

- Zdejmij łokcie ze stołu. I nie mów z pełnymi ustami. To jest niewłaściwe przy stole. - Octavia pokręciła głową, smarując kromkę chleba masłem. - Nie wiem, co się dzieje z tym światem. Jakby krążył coraz bliżej Dnia Sądu.

Memphis nie znośił, kiedy ciotka mówiła w taki sposób. Nigdy nie zmarnowała okazji, żeby zamartwiać się bliskim końcem - i nigdy nie marnowała okazji, żeby zamartwiać innych swoimi przemyśleniami.

- Tak czy inaczej, chcę, żebyście byli ostrożni. Isaiah, nie chcę, żebyś wychodził sam po zmroku. Memphis, masz tego dopilnować.

Memphis przełknął ziemniaki.

- Ja? Marvin tobie powierzył opiekę, prawda?

- Nie mów do mnie takim tonem. I nie mów o swoim ojcu Marvin.

- Tak ma na imię, prawda?

- Właściwie, dostałam dziś list od waszego ojca.

- Wraca? - spytał Isaiah.

Octavia uśmiechnęła się łagodnie i Memphis już wiedział, co było w liście, nie musiał go nawet czytać.

- Jeszcze nie, dziecko. Wciąż się nie zadomowił.

- Zadomawia się od prawie trzech lat - powiedział Memphis, nakładając na talerz łyżkę fasolki.

- Pracuje ciężko i przysyła pieniądze na utrzymanie was obu. Nie wiesz wszystkiego, Memphisie Johnie.

- A co się stało pani pod mostem? - spytał Isaiah. Memphis posłał ciotce paskudne spojrzenie.

- Teraz się tym nie przejmuj. Jedz fasolkę. I wypij mleko albo nie urośniesz.

- I wtedy będziemy musieli nazywać cię Karzeł. Stary Karzeł Campbell - zażartował Memphis, próbując odwrócić uwagę brata. - Tak mizerny, że rodzinka musiała nosić go na toście. Tak mały, że nosił kapelusz z zęba. Tak nieprawdopodobnie karłowaty, że nawet ropuchy go żałowały.

Isaiah wypił trochę mleka i się roześmiał. Octavia zaczęła łąać ich obu, ale nawet ona nie umiała powstrzymać chichotu. Dlatego Memphis opowiadał dalej swoją historyjkę, coraz bardziej zakręconą, jakby mogła ich związać ze sobą i sznurami stów zatrzymać razem w tej chwili.

W cichej kuchni siostra Walker włączyła radioodbiornik. Zasyczał i ożył, męski głos zachwalał zalety produktów dentystycznych Parkera. Nie wyłączyła go. Znów wrócił ten męczący kaszel, więc wyłowiła pastylkę z pojemnika obok cukiernicy, po czym zapaliła gaz pod czajnikiem. Isaiah był obiecujący. Bardzo obiecujący. Od tak dawna nie spotkała nikogo podobnego. Ale starała się zbytnio nie ekscytować. Dobrze wiedziała, że taka obietnica często płonęła jasno, po czym przygasiała i zupełnie znikiała - jak słyszała, tak było z Memphisem.

Siostra Walker wróciła do salonu i włączyła lampę. Światło żarówki wypędziło wieczorne cienie z pokoju. Zdjęła z gwoźdźcia obraz przedstawiający Paryż i oparła go o ścianę. Za obrazem na tynku rysował się niewielki niewyraźny kwadrat. Podniosła go i z wnętrza ściany wyciągnęła grubą teczkę. Siedząc na idealnie czystej sofie, przeglądała akta, po raz kolejny czytała zebrane materiały w poszukiwaniu czegoś, co mogła przegapić. W kuchni zagwizdał czajnik. Siostra Walker aż podskoczyła, po czym roześmiała się z własnej nerwowości. Zabezpieczyła akta, zamknęła ścianę i równo

powiesiła obraz. Herbata była gorąca i łagodziła grzechotanie w piersiach. Kobieta przejrzała wycinki z gazet, które gromadziła.

Jeśli miała rację co do Isaiaha Campbella, moc powracała. Co to znaczyło? Jak wielu było mu podobnych? Do czego byli zdolni?

I ile jeszcze mieli czasu, nim zostaną odkryci?

SERCA LUDZI

Było już późno, kiedy Evie, Will i Jericho wrócili do muzeum. W wysokiej bibliotece wuj Will jechał od półki do półki na swojej drabinie na kółkach, przeciągając palcami wzdłuż grzbietów i podając różne tomy Jericho. Zawołał z góry do Evie:

- Zobacz, czy uda ci się znaleźć Biblię! Powinna być w sali zbiorów.

Evie nie cieszyła perspektywa udania się do tego pomieszczenia, szczególnie w nocy.

- Nie mógłby tego zrobić Jericho? Lepiej ode mnie zna muzeum.

- Jericho mi pomaga, a o ile dobrze widzę, jesteś zdolna chodzić. Upierałaś się, żeby dziś pojechać z nami, prawda?

- Tak, ale...

- To zrób coś pożytecznego.

Evie szybko przechodziła przez muzealne sale, po drodze zapalając światła. Nie obchodziła jej wysokość rachunku za prąd, chciała, żeby było jasno jak na głównej ulicy. Zatrzymała się w drzwiach do sali zbiorów i rozejrzała z nadzieją, że uda jej się zlokalizować potrzebny tom bez konieczności wędrowania po ogromnej przestrzeni wypełnionej tajemniczymi przedmiotami. Kiedy było jasne, że musi wejść do środka, pokręciła korbką starego patefonu Victrola, żeby dotrzymał jej towarzystwa i ją uspokoił. Rozległo się szumiące nagranie kogoś grającego ragtime na pianinie. Wesoła melodia pomogła jej zapanować nad nerwami, kiedy zaczęła przeszukiwać pomieszczenie. W kącie przy kominku potknęła się o coś pod perskim dywanem. Uniósłszy jego róg, ujrzała żelazne kółko w niewielkich drzwiczkach w podłodze, jakby prowadzących do schronu przeciwsztormowego. Były zbyt ciężkie, by je podnieść, i sprawiały wrażenie, że nikt ich nie ruszał przez wiele lat.

Wygładziła dywan. Na bocznym stoliku zobaczyła Biblię służącą jako podstawka pod paprotkę w doniczce.

- A matka mówi, że to ja jestem poganką.

Muzyka ucichła. Płyta syczała przez chwilę, po czym rozległ się męski głos.

- Całe życie widziałem umarłych - mówił, przeciągając samogłoski. - Niektórzy pragnęli jedynie spokoju. Ale nie wszyscy. Wcale nie. Na tym świecie jest zło, zło w sercach ludzi, zło, które żyje w...

Evie zdjęła igłę z płyty i wybiegła z sali, nie gasząc świateł. - Bardzo długo to trwało - stwierdził Will, kiedy zdyszana Evie wpadła do pokoju. Wraz z Jericho zgromadził stertę książek, które wkładali do dyplomatyki Willa.

- Poszłam po Biblię do Jerozolimy. Wiedziałam, że będziesz wolał oryginał - warknęła Evie. - Wiecie, że w podłodze są drzwi? - Tak - odpowiedział Will.

- To dokąd prowadzą? - spytała Evie z irytacją.

- Pod nimi są schody do ukrytej piwnicy i tunelu. To była stacja Podziemnej Kolei. Sama Sojourner Truth ukrywała tam zbiegłych niewolników - wyjaśnił Will. Wziął Biblię i schował ją do teczki. - Teraz pewnie znajdziesz tam tylko kurz i szczury. Idziemy?

Evie i Jericho czekali na szerokich frontowych schodach, kiedy wuj Will zamykał muzeum. Włączyły się latarnie, wypełniając Central Park niesamowitym blaskiem. Kątem oka Evie zauważyła coś, co przyciągnęło jej spojrzenie.

- Co się stało? - spytał Jericho. Podążył za wzrokiem Evie.

- Wydawało mi się, że ktoś nas obserwuje - odparła dziewczyna, rozglądając się po parku. Nic nie widziała. - Musiałam się pomylić.

- To był długi dzień - powiedział łagodnie Jericho. - Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby wzrok płatał ci figle.

- Pewnie masz rację - zgodziła się Evie, ale dręczyło ją poczucie, że widziała Sama Lloyda.

Miała niewyraźne wrażenie, że widzi go opartego o drzewo i emanującego tą przesadną pewnością siebie, która tak ją drażniła. Ale Jericho miał rację - nikogo tam nie było, jedynie latarnia i park.

Sam ukrywał się za kamieniem, aż odeszli. Zobaczyła go. Przez krótką chwilę, ale to wystarczyło. Co w tej dziewczynie sprawiało, że opuszczało go cwaniactwo? Przybył do muzeum, licząc na to, że namówi ją, żeby oddała mu kurtkę, ale wtedy zobaczył detektywa i postanowił wrócić, kiedy muzeum opustoszeje, żeby ukraść kurtkę - i wszystko, co mogło mu się przydać.

Sam nie śpieszył się w zamieszaniu i zgiełku Times Square. Wybrał sobie ofiarę w postaci marynarza kręcącego się bez celu na rogu Broadwayu i Czterdziestej Trzeciej. Ulice wypełniali ludzie wracający z pracy do domów. Większość kieszonkowców uznawała to za dobry czas na prowadzenie działalności, gdyż ludzie byli rozproszeni. Ale Sam miał coś jeszcze - niesamowitą zdolność do poruszania się tak, że nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie chodziło o to, że był niewidzialny, raczej umiał kierować myśli ludzi na coś innego w taki sposób, że ich oczy go nie rejestrowały. Musiał jedynie pomyśleć: „Nie zobacz mnie” i ta osoba go nie widziała. I do tego był szybki, poruszał się jak kot. W tych chwilach słyszał jedynie swój regularny oddech, kiedy wyciągał portfel z kieszeni, zwijał torebkę ze stolika w restauracji albo kradł chleb ze sklepowej półki. Nie wiedział, jak to działało i dlaczego - ale działało. Tak się utrzymywał przez ostatnie dwa lata.

Miał wyraźne wspomnienie pierwszego razu, kiedy to się wydarzyło. Był mały, miał dziesięć, może jedenaście lat -

minęło już trochę czasu od kiedy odeszła jego matka. Ojciec miał zegarek, który wcześniej należał do dziadka Sama. Sam dostał polecenie, by go nie dotykać i właśnie ten zakaz uczynił go tak kuszącym. Pewnego dnia wykradł go z szuflady ojca i przesmuglował skarb w kieszeni, by pokazać go innym chłopcom na szkolnym dziedzińcu, w nadziei, że zrozumieją jego wartość i przestaną z niego szydzić z powodu jego akcentu, ubrań, mikrego wzrostu. Oni jednak wyśmiali go. „To? To tylko tani zegarek”, powiedział ich przywódca i rozdeptał go. Sam bał się wrócić do domu i spojrzeć ojcu w twarz. Siedział na kanapie, czekał i marzył o kryjówce. Kiedy ojciec wrócił do domu, strach Sama był tak wielki, że znów poczuł się tak, jakby był małym dzieckiem. Wyobrażał sobie, że mógłby zamknąć oczy jak w zabawie w chowanego i druga osoba go nie zobaczy. Usłyszał zbliżające się kroki ojca, wołającego go po imieniu. Nie zobacz mnie, pomyślał Sam. „Nie zobacz mnie”, powtarzał szeptem, jak modlitwę. I wtedy ojciec spojrzał prosto na niego i ruszył dalej, wołając go po imieniu, jakby był duchem.

Sam nie umiał tego wyjaśnić. Przypomniawszy sobie coś dziwnego, co kiedyś powiedziała mu matka. Byli w łazience, matka obmywała zadrapania - szkolne łobuzy dogoniły go i przewróciły na ulicę. „Nie martw się, lubimyj. Masz dary, których oni nie mają”. „Co masz na myśli?”, spytał, krzywiąc się, kiedy przycisnęła wilgotny ręcznik do jego obtartej brody. „W swoim czasie zobaczysz”. W swoim czasie zobaczył, ale zastanawiał się, czy to właśnie miała na myśli, a jeśli tak, to skąd wiedziała.

Próbując się rozgrzać, Sam uważnie obserwował marynarza i myślał o swojej kurtce. Nie chodziło o samą wełnianą kurtkę o marynarskim kroju, liczyła się jedynie pocztówka ukryta w wewnętrznej kieszeni. Nie robiła większego wrażenia - podniszczony rysunek majestatycznych,

zaśniezonych gór i wysokich drzew. Nie towarzyszył mu żaden znaczek. Z tyłu wypisano trzy słowa po rosyjsku. Ta pocztówka była jedynym, co Sam zabrał z domu ojca w Chicago, kiedy uciekł z wędrownym cyrkiem kierującym się na wschód. W ciągu sześciu miesięcy od przybycia do Nowego Jorku z trudem się utrzymywał. Ale los mógł się szybko odmienić. Gazety były pełne historii o karierach „od zera do milionera”, o ludziach w rodzaju Henry'ego Forda czy Jake'a Marlowe'a. Sam również się dorobi, a wtedy odnajdzie miejsce przedstawione na pocztówce. Odnajdzie ją. Evie, jej wuj i germański olbrzym najwyraźniej poszli sobie na dobre, więc Sam wyciągnął scyzoryk i bez trudu włamał się do muzeum. Jak na jajogłowego, profesorek mało zastanawiał się nad zabezpieczeniem swoich skarbów. Światło ulicznych latarni wpadało przez witrażowe okna muzeum, sprawiając, że wewnątrz wypełniała bursztynowa poświata. Sam zaczekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do półmroku, i ruszył przez cichą rezydencję w poszukiwaniu kurtki. Całego tego zamieszania mógłby uniknąć, gdyby wykorzystał swoją umiejętność przeciwko Evie O'Neill na dworcu Penn Station. Ale z jakiegoś powodu chciał, żeby go zobaczyła. Chciał z nią porozmawiać. A kiedy nadszedł czas, chciał ją pocałować niemal tak bardzo, jak chciał ukraść jej pieniądze. I to go zgubiło. Teraz był w Muzeum Niesamowitości i szukał swojej kurtki.

Z marynarzem było o wiele łatwiej. Kręcił się na rogu, nie wiedząc, czy pójść do przodu, skrócić w prawo czy w lewo, i w tej właśnie chwili Sam doskonale odczytał biedaka. Kiedy marynarz w końcu przeszedł przez ulicę, Sam nadchodził z przeciwnej strony. Nie zobacz mnie, pomyślał, i nawet jeśli ktoś spoglądał w jego stronę, wzrok miał zamglony. Chłopak bez trudu przeszedł przez tłum i z łatwością wyciągnął portfel marynarza z kieszeni spodni, po czym odszedł niezauważony.

Gdzie się podziała jego kurtka? Sam przypadkiem włączył lampkę na biurku. Jej blask padł na grubą na pięć centymetrów stertę wycinków z gazet. Przeglądał historyjki z pogardliwym uśmieszkiem. Opowieści o duchach. Niesamowite historie wymyślane przez ludzi, którzy bali się życia. Albo chcieli zwrócić na siebie uwagę. Znał ten typ. Uśmieszek zniknął jednak, kiedy wzrok Sama padł na niewielki artykuł z gazety z Kansas opowiadający o piętnastoletniej dziewczynie, która zapadła na senną chorobę. Tuż przed śmiercią powtarzała frazę, która zbiła z tropu jej rodzinę. Były to dwa słowa, powtarzane raz za razem, „Projekt Bizon”.

Sam odłożył drżącymi dłońmi artykuł na stertę. Jeśli ten profesor Fitzgerald coś o tym wiedział, to musiał trzymać się blisko niego, może przymilając się jego siostrzenicy, co wydawało się pomysłem pierwsza klasa. O ile oczywiście nie zabije go w ataku złości. Z pewnością wydawała się do tego zdolna. Sam uśmiechnął się na tę myśl, lubił wyzwania. A to z pewnością było wyzwanie. Potrzebował jedynie dojścia.

Zauważył je na ścianie w sali zbiorów.

CEREMONIALNY SZTYLET

MASONSKI Z POCHWA, WŁASNOŚĆ CORNELIUSA
T. RATHBONE'A,

ZMARŁEGO W 1855 R.

To się nada, pomyślał Sam, chowając go za koszulą. Później opuścił muzeum. Uznał, że w ciągu najbliższego dnia odzyska kurtkę i może dostanie też parę groszy nagrody.

CZEGO SIĘ NIE MÓWI

Evie poszła prosto do mieszkania Mabel. Dziewczęta minęły wypełniony dymem papierosowym salon, gdzie rodzice Mabel prowadzili spotkanie polityczne. Kiedy zamknęły drzwi do sypialni, słyszały dorosłych dyskutujących nad kawą o prawach robotników.

- Co się stało? Wyglądasz koszmarne - powiedziała Mabel.

- Miałam naprawdę paskudny dzień, dziewczyno.

Evie opowiedziała Mabel o makabrycznym zabójstwie Ruty Badowski, nie wspomniała jednak o doświadczeniu z klamerką.

Znała Mabel - jej przyjaciółka była aktywistką tak samo jak jej rodzice. Pewnie zaciągnęłyby Evie na posterunek i kazała złożyć zeznania. Evie jednak nie chciała przypominać sobie straszliwych rzeczy, które widziała.

- To okropne! Myślisz, że twój wuj Will pomoże im odnaleźć zabójcę?

- Jeśli komuś się to uda, to wujaszкови. Jest geniuszem.

- Pomożesz mu? Evie zadrżała.

- W życiu.

W drugim pokoju dyskusja zmieniła się w kłótnię. Ktoś walnął pięścią w stół i ryknął:

- Musimy zrobić więcej!

Tymczasem pani Rose próbowała uspokajać i łagodzić.

- Mabel, mogę tu dziś spać? Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz spać przy takim akompaniamencie?

Evie pokiwała głową. Potrzebowała hałasu. Być może uda mu się odegnąć koszmary.

Mabel wzruszyła ramionami.

- Jak sobie chcesz. Tu masz koszulę nocną.

Evie uniosła bardzo przyzwoitą, zapinaną pod szyją koszulę i przyjrzała jej się z krzywą miną.

- Jeśli umrę tej nocy, zdejmij ją ze mnie, proszę.

- Mogłabyś mi przypomnieć, dlaczego jesteśmy przyjaciółkami?

- Ponieważ mnie potrzebujesz.

- Chyba odwrotnie, Evie O'Neill.

- Pewnie tak. - Evie pocałowała Mabel w policzek. - Jesteś naprawdę wspaniałą przyjaciółką, Mablesie, kochana.

- Nie zapominaj o tym.

Wślizgnęły się do łóżka Mabel i patrzyły, jak światło rzuca cienie na sufit pokoju. Rozmawiały o Operacji Jericho i biednym Rudolphie Valentino, a także o przyszłości, jakby mogły ukształtować migoczący przebieg przeznaczenia tajemnymi wyznaniem szeptanymi jak modlitwa w ciepłej ciszy pokoju. Rozmawiały, aż obie zaczęły zasypiać.

- Czy kiedyś wiedziałaś coś, o czym bałaś się powiedzieć? - spytała Evie. Miała wrażenie, że nigdy wcześniej nie była tak zmęczona.

- Co masz na myśli? - wymamrotała Mabel.

- Nie jestem pewna - mruknęła Evie.

Chciała powiedzieć więcej, ale nie wiedziała, jak zacząć, a Mabel już zasnęła.

Pod zrujnowanym okapem starego domu pająk czekał i przyglądał się, jak nieszczęsna mucha wpada w jego sieć. Kiedy stało się jasne, że mucha została uwięziona, pająk ruszył naprzód, otaczając owada jedwabnym całunem.

Podobnie jak pająk, dom również obserwował. Czekał. Czekał przez wiele lat, przez śmierć kolejnych prezydentów i wojny. Czekał, gdy pierwszy samochód ruszył z rykiem bitą drogą, a samolot rzucił wyzwanie grawitacji. Teraz czekanie się zakończyło.

Głęboko w starej piwnicy na palenisku zapłonął ogień. Za paleniskiem znajdowało się tajemne przejście do ukrytego pokoju, którego ściany migotały słabo symbolami wymalowanymi przed wielu laty. Nieznajomy zakręcił korbą, a wtedy wysoko nad nim zaskrzypiała zardzewiała metalowa krata i otworzyła się, ukazując nocne niebo nietknięte blaskiem świateł wielkiego miasta. To było doskonałe miejsce, by obserwować, jak przelatują niespokojne chmury. Patrzeć w gwiazdy. Lub też ujrzeć pełną chwałę przepowiedzianej komety. Nieznajomy stał nagi pod niebem. Jego migocząca skóra również była gobelinem pełnym symboli. Umieścił oczy na ołtarzu i skłonił głowę, czekając, jak pajak, jak dom.

Pomieszczenie wypełniły szepty, z początku ciche, później głośniejsze, jak dźwięk tysiąca wirów pyłowych na pustyni. Mrok się poruszył. Cienie przycisnęły się do nieznajomego i ofiary, a odległe zimne gwiazdy odwróciły wzrok.

OMENY

„Daily News” opatrzył historię śmierci Ruty Badowski siedmiocentymetrowym nagłówkiem - MORDERSTWO NA MANHATTANIE! - nad ziarnistym zdjęciem przedstawiającym jej zapłakanych rodziców. Evie przeczytała doniesienia we wszystkich gazetach, czekając na powrót Willa z posterunku. Wspominano, że było to morderstwo rytualne i że zabójca pozostawił kartkę z cytatem z Biblii i okultystycznymi symbolami, ale nie podawano, jakie to symbole. Detektyw Malloy najwyraźniej nie ujawnił szczegółów. Evie żałowała, że poznała szczegóły. Obudziła się z tą koszmarną melodyjką w głowie.

Żadna z gazet nie wspominała o udziale Willa w śledztwie, czego Evie żałowała. Wiedziała, że to straszna sprawa, ale każda reklama jest dobra, a wzmianka o wuju Willu w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa mogłaby ściągnąć ludzi do muzeum. Otworzyli o wpół do jedenastej, a jedynym gościem był mężczyzna z Teksasu, który tak naprawdę chciał im sprzedać miejsca na cmentarzu. Evie widziała stertę rachunków na biurku wuja Willa, razem z listem z urzędu skarbowego i od pośrednika w handlu nieruchomościami. Jeśli nie będą mieli więcej odwiedzających, trafią na ulicę. A Evie wróci do Ohio.

- Czy zawsze tak jest? - spytała Evie Jericho, który wczytywał się w religijny tekst pachnący kurzem.

Jericho podniósł wzrok, wyraźnie zdezorientowany.

- Zawsze jak?

- Martwo.

- Nie ma wielkiego ruchu - przyznał Jericho.

W tej chwili Evie w żaden sposób nie mogła pomóc muzeum, ale mogła zrobić krok w Operacji Jericho. Podciągnęła krzesło bliżej i zrobiła zamyśloną minę.

- Wiesz, kto byłby ab - so - lut - nie cudowny w takich sprawach? Mabel.

- Mabel? - Jericho miał zadumane spojrzenie człowieka, który próbuje coś umiejscowić.

- Mabel Rose! Mieszka na dole w Benningtonie - mówiła dalej Evie. Jericho nadal wydawał się zagubiony. - Często przychodzi w odwiedziny i mówi głośno pełnymi zdaniami. Słyszałeś jej głos. Spróbuj sobie przypomnieć.

- Ach, ta Mabel.

- Właśnie. Skoro już wiemy, o którą Mabel chodzi, co o niej sądzisz? Ja myślę, że to świetna dziewczyna. I jaka błyskotliwa. Wiedziałaś, że zna łacinę? Umie kognitywnie koniugować! - Evie się roześmiała.

- Kto? - spytał Jericho, przewracając kartkę.

- Mabel! - powtórzyła z irytacją Evie. - I ma doskonałą figurę. Owszem, ukrywa ją pod tragicznymi sukienkami, ale mówię ci, ta figura tam jest.

- Masz na myśli Mabel z mieszkania 16 E? - Tak!

Jericho wzruszył ramionami. - Wydaje się miłą dziewczyną. Evie rozpromieniła się.

- Prawda, że tak? Bardzo, bardzo miłą. Może kiedyś zjemy kolację we trójkę?

- W porządku - odpowiedział z roztargnieniem Jericho.

Evie uśmiechnęła się. Przynajmniej Operacja Jericho zaczęła się z przytupem. Plan dla muzeum miała zamiar opracować później.

- Co zrobisz, pisarzu?

Gabe stał między Memphisem a koszem, z wyciągniętymi ramionami i palcami gotowymi do przechwycenia. Podeszwy ich butów piszczały na drewnianej podłodze kościelnej sali gimnastycznej. Pod sufitem kręciły się wentylatory, ale

chłopcy i tak się pocili. Memphis przetarł czoło ramieniem, planując kolejny ruch.

- Będiesz tak stał cały dzień? - zażartował Gabe. Memphis zrobił zwód w lewo. Gabe złapał przynętę i rzucił się, pozwalając Memphisowi przebiec po prawej. Błyskawicznie przebył salę i bez trudu wpakował piłkę do kosza. Gabe padł na podłogę.

- Poddaję się.

Memphis pomógł mu wstać.

- Niezła gra.

Gabe roześmiał się, gdy schodzili razem z sali.

- Oczywiście, że dla ciebie była niezła. Wygrałeś. Przebrali się i poszli coś zjeść.

Gabe odchrząknął.

- Słyszałem, że Jo tylko skrzyła kostkę.

- To dobrze - odparł Memphis. Nie chciał w to wchodzić.

- Ale i tak przez dwa tygodnie nie może pracować.

- Wielka szkoda.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- A co jeszcze mógłbym powiedzieć?

- Próbowalesz kiedyś... Memphis zatrzymał się gwałtownie.

- Mówiłem ci. Już tego nie umiem. Od czasu mojej matki. Gabe uniósł ręce.

- Dobra, dobra. Nie denerwuj się. Jak nie możesz, to nie możesz.

W milczeniu przeszli do następnej przecznicy. Memphis zauważył kruka przelatującego z latarni na latarnię, dotrzymującego im kroku.

- Przysięgam, że ten ptak mnie śledzi - powiedział.

Gabe roześmiał się i zakręcił swoją szczęśliwą króliczą łapką, która wisiała na łańcuszku na jego palcu. Przysięgał, że przynosi mu szczęście i nigdy nie grał bez niej koncertów.

- Mówiłem ci, Casanovo, musisz przestać dawać tym ptaszkom czekoladki i kwiaty. Później nie dają ci spokoju.

- Nie żartuję. Widzę go codziennie od dwóch tygodni. Gabe uniósł brwi i uśmiechnął się.

- I jesteś pewien, że to ten sam kruk? Ma imię? Może Alice. Albo Berenice! Tak, proszę pana, ona wygląda mi na Berenice.

Memphis zorientował się, że Gabe będzie z tego żartował przez najbliższe tygodnie.

- Memphis, to tylko ptak. Ptaki latają, gdzie chcą, bracie. To właśnie robią. Nie śledzi cię i to nie jest żaden znak. Chyba że rzeczywiście dawałeś mu kwiaty i czekoladki, ale wtedy byłbyś naprawdę dziwny.

Memphis roześmiał się, zrzucając z siebie paskudne przeczucie jak niepotrzebny płaszcz. Gabe miał rację - bez sensu dał się przestraszyć. To przez ten szalony sen, który nie dawał mu spokoju. Nic dziwnego, że na każdym rogu widział omeny.

Usiedli w boksie u pana Reggiego i zamówili kanapki i kawę.

- Wczoraj napisałem nowy wiersz - powiedział Memphis.

- Kiedy pokażesz te swoje poezje komuś innemu niż trupy na cmentarzu?

- Nie są jeszcze wystarczająco dobre.

Gabe wyciągnął rękę i zabrał pikla z talerza Memphisa.

- Skąd wiesz, jeśli nikt ich nie przeczytał? Któregoś dnia musisz pójść prosto do domu panny A'Lelii Walker i powiedzieć: „Dzień dobry pani. Nazywam się Memphis Campbell i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby przeczytała pani moje wiersze”. - Gabe zjadł pikla i wytarł ręce serwetką przyjaciela. - Życie do ciebie nie przyjdzie. Sam musisz je sobie wziąć. Musimy je sobie wziąć. Bo nikt nam go nie poda na tacy. Rozumiesz? A teraz - Gabe rozparł się w niewielkim

boksie i szeroko rozłożył ręce - zapytaj mnie, dlaczego tak się szczerzę.

Memphis przewrócił oczami.

- Dlaczego się tak szczerzysz, Gabe?

- Zgadnij, kto gra na trąbce na nowej płycie Mamie Smith?

- Ej, bracie!

- Wczoraj w klubie dowiedziałem się od Clarence'a Williamsa z wytwórni Okeh Records. Chcą, żebym jutro przyszedł. - Gabe potrząsnął głową. - Ja mam grać dla panny Mamie Smith.

- Co z Mamie Smith? - Alma opadła na siedzenie obok Gabe'a i poczęstowała się jego sałatką ziemniaczaną.

- Czy ja cię zapraszałem? - zażartował Gabe.

- Sama się zaprosiłam. Temu stolikowi przyda się więcej klasy.

- Ten tu pan Gabriel Rolly Johnson jest teraz artystą nagrywającym dla wytwórni Okeh Records i będzie dał w trąbkę dla samej panny Mamie Smith.

Alma pisnęła z podniecenia i objęła Gabe'a.

- Wiesz, co to znaczy, kochanie? - Co?

- To znaczy, że możesz mi kupić lunch. Hej, panie Reggie! - zawołała. - Poproszę kanapkę z klopsem, na rachunek Gabe'a. I jeszcze koktajl! - Zmrużyła oczy i spojrzała na Memphis'a. - Co cię zre?

- Nic takiego, ostatnio źle sypiam.

- Ach tak? - Alma wyduła wargi. - Jak ona ma na imię?

- Ma na imię Berenice i jest bardzo upartym ptaszkiem - zażartował Gabe i sam wybuchł śmiechem. Uderzył ręką w stół, aż podskoczyła królicza łapka.

- Nie ma nikogo - wtrącił pośpiesznie Memphis.

- I na tym polega twój problem, bracie - stwierdził Gabe, wycierając oczy. Dołożył do swojej kanapki taką ilość ostrych

pikli, że Memphisowi aż zakręciło się w nosie. - Musisz podnieść głowę znad tego swojego zeszytu i w sobotę pójść ze mną do klubu. Znajdziemy ci dziewczynę.

Alma skrzywiła się.

- Jak ty możesz jeść coś takiego, Gabrielu?

- Pomaga mi utrzymać usta w formie, kochanie.

Memphis zamieszał kawę.

- Ja nie chcę jakiejś tam dziewczyny. Ja chcę tę dziewczynę. Alma uniosła mały palec i zadarła brodę.

- Ach. Ta dziewczyna.

Gabe odezwał się równie władczy tonem.

- Mówię ci, stary. Przekaż jej ode mnie pozdrowienia.

Alma i Gabe jak zwykle zaczęli sobie żartować z Memphisa, jakby był zadufany w sobie. Chłopak wiedział, że nie może pokazać, że te żarty go irytują, dlatego uśmiechnął się szeroko i chwycił plecak.

- Muszę lecieć do San Juan Hill i załatwić parę spraw dla Papy Charlesa. A, i dzięki za lunch, Gabrielu.

- Ej! - zawołał za nim Gabe, kiedy przyjaciel wyszedł i zostawił go z rachunkiem do zapłacenia.

- Hej, hej... panie Campbell, to pan?! - zawołał Ślepy Bill z krzesła przed salonem fryzjerskim Floyda. Czasem Floyd wystawiał stare krzesło i pozwalał, żeby staruszek grał dla jego klientów albo po prostu cieszył się słońcem. - Wiem, że to pan. Proszę sobie nie żartować ze starego Billa. Czy moja liczba dziś wypadła?

- Nie, proszę pana. Przykro mi. Powodzenia następnym razem.

- Słyszałem, że niektórzy grają na liczby, które wzięli z tego morderstwa pod mostem.

- Tak, proszę pana. Niektórzy mają na to liczbę.

- Ech. - Ślepy Bill splunął. - Z tego nic dobrego nie przyjdzie. Nie gra się na liczbę morderstwa, takie jest moje zdanie.

- Ja tylko wypisuję pokwitowania.

- Widzę tę liczbę. To znaczy, w snach. Widzę dom i jest na nim liczba, ale nigdy nie mogę jej odczytać.

Memphis nigdy nie myślał o snach niewidomych. Jak stary Bill mógł widzieć dom i liczbę, skoro wcale nie widział? Ale o Billu krążyły pogłoski - stracił wzrok, kiedy napił się kiepskiej whiskey. Został pobity i zostawiony na śmierć, bo nie spłacił karcianego długu. Skrzywdził kobietę, a ona go przeklęła. Niektórzy mówili, że stracił wzrok, grając w karty z diabłem, a teraz uciekał, żeby zachować duszę. Ludzie mówili różne rzeczy.

Kruk znów zakrakał. Ślepy Bill zwrócił głowę w jego stronę.

- Widzę, że mamy posłańca. Pytanie tylko: dla którego z nas jest?

Bill roześmiał się chrapliwie. Jego śmiech łączył się z uporczywym krakaniem kruka jak fałszywa symfonia.

Theta wparowała do Globe Theatre z płaszczem w panterkę wiszącym na ramieniu i papierosem w umalowanych ustach. Nie zdjęła ciemnych okularów i wymacywała drogę w przejściu między rzędami siedzeń. Reszta zespołu miała właśnie próbę numeru Gejsza, który Theta uważała za jeden z najgłupszych i najbardziej obelżywych układów, jakie przygotowywali - a mieli w swojej historii mnóstwo głupich, obelżywych układów.

Inspicjent posłał jej wściekłe spojrzenie.

- No, no, no. Czyż to nie sama jej wysokość wreszcie zaszczyliła nas swoją obecnością. Spóźniłaś się godzinę, Theto!

- Nie wściekaj się, Wally, już jestem.

Theta wymieniła ukradkowe spojrzenia z Henrym siedzącym przy paninie. On potrząsnął głową, a ona wzruszyła ramionami.

- Uważa, że jest lepsza od pozostałych - jęknęła jedna z tancerek, tępa mała wiedźma imieniem Daisy.

Theta ją zignorowała. Rzuciła płaszcz na jedno z siedzeń, zgasiła papierosa w kubku kawy inspicjenta i zajęła miejsce na scenie.

- Pewnego dnia, Theto - powiedział wściekłym głosem - zrobisz coś takiego, czego nie zniesie nawet Flo Ziegfeld, i z przyjemnością wyrzucę cię na zbity...

- Będiesz tak gadał przez cały dzień czy weźmiemy się do pracy?

Theta bezbłędnie stawiała kroki. Mogła zatańczyć ten układ nawet we śnie. Na dokładkę wpadła na Daisy, tylko po to, by ją zdenerwować. Daisy się złościła, bo Theta miała dobre recenzje w gazetach za układ, który miał należeć do jej konkurentki.

- To był mój numer specjalny - wściekała się Daisy w garderobie następnego wieczoru. - A ty mi go ukradłaś.

- Nie mogłam ukraść czegoś, co do ciebie nie należało - odparła Theta, a Daisy rzuciła w nią słoiczkiem kremu.

Nie trafiła - z celowaniem miała równie duże problemy, jak z tańcem. Jak zwykle, Daisy poszła ze swoją żalną historią do Flo, a ten się złamał i dał jej główną rolę w układzie „Oddawanie czci Ba'alowi”, który zamykał przedstawienie. Theta miała dość pozostawiania w cieniu, szczególnie jeśli ta druga była o wiele gorszym wykonawcą od niej.

Zrobili sobie pięć minut przerwy i Theta usiadła na stołku obok Henry'ego.

- Wyglądasz, jakbyś uciekł z prywatnej szkoły - zażartowała. Włożył cardigan i słomkowy kapelusz.

- Tu chodzi o styl, kochanie.

- Oboje wyrastamy ponad tę parszywą rewię.

Henry grał cicho, niemal odruchowo. Czuł się najszcześniejszy, kiedy miał palce na klawiszach i wylewała się spod nich jakaś melodia.

- Zgoda, kochanie. Ale musimy płacić czynsz. Theta wyprostowała szew pończochy.

- Jak poszło, kiedy przedstawiłeś Flo nową melodię? Uśmiech Henry ego zmienił się w grymas. Zagrał fałszywą nutę.

- Tak jak się spodziewałem.

Theta pociągnęła za rondo kapelusza.

- Ziegfeld lubi tylko głupie i łatwe do zanucenia.

- „Ludzie płacą za dobrą zabawę, dzieciaku” - powiedział Henry, idealnie naśladowując wielkiego człowieka estrady. - „Chcą wyjść zadowoleni, nucąc piosenkę. A ponad wszystko nie chcą za dużo myśleć!”. - Westchnął. - Przysięgam, że mógłbym napisać piosenkę o zatwardzeniu, a jeśliby tylko zawierała słowa „dziewczyna” i „perły”, panu Ziegfeldowi by się spodobała. - Henry zaczął wygrywać skoczną melodyjkę. Swoim uroczym, słodkim tenorem zaśpiewał z przesadnym romantyzmem: - Dziewczyno najśłodsza, będę twym idolem, jeśli tylko oddam stolec, o przekleństwo ZA - TWAR - DZE - NIAAAA!

Theta się roześmiała.

- Co cię tak śmieszy? Daisy stanęła nad nimi.

- Właśnie zrozumiałam dowcip, który Henry opowiedział mi w tamtą środę.

Theta uniosła zapalnik do papierosa i dmuchnęła dymem w stronę Daisy, która nie zauważyła aluzji.

- Co czytasz? - Tancerka uśmiechnęła się szyderczo na widok egzemplarza Zmęczonego bluesa wystającego z jej torby. - Poezję czarnuchów?

- Nie spodziewam się, że to zrozumiesz, Daisy. Ty nie zagładasz do niczego poza „Photoplay”, a i wtedy ktoś musi ci objaśnić zdjęcia.

Daisy wydeła z oburzeniem wargi.

- Ja nigdy!

- No pewnie, tak właśnie mówisz swoim facetom, ale reszta z nas tego nie kupuje. Idź sobie, Daisy. Sio, muszko!

Theta machnęła lekceważąco palcami w stronę Daisy, która odeszła ze złością i zaczęła zamęczać inne tancerki narzekaniami, jak bardzo zadufana w sobie jest Theta.

Henry znów położył palce na klawiszach.

- Świetnie nawiązujesz przyjaźnie, kochanie.

- Nie interesuje mnie nawiązywanie przyjaźni. Już mam najlepszego przyjaciela - powiedziała i poklepała go po kolanie. Zza stanika wyjęła banknot pięćdziesięciodolarowy, który wsunęła do kieszeni koszuli Henry'ego. - Masz. Na fortepian.

- Mówiłem ci, że masz o tym zapomnieć. Głos Thety złagodniał.

- Nigdy nie zapomnę o przysługach. Przecież wiesz.

- Skąd wzięłaś tę kasę?

- Od maklera z Wall Street, który miał więcej forsy niż rozumu. Kupił mi futro tylko po to, żeby widziano go w moim towarzystwie na kolacji. I to właśnie dostał, towarzystwo przy kolacji.

- Oni wszyscy chcą się z tobą ożenić.

- Choć raz chciałabym poznać gościa, który nie jest pozerem. Kogoś, kto nie chce kupić mi futra, żeby potem pokazywać mnie swoim kumplom.

- Kiedy już poznasz tego gościa, zobacz, czy nie ma brata
- żartował Henry.

- Wydawało mi się, że płoniesz ogniem uczuć do Lionela?
- żartowała Theta.

Henry się skrzywił.

- To raczej płomyczek. Chichocze, kiedy go całuję.

- To może ty dziwnie całujesz.

Theta uśmiechnęła się. Bawiło ją, że Henry zawsze znajduje jakiś dziwaczny powód, by rozstać się z kolejnym kochanym.

- „Poznałem cię na ulicy w Ohio. Pobraliśmy się na festynie w Kansas. Zostawiłaś mnie na Florydzie, a ja jestem w stanie rozpacz...” - zaśpiewał Henry.

- Pewnego dnia, Henry DuBois, poznasz gościa, na którego naprawdę cię weźmie i nie będziesz wiedział, co zrobić - żartowała Theta.

Wrócił inspicjent. Klasnął w dłonie.

- Uwaga. Układ Ba al z końca. Proszę zająć miejsca. To dotyczy również ciebie, panno Knight.

- Za nic bym go nie przegapiła, Wally.

Uśmiechnęła się słodko, jak na plakacie reklamującym sławetne, czysto amerykańskie tancerki Ziegfelda, po czym wrzuciła drugiego papierosa w nowy kubek kawy Wally'ego.

WIECZNY POWRÓT

Evie i Jericho siedzieli przy długim stole zastawionym stertami książek, raportów policyjnych, rysunków i innych dokumentów. Jericho rozpałił ogień w potężnym kominku w bibliotece. Płomienie trzaskały i strzelały, wgrzając się w suche drewno. Pracowali od godziny, przeszukując zatechłe tomy w poszukiwaniu wskazówek, które mogły rzucić światło na okultystyczną naturę zbrodni. Evie była zmęczona i poirytowana. Nie chciała myśleć o tym, co widziała poprzedniego dnia, a już szczególnie się w tym nurzać. Ale Will nie miał zamiaru przestać. Mówiąc, spacerował po sali, rozsypując dookoła popiół z papierosa.

- Podsumujmy. Co dotychczas wiemy? - spytał Will.

- Zabójca fascynuje się okultyzmem i religią, być może Apokalipsą - odpowiedział Jericho ze swojego miejsca u szczytu stołu.

- Skąd to wiemy?

- Na kartce wspomina o Niewieście, Nierządnicy Babilońskiej i Bestii, co może być nawiązaniem do Antychrysta.

- W rzeczy samej - zgodził się Will. - Ale fragment tylko częściowo pochodzi z Biblii. Nie jest dokładnym cytatem.

- Jest podobny - stwierdził Jericho.

- Każdy bibliotekarz czy uczone ci to powie: podobny to nie to samo co dokładny. I nie zapominajmy o pieczęciach. One sugerują raczej magię obrzędową lub mistycyzm niż chrześcijaństwo.

Will wskazał na rysunki wzdłuż brzegów kartki. Evie przypominały zwyczajne bazgroły - stylizowane krzyże, zawijasy, ozdobne litery i wzory geometryczne.

- Ale... - Will zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce i natychmiast sięgnął do srebrnej papierošnicy po

kolejnego, nie przerywając przy tym wędrówki. - Mamy symbol, czyż nie?

- Pentakl - odpowiedziała Evie.

- Tak. Nie mam zdolności artystycznych. Evie, mogłabyś?

Will podał jej kawałek kredy wyciągnięty ze starej papierošnicy pełnej różnych drobiazgów. Evie dopiero po chwili zrozumiała, że chciał, żeby narysowała symbol na tablicy.

- Nie, narysowałaś go poprawnie. Poproszę odwrócony. Evie starła z westchnieniem pięcioramienną gwiazdę i znów ją narysowała z jednym końcem zwróconym w dół i dwoma w górę.

- A co to za różnica? - mruknęła.

- Już ci mówiłem, odwrócony oznacza materię ponad Bogiem. Duszę stającą się ciałem, a nie odwrotnie. A teraz wąż, jeśli możesz.

Evie dokończyła rysunek. Jej zdaniem to była bardzo udana podobizna węża. Will nawet nie podziękował. Dziewczyna otrzepała ręce z kredowego pyłu.

- Co oznacza wąż?

- Ach. To zaiste bardzo stary symbol. Wąż pożerający własny ogon, bez początku i bez końca. Istniał w różnych epokach i kulturach. To nordycki Jormungand, grecki Ouroboros, pojawia się też w gnostycyzmie, wierzeniach Aszantów i Egipcjan. Oznacza cykle, ideę, że wszechświat nie został stworzony ani nie zostanie zniszczony, lecz wiecznie powraca, historia rozgrywa się raz za razem.

- Wieczny powrót, jak to określił Nietzsche - wtrącił Jericho.

- Czy to oznacza, że będę zmuszona znów przeżyć to popołudnie? - zażartowała Evie.

Nikt się nie roześmiał i dziewczyna zajęła się dorysowywaniem modnego kapelusika na głowie węża.

Will chwycił garść miętówek z talerzyka i zaczął się nimi bawić. Znow zaczął krążyć po sali, w drugiej dłoni wciąż trzymając papierosa.

- Możemy więc zakładać, że nasz zabójca ma pobieżną znajomość okultyzmu, magicznych i religijnych symboli, najpewniej Apokalipsy. Ale nazywa Nierządnicę Babilońską „Nierządnicą Przyozdobioną nad wodami”. - Will zamilkł na chwilę. - To dziwne sformułowanie. Zbijające z tropu. Być może pochodzi z religii stworzonej przez samego zabójcę.

- Jak się wymyśla religię? - spytała Evie. Will spojrzał ponad okularami.

- Mówisz: „Bóg powiedział mi co następuje” i czekasz, aż ludzie zaczną się zapisywać.

Evie nie poświęcała zbyt wielu myśli religii. Jej rodzice byli katolikami, którzy przeszli do Kościoła episkopalnego. W niedzielę chodzili na mszę, ale było to coś, co robi się z przyzwyczajenia, jak mycie zębów czy kąpiel. Jedną z tych czynności, które należy wykonywać, bo inni tego oczekują. Evie nie zawsze się tak czuła. Przez rok po śmierci Jamesa brała między ściśnięte dłonie wisiołek z półdolarówki i modliła się gorliwie o cud, o telegram ze słowami: DOBRA WIADOMOŚĆ! TO BYŁA STRASZLIWA POMYŁKA I SZEREGOWIEC JAMES XAVIER O'NEILL ZOSTAŁ ODNALEZIONY CAŁY I ZDROWY W GOSPODARSTWIE ROLNYM WE

FRANCJI. Ale taki telegram nigdy nie przyszedł i wiara, która mogła rozkwitnąć w Evie, uschła i zginęła. Teraz traktowała ją jako kolejny element życia, które należało do poprzedniego pokolenia i które nie miało dla niej najmniejszego znaczenia.

- Nie odpowiedzieliśmy na najważniejsze pytanie: dlaczego? Jakim celom posłużył ten mord? - spytał Jericho, wyrywając Evie z zamyślenia.

- Jest potworem. Prawda? - spytała Evie.

Will sięgnął do miseczki z mieszanką brydżową. Bawił się cukierkami, ale ich nie jadł.

- Owszem. Tyle że to jest odpowiedź na pytanie „kto”, nie „dlaczego?”. Wszystko ma swoją przyczynę, choć może być wynaturzona.

- Dlaczego zabrał jej oczy? - spytała Evie.

- Mógł zachować je na pamiątkę. Evie skrzywiła się.

- Wiatraczek z Coney Island to pamiątka, wujaszku.

- Dla nas tak. A dla szaleńca? Niekoniecznie. Ale równie dobrze może potrzebować ich do rytuału. Niektóre kultury wierzą, że spożywanie ciała ofiar czyni człowieka nieśmiertelnym. Aghori z Indii spożywają ciała zmarłych z przekonaniem, że daje im to nadnaturalne moce, a członkowie plemienia Algonkinów wierzą, że każdy, kto zje ludzkie ciało stanie się demonicznym stworem zwanym Wendigo.

Evie zrobiło się niedobrze.

- Cóż, w Biblii nie ma nic o kanibalizmie.

- A transsubstancjacja? - sprzeciwił się Jericho. - „To jest ciało moje, to jest krew moja, bierzcie i jedzcie z tego wszyscy”.

- Zgoda - przyznała Evie. - Komunia już nigdy nie będzie taka jak wcześniej.

- Jak już mówiłem, Ameryka jest młodym narodem, na który składają się bardzo różni ludzie. Wierzenia przez cały czas łączą się i zmieniają.

Will dokończył drugiego papierosa i Evie widziała, jak jego palce sięgają po trzeciego, jednak na szczęście się powstrzymał. I tak w sali unosił się gęsty dym.

- Czegoś nie rozumiem. Na kartce... - Evie przeszukała stertę papierzysek na stole i wyciągnęła zdjęcie notatki znalezionej przy ciele Ruty. - Na kartce są słowa: „A była to piąta ofiara”. Dlaczego piąta? Dlaczego nie pierwsza?

- Owszem. Niepokojące. - Will spacerował wokół stołu, wciąż ściskając w dłoniach papierośnicę. - Jericho, mógłbyś zadzwonić do detektywa Malloya i spytać, czy słyszał o jakichś niewyjaśnionych morderstwach o podobnej naturze.

- Nie sądzisz, że wspomniałby o tym? - sprzeciwiła się Evie.

- Nigdy niczego nie zakładaj - stwierdził wuj Will i było to wyraźnie jego ostatnie słowo w tej kwestii.

- Chyba już czas na twój wykład w klubie Kobiecego Stowarzyszenia Starożytnego Zakonu Feniksa - przypomniał Jericho.

Will spojrział na zegar na kominku, jakby chciał go złajac za pokazanie złej godziny, po czym dwukrotnie skinął głową, jak nauczyciel w końcu przyjmujący naukową argumentację ucznia w klasowej debacie.

- Zgadza się. Lepiej zbiorę notatki.

- Zostawiłeś je na górze - powiedział Jericho.

- Aha. Tak. Tak. - Will zatrzymał się i przez chwilę rozglądał się po pokoju. - Cały czas mam wrażenie, że coś przegapiliśmy. Coś ważnego.

Ogień rzucał cienie na twarz Willa. Potrząsnął głową i wyszedł.

Rozległo się pukanie do drzwi. W końcu klient! Jericho wstał jako pierwszy. Evie uznała, że nie tylko ona przejmuje się losem muzeum. Usłyszała głosy i po chwili Jericho powrócił w towarzystwie samego Sama Lloyda. Evie zmrużyła oczy.

- No, no, no. Zakładam, że masz moje dwadzieścia dolców. Jericho spoglądał to na Evie, to na Sama.

- Czy wy się znacie?

- Właściwie to przyszedłem do pana Williama Fitzgeralda. Czy go zastałem? - Sam wyciągnął szyję.

- Doktora Fitzgeralda. I jaką sprawę masz do mojego wuja? - Twojego... twojego wuja? - Sam uśmiechnął się zaskoczony. - Nie mów! Co za zbieg okoliczności.

- Co jest zbiegiem okoliczności? - spytał wuj Will, wchodząc do pokoju.

Założył kapelusz i trzymał w ręku teczkę. Na jego lewej ręce wisiał parasol, choć dzień był słoneczny.

Sam podszedł bliżej i uściśnął dłoń Willa.

- Dzień dobry panu. Sam Lloyd. Mam coś, co jak sądzę, należy do pana.

- Tak?

- No cóż, proszę pana, obawiam się, że ta historia nie pokaże mnie w najlepszym świetle. Widzi pan, byłem wczoraj w lombardzie, z nadzieją, że dostanę parę dolców za zegarek. Czasy są ciężkie. I usłyszałem, jak ten gość mówi, że ma towar do sprzedania. Rzadkie skarby z Muzeum Niesamowitości. - Sam wzruszył ramionami. - Tak je nazywają, profesorze.

- Mów dalej - stwierdził wuj Will. Jeśli był zdenerwowany, to nie pokazywał tego po sobie.

Sam otworzył torbę i wyjął z niej masoński sztylet Corneliusa Rathbone'a. Will uniósł go do światła.

- Zgadza się, jest nasz.

- Zaproponowałem temu gościowi ostatnie dwadzieścia dolców, a on je wziął, bo facet w lombardzie nie chciał mu dać więcej niż dziesięć. Może będzie jakaś nagroda za jego zwrócenie. - Sam przerwał, spojrzał szybko na Willa i znów na dłonie. - Pomyślałem sobie, no, co innego kraść, żeby mieć co jeść, albo obrobić przemytnika. A co innego kraść skarby z muzeum. To po prostu mało eleganckie.

Evie wpatrywała się w niego z rozchyłonymi ustami. Sam mrugnął i stwierdził:

- Hej, siostró, ostrożnie... nie chciałbym, żeby wypadł ci język. Evie posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Jeśli zgubię język, będę wiedziała, czyje kieszenie sprawdzić najpierw! Co za zwariowana historyjka! Wujaszku, musisz go pogonić. To oszust, kłamca, złodziej, kłamca...

- To już mówiłaś - zauważył Sam.

- I powtórzę! To ten sukinsyn, który ukradł mi dwadzieścia dolarów na dworcu!

- Evangelino, nie wszyscy przywykli do twojego gangsterskiego uroku - złajał ją po chwili Will. - Czy to prawda, młody człowieku?

Sam uśmiechnął się.

- Proszę zrozumieć, to wielka pomyłka, profesorze. - I twój stary też - warknęła Evie.

Sam zrobił zbolaną minę.

- Nie chciałem tego mówić i narobić młodej damie kłopotów, ale ukradła mi kurtkę.

- I nie dostaniesz jej z powrotem, dopóki nie odzyskam moich dwudziestu dolarów. Jericho stanął obok Evie, górując nad Samem. - Hej, drażalu. Jesteś jej bratem? - spytał Sam.

- Nie.

Sam przesunął wzrokiem po Jericho i Evie.

- Jesteście małżeństwem?

- Nie! - odpowiedzieli jednocześnie Jericho i Evie, lecz Sam zauważył rumieniec na twarzy mężczyzny.

- Posłuchaj, siostró, nie wiem jaką tu masz sytuację. Nie oceniam. Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa z wujem i tym - skinął na Jericho - dużym przyjacielem. Próbowałem tylko zrobić coś dobrego, ale widzę, że żaden dobry uczynek nie pozostanie nieukarany. Dlatego, jeśli tylko oddasz mi kurtkę, uznam rachunki za wyrównane. Nawet nie oskarżę cię o kradzież mojej własności.

Evie gotowała się przez sekundę, po czym ruszyła za Samem. Goniła go wokół długiego stołu, po drodze przewracając sterty książek.

- Zabiję go. Kto chce popatrzeć? Jericho podniósł rękę.

Will stanął Evie na drodze, zatrzymując ją.

- Wybacz mi, ale jestem dość skonfundowany, jak również - Will znów spojrzał na zegarek - sześć i pół minuty spóźniony na wykład. Nie mam nic przeciwko złodziejom, ale czuję odrazę do kłamców i ludzi, którzy przeszkadzają mi w pracy. Czy rzeczywiście ukradłeś jej dwadzieścia dolarów? Odpowiedz, młody człowieku.

Po raz pierwszy Sam wydał się zdenerwowany, przeczesał włosy dłonią i zbliżył się do drzwi.

- Cóż, proszę pana, jak to kiedyś powiedział pewien wielki człowiek: „Subiektywność jest prawdą; prawda jest subiektywna” .

- Kierkegaard - powiedział z zaskoczeniem Will. Jego ton złagodniał. - Ale mimo to, fakt jest faktem.

Sam spuścił wzrok.

- Przepraszam. Planowałem jej oddać, kiedy zobaczyłem tego gościa w lombardzie i oddałem mu ostatniego centa, żeby odzyskać ten nóż. Pomyślałem, że może w ten sposób zawrzemy pokój.

- Zamknij się wreszcie - mruknęła Evangeline. - Pewnie sam go ukradł.

Chłopak zmusił się, żeby nie podnosić wzroku.

- Jestem tak splukany, że musiałem przeskoczyć przez bramkę, żeby wsiąść do pociągu. Możecie wezwać gliny, jeśli chcecie, wcale nie miałbym o to pretensji. Ale jestem uczciwy jak senator, co się tyczy odnalezienia waszych skradzionych rzeczy, profesorze. Myślę, że to coś znaczy.

- Jak słyszałam, w Sing - Sing karmią - mruknęła Evie. - Trzy posiłki dziennie.

- Evangelino. - Will westchnął. - Dobroć zaczyna się w domu.

- Choroby psychiczne też.

Will postukał palcami w tył krzesła.

- Zabranie pieniędzy Evangelinie było niewłaściwe, niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji się znalazłeś. Jednak zachowałeś się szlachetnie, zwracając własność muzeum, choć nie musiałeś. Nigdy wcześniej nie myślałem, żeby je zabezpieczyć. - Will podrapał się po głowie, spoglądając na bezcenne książki.

- Jeśli wolno mi się wtrącić, proszę pana, w dzisiejszych czasach nie można być zbyt ostrożnym.

- Pewnie. - Evie posłała Samowi wściekłe spojrzenie. Will pokiwał głową.

- Dobrze. Jak by ci się podobała uczciwa praca w muzeum? Mamy mnóstwo roboty, mógłbyś tu też zostać na noc, żeby powstrzymać niechcianych złodziei.

Evie odwróciła się do Willa.

- Wujaszku! On jest złodziejem!

- Owszem. Jest. Jesteś dobrym złodziejem, Sam?

- Najlepszym, proszę pana - odparł z uśmiechem chłopak.

- Dobry złodziej, który szuka pracy - myślał na głos Will.

- Możesz zaczynać od razu.

- Will, Evie ma rację. Nie znasz go i będzie nam wchodził w drogę - powiedział cicho Jericho. - Mógłbym pełnić straż, jeśli chcesz.

- Nie sądzę, by to było mądre, Jericho - odparł cicho Will. Evie nie wiedziała, co miał na myśli, ale twarz Jericho znieruchomiała. - Przyda nam się pomoc, szczególnie teraz, kiedy badamy sprawę morderstwa.

- Morderstwo? - wtrącił Sam. - To brzmi ekscytująco.

- Wkrótce mogą prowadzić śledztwo w sprawie twojej śmierci, kolego - ostrzegła go Evie.

- Cóż, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko ciężkiej pracy - stwierdził Will.

- Nie ma nic lepszego od całego dnia uczciwej pracy, zawsze tak powtarzam, proszę pana.

Will znów spojrzał na zegarek.

- Jestem już dziewięć minut spóźniony. Jericho, czy mógłbyś oddać kurtkę panu Lloydowi i zapoznać go z katalogami?

Głęboko zirytowany Jericho wyciągnął kurtkę Sama z szafy i podał mu ją szorstkim gestem.

- To olbrzym - wyszeptał Sam do Evie. - Czym go karmisz? Evie nachyliła się.

- Mam cię na oku, kolego. Jeśli choć gwizdniesz fałszywie, osobiście wykopię cię za drzwi. Nawet nie będziesz miał czasu złapać czapki.

- Cóż. - Sam skinął głową i zarzucił kurtkę na plecy. - Bardzo lubię tę czapkę. Miło było cię znów zobaczyć, siostró.

- Cała przyjemność po twojej stronie - powiedziała Evie i pobiegnęła za Willem.

Z tyłu Sam zaczął pogwizdywać przebój Am I Wasting My Time on You? Gwizdał fałszywie, a Evie miała wrażenie, że robi to celowo.

- Wujaszku! - zawołała Evie. Dogoniła Willa przy wejściu.

- Evie, czy to nie może poczekać? Panie ze Starożytnego Zakonu czegoś tam...

- Feniksa - odpowiedziała Evie.

- Feniksa czekają na mnie, a jeśli nie złapię taksówki, będę już nie elegancko spóźniony, tylko poważnie spóźniony.

- Wujaszku, nie możesz pozwolić, żeby Sam Lloyd tu pracował. Nie z tymi wszystkimi bezcennymi artefaktami! Obrobi cię do zera.

- Właśnie te cechy mogą się okazać użyteczne.

- To znaczy?

- Od czasu do czasu muzeum musi wykazać się... sprytem w wydobywaniu przedmiotów, opowieści i ludzi, zanim ktokolwiek inny tam dotrze. To delikatna sprawa.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że inni ludzie też chcą zdobyć te dziwne przedmioty?

- Zdziwiłabyś się.

- Ale on i tak jest złodziejem.

- Złodziej, który czyta Kierkegaarda, to zaiste interesujący złodziej.

- Ale wu...

- Evangelino, nie każdy zaczyna życie w wygodnym domu przy porządnej ulicy w Ohio - stwierdził z naciskiem Will.

Ta uwaga zaboląła. Dlaczego Will stanął po stronie Sama Lloyd'a, w końcu pospolitego przestępcy, a nie jej? Przecież Sam był obcym, a ona należała do rodziny. Czy rodzina nie miała chronić swoich członków? Ale on stanął po stronie przeciwnika, podobnie jak jej ojciec i matka poparli Harolda Brodiego zamiast bronić własnej córki. Jeśli wuj Will chciał zachować się głupio, to jego sprawa. Była głupia, próbując interweniować.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała i wróciła do biblioteki.

Jeszcze raz posłała Samowi wściekłe spojrzenie i usadowiła się przy długim stole, przeglądając sterty doniesień prasowych i książek, szukając czegokolwiek, co mogłoby rzucić światło na śmierć Ruty Badowski.

Kiedy miała już dość, wyciągnęła egzemplarz „Photoplay”.

- I jak, Clara Bow ucieka z Charlie Chaplinem? - Sam czytał jej przez ramię.

Evie nie podniosła wzroku.

- Może ją sobie weźmiesz i sam przeczytasz? Wydaje się, że masz talent do zabierania różnych rzeczy. A może po prostu zabierzesz ją w drodze do wyjścia?

Sam prychnął.

- Czemu miałbym zrezygnować z takiego układu? Poza tym nie chciałbym, żebyś za mną tęskniła, siostró.

- O nieobecnych myślimy życzliwiej. Może sprawdzimy to powiedzenie. Przyniosę twoją czapkę.

- Nie ma mowy. Twój wuj potrzebuje mojej pomocy. Popatrz na to wszystko... kto by się spodziewał, że istnieje tyle talizmanów? Na przykład, ten... talizman miłosny ludu Hopi. Lepiej, żebyś nie brała go do ręki, siostró. Mogłabyś się we mnie zabujać.

- Jeszcze czego.

- A ja na to liczę.

- To mam nadzieję, że umiesz liczyć do więcej niż trzech. Nachylił się. Evie widziała bursztynowe plamki w jego oczach.

- Przyznaj się, podobał ci się tamten pocałunek.

- Jesteś mi winien dwadzieścia dolarów.

- Gotówka czy czek? - spytał bezczelnie.

Nawet najgłupsza dziewczyna z Ohio знаła znaczenie tej frazy - pocałunek teraz czy później?

- Bank zamknięty, stary. Sam pokiwał głową.

- W takim razie czek.

Pogwizdując, ruszył w stronę drzwi biblioteki. Evie podążyła za nim szerokimi schodami, które prowadziły na piętro.

- Mogę ci w czymś pomóc, siostró?

- Chcę się upewnić, że nie wyjdiesz z połową muzeum w kieszeniach.

- Muszę wyprasować sznurówki - powiedział, wskazując w stronę męskiej toalety na szczycie schodów.

Kiedy dotarł do drzwi, Evie stanęła na zewnątrz, założywszy ręce na piersi.

- Naprawdę, zaprosiłbym cię do środka, ale udało mi się uniknąć aresztowania za kradzież. Wolałbym nie trafić do aresztu za zgorszenie publiczne.

- Cokolwiek, bylebyś opuścił muzeum wuja - warknęła Evie. - Zaczekam.

- Jak sobie życzysz, laleczko.

W zatęchłej toalecie muzeum Sam umył ręce i zostawił odkręcony kran. Pogwizdując, usiadł na popękanych płytkach i patrzył na cień Evie przesuwający się pod drzwiami. W końcu się znudzi. Otworzył portfel Jericho, który zwinął, kiedy jasnowłose olbrzym zajmował się stertami książek. Ufny gość. To było niebezpieczne przyzwyczajenie - zaufanie. Sam wyjął banknot pięciodolarowy i zastąpił go dwiema dolarówkami. To była stara sztuczka - gdyby ukradł całego piąta, tamten mógłby uznać go za złodzieja. Ale jeśli zabrało się większy nominał i pozostawiło parę dolarówek, ofiara uznawała, że wydała grubą kasę, dostała resztę i po prostu o tym zapomniała.

Z kieszeni kurtki Sam wyciągnął dwie niewielkie srebrne popielniczki, które udało mu się niepostrzeżenie zabrać w bibliotece. Miał je zamiar sprzedać później za kilka dolców w pewnym cieszącym się złą sławą lombardzie przy Bowery. Na razie zawiązał je w ręcznik do rąk i schował za sedesem. Miał wielkie plany, a plany wymagały czasu i pieniędzy.

Cień Evie zniknął. Sam uchylił drzwi i zobaczył, że korytarz jest pusty. Znów zamknął drzwi toalety, zakręcił kran i wpatrzył się w swoje odbicie w lustrze w drewnianych ramach. Gęste ciemne włosy opadały po obu stronach oczu ze złocistymi plamkami. Niefrasobliwa mina zniknęła, zastąpiona zdecydowaniem.

- Miło mi cię poznać. Nazywam się Sam Lloyd. Powiedz mi, gdzie ona jest, albo...

Sam przerwał. Choć wielokrotnie odgrywał w głowie tę scenę, nie był pewien, co powiedzieć, kiedy nadejdzie ten dzień. Wiedział tylko, że nie pójdzie w ciemno. Uniósł nogawkę spodni i wyjął rewolwer z zamocowanej tam kabury, obejrzał lufę, poczuł napięcie spustu. Otworzył magazynek i obrócił go. Nie było jeszcze nabojów. Kupi je za popielniczki. Ta robota w muzeum była szczęśliwym trafem, łatwiejszym źródłem kasy niż magiczne sztuczki na Times Square. Musiał jedynie utrzymać ją przez chwilę, wystarczająco długo, by dowiedzieć się, kto musiał zapłacić za to, co stało się z jego rodziną. A zapłacą.

W lustrze Sam zmarszczył czoło. Wyglądał na więcej niż swoje siedemnaście lat. Poprawił kołnierzyk, zmienił grymas w twardy uśmiech i uniósł broń, celując do odbicia.

- Miło mi cię poznać. Nazywam się Sam Lloyd. Powiedz mi, gdzie ona jest, a może pozwolę ci przeżyć.

Sam usłyszał kroki i pośpiesznie schował broń do kabury. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Jericho. Sam teatralnie umył ręce.

- Coś się stało?

- Chyba zgubiłem portfel.

- Ojej. Co za pech, stary. Chcesz, żebym pomógł ci szukać? Jericho zmrużył oczy, oceniając propozycję.

- Dzięki.

Sam towarzyszył Jericho w wędrowce po muzeum, rozglądał się, wskazując miejsca, gdzie mógłby się znajdować portfel. Kiedy dotarli do biblioteki, wytrząsnął go z nogawki spodni w pobliżu jednego z regałów. Nie byłoby dobrze, gdyby Sam nagle odnalazł portfel - Jericho musiał znaleźć go sam.

- A tam patrzyłeś, olbrzymie?

Jericho skrzywił się, słysząc określenie „olbrzym”. Wszedł po spiralnych schodach na piętro i przechodził wzdłuż półek, aż zauważył portfel na podłodze.

- Znalazłem! - zawołał. Otworzył go i zmarszczył czoło. - Przysięgłbym, że miałem pięć dolarów, ale w środku są tylko dwa.

- Jaka szkoda. Lepiej pilnuj tej kasy - rzucił Sam.

Evie pobieżnie przeglądała książkę pod tytułem Gorliwość religijna i fanatyzm w Rozpalonym Regionie. Zdawało się, że autor napisał to dzieło wyłącznie w celu uśpienia czytelników i Evie miała problemy z zapamiętaniem tego, co przeczytała. W końcu zaczęła przerzucać kartki. Zatrzymała się nagle, kiedy dotarła do ilustracji pod koniec. To był ten sam symbol, którego użył morderca. Podpis brzmiał: PENTAKL BRACTWA, BRACTWO, NOWY JORK, OKOŁO 1832 R.

Zadzwoił telefon, jego dźwięk odbijał się echem w pustym muzeum. Evie zagięła róg strony, żeby pokazać ją później Willowi, i pobiegła do telefonu.

- Proszę zaczekać. Łączę - powiedziała telefonistka. Rozległ się trzask i syk, a później głos Thety.

- Cześć, Evil. Tu Theta. Posłuchaj, nadal chcesz przyjść dziś na przedstawienie?

- I to jak!

- No to git. Zostawię w teatrze dwa bilety dla ciebie i Mabel. Później jest impreza w Greenwich Village, o ile to dla ciebie nie za późno.

- Nie kładę się przed świtem.

- Moja dziewczynka. I, Evil, włóż jakieś ładne szmatki.

- To będą najładniejsze szmatki, jakie widziałas.

W gabinecie Willa Evie zaczęła podskakiwać. W końcu! Dziś ona i Mabel wyjdą na imprezę z Thetą i jej modnym towarzystwem. Tanecznym krokiem wróciła do biblioteki, nucąc jazzową melodię.

- Co ci się stało? Wygrałaś konkurs na miss Ameryki? - spytał Sam. Zabrał książkę Evie na stertę innych, przeznaczonych do odłożenia na półki.

- Będę dziś gościem panny Thety Knight w teatrze Globe na najnowszej rewii pana Ziegfelda, a później na zamkniętym przyjęciu.

- Nieźle. Potrzebujesz osoby towarzyszącej?

- Przyjęcie zamknięte! - zanuciła Evie.

Zdjęła szal i kapelusz z łapy wypchanego niedźwiedzia, gdzie powiesiła je wcześniej.

- Wiesz, zastanawiałem się, czy któreś z was wie coś na ten temat?

Wskazał na wycinek prasowy na szczycie sterty o dziewczynce z senną chorobą.

Evie spojrzała nań, luźno owijając szyję szalem.

- To jeden z tych dziwnych wycinków wujaszka. Zbiera te historyjki o duchach. To pewnie jego praca. A czemu pytasz?

Sam uśmiechnął się.

- Nic takiego. Chcę dotrzymać kroku.

- Powodzenia, Lloyd. - Evie poklepała go po policzku. Dziewczyna wyszła z muzeum i ruszyła Central Park West.

Dziesięć przecznic dalej ponad drzewami i dachami wznosiły się gotyckie iglice Benningtona. To było przyjemne popołudnie i Evie poczuła nagle przyływ optymizmu - poczucie, że wszystkie dobre rzeczy są możliwe i że mogłaby spełnić swoje najlepsze marzenia równie łatwo, jak magik wyciągający monetę z powietrza.

Młody gazeciarz reklamował popołudniówkę, obwieszczając nagłówki, ale Evie była zbyt zajęta myślami o doskonałym wieczorze, by zwrócić na to uwagę. Rozmyślając o stroju, mijała udręczone matki pilnujące dzieci na obrzeżach parku, jak również katarzyniarza w towarzystwie małpki ubranej jak boy hotelowy. Małpka cmokała i piszczała na

przechodniów, aż nagrodzili jej pana drobniakami wrzucanymi do cynowego kubka. Dwie dziewczyny w takich samych pelerynach wręczyły jej ulotkę reklamującą nocny klub.

- Co to takiego? - spytała Evie.

- Reklama klubu Nighthawks. Mamy wieczór Komety Salomona!

- Jaki wieczór?

- Rany, komety? - odpowiedziała wyższa z dziewcząt z mocnym nowojorskim akcentem. - Za parę tygodni przelatuje nad Nowym Jorkiem. Pojawia się raz na pięćdziesiąt lat czy coś. Podobno to... jak to nazywają, Bess?

- Wydarzenie o niebiańskim znaczeniu. - Druga dziewczyna starannie wypowiadała słowa. - Jak magia albo coś. Wszyscy ci magicy i inni zielonoświątkowcy uważają to za znak. Tak czy siak, nasz klub robi fest imprezę. Powinnaś przyjść. A twój płaszcz to prawdziwy krzyk mody!

- Dziękuję - powiedziała zadowolona Evie.

Spojrzała na ulotkę. Była to karykatura przedstawiająca chłopczycę tańczącą w deszczu, wylewającą drinka z przechylonej szklaneczki. Nad nią wspaniała kometa wznosiła się nad Nowym Jorkiem. Rysownik dał komecie twarz, która uśmiechała się z góry do uroczej dziewczyny. Ognisty ogon tryskał iskrami nad miastem.

- Chyba nie chcesz przegapić najbardziej magicznej nocy w roku? - spytała wyższa dziewczyna.

- W życiu - odpowiedziała Evie.

Kometa Salomona. Wydarzenie o niebiańskim znaczeniu. Może przyniesie jej szczęście. Tak czy inaczej, był to doskonały powód do zabawy, a myśląc o nadchodzącym wieczorze, i kolejnych, ruszyła radosnym krokiem dalej, ściskając ulotkę. Na rogu czekała, aż gliniarz dłońmi w

białych rękawiczkach pokaże, że można przejść. Zagwizdał. Tłum poruszył się i Evie skierowała się do domu.

Za jej plecami gazeciarz unosił popołudniówkę, wykrzykując w stronę każdego, kto mógł mieć pięć centów:

- Dodatek nadzwyczajny! Szaleniec grozi, że znów zabije!

DYM I LUSTRA

Przed teatrem Globe przy 42. Ulicy podświetlana markiza głośno wielkimi literami FLORENZ ZIEGFELD PRZEDSTAWIA NO FOOLIN - MUZYCZNĄ REWIĘ WYŚLAWIAJĄCĄ AMERYKAŃSKĄ DZIEWCZYNE. Ludzie w wieczorowych strojach wkraczali do wspaniałego teatru, podekscytowani widokiem gwiazd takich jak Fanny Brice, Will Rogers i W.C. Fields, nie wspominając o utalentowanych tancerkach i sławnych dziewczętach Ziegfelda, pięknych modelkach, które spacerowały po scenie w skomplikowanych nakryciach głowy i skąpych kostiumach. To było uosobienie przepychu i Evie z trudem mogła uwierzyć, że zajęły miejsca na wygiętym balkonie obok tych wszystkich sław z ich futrami i klejnotami. Evie trąciła Mabel.

- Popatrz, to Gloria Swanson. - Wskazała na niższy poziom, gdzie uwodzicielska gwiazda filmowa, odziana w aksamit i gronostaje, cieszyła się spojrzeniami wielbicieli. - Jest naprawdę niesamowita - wyszeptała z podziwem Evie. - Te klejnoty! Musi ją boleć szyja.

- Po to jest aspiryna od Bayera - odpowiedziała szeptem Mabel.

Evie uśmiechnęła się, widząc, że nawet socjalistka nie jest odporna na urok gwiazdy filmowej.

Światła przygasły i dziewczęta przepelniła ekscytacja. Wzięły się za ręce. Dyrygent uniósł batutę i w kanale dla orkiestry wybuchła porywająca melodia. Kurtyna rozsunęła się i gromadka uśmiechniętych tancerek w jaskrawych kostiumach kąpielowych zaczęła stepować, a dżentelmen w smokingu śpiewał o pięknych dziewczętach. Evie nigdy wcześniej nie była tak podekscytowana. Uwielbiała to przedstawienie, od zabawnego układu z jodłowaniem, scenki rozgrywającej się w Alpach, po wirujący taniec w haremie arabskiego szejka. Marzyła, by trwało całą wieczność, ale

program wskazywał, że nadchodzi wielki finał. Mówiono, że pan Ziegfeld najbardziej spektakularny układ zostawiał na koniec. Światła zamigotały, co miało oznaczać błyskawicę. W kanale dla orkiestry rozległ się brzęk cymbałów i ostry zgrzyt skrzypiec na tle dramatycznej perkusji. Wokół światła rampy zebrał się dym, który zaczął rozlewać się na widownię. Na scenie bosa, skąpo odziane dziewczęta, w wysokich, zdobionych koralami nakryciach głowy wiły się sugestywnie pod repliką złotego ołtarza. Jasnowłosa piękność otulona kusząco złocistym jedwabiem stała na szczycie ołtarza. Tańczyła jak w transie, gdy muzyka wznosiła się i rozbłyskiwały światła. Piękność śpiewała słodko błagalnym głosem o tym, by świat duchów nie przyjmował jej w ofierze dla złotego bożka. Eleganckie dziewczęta Ziegfelda spacerowały po wybiegu jak widma. To było hipnotyzujące i Evie pochyliła się, urzeczona.

- Tam jest Theta - szepnęła Mabel.

Dyskretnie wskazała na jedną z tancerek, drugą od prawej. Choć jest ubrana i umalowana jak pozostałe dziewczęta, w Thecie jest coś wyjątkowego, pomyślała Evie. Spokojne miny innych tancerek sugerowały, że myślą o czymś tak ekscytującym jak upranie pończoch po przedstawieniu. Ale Theta sprawiała, że człowiek wierzył, że jest rozgorączkowaną wyznawczynią Ba'ala.

Kiedy całość doszła do kulminacji i kapłan miał wbić nóż w serce blondynki, bohater podbiegł do ołtarza, odpychając wyznawczynię. Przewrócił kapłana, zmiądzzył bożka i zniósł oczarowaną dziewczynę po podświetlanych schodach. Gromadka tancerek prześlizgnęła się przez estradę z wielkimi wachlarzami z piór i nagle całość zmieniła się w scenę ślubu. Tancerki rzucały płatki czerwonych róż, gdy mąż i żona - odziana teraz w cnotliwą biel - śpiewem obiecywali sobie

wieczną miłość. Kurtyna zasunęła się i tak skończyło się całe przedstawienie.

- Byłaś cudowna! - wykrzyknęła Evie chwilę później, gdy całą czwórką - Evie, Mabel, Theta i Henry - szli wąską, zadrzewioną Bedford Street w Greenwich Village na imprezę urządzaną przez jedną z dziewcząt.

- Jasne. „Druga tancerka od lewej” to moja specjalność - stwierdziła Theta z kamienną twarzą. Henry ujął ją pod ramię.

- Staraj się dalej, kochanie, a może zostaniesz „pierwszą tancerką od lewej”.

- Ja uważam, że byłaś świetna - stwierdziła Evie. - Od razu cię z Mabel zauważyliśmy. Prawda, Mablesie?

- I to jak!

- To miłe z twojej strony, dzieciaku. Impreza jest tutaj.

Zatrzymali się przed domem z czerwonej cegły. Przyjęcie już wylało się na ganek, gdzie stała dziewczyna w boa z piór, trzymająca w dwóch palcach długą cygarniczkę. Była pijana. Nogą zablokowała im przejście.

- Hasło?

- Long Island - rzucił Henry.

- Masz to wymawiać Lon - gaj - lend - poleciała.

- Lon - gaj - lend - powiedzieli wszyscy.

- Entrez!

Dziewczyna opuściła nogę, a oni przepchnęli się do holu i wspięli po schodach pełnych ludzi, aż do mieszkania, którego otwarte drzwi podpierało wiaderko z lodem. W środku z radia płynął jazz. Gospodyni przywitała ich głośnie „Jesteście!”, po czym zniknęła w drugim pokoju, jakby niósł ją niewidzialny przyływ. Na podłodze stała lampa, a popiersie Thomasa Jeffersona, uwieńczone przez kogoś kapelusikiem bez rona, spoglądało na nich z jednego z palników na niewielkiej kuchence w jeszcze mniejszej kuchni. Jakiś gość

podśpiewywał I'll Take Manhattan, stojąc w grupce tancerek i ich przyjaciół, którzy nucili razem z nim.

Mabel pociągnęła Evie za rękaw.

- Nie jestem odpowiednio ubrana na tę imprezę.

- Da się to naprawić odrobiną dymu i luster, okrągła buźko - powiedziała Evie. Z westchnieniem zdjęła z włosów opaskę, zdobioną kryształkami i pawimi piórami, i umieściła ją na głowie Mabel. - Masz, Mablesie. Wyglądasz jak wystawa bożonarodzeniowa u Gimbelsa, a je wszyscy kochają.

- Dzięki, Evie.

- Do dna - powiedziała Theta, podając im drinki. Mabel spojrzała na swoją szklaneczkę.

- Ja właściwie nie piję.

- Pierwszy łyk jest najtrudniejszy - poradził Henry. Pociągnęła łyk i skrzywiła się.

- To jest koszmarne.

- Im bardziej robisz się pijana, tym lepiej smakuje.

Evie była tak zdenerwowana, że wypila koktajl dwoma łykami i znów napełniła szklaneczkę.

Henry uniósł brew.

- Jak widzę, mam do czynienia z profesjonalistką.

- A co jeszcze jest do roboty w Ohio? W salonie rozgorzała kłótnia.

- Jeśli się nie przymkniesz, sama wezwę okultystycznego zabójcę i poproszę, żeby cię wykończył, Freddie! - rozległ się wysoki kobiecy głos.

Wszyscy zaczęli rozmawiać o morderstwie pod mostem i najnowszym ostrzeżeniu.

- Mój kumpel, który ma kuzyna gliniarza, powiedział mi, że to zbrodnia na tle seksualnym.

- Podobno to konflikt między mafią włoską a irlandzkimi gangami, a ona była czyjąś dziewczyną, która zaprzyjaźniła się z niewłaściwym gościem.

- To z pewnością jakaś europejska magia. Nie powinni wpuszczać tu tylu obcokrajowców. Tak się to kończy.

- Wuj Evie pomaga glinom znaleźć zabójcę - poinformowała ich Theta.

Wszyscy tłoczyli się wokół Evie, zarzucając ją pytaniami. Czy mieli podejrzanych? Czy ofiara nie miała oczu, jak pisali w gazetach? Czy to prawda, że zamordowana dziewczyna była prostytutką? Evie nie zdążyła odpowiedzieć na nawet jedno z pytań, kiedy jedna z dziewcząt zawołała od drzwi:

- Ronnie wyjął ukulele! Bop - bop - a - dit - dit - du - du - da!

I w jednej chwili przeszli do następnej rzeczy, od jednego dreszczu do drugiego, bez chwili wahania. Evie czuła się przy nich mała i bezbarwna. Byli tacy kolorowi i podniecający. Ludzie teatru, którzy śpiewali, tańczyli i grali, którzy znali bankierów i bogaczy. Co mogła zrobić Evie? Jakie talenty ją wyróżniały?

Dziewczyna była świadoma, że jedną nogą przekroczyła już granicę rauszu. Cichy, pełen nacisku głos rozsądku kazał jej zatrzymać się i zamknąć. To, co miała zamiar zrobić, najpewniej było kiepskim pomysłem. Ale czy ona kiedyś słuchała głosu rozsądku? Rozsądek był dla frajerów i prezbiterian. Evie dopiła martini i prześlizgnęła się bliżej modnych gości śpiewających przy akompaniamencie ukulele.

- Nie zgadniecie, co umiem - powiedziała radośnie, gdy skończyli If You Knew Suzie. - Dam wam wskazówkę, to jak magiczna sztuczka, tylko lepiej. - Ronnie zatrzymał palce na strunach ukulele. Przyciągnęła ich uwagę i bardzo jej się to podobało. - Umiem odczytać tajemnice z każdego przedmiotu. Bop - bop - a - ding - dong... ding - dong.

Theta zabrała szklaneczkę Evie i powąchała ją.

- Serio, potrafię! Popatrzcie.

Wyciągnęła rękę i chwyciła kolczyk jednej z dziewcząt, ignorując jej sprzeciw. Dla lepszego efektu przycisnęła go do czoła. Przez chwilę wahala się - a gdyby usłyszała to straszliwe pogwizdywanie, jak z Rutą Badowski? Kiedy o tym pomyślała, stała się jeszcze bardziej zdecydowana, by wygnać z umysłu scenę spod mostu. Kolczyk wkrótce zdradził swoje tajemnice.

- Naprawdę masz na imię Bertha. Zmieniłaś je na Billie, kiedy wyjechałaś z... Delaware?

Dziewczyna szeroko otworzyła usta. Klasnęła w dłonie.

- To nie niesamowite! Weź coś Ronniego!

Evie chodziła od osoby do osoby, chwytając drobiazgi. Robiła się coraz lepsza.

- Urodziłaś się pierwszego czerwca, a twoja najlepsza przyjaciółka ma na imię Mae.

- Na obiad poszedłeś do Sardiego i zjadłeś peklowaną wołowinę.

- Masz papuzkę imieniem Gladys.

- To naprawdę pierwsza klasa, powinnaś mieć własne przedstawienie, dzieciaku! - powiedział Ronnie.

- I będę je miała! - odpowiedziała Evie głośno, pozwalając, by mówił za nią dzin. - Zmienię swój pokój dzienny w salon i każdego wieczoru będą odwiedzać mnie ludzie, a ja będę im mówić, co jedli. Napiszą o mnie wszystkie czasopisma. Zostanę Kanapkową Swami.

Wszyscy się roześmiali, a ich śmiech otulił Evie jak najcieplejszy koc. To było najlepsze miasto na świecie, i Evie właśnie zanurkowała w jego środek. W ciągu godziny odczytała kilkanaście przedmiotów i była dosłownie zamroczona. Robiło się późno - albo wcześnie, zależnie od tego, jak na to spojrzeć. Jakiś gość owinał jej głowę swoim krawatem w paski i zawiązał go na kokardkę. Mabel usnęła na sofie. Gospodyni postawiła jej na brzuchu talerz z kanapkami i

od czasu do czasu jakiś gość podchodził i brał sobie jedną. U jej stóp obejmowała się parka, nawet na chwilę nie przerywając namiętnego pocałunku.

Henry usiadł obok Evie.

- Kochanie, to jest naprawdę niezła sztuczka. Powiedz mi, byłaś asystentką magika?

- Nie - odparła Evie z uśmiechem.

- To jak się tego nauczyłaś? - naciskał Henry. - Czy zawsze umiałaś...?

Uniósł palce do czoła i udawał, że czyta jej w myślach. Evie roześmiała się. Była wystarczająco pijana, by powiedzieć mu prawdę, lecz cichy głosik w głowie podpowiadał jej, żeby tego nie robiła. To był doskonały wieczór. A jeśli skończy się tak ponuro jak poprzednia impreza?

- Dama nigdy nie zdradza - wybełkotała Evie.

Henry miał taką minę, jakby chciał ją zapytać o coś jeszcze. Evie to czuła. Ale znów się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że nie.

- Chciałbyś, żebym zdradziła ci twoje tajemnice, Henry?

- Dzięki, kochana. Uwielbiam życie w suspensie. Poza tym, gdybym poznał wszystkie swoje sekrety, utraciłbym aurę tajemniczości.

Uniósł brew i wydał wargi jak John Barrymore w Don Juanie i Evie poczuła, że to były właściwe słowa. Zachichotała.

- Lubię cię, Henry.

- Ja ciebie też, Evil.

- Jesteśmy kumplami?

- No jasne.

Theta opadła obok nich na dywan w białe - czarne pasy.

- Jestem zabalsamowana w czarnoziem.

- Ululana i urżnięta w sztok?

- Zalana w pestkę. Czas się pożegnać.

- Cokolwiek mówisz, gwiazdeczko.

- Theta. - Evie machnęła w stronę dziewczyny. - Nie pozwolilas mi odczytać twoich tajemnic.

Theta wahała się przez chwilę, ale była zbyt pijana, by odmówić.

- Masz, Evil - powiedziała, podając jej onyksową bransoletkę w kształcie jaguara. - Urodziłam się dwudziestego trzeciego lutego, a na obiad zjadłam milion lat temu jedną z tych obeschniętych kanapek z kuchni.

Evie ścisnęła bransoletkę i poczuła przeszywający smutek wraz z nutą strachu. Widziała Thetę biegnącą w środku nocy, z podartą sukienką i rozmazanym makijażem. Theta się bała, tak bardzo.

Musiała przestać. Kiedy otworzyła oczy, tancerka patrzyła na nią z dziwną miną i dziewczyna znów widziała drugą Thetę, przerażoną i uciekającą ze wszystkich sił.

- P - przepraszam. Nic nie widziałam - skłamała Evie.

- I dobrze - odpowiedziała Theta, odbierając bransoletkę.

Posłała Evie zaniepokojone spojrzenie i dziewczyna miała nadzieję, że nie zaszła za daleko. Może lepiej przez jakiś czas nie chwalić się swoją sztuczką.

Tuż nad ich głowami przeleciał wazon. Rozbił się o ścianę. Rzuciła go blondynka z układu z Ba'alem. Daisy jakaś tam. Teraz wrzeszczała.

- Nikt nie docenia tego, co robię dla rewii! Ani Flo, ani nikt inny! Jestem gwiazdą i mogłabym pojechać do Hollywood i zagrać w filmie, gdybym tylko chciała!

- Stara dobra Daisy. - Henry westchnął.

- Czas spadać - stwierdziła Theta.

Evie obudziła zaspaną Mabel, a Henry wziął ich płaszcze. Evie cały czas próbowała wsunąć lewą rękę w rękaw, ale za każdym razem nie trafiała, aż w końcu Henry musiał ją ubrać.

Evie poklepała go po policzku.

- Przyślij mi rachunek za swoje usługi, Henry.
- Na koszt firmy.

Ramię przy ramieniu cała czwórka wędrowała przez artystyczne uliczki Greenwich Village, obok malutkich klubów i poddaszy zajmowanych przez malarzy. Idąc, śpiewali wymyśloną przez Henry'ego piosenkę, absurdalną rymowaną z refrenem „Usiadła na dupie na swoim chłopcu Kubie”, co Thetę za każdym razem doprowadzało do łez. Pierwsze macki potwornego bólu głowy skradały się po karku Evie, zaciskały się na jej czaszce i doprowadzały do bólu oczu. Nie mogła otrząsnąć się z tego, co widziała w bransoletce Thety. Nie wiedziała, przed jaką grozą uciekała dziewczyna, i nie była pewna, czy chce to wiedzieć, więc zaczęła śpiewać głośniejszym głosem, żeby zagłuszyć głosy w głowie. Na obrzeżach Washington Square Park Henry zatrzymał się i wskoczył na ławkę.

- Wiecie, że to kiedyś był cmentarz dla ubogich? Poniżej leżą tysiące ciał.

- Wkrótce mogę stać się jednym z nich - powiedziała Theta i ziewnęła.

- Popatrzcie no tylko - powiedział Henry, spoglądając na złocisty księżyc, zalewający słabym blaskiem atramentowe niebo nad łukiem Washington Square.

Odchylili głowy do tyłu, by napawać się jego urodą.

- Śliczny - powiedziała Evie.

- Racja - zgodziła się Theta.

- Boże - jęknęła Mabel. Odwróciła się i zwymiotowała do rynsztoka.

SMUTEK JAK PIÓRA

Memphis siedział na cmentarzu w pobliżu nagrobka z napisem:

EZEKIEL TIMOTHY.

URODZONY W R. 1821,

ZMARŁ JAKO WOLNY CZŁOWIEK W R. 1892.

Wyjął latarnię z kryjówki i w jej złocistym blasku zaczął pracę nad nowym wierszem. „Nosi smutek jak płaszcz z piór zbyt ciężkich, by wzbić się do lotu”. Przekreślił „ciężkich”, zapisał „obciążonych”, uznał, że to pretensjonalne, i znów wpisał „ciężkich”. Na powierzchni rzeki Hudson unosiła się łódź, ciągnąc za sobą wstęgi świateł. Memphis obserwował ją przez chwilę, czekając na natchnienie, ale był zmęczony, więc w końcu oparł głowę na ramionach i zasnął.

W znajomym śnie Memphis stał na rozstaju dróg. Ziemia była płaska, złocistobrazowa. Nad drogą wznosiła się mglista ściana pyłu, która sprawiała, że dzień pociemniał. Widział gospodarstwo, stodołę i drzewo. Wiatrak obracał się gorączkowo w pyle. Na polu zakrakał kruk i gorączkowo uderzył skrzydłami, unosząc się tuż przed wysokim, chudym mężczyzną, który z każdym krokiem zgniatał pszenicę w pył.

Memphis obudził się gwałtownie. Świeca w jego latarni się wypaliła. Było bardzo ciemno. Odłożył latarnię do kryjówki w drzewie, zebrał swoje rzeczy i przeszedł obok domu na wzgórzu. Nie patrz, idź dalej, pomyślał, dochodząc do furtki. Dlaczego tak pomyślał? Dlaczego miał gęsią skórę? Przesąd. Głupi, zacofany przesąd. Nie mógł tego znieść i, żeby rzucić sobie wyzwanie, odciąć się od wielu pokoleń zastraszonych przodków, celowo przeszedł przez furtkę i stanął na zarośniętej chwastami, popękanej ścieżce prowadzącej do zniszczonej rezydencji.

Zmuszając się do marszu, podchodził coraz bliżej zniszczonych frontowych drzwi. Może nawet wejdzie do

środku, raz na zawsze zakończy tę głupotę. Już prawie był na miejscu. Jeszcze tylko pięć kroków. Cztery. Trzy...

Drzwi otworzyły się z dźwiękiem, który Memphis mógł opisać jedynie jako piekielny jęk. Chłopak poleciał do tyłu, podniósł się i ruszył biegiem. Zwolnił dopiero, kiedy dotarł do jasnych światła Harlemu.

To wiatr i tyle, mówił sobie Memphis, wślizgując się do domu Octavii. Dał się przestraszyć podmuchowi wiatru. Potrząsnął głową nad swoją głupotą, po czym stłumił krzyk, kiedy wpadł na Isaiaha stojącego w drzwiach ich pokoju.

- Boże wszechmocny, stary! - wyszeptał. - Prawie dostałem przez ciebie zawału.

Isaiah patrzył prosto przed siebie.

- Namaśćcie swe ciała i przygotujcie ściany swoich domów. Pan nie zniesie żadnej słabości pośród swoich wybranych.

- Stary?

- A szósta ofiara będzie ofiarą posłuszeństwa.

Memphisa przeszedł dreszcz. Nie rozpoznawał tego, co mówił Isaiah. Brzmiało to tak, jakby chłopak powtarzał za kimś te słowa. Memphis nie wiedział, co robić. Gdyby poszedł do Octavii, zaciągnęłyby ich obu do kościoła i trzymała ich tam dniem i nocą na modlitwie.

Siostra Walker. Może siostra Walker będzie wiedziała. Jutro ją o to zapyta. Memphis wziął Isaiaha za rękę i zaprowadził go z powrotem do łóżka. Chłopiec nadal gapił się przed siebie.

- Nadszedł czas. Nadchodzą - powiedział Isaiah, zapadając w sen. Jego ostatnie słowa były cichym szeptem. - Wróżbiarze.

I zasnął.

ODPRYSK KSIĘŻYCOWEGO BLASKU

Kilkanaście przecznic i tysiąc lat od modnych klubów i teatrów półksiężyc pociał się na niebie, ale jego blask nie rozświetlał mroku czynszówek wzdłuż 10. Alei, gdzie Tommy Duffy i jego przyjaciele cieszyli się chłodem nocnego powietrza, krocząc dumnym krokiem przez Helis Kitchen. Nazywali się Królami Ulicy, gdyż byli władcami stert gruzu i bocznic kolejowych. Tymi, którzy wywoływali zamieszanie. Sułtanami przeklętej West Side.

- Słyszałem, że jest tu piwnica, gdzie zabierają kapusiów - powiedział jeden chłopaków. - Podobno na podłodze jest pełno zembów, można wyciongnąć złoto i sprzedać je w lombardzie na rogu Ósmej i Czterdziestej.

- Gupi jesteś jak twój stary.

- Cofnij to, co powiedziałeś o moim tatku.

- Twój stary ciongle tylko chłody whiskey Owneya!

Dwaj chłopcy rzucili się na siebie z pięściami i przekleństwami, bardziej z przyzwyczajenia niż w imię honoru, aż rozdzielił ich Paddy Holleran.

- Dajcie spokój - rozkazał. - Możemy potrzebować łap do tego, co dziś robimy.

Paddy miał czternaście lat i już zajmował się drobnymi wymuszeniami dla gangu Owneya Maddena, więc chłopcy podążyli za nim bez słowa. Wykrzykiwali „Królowie Ulicy!”, przewracali kosze na śmieci i rzucali kamieniami w okna. Nikt nie mógł ich ruszyć. To właśnie oznaczała przynależność do gangu. Bez swoich chłopaków człowiek był niczym. Bałwanem. Nikim.

Kiedy zbliżyli się do pustych placów składowych nad Hudsonem, przy których pełniły straż magazyny, Paddy ich uciszył.

- Uważajcie. Oni mają psa, wielkiego owczarka niemieckiego z zębami na stopę, który pilnuje. Zeżre wam twarze.

- Jaki jest plan, Paddy? - spytał Tommy. Miał zaledwie dwanaście lat i traktował starszego chłopca jako autorytet.

- Widzicie ten magazyn na końcu? Słyszałem, że ludzie Luciano ukryli tam whiskey z Kanady. Majom też tam destylarnie. Ukradniemy whiskey, popsujemy destylarnie, Owney będzie zachwycony. Bendziemy dobrze siem prezentować. Pokażemy tym włoskim sukinsynom, że Irlandczycy byli pierwsi.

- A czy to nie Kolumb odkrył Amerykę? - spytał Tommy. Nauczył się tego w szkole, zanim rzucił ją w piątej klasie.

Paddy walnął Tommy'ego w nos.

- Co z tobom? Chcesz teraz być z Włochami? Tak?

- N - nie.

- Hej! Ten tu Tommy chce zostać Włochem! Jest zbyt dobry, żeby być z nami!

- Wcale że nie! - krzyczał Tommy.

- Tak? To udowodnij to. - Paddy miał w oku paskudny błysk. - Idziesz pierwszy. Zostań pięć minut, wyjdź z czymś i ci uwierzemy.

Tommy spojrzał w stronę tonącego w mroku krańca placu, gdzie znajdował się magazyn. Spali tam pijacy. I zboczeńcy. Czasem konkurencyjne gangi chodziły z ołowianymi rurkami. I jeszcze ten pies, o którym wspomniał Paddy. Tommy poczuł ucisk w żołądku.

- Zrób to albo już nie jesteś Królem Ulicy.

Nie było gorszego losu. Nawet myśl o jakimś staruchu pokazującym mu swoje narządy była lepsza niż wykluczenie z gangu, zostanie nikiem.

- Dobra, dobra - powiedział Tommy.

Szedł na drżących nogach w stronę wielkiego magazynu nad rzeką. Zdziczałe koty prześlizgiwały się pośród chwastów, niosąc coś w pyskach. Jeden zasyczał, a jego oczy błyszcząły w ciemnościach jak szkło. „Królowie Ulicy, Królowie Ulicy”, nucił pod nosem Tommy. Zawahał się przed potężnym wejściem. Nie było zamknięte na kłódkę, jedynie na zasuwę. Jeden z chłopców zawył jak pies i serce Tommy'ego zabiło szybciej na myśl o tym, co mogło być po drugiej stronie drzwi.

Królowie Ulicy...

Tommy wślizgnął się do środka i od razu się zorientował, że to nie ukryta destylarnia, tylko rzeźnia. Śmierdziało rzeczną wodą i martwym ciałem. Tommy usłyszał, jak drewniana zasuwka znów opada. Rzucił się na drzwi i walił w nie pięściami.

- Wypuście mnie! Zabije was!

- Pozdrów Włochów, bałwanie - ryknął Paddy z drugiej strony, pozostali dorzucili swoje obelgi.

Tommy słyszał, jak ich śmiech oddala się od magazynu, podobnie ich szybkie kroki. Rzucił się na drzwi, nic to nie dało. O ile nie znajdzie innego wyjścia, utknie tu, aż ktoś przyjdzie. A tym kimś mógł być jeden z ludzi Lucky'ego Luciano, co było perspektywą gorszą niż spędzenie samotnie nocy w starym magazynie. Od strony rzeki przez wysokie wąskie okna wpadał blask księżyca. Jego popękane światło wpierw padało na łańcuchy i haki wiszące u sufitu, a później na blade świńskie tusze wiszące długim rzędem na tyłach. Chłopak krzyknął, kiedy po jego nodze przebiegł szczur.

- Spory był, prawda? - spytał ktoś.

Tommy obrócił się na pięcie.

- Kto tam? Kto to powiedział?

Mężczyzna wyszedł z cienia. Był wielki jak bokser, w garniturze i meloniku wydawał się ważny i nie na miejscu.

Tommy głośno przełknął ślinę. A jeśli to był jeden ze zbirów Luciano?

- To był zakład. K - koledzy mnie zamkli - wykrztusił Tommy. - Przysiengam, prosze pana. Nie chce kłopotów.

- Jak się nazywasz? - spytał mężczyzna.

- Tommy.

- Tommy - powtórzył mężczyzna, smakując to imię. W jego oczach było coś, co wydawało się niewłaściwe. Tommy uznał, że to wina słabego księżycowego blasku. - Tomasz apostoł. Niewierny Tomasz, który musiał zobaczyć, zanim uwierzył?

- Yyy?

Nieznajomy uśmiechnął się. To był niepokojący uśmiech, ale przyciągał uwagę Tommy'ego.

- Wydaje się, że jesteś w nastroju do zakładów, Thomasie. Ja również się z tobą założę. Dziś jest taka noc, podczas której mogą narodzić się ludzie wielkiej odwagi. Ale będziesz musiał odłożyć na bok wątpliwości, Thomasie.

Mężczyzna wyjął z kieszeni nowiutką studolarówkę i rozprostował ją między palcami pokrytymi niebiesko - czarnym tatuażem. Tommy otworzył szerzej oczy.

- Co mam zrobić? - spytał ostrożnie.

- Musisz tylko przejść na drugi koniec magazynu i zabrać moją laskę. Ma srebrną gałkę.

Mężczyzna machnął ręką i Tommy zobaczył srebrną gałkę błyszczącą słabo po drugiej stronie świńskich tusz.

- Jaki jest haczyk?

- Ach. Za dużo bym zdradził, czyż nie? Życie to gra hazardowa dla odważnych, Thomasie. Musisz być gotów zaryzykować w imię nagrody. Co powiesz?

Tommy zastanowił się. W ciągu krótkiego życia nauczył się, że większość okazji wcale nie była okazjami. A myśl o przejściu obok tych bladych tusz, żeby dotrzeć do laski po

drugiej stronie, wydawała się onieśmielająca. A później przypomniał sobie, że znalazł się w tym miejscu dlatego, że jego tak zwani przyjaciele zamknęli go dla żartu. Nie pokaże im się bez tej stowy, którą będzie im mógł zamachać przed nosami.

- Dobrze, prosze pana. Zrobie to.

Mężczyzna uśmiechnął się swoim niepokojącym uśmiechem. - Jednak odważny z ciebie człowiek. Mogę zobaczyć twoje ręce? Tommy zmarszczył czoło.

- A po co?

- Człowiek w mojej sytuacji musi podejmować stosowne środki ostrożności. Ręce proszę.

Tommy wyciągnął dłonie, obrócił je wierzchem do dołu i wierzchem do góry. Oczy nieznajomego błyszcząły.

- Możesz je opuścić.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzany woreczek, z którego wysypał na dłoń coś, co wyglądało jak pył. Dmuchnął nim w twarz Tommy'ego.

- Po co to? - prychnął chłopiec, wycierając nos i usta.

- Podnoszę stawkę - powiedział nieznajomy, unosząc studolarówkę między drugim i trzecim palcem. - Gra hazardowa. Ludzie pełni odwagi.

Tommy wyrwał banknot i wcisnął go do kieszeni. Wydawało się, że oczy mężczyzny płoną dziwnym ogniem, i chłopiec szybko odwrócił wzrok. Skupił się na lasce na drugim końcu magazynu. Odetchnął głęboko i wszedł w długi, ciemny tunel między zarżniętymi świniakami. Wiszące tusze, z wybałuszonymi oczami i pyskami otwartymi w ostatnim krzyku, sprawiły, że zrobiło mu się trochę niedobrze i zakręciło mu się w głowie. Z trudem skupiał spojrzenie na srebrnej gałce, która wydawała mu się oddalona o milion kilometrów. Tommy nucił pod nosem: „Królowie Ulicy, Królowie Ulicy, Królowie Ulicy”.

- Dobrze, Thomasie. Idź dalej. Świetnie sobie radzisz. Wkrótce wszystkie twoje wątpliwości znikną.

Tommy nie zatrzymywał się. Sto dolców to kupa kasy. Kiedy przyjdzie do Paddy'ego w nowych ciuchach, z napomadowanymi włosami i sałatą w kieszeni, pokaże pozostałym, kto naprawdę był bałwanem. Nikt już nie zamknie go w magazynie.

Nieznajomy śpiewał niepokojącą piosenkę:

- Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma...

Piosenka sprawiała, że Tommy oblał się zimnym potem i błyskawicznie przeszedł ostatni odcinek, aż dotarł do laski. Została wepchnięta w ziemię jak miecz. Obok znajdowała się broszurka na temat dobrego czegoś - ostatnie słowo zaczynało się na literę O, ale Tommy zawsze miał problemy z czytaniem, litery mu się mieszały. Chwycił laskę obiema rękami i pociągnął, ale nie mógł jej wyrwać, a piosenka nieznajomego działała mu na nerwy. Wydawało się, że dochodzi zewsząd, i mógłby przysiąc, że pod melodią słyszy, bardzo ciche, ale straszliwe warkoty i syczenie, jak głosy z głębi piekieł. Miał pieniądze w kieszeni. Mógł uciec. Coś mu jednak mówiło, że lepiej doprowadzić sprawę do końca. Tommy ustawił się nad laską, wytarł ręce o brudne spodnie i znów spróbował. Nie ruszyła się. Przy trzeciej próbie szarpnął tak mocno, że poleciał do tyłu na trociny. W miejscu, gdzie upadł, było mokro. Na jego policzek spadła kropla czegoś, a po chwili druga. Tommy wytarł twarz. Na ręce miał plamy krwi. Wciąż leżąc na plecach, podniósł wzrok i zobaczył owczarka niemieckiego wiszącego na haku nad jego głową. Został zabity tak niedawno, że jeszcze drżał. Jego brzuch rozcięto, a wnętrzności wyciągnięto na zewnątrz.

Tommy zerwał się na równe nogi. Zaskoczył go śmiech nieznajomego. Nagle znajdował się tuż przed Tommym, który, cofając się, potracił jedną ze świń, a ta zaczęła się

kołysać. Drżącymi dłońmi chłopiec unieruchomił tuszę, jakby w ten sposób mógł przywrócić porządek koszmarnym wydarzeniom. Nieznajomy był tuż przed nim. Jak to możliwe? Jak mógł dotrzeć aż tutaj?

- Ja... nie mogę jej wyjść - wyszeptał Tommy. Nie był świadom, że się cofa.

- Jaka szkoda. Może on ci pomoże? - powiedział nieznajomy, lekko kiwając głową w stronę martwego psa. Następnie przesadnie zmarszczył czoło. - Nie. Pewnie nie.

Bez trudu wyciągnął laskę z ziemi.

Tommy poczuł, że kręci mu się w głowie. Już nie widział wyraźnie. Świńskie nogi poruszały się jak marionetki. Całe tusze się ruszały, wiły na hakach i kwiczały, aż Tommy też zaczął krzyczeć. Oczy mężczyzny płonęły straszliwym ogniem i wydawał się jeszcze większy niż wcześniej.

- Gra hazardowa, chłopcze. Już rzuciłeś kością.

- Paddy! Liam! - wrzeszczał Tommy. - Johnny! Tu jestem!

- Przyjaciele cię opuścili.

Tommy spojrzał w stronę zamkniętych drzwi, które były teraz lekko uchylone. Jak daleko? Dwieście metrów? Trzysta?

- Ach, jak widzę, ostatnia rozgrywka - powiedział nieznajomy, jakby czytał Tommy'emu w myślach. - W takim razie ruszaj, Thomasie. Możesz obstawiać. Rzuć kością. - Jego głos odbijał się echem w ogromnym magazynie. - Biegnij!

Tommy ruszył. Jego kolana poruszały się jak tłoki, jego łokcie przebijały zatechłe powietrze. Drzwi podskakiwały mu przed oczami, kiedy nogi pokonywały dystans. Był znany jako najszybszy chłopak na Dziesiątej Alei. Mógł przegonić gliniarzy, księży, gangsterów i własną matkę, która szybko sięgała po pasek, kiedy ją złościł, czyli właściwie przez cały czas. Uderzył w niego wiszący łańcuch. Odepchnął go, czując pieczenie nadgarstka, ale nie zwolnił. Daleko za plecami

słyszał głos nieznanego wznoszący się ponad brzękiem łańcuchów.

- „A szósta ofiara była ofiarą posłuszeństwa...”.

Tommy widział drzwi. Znajdowały się w odległości sześćdziesięciu metrów, a on nadal nie widział nieznanego. W głowie chłopca rozlegał się gorączkowy chór, gdy mijał ostatnią tuszę. „Królowie Ulicy, Królowie Ulicy, Królowie Ulicy!”. Pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści. Piękny blask księżycy wpadał przez szparę w lekko uchylonych drzwiach. Tommy nie zadawał sobie pytania, jak się otworzyły. Myślał jedynie o tym, jak otwiera je i ucieka do wolności, pędzi w stronę skrótu do 39. Ulicy.

Trzydzieści metrów. Dwadzieścia...

Tommy już nie widział drzwi. Wydawały się już w jego zasięgu, a w jednej chwili zniknęły. Za to stał przed nim nieznanomy. Minęło trochę czasu, nim Tommy zwolnił, nim jego mózg zasygnalizował nogom, że przed nim czekają kłopoty - urwisko w postaci mężczyzny o płonących oczach. Pobiegł w złą stronę. Jak to możliwe? Jak mógł aż tak zakręcić? Nic już nie wydawało się właściwe. Tommy odwrócił się i zobaczył ohydne cienie skradające się wzdłuż ścian i sufitu magazynu, jakby pożerały go w całości, a nieznanomy kroczył przed nimi jak naganiacz prowadzący paradę ciemności.

Jak? - pomyślał Tommy. Rzucił się w lewo, przebił przez świńskie tusze i ujrzał ceglana ścianę, której z pewnością nie było tu jeszcze przed chwilą. Skręcił w prawo, ale trafił na kolejną ścianę. Kiedy znów popatrzył przed siebie, znajdował się przed nim nieznanomy, stojący w kałuży straszliwego księżycowego blasku. Był nagi od pasa w górę i Tommy wpatrywał się w jego świecąca skórę, tatuaże przypominające piętna, pełzające po jego skórze i pod nią, jakby ta skóra była

falszywa, a to, co znajdowało się pod nią, próbowało się wydostać.

- Przegrałeś, Thomasie.

Magazyn wypełniły diabelskie hałasy. Ciemność zawirowała za nieznajomym, zasłaniając ściany i odbierając Tommy'emu wszelką nadzieję na ucieczkę.

- „Jestem nim, Wielką Bestią, Starożytnym Smokiem. I wszyscy spojrzą na mnie i zadrżą...”.

Nieznajomy mówił dalej, ale Tommy już nie słyszał. Skupiał wzrok na poruszającej się ciemności i na zmieniającej się postaci nieznajomego, który górował nad nim.

- P - proszę - wychrypiał. Nieznajomy jedynie się uśmiechnął.

- Jakie doskonałe dłonie - powiedział, gdy opadła ich ciemność.

ALE ŚMIERĆ OD NICH UCIEKNIE

Evie siedziała w wannie z dwoma grubymi plastrami ogórka na zapuchniętych powiekach i śpiewała w pogardzie dla bolącej głowy.

- „We'll have Manhattan, the Bronx and Staten Island, too...”,

(Miałam Manhattan, jasne - mruknęła. - A on... miał... mnie...)

Wślizgnęła się pod wodę i unosiła w niej, aż gwałtowne walenie do drzwi zmusiło ją do wynurzenia się.

- Kąpię się! - wrzasnęła.

- Długo jeszcze? - zapytał Jericho.

Evie dotknęła pomarszczonym palcem stopy kranu z ciepłą wodą.

- Trudno powiedzieć.

- Potrzebuję... no... ach...

- A niech to - jęknęła Evie. - Dobra, dobra. Nie chcę, żebyś zmarł na zapalenie otrzewnej, jak Valentino. Chwileczkę.

Evie opłukała plastry ogórka pod kranem i wrzuciła je do ust. Wyciągnęła korek, wypuszczając wodę z wanny, narzuciła na siebie szlafrok i teatralnym gestem otworzyła drzwi.

- Jest cała twoja - powiedziała, gdy Jericho przecisnął się obok niej.

W kuchni Evie wycisnęła pomarańczę do szklanki, wyłowiła pestki i kilkoma łykami wypiła cenny sok wraz z dwiema tabletkami aspiryny.

- Słodki Jezu.

Chwilę później z łazienki wyłonił się Jericho. Miał kwaśną minę.

- Co cię gryzie?

- Nic.

Usiadł na kanapie i w milczeniu zawiązał but. Jego dezaprobata unosiła się w powietrzu jak woń soli kąpielowych Evie. Dziewczynie nie przeszkadzały krzyki, ale nie znosiła czuć się oceniana. To załaziło jej za skórę, sprawiało, że czuła się mała, brzydka i do niczego. Zaczęła nucić radośnie, rzucając wyzwanie i Jericho, i bólowi głowy.

- „Jesteś jak jagody, jak śmietanka, spełnione marzenia, kochanie...”.

- Zastanawiałem się tylko, czy będzie to stały punkt twojego programu - powiedział w końcu Jericho.

- Stały punkt mojego programu? Cóż, może dodam jeszcze tresowaną małą. Wszyscy je uwielbiają.

- Czy tym jest dla ciebie życie? Jedną wielką imprezą?

Evie się wściekła. Przynajmniej nie bała się wyjść na zewnątrz i żyć. Jericho chyba nie znał życia poza stronicami zatechłej starej księgi, a do tego nie wydawało się, by chciał je poznać.

- To lepsze niż spędzanie każdej nocy na ponurych rozmyślaniach jak zaginiony brat Byrona. Nie rób takiej urażonej miny, bo taki właśnie jesteś. I co ci to daje? Dzieciaku, masz osiemnaście lat, nie osiemdziesiąt. Pożyj trochę.

Jericho wstał z kanapy.

- Pożyć trochę? Pożyć trochę! - wykrzyknął z goryczą. - Gdybyś tylko wiedziała... - Przerwał nagle i Evie widziała, że zmusza się do zapanowania nad sobą. - Nieważne. Nie zrozumiałabyś. Muszę iść do muzeum.

Chwycił podniszczony egzemplarz Nietzschego i zatrzaskał za sobą drzwi.

Evie siedziała na łóżku Mabel. Aspiryna nie bardzo jej pomogła, ale, jak każda porządna nowoczesna dziewczyna, nie miała zamiaru spędzić całego dnia w łóżku, w

przeciwieństwie do Mabel, która poddała się straszliwemu kacowi. Leżała zwinięta na posłaniu, ściskając miskę na wypadek, gdyby musiała zwymiotować.

- Prosto z drukarni, dzisiejsze wiadomości: miłość twojego życia również nie akceptuje mojego swobodnego trybu życia - powiedziała Evie afektowanym głosem. - Serio, Mablesie, może się jeszcze zastanowisz, z niego jest kawał ponuraka.

- Mój żołądek także nie akceptuje naszego swobodnego trybu życia - powiedziała żałośnie Mabel. Nie podniosła głowy znad poduszki. - Już nigdy się nie napiję.

- Wszyscy tak mówią, okrągła buźko. Mabel jęknęła.

- Mówię serio. Czuję się koszmarnie. Kończę znajomość z trunkami. - Uniosła prawą rękę. - Możesz być świadkiem tego obwieszczenia.

- Zaświadczone.

Mabel opuściła rękę, a na jej twarzy znów pojawiło się cierpienie. Evie zeskoczyła z łóżka.

- Co jest? Niedobrze ci?

Mabel sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła pozostałości opaski Evie. Była wygięta pośrodku, najwyraźniej ktoś na nią nadepnął. Brakowało części kryształków, a pawie pióra zwisły jak zmęczone tancerki.

- Przepraszam.

- Och...

Evie zdusiła przekleństwo. Usta Mabel zadrżały i dziewczyna widziała, że jej przyjaciółka zaraz się rozpłacze. Odrzuciła opaskę na bok, jakby to był śmieć.

- Ta starość? Już miałam jej dosyć. Zrobiłaś mi przysługę, kończąc jej cierpienia.

Mabel uniosła brew.

- Kłamiesz, prawda?

- Tak.

- Żebym poczuła się lepiej?
- Nie, żebym ja poczuła się lepiej. Inaczej się popłaczę.
- Dzięki. - Na wargach Mabel pojawił się słaby uśmiech.

Wygięła mały palec. - Przyjaciółki na całe życie?

Evie zaczęła swoim małym palcem o jej palec.

- Na całe życie.

Evie pocałowała Mabel w czoło i zgasła lampkę przy łóżku.

- Prześpij się, okrągła buźko.

Evie wyszła z Benningtona i ruszyła Broadwayem, mijając sklepy. Sklep z radioodbiornikami reklamował najnowszy model. Dźwięk wypływał na ulicę, zachęcając klientów. Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, słuchając i jednocześnie malując usta.

- ...tu Cedric Donaldson z lotniska Roosevelt Field na Long Island, gdzie przed chwilą Jake Marlowe wylądował American Flyerem, aeroplanem własnego projektu. Słyszą państwo entuzjazm tłumów, które zebrały się tutaj w ten piękny jesienny dzień, by przywitać bohaterskiego milionera, wynalazcę i przemysłowca! A oto i orkiestra dęta szkoły średniej Bayside grająca The Stars and Stripes Forever.

Sprzedawca spojrział na Evie z dezaprobatą przez sklepową witrynę. Uniosła łokcie i kolana, naśladując muzyków orkiestry dętej, zaszalowała mężczyźnie i ruszyła w stronę muzeum. Przy kiosku znieruchomiała. „New York Daily Mirror” głosiło wielkimi literami na frontowej stronie: SZALENIEC Z MANHATTANU ZNÓW ATAKUJE! Chwyła gazetę i przeczuciwszy reklamę sklepu sprzedającego lornetki do obserwacji Komety Salomona, przeszła do artykułu na stronie drugiej.

- Laleczko, masz zamiar zapłacić? - Gazeciarz wyciągnął rękę. Evie rzuciła mu pięciocentówkę, wsadziła gazetę pod pachę i pobiegła do muzeum.

Will siedział w bibliotece z Samem i Jericho. Był blady.

- Ja... właśnie się dowiedziałam... - wysapała Evie. Uniosła gazetę.

- Tommy Duffy. Dwanaście lat - powiedział cicho Will. - Zabójca obciął mu dłonie.

Evie zrobiło się niedobrze.

- Czy to ten sam zabójca? Will pokiwał głową.

- Najpierw posłał do prasy ostrzeżenie.

Jericho otworzył wieczorne wydanie „Daily News”.

- „I w owe dni ludzie szukać będą śmierci, ale jej nie znajdą, i będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie. Gdyż Bestia powstanie, gdy przyleci kometa”.

- Wygląda na to, że ten osobnik lubi zainteresowanie - powiedział Will. - Przy ciele zostawił kolejną kartkę.

Evie rozwinęła cienki pergamin, który przypominał ten pierwszy, z dziwnymi znakami wzdłuż dolnej krawędzi.

- Tylko ostrożnie... detektyw Malloy nam go wypożyczył - powiedział Will.

- „A w owych czasach młodzi byli beczynni. Ich dłonie nie spoczywały na pługach i nie wznosili ich w modlitwie i wychwalaniu Boga, Pana naszego. Gniew wielki ogarnął Pana i rozkazał Bestii złożyć szóstą ofiarę, ofiarę posłuszeństwa” - czytała Evie. - Dłonie. Rucie zabrał oczy, a Tommy'emu Duffy'emu dłonie. Dlaczego?

- To nie ma sensu - rzucił Will.

- Zabójstwo dziecka nigdy nie ma sensu.

- Chodzi mi o symbolikę. - Will wstał i znów spacerował po sali. - Tommy Duffy został upozowany. Powieszony głową do dołu, z ugiętą jedną nogą. To nie jest symbol chrześcijański, lecz pogański. Wisielec, jak na kartach tarota. Sugeruje magię lub mistycyzm. Jednak w tylnej kieszeni spodni chłopca znalazło się to.

Will rzucił na stół broszurkę. Na okładce, mężczyzna w białych szatach i spiczastym kapeluszu stał pod otwartą Biblią i krzyżem, dzwoniąc w dzwon wolności, a widmowa twarz Jerzego Waszyngtona spoglądała z aprobatą.

- „Dobry obywatel” - przeczytała Evie. - Co to?

- To comiesięczna publikacja Kościoła Kolumny Ognia - stwierdził Will. - Ma też aprobatę Ku - Klux - Klanu.

- Myślisz, że Klan mógł zabić tego chłopca?

- To możliwe. Oczywiście, jest równie możliwe, że broszurka znajdowała się tam przed zabójstwem. Warto jednak zauważyć, że Tommy Duffy był Irlandczykiem. Ruta Badowski Polką. Zabójca może żywić nienawiść do cudzoziemców.

- Albo do katolików - wtrącił Jericho.

- Oni nie potrzebują wielu powodów - mruknął Sam.

Evie wiedziała, że niektórzy w Zenith należeli do Klanu. Ludzie tacy jak ojciec Brodiego ich wspierali. Ale rodzice Evie byli niegdyś katolikami. O'Neillowie pochodzili z Irlandii. A jej ojciec regularnie pomstował na Klan, jego bandytyzm i bigoterię.

- Kiedy ruszamy? - spytała Evie.

- Ruszamy gdzie? - odpowiedział pytaniem Sam.

- Pójdziemy do tego Kościoła Kolumny Ognia, żeby powęszyć, prawda?

- Ja nie mogę - stwierdził Will. - Kiedyś pomogłem oskarżyć Wielkiego Smoka tutejszego Klanu. Jestem im znany. - A co z detektywem Malloyem? - spytał Jericho.

Will westchnął.

- Wysłał dziś rano paru ludzi, ale, jak słyszałem, natknęli się na opór. Alma Bridwell White, ich biskup, grozi pozwem za każdym razem, kiedy ktoś powie choćby jedno złe słowo o jej kościele.

Evie się wyprostowała.

- A gdybyśmy z Jericho udawali młodą parę, zainteresowaną wstąpieniem do ich kościoła? Moglibyśmy się rozejrzeć i zobaczyć, co uda się nam znaleźć.

Jericho podniósł wzrok. - Ty... i ja?

- Jaja sobie robisz? - spytał Sam. - Tego tu Fryderyka Wielkiego zjedzą żywcem.

- Świetnie sobie poradzę, dziękuję za troskę.

- Nie złość się, Freddy. Jesteś świetnym gościem. Ale do tej roboty potrzebujemy kogoś, kto umie wykorzystywać okazje. Potrzebujemy oszusta. Poza tym, ktoś musi prowadzić.

- Ja mogę prowadzić - stwierdziła Evie.

- Evie może prowadzić - potwierdził Jericho. W jego wzroku kryło się wyzwanie.

- Świetnie. Wszyscy pojedziemy - zgodził się Sam. - Ale jeśli załatwię nam samochód, to ja siedzę za kółkiem.

- Jak sobie życzysz - powiedział Will. - Evie, mogłabyś przyjść na chwilę do mojego gabinetu?

- Nikt mi nigdy nie pozwala prowadzić. A jestem świetnym kierowcą - mruknęła Evie, podążając za Willem do gabinetu.

Mężczyzna wyjął z szuflady srebrzystą flaszkę i pociągnął łyk.

- Czyli jednak masz gorzałę - zauważyła Evie.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować, to mleko magnezjowe Phillipsa. Żołądek mi dokucza, nic dziwnego zresztą, po tym, co widziałem dziś rano. Nie musisz siadać, będę mówił krótko. Evangeline, nie jestem twoją matką, ale to nie oznacza, że nie uznaję jakichś standardów zachowania. Nie będę dłużej tolerował późnych powrotów do domu w stanie upojenia.

Will spojrzał na nią. Evie przyszło na myśl, że nikt wcześniej nie przypatrywał jej się tak bacznie.

- Ale, wu...

Will uniósł rękę, by uciszyć jej sprzeciwy.

- Jeśli mogę ci przypomnieć, pociąg jeździ w obie strony między Nowym Jorkiem a Ohio. Zrozumiałaś?

Evie przełknęła ślinę.

- Jasne.

- Nie przeszkadza mi, że korzystasz z tego, co może ci zaoferować Nowy Jork, ale sądzę, że powinnaś być bystra i ostrożna. W końcu gdzieś tam krąży zabójca.

Evie nagle przypomniała sobie o kartce, którą zaznaczyła poprzedniego dnia, żeby pokazać Willowi.

- A niech to. Miałam ci powiedzieć... chyba znalazłam nasz symbol w książce w bibliotece. Coś o jakimś zakonie... Bracia, Braterstwo... co to było?

W bibliotece Evie przejrzała sterty, burząc staranną pracę Jericho. On szedł za nią i wszystko ustawiał z powrotem.

- Mam! - Evie zbiegła po spiralnych schodach. - Gorliwość religijna i fanatyzm w Rozpalonym Regionie. Ta książka jest ab - so - lut - nym lekarstwem na bezsenność, ale znalazłam w niej to. - Otworzyła tom na karcie z pentaklem i węzem. - Bractwo! To jest to! Wiesz, co to jest?

- Nie, ale znam kogoś, kto może wiedzieć. Doktor Georg Poblocki z Uniwersytetu Columbia. Jest profesorem religioznawstwa i moim starym znajomym. Zaraz do niego zadzwonię - stwierdził Will, wychodząc energicznym krokiem z biblioteki.

Jericho odchrząknął.

- Wolisz pierwszą zmianę czy ja mam ją wziąć? - spytał, jakby w każdej chwili mogli się spodziewać tłumów zwiedzających.

- Gdzie Sam? - spytała Evie.

- Poszedł zadzwonić do kolegi w sprawie samochodu.

- Na pewno - prychnęła dziewczyna.

- Mogę wziąć pierwszą zmianę, jeśli chcesz - zaofiarował się Jericho.

- Nie trzeba.

Wciąż czuła się dotknięta porannym wykładem Jericho i nie miała zamiaru pozwolić, żeby robił z siebie męczennika.

Evie wędrowała po salach muzeum, rozmyślając o morderstwie, jak i o przyjęciu poprzedniego wieczoru. Pewnie nie powinna tak się chwalić umiejętnością czytania przedmiotów. A jeśli będą od niej oczekiwać, że będzie to robić za każdym razem? A jeśli w trzeźwym blasku dnia uznają ją za dziwną albo przerażającą, za kogoś, kto mógłby zdradzić tajemnice, które tak bardzo starali się ukryć? Obiecała sobie, że w przyszłości będzie ostrożniejsza.

Ale zainteresowali ją Wróżbiarze, o których Will wspominał jej pierwszego dnia w muzeum, więc odszukała książkę Liberty Anne Rathbone i zwinęła się przy piecyku w sali zbiorów, by ją przeczytać.

Przepowiednie Liberty Anne Rathbone, zapisane przez jej brata i wiernego sługę Corneliusa T. Rathbone'a

Dziś słodka Liberty Anne leżała w takim samym stanie, w jakim przebywała urzeczona od czasu spaceru w lesie.

Czasem opowiada w zadziwieniu o cudach, które widzi, a czasami jest zaniepokojona i wyszeptuje ostrzeżenia przed straszliwymi wydarzeniami, jakie mają nadejść. Zupełnie, jakby wpatrywała się w tę ogromną, niebiańską otchłań, którą odwiedzają jedynie aniołowie i wszechwiedzące oko Opatrzności. Ja zaś niezwłocznie zapisywałem jej słowa.

„Jesteśmy Wróżbiarzami. Byliśmy i będziemy. To moc, która pochodzi z wielkiej energii tej ziemi i jej mieszkańców, krainy dzielonej przez krótki czas, w miarę potrzeby. Widzimy umarłych. Rozmawiamy z niespokojnymi duchami. Wędrujemy w snach. Odczytujemy znaczenie każdego trzymanego przedmiotu. Przyszłość rozwija się przed nami jak

mapa nawigatora, pokazująca nam morza, na które dopiero mamy się udać.

Evie przerzucała w podnieceniu kartki.

„Nie może być bezpieczeństwa kosztem wolności. Serce unii nie przetrwa... Niebiosa płoną dziwnym ogniem. Otwierają się odwieczne wrota. Mężczyzna w cylindrze znów przyjdzie z burzą... Oko nie widzi”.

Na dole kartki znajdował się niewielki rysunek przedstawiający oko otoczone promieniami słońca, z błyskawicą pod spodem.

"Wróżbiarze muszą powstać albo wszyscy upadną".

Evie zamknęła książkę i odłożyła ją na bok. Cornelius Rathbone wyraźnie kochał siostrę. Czy śnił o niej, kiedy odeszła, gdy Evie śniła o Jamesie? Dłonią sięgnęła do półdolarówki na szyi.

Była wyczerpana po nocnej imprezie. Popołudniowe słońce wpadało przez okna, co w połączeniu z ciepłem piecyka sprawiało, że w sali zrobiło się duszno. Evie wsparła głowę na rękach i usnęła.

Śniła o mieście. Głębokie jak kaniony ulice były puste, zachodzące słońce nadawało oknom pomarańczowy odcień, ale w pewnej odległości zebrały się ciemne chmury. Zaczęła wołać, ale nikogo nie było. Po ulicach przelatywały gazety, odbijając się od ścian cichych budynków. Stała się świadoma innych. Cienie na krawędzi pola widzenia. Widmowi ludzie. Odwracała głowę i widziała, jak wycofują się w mrok, szepcząc: „To ona. Jest jedną z nich. Nie powstrzymasz nas. Nic nas nie powstrzyma”.

Evie wyszła za róg i z zaskoczeniem ujrzała Henry'ego, również chodzącego po ulicach, jakby kogoś szukał. Na jej widok otworzył szerzej oczy.

- Evie, co ty tu robisz? Nie pamiętaj mnie - powiedział, a kiedy znów spojrzała, zniknął.

Ktoś jeszcze biegł w jej stronę, a Evie odkryła, że nie może się ruszyć. Strach ją paraliżował. Postać się zbliżyła. Dziewczyna o błyszczących ciemnych włosach i zielonych oczach. Było w niej coś znajomego - Evie mogła przysiąc, że już ją kiedyś widziała. I nagle przypomniała sobie - kelnerka z restauracji w Chinatown. Dziewczyna niosła w dłoni dziwny sztylet. Wydawała się zła, zaniepokojona, kiedy krzyknęła:

- Nie powinno cię tu być! Obudź się!

- Evie, obudź się! - Sam potrząsał nią. Evie zamrugała i obudziła się w muzeum. Promienie słońca wpadały przez witrażowe okna sali zbiorów. - Śniłaś.

- Naprawdę? - spytała Evie, przeciągając się. Serce wciąż szybko biło jej w piersiach.

- To musiał być niesamowity sen. Krzyczałaś.

Evie pokiwała głową.

- Prawdziwy koszmar.

- Ech, laleczko. Nic dziwnego, przy tej całej gadaninie o morderstwach. Opowiedz o tym swojemu kumplowi Samowi. Ja cię ochronię.

Sam przysunął krzesło bliżej. Łagodnie odsunął kosmyk włosów z jej oczu, ale jego uśmiech był tak samo drapieżny jak wtedy, kiedy poznała go na Penn Station.

Evie popatrzyła na niego niewinnie, wielkimi oczami.

- Cóż, śniłam, że byłam w Nowym Jorku, całkiem sama...

- Biedactwo. - Sam objął ją ramieniem.

- Chodziłam po ulicach, szukając ludzi... ale nikogo nie było... - To straszne... - Sam był tak blisko, że czuła jego piżmowy zapach.

- Nagle znalazłam się na Penn Station... - Evie przerwała.

- I wydarzyło się coś strasznego.

- Co takiego, laleczko? - wymruczał Sam.

- Jakaś menda ukradła mi dwadzieścia dolarów. - Mocno pchnęła Sama w pierś.

Omali nie przewrócił się do tyłu, odzyskując w ostatniej chwili równowagę.

- To ładne podziękowanie dla gościa, który właśnie cię wysłuchał.

Evie ukloniła się.

- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że mamy prawdziwego płacącego klienta, który chce obejrzeć muzeum.

- Wyślij Jericho - stwierdziła Evie, przeciągając się.

- Ten gość pytał o twojego wuja, ale powiedziałem mu, że ty tu rządzisz, Wasza Wysokość. - Sam również się uklonił.

Dziewczyna przewróciła oczami.

- Jak sądzisz, uda ci się ustrzec przed kradzieżami, kiedy mnie nie będzie?

- Jedyńm, co próbuję ukraść, jest twoje serce, laleczko. - Sam uśmiechnął się krzywo.

- To nie jesteś aż tak uzdolnionym złodziejem, Samie Lloydzie. Kiedy Evie weszła do holu, przy drzwiach wejściowych stał młody mężczyzna w pomiętym garniturze, obracający w rękach kapelusz. Z kieszeni jego marynarki wystawał notes.

- W czym mogę panu pomóc? - spytała Evie, posyłając mężczyźnie przyjazny uśmiech.

Tamten przestał obracać kapelusz i wyciągnął do niej rękę.

- Jak się pani miewa? Jestem Harry Snyder. Przyjechałem z Wisconsin. Usłyszałem o tym muzeum i musiałem sam je obejrzeć. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o nim w domu.

Evie była gotowa założyć się o zjedzenie kapelusza, że Harry Snyder nie pochodzi z Wisconsin. Jak również o zjedzenie drugiego kapelusza, że nie nazywa się Harry Snyder.

- Witam w Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej, panie Snyder - powiedziała Evie, przeciągając głoski w jego nazwisku. - Tędy proszę.

Evie prowadziła mężczyznę z sali do sali, opisując kolejne przedmioty. Prezentowała tę samą historyczną gadkę, którą wielokrotnie słyszała od Willa, nieco ją ubarwiając. Mężczyzna przez cały czas robił notatki i rozglądał się, jakby spodziewał się, że wkrótce objawi się jakiś duch.

- Słyszałem od kolegi, że pomagacie policji w tym śledztwie w sprawie morderstwa, tego Szaleńca z Manhattanu. To brzmi okropnie. Macie jakieś wskazówki? - spytał. Wziął do ręki rzadką figurkę z siedemnastego wieku, jakby była solniczką. Evie wyjęła ją z jego rąk i odstawiła z powrotem na stół.

- Czy wuj coś pani o tym wspominał? Czy zabójca rzeczywiście przeprowadza diaboliczny okultystyczny rytuał? Jakie są jego zamiary?

- Obawiam się, że zgodnie z poleceniem detektywa Malloya, jestem zobowiązana do zachowania tajemnicy.

Mężczyzna podszedł bliżej.

- Nie mogłem nie zauważyć, że szacownego detektywa Malloya tu nie ma. Co ten zabójca zrobił z patrzakami tej biedaczki? Mówią, że posłał je policji razem z kartką. To prawda?

Evie zmrużyła oczy.

- Kim pan naprawdę jest?

- Harry Snyder z...

- Daj pan spokój! - warknęła Evie.

Mężczyzna wyszczerzył się i żartobliwie pogroził jej palcem.

- I tu mnie masz. - Mocno uściśnął jej dłoń. - T.S. Woodhouse, reporter z „Daily News”. Próbowałem skłonić pani wuja, żeby wypowiedział się dla nas o tej sprawie, ale on

jest większym milczkiem od Cabana Coolidge'a. Cóż, może zaczepiałem niewłaściwego członka rodziny?

T.S. Woodhouse uniósł ołówek nad notatnikiem.

- Cieszę się, że wzięłam pańskie pieniądze z góry, panie Woodhouse. Odprowadzę pana do wyjścia.

Ruszyła w stronę drzwi, stukając obcasami na marmurowej posadzce. Pan Woodhouse pośpiesznie ruszył za nią.

- Mów mi T.S., proszę. Daj spokój, nie chciałabyś zobaczyć swojego nazwiska w gazetach? Pokazać wszystkim znajomym? Moglibyśmy nawet umieścić twoje zdjęcie, śliczna z ciebie dziewczyna. Byłabyś ulubienicą Manhattanu.

Evie się zawahała. Tyle pracy w to wkładali, czy ich udział nie powinien być znany? Czy nie powinni stać się sławni? Ale gdyby wuj Will się dowiedział, wściekłby się. Obiecała mu, że już nie będzie pakować się w kłopoty. A to z pewnością było pakowanie się w kłopoty.

- Bardzo mi przykro, panie Woodhouse. Nie mogę. T.S. Woodhouse przycisnął kapelusz do piersi.

- Proszę posłuchać, postawię sprawę uczciwie, panno O'Neill. Potrzebuję tej historii. To mogłaby być moja przepustka do sławy. Czy kiedykolwiek tak bardzo czegoś pragnęłaś?

T.S. Woodhouse przypominał Evie przerośniętego, zagubionego uczniaka, pełnego namacalnej energii. Miał ostre rysy, ale liczne piegi. Wydawało się, że pod rozczochraną brązową czupryną i prostymi brwiami jego zmrużone niebieskie oczy wciąż obserwują, zapamiętują. W tych oczach kryła się determinacja, którą Evie znała aż za dobrze.

- To nie moja sprawa.

- Ale może być. - Wpatrzył się w nią. - Czego chcesz? Tylko powiedz. Chcesz być opisywana we wszystkich plotkarskich artykułach? Chcesz dostać artykuł na całą stronę,

twierdzący, że milionerzy walczą ze sobą, żeby cię poślubić? Mogę do tego doprowadzić.

- Nie może pan nawet doprowadzić do stworzenia artykułu o mordercy, panie Woodhouse. Jak pan może mi pomóc?

- Odniosę sukces z tym artykułem, dam „Daily News” materiał na wyłączność, a wtedy będę mógł ci dać wszystko, czego zapragniesz. Przysługa za przysługę. Uczciwa umowa.

Znów wyciągnął rękę. Evie ją zignorowała.

- Coś cicho tutaj - powiedział pan Woodhouse z wyraźną sugestią w głosie.

- Popołudniowa chwila przerwy. T.S. Woodhouse poprawił kapelusz.

- Z tego, co słyszałem, sporo tu przerw. Właściwie to słyszałem, że miasto może na wiosnę zamknąć to miejsce. Naturalnie, o ile nie zacznie przynosić zysków.

Evie zagryzła wargi. Zastanawiała się, jak mogliby zareklamować muzeum, i oto okazja sama wpadła jej w ręce. Will był geniuszem, ale nie człowiekiem interesu. Wiedziała, że jeśli ktoś miał uratować ten lokal, to tylko ona. Pomoże muzeum - a jeśli przy okazji pomoże samej sobie, to cóż w tym złego?

- Zawrę z panem umowę, panie Woodhouse. Potrzebujemy ludzi w tym lokalu. Powiem panu, co wiem... jako anonimowe źródło... a pan niech pisze, że muzeum jest pierwsza klasa i odwiedza go każdy, kto się liczy. Oczywiście, może pan wspomnieć, że wujowi Willowi, w śledztwie w sprawie tych ohydnych morderstw pomaga jego siostrzenica Evie O'Neill. A gdyby moje zdjęcie przypadkiem również trafiło do gazet, to cóż, nic nie mogłam na to poradzić, prawda?

- Nie, oczywiście że nie. - Pan Woodhouse uśmiechnął się szeroko i założył kapelusz na czubek głowy. - Jest rzeczą

powszechnie znaną, że gazety sprzedają się lepiej, jeśli ich strony uświetniają zdjęcia ślicznych dziewcząt.

- Umowa stoi?

- Stoi.

Uścisnęli sobie ręce. Ołówek T.S. Woodhouse'a znów zawisł nad notatnikiem.

- Jestem gotowy. Wiemy, że zabójca pozostawia okultystyczne symbole. Jakie?

- Pentakl otoczony przez węża zjadającego własny ogon. Zabójca wypala go na ciałach. I zostawia liściki o charakterze religijnym. Wujaszek sądzi, że mają coś wspólnego z Apokalipsą św. Jana.

T.S. Woodhouse skrobał ołówkiem po papierze.

- To niezłe. Zabójca Apokalipsy! Podoba mi się.

- Nie wiemy jeszcze, czy to prawda...

- Nieważne. - Na twarzy T.S. Woodhouse'a malowała się ponura determinacja. - Jestem z prasy. Sprawię, że stanie się prawdą. Coś jeszcze?

- Na razie tyle. Czekam na ten artykuł, panie Woodhouse. T.S. Woodhouse wsunął ołówek za ucho, wcisnął notatnik do kieszeni marynarki i znów uścisnął dłoń Evie.

- Byłaś wspaniała, Evie. Nie martw się, zawsze dotrzymuję słowa.

Evie miała nadzieję, że to prawda. Jeśli Willowi nie udało się uczynić muzeum modnym celem wycieczek, może jej się to uda. A jeśli miała zamiar pozostać na Manhattanie po upływie trzech miesięcy, musiała sobie wyrobić nazwisko i znaleźć miejsce. Znajomość z kimś takim jak T.S. Woodhouse mogła jej w tym bardzo pomóc.

JAK TO SIĘ CZASEM DZIWNIE UKŁADA

Henry obudził się z sapaniem. Wyruszył z nadzieją na odnalezienie Louisa. Miast tego natrafił na Evie - i ona go zobaczyła. To było dziwne, a Henry znał się na dziwnych rzeczach. Od dwóch lat wędrował w snach, a nigdy wcześniej nic takiego mu się nie przydarzyło.

Podszedł do popękanej umywalki. Ochlapał twarz wodą i przygładził włosy wilgotnymi dłońmi. Następnie założył stary słomkowy kapelusz i wpatrzył się w blade odbicie w lustrze. Oparł czoło o szkło i zamknął oczy.

- Louisie, gdzie jesteś? - zapytał pusty pokój, nie czekając na odpowiedź.

- Siostró - odezwał się cicho Memphis. - Mógłbym o coś spytać? W cztery oczy?

- Rozmawiacie o mnie? - wtrącił siedzący przy stole w jadalni Isaiah.

Po zakończeniu pracy z siostrą Walker i kartami zabrał się za dodawanie liczb. Memphisa zawsze zadziwiał talent jego braciszka do wyłapywania fragmentów tych rozmów, których najbardziej nie powinien słyszeć.

- A dlaczego miałbym rozmawiać o tobie? Mamy z siostrą ważniejsze sprawy do omówienia.

- Ja też jestem ważny. - Isaiah zrobił ponurą minę.

- Pewnie - zapewniła go siostra. - Może poczęstujesz się kolejnym cukierkiem, Isaiahu? Memphisie, chodźmy do kuchni.

Memphis podążył za siostrą Walker na tył długiego mieszkania i znalazł się w małej, kolorowej kuchni. Zasłony w kwiaty otaczały okno, które wyglądało na wspólne podwórko obwieszane praniem. Podała mu ciasteczko i usiadła przy stole naprzeciwko niego. Memphis odgryzł kawałek ciastka. Siostra

nie znała się zbyt na pieczeniu, jej ciasteczka były zawsze za suche i za mało słodkie, ale brał je z uprzejmości.

- Coś cię dręczy, Memphisie?

- Martwię się o Isaiaha.

- Coś się stało?

Memphis nie wiedział, ile powinien powiedzieć. A gdyby siostra Walker nie chciała już pracować z Isaiahem? Chłopiec byłby przybity. Jeśli jednak coś było nie tak, musiał komuś o tym powiedzieć, a z pewnością nie mógł zwrócić się do Octavii.

- Chodzi po nocach. Jakby był w transie. I mówi dziwne rzeczy.

Siostra Walker zmarszczyła czoło.

- Jakie rzeczy?

- „Jestem Bestią. Starożytnym Smokiem”. I coś, co brzmiało jak Pismo, ale nic, z czym byłbym zaznajomiony.

- „Jestem Bestią. Starożytnym Smokiem” - powtórzyła kobieta. - To z Apokalipsy, o ile dobrze pamiętam szkółkę niedzielną. Nie lubię rzucać kalumnii, ale może to wina Octavii? - spytała łagodnym tonem.

Memphis skrzywił się. To by całkiem pasowało do Octavii, przerazić Isaiaha wizjami Bożego sądu.

- Powiedział jeszcze coś dziwnego. Jedno słowo, wiele razy: Wróżbiarze.

Twarz siostry Walker spoważniała i Memphis obawiał się, że powiedział coś nie tak.

- Co to takiego? Coś złego?

- Nie słyszałam tego słowa od dawna - powiedziała i Memphisowi wydawało się, że ze smutkiem. - To określenie ludzi obdarzonych rzadkimi darami.

- Takimi jak Isaiah?

Siostra Walker wzruszyła ramionami.

- Zależy od tego, w co wierzysz. Ale tak, niektórzy nazwaliby Isaiaha Wróżbiarzem.

Memphis połamał ciasteczko na mniejsze kawałki.

- Ale gdzie by je usłyszał?

- Dzieciaki pewnie słyszą różne rzeczy. - Siostra Walker kręciła kostkami lodu w szklance z wodą. - Nazwa pochodzi z relacji dziewiętnastowiecznej prorokini, Liberty Anne Rathbone. To była mała dziewczynka. Jej brat, Cornelius, wybudował dużą rezydencję w pobliżu Central Parku. Teraz to Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej. Niektórzy nazywają je Muzeum Niesamowitości.

- Aha. Słyszałem o nim. Ale gdzie Isaiah mógł usłyszeć o tych Wróżbiarzach?

Siostra Walker poszła do drugiego pokoju i wróciła z poranną gazetą, którą rozłożyła na stole.

- Morderstwa. Człowiek, który prowadzi muzeum, doktor Fitzgerald, pomaga policji w odnalezieniu zabójcy. Założę się, że Isaiah słyszał, jak ludzie o tym gadają. Pewnie go to też przeraziło, i zabrał to prosto do snu. Nierzadko dzieci chodzą albo mówią przez sen, kiedy w ciągu dnia coś je przestraszyło. A dary Isaiaha sprawiają, że jest bardziej wrażliwy. Prawie jak radioodbiornik, który odbiera sygnał z każdej strony.

W okolicy dużo mówili o morderstwach, nawet ciotka Octavia podniosła ten temat. Memphis pragnął wierzyć, że o to właśnie chodzi, ale to, co mówił Isaiah, było tak dziwnie szczegółowe, i sposób w jaki wpadał w trans... to go niepokoiło. Jednak i tak zajął zbyt wiele czasu siostrze Walker i nie chciał jej zdręzczać niejasnymi odczuciami, że coś jest nie tak.

- Pewnie o to właśnie chodzi. Dziękuję, siostrze Walker.

- Dużo ci nie pomogłam. Coś jeszcze?

Memphis pomyślał o swoim powtarzającym się śnie, ale nie mógł się zmusić, żeby opowiedzieć o nim kobiecie. Wydawał się taki głupiotki - nie o takich rzeczach powinien rozmawiać dorosły.

- Nie, proszę pani. Już nic.

Siostra Walker powoli pokiwała głową.

- W porządku. Memphisie, ile ty właściwie masz lat?

- Siedemnaście.

- Siedemnaście - powtórzyła kobieta takim tonem, jakby to miało jakieś znaczenie, choć Memphis nie umiał sobie tego wyobrazić. - A czy kiedyś umiałeś odczytywać karty jak Isaiah? Albo coś w tym rodzaju?

Memphis nie był pewien, czy siostra Walker wiedziała o jego dawnych zdolnościach uzdrowicielskich. Nigdy o tym nie rozmawiali i nie sądził, by powiedzenie jej o tym w tej chwili miało sens. Różniło się od daru Isaiaha, a poza tym już to utracił.

- Nie, proszę pani. Pewnie wszystkie talenty przypadły Isaiahowi - powiedział rzeczowo, bez goryczy. - Dziękuję za ciasteczko.

Siostra Walker roześmiała się.

- Memphisie, nie trzeba być Wróżbiarzem, żeby wiedzieć, że ciasteczko wcale ci nie smakowało.

- Po prostu nie jestem głodny, proszę pani. Memphis obdarzył ją swoim uśmiechem, choć był pewien, że to siostra Walker również przejrzała.

W jadalni Memphis pogłaskał Isaiaha po głowie i powiedział:

- Czas iść, karzełku.

- Isaiahu - odezwała się siostra Walker. - Miałeś ostatnio jakieś ciekawe sny? - Posłała Memphisowi ukradkowe mrugnięcie.

- Tak, proszę pani! Śniło mi się, że złapałem żabę. To była największa żaba, jaką widziałem w życiu, i pozwalała mi jeździć na swoim grzbiecie... i tylko mnie, nikomu innemu!

Siostra Walker posłała Memphisowi takie spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Nie ma się czym martwić”.

- W takim razie wielka szkoda, że teraz tej żaby tu nie ma, mogłaby cię podwieźć. Aha, nie zapomnij książki.

Podalał Isaiahowi książkę i lekko uściśnęła jego chude ramiona. Isaiah chwycił ją za ręce i spojrzał na nią z troską.

- Niech siostra uważa na to krzesło.

- Które krzesło? - W kuchni.

- Isaiah, idziemy. - Memphis pociągnął brata za rękaw.

- Dobrze. Będę uważać. Idź do domu, żeby ciocia nie miała do nas pretensji.

Siostra Walker pomachała im na pożegnanie. Odprowadziła wzrokiem braci, kłócących się o drobiazgi, jak to bracia mieli w zwyczaju. Memphis coś przed nią ukrywał, wyczuwała to. Dawna Margaret dowiedziałyby się tego bez większego trudu. Ale to była przeszłość, a ona myślała o przyszłości. Kiedy przed sześcioma miesiącami przybyła do Harlemu, szukając Memphisa Campbella, sądziła, że to on jest przyszłością. Jak to się czasem dziwnie układa. Ale teraz miała Isaiaha. A jeśli nie myliła się co do tego, co ich czekało, musiała go przygotować.

Wiele godzin później musiała wyciągnąć z wysokiego kredensu jakieś naczynie. Przysunęła kuchenne krzesło, żeby go dosięgnąć. Kiedy wspięła się na nie, noga krzesła się złamała, a ona sama spadła na ziemię, objając ramię i kolano. Nic jej się nie stało, była tylko wstrząśnięta i obolała, ale krzesło zostało zniszczone. Z dreszczem przypomniała sobie słowa Isaiaha: „Niech siostra uważa na to krzesło”.

DOBRY OBYWATEL

Kościół Kolumny Ognia znajdował się pośród ponad trzydziestu hektarów sielskiego krajobrazu na terenie dawnego gospodarstwa rolnego w Zarepath w New Jersey. Kaznodzieja Alma Bridwell założyła wspólnotę nad brzegiem rzeki Millstone, z dala od tego, co uważała za zepsucie świata. Jej wyznawcy mieli wszystko, czego potrzebowali - wspólne mieszkanie, szkołę i kościół. Obcych zniechęcano.

Sam pojechał długą bitą drogą, wzdłuż której po obu stronach rosły rzędy jodeł, aż dotarł do zespołu piętrowych białych budynków pośród czegoś, co wyglądało jak park. Mężczyźni i kobiety w skromnych strojach spacerowali po okolicy, witając się uśmiechami.

- Nie wyglądają na zabójców - zauważyła Evie.

- Oni nigdy nie wyglądają - mruknął Sam.

W budynku administracyjnym wyszedł im na powitanie pan Adkins, muskularny, łysiejący mężczyzna o kwadratowej szczęce i mocnym uścisku dłoni.

- Kolumna Ognia wita was.

Jericho i Evie przedstawili się jako państwo Jones, a Sam był panem Smithem, kuzynem Jericho, który zgodził się ich przywieźć swoim samochodem.

- Cóż za piękna rodzina - powiedział pan Adkins. - Tacy jak my.

Pokazał im okolicę i przeprowadził przez kościół z ogromnymi organami. W budynku administracyjnym przeszli przez jadalnię, gdzie kilkanaście pań w identycznych niebieskich spódnicach i białych bluzkach siedziało przy długim stole, składając broszurki. Uśmiechnęły się i pomachały, jakby to była kolacja w kółku parafialnym, a Evie, Sam i Jericho byli zaproszonymi gośćmi. Evie wyobraziła sobie te same przyjazne twarze oświetlone blaskiem płonącego krzyża. Po jej plecach pod sukienką popłynął pot.

Pan Adkins wprowadził ich do niewielkiego, skromnie umeblowanego gabinetu. Na ścianie wisiał prosty obrazek haftowany ścięciem krzyżykowym: NIEUSTANNA CZUJNOŚĆ JEST CENĄ WOLNOŚCI. Evie usiadła na brzegu krzesła. Jericho siadł obok niej. Sam stał za nimi z rękami w kieszeniach i rozglądał się uważnie.

- Co może dla was zrobić Kolumna Ognia, państwo Jones?

- Z panem Jonesem jesteśmy pod wielkim wrażeniem waszego pobożnego życia. Myślimy o przeprowadzce z Manhattanu, ze względu na te straszne morderstwa. - Evie zadrżała dla lepszego efektu. - Po prostu nie czujemy się bezpieczni, prawda, panie Jones?

- Ja... no...

Evie poklepała go po dłoni.

- Nie czujemy się. Czy nie sądzi pan, że to po prostu straszne?

- Zaiste. Ale nie mogę mówić, że mnie to zaskoczyło. To przez ten obcy element, wiadomo... zanieczyszcza naszą białą rasę i nasz sposób życia. Żydowscy anarchiści. Bolszewicy. Włosi i irlandzcy katolicy. Czarni, ze swoją muzyką i tańcem. Nie hołdują naszym zasadom moralnym. Nie dzielą naszych amerykańskich wartości. My wierzymy w stuprocentową amerykańskość.

- Które plemię? - mruknął Sam.

Evie udała atak kaszlu. Brzmiała przy tym, jakby wypluwała płuco.

- Panie Adkins, przepraszam, czy mogłabym dostać szklankę wody? - Evie znów zakaszła.

- Oczywiście. Ja, no, muszę pójść po nią do kuchni. Długo mi to nie zajmie. Proszę się rozgościć.

Kiedy tylko wyszedł, Evie podskoczyła. - O to właśnie mi chodziło. Przeszukajcie ten pokój. Ja się rozejrzę.

Jericho potrząsnął głową.

- To nie jest dobry pomysł. A co, jeśli wróci?

- Powiedz mu, że poszłam do toalety - stwierdziła Evie, przewracając oczami. - Mężczyzn ab - so - lut - nie paraliżuje wzmianka o kobietach w toaletach.

Evie skradała się korytarzem, otwierając drzwi, szukając czegokolwiek, co mogło być wskazówką. Na stoliku przy schodach stała sterta nowych numerów „Dobrego Obywatela”. Na okładce ten sam mężczyzna w kapturze wieszal katolika do góry nogami, dokładnie tak, jak ułożono ciało Tommy'ego Duffy'ego. Evie schowała broszurkę, żeby później pokazać ją Willowi.

- Pst! - syknął Sam z drzwi gabinetu.

- Sam! Co ty robisz? - wyszeptała Evie.

- To samo, co ty. Rozglądam się.

Evie pobiegła na koniec korytarza. Nie widząc nikogo, pośpieszyła do gabinetu i zamknęła drzwi.

- Miałeś zostać z Jericho!

- Już powinnaś wiedzieć, laleczko, że nigdy nie robię tego, czego się ode mnie oczekuje.

- Nieważne. Coś znalazłeś?

- Jeszcze nie. Zajrzę tutaj. A ty popatrz tam.

Evie przeszukała szuflady niskiego stolika i obejrzała regał, ale nie natrafiła na nic wartościowego. Podeszła do szafy. Wewnątrz na hakach wisiały białe szaty i kaptury, niczym puste skóry duchów. Evie szybko zamknęła drzwi i podbiegła do Sama, który otwierał szuflady dużego dębowego sekretarzyka.

- Sprawdź dolne szuflady - powiedział Sam.

Chłopak otworzył szufladę po prawej stronie, w której znajdowała się sterta papierów i listów. Podniósł ogłoszenie o spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Eugenicznego. Pod nią leżało zdjęcie wielkiego zamku spowitego mgłą. Coś

w tej budowlu wydawało mu się znajome, ale nie wiedział co. Wepchnął zdjęcie do kieszeni, w chwili, gdy drzwi się otworzyły.

W wejściu stał wysoki, szczupły mężczyzna. Miał na głowie ciemny kapelusz, był ubrany w ogrodniczki i dżinsową roboczą koszulę. Na jego szyi wisiał na rzemyku płaski, okrągły wisiorek.

- Szukam pani White - powiedział mężczyzna. -
Widzieliście ją?

Evie ostrożnie zamknęła szufladę.

- A kto pyta?

- Brat Jacob Call.

Mężczyzna zrobił dwa niepewne kroki, wchodząc do pokoju. Wzrok Evie padł na wisiorek - pięcioramienna gwiazda otoczona przez węża pożerającego własny ogon. Serce zabiło jej szybciej. Za plecami zrobiła znak dla Sama. On w odpowiedzi ścisnął jej palce.

- Cóż to za interesujący wisior. Bardzo stary? Mężczyzna zakrył go dłonią.

- To znamię Pana. Ochrona dla jego ludu w czasach Bestii.

Evie poczuła dreszcz przechodzący od szyi po ramię. Wisior, wzmianka o Bestii - było bardzo możliwe, że ona i Sam znajdują się w jednym pomieszczeniu z Pentaklowym Zabójcą.

- Przepraszam, j - jak się nazywasz? - spytała Evie. Mężczyzna zrobił się podejrzliwy. Obrócił się zwawo, niemal przewracając grubokościstą kobietę w poważnej czarnej sukni, która spoglądała na Sama i Evie zza drucianych oprawek okularów.

- Co wy tu robicie? - spytała kobieta.

- A kto chce wiedzieć, siostró?

Kobieta zmrużyła oczy.

- Jestem Alma Bridwell White. Głowa kościoła Kolumny Ognia. A wy bez zaproszenia znaleźliście się w moim gabinecie.

Wezwała dwóch potężnych, niezadowolonych mężczyzn, którzy dość szorstko odprowadzili Evie i Sama z powrotem do gabinetu pana Adkinsa, gdzie wciąż siedział Jericho. Szeroko otworzył oczy, a Evie posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, by się nie odzywał.

- Panie Adkins, czy może pan wyjaśnić, co ta dwójka intruzów robiła w moim gabinecie, nieproszona i bez nadzoru?

- Przepraszam, pani White. Przyszli, żeby dowiedzieć się, jak się do nas przyłączyć. Poszedłem przynieść szklankę wody pani Jones, a kiedy wróciłem, pan Jones powiedział mi, że ona i ten tu pan Smith poszli do toalety.

- Szpiedzy! Tym są. Powiedzcie mi, co robiliście w moim gabinecie? Żądam odpowiedzi!

Do pokoju weszło kilku mężczyzn. Wszyscy wydawali się gotowi do bitki. Evie przełknęła ślinę. Jeśli czegoś nie wymyślą, już po nich.

- Nie chciałem, żeby tak wyszło, ale te kłamstwa trwały już za długo - odezwał się nagle Sam. O jego zdenerwowaniu świadczyło to, że bawił się drobnymi przedmiotami w kieszeni.

- T - tak? - Evie szukała w jego twarzy wskazówki, w jaką grę teraz grają.

- Tak. Już nie mogę się ukrywać, kochana. - Sam objął Evie ramieniem, przyciągając ją do siebie. Pocałował ją w policzek, a Jericho przyglądał im się z zadziwieniem. - Przepraszam, że dowiedziałaś się tego w taki sposób, kuzynie. Weszliśmy do tego gabinetu, żeby znaleźć się sam na sam. Ja straciłem głowę na jej punkcie, ona też się we mnie zadurzyła. Prawda, laleczko? Wybieraliśmy się do Reno, żeby unieważnić małżeństwo, a potem bierzemy ślub. Nie mógłbym

mieć do ciebie pretensji, gdybyś mi teraz przywalił za to, co zrobiłem.

Wśród zgromadzonych wyznawców rozległy się pomruki zaskoczenia i potępienia. Ukryty za masywnym Jericho Sam zrobił lekki ruch pięścią, z nadzieją że Jericho przyjmie tę wskazówkę.

W końcu Jericho zrozumiał.

- Ona jest moją żoną i jej nie dostaniesz - ogłosił niezręcznie. Cofnął się i walnął Sama, trafiając go w szczękę i dolną wargę.

Sam zatoczył się i opadł na kolana, krwawiąc z ust.

- Sukin... - wychrypiał.

- Och, Sam! - Evie opadła na kolana obok niego. Uniosła chusteczkę do jego warg. - Nie chciałam, żeby do tego doszło.

Pani White przeszła ich spojrzeniem.

- Powinniście odejść. Jesteśmy szacowną organizacją i nie chcemy mieć nic wspólnego z waszymi wstrętnymi miejskimi romansami.

- „Szacowna organizacja” - mruknął Sam zza kierownicy, kiedy ruszyli długim podjazdem.

Na jego policzku już pojawiła się opuchlizna, a na koszuli miał zaschniętą krew. Evie musnęła jego ranę chusteczką, a on jęknął.

- Auć.

- Przepraszam za to - powiedział Jericho z tylnego siedzenia, ale wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

- Ten cios nas stamtąd wy dostał. Dobra robota, Freddie. Ale następnym razem nie bądź tak brutalny, nie taki znów łagodny olbrzymie.

Na końcu podjazdu na drodze stała grupka mężczyzn, uniemożliwiając im przejazd. Evie chwyciła za klamkę drzwi, kiedy mężczyźni otoczyli samochód. Sam zacisnął dłonie na

kierownicy i po raz drugi Evie żałowała, że to nie ona prowadzi.

Masywny mężczyzna w słomkowym kapeluszu oparł obie ręce na otwartym oknie po stronie Evie.

- Ludzie z miasta, my wiemy, czym się tam zajmujecie, i nie chcemy się w to mieszać. Rozumiecie?

Evie poważnie pokiwała głową. Serce waliło jej w piersi. Wpatrywała się w drogę przed nimi.

- Nie wracajcie tu. Nie potrzebujemy takich jak wy. Jeden z mężczyzn nachylił się nad Jerichem. Uśmiechnął się do niego uprzejmie, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy wybrali się na ryby, a jeden z nich udzielał rady drugiemu.

- Gdyby to chodziło o mnie, synu, zabrałbym tego tam do lasu i pokazał mu, co się dzieje z gośćmi, którzy próbują zabrać to, co zgodnie z prawem należy do mnie.

Wyjął z kieszeni kartonik zapalek i zapalił jedną. Zaczekał, aż rozpalila się pomarańczowym płomieniem i rzucił ją na przednie siedzenie, w stronę Sama. Evie pisnęła, kiedy zapalka wylądowała na jego spodniach, ale on szybko ją zgasił. Wydawał się jednak przerażony. Zniknęła typowa dla niego pewność siebie. Mężczyzna zdjął ręce z maski i Sam ruszył gwałtownie, aż spod tylnych kół poleciały drobne kamyki. Tak szybko minęli kolejny zakręt, że nie zauważyli mężczyzny, dopóki prawie na niego nie wpadli.

- Sam, uważaj! - wrzasnęła Evie.

Sam nacisnął hamulec i samochód zatrzymał się powoli. Brat Jacob Call stał przed nimi z uniesionymi dłońmi, jakby czekał, kiedy go uderzą. Wskazał ich długim palcem.

- To, co zaczęto przed laty, zostanie zakończone, gdy na niebie zapłonie ogień - powiedział. - Żałujcie za grzechy, gdyż nadeszła Bestia.

Później odwrócił się i, stawiając długie kroki zaczął wspinać się na wzgórze.

Było już popołudnie, kiedy Evie, Jericho i Sam wrócili do muzeum i opowiedzieli Willowi o ucieczce z Kościoła Kolumny Ognia oraz o dziwnym spotkaniu z bratem Jacobem Callem.

- Myślisz, że to może być nasz zabójca? - spytał Jericho.

- Z pewnością natychmiast poinformuję o tym detektywa Malloya - odparł Will. - Dobrze sobie poradziliście. To może być nasz przełom.

- Powiedział jeszcze coś bardzo dziwnego. - Evie oparła stopy o stertę książek. - Mówił coś w rodzaju „co zaczęto przed laty, zostanie teraz zakończone”. Co zaczęto przed laty? Kiedy?

Zadzwoił telefon, odebrał go Will.

- William Fitzgerald. Kto mówi? Chwileczkę. - Will wyciągnął słuchawkę. - To do ciebie, Evie. Niejaki pan Daily Newsenhauser.

Evie wzięła słuchawkę i powiedziała:

- Nie potrzebuję elektroluksa, już używam pasty Colgate, więc, o ile nie dają państwo za darmo norek, obawiam się, że...

- Hej, kotku. Jak tam Muzeum Niesamowitości? - zapytał T.S. Woodhouse. Evie odwróciła się plecami do Willa i chłopaków. - Przednio. Duch pana Lincolna właśnie zaprosił mnie na herbatkę. Uwielbiam uprzejme duchy. Sprytny pseudonim.

- Daily Newsenhauser? Tak sądziłem. Evie położyła dłoń na słuchawce.

- Zamówienie, które złożyłam u sprzedawcy w domu towarowym B. Altmana. Długo mi to nie zajmie.

- Nie podoba mi się, że korzystasz z telefonu muzeum do załatwiania spraw prywatnych, Evangelino - stwierdził Will, ale nie podniósł wzroku znad sterty wycinków.

- Zakładam, że nie możesz rozmawiać swobodnie? - odezwał się Woodhouse.

- Dobrze myślisz. .

- Może moglibyśmy się spotkać?

- Mało prawdopodobne.

- Daj spokój, kotku. Pogadaj ze starym kumplem T.S. Masz coś dla mnie?

- To zależy. Co ty dla mnie masz?

- Tekst o muzeum w jutrzejszej gazecie. Ze wzmianką o pannie Evie O'Neill. Bardzo ładnej pannie O'Neill.

Evie uśmiechnęła się.

- Chwileczkę. Jericho! - zawołała. - Muszę zamówić niewymowne. Bądź kochany i odłóż dla mnie słuchawkę, ja odbiorę w gabinecie Willa.

Evie przebiegła obok Sama, który uniósł brwi na wzmiankę o „niewymownych”. Evie przewróciła oczami i chwyciła za słuchawkę w gabinecie Willa.

- Już, Jericho, kochanie. - Zaczekała na charakterystyczny trzask, po czym zaczęła mówić przyciszonym głosem. - Sądzą, że zabójca może być powiązany z Klanem. Przy ciele Tommy'ego Duffy'ego znaleziono egzemplarz „Dobrego Obywatela”.

- Nie żartujesz, prawda? Te ścierwa byłyby do tego zdolne.

- Wiem. Są gorsi nawet od reporterów.

- Podobasz mi się, kotku.

- A mnie podoba się to, co dla mnie możesz zrobić, panie Woodhouse.

- Coś jeszcze?

- Na razie nie. Najpierw artykuł.

- Evie, pożegnaj się już, proszę - powiedział Will, stając w drzwiach.

Evie odezwała się głośno i radośnie do słuchawki:

- Weź plaster gorczycowy i zostań w łóżku, Mablesie, a będziesz jak nowa. Muszę już lecieć. Na razie! - Odłożyła słuchawkę i z westchnieniem odwróciła się do Willa. - Biedna owieczka byłaby beze mnie zupełnie zagubiona.

Will wydawał się skonsternowany.

- Wydawało mi się, że rozmawiasz ze sprzedawcą od B. Altmana.

- To druga rozmowa! - skłamała Evie z szerokim uśmiechem. - Naprawdę, wujaszku! Nie słyszałeś drugiego dzwonka? Pewnie te stare rezydencje wcale nie są tak akustyczne, jak się uważa. Nieważne, ja go usłyszałam. O co chodzi?

Will wsunął ręce w rękawy trencza i założył kapelusz.

- Właśnie dostałem wiadomość od doktora Poblockiego z Columbi. Ta kartka, na którą natrafiłaś, okazała się przydatna. Jednak znalazł coś użytecznego. Co powiesz?

Evie chwyciła swój płaszcz.

JEDENAŚCIE OFIAR

Evie i Will przeszli wzdłuż długiego trawnika na terenie Uniwersytetu Columbia, kierując się w stronę budynku Low Memorial Library, wielkiej marmurowej budowli, której jońskie kolumny nadawały wygląd greckiej świątyni. Po ich prawej, przypominające powykrzywiane zęby szczyty domów wielorodzinnych Morningside Heights, wznosiły się na tle szarego jesiennego nieba. Gdzieś rozległy się kościelne dzwony. Dzień był wietrzny, ale studenci mimo wszystko siedzieli na schodach prowadzących ze skweru do biblioteki. Evie przyciągała spojrzenia. Woląca myśleć, że sprawił to jej oszałamiający wygląd w różowej jedwabnej sukience i pończochach we wzór pawich piór, a nie fakt, że była jedną z nielicznych dziewcząt w kampusie.

Gabinet doktora Georga Poblockiego znajdował się na końcu długiego korytarza, w budynku, który wypełniała woń starych książek i tęsknoty. Sam doktor Poblocki był potężnym mężczyzną o pobrużdżonych policzkach i zapuchniętych oczach pod krzaczastymi brwiami, które Evie natychmiast zapragnęła przyciąć.

- Historia kryjąca się za rysunkiem, który mi przysłałeś, nie była łatwa do odnalezienia, Williamie - powiedział doktor Poblocki z lekkim niemieckim akcentem. Uśmiechnął się niemal szelmowsko. - Ale znalazłem ją.

Zdjął ze sterty książkę i otworzył ją na zaznaczonej stronie, ukazując znany im symbol gwiazdy otoczonej przez węża.

- Patrzcie, oto Pentakl Bestii.

- Policja powinna zgłosić się do ciebie, a nie do mnie, Georg. Doktor Poblocki wzruszył ramionami.

- Ja nie mam muzeum. - Zwrócił się do Evie. - Twój wuj był moim studentem w Yale, zanim zaczął pracować dla rządu.

- To było dawno temu. - Will postukał w kartkę. - Opowiedz mi coś więcej o tym Pentaklu Bestii, Georgu. Co to takiego? Co oznacza?

- To uświęcony symbol Bractwa, wymarłej sekty z głębi stanu Nowy Jork.

- Zapominam, że w Nowym Jorku jest coś takiego jak głębia stanu. Wydaje się niepotrzebna, w końcu mamy Manhattan - rzuciła Evie.

- Uroczą! - Na twarzy doktora Poblockiego pojawił się uśmiech. - Podoba mi się.

- Bractwo? - przypomniał Will, jakby przywoływał do porządku studenta.

- Najświętsze Przymierze Bożego Bractwa. Powstało podczas drugiego wielkiego przebudzenia, na początku dziewiętnastego wieku.

- Drugiego wielkiego czego? - spytała Evie.

- Drugie wielkie przebudzenie było czasem, gdy naród opanowała gorączka religijna. Kaznodzieje wędrowali po kraju, wygłaszając ogniste kazania o piekielnym ogniu i potępieniu, ostrzegając przed diabelskimi pokusami i ratując dusze podczas spotkań pod namiotami - wyjaśnił doktor Poblocki. Jak przypuszczała Evie, takim właśnie tonem prowadził wykłady. - Powstały wówczas nowe religie, takie jak Kościół Świętych Dni Ostatnich, Kościół Chrystusowy i Adwentyści Dnia Siódmego, jak również ci tutaj. - Doktor Poblocki postukał w książkę. - Bractwo stworzył młody kaznodzieja nazwiskiem John Joseph Algoode. Wielebny Algoode pasał owce - to bardzo biblijne, nieprawdaż? - kiedy ujrzał wielki ogień na niebie. To była Kometa Salomona przelatująca nad północną półkulą.

Evie nagle przypomniała sobie dwie dziewczyny, które wręczyły jej ulotkę na ulicy. - Ta sama Kometa Salomona....

- Która wkrótce do nas powróci w swoim pięćdziesięcioletnim cyklu. W rzeczy samej - dokończył doktor Poblocki. Usiadł na krześle, krzywiąc się przy tym. - To koszmarne kolano. Obawiam się, że starość dopada nas wszystkich.

- Zestarzeję się, zanim opowiesz nam całą historię - poganiał Will.

Evie poczuła się nieco zażenowana jego nieuprzejmością.

- Cały twój wuj. Nigdy nie umiał na nic czekać. Obawiam się, że w końcu zapłacisz za tę niecierpliwość, Williamie - powiedział doktor Poblocki, posyłając Willowi ponure spojrzenie, i Evie miała wrażenie, że wuj poczuł się złajany. - Pastor Algoode utrzymywał, że miał następującą wizję: stare kościoły w Europie wypaczają Boże słowo. Musiała powstać nowa amerykańska wiara, jak twierdził. Tylko ten wielki nowy kraj mógł stworzyć wiernych wystarczająco czystych i oddanych, by w całości poddali się Bożemu słowu i osądowi. Bractwo miało być tą wiarą. Mieli rządzić nową Ameryką. Prawdziwą Ameryką. Wypełnić jej wielką obietnicę. - Doktor Poblocki zdjął okulary, nachuchał na nie i przez dłuższą chwilę przecierał je kawałkiem materiału, po czym znów założył na nos. - W roku tysiąc osiemset trzydziestym drugim pastor Algoode sprowadził swoją niewielką trzódkę w Góry Catskill. Zamieszkali na sześciu hektarach ziemi i urządzili kościół w starej stodole, gdzie każdego wieczora spotykali się na modlitwie przy blasku świec, a w niedzielę poświęcali im cały dzień. Ozdobili domy i kościół symbolami religijnymi w zgodzie ze swoją świętą księgą i uprawiali ziemię. Mieli dziwaczny system wierzeń, łączący Biblię, a w szczególności Apokalipsę, z okultyzmem. Ich Księga Świętego Bractwa miała być częściowo zapisem doktryny religijnej, a częściowo grimumem.

- Grimumem? - powtórzyła Evie.

- Księgą czarów - wyjaśnił doktor Poblocki.

- To by wyjaśniało pieczęcie - myślał na głos Will. Doktor Poblocki pokiwał głową.

- W rzeczy samej. Pojawiły się plotki, jak to zawsze w takich przypadkach, że Bractwo oddaje się wszystkiemu, od niestosownych praktyk seksualnych, poprzez kanibalizm i ofiary z ludzi. Z tej właśnie przyczyny byli tak zamknięci i zamieszkali wysoko w górach... chcieli uniknąć prześladowań. Na pewno doskonale znali się na środkach halucynogennych, pewnie uzyskali tę wiedzę od miejscowych plemion, które wykorzystywały takie substancje w praktykach religijnych, by osiągnąć transcendencję. W swojej relacji kanadyjski traper, który odwiedzał tę okolicę, opowiada o „wspaniałym tytoniu i słodkim winie, które po spożyciu sprawiają, że umysł wyobraża sobie wszelkiego rodzaju anioły i diabły”. Bractwo było przy tym kultem eschatologicznym.

- Czy to jest w ogóle zgodne z prawem? - spytała Evie.

- Uroczą z ciebie dama! - Doktor Poblocki roześmiał się i poklepał Evie po dłoni. - Jesteś pewna, że jesteście krewnymi? Skinął na Willa, a dziewczyna musiała stłumić chichot.

- Eschatologia - mówił dalej doktor - pochodzi od greckiego słowa eschatos, czyli „ostatni”, a zajmuje się końcem świata i powtórным nadejściem Jezusa Chrystusa. I tu zaczyna się robić naprawdę ciekawie.

Evie szerzej otworzyła oczy.

- Czy może być coś ciekawszego od prochów i czarów?

- Owszem! Widzicie, Bractwo nie tylko wierzyło, że zbliża się koniec świata. Sądziło, że ich świętym obowiązkiem jest go przyspieszyć.

- Jak planowali tego dokonać? - spytał Will.

- Sprowadzając Antychrysta. Bestię we własnej osobie. - Doktor Poblocki zamilkł, by jego słowa dotarły do słuchaczy.

Evie dostała gęsiej skórki.

- Dlaczego mieliby to zrobić, jeśli byli chrześcijanami? - spytała.

- Granica między wiarą a fanatyzmem jest płynna - odparł uczony. - Kiedy wiara staje się usprawiedliwieniem? Kiedy prawda staje się przyczyną, a krucjata zbrodnią?

- Jak mieli zamiar sprowadzić Bestię, Georg? - spytał Will.

- Za pomocą tego. - Doktor Pobłocki sięgnął do sterty książek i wyciągnął podniszczony, oprawiony w skórę tom. - Jedenaście ofiar. To rytuał ofiarny, o naturze magicznej i religijnej jednocześnie, by Bestia pojawiła się tutaj, na ziemi.

Księga była bardzo stara, a cienki, żyłkowany papier wydawał się szorstki pod dotykiem palców Evie. Przypominała jej makabryczną ilustrowaną Biblię. Na każdej stronie znajdowała się kolorowa ilustracja przedstawiająca rytualne morderstwo, której towarzyszył fragment jak z Pisma. Te same pieczęcie, które widniały na kartkach pozostawionych przez mordercę, bieły wzdłuż krawędzi stron księgi.

Evie przeczytała ofiary po kolei, na głos.

- Poświęcenie Wiernych. Hołd Dziesięciu Sług przed Panem. Błady Jeździec Niosący Śmierć pod Gwiazdami. Śmierć Dziewicy. Nierządnicza Przyozdobiona i Rzucona na Morze...

Rysunek przedstawiał pozbawioną oczu, ozdobioną klejnotami kobietę unoszącą się na wodzie, otoczoną perłami. Nad jej głową znajdował się symbol oka.

- Wujaszku - powiedziała Evie, drżąc. - Tak właśnie wyglądało ciało Ruty Badowski.

Will wyciągnął rękę i przekręcił kartkę.

- Szósta ofiara, Ofiara Bezczylnego Syna...

Ilustracja przedstawiała chłopca powieszonoego głową do dołu, z ugiętą nogą, jak Wisielec z tarota. Chłopiec nie miał

rąk, a nad rysunkiem znajdował się symbol dłoni wzniesionych w modlitwie.

- Tommy Duffy.

Evie czytała dalej.

- Siódma ofiara, Wypędzenie Zdradzieckich Braci ze Świątyni Salomona. - Z namysłem uniosła głowę. - To szablon morderstw. - Czytała dalej. - Ósma ofiara, Oddanie Czci Anielskiemu Posłańcowi. Dziewiąta, Zniszczenie Złotego Bożka. Dziesiąta, Lament Wdowy. Jedenasta, Zaślubiny Bestii i Niewiasty Obleczonej w Słońce.

Na ostatniej stronie znajdował się rysunek rogatego mężczyzny z nogami kozła, parą ogromnych skrzydeł i ogona. Siedział na tronie, a jego oczy płonęły. W dłoni trzymał ociekające krwią serce. U jego stóp leżała kobieta w złotej koronie i sukni, z rozdartą pierśią. Symbolem na dole była kometa. Evie zadrżała.

- Czy piszą tu, jak Bestia miała przyjść na ten świat?

- To nie jest jasne. Mówią tylko, że potrzebny jest wybraniec. - Wybraniec do popełniania morderstw? - dopytywała się

Evie.

Doktor Poblocki wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że tu się mogę tylko domyślać.

- Co to takiego?

Evie wskazała na stronę pod koniec księgi. Ukazywała mężczyznę klęczącego przed innym mężczyzną w ciemnych szatach, być może kapłanem. Pentakl Bestii wisiał nad nimi jak słońce, a dookoła unosiły się niebiańskie istoty. Wokół wznosiły się sterty drewna. Kapłan zawieszał wisior na szyi klęczącego mężczyzny.

- To zupełnie jak naszyjnik Jacoba Calla - zauważyła Evie. - Po co on jest?

- Być może ma pokazywać innym, że należą do tego samego plemienia, podobnie jak krzyż czy gwiazda Dawida - odparł doktor Poblócki. - Choć nie mogę być pewien.

- Jaka jest następna ofiara? - spytał Will. Evie przewróciła kartki.

- „Siódma ofiara: Wypędzenie Zdradzieckich Braci ze Świątyni Salomona”. Cokolwiek to ma znaczyć. - Evie odwróciła się do doktora Poblóckiego. - Czy zabójca może uważać komety za swego rodzaju znak?

- Komety często uważa się za święte zapowiedzi. Boskich posłańców. Mówi się, że kiedy Lucyfer, niosący światło, upadł, spadał przez niebo ciągnąc za sobą ognisty ogon.

- Kiedy kometa znajdzie się bezpośrednio nad Nowym Jorkiem?

- Ósmego października, około północy - odparł Will.

- To niecałe dwa tygodnie od dzisiaj. - Evie z namysłem zagryzła wargi. - Powiedział pan, że Bractwo to wymarła sekta. Co się z nimi stało?

- Wszyscy spalili się w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym. - Doktor Poblócki wysunął ze zgrzytem szufladę pełną papierzysek. - Była epidemia czarnej ospy, która zabiła kilku z Bractwa. Najwyraźniej pastor Algoode uznał, że to znak Bożego sądu i powinni się przygotować do sprowadzenia Armagedonu. Nikt nie wie, co się dokładnie wydarzyło, ale uważa się, że Algoode zebrał swoich wyznawców w sali spotkań i oblał ją naftą... w pogorzeliu znaleziono beczkę. Drzwi zaryglowano. Przebywający w pobliżu myśliwy zobaczył płomień i dym. Mówił, że słyszał, jak modlitwy i pieśni religijne zmieniają się w krzyki.

Evie zadrżała.

- Jakie to straszne. Nikt nie przeżył?

- Ani żywej duszy. Miasto Nowe Bractwo wybudowano w dolinie poniżej, około ośmiu kilometrów od pierwotnej

osady na wzgórzu. Powiadają, że niespokojne duchy wciąż nawiedzają lasy wokół pierwotnego Bractwa. Słyszano straszliwe krzyki i widywano światła pośród drzew. To miejsce omijają wszyscy, nawet myśliwi.

Evie próbowała wyobrazić sobie tych wszystkich wiernych zamkniętych w sali spotkań, śpiewających i modlących się, matki tulące dzieci, gdy płomienie szalały.

- Spalili się żywcem. Dlaczego to zrobili?

- A dlaczego ktokolwiek coś robi? Wiara. Wiara, że ich postępowanie jest słuszne i właściwe. Abraham był gotów poświęcić syna Izaaka, ponieważ wierzył, że Bóg tak rozkazał. Zabicie syna jest niewyobrażalne. To zbrodnia. Ale jeśli ktoś działa w wierze, że jego Bóg, najwyższa istota, której musi być posłuszny, wydała taki rozkaz, czy to wciąż jest zbrodnia?

- Tak - stwierdził Will.

- Wiem, że jesteś niewierzący, Will. Ale wyobraź sobie przez chwilę, że gorliwie wierzysz, iż taka jest prawda. W takich ramach twoje działania są uzasadnione. A nawet chwalebne. Są inculpatus, bez winy. Jeśli to właśnie dotyczy waszego zabójcy, to wypełnia on świętą misję i nic go nie powstrzyma przed doprowadzeniem jej do końca.

- Co to? - spytała Evie.

Doszła do ostatniej kartki Księgi Bractwa, która została wyrwana. Zostały tylko poszarpane brzegi.

Doktor Poblocki nachylił się bliżej i zmrużył oczy nad okularami.

- Ach. To. Mogę ci powiedzieć, co to miało być. Według relacji Księga Bestii zawierała zaklęcie, które miało uwięzić ducha Bestii w przedmiocie... jakiejś relikwii... a później zniszczyć ten przedmiot, odsyłając Bestię z powrotem do piekła, gdy misja wiernych została wypełniona.

- Nie rozumiem - przyznała Evie.

- To coś jak arabski džinn. Duch lub demon może zostać uwięziony w przedmiocie, a później zniszczony - wyjaśnił Will. Wydawał się zaniepokojony.

- Chyba nie można na tym zbyt polegać - stwierdziła Evie. - Tak czy inaczej, nie ma to znaczenia, skoro kartka zniknęła.

- Nie tylko zniknęła, ale została celowo wyrwana - zauważył doktor Poblocki.

- Kto miałby to zrobić i dlaczego?

- Wydaje się, że ktoś nie chciał, by Bestia została jednak zniszczona.

- Georg, mogę to zatrzymać? - spytał Will, unosząc książkę.

- Proszę bardzo. Obiecuj mi tylko, że nie utworzysz na jej podstawie własnej sekty wieszczącej koniec świata.

Will, zatopiony w ilustrowanych kartach, nie odpowiedział.

- A teraz najwyższa pora, żebym dołączył do pani Poblocki i spożył z nią niedzielny posiłek. - Doktor Poblocki ucałował Evie w rękę. - Życzę wam powodzenia w śledztwie. Postaraj się trzymać wuja w ryzach.

Na zewnątrz zaczęło padać. Will wyjął gazetę i podał połowę Evie. Unieśli cienkie kartki nad głowami i ruszyli szybko przez trawnik w stronę Broadwayu.

- Jeśli nasz zabójca kieruje się jedenastoma ofiarami tego kultu Braci, musiał o nim gdzieś usłyszeć. Czy to możliwe, że pochodzi z tamtego regionu? - Evie wpatrywała się w wielką przestrzeń miasta. - Nie sądzisz? Will? Wujaszku, słuchasz mnie?

- Hm. Tak - odparł z roztargnieniem w głosie. Zmarszczył czoło, a jego oczy wydawały się zmęczone. Ta sprawa wyraźnie martwiła go bardziej niż przyznawał. - Rozsądna uwaga, Evie.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Jak na Willa to był niezły komplement.

- Dam znać detektywowi Malloyowi, że możemy mieć trop, że zabójca może pochodzić z okolic Nowego Bractwa. Może mogą rozpytać się w głębi stanu i dowiedzieć, czy w samym Nowym Bractwie lub w jego okolicach działo się ostatnio coś niezwykłego. Ale mamy teraz coś, co nam sprzyja.

- Co takiego? - spytała Evie. Deszcz padał coraz mocniej. Gazeta obwisła i kark dziewczyny był mokry.

- Jeśli mamy rację i nasz zabójca kieruje się Księżą Bractwa, to jego następna ofiara będzie siódmą... Wypędzenie Zdradzieckich Braci ze Świątyni Salomona.

- Ale co to znaczy?

- Naszym zadaniem będzie się domyślić na czas - powiedział Will.

W ich polu widzenia pojawiła się taksówka i Will uniósł rękę, wyprzedzając dwóch studentów.

- Przepraszam. Moja siostrzenica źle się czuje - powiedział im, a Evie poczuła dreszczyk, słysząc to małe kłamstewko.

Wsiedli do taksówki w chwili, gdy zaczęło lać jak z cebra.

Evie oparła głowę o siedzenie i patrzyła na padający deszcz.

- Wujaszku, co się stanie, kiedy zabójca dopełni wszystkich jedenastu ofiar? Przecież tak naprawdę nie przywołuje jakiegoś mitycznego biblijnego demona z otchłani. To jaki jest jego cel?

- Ale on wierzy, że to właśnie robi. Taka mocna wiara jest potężną siłą.

- To jak mocnej wiary trzeba, żeby powstrzymać kogoś takiego?

- Proszę tu skręcić w lewo i nie jechać tamtą aleją - polecił Will kierowcy.

Taksówkarz, jak prawdziwy nowojorczyk, zaczął się wyklócać o to, jaką trasą najlepiej jechać o tej porze. Dopiero długo po powrocie do muzeum Evie zorientowała się, że wuj nie odpowiedział na jej pytanie.

UBERMENSCH

Jericho siedział w prywatnej jadalni w hotelu Waldorf - Astoria przy Piątej Alei. Po drodze zauważył, że na brzegach liście zaczynają nabierać czerwonych i żółtych odcieni. To przypominało mu gospodarstwo i żniwa. Takie myśli zawsze napełniały go melancholią, więc skupił się na mieszaniu mleka w herbacie. Chwilę później kelner w białych rękawiczkach otworzył drzwi i do środka niczym dobrotliwy książe wkroczył Jake Marlowe.

- Nie wstawaj - powiedział, zajmując miejsce przy stole. Uważano go za przystojnego. Gazety zużywały tyle samo tuszu na opisywanie jego przystojnej twarzy, mocnej szczęki i atletycznej budowy ciała, co na omawianie jego najnowszego wynalazku lub naukowego przełomu.

- Jak się miewasz, Jericho? - Dobrze, proszę pana.

- Świetnie. To świetnie. Wyglądasz zdrowo.

- Tak, proszę pana.

Marlowe wskazał na podniszczony egzemplarz Tako rzecze Zaratustra.

- Dobra jest?

- Jej lektura zajmuje mi czas.

- Zakładam, że, pracując w muzeum, masz dużo czasu do zabijania. Jak się miewa nasz przyjaciel Will?

- Doskonale, proszę pana.

- Dobrze. Możemy się z Willem różnić w wielu kwestiach, ale zawsze go podziwiałem. I martwię się nim i jego... obsesjami.

Milczący kelner w białych rękawiczkach znów się pojawił i nalał kawy do porcelanowej filiżanki Marlowe'a.

- Poproszę sałatkę Waldorf. Jericho?

- Ja również.

Kelner skinął głową i zniknął.

- Jak pańskie interesy? - spytał Jericho.

- Idą dobrze. Właściwie wspaniale. W Marlowe Industries robimy niesamowite rzeczy. A Kalifornia jest piękna, spodobałoby ci się tam.

Jericho stłumił pragnienie, by powiedzieć Marlowe'owi, że nie ma pojęcia, co by mu się podobało.

- Propozycja pozostaje aktualna... jeśli będziesz miał dosyć układania na półkach książek o magii i duchach, zawsze możesz zacząć pracować dla mnie.

Jericho przyjrzał się łyżeczce na spodeczku. To było prawdziwe srebro, z pieczęcią hotelu na uchwycie.

- Mam pracę.

- Tak. Masz pracę. A ja mówię o zawodzie. Szansie, by stać się częścią przyszłości, a nie usychać w zakurzonej muzeum.

- Wie pan, że pan Fitzgerald jest błyskotliwy.

- Kiedyś - stwierdził Marlowe i umilkł na chwilę. - Zmienił się, po tym co stało się z Rotke. - Marlowe pokręcił głową. - Cała ta błyskotliwość zmarnowana na historyjki o duchach. I po co?

- To część naszej historii.

- Nie jesteśmy krajem z przeszłością, Jericho. Jesteśmy krajem przyszłości. A ja mam zamiar ukształtować tę przyszłość. - Marlowe oparł łokcie na stole i pochylił się z poważną miną. Spojrzenie jego niebieskich oczu było przenikliwe. - Jak się czujesz, Jericho?

- Już mówiłem. Dobrze, proszę pana. Marlowe zniżył głos.

- I nie doświadczyłeś żadnych objawów? - Żadnych.

Na twarzy mężczyzny pojawił się zadowolony uśmiech.

- To obiecujące. Bardzo obiecujące.

- Tak, proszę pana. - Odbita w łyżeczce twarz Jericho była zniekształcona.

Marlowe podniósł się i stanął obok jednego z wysokich okien.

- Popatrz tylko. Cóż za miasto! I przez cały czas rośnie. To najlepszy kraj na świecie, Jericho. Miejsce, gdzie człowiek może zostać tym, kim pragnie się stać. Czy mógłbyś sobie wyobrazić, jak to by było, gdyby inne kraje kierowały się takimi samymi demokratycznymi ideałami i miały takie same wolności, jakimi my się cieszymy? Jak wyglądałby świat?

- Idealizm to jedynie ucieczka od rzeczywistości. Nie ma utopii.

Marlowe uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę? Zupełnie się z tym nie zgadzam. Czy to Nietzsche? Ach, ci Niemcy. Nie wiem czy wiesz, ale mamy w Niemczech fabrykę. Właściwie Niemcy są świetnym przykładem, więc porozmawiajmy o Niemczech. W Wielkiej Wojnie zostali zmiażdżeni. Ich dług jest kolosalny. Pół kilo chleba kosztowało prawie trzy miliardy marek. Reichsmarka stała się właściwie bezwartościowa, banknotami można było wytapetować dom, bo i tak nie dało się za nie kupić towarów ani zapłacić czynszu. Ale Marlowe Industries pomoże im stanąć na własnych nogach. Zmienimy świat. - Marlowe uśmiechnął się promiennie, ten uśmiech kazał gazetom rozpląwać się nad jego zdolnościami. - Ty mógłbyś zmienić świat, Jericho.

- Nikt by tego z własnej woli nie wybrał - stwierdził z goryczą Jericho.

- Daj spokój. Nie jest aż tak źle, prawda? - Marlowe znów zajął miejsce przy stole. - Popatrz tylko na siebie. Jesteś chodzącym cudem. Wielką nadzieją.

- Nie jestem jednym z pańskich marzeń. Jericho uderzył pięścią w stół, rozbijając talerzyk.

- Ostrożnie - powiedział Marlowe.

- Przepraszam.

Zaczął zbierać kawałki, ale na gest Marlowe'a pojawił się kelner z miniaturową miotłką i sprzątnął stół.

- Musisz być ostrożny - powtórzył Marlowe.

Jericho przytaknął. Pod stołem zacisnął pięść i rozluźnił ją. Kiedy się uspokoił, złożył serwetkę, położył ją na stole i wstał.

- Dziękuję za herbatę. Powinienem wracać do muzeum. - Daj spokój. Zaczniemy od początku...

- Mam... mam dużo pracy - stwierdził Jericho. Wstał i czekał. - Ale nic nie zjadłeś.

- Powinienem wracać.

- Oczywiście - stwierdził po chwili Marlowe. Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, gdzie zostawił aktówkę i parasol. Z torby wyciągnął niedużą brązową torebkę. - Na pewno czujesz się dobrze?

- Tak, proszę pana.

Marlowe podał Jericho brązową torebkę. Młodszy mężczyzna spuścił wzrok.

- Dziękuję - wymamrotał.

Nienawidził tego, że raz do roku musiał poddawać się temu rytuałowi. Musiał udawać, że jest wdzięczny za to, co Marlowe dla niego zrobił. Co mu zrobił.

Marlowe zacisnął dłoń na jego ramieniu.

- Cieszę się, że tak dobrze ci idzie, Jericho.

- Tak, proszę pana.

Strząsnął dłoń Marlowe'a i zostawił go.

W korytarzu Jericho zacisnął prawą pięść, po czym wyprostował palce, otworzył, zamknął, otworzył, zamknął. Poruszały się bez zarzutu. Otworzył torebkę, którą dał mu Marlowe. Wewnątrz znajdowały się pigułki w buteleczce z brązowego szkła, podpisanej WZMACNIAJĄCY TONIK WITAMINOWY MARLOWE INDUSTRIES, a obok nich srebrne etui z dziesięcioma fiolkami jaskrawoniebieskiego serum. Przez

chwilę wyobrażał sobie, jak wrzuca torbę do pobliskiego kosza na śmieci i odchodzi. Zamiast tego wsunął srebrne etui do wewnętrznej kieszeni marynarki, a witaminy do zewnętrznej. Wziął Zaratustrę Nietzschego pod pachę i wyszedł na chłodny jesienny dzień.

Mabel nie miała czasu podziwiać jesiennych liści, kiedy szła przez tłum zgromadzony na Union Square. Wiedziała, że musi uważać - ludzie Pinkertona przebrani za robotników często zakłócali pokojowy protest, dając policji wymówkę, by się wtrącała, przerwała go i przeprowadziła aresztowania. Czasem robiło się paskudnie.

Przestało padać i jej matka stanęła na prowizorycznej mównicy, inspirując tłum swoimi zdolnościami oratorskimi i urodą. Virgiriua z domu Newell była córką słynnego rodu Newellów, należącego do elity Nowego Jorku. W wieku lat dwudziestu odrzuciła wszystko i uciekła z domu z ojcem Mabel, Danielem Rose, pełnym żaru dziennikarzem i socjalistą pochodzenia żydowskiego. Rodzina zostawiła ją bez grosza, ale sława Newellów pozostała. Nazywano ją „Buntowniczką z Salonów”. I w pewnym sensie fakt, że matka odrzuciła wszystko w imię miłości uczyniło ją jeszcze sławniejszą niż gdyby była jedną z żon z socjety. Dlatego mogli się wprowadzić do Benningtona - nikt nie odmawiał Newellównie, nawet okrytej niesławą.

Ale Mabel trudno się żyło w cieniu matki. Nikt nie pisał o niej w gazetach. Co gorsza, urodę odziedziczyła po ojcu - okrągła twarz z wydatnym nosem, głęboko osadzone ciemne oczy i kręcone kasztanowe włosy. „Musisz być podobna do ojca”, mówili ludzie i zapadała niezręczna cisza. Ale kiedy matka uśmiechała się, przytulała ją i nazywała ją „moją kochaną, kochaną córeczką”, Mabel zalewało ciepło. A gdy matka nieuchronnie angażowała się w sprawę takiej czy innej niesprawiedliwości do naprawienia, dziewczyna stawała u jej

boku, odgrywała posłuszną córkę i udowadniała jak bardzo jest niezastąpiona. A ludzi, którzy byli pomocni i niezastąpieni, kochano, prawda?

Wydawało się, że jedyną osobą, która nie czuje podziwu dla jej matki, jest Evie, która doskonale parodiowała jej matkę. „Mabel, kochanie, jak możesz narzekać, że nie zjadłaś obiadu, kiedy te biedne stłamszone masy nie oddychają jeszcze swobodnie!”. „Mabel, kochanie, powiedz mi, która sukienka lepiej pasuje twoim zdaniem Wybawicielce Ubogich i Świętej Lower East Side?”. I choć dziewczyna miała ochotę złąć Evie i bronić matki, musiała przyznać, że jest to jeden z powodów, dla których tak ceniła swoją starą przyjaciółkę. Niezależnie od wszystkiego Evie zawsze stawała po jej stronie. „Jesteś prawdziwą gwiazdą rodziny Rose”, powtarzała. „Pewnego dnia wszyscy będą znali twoje imię”. Miała jedynie nadzieję, że Evie sprawi, iż Jericho również tak na nią spojrzy.

Jericho. Zawstydzalo ją, jak często o nim myśli. Te wszystkie romantyczne fantazje! Podobno była tak rozsądna, ale kiedy przychodziło do tego chłopca, myślała schematami z romansów. Był taki bystry, pracowity i smutny - nie jakiś wałkoń jak ten Sam Lloyd, pełen pochlebstw i obietnic dla każdej dziewczyny, która dała się na to nabrać. Nie, sympatia Jericho coś znaczyła. To było wyzwanie, czyż nie? Gdyby mogła sprawić, że człowiek taki jak on się nią zainteresuje, czy to by nie znaczyło, jak bardzo jest pociągająca?

Mabel myślała o tym wszystkim, idąc przez Union Square i rozdając robotnikom egzemplarze pisma „The Proletariat”. Pomachała ludziom siedzącym przy stoliku związku zawodowego Robotnicy Przemysłowi Świata, ale oni jej nie zauważyli, więc ruszyła dalej. Czuła się zagubiona w tłumie. Czy gdyby postanowiła zniknąć, ktoś zauważyłby jej nieobecność?

- Kim są wasi przywódcy? - spytała jej matka z podwyższenia.

- My jesteśmy przywódcami! - odpowiedział tłum.

Mabel poczuła dłoń na ramieniu. Odwróciwszy się, ujrzała młodą kobietę z dzieckiem na ręku, której towarzyszyła starsza z chustą na głowie.

Młodsza kobieta mówiła łamaną angielszczyzną.

- Ty jesteś córką wielkiej pani Rose? Mam imię. Mabel. Mabel Rose.

- Tak - odpowiedziała z irytacją.

- Proszę, możesz pomóc? Zabrali moją siostrę z fabryki.

- Kto ją zabrał?

Kobieta odezwała się do staruszki po włosku, po czym znów odwróciła się do Mabel.

- Mężczyźni - powiedziała.

- Jacy mężczyźni? Policja?

Kobieta rozejrzała się, żeby się upewnić, że nikt się nie przysłuchuje, po czym dodała cicho:

- Mężczyźni, którzy ruszają się jak cienie.

Mabel nie rozumiała, co kobieta miała na myśli. Pewnie to był jakiś językowy niuans, który zaginął w tłumaczeniu.

- Dlaczego ktoś miałby zabrać twoją siostrę? Organizowała związki w fabryce?

Dziewczyna znów spojrzała na starszą kobietę, która skinęła głową.

- Ona jest... profeta. - Dziewczyna szukała właściwego słowa. - Ona... rozmawia z umarłymi. Mówi, że nadchodzą.

Mabel zmarszczyła czoło.

- Kto nadchodzi?

Na brzegu parku rozległ się dźwięk policyjnych gwizdków, jak również krzyki tłumu. Wśród zgromadzonych wylądował Pojemnik z gazem łzawiącym i park wkrótce wypełniła chemiczna mgła, od której piekły oczy i gardło.

Mabel słyszała, jak matka prosi przez mikrofon o spokój, a wtedy mikrofon odcięto. Tłum zaczął się przepychać. Ludzie rozbiegli się z wrzaskiem, gdy policja rzuciła się na robotników. Ktoś mocno popchnął Mabel i zrzucił jej gazety na ziemię, gdzie natychmiast zostały rozdeptane. Nie widziała rodziców. Rozkaszana i zdezorientowana, przepchnęła się przez tłum i ruszyła biegiem. Znalazła się twarzą w twarz z policjantem.

- Mam cię! - powiedział.

Przerażona Mabel pobiegła 15. Ulicą w stronę Irving Place. Policjant ostrzegł gwizdkiem pozostałych. Teraz goniło ją już co najmniej pięciu gliniarzy. Ruszyła w stronę żelaznych bram parku Gramercy, ale czyjeś silne ręce wciągnęły ją w wejście dla personelu na tyłach restauracji. Zaczęła krzyczeć, a wtedy ktoś zacisnął jej dłoń na ustach.

- Nie tędy, panienko. Tam się roi od glin.

W jej uchu zabrzmiał męski głos i Mabel się uciszyła. Chwilę później obok przemaszerowali policjanci z wyciągniętymi pałkami. Patrzyła z kryjówki, jak rezygnują z pogoni i ruszają z powrotem na Union Square.

- Dziękuję - powiedziała Mabel i spojrzała na swojego wybawiciela. Był młody, niewiele starszy od niej.

Odprowadził ją na bok.

- Jesteś córką Rose'ów, prawda?

Nawet tu nie mogła tego uniknąć.

- Mam na imię Mabel - powiedziała, jakby rzucając mu wyzwanie, żeby jej zaprzeczył.

- Mabel. Mabel Rose. Nie zapomnę. - Uścisnął jej dłoń. - Cóż, Mabel Rose. Wracaj bezpiecznie do domu.

Gdzieś w pobliżu rozległ się wybuch.

- Idź - powiedział jej tajemniczy wybawiciel.

Pobiegł szybko uliczką, wskoczył na drabinkę pożarową i zniknął na dachu.

Wróciwszy do Benningtona, Mabel pojechała windą na szóste piętro. Dwie z lamp w korytarzu wypaliły się, przez co przejście pozostawało w półmroku, co zawsze nieco denerwowało Mabel. Usłyszała szepty na końcu mrocznego korytarza i zamarła. A jeśli policja jednak ją śledziła?

Mimo licznych wątpliwości ostrożnie ruszyła naprzód. Przy wąskim oknie stała panna Addie w koszuli nocnej. Jej długie siwe włosy wisiały w kosmykach. W rękach trzymała worek soli, którą rozsypała na parapecie. Sól wysypywała się przez otwór w worku i zbierała na dywanie.

- Panno Addie? Co pani robi?

- Muszę ich powstrzymać przed wejściem - odpowiedziała panna Addie.

- Kogo powstrzymać?

- Dzieją się straszne rzeczy. Zbliża się coś przekłętogo.

- Chodzi pani o morderstwa? - spytała Mabel.

- Zaczęło się. Czuję to. W snach widzę mężczyznę w cylindrze z płaszczem pełnym kruków. Czeka nas straszliwy wybór. - Dłoń panny Addie unosiła się przy jej twarzy jak ranny ptak. Wydawała się zdezorientowana, jak ktoś budzący się po uśpieniu eterem. - Gdzie są moje drzwi? Nie mogę ich znaleźć.

- Jest pani na szóstym piętrze, panno Addie. A powinna na dziesiątym. Zaprowadzę panią.

Mabel wzięła z rąk kobiety worek soli i pomogła jej wejść do windy, zamykając tę kłopotliwą zasuwę na drzwiach.

- Kiedy zmyślni ludzie zostali oskarżeni o czarowanie jakby to była zabawa, a szubienice uginały się pod ciężarem trupów, mężczyzna tam był. Kiedy Czoktawowie ruszyli ku zniszczeniu Drogą Łez, mężczyzna tam był.

Mabel liczyła piętra, marząc, by winda jechała szybciej.

- Powiadają, że ukazał się panu Lincolnowi wieczorem przed wojną między stanami. Zupełnie jakby opadła ręka,

wyrwała serce narodowi, rzeki spłynęły krwią, a rany kraju się nie zagoją. - Panna Addie nagle się odwróciła i wpatrzyła w Mabel. - Straszliwe, co ludzie robią sobie nawzajem, prawda?

Mabel pośpiesznie otworzyła drzwi, by wypuścić pannę Addie z windy. Wiedziała, że powinna odprowadzić ją do mieszkania, ale była zbyt przestraszona.

- To te w korytarzu, po lewej stronie, panno Adelaide.

- Tak, dziękuję. - Panna Addie wzięła torbę soli z rąk Mabel i wyszła na słabo oświetlony korytarz. - Nie jesteśmy bezpieczni. Wcale nie.

Ale Mabel już zamknęła drzwi i winda zaczęła opadać.

- Straszliwe, co ludzie robią - powtórzyła panna Addie. Mabel przyglądała się z windy jak stara kobieta odchodzi, a za nią ciągnie się ślad soli, jak kilwater.

OPERACJA JERICHO

- Dobry wieczór, panie i panowie, nasi radiosłuchacze, witamy w programie Godzina Gerarda Whittingtona, sponsorowanym przez Marlowe Industries. Tak, Marlowe Industries, Osiągnięcia Jutra, Dzisiaj. Od najnowszych wynalazków w dziedzinie lotnictwa i bezpieczeństwa po przydatne urządzenia dla każdej gospodyni domowej, Marlowe Industries...

- Nadal nie rozumiem - powiedziała Evie ponad cichym głosem dobiegającym z radioodbiornika. Leżała na kanapie z ilustrowaną księgą w dłoniach. - Nic z tego nie wyjaśnia tajemnicy pierwszych czterech ofiar. Jeśli Pentaklowy Zabójca rzeczywiście wypełnia rytuały z Księgi Bractwa, żeby sprowadzić na świat Antychrysta i Armagedon, dlaczego zaczął od piątej ofiary? To nie ma sensu.

- Detektyw Malloy informuje, że nie było podobnych morderstw przed odkryciem ciała Ruty Badowski - stwierdził Jericho. Siedział przy stole i miał przed sobą notatki.

Will jak zwykle spacerował.

- To zagadkowe. Ale jedno wiemy: jeśli zabójca kieruje się ofiarami z Księgi Bractwa, a z dużym prawdopodobieństwem tak jest, to może uda nam się powstrzymać kolejną próbę...

Evie przeczytała na głos siódmą ofiarę.

- Co to znaczy? Kim są zdradzieccy bracia? - zastanawiał się Will.

Spacerował od wykuszowego okna do kuchenki i z powrotem, aż Evie zaczęła się martwić, że wydepcze ścieżkę w perskim dywanie.

- Może zabieramy się do tego od złej strony. A jeśli odnajdziemy świątynię, o której wspomina? Wtedy policja mogłaby być na miejscu, żeby go powstrzymać - myślała na

głos Evie. Pstryknęła palcami. - W Metropolitan Museum of Art jest egipska świątynia.

- To może oznaczać synagogę, szczególnie jeśli ma jakieś powiązania z Klanem - zasugerował Jericho.

- A może świątynie finansów... giełda, banki! - wykrzyknęła Evie. Czowała się tak, jakby grali w dziwną grę salonową, zgadywanek, ale stawka była olbrzymia.

- Dobrze, świetnie - powiedział Will.

Dyskutowali o tym przez dłuższy czas, tworząc listę innych możliwych znaczeń świątyni wspomnianej w siódmej ofercie, a Jericho zapisywał każdą.

- Ostrzegę Terrence'a, że nasz zabójca może zaatakować w każdym z tych miejsc. Evie, mogłabyś sprawdzić, czy znajdziesz coś na ten temat w książce Hale'a o ikonografii religijnej? - polecił Will ze swojego stanowiska przy oknie.

W Central Parku zapaliły się latarnie. Niedawno minęła dwudziesta. Siedzieli w książkach od dłuższego czasu i zupełnie przegapili obiad. Evie zaburczało w brzuchu.

- Wujaszku, umieram z głodu. Możemy do tego wrócić później? - poprosiła.

Will spojrzął na zegar i ciemność za oknem. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Och. Na pewno. Może razem z Jericho zejście do jadalni? Ja sobie zrobię tu jakąś kanapkę.

- Ja też - stwierdził Jericho.

- To będę zupełnie sama - stwierdziła Evie. - Jericho, obojgu nam dobrze zrobi, jeśli stąd wyjdziemy.

- Ona ma rację - zgodził się Will. - Zejdz na chwilę na dół. Jericho niechętnie zamknął książki i ruszył za Evie do windy.

Zatrzymała ją na szóstym piętrze i otworzyła drzwi.

- Dlaczego się tu zatrzymaliśmy?

- Właśnie przyszło mi na myśl, że Mabel musi umierać z głodu! Jej rodzice są dziś na wiecu i biedaczka jest zupełnie sama.

- Pewnie już zjadła kolację.

- Ależ nie! Znam Mabel. Jest sową. Je bardzo późno, jak paryżanka. To nie zajmie długo.

Evie zapukała kodem i po chwili Mabel otworzyła drzwi. Miała na sobie szlafrok i już zaczęła mówić.

- Mam nadzieję, że przyprowadziłaś mężczyznę moich marzeń... Och.

Evie odchrząknęła.

- Dobry wieczór, Mabel. Idę z Jericho zjeść kolację na dole, może chciałabyś do nas dołączyć?

Posłała spojrzenie Jericho.

- Och. Och! - Mabel z przerażeniem spojrzała na szlafrok.
- Tylko się ubiorę.

- Witaj, Evie! - zawołał pan Rose. Siedział przy kuchennym stole i wystukiwał artykuł na maszynie do pisania.

Evie mu pomachała.

Jericho posłał jej wściekłe spojrzenie.

- Mówiłaś chyba, że są na wiecu.

- Naprawdę? Musiałam pomylić dni. Czasem mi się to zdarza. Mablesie, kochanie, pośpiesz się!

Kilka minut później całą trójką siedzieli w jadalni na fotelach pod żyrandolem, który z powodu jakiejś usterki przewodów co jakiś czas migał. Evie przekazała Mabel szczegóły zbrodni i co odkryli dzięki doktorowi Poblockiemu.

- Wygląda na to, że ten gość odprawia jakiś starożytny rytuał wymarłej sekty. To ab - so - lut - nie makabryczne. Prawdziwy potwór!

- To właśnie się dzieje, kiedy społeczeństwo zaniedbuje i wykorzystuje dzieci - powiedziała Mabel, bawiąc się sztuczkami. - Kiedy dorastają, stają się potworami.

- Cóż za interesująca teoria. Mabel, jaka ty jesteś bystra! - powiedziała Evie. - Prawda, Jericho?

Jericho nie podniósł wzroku znad kurczaka i klusek. Po drugiej stronie Mabel wypowiedziała samym ruchem warg: „Co ty robisz?”.

„Operacja Jericho”, odpowiedziała podobnie Evie.

- Skąd wiesz, że tak się dzieje? - spytał Jericho.

- To znaczy?

- Skąd wiesz, że to społeczeństwo tworzy potwory?

- Cóż, moja matka mówi, że kiedy...

- Nie pytałem, co uważa twoja matka - przerwał jej Jericho. - Wszyscy, którzy umieją przeczytać gazetę, wiedzą, co sądzi twoja matka. Pytałem cię, jak twoim zdaniem się to dzieje.

Mabel bawiła się łyżką w łowienie makaronu w zupie. Przed godziną zjadła kolację i wcale nie była głodna.

- Cóż, odwiedzałam z rodzicami slumsy. Widziałam, do jakich tragedii doprowadza ubóstwo i ignorancja.

- To jak wyjaśnisz te biedne, wykorzystywane jednostki, które w dorosłości osiągają wielkość?

- Zawsze są wyjątki.

- A jeśli to nie jest prawda? A jeśli zło istnieje? Jeśli zawsze istniało i będzie istnieć, odwieczna walka dobra ze złem, zawsze i na wieki?

- To znaczy, jak Bóg i szatan? - Mabel potrząsnęła głową.

- Nie wierzę w to. Jestem ateistką. Religia to opium dla mas.

- Karol Marks - stwierdził Jericho. - To także nie jest twoje zdanie. Wierzysz w nie, bo rzeczywiście w nie wierzysz, czy też wierzysz w nie, bo oni ci to powiedzieli?

- Wierzę w to - odpowiedziała Mabel. - Zło to ludzki wynalazek. Wybór.

- Jericho wierzy, że jesteśmy skazani na powtarzanie naszej egzystencji - powiedziała Evie, unosząc brwi, by pokazać, jak poważnie traktuje tę teorię. - Nietzsche.

- Jak widzę, nie tylko ja jestem pod wpływem opinii innych ludzi.

Mabel pociągnęła nosem.

Evie próbowała zamaskować śmiech kaszlem. Spojrzała na Mabel i podrapała się ukradkowo po nosie, co było znakiem.

- Ojej - powiedziała z udawanym niepokojem. - Chyba zgubiłam bransoletkę.

- Wcale nie! - wyrwało się Mabel. Postanowiła kopnąć Evie pod stołem, ale przypadkiem trafiła Jericho.

- Auć - powiedział, spoglądając na nią. - Przepraszam.

Mabel posłała Evie przerażone spojrzenie i zrobiła minę z gatunku „zrób coś, szybko”.

- Wiecie, w co ja wierzę? Wierzę, że powinniśmy zamówić ciasto - ogłosiła Evie i wezwała kelnera.

Zamilkli i wokół stołu rozlegał się jedynie dźwięk siorbania i przeżuwania. Evie próbowała rozmawiać z Mabel, ale wszystko wydawało się wymuszone i niezręczne. Później jechali windą w niezręcznym milczeniu; cała trójka patrzyła, jak złota strzałka powoli odmierza piętra.

Mabel niemal wyskoczyła z windy, kiedy drzwi otworzyły się na jej piętrze.

- Dobranoc - zawołała, nie odwracając się i Evie wiedziała, że później się nasłucha.

Pierwsza faza Operacji Jericho była zupełną katastrofą. Kiedy dotarli na swoje piętro, odkryli na drzwiach karteczkę „Poszedłem do Malloya - WF”. To był cały wuj Will, od zwięzłości po inicjały. Evie zgmiotła kartkę i zatrzęsnęła za sobą drzwi mieszkania. Spojrzała ze złością na Jericho, który

właśnie usadowił się na fotelu Willa z książką w ręku. Przeszła na sofę i stamtąd patrzyła na niego.

- Wiesz, nie musiałeś być taki niegrzeczny.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - mruknął chłopak.

- Wobec Mabel! Mogłeś chociaż spróbować zachować się uprzejmie.

- Nie interesuje mnie uprzejmość. Jest fałszywa. Nietzsche mówi...

- Daj spokój Nietzschemu. Jest martwy, a o ile wiem, umarł na nieuprzejmość. - Evie gotowała się. - Ona jest bardzo bystra. Tak bystra jak ty.

Jericho łaskawie uniósł wzrok znad książki.

- Jest pod pantoflem rodziców. Myśli to, co oni. To, co powiedziała o społeczeństwie tworzącym potwory, to była jej matka.

- Czyli jednak słuchałeś!

- Musi mieć własne zdanie. Musi nauczyć się myśleć samodzielnie, a nie tylko papugować to, co mówią inni.

- Masz na myśli sposób, w jaki ty chłonisz każde słowo wuja Willa i Nietzschego? - Evie zabrała mu książkę.

- Wcale nie - sprzeciwił się Jericho, odbierając ją. - I dlaczego rozmawiamy o Mabel? Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

- Ponieważ...

Evie umilkła. Nie mogła przecież powiedzieć „Ponieważ ona się w tobie zadurzyła. Ponieważ przez ostatnie trzy lata pisała mi listy pełne tęsknoty. Ponieważ za każdym razem, kiedy wchodzisz do pomieszczenia, ona wstrzymuje oddech”.

- Ponieważ jest moją przyjaciółką. A nikt nie jest niegrzeczny wobec moich przyjaciół. Jasne? Jericho westchnął z irytacją.

- Od tej chwili będę wcieleniem uprzejmości wobec Mabel.

- Dziękuję - odparła Evie z ukłonem. Jericho ją zignorował.

ŻYCIE I ŚMIERĆ

Memphis wyrwał kartkę z zeszytu i zgniółł ją. Próbował znów pracować nad wierszem, tym o jego matce i płaszczu smutku, ale nic nie przychodziło i zaczął się zastanawiać, czy jest skazany na porażkę również jako poeta, nie tylko uzdrowiciel.

Wiatr gwizdał pośród jesiennych liści. Jego matka umarła w kwietniu, drzewa powoli rozwijały pąki jak dziewczęta nieśmiało wchodzące w kobiecość. Wiosna, kiedy nic nie powinno umierać. Ojciec Memphisa obudził go ze snu. Oczy miał podkrążone.

- Już czas, synu - powiedział i poprowadził Memphisa przez ciemny dom do pokoju matki, gdzie paliła się samotna świeca. Matka drżała pod cienkim kocem.

- Proszę, synu. Musisz to zrobić. Musisz zatrzymać ją tutaj. Jego ojciec, prowadzący go do łóżka. Z matki zostały tylko kości, jej włosy się przerzedziły. Pod kocem jej ciało było nieruchome. Wpatrywała się w sufit, jej wzrok śledził coś, czego Memphis nie widział. Miał czternaście lat.

- Dalej, synu - powiedział ojciec łamiącym się głosem. - Proszę.

Memphis się bał. Matka wydawała się tak bliska śmierci, że nie wiedział, jak mógłby to powstrzymać. Chciał ją wyleczyć już wcześniej, ale nie pozwoliła mu.

- Nie pozwolę, by mój syn był za to odpowiedzialny - stwierdziła stanowczo. - Będzie, co ma być, na dobre lub na złe.

Memphis nie chciał śmierci matki. Położył na niej dłonie. Matka otworzyła szerzej oczy i próbowała potrząsnąć głową, uciec przed jego dłońmi, ale była zbyt słaba.

- Pomogę ci, mamó.

Matka rozchyliła spękane usta, by się odezwać, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Memphis czuł, jak opanowuje go

lecniczy trans, i zatonął, niesiony przez prądy, nad którymi nie panował i których nie rozumiał. Ich dwójka została poniesiona na większe, nieznane morze. W leczniczych transach zawsze czuł obecność duchów. Była to spokojna, chroniąca bliskość i nigdy się nie bał. Ale tym razem było inaczej. Znalazł się na ciemnym cmentarzu, pełnym mgły. Cienie nie wydawały się tak dobrotliwe, gdy się do niego przyciskały. Na kamieniu siedział chudy szary mężczyzna w cylindrze, ręce zacisnął w pięści.

- Co mi za nią oddasz, uzdrowicielu? - spytał mężczyzna, a Memphis miał wrażenie, że to sam wiatr wyszeptał to pytanie. Mężczyzna wskazał na swoje pięści. - W jednej ręce jest życie, w drugiej śmierć. Wybierz. Wybierz, a może ją odzyskasz.

Memphis zrobił krok naprzód, zbliżył palce. Prawa czy lewa? Nagle zobaczył na cmentarzu swoją matkę, wychudzoną i słabą.

- Nie możesz ściągnąć mnie z powrotem, Memphisie. Nigdy nie próbuj sprowadzać tego, co odeszło!

Mężczyzna wyszczerzył się w jej stronę, ukazując zęby jak małe sztylety.

- Wybór należy do niego.

Matka wydawała się przerażona, ale nie cofnęła się.

- To tylko chłopiec.

- Wybór. Należy. Do. Niego.

Memphis skupił się na pięściach mężczyzny. Dotknął prawej. Mężczyzna uśmiechnął się i otworzył dłoń, a mały czarny pisklak zapiszczał.

Matka Memphisa potrząsnęła głową.

- Och, mój synu, mój synu. Co ty zrobiłeś?

Memphis nic już nie pamiętał. Jak powiedziała mu Octavia, dostał gorączki i ojciec położył go spać. Kiedy

obudził się następnego ranka, zobaczył, jak Octavia zasłania lustra. Ojciec siedział na krześle, koszulę miał przepoconą.

- Odeszła - wyszeptał, a w jego oczach było oskarżenie. „Dlaczego jej nie uratowałeś? Cały ten dar, a nie mogłeś uratować jedynej osoby, która się liczyła?”.

Teraz Memphis wytarł z dłoni cmentarną ziemię. Wyglądził kartkę i znów wsunął ją do zeszytu, a następnie ruszył w stronę domu. Kiedy mijał stary dom na wzgórzu, wydawało mu się, że coś słyszy. Czy to... pogwizdywanie? Niemożliwe. Ale jednak, słyszał je, zagłuszane przez wycie wiatru. A może to sam wiatr? Memphis otworzył bramę i zrobił dwa kroki na ścieżce. Ile razy czytał historie o duchach i myślał „Nie wchodź po tych schodach! Trzymaj się z dala od tamtego starego domu!”. A jednak stał tutaj, na podwórku najstarszego i najbardziej złowrogiemu domu, jaki znał, i zastanawiał się nad wejściem do środka. Nagle Memphis zrozumiał, jakim szaleństwem było stanie przed zabitym deskami oknem zrujnowanego domu, i cofnął się. Natychmiast przypomniał sobie o morderstwach w mieście. Dlaczego ta myśl przyszła mu do głowy właśnie teraz? Znów usłyszał słabe pogwizdywanie dobiegające z głębi starego domu. Ruszył biegiem, a gonił go zgrzyt starej furtki na zawiasach.

Kiedy wrócił do Harlemu, ruszył Lenox Avenue, czując się nie na miejscu pośród rozbawionych ludzi. Wędrował, aż znalazł się naprzeciwko wspaniałego domu panny A'Lelii Walker przy 136. Ulicy. Na zewnątrz parkowało kilka eleganckich samochodów, a przy drzwiach stał kamerdyner. Świeciły się wszystkie światła i Memphis wiedział, że gospodyni urzęduje pewnie jeden ze swoich sławnych salonów, które odwiedzały największe talenty Harlemu - muzycy, artyści, pisarze, uczeni. Memphis marzył, że znajdzie się na jednym z jej przyjęć i odczyta swoje poezje przed elegancką widownią. Ale droga od chodnika, na którym stał, do

rozświetlonego salonu wydawała się nieprawdopodobnie długa i Memphis odwrócił się plecami. Mógł zajrzeć do klubu Hotsy Totsy albo Tomb of the Fallen Angels, żeby zobaczyć, co się dzieje. Gdzieś zawsze była impreza. W końcu jednak ruszył do domu, a w pamięci wciąż miał świeże wspomnienie matki. Ślepy Bill Johnson siedział na ganku jednego z domów i cicho grał na gitarze, choć wokół nie było słuchaczy. Memphis próbował prześlizgnąć się obok.

- Kto tam? Kto przechodzi obok starego Ślepego Billa i nic nie mówi?

- Memphis Campbell, proszę pana. Bill uśmiechnął się szeroko.

- Dobry wieczór, panie Campbell. Ogromnie mi ulżyło, że to pan, a nie jakieś lou - lou, które po mnie przyszło.

- Co to lou - lou?

- Stare cajuńskie słowo. Jak wy byście to nazwali? Licho.

- Nie, proszę pana. Żadne licho. To tylko ja.

Ślepy Bill zacisnął wargi, jakby właśnie wypił kieliszek taniego bimbru zmieszany ze śliną.

- To nie jest dobra noc, żeby chodzić po ulicach. Nie czujesz tego na karku? Fifolet? Jak wznoszący się bagienny gaz, złe duchy idą za tobą.

Sprawa z domem, w połączeniu z cajuńskimi przesądami Ślepego Billa, sprawiła, że Memphis poczuł się przestraszony. Nie chciał gadać o duchach i upiorach.

- Ciotka mówi, że jestem tępy jak cegłówka. Byłbym ostatnią osobą, która poczuje wędrujące duchy.

Ślepy Bill zwrócił twarz w stronę Memphisa, prawie jakby go widział.

- Usłyszałem dziś u Floyda coś bardzo interesującego. Podobno byłeś uzdrowicielem.

- Dawno temu.

- Wciąż masz w sobie leczącego ducha? Czy mógłbyś położyć te ręce na starym Ślepym Billu i oddać mi wzrok?

- Już nie mam tego daru. - Memphis poczuł się nagle bardzo zmęczony, zbyt zmęczony, by utrzymać słowa na języku. Wyrwały się w stronę staruszka. - Opuścił mnie, kiedy moja matka... Była naprawdę chora. Położyłem na niej dłonie i... - Memphisa zaboląło gardło. Przełknął ślinę. - Umarła. Umarła pod moim dotykiem. A leczenie, które miałem, umarło razem z nią.

- To naprawdę smutna historia, panie Campbell - powiedział po chwili Bill.

Nos Memphisa wypełniały łzy i cieszył się, że staruszek nie widzi, jak płacze. Nic nie powiedział.

Ślepy Bill pokiwał głową, jakby brał udział w rozmowie.

- Ale nic nie zrobiłeś swojej mamie, tylko próbowałeś złagodzić jej cierpienie. Słyszysz mnie? Czasem to gest miłosierdzia - powiedział cicho i Memphis był wdzięczny staruszkowi za jego życzliwość. - Dam ci coś.

Bill przeszukał kieszenie i znalazł karmelka. Wymacał rękę Memphisa i wcisnął mu cukierek w dłoń swoimi wysuszonymi, szorstkimi palcami.

- Masz. Zachowaj go. Na wypadek, gdybyś potrzebował prosić o ochronę Papę Legbę.

- Papę kogo?

- Papę Legbę. To strażnik bram Vilokanu, krainy duchów. Stoi na rozstajnych drogach. Jeśli się zgubisz, pomoże ci odnaleźć drogę. Musisz mu tylko zostawić coś słodkiego.

Ciotka Octavia dostałaby ataku, gdyby usłyszała, jak Bill to mówi. Raz kazała im przejść na drugą stronę ulicy, żeby ominąć malutki sklepik, którego witryny ozdabiała czerwona i czarna tkanina oraz świece i figurki świętych o afrykańskich rysach. Niewielki szyld głosił ZDEJMOWANIE PRZEKLEŃSTW I USUWANIE

PRZESZKÓD NA DRODZE DO SZCZĘŚCIA.

- Nie zbliżajcie się do tego voodoo - powiedziała, kiedy Isaiah chciał wiedzieć, dlaczego nakładają drogi. Pod nosem recytowała „Ojciec Nasz”.

Memphis niepewnie trzymał cukierek. Wydawał mu się dziwnie ciężki.

- Ciotka mówi, że powinniśmy się modlić tylko do Jezusa. Ślepy Bill odchrząknął i splunął.

- Myślisz, że bóg białasów ci pomoże? Myślisz, że jest po naszej stronie?

- Nie sądzę, by czyjkolwiek bóg był po naszej stronie.

Memphis przygotował się na naganę, jednak staruszek tylko pokiwał głową, a kąciki jego ust wygięły się w pełnym gorzycy uśmiechu.

- To mogą być najbardziej szczerze słowa, jakie pan kiedykolwiek wypowiedział, panie Campbell. O wiele lepsze niż ten pański urok i pomada do włosów.

Roześmiał się - głębokim, świszczącym śmiechem zmieszonym z kaszlem - i klepnął w udo, a cała ta historia - rozmowa, cukierek, wcześniejsza przygoda w starym domu - wydały się Memphisowi tak absurdalne, że nie mógł się powstrzymać i dołączył do staruszka. Obaj aż zgięli się w pół.

- Ech, ech, ech - powiedział Ślepy Bill, klepiąc się w pierś. - Czy nie tak jest na świecie? Szczęście zmienia się w pecha. Pech w szczęście. To jak gra w kości między tym światem a zaświatami, a my jesteśmy kośćmi, którymi rzucają. Niech pan idzie do domu, panie Campbell. Odpocznij. Przeżyj, by walczyć kolejnego dnia. Na żale jest mnóstwo czasu. Niech pan idzie i dobrze się bawi, póki jest pan młody.

- Zrobię tak.

Zmienił zdanie na temat powrotu do domu. Bill miał rację - Memphis był młody i noc też. I dlatego skierował się do Hotsy Totsy.

Bill nasłuchiwał oddalających się kroków Memphisa Campbella. Chciał powiedzieć chłopakowi, jakim był szczęściarzem, że dar go wtedy opuścił. Jaka to była łaska. Jak się powinien cieszyć, że nie dowiedzieli się o tym nieodpowiedni ludzie. Bill pomacał w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy na jedzenie. Znalazł dziesiątaka i pięciocentówkę. Niewiele. Gdyby tylko mógł skończyć z hazardem. Ale to było jego przekleństwo, nie mógł utrzymać się z dala od ryzyka i gier losowych, czy to były karty, zakłady liczbowe, kości, walki kogutów czy wyścigi konne. Ale wciąż widział w snach ten dom z chmurami i rozstajnymi drogami. Nie znał jeszcze liczby żadnego z nich, ale uda mu się to. Z boku skrzynki na listy wypisano liczbę. Był pewien, że gdyby tylko ją zobaczył, ta liczba byłaby jego kluczem do wielkiego zwycięstwa. A kiedy zdobędzie pieniądze, będzie mógł pomyśleć o zemście.

DOM NA WZGÓRZU

Dom stał na smaganym wiatrem wzgórzu, jak strażnik. Porastał go bluszcz, rozprzestrzeniający się jak plama. Zamknięte okiennice zabito deskami. Rzeźbione drzwi z wiśniowego drewna miały odcień matowego brązu. Gdyby ktokolwiek mógł zajrzeć do środka, zauważyłby, że w futrynach wiszą pajęczyny, a pająki zabierają swoje owinięte siecią ofiary do szpar. Wypaczone deski podłogi ugiwały się niebezpiecznie.

W swoich czasach dom był wspaniały. Odbywały się w nim uroczystości i tańce. W niedziele przejeżdżały obok powozy, a znajdujący się wewnątrz podziwiali majestatyczną obecność domu, symbolu wszystkiego co właściwe, dobre i pełne nadziei w tym kraju. Dom był spełnionym marzeniem. Ten, kto go wybudował, Jacob Knowles, dorobił się fortuny na stali, tej samej stali, z której wybudowano miasto. Tylko jedno z jego dzieci przeżyło, córeczka imieniem Ida, która była największą radością życia jego i żony. Ida była drobna i podatna na przeziębienia, a zatroskani rodzice spełniali każdy jej kaprys. Lekcje fortepianu, przejażdżki na kucyku, spaniel imieniem Chester. Kiedy Ida urządzała herbatkę na trawniku, służący czekali w pobliżu, by nalewać herbatę jej lalkom. Wiele razy udawała, że jest arabską księżniczką patrzącą z góry na swoje królestwo. Wspinała się po schodach na samą górę, aż na poddasze, do pokoju z niewielkim balkonem. W roku 1863 oglądała z tego miejsca pożary rozruchów przeciw paborowi i marzyła, że patrzy na odległe leża smoków, a nie gotującą się frustrację klasowej i rasowej wojny, która zmieniła się w otwartą przemoc. W czasie wojny secesyjnej Ida wyrosła i stała się młodą kobietą. Marzyła o poślubieniu przystojnego oficera, by razem mogli zostać kolejnym panem i panią wspaniałego domu. Kilka miesięcy po zakończeniu wojny secesyjnej, żołnierze Unii wraz z samym generałem

Grantem wzięli udział w przyjęciu, które odbywało się w domu i rozlało aż na trawnik. Były fajerwerki i nuty walca unoszące się aż do krokwi. Ale Ida się przeziębila i leżała w łóżku z plastrem gorczycowym na piersi. Oplakiwała swoje nieszczęście, a matka głaskała ją po policzku i mówiła, że ma się nie przejmować, że będzie kolejny bal i czekający na nią młodzieniec, a poza tym nie byli gotowi, by ich jedyna córka, ich kochana Ida, już ich opuściła.

Ale to matka Idy odeszła jako pierwsza. Rok po balu pani Knowles zachorowała na dyzenterię i zmarła w ciągu tygodnia. Rok później Jacob Knowles dostał wylewu krwi do mózgu. Ida, licząca wówczas dwadzieścia jeden lat, została panią Knowles' End. Prowadzenie gospodarstwa było o wiele trudniejsze od udawania księżniczki, a choć odległy krewniak napominał Idę, by żyła oszczędnie, ona nie posłuchała jego rad. Zasmucona śmiercią rodziców, szukała pocieszenia w nowym spirytyzmie. Otworzyła Knowles' End dla teozofów, wróżących z kart i mediów. Najbardziej utalentowanym z owych mediów była zamożna wdowa Mary White, która miała niezwykłą zdolność umożliwiania Idzie komunikacji z krewnymi po drugiej stronie.

Nie było żadnego stukania w stół ani tanich sztuczek z lewitacją, czego próbowali inni. Nie, Mary White miała prawdziwy dar i była pełna ciepła; wkrótce zbliżyły się do siebie tak bardzo, że Ida nazywała ją „siostrą”. Dom znowu wypełniała aktywność i Knowles' End stało się miejscem spotkań spirytystów, wróżb z kart, seansów i wszelkiego rodzaju ezoterycznych i okultystycznych spotkań. Ida czuła się pewna, że powrót Knowles' End do dawnej chwały jest jedynie kwestią czasu. Mary dawała jej do zrozumienia, że duchy również tak utrzymują.

Mary miała towarzysza w swoich przedsięwzięciach, niezwykle charyzmatycznego mężczyznę o przeszywającym

spojrzeniu, niejakiego pana Hobbesa. Był, jak utrzymywała, prorokiem. Świętym człowiekiem. Z pewnością, spędzał wiele godzin w samotności na lekturze w bibliotece, a czasami podczas seansów zapadał w dziwny trans i wypowiadał słowa, których Ida nie pojmowała - jak utrzymywała Mary, był to dowód jego związków z krainą duchów.

Jednakże Ida miała wiele wydatków - media swoje kosztowały - i fortuna Knowlesów szybko wyparowała. Byłaby upokorzona, gdyby jej długi stały się powszechnie znane. Mary zaproponowała więc, że odkupi Knowles' End i przyjmie Idę jako lokatorkę, by zachować jej reputację. Pozwoliła przy tym poprzedniej właścicielce zachować ulubiony pokój, ten na poddaszu z widokiem na miasto i kazała jej się nie martwić. Stwierdziła, że opłaci zaległe podatki, a pan Hobbes weźmie na siebie ciężką pracę, konieczną, by uczynić Knowles' End, który popadał w ruinę, znów pięknym.

I tak też zrobił. Cóż za hałas! Ekipa pracowała przez tydzień, była zwalniana, zastępowała ją kolejna ekipa, która wytrzymywała pięć albo sześć dni, zanim pan Hobbes kazał im się zbierać.

W końcu sam zabrał się do roboty w starej piwnicy, gdzie budował skład na puszki i inne zapasy - a w każdym razie tak twierdził, gdyż Idzie nie wolno było schodzić na dół.

- Zbyt niebezpiecznie - powiedział jej z uśmiechem, który nie obejmował jego oczu. (Jego oczy były zimne i hipnotyzujące). - Nie chcielibyśmy, żeby coś ci się stało.

W domu zachodziły również inne osobliwe zmiany. Drzwi, które prowadziły donikąd. Dekoracyjne rozety otaczające otwory w ścianach, z których wydobywał się dym. Pan Hobbes utrzymywał, że jest dobry dla płuc i niezbędny do duchowego oczyszczenia. Długi szyb na brudy, który zdaniem pani White miał ułatwić pracę praczki. Pozostało im tylko

troje służących - praczka, pokojówka i stajenny, który pełnił też obowiązki woźnicy. To było skandaliczne i Ida miała nadzieję, że nikt nie wie, jak ciężka jest jej sytuacja. Wtedy Mary uśmiechała się i mówiła, że odwiedziła ją widmowa postać ojca Idy. Trzymał rozmaryn, symbol pamięci, co z pewnością oznaczało, że ich strzeże, zaś młodsza kobieta była wdzięczna za to niewielkie pocieszenie. By uspokoić jej zdenerwowanie, Mary dawała jej słodkie wino, po którym Ida miała czasem dziwne sny pełne ognia, zniszczenia i widmowych twarzy ponurych mężczyzn i kobiet.

Sytuacja zaczęła się pogarszać. Nocami odbywały się dziwne spotkania. Raz albo dwa razy w miesiącu Ida słyszała dochodzącą z dołu muzykę i śpiewy. Ludzie przychodzili i wychodzili.

- Co robicie na tych spotkaniach? - spytała Ida z niepokojem pewnego wieczoru podczas kolacji. Niewiele jadła, rostbef był zbyt krwisty jak na jej gust.

- Może kiedyś do nas dołączysz, kochanie? - zaproponowała pani White.

- Upadł, upadł wielki Babilon. Nadszedł czas oczyszczenia. Odrodzenia. Czyż nie, panno Knowles? - spytał z uśmiechem pan Hobbes.

Jego oczy były tak niebieskie, że Ida poczuła się oszołomiona. Przez chwilę, patrząc na niego, zastanawiała się, jak to by było, zatańczyć z panem Hobbesem. Poczucie jego pocałunek. Pieszczotę. W chwili, kiedy o tym pomyślała, wypełniło ją obrzydzenie.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, co ma pan na myśli - powiedziała. Jej dłonie drżały. Krew z rostbefu utworzyła niewielką, paskudną kałużę na jej talerzu. - Ja... nie czuję się najlepiej. Wybaczcie mi, ale udam się do łóżka.

Tamtego wieczoru słyszała dziwne odgłosy dobiegające z wnętrza domu, przerażające hałasy i szepty. Była zbyt

przerazona, by wyjść z pokoju. Aż do rana drżała skulona pod kołdrą.

W kredensie w salonie pan Hobbes trzymał dużą, oprawioną w skórę księgę, która przypominała Biblię. Ale kiedy Ida próbowała ją wyjąć, odkryła, że kredens jest zamknięty. Jej własny kredens w jej własnym domu, zamknięty przed nią! Trzęsąc się ze złości, stanęła przed panią White (gdyż już nie odnosiła się do niej z siostrzaną sympatią i nie mówiła „Mary”).

- Nie pozwolę na to, pani White. Nie pozwolę - powiedziała krótko Ida.

- To już nie jest twój dom, moja droga - odpowiedziała pani White z okrutnym uśmiechem.

Był wtorek, kiedy Ida odkryła stertę zakrwawionych kawałków materiału. Pan Hobbes zapewnił ją ze stosowną delikatnością, że należały do praczki i były efektem jej comiesięcznej dziewczęcej przypadłości. („Biedactwo, jakie to dla niej zawstydzające. Oczywiście, że daliśmy jej czyste ubranie i posłaliśmy do domu, żeby odpoczęła. Biedactwo. Obawiam się, że jest zbyt zażenowana, żeby do nas wrócić”). Ida napisała list do kuzyna w Bostonie, który poinformował władze, ale kiedy przybyli, Ida była otępiała. Pani White stwierdziła, że kobieta czuje się źle, ale ma zapewnioną troskę, i pani White ma nadzieję, że wysiłek zejścia po schodach, by wysłuchać ich pytań, nie zagrazi jej zdrowiu. Przedstawiciele władz wycofali się, mamrocząc przeprosiny.

Ostatnia służąca, Emily, uciekła w środku nocy bez pożegnania. Nie odebrała nawet wypłaty.

Ida miała dość. Przestała pić wino. Jej ciało, choć osłabione, było dość silne, by mogła zejść po schodach, gdyż pragnęła dowiedzieć się, co się dzieje w jej własnym domu. Tak, jej domu! Wybudował go jej ojciec, dla rodziny! Była córką Knowlesów, nie jednym z tych nuworyszy z ich

świeżymi majątkami i zadzieraniem nosa, jak ta szarlatanka pani White, która wyjechała, by poprowadzić seans w wiejskim domku jakiegoś biedaka, który miał więcej pieniędzy niż rozumu. I pan Hobbes. Pan Hobbes, z jego zimnymi oczami, aurą arogancji, kłamstwami i tajemnicami. Zły człowiek! Ida musiała wiedzieć, co się dzieje w jej domu, i miała zamiar zacząć od zakazanej piwnicy.

Ruszyła długimi, wąskimi schodami prowadzącymi do ciemnej, zatechłej przestrzeni. Czowała zapach ziemi i czegoś jeszcze. Aż zakrztusiła się smrodem. Musiała szybko się rozejrzeć i znaleźć coś, co mogłaby zgłosić władzom, by wyrzucili tych paskudnych ludzi z jej domu. Wtedy znajdzie lepszego najemcę, a może - czy odważyła się o tym myśleć? - męża. Szlachetnego rycerza, który będzie dzielił jej życie. Razem znów uczynią dom wspaniałym. Będą urządzać przyjęcia, na które zostaną zaproszeni porządni ludzie, osoby znaczące i o odpowiednim statusie. Knowles' End znów będzie królować.

Dłoń Idy zadrżała na latarni. Niepewny blask padał na ściany i zakamarki. Ida przyszła po wiedzę i już wiedziała. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że musiała stawić czoło straszliwemu złu. Nie krzyknęła, kiedy świeca zamigotała i rozległy się szepty. A w chwili, gdy Ida odnalazła krzyk, jej świeca zgasła i zapadła ciemność.

HOTSY TOTSY

To był koszmarne nudny dzień. Deszcz zatrzymał Evie w muzeum, gdzie zabawiała się, ustawiając książki na jednej półce zgodnie z tylko jej znaną taksonomią. Kiedy już myślała, że zwariuje, słuchając deszczu i walcząc z nudą, pocieszyła ją myśl, że - jeśli tylko przeżyje popołudnie - czeka ją ekscytujący wieczór z przyjaciółmi. Teraz w końcu nadszedł wieczór. Evie wykąpała się, skropiła perfumami i przeszukała całą szafę, aż wybrała srebrną sukienkę zdobioną cekinami, która migotała na jej ciele jak deszcz. Szyję otoczyła długim sznurkiem pereł owiniętym dwa razy. Na stopach miała szare satynowe pantofle z paskiem z wykrzywionymi obcasami i kryształowymi klamerkami w kształcie talerzyka. Pomalowała wargi czerwoną pomadką, oczy otoczyła czarną kreską, a wszystko zwieńczyła czarnym aksamitnym płaszczem z futrzanym kołnierzem. Do torebki wsunęła dwadzieścia dolarów z topniejącej rezerwy i niedbałym krokiem weszła do salonu. Jericho siedział przy kuchennym stole, malując figurki do bitewnej dioramy. Wuj Will zajął miejsce przy zabałaganionym biurku pod oknem, otoczony stertami papierzysk i książek.

Słyszając Evie, uniósł na chwilę głowę, przyjrzał się jej uważnie i wrócił do pracy.

- Nieźle się odstawiłaś.

Evie zaczęła naciągać długie do łokcia, jedwabne rękawiczki bez palców.

- Idę potańczyć z Thetą i Henrym w uroczym klubie.

- Obawiam się, że nie dzisiaj - stwierdził Will. Evie znieruchomiała.

- Ale wujaszku, Theta na mnie czeka. Jeśli nie pójdę, to będzie dla niej ab - so - lut - na obelga. Nigdy już się ze mną na nic nie umówi!

- Jeśli jeszcze nie słyszałaś najnowszych wiadomości, po ulicach Manhattanu krąży brutalny morderca.

- Ale wuj...

- Przykro mi, Evie. Po prostu nie jest bezpiecznie. Będzie inna okazja. Athena z pewnością zrozumie.

- Theta. I nie, nie zrozumie. - Evie czuła, że ma łzy w oczach. Mnóstwo czasu spędziła na ich umalowanie i teraz mocno mrugała, żeby nie rozmazać makijażu. - Proszę, wujaszku.

- Przepraszam, ale moja decyzja jest ostateczna.

W radio spiker zachwalał zalety produktów dentystycznych Parkera.

- Ponieważ zdrowie twoich zębów jest zbyt ważne, by pozostawić je przypadkowi.

Jericho odchrząknął.

- Moglibyśmy zagrać w karty. Albo posłuchać radia. O dziewiątej będzie nowy program.

- Cudownie - powiedziała Evie i z wściekłością ruszyła do swojego pokoju.

Trzasnęła drzwiami i rzuciła się na łóżko. Nowa opaska ze sztucznymi perłami opadła jej na czoło i Evie musiała ją zsunąć. Dlaczego właśnie tego wieczoru Will postanowił zachowywać się zupełnie jak, no, jak rodzic? Nie mogli żyć w strachu za murami Benningtona, nigdy nie ruszając dalej niż do muzeum. Evie leżała na plecach i wyglądała przez okno na świat za schodami przeciwpożarowymi.

Schody przeciwpożarowe.

Evie wyprostowała się. Otarła oczy palcami i znów nałożyła rękawiczki. Uchyliła drzwi.

- Idę się położyć - zakomunikowała.

Bardzo ostrożnie otworzyła okno i wyszła na schody przeciwpożarowe. Jak się nauczyła w swoim krótkim życiu,

łatwiej było uzyskać wybaczenie niż pozwolenie. Ona nie miała zamiaru prosić ani o jedno, ani o drugie.

Kilka pięter niżej Mabel wrzasnęła, kiedy Evie weszła przez okno do jej pokoju.

- Cicho, to tylko ja.

- Myślałam, że to może Pentaklowy Zabójca, który przyszedł poderżnąć mi gardło.

- Ty i wujaszek. Przykro mi, że cię rozczarowałam. Evie poprawiła sukienkę.

- Mabel, kochanie, coś się stało?! - zawołała pani Rose zza drzwi.

- Nic takiego, mammo! Wydawało mi się, że widziałam pajaka, ale się pomyliłam! - odkrzyknęła Mabel. - Myślałam, że spotkamy się na górze - wyszeptała do Evie.

- Zmiana planów. Wujaszek nie pozwolił mi wyjść. Przysięgam, zachowuje się jak rodzic! - Evie przyjrzała się prostej sukience Mabel z białej organzy. - Gdzie zgubiłaś owieczki?

- Co ci się nie podoba?

- Potrzebujesz pomadki.

- Nie potrzebuję pomadki.

Evie wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz, Mabiesie. Nie mogę dziś walczyć w dwóch bitwach.

Dziewczęta podeszły na paluszkach do drzwi. Państwo Rose prowadzili kolejne ze spotkań politycznych - coś na temat apelacji w sprawie anarchistów Sacco i Vanzettiego. Pani Rose zawołała do nich:

- Witaj, Evangeline!

- Dobry wieczór, pani Rose.

- To bardzo miło ze strony twojego wuja, że zabiera was na wieczorek poetycki. Ważne, żebyście troszczyły się o

swoją edukację, zamiast marnować czas na burżuazyjne, niemoralne rozrywki, takie jak tańce w nocnych klubach.

Evie posłała spojrzenie Mabel. Z trudem powstrzymywała się przed uśmiechem.

- Musimy iść, mamó. Nie chciałybyśmy spóźnić się na wieczorek,

- Widzę, że nie tylko ja dziś kombinuję - powiedziała Evie, gdy pobiegły w stronę windy.

Mabel wyszczerzyła się.

- No nie.

- A później powiedziałam mu „Cała przyjemność po twojej stronie”. Tak od niechcenia, jak teraz. Miałam ostatnie słowo. - Evie relacjonowała pierwszą wizytę Sama Lloyda w muzeum.

- Pewnie, że tak. - Theta roześmiała się. - Nie pozwól, żeby ten Sam zalał ci za skórę.

- Czy mówiłam, że zalał mi za skórę?

- Nie. Widzę, że całkiem już go odpuściłaś, Evie - powiedziała Theta, a Henry się uśmiechnął.

Całą czwórką pojechali taksówką do Harlemu. Theta była na tyle miła, że zapłaciła, i ruszyli do nocnego klubu o nazwie Hotsy Totsy, który był ponoć najmodniejszy.

- To już koniec. Po wszystkim. Niech spada - powiedziała Evie, machając ręką dla podkreślenia swoich słów.

- To dobrze, bo jesteśmy na miejscu i jestem pewien, że hasło nie brzmi „Sam” ani „Lloyd”.

Henry wystukał szybki rytm - bum - da - BUM - bum - i chwilę później drzwi się uchyliły. W szparze pojawił się uśmiechnięty mężczyzna w białym smokingu i muszce.

- Dobry wieczór. To mieszkanie prywatne.

- Jesteśmy kumplami sułtana Syjamu - stwierdził Henry.

- Jaki jest ulubiony kwiat sułtana?

- Szarotki są ładne.

Chwilę później drzwi otworzyły się na całą szerokość.

- Tędy proszę.

Mężczyzna w smokingu poprowadził ich przez pełną parę kuchnię, a następnie w dół spiralnymi schodami do podziemnego tunelu.

- Łączy się z sąsiednim budynkiem - szepnął Henry do Evie i Mabel. - Dzięki temu, gdyby był nalot na klub, wóda byłaby bezpieczna gdzieś w tym budynku.

Mężczyzna w smokingu otworzył kolejne drzwi i wprowadził ich do sali udekorowanej jak pałac sułtana. Olbrzymie paprocie wyrastały z wielkich złocistych donic. Sufit zdobiły płachty kremowego jedwabiu, a ściany pomalowano na szkarłatny odcień. Na scenie orkiestra grała jazzowy kawałek, dziewczyny kołysały się na parkiecie, a mężczyźni krzyczeli „Dalej, dalej!”. Dobrze sytuowani klienci, trzymając w dłoniach szklaneczki z koktajlami; spacerowali od stolika do stolika, machając na sprzedawczynie papierosów, które krążyły z paczkami lucky strike'ów, cameli, chesterfieldów i old goldów na emaliowanych tacach. Wielki znak obiecywał specjalną imprezę z okazji Komety Salomona i Evie próbowała nie myśleć o bardziej złowrogim znaczeniu komety dla szaleńca.

- To ostatni krzyk mody - powiedziała Evie, napawając się atmosferą. Na to właśnie czekała. Kluby takie jak ten nie istniały poza Manhattanem. - A orkiestra jest tip - top.

Henry pokiwał głową.

- Są najlepsi. Słyszałem kiedyś, jak grali w Cotton Clubie. Ale nie lubię tam chodzić, bo mają segregację rasową. - Widząc dezorientację dziewczyny, Henry wyjaśnił. - W Cotton Clubie orkiestra mogła grać dla białasów. Ale nie mogli siedzieć przy stolikach z przodu, zamawiać drinków

albo rozmawiać z gośćmi. Ten lokal prowadzi Papa Charles. On obsłuży każdego.

Przy stoliku w rogu biała kobieta rozmawiała z czarnym mężczyzną. W Ohio coś takiego nie byłoby możliwe i Evie zastanawiała się, co powiedzieliby na to jej rodzice. Pewnie nic pochlebnego.

Theta trąciła Henry'ego.

- Tam siedzi Jimmy D'Angelo. Przekonaj go, żeby pozwolił ci się przysiąc.

Henry przeprosił je i ruszył w stronę stolika w pobliżu sceny, gdzie siedział mężczyzna w cylindrze, palący cygaro, a na ramieniu jego smokinga usadowiła się jaskrawozielona papuga.

- Henry ma wielki talent, ale Flo... pan Ziegfeld... tego nie widzi - wyjaśniła Theta. - Sprzedał kilka piosenek Tin Pan Alley, co wystarczyło, żeby nie był zupełnie goły. To przyjemne kawałki, ale nikt nie rozumie jego dobrych piosenek. Biedny dzieciak.

- Chciałabym je usłyszeć - powiedziała Mabel.

- Mam nadzieję, że ci się to uda. Dzieciak potrzebuje trochę szczęścia, nic więcej. - Theta poprawiła etolę. - Czas na spektakl, laleczki. Zachowujcie się tak, jakbyście były za dobre dla tej dziury. Za mną.

Theta spacerowała powolnym krokiem między stolikami, nie zniżając się do obdarzenia kogokolwiek spojrzeniem. Goście odwracali głowy w ich stronę, gdy Theta, Evie i Mabel szły za kelnerem między zatłoczonymi stolikami. Były atrakcyjnymi młodymi kobietami w najlepszych strojach i przyciągały pełne uznania spojrzenia. Niektórzy rozpoznawali Thetę z Follies.

- Bycie sławną musi być kławe - stwierdziła Evie. Theta wzruszyła ramionami.

- Myślą, że mnie znają, ale wcale tak nie jest.

Kelner posadził ich przy stoliku w rogu i podał im karty wydrukowane na grubym kremowym papierze. Mabel szeroko otworzyła oczy.

- Nie mogę uwierzyć w te ceny!

- Uwierz - stwierdziła Theta. - Upewnij się, że będzie ci smakować to, co zamówisz, bo będziesz nad tym siedzieć przez cały wieczór.

- Moja matka dostałaby ataku na widok tego zbytku - stwierdziła Mabel z niejakim poczuciem winny.

- Twojej matki tu nie ma.

- I dzięki niebiosom - mruknęła Evie.

Przy stoliku pojawił się kelner z butelką szampana i srebrnym wiaderkiem lodu.

- Przykro mi, stary. Nie zamawiałyśmy bąbelków.

- Dla pań. Od pełnego zachwytu dżentelmena - wyjaśnił kelner.

- Którego dżentelmena? - spytała Evie, wyciągając szyję.

- Pana Samsona przy stoliku numer piętnaście - odparł kelner z delikatnym skinieniem głową.

- Ojej - westchnęła Theta.

- Co jest? - Evie nie widziała zbyt dobrze w ciemnościach.

- Widzicie tego gościa po drugiej stronie? Bądźcie dyskretne.

Dziewczęta spojrzały nad swoimi kartami. Cztery stoliki dalej siedział przysadzisty mężczyzna z długimi wąsami, emanujący aurą sukcesu na Wall Street.

- Ten, który wygląda jak mors? - spytała Evie.

- Ten sam. To jeden z tych bałwanów, którzy chcą się czuć młodzi i ekscytujący. Pewnie w Bedford ma żonę i trójkę bachorów i myśli, że się z nami zabawi. O, patrzy na nas. Uśmiech, dziewczęta.

Evie pokazała zęby, a starszy mężczyzna uniósł kieliszek. Dziewczęta uniosły swoje w odpowiedzi. Mężczyzna posłał im całusa i gestem zaprosił do siebie.

- I co teraz? - spytała Evie, wciąż się uśmiechając.

- A teraz czas na prawdziwy spektakl. - Theta wypła jednym tchem kieliszek szampana i beknęła głośno, przyciągając zdeglustowane spojrzenia ludzi dookoła. - Nie ma to jak szklaneczka gorzały na rozluźnienie wnętrza! - powiedziała głośno i poklepała się po brzuchu.

Po drugiej stronie mężczyzna przez chwilę trzymał kieliszek nieruchomo, po czym szybko odwrócił wzrok.

- Jest wstrząśnięty! - powiedziała Evie, chichocząc.

- Teraz może wrócić do żony w Bedford, a my możemy cieszyć się jego soczkiem ze wściekłych winogron.

- Jak się tego nauczyłaś?

- W szkole mocnych kopniaków - odparła Theta.

Ona i Evie uniosły kieliszki w toaście i zaczęły sączyć szampana.

Mabel wezwała kelnera.

- Mogę prosić koktajl z dżinem, ale bez dżinu?

- A jaki w tym sens, panienko? - spytał kelner.

- Jutro rano.

- Skoro panienka tak mówi.

- Jak sobie radzi Henry? - spytała Theta, wyciągając szyję. Kilka stolików dalej Henry siedział swobodnie na krześle z wytwornie znudzoną miną, słuchając mężczyzny z papugą.

- On tak naprawdę wcale nie jest twoim bratem, prawda? - spytała Evie.

Theta uśmiechnęła się krzywo.

- No to ci się udało. Ludzie zaczną gadać.

Powiedziała to z tak pokerową twarzą, że Evie dopiero po chwili zorientowała się, że to żart.

- Jak się poznaliście?

- Na ulicy. Umierałam z głodu, a on dał mi połowę swojej kanapki. To świetny kumpel.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, czy mogę spytać, dlaczego wasza dwójka nie...

Theta zmrużyła oczy i wypuściła z ust wąską smugę dymu. Evie miała wrażenie, że rozważa odpowiedź.

- Po prostu między nami nie zaiskrzyło. Nie jest moim prawdziwym bratem, ale tak się z nim czuję. Zrobiłabym dla niego wszystko.

Henry ruszył w ich stronę i Theta przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce.

- Co przegapiłem? - spytał. - Powiedzcie mi, skąd się wziął szampan?

- Samotny mors - wyjaśniła Evie i zachichotała.

Już się czuła lekko upojona, bardziej podnieceniem i optymizmem niż szampanem. Lubiła Thetę i Henry'ego. Byli tacy wyrafinowani, nie przypominali ludzi, których знаła w Ohio. Miała nadzieję, że oni też ją lubią.

- Przyszedłeś na czas. Miałyśmy wznieść toast - powiedziała Theta.

Henry uniósł kieliszek. - Za co?

- Za nas. Za przyszłość - powiedział Theta.

- Za przyszłość - powtórzyła pozostała trójka.

Orkiestra zaczęła grać gorący, namiętny kawałek i Evie oparła głowę na ramieniu Thety.

- Nie czujesz, że dziś wieczorem może się zdarzyć wszystko? - To Manhattan. Wszystko się może zdarzyć w każdej chwili.

- Ale gdybyś dziś w nocy spotkała mężczyznę swoich marzeń?

Theta znów wypuściła dym.

- Nie interesuje mnie to. Miłość jest ciężka, dzieciaku. Niech te inne dziewczyny chodzą zadurzone i z maślanymi oczami. Ja? Ja mam plany.

- Jakie plany? - spytała Mabel.

Kelner przyniósł tost z pasztetem, który zjadła ze smakiem.

- Filmy. To przyszłość. Słyszałam, że mają zacząć robić filmy dźwiękowe.

Evie roześmiała się.

- Filmy dźwiękowe? Jakie to okropne.

- Będzie pierwsza klasa. Kiedy mój kontrakt wygaśnie, jadę z Henrym do Kalifornii. Prawda, Henry?

- Cokolwiek mówisz, piękna.

- Słyszałam, że mają tam drzewka cytrynowe, można zbierać z nich owoce i robić świeżą lemoniadę. Będziemy mieli dom z drzewkiem cytrynowym na podwórku. Może nawet psa. Zawsze chciałam mieć psa.

Evie chciała się roześmiać, ale Theta wydawała się tak poważna, a nawet trochę smutna, że zamiast tego jeszcze się napiła.

- Brzmi pięknie. - Stuknęła się kieliszkami z Thetą. - Za drzewka cytrynowe i psy!

- Drzewka cytrynowe i psy! - powiedzieli ze śmiechem Theta i Henry.

- Drzewka cytrynowe i psy - wymamrotała Mabel z pełnymi ustami.

Evie pochyliła się i oparła brodę na dłoni. - Aty, Henry?

- Ja? Będę pisał piosenki do filmów. Prawdziwe piosenki. Nie te ckliwe śmieci, które tak lubi Flo Ziegfeld - stwierdził Henry.

- Za prawdziwe piosenki! - wzniosła toast Evie. - Mablesie?

- Będę pomagać ubogim. Ale najpierw zjem to co do okruszka. Pychota. - Westchnęła.

Theta przechyliła głowę.

- A ty, Evil?

Evie bawiła się kieliszkiem. Co mogła powiedzieć? „Przestaną mieć koszmary o nieżyjącym bracie. Sprawię, że przeszłość przestanie mnie dręczyć jak żądny zemsty upiór. Odnajdę swoje miejsce na świecie i pokażę wszystkim, kim jestem”. Od chwili, kiedy wyszła z pociągu na Penn Station, miała poczucie, że tu przynależy, a Manhattan jest jej prawdziwym domem.

- To pewnie brzmi głupio...

Henry roześmiał się na całe gardło, po czym wzruszył ramionami.

- Chciałem to już mieć z głowy, moja droga. Evie wyszczerzyła się. Tak bardzo lubiła ich oboje!

- Od dnia, w którym tu dotarłam, mam takie szalone poczucie przeznaczenia... że cokolwiek ma się wydarzyć, kimkolwiek mam zostać, to czeka tuż za rogiem. Chcę być na to gotowa. Chcę stanąć z tym twarzą w twarz. - Evie uniosła kieliszek. - Za to, co czeka tuż za rogiem.

- Mam nadzieję, że to nie jest samochód z popsutymi hamulcami - zażartowała Mabel.

- Za dobre rzeczy tuż za rogiem - powiedziała Theta.

- Za przeznaczenie Evie. - Henry uniół swój kieliszek i stuknął nim.

Evie zatrzymała się z kieliszkiem uniesionym w powietrze.

- Nie wierzę. Co za bezczelność!

- Co jest? - spytała Theta.

Evie gwałtownie opuściła kieliszek, oblewając obrus szampanem.

- Theta, weź moją torebkę. W środku jest dwadzieścia dolców. Możesz ich potrzebować na kaucję.

- Pytam po raz ostatni, co się dzieje?

- Sam Lloyd - wysyczała Evie.

Podeszła do miejsca, gdzie stał, opierając się o marmurową kolumnę i rozmawiając z blondynką o pomalowanych na czerwono wargach.

- Przepraszam. - Evie wcisnęła się między nich.

- Ej! - sprzeciwiła się dziewczyna, ale Evie nie cofnęła się. - Co ty tu robisz? - spytała ostro.

- Co ja tu robię? Przychodzę tu regularnie. A co ty tu robisz?

- Kim ona jest... twoją mamuszką? - spytała blondynka głosem tak wysokim, że mogłaby tłuc nim szkło.

Evie odwróciła się.

- Jestem z wydziału zdrowia. Słyszałaś o Tyfusowej Mary? Ten gość ma tyle tyfusu, że mógłby założyć własną hodowlę. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- A niech mnie!

- Sama to powiedziałaś. Na wszelki wypadek powinnaś spalić te ciuchy, które masz na sobie. Właściwie powinnaś je spalić dla zasady.

- Hę?

Evie uniosła brew, patrząc na Sama.

- Urocza jest, co nie, Sam?

Znów odwróciła się do blondynki, nachyliła nad nią i wyszeptała:

- Widzisz tego wścicza? - Pokazała na człowieka - morsa.

- Jest tak bogaty, że mógłby wykupić całego Woolworthsa i jeszcze wystarczyłoby mu na kolację. Może namówisz go, żeby postawił ci drinka?

- Serio mówisz?

- I to jak. To prawdziwa gruba ryba. Zaufaj mi.
Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Dzięki za radę, kochanie.

- My, dziewczyny, musimy trzymać się razem. Tamta wydawała się nieco zaniepokojona.

- Nic ci nie będzie z powodu jego... tyfusu? - Wszystko w porządku - odparła Evie, spoglądając na Sama. - Jestem odporna na wszystko, co on ma.

Sam patrzył, jak kusząca blondynka kieruje się kołyszącym się krokiem w stronę człowieka - morsa i potrząsnął głową.

- Ktoś ci kiedyś powiedział, że masz kiepskie wyczucie czasu, siostrzyczko?

- Skąd wzięłeś ten smoking? Wydaje się drogi. Na twarzy Sama pojawił się szeroki uśmiech.

- Z oparcia krzesła.

- Ukradłeś go?

- Raczej pożyczyłem na czas pobytu tutaj.

- Powinam powiedzieć wujowi Willowi.

- Proszę cię bardzo. Oczywiście wtedy będziesz musiała wyjaśnić, co robiłaś w tajnym barze na Harlemie o wpół do dwunastej w nocy.

Evie właśnie zabierała się do złajania Sama, kiedy odziany w smoking mistrz ceremonii podszedł do mikrofonu. Jego biała koszula była tak sztywna, że wydawała się kuloodporna.

- A teraz Hotsy Totsy przedstawia słynne Hotsy Totsy Girls w zakazanym tańcu Black Bottom!

Orkiestra zaczęła grać szybki jazzowy kawałek taneczny. Z głośnymi okrzykami śliczne, młodziutkie tancerki przeszły przez scenę. Kołysały biodrami i wystukiwały szybki rytm srebrnymi bucikami. Cekiny na ich skandaliczne skąpych kostiumach kołysały się w rytm każdego kroku. Evie wiedziała, że jej matka uznałaby takie przedstawienie za

przerazające - przykład moralnego rozkładu młodego pokolenia. Był erotyczny, niebezpieczny i ekscytujący. I Evie chciała więcej.

Pianista zawołał do dziewcząt, a one ruszyły naprzód, kołysząc biodrami. Pomachały palcami i wszyscy ruszyli na parkiet pod sceną, upojeni tańcem i nocą.

Theta siedziała samotnie przy stole za nieprzeniknioną zasłoną papierosowego dymu i patrzyła. Henry zaczął rozmowę z przystojnym kelnerem imieniem Billy i zastanawiała się, czy dziś wróci do domu. Obserwowała zepsute debutantki ekscytujące się odwiedzinami w śródmieściu, by słuchać jazzu w zakazanych klubach - tylko po to, by ich matki załamywały ręce ze zmartwienia. Patrzyła, jak barmani napełniają kieliszki, ale ich wzrok ciągle kieruje się w stronę drzwi. Spoglądała na samotne dusze robiące maślane oczy do gości, którzy, zupełnie tego nieświadomi, robili maślane oczy do innych lalun. Widziała kłótnię pary, która siedziała teraz w ponurym milczeniu. Obserwowała dziewczęta z papierosami, uśmiechające się przy każdym stoliku i wychwalające zdrowotne zalety lucky strike'ów albo chesterfieldów, zależnie od tego, która marka płaciła im więcej. Przyglądała się tańczącym na scenie dziewczętom i zastanawiała się, w jakim wieku zaczęły. Czy ciągnięto je w trasę od miasta do miasta od czwartego roku życia? Czy leżały bezsennie na podłodze w zapluskwionych motelach, a następnego ranka odwiedzały kolejnych łowców talentów, na wpół martwe z wyczerpania? Czy któraś z nich w środku nocy uciekła z małego miasteczka? Czy zmieniły nazwisko i wygląd, stały się kimś zupełnie nowym, kogo nie dało się odnaleźć? Czy któraś z nich miała moc tak przerażającą, że trzeba ją było zamknąć na klucz?

Przystojny gość z przypinką studenckiego bractwa w klapie stanął przed stolikiem Thety, zasłaniając jej widok.

- Mógłbym się dosiąść?

Theta zgasła papierosa.

- Przykro mi, stary. Właśnie wychodziłam.

Chwyciła etolę i torebkę Evie, po czym ruszyła na poszukiwanie damskiej toalety.

Memphis skończył tego wieczoru pracę dla Papy Charlesa. W drodze przez kuchnię Hotsy Totsy zwinął kilka ciastek dla Isaiaha, po czym ruszył sprawdzić, co się dzieje w klubie. Pijana dziewczyna, której loki oklapły po tańcu, zawołała go:

- Chłopcze, przynieś mi płaszcz, dobrze?! Wrzuciła mu ćwierć dolara w dłoń.

- Czy wyglądam, jakbym dla ciebie pracował? Sama sobie przynieś ten cholerny płaszcz.

Memphis odrzucił monetę, wylądowała u jej stóp. - Ja nigdy...

- I nigdy nie będziesz - mruknął Memphis.

Przy korytarzu znajdował się salon z głębokimi fotelami i perskimi dywanami, gdzie pary szły się pieścić albo palić. Memphis minął taką parę i usadowił się w ulubionym krześle, żeby poczytać.

- Nie miałbyś nic przeciwko?! - zawołał mężczyzna.

- Trochę mam, ale przeżyję - odparował Memphis i uśmiechnął się bardzo szeroko.

Otworzył książkę. Mężczyzna zaklął pod nosem i rzucił epitet, który się nie spodobał Memphisowi. Chłopak nie ruszył się i po chwili parka wyszła. W samotności Memphis zatopił się w przyjemności lektury.

- Zatańczmy - powiedział Sam.

- Z tobą? - prychnęła Evie. - Dla twojej wiadomości, pieniądze zostawiłam dla bezpieczeństwa Thecie.

- Daj spokój, lalczko, będę grzeczny jak harcerzyk. -
Wziął ją za rękę. - Poczuj ten rytm, dzieciaku. Nie działa na
ciebie?

Evie spojrzała w stronę parkietu. Tłum nowoczesnych
dziewczyn, oszołomionych alkoholem i rytmem, szalał. Evie
chciała znaleźć się w samym środku. Znaleźć w blasku
reflektorów.

- Jeden taniec - powiedziała Evie i pociągnęła go w stronę
tłumu.

Sam zaczął tańczyć walca. Jego ciepła dłoń spoczywała na
jej krzyżu.

- Co ty robisz? - spytała, gdy kręcili się powoli w jednym
miejscu.

- Idę pod prąd - odparł Sam.

- Może ja wolę iść z prądem?

- Ty? Nie widzę tego.

- Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje! -
ryknęła Evie nad jego uchem.

Orkiestra i tancerze sprawiali, że trudno było rozmawiać.

- Moglibyśmy nad tym popracować - powiedział Sam i
obrócił nią.

Był dobrym tancerzem. Zwinnym i szybkim, umiał
prowadzić tak, by nie wydawać się dominującym.
Przynajmniej na parkiecie doskonale do siebie pasowali.

- Pachniesz tak dobrze, że chciałbym cię zjeść -
powiedział Sam do ucha Evie, aż zadrżała jej skóra na
policzku.

- Jak zły wilk - mruknęła Evie.

- Powiedz mi, ta cała sprawa z duchami... Twój wuj w to
wierzy, czy tylko zarabia kasę?

- A skąd mam wiedzieć? - odpowiedziała Evie pytaniem
na pytanie. Nie chciała myśleć teraz o Willu. - A dlaczego
pytasz? Ty w to wierzysz?

Sam zmusił się, żeby się uśmiechnąć.

- Człowiek musi w coś wierzyć. Zakręcił Evie w blasku reflektorów.

Mabel poszła do toalety, a kiedy wróciła, natrafiła na pusty stolik. Minutę później została zagoniona do tańca z gościem imieniem Scotty, który trzy razy nadepnął na każdą z jej stóp i który ciągle nie mógł zapamiętać jej imienia. Teraz siedziała przy pustym stole i słuchała jak papla o akcjach, obligacjach i znalezieniu właściwej dziewczyny, którą mógłby pokazać matce. Domyślała się, że właściwą dziewczyną nie jest córka żydowskiego socjalisty i potomkini bogatej rodziny, która została podżegaczką.

- Jesteś świetną słuchaczką, May Belle - powiedział Scotty. Już nieco bełkotał.

- Mabel - poprawiła.

Mrużyła oczy w nastrojowym półmroku klubu i udawała, że ten nudny idiota to Jericho. Na parkiecie Evie tańczyła z Samem - i to po tym, jak przysięgała, że mu przywali.

- Jesteś zupełnie jak...

- Siostra - dokończyła Mabel.

- Dokładnie tak!

- Wspaniale.

Westchnęła. Scotty nadal się nad czymś rozwodził, sprawiając, że Mabel poczuła się jeszcze mniejsza i jeszcze brzydsza. Jej sukienka nie była odpowiednia, wyglądała, jakby szła na przesłuchanie do jasełek. Miała już dość tego, że ludzie jej nie dostrzegają, porównują z czyjąś siostrą albo uważają za słodką, nieszkodliwą dziewczynę, która nikomu nie przeszkadza, ale też nikomu się szczególnie nie podoba. Jak dała się namówić na tę katastrofę? Z Evie było inaczej. Evie urodziła się, żeby odgrywać rolę swobodnej chłopczycy. Mabel nie. W nocnych klubach lub na tańcach czuła się

nieswojo. Choć raz chciała być tą ekscytującą dziewczyną, której ktoś pragnie.

- Prawda, May Belle? - powiedział idiota, kończąc jakiś bolesny wywód, bez wątpienia o wędkowaniu lub samochodach. Nieco za mocno zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Dosyć - powiedziała Mabel, wstając. Rzuciła serwetkę na stół. - Nieprawda. Nie wiem, co właśnie powiedziałaś, ale cokolwiek to było, z pewnością była to czysta bzdura. Nie chcę zatańczyć. Nie chcę słuchać o twoich planach budowy domku letniego. Nie jestem twoją siostrą. A gdybym była twoją siostrą, musiałabym wszystkim tłumaczyć, że zostałeś adoptowany w akcie miłosierdzia. Nie wstawaj, proszę.

- Nie miałem zamiaru - stwierdził Scotty. Mabel podeszła do Evie i poklepała ją po ramieniu.

- Evie, chcę iść do domu.

- O nie, Mabel. Dlaczego? Dopiero zaczynamy!

- Ty dopiero zaczynasz. Ja już skończyłam. Evie odeszła na bok z Mabel.

- Co się dzieje, okrągła buźko?

- Nikt nie chce ze mną tańczyć.

- Poproszę Sama, żeby z tobą zatańczył.

- Nie chcę, żebyś prosiła kogoś, żeby ze mną zatańczył. Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Mogłoby być inaczej, gdyby Jericho tu był.

- Próbowałam namówić go, żeby z nami poszedł, okrągła buźko, naprawdę. Ale on jest ab - so - lut - nie uczulony na dobrą zabawę. Może zamówisz sobie kolejny bezalkoholowy koktajl pomarańczowy?

- Kosztuje pięć dolarów!

- Mablesie, daj spokój. Pożyj trochę. To cię nie zabije. O, grają moją ulubioną piosenkę!

Evie skoczyła na parkiet, zanim Mabel zdążyła ją zatrzymać. To pewnie nie była jej ulubiona piosenka,

potrzebowała jedynie wymówki, żeby uciec przed Mabel. Czasami bywała taka samolubna.

Mabel widziała, jak pijany Scotty idzie w jej stronę, bełkocząc:

- Hej, Maybeline, kochanie.

Uciekła i schowała się za ogromną donicą z paprotką, przez cały czas obmyślając sposób, w jaki zabije Evie po zakończeniu tego wieczoru.

Theta szła korytarzami klubu, ciągnąc za sobą futrzaną etolę. Niektórzy ludzie ją rozpoznawali.

- Hej, czy to nie...? - wołali.

- Przepraszam, musiałeś mnie z kimś pomylić - odpowiadała wtedy Theta.

Za jej plecami jakiś mężczyzna zawołał:

- Betty!

Theta odwróciła się szybko z bijącym sercem. Ale on wołał do rudej dziewczyny, która odkrzyknęła:

- Wstrzymaj konie! Muszę skorzystać z toalety.

Theta miała dość. Nie chciała iść do domu, ale nie chciała też zostać. Nie była pewna, czego chce, poza czymś nowym, co sprawiłoby, że poczułaby się przywiązana do życia. Miała wrażenie, że w każdej chwili może wznieść się w powietrze. Pewnie, miała Henry'ego, cudownego Henry'ego. Był dla niej jak brat. To on uratował jej życie, kiedy przybyła do tego miasta, zdesperowana i zagłodzona. Wiedziała, że zawsze będą razem. Ale ostatnio pragnęła czegoś więcej. Miało kształt przeznaczenia, to uczucie, choć nie umiała go nazwać.

Grupka rozbawionych gości odbijała się od ścian korytarza i Theta wskoczyła do pierwszego pomieszczenia, na które natrafiła. Wydawało się puste, ale gdy ominęła fotel z szerokim oparciem, zobaczyła, że zajmuje go przystojny młodzieniec z tomikiem poezji. Był tak zaczytany, że nawet jej nie zauważył.

- To musi być niezła książka - powiedziała.

Memphis uniósł wzrok i ujrzał uderzająco piękną dziewczynę o kruczoczarnych włosach, która paliła papierosa i wpatrywała się w niego.

- Walt Whitman.

- Aha - powiedziała Theta.

- Sam jestem poetą - powiedział Memphis. Uniósł swój oprawiony w skórę dziennik.

Theta wzięła go i przerzuciła kartki, otwierając je na serii liczb wypisanych z tyłu. Uniosła brew.

- To nie wygląda dla mnie jak poezja. Raczej jak zapiski bukmachera.

Memphis szybko wyrwał jej notes. Posłał dziewczynie szeroki uśmiech, który działał na tancerki i nerwowych gangsterów. - To dla przyjaciela. - Aha.

- Nazywam się Memphis. Memphis Campbell. A ty?

- Jestem zwykłą dziewczyną z klubu. - Theta wypuściła chmurę dymu.

- Nie powinnaś ich palić. Siostra mówi, że to trucizna.

- Twoja siostra to beczka śmiechu. - Memphis roześmiał się.

- To nie moja siostra. Nazywamy ją siostrą. Siostra Walker. A skrzywiona jest bardziej niż pikle. - Na te słowa Theta uśmiechnęła się. Memphisowi wystarczyła taka zachęta. - Jesteś Francuzką? Masz francuską urodę. Może nawet trochę kreolską.

Theta wzruszyła ramionami i strzepnęła popiół z papierosa do wysokiej srebrnej popielniczki.

- Wyglądam jak każdy.

- Będę na ciebie wołał Kreolską Księżniczką.

- Możesz mnie wołać jak chcesz, ale to nie znaczy, że odpowiem.

- I tak będę cię wołał.

- Wytrwały jesteś, Memphisie Campbellu, to ci muszę przyznać. Co tu robisz poza czytaniem książek z biblioteki?

- No wiesz. Trochę tego, trochę tamtego. Theta uniosła wąską brew.

- To brzmi jak kłopoty. Memphis szeroko rozłożył ręce.

- Ja? Od kłopotów trzymam się najdalej, jak się tylko da.

- Aha.

Theta zaczęła krążyć po salonie.

- Dlaczego nie jesteś na górze, w klubie?

- Znudził mi się. - Wzruszyła ramionami.

- Znudził się! A to dobre. Nie wiesz, że Hotsy Totsy to ponoć najlepszy klub w mieście?

Theta znów wzruszyła ramionami.

- Byłam w wielu klubach.

- Serio mówisz?

- Tak. - Zaciągnęła się papierosem. - Poeta, tak? Może mi coś przeczytasz?

- Cokolwiek zechcesz, Kreolska Księżniczko.

Memphis otworzył książkę i zaczął czytać, a Theta znów przeglądała jego notatnik. Miał ładny głos, dobrze pasujący do poezji.

- „Opiewam elektryczność ciała, otaczają mnie armie tych, których kocham, a ja otaczam je wzajem, nie odstąpią, dopóki nie pójdę z nimi, nie dam im odpowiedzi, dopóki ich nie oczyszczę i nie nasycę sytością duszy” (Whitman, Walt, Opiewam elektryczność ciała, tłum. Andrzej Szuba, w: „Opcje. Kwartalnik kulturalny”, nr 4/1995, s. 53.). To pan Walt Whitman. Jeden z naszych najlepszych poetów.

Theta przewróciła kartkę. Wpatrywała się teraz w symbol promienistego oka i błyskawicy, który ktoś nagryzmolił w rogu kartki. Jej serce zabiło szybciej.

- Ty to narysowałeś? - Próbowała zachować spokój w głosie.

- To? A, to jest coś, co widziałem we śnie.

- We... śnie? - powtórzyła Theta. Zrobiło jej się duszno i zakręciło w głowie.

- Co to jest? Co o tym wiesz?

- Nic. Jak mówiłem, to jest coś, co widziałem we śnie.

Rysunek z jakiegoś powodu zdenerwował dziewczynę. Memphis chciał ją zapytać, dlaczego, ale też nie chciał jej przestraszyć.

- Jeśli pozwolisz, oprowadzę cię po klubie.

Sięgnął po zeszyt, ale Theta mocno go ścisnęła. Patrzyła mu w oczy. Nie wydawała się zła, raczej zadziwiona, może nawet trochę przestraszona.

- Widziałam ten symbol w swoich snach - powiedziała. Memphis nie wiedział, co ma o tym myśleć.

- Wiesz, co to znaczy albo skąd pochodzi? Widziałaś go gdzieś wcześniej?

Theta pokręciła głową.

- Tylko w snach.

- Kiedy to się zaczęło?

- Nie wiem. Jakies pół roku temu. A u ciebie?

- Też mniej więcej wtedy.

- Jak często o nim śniesz? - spytała.

- Dwa razy w tygodniu, może częściej. Wcześniej tylko czasami, ale ostatnio coraz częściej.

Theta pokiwała głową.

- Ja też go widzę coraz częściej.

Śniła o tym samym symbolu. Memphis codziennie stykał się z prawdopodobieństwem i wiedział, że tu prawdopodobieństwo było niewiarygodnie małe. To musiało coś znaczyć.

- Opowiedz mi, co dokładnie widzisz w snach. Theta opadła na fotel. Drżała.

- Zawsze jest taki sam. Jestem gdzieś daleko od Nowego Jorku. Nie wiem gdzie. Nie znam tego miejsca. Stoję na drodze, a na niebie kłębią się burzowe chmury...

Memphis czuł, jak serce wali mu w piersiach.

- Czy jest tam gospodarstwo? Stary biały dom z gankiem?

Theta otworzyła szerzej oczy.

- Tak - wyszeptała. - I pola pszenicy albo innego zboża. Jakieś pola. A w pewnej odległości jest to drzewo...

- Bez liści. Tylko wielkie, stare, powyginane drzewo o konarach grubych jak ramiona olbrzyma.

Theta dostała gęziej skórki.

- I coś zbliża się drogą...

- Za ścianą pyłu - dokończył Memphis.

Theta pokiwała głową. Było jej zimno. Co się działo?

- Najgorsze jest to uczucie - powiedziała cicho. - Jakby zbliżało się coś straszliwego. Coś, czego nie chcę zobaczyć.

- I zostaniesz wezwana, by coś z tym czymś zrobić - powiedział Memphis.

- Co to znaczy?

Na górze rozległ się głośny trzask, po którym nastąpiły krzyki i dźwięki policyjnych gwizdków. Sufit zatrzęsł się od szybkich kroków.

Theta wytrzeszczyła oczy.

- A niech to! Nalot.

- Niemożliwe - stwierdził Memphis, przerzucając plecak przez ramię. Wciąż trzymał w ręku książkę. - Papa Charles ma gliniarzy w kieszeni.

- W takim razie ta kieszeń jest dziurawa, poeto. - Grozę dzielonego snu zastąpił prawdziwy strach przed aresztowaniem. - Jak mam się stąd wydostać? Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie przyskrzynili.

- Tędy! - Memphis podał jej dłoń. - Znam to miejsce jak własną kieszeń. Wydostanę cię. Zaufaj mi.

Theta wzięła go za rękę i pobiegli wąskim korytarzem.

Mabel sapnęła, kiedy drzwi do klubu zostały wyważone i do środka wpadły dwa szeregi policjantów. Jeden chwycił ją za nadgarstek. Szarpnęła się, ale trzymał ją mocno.

- Tędy, panienko. Samochód czeka - powiedział policjant z uśmiechem.

- Matka mnie zabije - jęknęła Mabel, kiedy odciągał ją od chaosu wewnątrz.

Theta i Memphis biegli. Za nimi policja szturmowała lokal, rozbijając ściany i przewracając krzesła. Dwie dziewczyny i ich chłopcy zaczęli wrzeszczeć i odbijać się od ściany policji. Wyraźnie pijany mężczyzna z twarzą umazaną szminką wyjął pistolet i zaczął strzelać na ślepo. Jedna z kul przeszła tomik poezji w rękę Memphisa. Chłopak wsunął palec w otwór.

- To była książka z biblioteki - jęknął.

- Poeto, musimy spadać.

Memphis wybiegł z Thetą za róg, gdzie wciągnął ją do budki telefonicznej. Spojrzała przez gęste rzęsy na przystojną twarz chłopaka. Widziała wcześniej wielu przystojnych gości, ale żaden nie pisał poezji ani nie dzielił tego samego dziwnego koszmaru. W głębi duszy Theta czuła coś, przed czym starała się ustrzec od czasu Roya, Kansas i tego, co się tam wydarzyło.

- Wciągnąłeś mnie tutaj, żeby się ukryć czy całować, poeto? - zażartowała Theta, próbując złapać oddech.

- Zaufaj mi - powiedział Memphis.

Trzy razy obrócił korbkę telefonu i mocno pchnął tylną ściankę, która otworzyła się, ukazując tajemne przejście.

Na górze w klubie zapanował chaos, gdy policja szturmowała drzwi. Barmani poruszali się szybko. Przewrócili bar, zrzucając dwa tuziny butelek dobrej gorzały do zsypu, gdzie czekał je przedwczesny koniec, a następnie pociągnęli dźwignię na samym barze, zrzucając jego zawartość do innego zsypu. Resztę dowodów wytarli ścierkami. Klienci wrzeszczeli i wspinali się na stoliki, przewracając się nawzajem w panicznej ucieczce. Niektóre z dziewczyn nie przestawały tańczyć, gdyż dreszczykiem napełniała je myśl o aresztowaniu i trafieniu na łamy gazet.

- Panowie na pewno nie chcą się czegoś napić? - zażartował kierownik klubu, gdy gliniarze prowadzili go do drzwi.

W całym zamieszaniu i hysterii Henry podszedł spokojnie do pianina, usiadł i zaczął grać.

- Niech pan na mnie tak nie patrzy, panie władzo, ja tu tylko gram - powiedział, ale mężczyzna w mundurze i tak go skuł.

W zamieszaniu Sam i Evie się rozdzielili. Evie przemykała się w stronę wyjścia, kiedy pojawiła się nowa grupa policjantów. Cofnęła się, mijając poznaną wcześniej tępą blondynkę, która zwierzała się aresztującemu ją gliniarzowi:

- Ci durnie zawsze są tacy sami. Chcą zaciągnąć dziewczynę na tylne siedzenie samochodu, a później zarazają tyfusem.

Evie zanurkowała pod stół i ukryła się pod białym obrusem. Zdążyła jeszcze wyciągnąć rękę, złapać otwartą butelkę szampana i zabrać ją na dół. Marnowanie dobrego alkoholu wydawało jej się wielką szkodą, a jeśli miała zatonać, to w dobrym stylu. Po kilku minutach wyjrzała i zobaczyła Sama wyslizgującego się przez drzwi. Albo raczej wydawało się jej, że go widzi. Poruszał się tak szybko, że nie

mogła być pewna. Wiedziała jedynie, że znów jest wściekła. Rzuciła się za nim, wołając go po imieniu, ale druga fala policjantów wyszła za róg. Evie znów wbiegła na salę, pochyliła się. Zauważyła windę do przewozu jedzenia ukrytą za barem, rzuciła się w jej stronę i wcisnęła się do środka. Jej długi naszyjnik zaczepił się na haku, a perły rozsypały się po całej podłodze. Policjant kierujący się w jej stronę poślizgnął się na nich. To nie był czas na opłakiwanie biżuterii, więc zatrzasnęła drzwi i wzniosła się do wolności.

- Mówiłem ci, żebyś mi zaufała? - powiedział Memphis.

Razem z Thetą stał w wilgotnej piwniczce pod klubem. Samotna żarówka rzucała słaby blask na podłogę z ubitej ziemi i beczułki przechowywane głęboko pod ziemią.

- Co to za miejsce?

- Tu przechowują gorzałę, kiedy dociera z Kanady - wyjaśnił Memphis. - Chodź. Ostrożnie, stopnie są niepewne.

- Gdzie teraz?

Chłopak zatrzymał się na chwilę, próbując się zorientować. Nie spędzał zbyt wiele czasu na dole i nie znał dokładnie rozkładu pomieszczenia. Wiedział tylko, że gdzieś muszą być drzwi. Na górze schodów zazgrzytała klamka. Rozległy się krzyki.

- Gliny - szepnęła Theta.

- Czekaj, czekaj - odszepnął Memphis. - Zobaczymy, czy sobie pójda.

Przez chwilę panowała cisza, słyszeli tylko swoje oddechy. Nagle rozległ się głośny trzask i Theta jęknęła, kiedy policyjny toporek wybił otwór w wielkich drewnianych drzwiach piwnicy.

- Powiedz mi, że znasz drogę wyjścia! - powiedziała Theta.

- Tędy! - Memphis miał nadzieję, że się nie myli. Prześlizgiwali się między beczułkami trunku. Za ich plecami drzwi się poddały i ktoś strzelił w powietrze z okrzykiem:

- Zatrzymać się!

- Powinniśmy...? - wydyszała Theta.

- W życiu, Księżniczko - odparł Memphis, ciągnąc ją za sobą.

W ogromnej przestrzeni rozległ się dźwięk kroków. Gliniarze dostali się do środka i doganiali ich. Memphis opłacał część z nich w imieniu Papy Charlesa, większość odwróciłyby wzrok i pozwoliła mu odejść. Ale kilku szybko sięgało po pałki, a znalezienie czarnego mężczyzny z białą kobietą w piwnicy pełnej wody nie wróżyło dobrze Memphisowi. Znowu rozległy się wezwania do zatrzymania, tym razem podkreślone strzałami. Gdzie jest wyjście?

Na przeciwległej ścianie Memphis zobaczył schody. Podążył za nimi wzrokiem i ujrzał drzwi. Musiały prowadzić do drabinki przeciwpożarowej.

- Tędy - wydyszał, na wpół ciągnąc Thetę w górę niepewnych schodów.

- Tam są! - ryknął jeden z gliniarzy.

Memphis nacisnął klamkę, ale drzwi się zacięły. Rzucił się na nie, raz, dwa razy, i w końcu otworzyły się na zardzewiałych zawiasach. Wypchnął Thetę na drabinkę. Na dole dwaj gliniarze palili papierosy.

- W górę - szepnął.

Thetę pokiwała głową i zaczęła wspinać się na dach. O barierkę opierało się zbutwiałe krzeselko. Memphis wcisnął je pod klamkę, a kiedy gliniarze walili w drzwi, on sam wspiął się za Thetą. Ostry blask neonu reklamującego papierosy Lucky Strike zalewał dach. Podbiegli do jego krawędzi, przeszli nad niskim murkiem oddzielającym go od kolejnego dachu, później na następny, aż w końcu zeszli kolejną

drabinką ewakuacyjną w boczną uliczkę. Memphis zeskoczył jako pierwszy, po czym pomógł Thecie, czerpiąc przyjemność z tych kilku krótkich chwil, gdy trzymał ją przy piersi. Wybiegli z uliczki i dołączyli do innych nocnych marków na ulicach.

Winda dotarła na szczyt. Evie pchnęła z sapnięciem drzwi pięściami, później nogami, ale utknęły.

- Halo? - wyszeptała. - Halo? Jest tam kto?

Chwilę później drzwi się otworzyły. Pojawiła się w nich męska ręka i Evie przyjęła ją z wdzięcznością, powoli prostując kończyny i wychodząc z ciasnego pomieszczenia. Nadal nie wypuszczała butelki szampana.

- Doskonale! Dziękuję, kochanie!

- Nie ma za co, moja droga - powiedział policjant, zakładając jej kajdanki. - Jesteś aresztowana.

Sam bez trudu prześlizgnął się przez tłum i przeszedł korytarzem do sąsiedniego budynku. Kiedy policjant spoglądał w jego stronę, Sam powtarzał w myślach: „Nie zobacz mnie”, i zanim gliniarz orientował się, że coś jest nie tak, chłopak przechodził dalej, a policjant tylko potrząsał głową i ruszał w pogoń za kimś innym. Miał nadzieję, że Evie udało się uciec. Musiał przyznać, że miała tupet. Lubił dziewczyny z tupetem. Sprawiały kłopoty. A Sam kochał kłopoty jeszcze bardziej od tupetu.

- Zgubiliśmy ich? - wydyszała Theta. Jej nogi się trzęsły, a białe futro płaszczka pokrywały brudne smugi.

- Chyba tak. - Memphis uniósł zniszczoną książkę i westchnął. - Pani Andrews mnie zabije.

- Przynajmniej będziesz miał o czym pisać - powiedziała Theta i roześmiała się.

To był mocny, gardłowy śmiech, zupełnie niepasujący do jej zblazowania. Chłód, który okazywała mu wcześniej, zniknął. Ucieczka w ostatniej chwili sprawiła, że obojgu zakręciło się w głowie i stali na rogu Siódmej Alei, śmiejąc się ze swojego szczęścia jak para dzieciaków w Boże Narodzenie. Theta odchyliła głowę do tyłu i oddychała głęboko. W tej chwili była tak piękna, że Memphis żałował, że nie mogą biec dalej.

- W porządku, poeto? Wyglądasz, jakby ktoś ci zaprawił drinka tabletkami nasennymi - powiedziała.

Memphis uśmiechnął się z trudem i rozłożył szeroko ręce.

- Kto? Ja? Ja się nie przejmuję.

- Chodźmy się rozejrzeć.

Przeszli ostrożnie do następnej przecznicy i na drugą stronę ulicy, skąd dobrze widzieli nalot na klub. Syreny wyły, policyjne wozy stały w długim szeregu. Mężczyźni w mundurach wyciągali klientów z klubu, a okolica się temu przyglądała. Przybyła prasa i błyskały lampy aparatów - czuli w powietrzu woń spalonego proszku magnezowego.

- Papie Charlesowi się to nie spodoba - stwierdził Memphis. - Dużo płaci glinom, żeby nie robili nalotów na jego kluby. Mam nadzieję, że twoi przyjaciele wyszli z tego bez szwanku.

- Ja też - stwierdziła Theta. Nadal trzymała torebkę Evie. - Pewnie powinnam spadać do domu i zorientować się, czy im się udało.

Memphis posmutniał. Nie chciał, żeby ten wieczór się skończył.

- Jeśli masz ochotę, mógłbym cię zabrać na kawę. Mnie w każdym razie dobrze by to zrobiło.

Theta uśmiechnęła się. To był uroczy uśmiech, niemal nieśmiały.

- Dzięki, poeto. Ale potrzebuję snu dla urody.

Memphis chciał powiedzieć coś dowcipnego, na przykład: „Po co? I tak jesteś najładniejszą dziewczyną w mieście”, ale tego nie zrobił. To by wyglądało jak próba podrywania, a on nie chciał podrywać tej dziewczyny. Chciał ją poznać. Niestety, magia ich wspólnej ucieczki nie mogła objąć wszystkiego.

- Może spotkam cię dziś w snach - powiedział. - Na tej drodze. Uśmiech Thety nieco zbladł.

- Pewnie czułabym się mniej przestraszona, gdybyś tam był. Gliniarze zatrzasnęli drzwi jednego z samochodów, który ruszył w drogę. Ulice wypełniały tłumy. Theta wyciągnęła rękę.

- Dzięki za śmiałą ucieczkę, poeto.

Memphis uścisnął dłoń Thety, dziwiąc się jej miękkości.

- Kiedy tylko zechcesz, Kreolska Księżniczko.

Theta ruszyła do metra. Na rogu odwróciła się i zobaczyła, że Memphis nadal ją obserwuje. Nie w taki sposób, jak widownia czy przypadkowi wielbiciele na ulicy. Nie czuła się dziwna czy wyobrażona - wręcz przeciwnie, nigdy wcześniej nie czuła się bardziej prawdziwa.

- Hej, poeto! - zawołała do niego. - Theta!

- Tak? - odkrzyknął.

- Na imię mam Theta...

Tłum zgęstniał między nimi i w tej samej chwili ktoś chwycił go od tyłu za gardło. Memphis obrócił się gwałtownie, gotów do walki. Gabe ze śmiechem uniósł ręce w geście poddania i cofnął się.

- Spokojnie, bracie. To tylko ja. Uwierzysz, że był nalot na klub? Ktoś chce przycisnąć Papę Charlesa. Akurat wyszedłem na dymka na świeżym powietrzu, bo inaczej też byłbym w jednym z tych wozów. Ej, Memphis, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Memphis odwrócił się od Gabe'a i wyciągał szyję, próbując zobaczyć Thetę, ale ona już sobie poszła. Jak ją odnajdzie? Stojący obok Gabe wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu, ale Memphis go nie słuchał. Coś się zmieniło we wszechświecie. Jego przyszłość zwięzła się do jednego punktu, który miał na imię Theta.

Kiedy Memphis znalazł się w mieszkaniu Octavii, ujrzał Isaiaha stojącego u stóp łóżka w błękitnym księżycowym blasku. Chłopiec wpatrywał się w mrok sypialni, a jego głowa trzęsła się lekko.

- Hej, stary. Co robisz? Chłopiec nie odpowiedział.

- Isaiah? Wszystko w porządku?

Isaiah przewrócił oczami, ukazując białka. Jego powieki trzepotały gwałtownie.

- Siódmą ofiarą jest zemsta. Wypędzić heretyków ze Świątyni Salomona. A ich grzechy oczyści krew i ogień.

- Isaiah? - wyszeptał Memphis. Dziwne słowa wychodzące z ust jego brata sprawiły, że zrobiło mu się zimno.

- Namasćcie swe ciała i przygotujcie ściany swoich domów, by go przyjąć. - Drobne ciało chłopca przeszywały gwałtowne dreszcze.

Memphis chwycił go za ramiona. Powinien pobiec po Octavię? Lekarza? Nie wiedział.

- Isaiah, o czym ty mówisz? - wyszeptał z naciskiem.

- Nadchodzą. Nadszedł czas.

- Isaiah, obudź się. Masz koszmar. Obudź się, mówię! Isaiah zwił w rękach brata. Jego powieki opadły i wyglądał, jakby miał znów usnąć. Nagle zeszywniał. Gwałtownie otworzył oczy. Wpatrywał się w Memphisa, a jego drobne ciało drżało. Odezwał się stłumionym szeptem.

- Och, mój synu, mój synu. Co ty zrobiłeś?

Isaiah zakołysał się, ale Memphis złapał go i położył do łóżka, gdzie chłopiec zapadł w sen, jakby nic się nie wydarzyło.

Memphis usiadł z drzeniem na łóżku. Nie mogąc usnąć, przez jakiś czas przyglądał się, jak pierś brata unosi się i opada, aż świt wypełnił pokój słabym mlecznym blaskiem. Skąd Isaiah wiedział? Tych słów nie znał nikt poza Memphisem. To właśnie widział w leczniczym transie w tych ostatnich chwilach nad łóżem śmierci ich matki. Kiedy wszedł do tamtego miejsca, mglistej krainy między jawą a śmiercią, widział jej ducha, pełnego żalu i przestraszonego, wyciągającego do niego ręce w chwili, gdy połknęła ją potężna ciemność. Jej ostatnie słowa były jednocześnie błogosławieństwem i ostrzeżeniem. „Och, mój synu, mój synu. Co ty zrobiłeś?”.

KREW I OGIEŃ

Eugene Meriwether wpuścił się do imponującej białej budowli Wielkiej Łoży Masońskiej na 23. Ulicy, w pobliżu kolejki naziemnej, i wspiął się do niewielkiego gabinetu na drugim piętrze. Przed chwilą zjadł kolację z innymi braćmi, na którą udali się po spotkaniu na temat planowanej imprezy dobroczynnej. Teraz, w miękkim blasku lampki na biurku pracował nad propozycją, którą miał zamiar przedstawić Wielkiemu Mistrzowi do akceptacji.

W ciszy gabinetu otworzył pudełko, które ukrył w kieszeni marynarki, i przeciągnął palcami po spinkach do mankietów spoczywających na ciemnym aksamicie. Jutro będą urodziny Edwarda. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie jak Edward pyta: „Co to?“, otwiera pudełko i podziwia wspaniałe spinki z ozdobną literą E, ich wspólnym inicjałem. Niemal czuł słodki pocałunek Edwarda na swoich wargach. Edward, jego wielka miłość. Edward, jego wielka tajemnica.

Uwagę Eugene'a przyciągnął dźwięk - jowialne pogwizdywanie. Pomyślał z konsternacją o starym panie Saundersie, który lubił sobie wypić i być może zajrzał do środka.

- Saunders, staruszk, czy to ty?! - zawołał.

Pogwizdywanie ucichło. Eugene z zadowoleniem wrócił do pracy. Jednakże kilka chwil później znów je usłyszał - irytująca melodia odbijająca się echem w pustym budynku loży. Bardziej niż irytująca... nieprzyjemna. Na biurku stał aparat telefoniczny i Eugene przez chwilę bił się z myślami, czy nie zadzwonić na policję. Jak głupio by się poczuł, gdyby się okazało, że to jednak stary Saunders? I jak upokarzające byłoby to dla Saundersa, który był bliskim przyjacielem samego Wielkiego Mistrza. W rzeczy samej, Eugene mógłby zrujnować swoją pozycję w bractwie i nigdy nie wyjść poza Młodsze Dozorcę. Nie, nie mógł ryzykować zawstydzenia i

wyszydzenia. Pewnego dnia sam chciał zostać Wielkim Mistrzem. Nie, lepiej zająć się tym samodzielnie. Gdyby ostrożnie i dyskretnie zajął się sprawą z Saundersem, starszek mógłby obdarzyć go sympatią. O takich właśnie okazjach udających przeszkody pisano w inspirujących książkach! Stawi czoło wyzwaniu. Jakże dumny będzie Edward, kiedy mu o tym opowie.

Znów zawołał:

- Saunders?! Słyszysz mnie?!

Nic poza tym przeklętym pogwizdywaniem.

Poprawiwszy krawat, Eugene Meriwether opuścił biurko i wysunął głowę z gabinetu. Na przeciwległym końcu ciemnego korytarza złocisty blask wylewał się zza uchylonych drzwi Sali Gotyckiej. Wolnomularz ruszył w jego stronę, mijając oprawione w ramy portrety zmarłych braci. Kiedy tak szedł ciemnym korytarzem, coś w jego brzuchu podniosło cichy alarm, który wypełnił jego żyły. To było coś, co sięgało czasów prymitywnych przodków i ich potrzeby, by kulić się w jaskiniach przy ognisku, ostrzeżenie, którego żaden stopień ucywilizowania nie mógł zupełnie wymazać. Trochę żałował, że nie zadzwonił na policję, ale ambicja kazała mu iść dalej, w stronę zalanej światłem sali. Chwycił klamkę i otworzył drzwi.

Ogień. Źródłem blasku był ogień płonący na środkowym ołtarzu. Kiedy próbował zrozumieć, co się właściwie dzieje - Ogień? W Sali Gotyckiej? Jak? - drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. Nacisnął klamkę, a jego umysł wypełniały logiczne uzasadnienia. To żart. Chuligani, którym należy się nauczka. Bardzo, ale to bardzo tego pożąłują. I jeszcze trzymają drzwi zamknięte z drugiej strony. Ta dzisiejsza młodzież, żadnego szacunku. Sami chuligani.

Pogwizdywanie ucichło. Głęboki głos odbijał się echem od ścian.

- „Gdyż nie szli drogą prawości i oto wzbudzili wielki gniew Pana”.

Na ścianie pojawił się wielki cień. Na pierwszy rzut oka wydawał się wydłużonym cieniem mężczyzny. Jednakże, kiedy się przybliżył, stało się jasne, że cokolwiek czai się za Eugenem Meriwetherem, jest dalekie od ludzkiej postaci.

- „Zaś na siódmą ofiarę rozkazano: wyrzucicie heretyków ze Świątyni Salomona pod czujnym okiem Boga i oczyścicie ich grzechy krwią i ogniem. Albowiem nie ma odkupienia grzechu poza krwią...”.

Eugene Meriwether uniósł rękę do piersi, czując gorączkowe bicie serca pod malutkim kwadratowym pudełeczkiem przeznaczonym dla Edwarda. Trzymając się myśli o ukochanym, Eugene obrócił się powoli. A gdy ściany zaczęły szeptać, utracił równowagę na urwisku rozumu i rozpoczął straszliwy upadek do niewyobrażalnego piekła.

ROZLICZENIE

Evie i Mabel spędziły całą noc w celi owianego złą sławą śródmiejskiego więzienia Tombs, w towarzystwie pijanych chłopczych, prostytutek i jednej potężnej kobiety, która warczała jak pies, kiedy ktoś się do niej zbliżał. Jako pierwsza przybyła matka Mabel, krocząc korytarzem ze swoją zwyczajową wyniosłością.

- Mam nadzieję, że miałyście czas zastanowić się nad swoim wieczorem, dziewczęta - powiedziała, ale to na Evie spojrzała ze złością i było oczywiste, kto jej zdaniem ponosi za wszystko winę.

- Na razie, Evie - powiedziała Mabel, kiedy matka wyprowadziła ją na zewnątrz. Wyglądała przy tym jak więzień prowadzony na krzesło elektryczne bez ostatniego posiłku.

Nim wuj Will opłacił kaucję za Evie, była siódma. Miasto się budziło, na Manhattanie zaczynał się kolejny ranek, kiedy wyszli na White Street.

- Powinienem zostawić cię tam na dłużej - warknął Will. Szedł tak szybko, że Evie z trudem dotrzymywała mu kroku.

Głowa pulsowała jej bólem.

- Strasznie mi przykro, wujaszku.

- Mieliśmy umowę. Ja daję ci swobodę, a ty nie pakujesz się w tarapaty.

- Wiem i czuję się jak idiotka, że dałam się tak złapać. Will pogroził jej palcem.

- Nie o to chodzi, Evangeline. Świadomie złamałaś moje polecenie, byś została w domu tego wieczoru. Okłamałaś mnie.

- Nie do końca okłamałam...

- Wyślizgnięcie się z domu to kłamstwo.

- Tak, ale... mógłbyś zwolnić, wujaszku? Głowa mi pęka.

Poranne słońce sprawiło, że jej oczy wyglądały jak podbite.

Wuj Will zatrzymał się przed kioskiem i przeczesał palcami włosy. Ulicznik zamachał gazetą, ale on go odpędził.

- To był bardzo zły pomysł. Jestem kawalerem. Nie mam pojęcia, jak być rodzicem albo nawet wujem.

- To nieprawda. Jesteś strasznie wujowaty. W rzeczy samej, jesteś najbardziej wujowatym człowiekiem, jakiego znam.

- Nie ma takiego słowa jak wujowaty.

- To powinno być. A w słowniku obok niego powinno się znaleźć twoje zdjęcie.

- Ten urok nie zadziała, Evie. Nie bez powodu nie pozwoliłem ci wczoraj wyjść. Ty jednak postanowiłaś zignorować moją prośbę.

- Ach, ale, wuj...

- I wyraźnie ostrzegałem cię przed pakowaniem się w kłopoty, prawda? Cóż, sądzę, że taki układ nie ma prawa działać.

- C - co masz na myśli? - spytała Evie. Rozbolał ją brzuch.

- Lepiej, żebyś wróciła do Ohio. Jutro zadzwonię do twojej matki... - spojrzął na zegarek - ...dzisiaj i wszystko ustalimy.

- Ale... dopiero po raz pierwszy wpakowałam się w kłopoty! - Kiedy te słowa opuściły jej usta, Evie zorientowała się, jak absurdalny jest ten argument, prawie jak obietnica dalszych kłopotów, i żałowała, że nie może go cofnąć. - Proszę, wujaszku. Bardzo mi przykro. Już nigdy więcej ci się nie sprzeciwię.

Will oparł się o latarnię. Miękkł, widziała to, więc nacierała dalej.

- Będę robić wszystko. Zamiatać. Odkurzać bibeloty. Każdego wieczoru robić kanapki. Ale proszę, proszę, proszę, nie odsyłaj mnie.

- Nie mam zamiaru prowadzić tej rozmowy na White Street z kimś, kto śmierdzi jak gorzelnia. Zabiorę cię do Benningtona, gdzie będziesz mogła się przespać i, jeśli wolno mi to zasugerować, wykąpać.

Evie powąchała swój płaszcz i skrzywiła się.

- Czekam na ciebie w muzeum o trzeciej. Wtedy ogłoszę wyrok. Nie spóźnij się.

Długa, gorąca kąpiel zmyła smród Tombs, ale mimo wyczerpania Evie była zbyt zdenerwowana, by usnąć. Zeszła więc do mieszkania Mabel i zastukała szyfrem.

- Cześć, stara. Mam problem. Wujaszek grozi, że z powodu poprzedniego wieczoru odeśle mnie do Ohio, a ja muszę znaleźć sposób, żeby go przekonać. Myślę, że trochę zmięknął, ale może jeśli powiesz mu, że to był twój pomysł, potraktuje mnie łagodniej. Wiem, że to nie jest do końca prawda, okrągła buźko, ale to absolutnie sprawa najwyższej wagi i... jej, Mablesie, nie zaprosisz mnie do środka?

Mabel zerknęła w głąb mieszkania, wyślizgnęła się na korytarz i zamknęła drzwi.

- Oho. Znam tę minę. Czego mi nie mówisz? Czy ktoś umarł?

- Matka obwinia ciebie o moje aresztowanie. Nie wpuści cię do domu.

Evie aż otworzyła usta.

- Twoja matka była aresztowana częściej niż ja!

- Dla sprawy. Uważa, że aresztowanie za picie w nocnym klubie jest niemoralne i świadczy o kapitalistycznej chciwości
- wyszeptała Mabel. - Mówi, że masz na mnie zły wpływ.

- Rany, mam szczerą nadzieję, że tak jest. Powiedz matce, że gdyby nie ja, nadal nosiłabyś czarne pończochy i czytała ponure rosyjskie powieści o przeklętych arystokratach.

Mabel uniosła głowę.

- Co jest nie tak z Anną Kareniną?
- Wszystko, od A do „enina”. Daj spokój, okrągła buźko, wpuść mnie do środka, a ja ją zauroczę.

- Evie, nie...

- Pięć minut ckliwej historii o tym, że jestem produktem burżuazyjnych wartości klasy średniej, zagubionym w maszynerii zepsutego świata, a zorganizuje dla mnie wiec...

- Czy ty nie wiesz, kiedy przestać? - warknęła Mabel. - Czasem jesteś taka samolubna, Evie! Dla ciebie to wszystko gra... i zawsze chcesz ją ustawić na swoją korzyść, śląc do diabła to, czego pragną wszyscy pozostali.

- To nieprawda, Mabel!

- Tak? Poprzedniego wieczoru chciałam wyjść...

- Ale wtedy straciłabyś całą zabawę. A po powrocie do domu narzekałabyś, że lepiej było zostać. Żałowałabyś. Znam cię, Mablesie...

- Naprawdę? - rzuciła Mabel.

Evie poczuła się tak, jakby ktoś ją spoliczkował. Chciała tylko, żeby Mabel wydostała się spod wpływu matki i dobrze się bawiła. Żyła jak prawdziwa nowoczesna dziewczyna. Czyż nie?

- Mam dość, Evie. Jestem zmęczona i wracam do łóżka. Evie odetchnęła z drżeniem.

- Mablesie, ja... ja nie myślałam...

- Nigdy nie myślisz. Na tym polega twój problem. Zza drzwi dobiegł głos pani Rose.

- Mabel, kochanie, gdzie jesteś?

- Już idę! - zawołała Mabel. Wróciła do środka i zamknęła drzwi.

Evie przez chwilę wpatrywała się w nie. Znów zapukała szyfrem, ale Mabel nie odpowiedziała, więc Evie ruszyła na spotkanie z Willem. W drodze do muzeum próbowała otrząsnąć się z kłótni z przyjaciółką, ale okazało się to

niemożliwe. Jej słowa zaboląły. Tak właśnie mówili o niej inni ludzie, te wszystkie tępe Normy, ale nie ona. Nie Mabel. Nie jej najlepsza przyjaciółka.

W muzeum Evie usłyszała głosy. Jericho pokazywał rzadkim gościom muzeum. Mówił cicho, uczenie, prawie jak bliźniak Willa. Para wydawała się znudzona.

- Czy te gizma mogą człowieka nawiedzać, jeśli się ich dotknie? - spytała kobieta.

- Ależ nie. Są całkiem nieszkodliwe - odpowiedział Jericho.

Przegapiona okazja. Gdyby to Evie oprowadzała, wymyśliłaby historię, której by nigdy nie zapomnieli, coś, co skłoniłoby ich do powrotu.

Sam przemknął obok niej w drodze do sali zbiorów.

- Siostró, cieszę się, że wuj wyciągnął cię z kicia. Evie skrzywiła się.

- Zostawiłeś mnie w klubie, ty draniu. To bardzo nieładnie z twojej strony.

- A ty nie pomyślałaś o mnie, kiedy wciskałaś się do tej windy. Nie udawaj, że jesteś lepsza ode mnie, dziewczyno. Też masz w sobie trochę ze złodzieja.

Evie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i usiadła w gabinecie Willa. A jeśli Will rzeczywiście zdecyduje się odesłać ją do domu? Nie pozwalała sobie o tym myśleć, założyła, że go przekona. Teraz ta myśl wślizgnęła się pod jej skórę i napęliła ją niepokojem.

Dokładnie na minutę przed trzecią Will wkroczył do środka. Powiesił płaszcz i kapelusz na wieszaku i powoli zdejmował rękawiczki, a Evie kręciła się w ciszy. W końcu usadowił się na fotelu za biurkiem, zetknął palce i spojrzał na nią z namysłem. Evie przełknęła ślinę. Ślina utknęła jej w gardle i musiała odkaszać.

- Kiedy dodzwoniłem się do twojej matki, okazało się, że wyszła na obiad. Zostawiłem wiadomość, że powinna do mnie oddzwonić. Jutro wieczorem jest pociąg do Zenith i ty w nim będziesz.

Evie sapnęła.

- Wujaszku, proszę. Nie możesz odesłać mnie do domu. Jeszcze nie. - Miała łzy w kącikach oczu.

- Co się stało, to się nie odstanie. - Will pomasaował grzbiet nosa. - Głupotą z mojej strony było to, że się tego podjąłem. Jestem starym kawalerem i mam swoje przyzwyczajenia.

- Wcale nie. - Evie pociągnęła nosem. - Przepraszam. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Tylko daj mi jeszcze jedną szansę. Proszę. - Głos Evie ucichł do błagalnego szeptu.

- Moja decyzja jest ostateczna, Evangelino - powiedział łagodnie Will, a jego współczucie było gorsze od gniewu. - Będzie ci lepiej w domu z przyjaciółmi.

- Wcale nie. - Evie otarła policzki grzbietem dłoni, ale łzy nie przestawały płynąć.

Will wygłaszał przemowę, coś o tym, że kiedyś też był młody i lekkomyślny - takie rzeczy mówili starszaki, kiedy zadawali śmiertelny cios, jakby myśleli, że ich świętoszkowata gadanina udająca empatię będzie mile widziana, ale Evie słuchała go tylko jednym uchem. Uświadomiła sobie, że nie mówiła mu o odczytywaniu przedmiotów. Nie wiedział. Nie wiedział, co mogła zrobić - że mogłaby wykorzystać swoje umiejętności, by pomóc mu odnaleźć Pentaklowego Zabójcę. W końcu widziała coś z klamerką buta Ruty Badowski. Może to, co słyszała, nie było takie bez znaczenia.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyrzuciła z siebie, przerywając monolog Willa o odpowiedzialności. - Nigdy ci

nie powiedziałam, co się wydarzyło w Zenith. O kłopotach, w jakie się wpakowałam.

- Coś z grą salonową i oszczerstwem - stwierdził Will. - Twoja matka mówiła...

- To nie była gra salonowa.

- Evie, naprawdę nie ma potrzeby... - Jest. Proszę.

Will uległ i Evie zebrała się na odwagę.

- Podczas tamtego przyjęcia wpakowałam się w kłopoty przez wróżenie. Wujaszku, wierzę, że mogę być Wróżbiarką, jak Liberty Anne Rathbone. A jeśli się nie mylę, mogłabym wykorzystać swoje moce, by pomóc ci w rozwiązaniu tej sprawy.

Will gapił się na nią z otwartymi ustami, ale Evie nie dała mu szansy, by cokolwiek powiedział.

- Pamiętasz scenę pierwszego morderstwa, kiedy się pochorowałam? - powiedziała Evie gorączkowo. - Nie chodziło o widok tej dziewczyny, choć był koszmarny. Na jej bucie obluzowała się klamra. Chciałam ją odłożyć, coś... naprawić. Musiałam ją ścisnąć bardzo mocno, mocniej niż zamierzałam i... - Evie wypuściła powietrze. - Widziałam różne rzeczy. Tylko trzymając coś, co do niej należało.

Współczucie Willa zmieniło się w odrazę. Zacisnął wargi. - Podejrzewałem, że będzie chodzić o jakiś wybieg z twojej strony, żebyś mogła zostać w Nowym Jorku, ale nie spodziewałem się, że zniżysz się aż tak bardzo, by wykorzystać śmierć dwojga niewinnych...

- Próbuję powiedzieć ci coś ważnego! - krzyknęła Evie i Will ucichł zaskoczony. - Proszę. Daj mi pięć minut. Tylko o to proszę.

Will wyjął zegarek z kieszeni.

- Dobrze. Masz pięć minut. Od... teraz.

To był ten moment. Jeśli nie przekona wuja Willa, znajdzie się w pierwszym pociągu jadącym do Ohio. Musiała dać mu dowód.

- Będzie szybciej, jeśli ci to pokażę. Daj mi coś, co do ciebie należy, chusteczkę albo kapelusz. I nic mi nie mów na jego temat.

- Evie... - westchnął Will.

Znała to westchnienie. Często łączyło się z jej imieniem i rozczarowaniem, i z trudem stłumiła płacz. Ale dlaczego miałby ją traktować poważnie? Imprezowiczka, dziewczyna z ostrym językiem i szafką pełną cekinów i modnych pończoch.

- Proszę, wujaszku - powiedziała. - Proszę.

- Dobrze. - Wuj Will rozejrzał się dookoła, aż wybrał rękawiczkę. - Masz. Zostało ci dokładnie cztery i pół minuty.

Evie ścisnęła rękawiczkę w dłoniach i skupiła się. Tykanie zegarka Willa rozpraszało ją. Próbowwała je zignorować i skupić się na rękawiczkach, ale nic nie miała i zaczynała ją opanowywać panika.

- Trzy minuty - powiedział Will.

Evie zazgrzytała zębami. Nie rozumiała jak albo dlaczego działało jej odczytywanie przedmiotów. Wiedziała jedynie, że działa - na swój sposób i w swoim czasie.

- Zostało dwie i pół minuty... Obrazy rozwijały się powoli.

- Były w koszu w sklepie Woolwortha, przecenione na siedemdziesiąt osiem centów. Tego dnia było zimno, a ty zgubiłeś jedną rękawiczkę z ostatniej pary. Z tej też zgubiłeś prawą rękawiczkę. Ciągłe je zdejmujesz i zapominasz, gdzie je odłożyłeś.

Evie otworzyła oczy. Will wciąż patrzył na zegarek.

- To mógł być szczęśliwy przypadek. Albo spryt. U Woolwortha często mają rękawiczki w tej cenie. Mogłaś wiele

razy zobaczyć, jak gubię prawą. To żaden dowód. Została minuta.

Evie była zmęczona, zdesperowana i więcej niż trochę wściekła. Znow zamknęła oczy. Tym razem scena była wyrazista. Widziała roześmianą kobietę o ciemnych włosach i oczach, z dłońmi ukrytymi w mufce.

- „To cały ty, Williamie. Zawsze brakuje ci rękawiczki” - powtórzyła za kobietą.

- Przestań - powiedział zimno Will, ale Evie dopiero się rozpęzała.

Niemal czuła wiatr. O wiele młodszy Will kołysał się na łyżwach, a ładna kobieta śmiała się. Evie uśmiechnęła się nieświadomie.

- Widzę ją. Stoi na lodowisku... w ciemnozielonym płaszczu... w śniegu...

- Przestań, Evie.

- Jest bardzo ładna i... szczęśliwa... tak szczęśliwa... to może być najszczęśliwszy dzień jej ży...

Will wyszarpnął rękawiczkę z rąk Evie, zaskakując ją. Stał nad nią, czerwony na twarzy i wściekły.

- Kazałem ci przestać! - zagrzmiął.

Evie odwróciła się i wybiegła z muzeum, ignorując Sama, który wołał za nią.

BÓG UMARŁ

Evie spacerowała ulicami miasta, aż się zmęczyła. W Central Parku znalazła ławkę przy stawie i usiadła. Obserwowała łódkę, w której siedziały dwie pary. Śmiali się radośnie, ciesząc się słońcem. Wydawali się swobodni i beztroscy i Evie nienawidziła ich za to. Miała nadzieję, że przynajmniej wuj Will ją zrozumie. Otarła łzy wierzchem dłoni. Zazwyczaj szukałaby pocieszenia u Mabel. Ale to nie wchodziło w grę i Evie poczuła się zagubiona i samotna.

Powróciła do Benningtona i wspięła się po schodach na dach, gdzie usiadła w towarzystwie gołębi. Miała to uczucie napięcia w piersi, jakby jej skóra była za ciasna. Jakby wyszła za róg, a tam czekał każdy demon, nad którym dotychczas próbowała panować. Will prowadził wykłady na temat wiary w zjawiska nadnaturalne, ale jedynym, co przerażało Evie, były zupełnie realne duchy w jej wnętrzu. Czasami budziła się rano i przysięgała sobie „Dziś wszystko zrobię właściwie. Nie będę taka strasznie nieporządna. Nie będę tracić panowania nad sobą ani robić niemiłych uwag. Nie posunę się za daleko w żartach i nie poczuję, jak w pokoju zapada pełne dezaprobaty milczenie. Będę dobra, życzliwa, rozsądna i cierpliwa. Taka, jak wszyscy lubią”. Ale do wieczora było już po jej dobrych chęciach. Powiedziała coś niewłaściwego albo mówiła nieco za głośno. Przyjmowała wyzwanie, choć nie powinna, tylko po to, żeby ktoś ją zauważył. Może Mabel miała rację, może była samolubna. Ale jaki jest sens żyć tak cicho, że nie robi się żadnego hałasu? „Och, Evie, ty się tu po prostu nie mieścisz”, mówili ludzie i nie był to komplement. Sama zbyt często czuła, że się nie mieści.

Ale dlaczego tak właśnie było?

Evie wpatrywała się w wysokie kolumny okien wyciętych w budynku po drugiej stronie. Tyle okien. Kto za nimi żył?

Czy byli szczęśliwi? Czy też czasami siedzieli na dachu, dręczeni głęboką samotnością, na którą nie było lekarstwa?

Drzwi zaskrzypiały i w otworze pojawiły się szerokie bary Jericho.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę. Co się stało z wujem Willem? Evie odwróciła twarz i otarła łzy.

- Zamieszałam herbatę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

Jericho osunął się po ścianie, utrzymując pełen szacunku dystans między nimi.

- Nie musisz mi mówić.

Evie nic nie powiedziała. Na południu słońce odbijało się od stalowej iglicy budynku. Z kominów unosiły się grube chmury sadzy. Wielkie żelazne litery reklamowały gumę do żucia Wrigley's Spearmint. Na brzegu dachu gołębie wyginały szyje, szukając jedzenia.

- Spytałaś mnie, jak zamieszkałem z twoim wujem Willem. Nie odpowiedziałem ci - zaczął mówić Jericho. Wyjął z kieszeni piątkę chleba i zaczął ją rozwijać z serwetki.

- Owszem - stwierdziła Evie.

Kiedyś ją to bardzo ciekawiło. Teraz nie wiedziała, jakie to ma znaczenie, skoro jej wygnanie było nieuchronne. Ale była wdzięczna Jericho, że przyszedł do niej i próbował ją w taki sposób pocieszać. Chciała, żeby mówił dalej.

- Czy teraz mi powiesz? Zmrużył oczy w blasku słońca.

- Dorastałem na farmie w Pensylwanii. Wiesz, krowy i pastwiska. Falujące pola. Każdego ranka wydaje się, że świat właśnie się narodził. Nie można sobie wyobrazić miejsca dalszego od Nowego Jorku.

- Brzmi pierwsza klasa - powiedziała Evie z nadzieją, że jej słowa nie zabrzmiały tak pusto, jak to czuła.

Jericho milczał przez chwilę.

- Była epidemia. Polio. Najpierw zabrało moją siostrę. A później ja obudziłem się z gorączką. Nim zawieźli mnie do szpitala w Filadelfii, nie czułem rąk ani nóg i z trudem oddychałem. Miałem dziewięć lat.

Mówiąc, Jericho drobił chleb na małe kawałki, które rzucał na płaski dach dla ptaków, a one otaczały go chmurą.

- Umieścili mnie w maszynie, prototypie czegoś, nad czym pracowali, a co nazywali żelaznym płucem. Oddycha za ciebie. Oczywiście, jest się uwięzionym w środku, jak w metalowej trumnie. Spędzałem całe dni, gapiąc się w sufit, patrząc, jak światło z okna za moimi plecami przesuwają się jak wskazówka zegara słonecznego. Matka przyjeżdżała w każdą niedzielę wozem konnym z Lancaster i modliła się za mnie. Ale na farmie jest dużo pracy, a w domu została jeszcze dwójka dzieci i trzecie w drodze. Wkrótce przyjeżdżała co drugą niedzielę. A później przestała przyjeżdżać. - Jericho rzucił kolejne okruchy stada skrzeczących ptaków. - Mówiłem sobie, że to przez śnieg nie mogła dotrzeć do Filadelfii. Opowiadałem sobie setki kłamstw. Dzieci tak robią. To zadziwiające, w jakie rzeczy człowiek może uwierzyć.

Evie nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała i patrzyła na ptaki zbierające się wokół jedzenia, walczące o nie.

- Później usłyszałem ptaszka ćwierkającego na parapecie, co oznaczało nadejście wiosny. Wiedziałem, że jeśli ptak tu dotarł, to ona też mogła. W chwili, gdy usłyszałem ptaszka, wiedziałem, że nie wróci. Jeszcze zanim lekarze powiedzieli mi, że moi rodzice podpisali dokumenty, oddając mnie pod opiekę państwa.

Jericho wytarł dłonie chusteczką.

- Jak rodzice mogli cię tak zostawić? - spytała Evie po chwili.

- Inwalidzi nie orzą pola ani nie młócą zboża. Nie mogli się mną zająć. I mieli inne dzieci do wykarmienia.

- Jak mogłeś im tak łatwo wybaczyć?

- A gdybym im nie wybaczył, co by to zmieniło?

- Ale teraz jesteś silny i zdrowy. Jak...

Jericho zrzucił mały kamyk z dachu z zamachem godnym zawodowego gracza w bejsbol.

- Wypróbowali na mnie coś nowego. Miałem szczęście, zadziałało. A po jakimś czasie odzyskałem zdrowie.

- To przecież cud!

- Nie ma cudów - stwierdził z nieprzeniknioną miną. - Will zgodził się zostać moim opiekunem prawnym. On potrzebował asystenta, a ja domu. Jest dobrym człowiekiem. Lepszym niż większość.

- Obchodzi go tylko jego praca i to cholerne muzeum - stwierdziła Evie, nie przejmując się, że zakłęła.

- To nieprawda. Nie wiem, co się dziś wydarzyło, ale był strasznie zmartwiony. Porozmawiaj z nim, Evie.

Chciała opowiedzieć Jericho, co się wydarzyło, ale nie była gotowa znów poddawać się badawczym spojrzeniom.

- Już się zdecydował odesłać mnie do Ohio - powiedziała.

- Może gdybym była duchem, posłuchałby mnie.

- Duchów też nie ma. Ale nie mów tego wujowi - powiedział Jericho.

Evie uśmiechnęła się.

Wiedziała, że powinna zacząć się pakować, ale pragnęła jeszcze przez chwilę odsuwać nieuniknione, na zawsze wyryć w umyśle widok miasta. To były cudowne tygodnie. Jaka szkoda, że się skończyły.

Jericho wyciągnął podniszczoną książkę. Evie wskazała na nią.

- Mogę?

Jericho podał tom, a Evie zaczęła czytać od zaznaczonej strony.

- „Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili! Jakże się pocieszymy, mordercy nad mordercami?”. (Fryderyk Nietzsche, Wiedza radosna, tłum. Leopold Staff, nakładem Jakóba Mortkowicza, Warszawa, 1907, s. 168.) - Evie zmrużyła oczy. - Ty to się umiesz zabawić, co? - Oddała mu książkę. - Poczytasz mi?

- Chcesz, żebym poczytał ci Nietzschego?

- Czuję się tak, że z pewnością mi to nie zaszkodzi. Jericho odchrząknął i odnalazł odpowiednią stronę.

- „Najświętsze i najmoźniejsze, co świat dotąd posiadał, krwią spłynęło pod naszymi nożami - kto zetrze z nas tę krew? Jakaż woda obmyćby nas mogła...”.

Głos Jericho usypiał Evie. Patrzyła, jak słońce odbija się od wieży ciśnień na dachu budynku na zachodzie. Gołębie skakały po dachu w nieuchronnym poszukiwaniu jedzenia.

- „Jakież uroczystości pokutne, jakież igrzyska święte będziemy musieli wynaleźć? Nie jestże wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi?”.

- Jericho, czy wypróbowali ten twój cudowny lek na kimś innym?

- Mówiłem ci już. Nie ma cudów.

ODROCZENIE WYKONANIA WYROKU

Will wrócił do domu w porze kolacji i wezwał Evie do swojego gabinetu. Siedział sztywno w fotelu i bawił się niezapalonym papierosem. Radio cicho grało.

- Evangeline, nie powinienem był stracić panowania nad sobą. Przepraszam.

Evie wzruszyła ramionami.

- Każdy się czasem wnerwi.

- Obawiam się, że mnie to zaskoczyło. - Will zapalił chesterfielda. Zaciągnął się i wypuścił wąską smugę dymu. - Opowiedz mi więcej o tym twoim talencie.

- Zaczęło się dwa lata temu, kiedy zaczęłam też mieć te sny o Jamesie.

- Twoim bracie, Jamesie?

- Nie. Jamesie odźwiernym - warknęła Evie i natychmiast tego pożałowała. Ostatnim, czego potrzebowała, było dalsze irytowanie Willa.

- Nie znam wcześniejszych wydarzeń. Jestem kustoszem i uczonym. Muszę poznać źródła - stwierdził rzeczowo Will. - Jak to odkryłaś?

- Za pierwszym razem to była broszka matki. Chciałam ją sobie przypiąć, ale mi nie pozwalała. Zostawiła ją na toalecie, a ja ją podniosłam, ale zabrakło mi odwagi, żeby przypiąć ją do sukienki. Obracałam ją w dłoniach i nagle pojawiło się takie dziwne uczucie. Broszka wydawała się ciepła. Moje dłonie też się rozgrzały i zaczęły mrowić. - Evie przerwała. Chciała o tym opowiedzieć, ale teraz czuła się obnażona.

- Mów dalej. Co widziałaś? Czy poznałaś tylko godzinę z historii przedmiotu, czy mogłaś sięgnąć dalej w przeszłość? Czy to było raczej uczucie, sugestia, czy też miałaś wrażenie, że jesteś z tą osobą i przeżywasz tę chwilę?

- Czyli... wierzysz mi?

- Wierzę. - Will pokiwał głową. Evie się pochyliła.

- To było jak siedzenie na pokazie filmu, ale takim, gdzie projektor jest bardzo słaby. Tylko chwila. Widziałam matkę, jak siedzi przed toaletką, i czułam to, co czuła, kiedy nosiła broszkę.

- To znaczy?

Evie spojrzała mu prosto w oczy.

- Żałowała, że to James zmarł, a nie ja. Will odwrócił wzrok.

- Matki na równi kochają każde swoje dziecko.

- Wcale nie. Choć wszyscy się umówiliśmy, żeby tak twierdzić.

- I to był pierwszy raz?

- Tak. Sprawdziłam to. Kiedykolwiek skupiałam się na przedmiocie, wyczuwałam jego historię. Nie zawsze jest w kolejności chronologicznej. Czasem obrazy, które widzę, są słabe, czasem silniejsze. Wydaje mi się, że kiedy uczucia są silne, czuję i widzę więcej.

- Jak byś to oceniła? Czy twój dar staje się silniejszy, czy słabszy?

- Nie wiem. Nie ćwiczyłam go jak gry na kastanietach - odparła Evie. - Czy to w ogóle można wyćwiczyć jak grę na kastanietach?

- Czy poznałaś kogoś obdarzonego takimi samymi zdolnościami? - spytał Will, ignorując jej pytanie.

- A czy tacy ludzie w ogóle istnieją?

- Jeśli nawet, nie ujawnili się. Opowiedziałaś o tym rodzicom?

- Trudno by mi było powiedzieć im po tym, co wydarzyło się w Ohio. Sądzą, że to jeden z moich głupich żartów.

- Dobrze, dobrze.

- Dlaczego zadajesz mi te pytania?

- Próbuję zrozumieć - odparł Will.

Nikt nigdy nie powiedział jej czegoś takiego. Rodzice zawsze chcieli doradzać, instruować lub rozkazywać. Byli dobrymi ludźmi, ale chcieli, żeby świat się do nich nagiął, by pasował do ich porządku rzeczy. Evie nigdy do końca nie pasowała, a kiedy nawet próbowała, wyskakiwała z powrotem, jak lalka wciśnięta do zbyt małego pudełka.

- Czyli nikt nie wie - mruknął Will.

- No, zrobiłam ten pokaz na przyjęciu, na które zaprowadziła mnie Theta - powiedziała niepewnie Evie.

- Robiłaś to na przyjęciu? - Will wydawał się zaniepokojony.

- To nie było nic ważnego! Mówiłam ludziom, co jedli na obiad albo jak miał na imię ich pies, kiedy byli dziećmi. Większość była zaprawiona. - Evie starannie nie wspomniała o własnym pićiu. - Zrobiłam to dla zabawy. Nie powinnam?

- Przecież w taki właśnie sposób wpakowałaś się w kłopoty.

- Ale to było w Ohio! A tu jest Nowy Jork. Skoro w klubach mogą tańczyć półnagie dziewczyny, to nie widzę powodu, dlaczego nie miałabym trochę powróżyć.

- Ludzie nie boją się półnagich dziewczyn w nocnych klubach.

- Myślisz, że ludzie będą się mnie bali?

- Ludzie zawsze boją się tego, czego nie rozumieją, Evangelino. Historia to udowadnia. Ale przypuszczam, że jeśli pili... - Will nie dokończył myśli. - I miałaś jeden z tych... epizodów z kłamrą buta Ruty Badowski?

Evie pokiwała głową.

- Widziałam straszne pomieszczenie, duże palenisko i postać mężczyzny, jak mi się wydaje. Ale to była tylko sylwetka, cień. Nie mogę być pewna. - Pokręciła głową. - Sądzisz, że to, co widziałam, ma związek z morderstwem?

Will miał ponurą minę. .

- Nie wiem.
- Sądysz, że powinnam zgłosić się na policję? - spytała Evie.
- Z pewnością nie.
- Ale dlaczego? Gdyby to pomogło...
- Najpewniej uznaliby cię za wariatkę. Albo, co gorsza, za kogoś, kto pragnie sławy i chce zobaczyć swoje nazwisko w gazetach. Od dawna przyjaźnię się z Terrencem. Wiem, jak myśli policja.

- Ale gdybym mogła odczytać coś jeszcze związanego z morderstwami, na przykład coś należącego do Tommy'ego Duffy'ego...

- W żadnym wypadku - sprzeciwił się Will. - Sądzę, że nie powinnaś dotykać niczego, co wiąże się z tymi zabójstwami.

Will zerwał się z fotela i zaczął spacerować po pokoju. W połowie drogi zatrzymał się, by strzepnąć popiół do wysokiej srebrnej popielniczki przy fotelu obitym tkaniną w niebieskie pasy, który wyglądał, jakby nikt nigdy na nim nie siedział. Zupełnie, jakby wewnętrzna energia nie pozwalała Willowi usiąść na wystarczająco długo, by zostawił ślad na poduszce.

- Złapiemy naszego zabójcę dzięki staromodnej pracy detektywistycznej, nawet jeśli będziemy musieli przejrzeć każdą książkę okultystyczną w bibliotece muzeum.

- Czyli... mogę zostać? - spytała Evie.

- Tak. Możesz zostać. Na razie. Ale będą nowe zasady. Nie będziesz już figlować w nielegalnych klubach. I oczekuję od ciebie pomocy w muzeum.

- Oczywiście.

To lepsze niż pociąg do Ohio. A kiedy udowodni Willowi, jak bardzo jest niezastąpiona, będzie musiał zatrzymać ją na dłużej.

- Dziękuję, wujaszku.

Rzuciła się Willowi na szyję. Mężczyzna zeszywniał i czekał, aż się cofnie.

Jericho stanął w drzwiach i odchrząknął, czekając, aż zostanie rozpoznany. Rzucił na biurko wieczorne wydanie gazety.

- Powinieneś to przeczytać.

- „Wyłącznie w »New York Daily News«. T.S. Woodhouse. Pentakłowy Zabójca w Muzeum". - przeczytał Will na głos. - Co to takiego?

Evie wyrwała mu gazetę i czytała dalej.

- „Nowemu Jorkowi, tej tętniącej życiem metropolii, nie jest obca przemoc. Bugsy Siegel, Meyer Lansky i inni mordercy z Syndykatu Zbrodni zasypują ulice trupami szybciej, niż policjanci przyjmują łapówki, by tego nie zauważać. Ale Pentakłowe Zabójstwa napędziły stracha nawet uodpornionym nowojorczykom. Matki nie pozwalają dzieciom grać w palanta po zmroku. Sprzedawczynie wydają ciężko zarobioną kasę na taksówki do skromnych mieszkań w Murray Hill i przy Orchard Street.

Sułtan Swingu, sam pan Babe Ruth, obiecał pięćset dolarów nagrody za informację prowadzącą do zatrzymania tego ohydneho potwora. Ale w samym centrum manhattańskiego szaleństwa jest jeden lokal, który na tym korzysta - Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej. Dla wtajemniczonych Muzeum Niesamowitości!". Wujaszku, muzeum trafiło do gazet!

Evie czytała dalej.

- „Zajmują się wszystkim co niesamowite, a to, co niesamowite, jest dla nich dobrym interesem. W ostatni piątek wasz reporter widział szalejące tłumy przed drzwiami starej rezydencji Corneliusa T. Rathbone'a w pobliżu Central Parku. A wszystko dlatego, że kustosz muzeum, profesor William Fitzgerald". Wujaszku! To o tobie! - wykrzyknęła Evie. -

„Pomaga nowojorskim chłopcom w mundurach dowiedzieć się, co kieruje tym diabolicznym zabójcą, w nadziei że odnajdą go, zanim znów zaatakuje. W pracy pomaga mu siostrzenica, panna Evie O'Neill, do niedawna z Zenith w stanie Ohio, urodziwa siedemnastoletnia panienka, która wie wszystko o wszystkim, od koafiur czarownic po kości chińskich czarowników. Ale kiedy wasz reporter próbował dowiedzieć się szczegółów o polowaniu na zabójcę, młoda dama okazała się niechętna. »Obawiam się, że nie mogę tego skomentować«, powiedziała i zatrzepotała rzęsami. Chłopcy, stawajcie w kolejce. W tym mieście jest więcej niż jeden zabójca”.

Evie z trudem powstrzymała uśmiech. T.S. Woodhouse jednak dotrzymał słowa.

- Evangelino, rozmawiałś z tym Woodhousem? - spytał ostro Will.

Evie szeroko otworzyła oczy.

- Wujaszku, nie miałam bladego pojęcia, że jest reporterem. Zapłacił za wejście. Oprowadziłam go. Kiedy zaczął zadawać pytania, milczałam jak ściana. Zrobił ze mnie idiotkę, ten łotr!

- Musisz być ostrożniejsza. Wyrobić sobie wycucie nowojorczyka. - Will postukał kolejnym papierosem w stół, ubijając tytoń, zanim go zapalił. - Co się stało z obiektywnym, uczciwym dziennikarstwem?

- Nie słyszałeś? Nie sprzedaje się - stwierdził Jericho.

- Masz rację, wuju. Ten Woodhouse to szczur. Ale wspomniał o muzeum - dodała. - Czy wiesz, co to oznacza?

Will wypuścił bliźniacze smugi dymu z nozdrzy.

- Kłopoty - stwierdził.

Zadzwoił telefon. Will odebrał i jego twarz spochmurniała.

- Spotkamy się na miejscu.

- Co się stało?
- Pentaklowy Zabójca znów zaatakował.

UPIÓR

Przed frontowym wejściem do Wielkiej Loży Masońskiej czekał na Willa i Evie drobny mężczyzna z cienkim wąsikiem. Nosił okrągłe czarne okulary, które powiększały jego niebieskie, często mrugające oczy, przywodząc Evie na myśl sowę.

- Tędy - powiedział mężczyzna nerwowo. - Policja oczywiście już tu jest.

Poprowadził ich przez ozdobiony boazerią korytarz do prostych drzwi. Mosiężna tabliczka głosiła, że to Sala Gotycka.

Drobny mężczyzna otworzył drzwi do dusznego przedpokoju, a później następne, prowadzące do dużej sali przypominającej kościół. Evie od razu uderzył smród - straszliwy, duszący odór dymu i spalonego ciała, który drażnił gardło.

Spojrzenie Evie przyciągnęła najpierw wspaniałość sali - wysokie sklepienia z drewnianymi belkami i wielkie żyrandole. Na jednym końcu znajdowały się organy, na drugim litera G wewnątrz słońca. Pośrodku falanga gliniarzy i koroner otaczali niewielki ołtarz. Odsunęli się na bok i Evie sapnęła. Na ołtarzu leżało poparzone ciało ostatniej ofiary Pentaklowego Zabójcy.

- Jeden z naszych braci odnalazł ciało dziś rano o dziesiątej - powiedział mrugający mężczyzna. Zająknął się na słowie „ciało”, a jego wąs wygiął się, gdy skrzywił się z niesmakiem. - Czcigodny Wielki Mistrz został poinformowany telegraficznie. Wyjechał z rodziną.

- Zmarłym jest brat Eugene Meriwether... - zaczął mówić Malloy.

- Jest Młodszy Dozorca - wtrącił mężczyzna o sowej twarzy.

- Był - poprawił go Malloy, dając mu do zrozumienia, kto tu rządzi. - Wczoraj wieczorem pracował do późna w gabinecie. Około ósmej poszedł na kolację z paroma masonami do restauracji przy Ósmej Alei. Pożegnali się o dziesiątej i pan Meriwether wrócił tutaj sam. Zabójca tym razem zabrał stopy.

Evie odruchowo spojrzała w stronę zaokrąglonych kikutów nóg mężczyzny i poczuła zawroty głowy. Chwyliła za oparcie krzesła i zacisnęła powieki, ale obraz pozostał.

- Pozostawił ofiarę z tym samym piętnem pentakla. To jedyna część ciała, która nie została spalona. - Wskazał na krąg oszczędzonego ciała na piersi ofiary.

- Niech nas Wielki Architekt chroni - powiedział poważnie drobny mężczyzna.

- Drzwi były zamknięte od wewnątrz. - Malloy podrapał się po nosie. Spojrzał na masona. - Macie u siebie kogoś, kto miał rachunki do wyrównania? A może kogoś, kto ma trochę nie po kolei w głowie?

- Z pewnością nie. - Wielkie oczy mężczyzny nie zamrugwały za szklami. - Jerzy Waszyngton, Benjamin Franklin, John Jacob Astor, Henry Ford, Harry Houdini, Francis Bellamy... autor ślubowania wierności, tak właśnie... to nasi bracia, sami wielcy ludzie. To państwo by nie powstało i nie rozkwitałoby bez masonów.

Mężczyzna i detektyw Malloy zaczęli się kłócić, ich głosy wznosiły się w zbezczeszczonej sali.

- Wszyscy jesteśmy daleko od domu i znużeni - powiedział w końcu Will.

Mężczyzna o twarzy sowy przerwał monolog i uśmiechnął się.

- Nie wiedziałem, że pan również jest jednym z wędrowców. Proszę o wybaczenie, panie...? - Poruszył się,

jakby chciał uścisnąć jego rękę, ale Will uniknął go, skupiając się na ciele.

- Czy zmarły miał wrogów?

- Pan Meriwether? Nie. Był bardzo ceniony.

- Cóż, ktoś go nie lubił.

- Mógł pewnego dnia zostać Czcigodnym Wielkim Mistrzem. Jego przemowa w klubie Kiwanis w ubiegłym roku została bardzo dobrze przyjęta. Bardzo dobrze przyjęta.

- Nic nie mamy, Will. Chryste. - Malloy z frustracji kopnął krzesło.

Mimo całej pracy nie zbliżyli się do pochwylenia tego szaleńca. Nad salą unosiło się poczucie desperacji na równi z duszącym dymem. Evie podeszła do trupa. Spalone ciało miało granatowy odcień, z krwawymi pęknięciami. Dłonie były wykręcone, a głowa odrzucona do tyłu, jakby chciał wydać okrzyk bólu. Strach i cierpienie, jakich doświadczył, musiały być niewyobrażalne. I gdyby Evie zrobiła to, nad czym się zastanawiała, mogłaby się dowiedzieć, jak bardzo straszne to było. Serce waliło jej w piersi, gdy poczuła, jak pomysł zmienia się w decyzję. Masoński pierścień Eugene'a Meriwethera stopił się na jego poczerniałym palcu, ale być może nadal mogłaby go odczytać.

Wuj Will rozmawiał z mężczyzną o twarzy sowy i detektywem Malloyem. Inni policjanci przeszukiwali salę, robiąc notatki. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Teraz albo nigdy. Evie odetchnęła przez usta i zbliżyła dłoń do ręki Meriwethera. Kiedy jej palce musnęły palec masona, skóra pod jej dotykiem popękała i dziewczyna zdusiła krzyk. W jej oczach zapiekły łzy, zaparło jej dech w piersiach.

Nie mogła tego zrobić. To było zbyt straszne. Podniosła dłoń znad ofiary i szukała pocieszenia w wisiorku z monety. Wówczas przyszło do niej wspomnienie.

- Dlaczego musisz jechać? - spytała Jamesa z płaczem tamtego dnia w ogrodzie.

- Ponieważ, dziewczyno - odparł, ocierając jej łzy - trzeba stawać w obronie tego, co jest właściwe. Nie można pozwolić, żeby dręczyciele zwyciężyli.

Evie wzięła trzy głębokie oddechy, zamknęła oczy i stanowczo zacisnęła dłoń na częściowo stopionym pierścieniu i rozpadającym się ciele masona. Była świadoma tego, że zaciska zęby, gdy na jej powiekach pojawiły się obrazy jak przelotny deszczyk, który stawał się coraz mocniejszy.

Eugene Meriwether polerujący pierścień kawałkiem materiału. Jego duma. Dzień na plaży z przyjacielem. Słońce odbijające się od piasku. Lemoniada - Evie czuła jej odświeżający smak. Ale żadne z tych wspomnień nie pomoże jej złapać zabójcy. Dziewczyna skupiła się, żądając, by pierścień pokazał jej więcej, lecz obrazy pozostały słabe i ulotne, jak zdjęcia pokazywane zbyt szybko, by widzieć mógł zobaczyć w nich coś znaczącego.

Oddychaj, powiedziała sobie Evie. Zwolnij. Zobacz wszystko. Rozproszył ją straszliwy stan ciała i jej własne zdenerwowanie. Utraciła połączenie i musiała walczyć, by je odzyskać. I wtedy to usłyszała - pogwizdywanie. Ta sama melodia, którą usłyszała, kiedy dotknęła klamerki buta Ruty Badowski. Evie poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej. W transie przypominającym sen znalazła się nagle z Eugenem Meriwetherem, gdy szedł ciemnym korytarzem w stronę złocistego blasku wylewającego się z Sali Gotyckiej. Wyciągnięta ręka. Błyszczący mosiądz gałki.

Otwierające się drzwi...

- Co ty robisz? - Jeden z policjantów mocno chwycił Evie za rękę, przerywając połączenie. Wpatrywał się w nią z odrazą.

- Ja... ja... - wyszeptała. - Modliłam się - wykrztusiła w końcu. Była tak blisko - jeszcze chwila i mogłaby zobaczyć twarz zabójcy. Po jej policzkach popłynęły łzy frustracji i gliniarz złagodniał.

Poklepał ją po ramieniu.

- Lepiej stąd odejść, maleńka.

Pozwoliła się odprowadzić. Z pewnością coś usłyszała. Czy to było ważne? Czy pogwizdywał zabójca, czy ktoś inny? Czy to ta sama melodia? Tak. Tego była pewna.

W sali pojawiła się ekipa sprzątaczek w wykrochmalonych fartuchach. Niosły szmaty i wiadra mydlin.

- Niczego nie dotykać! - wykrzyknęli jednocześnie Malloy i Will.

Mężczyzna o twarzy sowy odegnał je machnięciem ręki i kobiety wycofały się do przedsionka, by tam oczekiwać na dalsze polecenia.

- Kiepska sprawa, Will - stwierdził Malloy.

Mrugając, wyszli na blask 23. Ulicy, gdzie otoczyła ich gromada rozkrzyczanych reporterów. Lampa błyskowa oślepiła Evie, która zaczęła mrugać, by pozbyć się powidoków.

- Sępy! - mruknął Malloy. - Wynoście się stąd!

T.S. Woodhouse podbiegł do przodu z notatnikiem i ołówkiem w ręku. Tego ranka musiał potraktować swoje rozczochrane kasztanowe włosy pomadą, lecz teraz długi kosmyk opadał na jego lewe oko jak welon. Evie miała nadzieję, że jej nie zdemaskuje.

- Przepraszam! Panowie, jestem T.S. Woodhouse z „Daily News”. Jak słyszałem, macie tu kolejnego sztywniaka. I tym razem nie jest to uczestniczka maratonów tanecznych z Brooklynu ani jakiś dzieciak z West Side.

- Spadaj, Woody - warknął Malloy.

Te słowa nie poruszyły pana Woodhouse'a. Spojrzał na Evie, po czym zwrócił się do Willa.

- Jakie jest pańskie zdanie na ten temat, profesorze? Musi być ciężko, skoro zwrócili się do cywila. Czy to wojna gangów? Pokaz siły mafii? Anarchiści? Komuniści? Związki zawodowe? - Woodhouse uśmiechnął się. - Potwór?

- Bardzo możliwe, że reporter! - zaszydził Malloy. - Może to zapisz, Woody. Daj nam powód, żebyśmy wysłali was wszystkich do Rosji.

- Wolność prasy, panie detektywie.

- Raczej wolność szakali. Tak swobodnie traktujecie fakty, chłopaki, że wkrótce będziemy czytać artykuły, które są równie wiarygodne, jak opowieści mojego dziadka o rybach, jakie złapał.

- Anarchiści chcą doprowadzić do upadku państwa - powiedział Will, jakby wciąż brał udział w poprzedniej rozmowie. - Pragną wywołać jak największy chaos, obalić porządek. To jest metodyczne. Zaplanowane.

Ołówek dziennikarza skrobał po kartce.

- Czyli co, potwór?

- Chłopcze, nie jesteś na to nieco za młody? - wtrącił Malloy.

- Czas się pozbyć tych starych gaduł z ich ostrożnie pisanymi artykułkami, panie detektywie. Jak to mówię, czas na świeżą krew. Nadeszła nowa epoka. Ludzie chcą, żeby wiadomości były ekscytujące. Prawda, panno O'Neill?

Evie nie odpowiedziała.

- Życzę szczęścia - stwierdził detektyw.

- Ja nie wierzę w szczęście. Wierzę w wykorzystywanie okazji. Moglibyśmy współpracować w tej sprawie, profesorze. Posłać zabójcę na stryczek. Co pan na to?

Wuj Will poprawił kapelusz i pomaszerował w stronę Szóstej Alei. T.S. zbliżył się do Evie i uchylił kapelusza.

- Tam musiało być strasznie. Biedactwo, cała drżysz. Pomogę ci. Przepraszam, przepraszam, proszę nas przepuścić.

Zaprowadził Evie za samochód policyjny. Odsunął połą marynarki, ukazując piersiówkę.

- Potrzebujesz... no... odrobinę odwagi w płynie? Evie pociągnęła dwa łyki.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Możesz mi za to opowiedzieć, jak to wyglądało w środku.

Evie podała mu parę szczegółów, celowo pomijając pozostałe.

- Gdybyś potrzebowała przysługi, daj znać staremu T.S.

- Będę o tym pamiętała, panie Woodhouse.

Evie pociągnęła jeszcze łyk z piersiówki i poprawiła szal.

- Jak wyglądam?

- Doskonale, kotku. - T.S. Woodhouse się wyszczerzył.

- Niech twój fotograf złapie mnie z lewego profilu. Ten jest lepszy. Och, i ta rozmowa powinna wyglądać na nieprzyjemną. Sam rozumiesz.

Dziennikarz uśmiechnął się blado. - Jasne.

- Na Ziemi nie ma nikogo gorszego poza zabójcami z zimną krwią. Za wyjątkiem dziennikarzy - powiedziała głośno Evie, mijając łańcuch policjantów powstrzymujący reporterów.

Odwróciła się i utrzymała tę pozę wystarczająco długo, by fotograf „Daily News” zrobił jej zdjęcie. Później, zarzuciwszy szal na ramię, pobiegła w stronę Willa i czekającego za rogiem samochodu.

Znów rozboleła ją głowa. Evie skuliła się na siedzeniu i patrzyła, jak za oknami wozu policyjnego przelatuje Szósta Aleja. W bocznej uliczce, kilku chłopców grało w palanta. Siedzący z przodu detektyw Malloy zapisywał coś pracowicie w swoim notatniku. Skrzywienie jeszcze pogarszało ból głowy.

Przymknęła oczy. Nie była świadoma, że pogwizduje melodię, którą usłyszała w świątyni, aż Malloy się odezwał:

- Dawno tego nie słyszałem. Evie wyprostowała się na siedzeniu.

- Zna pan tę melodię? Co to jest?

- „Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma. poderżnie gardło i kości weźmie, sprzeda za grosze dwa”. Kiedy byłem mały, śpiewali to w mojej okolicy, żeby nastraszyć dzieciaki. Mówili, że Paskudny John przyjdzie po każdego, kto będzie niegrzeczny.

- Kto taki?

- Paskudny John. John Hobbes. Hiena cmentarna, oszust i zabójca. Trzymał ludzkie kości w swoim domu, starej rezydencji w centrum.

- Czy on mógłby stać za tymi zabójstwami? Malloy uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Mało prawdopodobne, panno O'Neill.

- Dlaczego?

Malloy przerwał pisanie, odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Ponieważ John Hobbes nie żyje, i to już od prawie pół wieku.

PASKUDNY JOHN

Evie weszła za Willem do muzeum. Mimo bólu głowy, mówiła szybko.

- Słyszałam tę piosenkę, kiedy trzymałam klamerkę buta Ruty Badowski i znów dzisiaj z pierścieniem Eugene'a Meriwethera.

- Czy nie powiedziałem ci wyraźnie, że masz tego nie robić...

- A jeśli istnieje tu jakiś związek, który przegapiliśmy? A jeśli nasz zabójca wzoruje się na tym Paskudnym Johnie?

- Opierasz swoje założenie na piosence...

- Piosence powiązanej z mordercą! - To raczej wątpliwe przeczucie...

Jericho i Sam przyglądali się tej scenie jak dziwacznej rozgrywce tenisowej.

- O co w tym chodzi? - odezwał się Jericho.

- Dlaczego dotknęłaś pierścienia trupa? - spytał w tej samej chwili Sam.

Will i Evie zignorowali te pytania i kłócili się dalej.

- A czy ty byś dotknął pierścienia trupa?

- Wujaszku, to jedyny trop, jaki mamy - stwierdziła Evie.

- W porządku - stwierdził Will po chwili namysłu. - Jeśli jesteś tak bardzo przekonana...

- Owszem.

- To możesz zrobić to, co robią uczeni, kiedy są bardzo przekonani w takiej czy innej kwestii.

- To znaczy?

- Możesz pójść do biblioteki - wyjaśnił Will. - W Nowojorskiej Bibliotece Publicznej najpewniej odnajdziesz wszystko, co powinnaś wiedzieć o tym Johnie Hobbesie.

- W takim razie tak właśnie zrobię. - Evie powiesiła kapelusz i szal na łapie wypchanego niedźwiedzia.

- Na razie wiemy z całą pewnością, że zabójca kieruje się Księgą Bractwa - stwierdził Will. - Świątynia Salomona. MASONI również nazywają swoje loże świątyniami i uważają się za spadkobierców króla Salomona.

- Mieliśmy dobry pomysł, tylko wybraliśmy zły lokal - zauważył Sam. - Jaka jest następna ofiara?

Jericho przewrócił kartkę w Księdze Bractwa.

- Ósma ofiara, Oddanie Czci Anielskiemu Posłańcowi - powiedział. Natychmiast zaczął wymieniać możliwości. - Anioły... kościół, ksiądz lub zakonnica, ktoś o imieniu Angel lub Angelica. Posłaniec, czyli na przykład listonosz, spiker radiowy, reporter, muzyk...

- Reporter - powtórzyła Evie. Rozmasowała skronie.

- Co się dzieje? - spytał Will. - Głowa mnie boli.

- Głowa cię boli? Od kiedy? - spytał Will.

- To tylko drobna niedogodność. Matka mówi, że to dlatego, że powinnam nosić bryle... to znaczy okulary, ale jestem zbyt próżna. Mówiłam jej, że widzę świetnie. Wezmę dwie aspiryny i będę jak nowo narodzona.

Jericho przyniósł jej szklankę wody i dwie tabletki aspiryny.

- Wujaszku, dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytała Evie. Will obserwował ją ze zmarszczonym czołem. Kiedy się odezwała, zajął się bezsensownym porządkowaniem biurka.

- Weź aspirynę - powiedział.

NIEWŁAŚCIWA OSOBA

Memphis był rozkojarzony. Przez cały dzień odgrywał w głowie spotkanie z Thetą, ich ekscytującą ucieczkę przed policją. Sposób, w jaki na niego popatrzyła, kiedy stało się jasne, że im się udało - z mieszanką wdzięczności i odrobiny nieśmiałości. W tamtej chwili Memphis nie pragnął niczego poza wzięciem jej w ramiona i romantycznym pocałunkiem. I w rzeczy samej, to właśnie myślenie o pocałunku omal nie wpakowało go w kłopoty. Tamtego ranka, kiedy poszedł do salonu pani Jordan, żeby wypisać pokwitowania, pomylił liczbę pani Jordan z liczbą pani Robinson, praczki, ponieważ myślami był gdzie indziej.

- Memphisie, gdzie ty masz głowę? - Pani Jordan zacmokała. Memphis przeprosił i dotarł z ich liczbami do fryzjera Floyda

tuż przed ogłoszeniem liczby tego dnia.

Papa Charles zwołał spotkanie w restauracji Dee - Luxe, która również należała do niego, by omówić katastrofalny nalot poprzedniej nocy. Zapewniał wszystkich, że to nic poważnego, nieporozumienie, które wkrótce zostanie wyjaśnione i z drzwi Hotsy Totsy już niedługo zniknie kłódka. Memphis widział jednak, że eleganckie maniery i spokojne słowa Papy Charlesa ukrywają zdenerwowanie. Mięśnie jego szczęki drżały, co chłopak widział kilka razy wcześniej, kiedy jego szef musiał poradzić sobie z pijanym, agresywnym klientem albo naćpanym przemytnikiem. Ale Memphis i tak myślał o Thecie.

Theta. Theta. Theta. Spotkał dziewczynę swoich snów - dziewczynę, która dzieliła jego sen - i zgubił ją w tłumie. W chwili, gdy poczuł, jak kształtuje się jego przeznaczenie, znów je utracił. Nie wiedział, gdzie mieszka, skąd pochodzi - nie znał nawet jej nazwiska. A ten ześwirowany ptak wrócił, śledząc każdy jego krok.

- Sio! - Memphis zamachał rękami w stronę kruka. -
Dalej, Berenice! Spadaj!

Memphis spóźnił się, żeby odebrać Isaiaha ze szkoły. Wszedł do klasy z przeprosinami, ale chłopiec ich nie przyjął. Na ulicy okazało się, że młodszy brat jest w paskudnym nastroju, kopnął kamień, po czym pobiegł do rynsztoka, żeby znów go kopnąć.

- Miałeś być o trzeciej!

- Miałem sprawy do załatwienia.

- Jakie sprawy?

- Swoje sprawy. Nie twoje.

- Następnym razem sam wrócę do domu.

- Następnym razem się nie spóźnię.

- Pewnie byłeś z tą swoją Kreolską Księżniczką - mruknął Isaiah.

Memphis się zatrzymał.

- Gdzie to usłyszałeś? Chłopiec roześmiał się.

- Widziałem to wczoraj w tej twojej książce. Memphis ma dziewczynę! Memphis ma dziewczynę!

Memphis chwycił brata za ramię.

- Posłuchaj mnie: ten notatnik jest własnością prywatną.

Należy do mnie. Rozumiesz?

Isaiah uniósł głowę.

- Puszczaj!

- Obiecuj mi!

- Puszczaj!

Isaiah wyrwał się i pobiegł ruchliwą ulicą. Kiedy był wściekły, robił się nieprzewidywalny i mógł równie dobrze wszystko opowiedzieć Octavii.

Memphis złagodniał. Nie musiał wyładowywać frustracji na Isaiahu, nawet jeśli chłopiec był irytujący. Dogonił brata i powiedział:

- Nie złość się, stary. Daj spokój. Chodźmy do pana Reggiego na hamburgera. Możesz usiąść przy kontuarze, na jednym z tych obrotowych krzeseł. Tylko nie kręć się za bardzo i nie zwymiotuj hamburgera.

Isaiah zatrzymał się. Ciekło mu z nosa.

- Chcę czekoladę.

- To dostaniesz czekoladę - obiecał Memphis.

Martwił się o młodszego brata. Siostra Walker przypadkowo odkryła jego szczególne uzdolnienia. Pół roku wcześniej przeprowadziła się do Harlemu i przyszła z wizytą do Octavii.

Powiedziała, że jest starą znajomą ich matki i zasmuciła ją wiadomość o jej śmierci.

- Viola była wspaniałą kobietą - powiedziała siostra Walker. Octavia oceniła ją i nie była zachwycona.

- Zabawne, nigdy mi o tobie nie wspomniała. A byliśmy ze sobą blisko.

- Cóż, pewnie nawet siostry mają jakieś tajemnice - odpowiedziała siostra Walker.

Memphis wiedział, że to się nie spodobało Octavii.

Jednakże, kiedy panna Walker zaproponowała, że pouczy Isaiaha arytmetyki, z którą chłopiec miał spory problem, i zrobi to za darmo, Octavia ustąpiła. Pewnego dnia, gdy siostra Walker za pomocą kart uczyła Isaiaha mnożenia, chłopiec zaczął nazywać karty, zanim je zobaczył, i siostra spytała, czy coś jeszcze umie zrobić. Twierdziła, że to umiejętność, która może mu pomóc w życiu i pracowała z nim jakby to był przedmiot szkolny. Memphis nie miał pojęcia, w jaki sposób zdolności Isaiaha mogłyby mu pomóc zrobić karierę, w przeciwieństwie do gry na trąbce, jak Gabe, lub rozwiązywania równań matematycznych, jak pani Ward. A gdyby Octavia kiedykolwiek się dowiedziała, co się działo u panny Walker, dostałaby ataku furii jakiego nie widział świat.

Ale dla Isaiaha to się liczyło. Czuł się wyjątkowy i szczęśliwy, jak wcześniej, kiedy ich mama żyła i bawiła się z nimi w chowanego, rozwieszając pranie na sznurku w ogrodzie, który dzielili z Toussantami przy 145. Ulicy. Memphis wciąż słyszał śmiech matki, kiedy mówiła: „W porządku. Zobaczymy, czy ze złożeniem tych prześcieradeł poradzicie sobie równie świetnie, jak z ukrywaniem się w nich”.

To były dobre czasy. Ojciec wracał do domu z pracy w orkiestrze Gerarda Lockharta i wołał jowialnie: „No, no, no, czym się dziś zajmowali bracia Campbell?”. Memphisowi brakowało zapachu jego fajki w salonie. Czasem przechodził przed trafiką przy Lenox Avenue tylko po to, by w jego głowie znów pojawiło się to wspomnienie.

- Uważaj na Isaiaha - powiedziała mu matka. Była już wówczas wychudzona, leżała we frontowym pokoju, a choroba pozbawiła ją wesołości, którą tak w niej kochał. Jej oczy były puste. - Obiecuj mi.

Obiecał. Trzy dni później pochowali ją na cmentarzu Woodlawn. Orkiestra Gerarda Lockharta przeniosła się do Chicago, a wraz z nią ojciec Memphisa. Miał ściągnąć do siebie synów, kiedy już zaoszczędzi wystarczająco dużo pieniędzy. Ale nigdy ich nie wystarczało i zostali w pokoju na tyłach domu Octavii. Isaiah był jedynym, co pozostało po tych szczęśliwszych czasach, kiedy cała rodzina była razem, kiedy wystarczyło tylko przejść przez drzwi, by usłyszeć śmiech lub okrzyk: „Któż to puka do moich drzwi?”, i Memphis pilnował brata. Gdyby cokolwiek stało się Isaiahowi, mógłby tego nie przeżyć.

Ale to wszystko było przeszłością i nie miał zamiaru się na tym skupiać. Poprzednia noc z Thetą dała mu nadzieję. Była gdzieś w tym mieście i Memphis miał zamiar szukać, aż ją odnajdzie.

Kiedy dotarli na miejsce, zajęli dwa stołki przy kontuarze, a pan Reggie przyjął ich zamówienie i przycisnął dwa hamburgery do rusztu. Rozległ się przyjemny syk tłuszczu. Przełożył je na talerze i podał, a do tego wodę sodową dla Memphisa i czekoladowy koktajl dla Isaiaha. Chłopiec sięgnął po łyżeczkę i zabrał się za pożeranie gęstych lodów, których połowa spływała mu po brodzie.

- Chyba przyszedłem we właściwym momencie. - Gabe opadł na stołek obok Memphisa. Chwycił jego hamburgera i odgryzł kawałek. - Pan Campbell. Człowiek, którego chciałem spotkać. Alma urządza imprezę ze zbiórką na czynsz. Idziemy. Aha, załatw dobrą gorzałę.

Gabe podał mu gruby plik banknotów.

- Nie przy Isaiahu - wyszeptał Memphis.

- Nie wie, o czym rozmawiamy. Zajmuje się swoim deserem - stwierdził Gabe.

- Co ty nie powiesz? - odezwał się Isaiah.

Memphis posłał koledze spojrzenie z gatunku „I widzisz?”. Gabe wydał wargi i założył ręce na piersi.

- Malutki, czyżbyś miał magiczne uszy?

- Nie, ale mam inne moce. - Isaiah się wyszczerzył.

- Stary - odezwał się ostrzegawczo Memphis.

- Och, co ty nie powiesz. Widzę jak to jest - zażartował Gabe.

- Założę się, że wiem, ile masz kasy w kieszeni - powiedział Isaiah, obracając się razem ze stołkiem.

- Isaiah, Gabe nie ma czasu na twoje gierki - powiedział Memphis. - Jedz.

Chłopiec zmrużył oczy. Memphis na tyle dobrze znał tę minę, że wiedział, iż czekają ich kłopoty.

- Masz piątaka, dolarówkę i dwie ćwierćdolarówki. I adres pani o imieniu Cymbelline.

Gabe opróżnił kieszeń. Uniósł brwi.

- Skąd to wiedziałeś?

- Mówiłem ci! Mam dar. Umiem też przepowiadać.

- Niczego takiego nie umie, Gabe. Isaiah, przestań wymyślać - powiedział Memphis, posyłając bratu kolejne spojrzenie.

- Mogę mówić, co tylko zechcę - warknął chłopiec.

- Może mówić, co tylko zechce - stwierdził Gabe z uśmiechem. - Powiedz mi coś jeszcze, malutki.

- Isaiah. Skończ już. I tak musimy wracać do domu...

- Daj spokój, bracie. Chłopak ma mi przepowiedzieć przyszłość. Może wie coś o nagraniu. Powiedz mi więc, Isaiahu, czy zostanę najnowszą gwiazdą wytwórni Okeh Records?

- Muszę dotykać czegoś twojego.

- Panie Reggie! Przepraszam, panie Reggie! - zawołał Memphis. - Ile jesteśmy winni?

- Zaczekaj chwilę, Memphis! - odkrzyknął pan Reggie. Niósł dwa talerze z jedzeniem.

- Powiedz mi - wyszeptał Gabe, wyciągając rękę.

Isaiah uściśnął jego dłoń i skupił się. Po dłuższej chwili puścił rękę Gabe'a i cofnął się. Miał wielkie oczy.

- Co widziałeś? Nie mów mi... bardzo jest brzydka? - zażartował muzyk.

- Niczego zem nie widział - odparł Isaiah i Memphis nawet go nie poprawił.

Chłopiec wpatrywał się w brata wielkimi oczami i Memphis wiedział, że cokolwiek widział Isaiah, przeraziło go to.

- Bierz kurtkę, stary. Gabe nie chciał odpuścić.

- Daj spokój. Co widziałeś dla swojego starego kumpla Gabriela?

- Pod mostem... nie przechodź pod mostem - powiedział cicho Isaiah. - On tam jest.

- Jakim mostem? Jaki on? Co mi się stanie, jeśli to zrobię?

- Umrzesz.

- Isaiah! - warknął Memphis. - On tak nie myśli, bracie. Tylko sobie żartuje. Przepróż, Isaiah.

Chłopiec spoglądał wielkimi oczyma to na Gabe'a, to na Memphisa.

- Przepraszam, Gabe - powiedział cicho.

- Żartowałeś sobie, co, Isaiah? - spytał Gabe.

- Tak - wyszeptał chłopiec. Nie unosił głowy.

Na twarzy muzyka pojawił się uśmiech, w którym ulga mieszała się z irytacją.

- Młodzi bracia - powiedział, kręcąc głową. Poklepał Memphisa po plecach. - Tylko nie zapomnij o tej drugiej sprawie.

- Nie zapomnę.

Ślepy Bill Johnson siedział w kącie z kubkiem zupy, który podarował mu pan Reggie. Zupa była rzadka, ale ciepła, a on jadł powoli, podczas gdy przy ładzie rozgrywała się cała scena. Teraz, zjadłszy zupę, z sapanięciem zarzucił gitarę na plecy i postukując laską, wyszedł na ulice Harlemu. W powietrzu czuł zapach nadchodzącego deszczu. Nie lubił deszczu. Przypominał mu Luizjanę z czasów, gdy był synem dzierżawcy, miał zdrowe oczy, cały dzień zbierał bawełnę, a deszcz prawie topił każdego, kto próbował zebrać swój przydział. Przypominało mu dzień, kiedy właściciel, pan Smith, uderzył go pasem za to, że grał na gitarze, zamiast zbierać bawełnę. Później połowa plonów mężczyzny zmarniała - wyschła i zbrązowiała - a ciało pana Smitha znaleziono w rzece, napuchnięte jak przegniły worek ryżu, i rozeszły się pogłoski, że Billowi Johnsonowi nie można ufać, że jest w nim coś z Mabouya. Że stał o północy na rozstaju

dróg i przeklął Papę Legbę. Że splunął na krzyż. Że sprzedał duszę diabłu.

Padło w dniu, kiedy mężczyźni w ciemnych garniturach przyszli do obozu. To plony zwróciły ich uwagę. Rozeszły się wieści, że Bill Johnson mógł to zrobić. Że umiał skrócić cierpienia starego psa, a jeśli się zezłościł, mógł wziąć w rękę motyla i ten padał martwy. Mężczyźni w ciemnych garniturach siedzieli, spokojni i bardzo cierpliwi, uśmiechnięci i uprzejmi, w salonie pani Tate i popijali lemoniadę z zaparowanych szklanek.

Przyprowadzono do nich Billa. Był wówczas potężnym dwudziestolatkiem, wysokim na metr osiemdziesiąt, o gładkiej brązowej skórze wolnej od piętn, które jego przodkowie nosili ze wstydem. Bill siedział w starym wiklinowym fotelu, trzymając dłonie na kolanach, a mężczyźni zadawali pytania. Czy Bill chciał pomóc w zapewnieniu bezpieczeństwa swojej ojczyźnie? Czy chciałby pojechać z nimi i porozmawiać?

Bill chciał się wydostać z Luizjany, w której było pełno ludzi w białych Kapturach, rozświetlających noc płonącymi krzyżami. Pojechał z mężczyznami w ciemnych garniturach, pojechał na tylnym siedzeniu ich samochodu z zasłoniętymi oknami. Robił to, co mu mówili. Mówił im, jak odbija się to na jego ciele, jak jego kręgosłup się zgina, a włosy siwieją. Miał dwadzieścia lat, a wyglądał na pięćdziesiąt. Mężczyźni wciąż się uśmiechali i mówili: „Jeszcze raz, Bill”.

A kiedy jego wzrok ograniczył się do małych plamek światła, które w końcu poczerniały, odesłali go z gitarą, wypukłą blizną i dyskretnym ostrzeżeniem, żeby siedział cicho. Utracił wzrok, jego ciało było zużyte i uszkodzone. Wydawało się też, że jego dar - jeśli tak go można nazwać - również go opuścił. Ile razy unosił głowę do nieba i błagał, by odzyskać dar? I nagle, około trzech miesięcy temu, poczuł

nadzieję. Potrzebował tylko iskry, by wszystko zaczęło się od nowa.

Kiedy bracia Campbell wypadli ze sklepu pana Reggiego, i rozległ się głośny dźwięk dzwonka nad drzwiami, Bill słyszał ich kłótnię. Młodszy brat miał dar - to było oczywiste - a starszy chciał utrzymać go w tajemnicy. Bardzo słusznie. Lepiej, żeby nikt nie znał takich tajemnic. Mogłaby się tego dowiedzieć niewłaściwa osoba. Ktoś, kto był niebezpieczny.

Pierwsze krople deszczu spadły na ciemne okulary Billa. Skrzywił się. Przeklęty deszcz. Odruchowo pomasował bliznę na lewej dłoni i stukając laską, ruszył w dół wzgórza.

GWIAZDKA Z NIEBA

Theta się dąsała. Wszystkim pozostałym pewnie wydawała się znudzona. Lecz Henry doskonale znał Thetę i miał pewność, że się dąsa. Siedziała na brzegu sceny w jednoczęściowym krótkim kombinezonie i czarnych pończochach, które podkreślały jej smukłe ciało. Wokół głowy obwijała zielony szal w tureckie wzory. Jej czerwona pomadka wyraźnie kontrastowała z ciemnymi oczami i modną opalenizną.

Henry siedział przy pianinie i patrzył, jak wzdycha, wydyma wargi i macha jedną nogą, do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu.

- Pan Ziegfeld wkrótce tu będzie! - ryknął inspicjent. - Chce, żebyśmy popracowali nad układem „Gwiazdka z nieba” z drugiego aktu. Uważa, że jest oklepany.

- Bo jest oklepany. Te dowcipy były stare zanim urodziła się moja matka. A piosenka jest do niczego - warknęła Theta, zapalając papierosa.

- Jak zawsze, dziękujemy ci za bezcenną opinię, Theto - odparował mężczyzna. - Może gdybyś więcej czasu poświęciła na ćwiczenie kroków, a mniej na narzekanie, przedstawienie byłoby lepsze. Dziesięć minut przerwy.

- Mogłabym zatańczyć ten układ z połamanymi nogami - mruknęła dziewczyna, sadowiając się obok Henry ego przy pianinie.

- Ktoś tu jest marudny - zażartował Henry, na tyle cicho, że usłyszała go tylko Theta.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Dzięki za współczucie.

- Wciąż wzdychasz za tym tajemniczym rycerzem w błyszczącej zbroi?

- Gdybyś go poznał, zrozumiałbyś.

- Przystojny? - Henry zagrał namiętny akord. - I to jak.

- Mężny? - Szybki, heroiczny rytm.

- Bardzo.

Muzyka stała się łagodna i romantyczna.

- Czarujący i wrażliwy.

- Aha.

- Bogaty?

Theta pokręciła głową.

- Poeta.

- Poeta? - Opuścił dłonie i rozległ się nieharmonijny brzęk. - Nie słyszałaś, kochanie? Masz wyjść za mąż dla pieniędzy, nie z miłości.

- Śni ten sam sen, co ja, Hen. Widział to szalone oko z błyskawicą i rozstajne drogi. Jakie jest tego prawdopodobieństwo?

- Przyznam, że to dość niesamowite. - Henry zniżył głos.

- Sądzisz, że jest... wyjątkowy, jak my oboje?

- Nie wiem. Po prostu coś w nim było, jakbym znała go przez całe życie. Nie umiem tego wyjaśnić.

Henry zaczął grać stworzoną przez siebie skoczną jazzową melodię.

- Teraz robię się zazdrosny. Theta ucałowała go w policzek.

- Nikt cię nigdy nie zastąpi, Hen. Przecież wiesz.

- Moglibyśmy wybrać się do Harlemu i go poszukać.

- Hotsy Totsy zamknęli na kłódkę.

- Jest mnóstwo innych klubów do sprawdzenia. A później możemy sprawdzić, w którym szukają tancerek, bo wiesz, co powie Flo, jeśli zaczniesz się spotykać z czarnym poetą, posłańcem od liczb.

- Flo nie musi wiedzieć.

- Flo wie wszystko.

Na salę wbiegł Wally, klaszcząc w dłonie.

- Wszyscy na miejsca! Pan Ziegfeld przybył!

Próba była długa i przygnębiająca. Panu Ziegfeldowi nic się nie podobało. Przerzywał każdy układ, wykrzykując:

- Nie, nie, nie! W Skandalach by to przeszło, ale tu jest rewia Ziegfelda! U nas jest inaczej.

Ćwiczyli „Gwiazdkę z nieba” od prawie godziny i nic im nie wychodziło.

- Ten kawałek nie trafia! - wrzasnął pan Ziegfeld z tyłu sali. Był eleganckim mężczyzną o starannie zaczesanych do tyłu siwych włosach i przystrzyżonym wąsiku. Swoje garnitury, a zawsze chodził w garniturze, zamawiał ponoć na Savile Row w Londynie. - Potrzebujemy śmiechu. Czegokolwiek zabawnego.

- Moglibyśmy sprowadzić z powrotem pana Rogersa - zasugerował Wally.

- Nie martwię się Willem Rogersem. Will Rogers mógłby płukać gardło, i to też byłoby śmieszne! Martwię się tym układem.

Wszyscy się denerwowali. Kiedy pan Ziegfeld był niezadowolony, nikt nie był zadowolony. Mógłby ich wszystkich zwolnić i zatrudnić nowy zespół, robiąc z tego chwyt reklamowy.

- Jeszcze raz! - warknął wielki Ziegfeld.

Henry zaczął grać. Gwiazda tego numeru, arogancki piosenkarz imieniem Don, schodził po długich, szerokich schodach, śpiewając z melodramatycznym vibrato:

- „Gwiazdy w niebiosach spadają na ziemię. Powiedz mi więc, kochanie, dlaczego nie mogę paść ci w ramiona jak gwiazdka z nieba i żyć wiecznie tak jak ty...”.

Gdy Theta spojrzała na Henry'ego przy pianinie, przewrócił oczami. „Zatwardzenieeee”, wypowiedział samym ruchem warg i dziewczyna z trudem powstrzymała chichot. Na widowni Flo miał minę, jakby zjadał kiszzonego ogórka.

Skończy się tak, że znów będą powtarzać, uznała Theta. Cały problem polegał na tym, że żadna liczba powtórzeń nie mogła uratować tego układu. Był do niczego - sentymentalny i tandetny. Stawiając kolejne kroki, przypomniała sobie radę, jaką usłyszała w wodewilu - jeśli chcesz ludzi rozśmieszyć, zrób coś nieprzewidywalnego.

Kiedy dziewczęta ruszyły z wdziękiem długimi schodami, Theta celowo poszła w drugą stronę, prześlizgując się w lewo jak obłąkana Isadora Duncan, przeszkadzając pozostałym tancerkom, które musiały ją omijać.

- Uważaj! - wrzasnęła Daisy.

- Przepraszam, matko - odparła Theta, na co reakcją były parsknięcia innych dziewczyn.

- Theto! Co robisz? Wracaj do szeregu! - krzyknął Wally. Theta nie zatrzymywała się. Wpadła na pokrytą brokatem wiszącą gwiazdę.

- Och! - powiedziała, głaszcząc ją, jakby była pijana. - Przepraszam, panie Rogers.

Cały zespół popatrzył nerwowo na Thetę, a później znów na pana Ziegfelda siedzącego na widowni. Zupełnie pozbawiony poczucia humoru Don znów podjął śpiew, spoglądając na Thetę z krzywym uśmiechem. Dziewczyna schodziła niepewnym krokiem po schodach, nucąc głośno.

- Nie przestawaj, Don, kochanie. Jesteś doskonały! Nawet panu Rogersowi się spodobało - powiedziała, wskazując na gwiazdę. - Och, Henry!

Podbiegła do Henry'ego, który siedział przy kulisach i zarzuciła mu ręce na szyję, po czym pocałowała go namiętnie.

- To nic takiego. On jest moim bratem.

- Tylko nic nie mówcie naszym matkom - dorzucił Henry i tym razem roześmiali się wszyscy, poza Donem, Daisy i Wallym, którzy poczerwienieli.

- Panno Knight! Chyba wszyscy mamy już dosyć pani niegrzecznego zachowania...

- Rany, Wally, wczoraj w nocy mówiłeś coś innego - prychnęła Theta.

Krażyła niebezpiecznie blisko krawędzi. Może nawet już ją przekroczyła. Za chwilę mogła wylądować na ulicy. Gdzieś w ciemnościach Flo patrzył, gotów wydać wyrok.

- Panie Ziegfeld, nie mogę pracować w takich warunkach - żołądkował się Don.

Cały zespół umilkł, kiedy wielki Florenz Ziegfeld pomaszerował głównym przejściem między rzędami siedzeń.

- W porządku, Don. Nie musisz. Znajdę sobie kogoś innego. - Pan Ziegfeld spojrział na Thetę, mrużąc oczy. Powoli jego wargi wygięły się w uśmiechu aprobaty dla jej przedstawienia. - To było zabawne.

Theta odetchnęła głęboko.

Ziegfeld wskazał na inspicjenta i zaczął mówić z szybkością ruchu ulicznego w Nowym Jorku.

- Wally, dodaj ten kawałek. Stwórz wokół niego cały numer. I niech w brukowcach pojawi się informacja: „Ziegfeld znajduje nową gwiazdę w osobie...”? - Uśmiechnął się do Thety.

- Theta. Theta Knight.

- Panny Thety Knight. - I jej brata, Henry'ego DuBois - dodała Theta. Tancerki znów zaczęły chichotać, za wyjątkiem Daisy, która stanęła po stronie Dona. Posyłała Thecie mordercze spojrzenia. - I jej brata - powtórzył Flo. - Podoba mi się ten dzieciak. Skąd jesteś, dziewczyno?

- Connecticut - skłamała Theta.

- Connecticut? Kto pochodzi z Connecticut? - Wielki Ziegfeld zrobił taką minę, jakby posmakował skwaśniałego mleka. Spacerował w pobliżu kanału dla orkiestry i myślał. - Jesteś zaginioną potomkinią rosyjskiej arystokracji, twoi

rodzice zostali zamordowani przez komunistów... to wzbudzi sympatię. W środku nocy wierni służący wykradli cię z domu i wysłali statkiem do Ameryki, kraju marzeń. Wally, załatw jej parę zdjęć na statku. Niech ma na głowie kokardę. Wielką kokardę. Niebieską. Nie, czerwoną! Nie, niebieską. Kochanie, zrób żalostną minę.

Theta wzniosła oczy do nieba i uniosła dłonie do piersi.

- Wystarczająco smutna? - spytała kącikiem ust wykrzywionych w ponurym grymasie.

- Doskonale! Jeszcze chwila, a sięgnę po chusteczkę. Zostałaś wychowana przez pełne współczucia zakonnice na Brooklynie... Wally, znajdź mi jakąś prowadzoną przez siostry szkołę na Brooklynie, która potrzebuje datków... którą odwiedziła moja kochana żona Billie... upewnij się, że w gazecie znajdzie się ten fragment na temat Billie i jej zdjęcie z dzieckiem na ręku... a ona usłyszała, jak śpiewasz „Cichą noc”. Czy „Cicha noc” to nie za dużo?

Spojrzał na Henry'ego, który wzruszył ramionami.

- Niech będzie „Cicha noc” - mówił dalej wielki Ziegfeld.
- A ona przyprowadziła cię do mnie, wuja Flo, który zna się na urodzie i talencie. Podoba mi się to. Będiesz sławna, dzieciaku.

- Panie Ziegfeld, Henry mógłby napisać panu kawałek pierwsza klasa. Jest bardzo utalentowany. - Theta spojrzała znacząco na Henry'ego.

- Mógłbym.

- Dobrze, dobrze. Hank...

- Henry, proszę pana.

- Hank, napisz mi ten kawałek. Niech będzie...

- Łatwy do zanucenia - dokończył Henry.

- Właśnie tak!

Henry popatrzył na nią z miną „a nie mówiłem”, a ona odpowiedziała delikatnym wzruszeniem ramion znaczącym „i co na to poradzisz?”.

- Wally, przygotuj ten numer. Ja muszę spotkać się z Billie, jedziemy oglądać wiejską posiadłość. Ta kobieta zna się na wydawaniu pieniędzy. Na szczęście, ja mam ich dużo.

- Pewnie, panie Ziegfeld - odparł Wally i odprowadził wielkiego człowieka do wyjścia. Spojrzał na Thetę, a ona pokazała mu język.

Dziewczęta tłoczyły się wokół Thety, gratulując jej sukcesu, a Daisy wyszła wściekła, klnąc w żywy kamień.

- Nieładnie jest odsuwać innych na drugi plan - rzucił Don, przechodząc obok.

- Gdybyś był dobry, Don, nie udałoby mi się odsunąć cię na drugi plan! - krzyknęła za nim Theta. Uścisnęła Henry'ego.

- Wiesz, co to znaczy?

- Kolejne próby?

- W końcu będzie nas stać na fortepian, Hen. I wszyscy będą wychodzić z przedstawienia, śpiewając twoją piosenkę.

- Chciałaś powiedzieć „nucąc moją piosenkę”?

- Nie wymądrzaj się. To początek.

- Już to widzę. - Henry zrobił szeroki gest. - Florenz Ziegfeld przedstawia niezapomnianą melodię pana Henry'ego DuBois, „Piosenka o zatwardzeniu”!

Theta dała mu kuksańca.

WYWOŁYWANIE DIABŁA

Nowojorska Biblioteka Publiczna, ta wspaniała królowa książek, wznosi się nad Piątą Aleją między 40. a 42. Ulicą, z majestatem, jakiemu może dorównać niewiele budynków. Punktualnie o jedenastej rano Evie dotarła do wspaniałych marmurowych schodów, pewna, że znajdzie w niej dokładnie to, czego potrzebuje, by rozwiązać sprawę Pentaklowego Zabójcy, i że zajmie jej to jakieś pół godziny. Zamęczała detektywa Malloya pytaniami o to, co wiedział o Johnie Hobbesie. Nie było tego wiele, ale powiedział jej, że mężczyzna został powieszony latem roku 1876.

- „Każdego ranka, każdego wieczoru, czyż się nie bawimy?” - nuciła, mijając jednego z pary rzeźbionych kamiennych lwów strzegących wejścia. Poklepała go po prawej łapie. - Słodki kotek - powiedziała i weszła do środka.

Skierowano ją po wijących się schodach na drugie piętro, do dużego pomieszczenia o ścianach wyłożonych boazerią, pełnego regałów. Bibliotekarz, którego mosiężna tabliczka na piersi identyfikowała jako pana J. Martina, podniósł wzrok znad egzemplarza Świata zabawy Edith Wharton.

- Czy mogę pani pomóc?

- Ab - so - lut - nie. - Evie posłała mu promienny uśmiech. - Muszę uzyskać informacje o pewnym mordercy, dla wuja, doktora Williama Fitzgeralda z Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej. Może pan o nas słyszał?

Pan Martin zmarszczył czoło, a Evie czekała.

- Nie wydaje mi się.

- Och. - Evie oklapła. - W takim razie, co mógłby mi pan powiedzieć o mężczyźnie imieniem John Hobbes, który został skazany za morderstwo w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym? Och, i mógłby być pan tak

kochany i się pośpieszyć? U B. Altmana jest bycza wyprzedaż i chciałabym tam dotrzeć przed tłumami.

- Jestem bibliotekarzem, nie wyrocznią - odparł pan Martin. Podał jej kawałek papieru i ołówek. - Czy mogłaby pani zapisać nazwisko?

Evie napisała „John Hobbes, morderca, 1876”. Pan Martin zniknął na chwilę i powrócił z dwiema stertami gazet, umocowanymi na drewnianych prętach, które umieścił na biurku przed Evie. W tych dwóch tomach czekały na nią co najmniej dwa tygodnie pracy. Dziś raczej nie zrobi zakupów. A może wcale.

- To wszystko? - spytała Evie.
- Ależ nie - odparł pan Martin.
- Dzięki niebiosom.
- Za chwilę wrócę z pozostałymi.
- Pozostałymi?
- Tak, jest ich czternaście.

O wpół do siódmej Evie dowlokła się do muzeum. Ciężkim krokiem weszła do biblioteki, mijając stół, przy którym pracowali Will, Jericho i Sam. Rzuciła szal na podłogę i z głębokim westchnieniem opadła na aksamitną kanapę. Nawet nie zdjęła kapelusika.

- Jestem wyczerpana.
- Wydawało mi się, że poszłaś do biblioteki - powiedział wuj Will.

Evie posłała Willowi mordercze spojrzenie, on jednak nie podniósł głowy znad książki.

- A jak myślisz, dlaczego jestem tak wyczerpana? Gdyby ktoś chciał dowiedzieć się czegokolwiek o tym mieście w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym, proszę unieść rękę. Żadnych chętnych? Wstrząsające. - Evie wcisnęła poduszkę w róg kanapy i oparła o nią twarz. - Jest taki straszliwy

wynalazek jak Klasyfikacja Dziesiąta Deweya. I trzeba sprawdzać temat w książkach i gazetach. Kartki, kartki, kartki.

Wuj Will zmarszczył czoło.

- W tej twojej szkole nie nauczyli cię, jak prowadzić badania?

- Nie. Ale za to mogę wyrecytować „Hymn bojowy Republiki”, robiąc martini.

- Płaczę nad przyszłością.

- I tu właśnie jest miejsce dla martini. - Evie ziewnęła i przeciągnęła się. - Myślałam, że prowadzenie badań będzie bardziej malownicze. Podam bibliotekarzowi tajne hasło, a on poda mi tę jedną niezbędną książkę i wyszepce numery stron. Jak w nielegalnej knajpie. Z książkami.

- Nie widzę żadnych książek - powiedział ostrożnie wuj Will.

- Wszystko mam tutaj. - Evie dotknęła czoła. - I tutaj. - Poklepała torebkę.

- Ukradłaś książki z Nowojorskiej Biblioteki Publicznej?
- spytał Will z przerażeniem w głosie.

- O, człowieku małej wiary, wujaszku. Robiłam notatki. - Z zapchanej torebki Evie wyjęła notatnik.

Wuj Will wyciągnął rękę.

- Mogę je zobaczyć?

Evie przycisnęła je do piersi.

- Nie ma mowy. Zmarnowałam cenne godziny młodości i nie dotarłam do B. Altmana. Zabawię się w spikera. - Evie ułożyła się na kanapie, z nogami na oparciu, i przewracała kartki, aż znalazła tę, o którą jej chodziło. - Paskudny John, właściwie John Hobbes, wychowany na Brooklynie w Nowym Jorku, w sierocińcu Mother Nova, do którego trafił w wieku dziewięciu lat. Sprawiał kłopoty, dwa razy uciekał, w wieku piętnastu lat w końcu mu się udało. W kartotekach policyjnych pojawił się ponownie w wieku dwudziestu

dziewięciu lat, kiedy pewna dama oskarżyła go, że ją uśpił i próbował wykorzystać... cóż za niegrzeczny chłopczyk. - Evie uniosła brwi, a Sam się roześmiał.

- Jednak owa dama była prostytutką i sprawę umorzono. Biedactwo.

Evie przerzuciła kartkę.

- Pracował w odlewni, gdzie kazali mu spadać, kiedy złapali go na wykorzystywaniu firmowej stali do własnych celów. W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym notowany za sprzedawanie prochów powracającym z wojny żołnierzom Unii. W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym pracował dla balsamisty... rozumiecie, przedsiębiorcy pogrzebowego, nie gościa sprzedającego kosmetyki. Na boku zorganizował sobie niezły interesik, sprzedając sztywniaków szkołom medycznym. W pewnym momencie objawił się w nowym wcieleniu spirytysty, organizując seanse w Knowles' End, sztywniarskiej posiadłości w śródmieściu, nad Hudsonem. Idzie Knowles, właścicielce tego lokalu, skończyła się kasa i musiała ją sprzedać pani - Evie palcem odnalazła miejsce, którego potrzebowała - Mary White. To była psiapsiółka Paskudnego Johna, bogata wdówka i medium, która bardzo się zaprzyjaźniła z Idą, kiedy jej rodzice umarli. Ta Ida to była niezła laska, ale nie do końca kontaktowała...

- Przepraszam? - spytał Will.

- Była dość łatwowna - wyjaśnił Sam.

- Ponieważ wydała całą kasę na seanse z Mary i Johnem.

Tak czy inaczej, ptaszki ćwierkały...

- To znaczy? - spytał Will.

- Pojawiły się pogłoski - odparł Sam.

- Ze John Hobbes ma kupę prochów, a te ich seanse spirytystyczne powinno się nazywać „seansami spirytusowymi”, bo wszyscy byli niezłe narąbani jakimś

zaprawionym sikaczem, a to, czym się zajmowali, kazałoby każdej świętoszce stąd aż po Topekę sięgnąć po sole trzeźwiące.

Will wyciągnął rękę.

- Mogę?

- Proszę bardzo. - Evie podała swoje notatki, jak również kilka artykułów z gazet, którym Will przyglądał się z niepokojem.

- Jak wy dostałaś je z biblioteki? Evie wzruszyła ramionami.

- Zabiorę je jutro z powrotem i powiem, że bardzo mi przykro, ale pomyliłam je ze swoim egzemplarzem „Daily News”.

- Czy twoja matka wie, że masz umysł przestępcy?

- Dlatego właśnie wysłała mnie do ciebie. Sam wyszczerzył się.

- Niezła robota, dziewczyno. Evie spoczęła na poduszkach i przymknęła oczy.

- Jutro mogę być zbyt zmęczona, żeby pójść do kina. Will spacerował, czytając:

- „...pani Mary White, dość interesująca wdowa, której towarzyszem był pan John Hobbes. Ida nadal mieszkała we wschodnim skrzydle, a ona i Mary bardzo się zbliżyły. Ida jednak nie lubiła zbytnio pana Hobbesa. W liście do kuzyna pisała: »Mary i pan Hobbes zorganizowali wczorajszego wieczoru w salonie kolejne spotkanie spirytystyczne, które skończyło się o nieprzyzwoitej porze. Brałam w nim przez chwilę udział. Pan Hobbes poczęstował mnie słodkim winem, po którym poczułam się bardzo dziwnie. Widziałam i słyszałam tak przedziwne rzeczy, że nie byłam pewna, co jest prawdą, a co nie. Przeprosiłam i udałam się do łóżka, gdzie dręczyły mnie niezwykle sny. Starą księgę, której nie pozwala mi czytać, trzyma zamkniętą w kredensie. 'To księga mojego

bractwa, подарowana mi przez mego drogiego zmarłego ojca, zanim zostałem wysłany do sierocińca, powiedział mi z uśmiechem...«".

- Księga mojego bractwa! - wykrzyknęła Evie. - A niech to!

- „Ale ja nie ufam jego słowom” - czytał dalej Will. - „Gdyż wydaje się, że kłamie z taką swobodą, z jaką inni się śmieją. Kłamie, by zyskać współczucie lub by przerazić. Raz powiedział mi, że ma moc wywołać diabła, gdyby tylko chciał. Dom wypełnia ohydny smród, jakby same mury uległy zepsuciu, i słyszę przerażające hałasy. Ludzie przychodzą i odchodzą o najróżniejszych porach. Większość służby nas opuściła. Obawiam się, że w domu dzieje się coś złego, drogi kuzynie. Błagam cię, przyślij przedstawicieli władz, by to sprawdzili, gdyż jestem zbyt chora, żeby się tym zająć”.

Will umilkł, czytając ukradzione przez Evie artykuły. - To jak skończył ten Paskudny John? - spytał Sam.

- Ida Knowles zniknęła - powiedziała Evie, delektując się opowieścią. - Gliny przyszły to sprawdzić. Paskudny John próbował wciskać im kit, twierdząc, że Ida uciekła z jakimś wałkoniem. Mówił, że on i Mary White nie puścili pary z ust, gdyż obawiali się zrujnować jej reputację, ponieważ - Evie melodramatycznym gestem uniosła dłoń do czoła - kochali ją jak siostrę.

- Co za stek bzdur - stwierdził Sam.

- Ty to powiedziałaś, bracie. Policja też nie uwierzyła w ani jedno słowo. Przeszukali dom i znaleźli dziesięć trupów. Pan Hobbes przyznał, że wiązą się z jego pracą, to jest dostarczeniem truposzy do szkół medycznych. Ale policja tego również nie była pewna.

- I tu wchodzi do gry piosenka - zauważył Jericho.

- „Poderżnie gardło i kości weźmie, sprzeda za grosze dwa” - zanuciła Evie. - A najważniejsze...

- „Po dokładniejszym przeszukaniu” - przeczytał Will - „odnaleźli ciało kobiety. Przypadkiem miała broszkę, która należała do Idy Knowles”.

Evie z rozczarowaniem opuściła ręce.

- Ukradłeś mi show, wujaszku. Will zignorował ją.

- „Choć on i Mary White utrzymywali, że są niewinni, Johna Hobbesa uznano za winnego morderstwa, na podstawie jej listów i broszki, jak również dziesięciu ciał, i skazano na śmierć przez powieszenie”.

- Ciekawe, czy jego trupa sprzedali szkole medycznej - zażartował Sam.

Will wyjął papierosa ze srebrnej papierošnicy i zaczął szukać zapalniczki, najpierw po kieszeniach, później na zabałaganionym biurku.

- Pogrzebali go w zbiorowym grobie nędzarzy. Źadne przedsiębiorstwo pogrzebowe nie chciało go przyjąć, nie miał też krewnych, którzy mogliby odebrać ciało.

- Jak myślisz, czy może istnieć jakiś związek z naszym zabójcą? Czy nasz morderca mógłby znać tę opowieść? Czy sięgnął po kartę z historii? - spytała Evie.

Sam sięgnął za stertę książek po srebrną zapalniczkę z wygrawerowanymi inicjałami Willa. Will zaciągnął się i wypuścił dym.

- Wciąż uważam, że chwytasz się brzytwy, Evangeline. Przyznam, że istnieją pewne korelacje...

Evie wyliczyła je na palcach.

- Kometa. Księga Bractwa. Piosenka...

- A skąd wiesz o piosence? - spytał Jericho.

Evie zwróciła się do Willa, który posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Kobieca intuicja - wyjaśniła.

- Księga mojego bractwa, powiedział Hobbes, to nie to samo - poprawił ją Will. - Semantyka.

- Gesundheit - stwierdziła Evie. - Tu mam coś, co powinno was przekonać. - Pochyliła się, delektując się ich zainteresowaniem, choć po prawdzie Will wydawał się bardziej zniecierpliwiony niż pełen napięcia. - Wspominają o kilku zaginięciach i niewyjaśnionym morderstwie, które nastąpiły w lecie roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego. Znalezione ciało z dziwnym piętnem!

- Pięćdziesiąt lat temu! - zauważył Will. - I nie wiesz, co to było za piętno. Nie widzę, co to ma wspólnego z naszą sprawą.

- Ja też nie - westchnęła Evie. - Ale to interesujące. Stukała palcami o stół, próbując znaleźć powiązania, które rozwiewały się jak dym.

- Co się stało z laską Johna, tą Mary White? - spytał Sam.

- Po tym, jak John Hobbes zawisł, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym poślubiła artystę estradowego imieniem Herbert Blodgett. Wyprowadzili się z Knowles' End. Jest wzmianka o tym, że spadła z konia i cierpiała z powodu słabego zdrowia, ale nic więcej później.

- Pewnie umarła - stwierdził Sam.

Nagle rozległo się gwałtowne pukanie. Evie podbiegła do drzwi, a kiedy je otworzyła, ujrzała grupkę kilkunastu ludzi, którzy stali przed wejściem. Jeden z przodu pokazywał artykuł T.S. Woodhouse'a z „Daily News”.

- Przyszliśmy zobaczyć, o co to całe zamieszanie.

W ciągu kilku dni od pierwszego artykułu T.S. Woodhouse'a, po którym szybko zamieszczono drugi i trzeci, w muzeum pojawiło się więcej zwiedzających niż w ciągu ostatnich lat. Willa zapraszano na wykłady w rozmaite miejsca, od prywatnych klubów po prośzone obiady dam z socjety, gdzie, choć bardzo starał się zachować uczony dystans, pytano go wyłącznie o morderstwa. W lepszych

dzielnicach Nowego Jorku modne towarzystwo, które było zbyt wyluzowane, by przyznać się do strachu, organizowało „kluby morderców”, w których popijali drinki o nazwach Pentaklowa Trucizna, Rozpuszczalnik Voodoo i Koktajl Zabójcy - wysokoprocentową mieszankę whiskey, szampana, soku pomarańczowego i zmiażdżonych wisienek - który podobno sprawiał, że każdy pijący następnego ranka żałował, że obudził się żywy. Morderstwo było kolejnym powodem, by pić i tańczyć przez całą noc. Interes kręcił się coraz lepiej. A Evie miała zamiar to wykorzystać.

Kiedy Evie oprowadzała wycieczki po muzeum, prosta lniana czapka stawała się kornetem wiedzy z Salem, którą oskarżono o taniec z diabłem w lesie. Miska wody, którą naląła tego ranka i umieściła na stole wraz z dwiema zapalonymi świecami, była „błogosławieństwem od mnichów, by uchronić tę salę przed duchowym zepsuciem”. Stworzyła niewielki ołtarzyk i umieściła fragment kości chińskiego robotnika kolejowego razem z fotografią ducha zrobioną w zachodnim Massachusetts i wmawiała łatwowiernym gościom, że to kość dziewczynki ze zdjęcia - dziewczynki, która wciąż nawiedzała muzeum. Przy tych słowach Sam dał w ukryte miechy, sprawiając, że zasłony się poruszały, a wtedy zblazowane dziewczęta i ich eleganccy towarzysze wzdychali i chichotali, podekscytowani bliskim spotkaniem z duchem -

W jedno takie popołudnie Will wrócił z wykładu i odkrył, że muzeum jest pełne gości wylewających się z sali zbiorów. Próbował się zbliżyć, lecz przeszkodził mu w tym pewien młodzieniec, mówiąc:

- Czekać na swoją kolej, staruszk.

Will spojrzał ponad głowami dwóch chłopczych i usłyszał, jak Evie wyklada:

- Oczywiście, musicie być bardzo ostrożni w obecności tych przedmiotów. Są bardzo potężne. Nie chcielibyście, żeby was nawiedzały, kiedy stąd wyjdziecie.

- Mogą to zrobić? - spytała kobieta z pierwszego rzędu. Wydawała się zaniepokojona.

- Ależ tak! - odparła Evie. - Ale dlatego właśnie w sklepie z pamiątkami sprzedajemy talizmany. To repliki starożytnych amuletów, podobno chroniących przed złem. - Evie uniosła niewielki srebrny dysk. - Zawsze mam kilka przy sobie. Nigdy nie można być zbyt bezpiecznym, zwłaszcza gdy po mieście krąży okultystyczny zabójca.

- Evie! - warknął z korytarza Will. - Możemy przez chwilę porozmawiać na osobności?

Na twarzy dziewczyny pojawił się wymuszony uśmiech.

- Oczywiście, doktorze Fitzgerald. To profesor Fitzgerald, kustosz muzeum i jeden z największych uczonych w mieście, jeśli chodzi o rzeczy, które w nocy robią hałas. Jak wiecie, doktor Fitzgerald pomaga policji w śledztwie w sprawie ohydnych zbrodni. Podobnie jak ja.

Tłum jak jeden mąż z wielkim poruszeniem odwrócił się do Willa.

- Proszę nam opowiedzieć więcej o zbrodniach, profesorze! - zawołała młoda kobieta. - Czy to prawda, że wypija ich krew i wkłada ubrania? Czy rzeczywiście dopuszcza się tych zbrodni, by zaprotestować przeciwko prohibicji?

Will spojrzał na Evie, która natychmiast zajęła się wycieraniem nieistniejącej plamy na ścianie.

- Evie, w moim gabinecie. Już, jeśli można.

- Oczywiście, wuj... doktorze Fitzgerald. Zaraz do państwa wrócę. Proszę zachować ostrożność. Nie chciałabym, żebyście zakłócili spokój duchów. Jeśli ktoś chce wydać kasę

na talizmany ochronne, proszę zwrócić się do naszego współpracownika, pana Sama Lloyda w sklepie z pamiątkami.

- Evangeline! Natychmiast!

Evie zamknęła za sobą drzwi niewielkiego gabinetu. Drewno aż drżało od plotek podekscytowanych klientów.

- Tak, wujaszku?

- Co ty wyprawiasz? - spytał Will.

Zapalił papierosa i jednocześnie chwycił garść orzeszków, a teraz wydawało się, że nie wie, co jako pierwsze unieść do ust.

- Oprowadzam wycieczkę.

- Widzę. Co za bzdury opowiadasz tym ludziom?

- Tworzę atmosferę! Wujaszku, w końcu mamy gości w tym lokalu! Płacących gości. Moglibyśmy zrobić niezły interes.

- Nie interesuje mnie „interes”. Jestem uczonym.

- W porządku, wujaszku. Nie będę ci miała tego za złe.

- I od kiedy mamy sklepik z pamiątkami?

- Od wczorajszego wieczoru. Nie rób sceny, nie sprzedajemy bezcennych artefaktów. Wykorzystałam twoją pieczęć, lak i folię aluminiową. Voila! Błyskawiczne amulety.

- To nieuczciwe!

- Nie, to interes - odpowiedziała Evie. Will chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go, błagalnie unosząc ręce. - Wujaszku, kiedy Lucky Strike sprzedaje ci papierosy, czy mówią „mamy dla ciebie produkt tytoniowy w pudełku”? Oczywiście, że nie! Mówią „Lucky Strike są dla mnie!” i pokazują ci zdjęcia pięknych ludzi w pięknych miejscach, palących z taką przyjemnością, jakby... jakby się kochali! Will się rozkaszał.

- Przepraszam?

- Sprawiają, że ich pragniesz. Musisz je mieć. Ma je każdy, kto się liczy, więc lepiej ty też wskakuj na wóz,

dzieciaku, albo będziesz nikim. To właśnie robię z naszym muzeum.

- Naszym muzeum? - Will odłożył orzeszki do miseczki i znów zaciągnął się papierosem. Następnie pogroził Evie palcem. - Nie będziesz już sprzedawała „talizmanów”. I trzymaj się faktów. Czy mówię jasno?

- Jak sobie życzysz - powiedziała Evie. Otworzyła drzwi i wyszła w tłum. - Tędy proszę. Idziemy do sali jadalnej, gdzie prawdopodobnie odbywały się seanse i być może wywoływano duchy - powiedziała, posyłając spojrzenie Willowi. - A choć nie możemy być pewni, plotka głosi, że być może nawet sam prezydent Abe Lincoln komunikował się z tamtą stroną przy tym właśnie stole.

Will zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego.

- Spytaj mnie, ile dziś zarobiliśmy. - Evie uśmiechnęła się promiennie do Sama i Jericho. Była piąta pięćdziesiąt, przed zaledwie dziesięcioma minutami wygonili ostatniego zwiedzającego.

- Ile?

- Wystarczająco dużo, żeby zapłacić za prąd i jeszcze wystarczy nam na kubek herbaty. No dobrze, gorącej wody.

- Zrobiłaś kawał dobrej roboty - stwierdził Sam.

- Zrobiliśmy kawał dobrej roboty - poprawiła Evie. Uderzenie mosiężnej kołatki odbiło się echem od ścian pustego muzeum. Evie spojrzała na zegar.

- Już prawie zamykamy. Spadaj - powiedziała z westchnieniem.

- Mam się ich pozbyć? - spytał Sam.

- Nie, ja to zrobię. Jericho, miej oko na Sama i kasę - zażartowała z mrugnięciem.

Memphis stał na schodach muzeum, wpatrując się w potężne dębowe drzwi. Od kiedy siostra Walker wspomniała o Wróżbiarzach i Liberty Anne, siostrze Corneliusa Rathbone'a, rozmyślał o tym miejscu. Zastanawiał się, czy ten doktor Fitzgerald mógłby rzucić jakieś światło zarówno na sprawę Isaiaha, jak i dziwny symbol z jego snów. Teraz jednak nie był pewien, czy powinien przychodzić. Nawet nie znał tych ludzi. Co mógł powiedzieć, żeby nie zabrzmieć jak idiota? I skąd wiedział, że może im zaufać? Nie był nawet pewien, czy do muzeum wpuszczają czarnych. „Nie masz odrobiny zdrowego rozsądku”, złażał samego siebie, jakby obok stała ciotka Octavia. Miał właśnie ruszyć z powrotem w stronę stacji metra, kiedy potężne dębowe drzwi otworzyły się i o futrynę oparła się drobna, śliczna jak laleczka biała dziewczyna o jasnych lokach i wielkich niebieskich oczach.

- Obawiam się, że muzeum zostanie zamknięte za dziesięć minut - powiedziała przeprasząco.

- Ach, rozumiem. W takim razie wrócę kiedy indziej. Przepraszam, że zawracałem głowę. - Memphis zaklął w duchu, że zmarnował pieniądze na bilet.

- Ojej. Chodź. Ale ostrzegam cię, to był długi dzień i być może będę musiała zdjąć buty.

Memphis podążył za nią do środka potężnej, ciemnej rezydencji, z jej ścianami wyłożonymi boazerią i witrażowymi oknami. Bardziej przypominała katedrę niż stary dom.

- Evie O'Neill, do usług.

- Memphis Campbell.

- Cóż, panie Campbell, ponieważ mamy tylko dziesięć minut, mogłabym szybko oprowadzić cię po sali zbiorów, choć być może będziesz musiał się zdecydować. Co wolisz, wiedźmy, duchy czy kapłanów voodoo?

Memphis otworzył plecak i wyjął zeszyt.

- Jeśli mam być szczerzy, czytałem o was w gazecie i zastanawiałem się, czy mogłabyś mi powiedzieć, co znaczy ten symbol? - Pokazał jej rysunek z okiem i błyskawicą.

Evie przyjrzała mu się uważnie. Pokręciła głową.

- Nie mam bladego pojęcia. Strasznie mi przykro, ale gdybyś wrócił innego dnia, mógłbyś skorzystać z naszej biblioteki i sprawdzić, czy uda ci się go odnaleźć.

- Dziękuję. Tak właśnie zrobię - powiedział Memphis. Frustrowało go to, że wciąż nie poznał odpowiedzi.

Gdy znalazł się blisko drzwi, odwrócił się.

- Coś jeszcze, panie Campbell?

- Tak. Nie. To znaczy, czuję się dziwnie, pytając. Widzisz, na północy, gdzie mieszkam, jest taki stary dom. W tej chwili lokal jest zniszczony, choć, jak słyszałem, kiedyś był całkiem niezły.

Dziewczyna uśmiechała się do niego cierpliwie, jak do słabej na umyśle babci, i Memphis znów uderzyło to, jak absurdalna była cała jego wyprawa. Czuł jednak przymus, by komuś powiedzieć, nawet jeśli to była tylko jego wyobraźnia i robił z siebie idiotę, że się tym przejmował. Zaczął się bawić kłamrą plecaka.

- Widzisz, czasami tam idę i, no... w tym starym domu jest ostatnio coś dziwnego. Wydaje się niemal zamieszkanym i, cóż... - Brzmisz jak wariat, Memphis. - Zastanawiałem się, czy nie macie przypadkiem książek o Knowles' End albo wiecie coś na jego temat. To stara ruina, więc...

- Co powiedziałeś? - Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- Powiedziałem, że to ruina...

- Wcześniej. Czy mówiłeś Knowles' End?

- Tak nazywa się ten dom. A raczej nazywał się przed laty. Teraz są tam tylko pająki i gnijące deski.

Patrzyła na Memphisa tak, że poczuł się niezręcznie. Widział, że drżą jej dłonie.

- Mógłby pan tu zaczekać, panie Campbell? Nie zajmie mi to długo.

Evie O'Neill pośpieszyła korytarzem, obcasy jej butów stukały na podniszczonych marmurowych posadzkach. Memphis stał w pustym holu, ściskając kapelusz, kiedy nagle go oświeciło - a jeśli uważała go za Pentaklowego Zabójcę?

Memphis nie czekał na powrót Evie. Wyślizgnął się frontowym wejściem i biegł przez wiele przecznic. Zwolnił dopiero kiedy zorientował się, że biali zaczynają dziwnie na niego patrzeć. Zmusił się, by iść spacerowym krokiem i uśmiechać się przy tym czarująco, jakby w życiu nie miał żadnych problemów, choć serce nadal biło mu szybciej. Wciąż z szerokim uśmiechem na twarzy, Memphis wyszedł za róg i wpadł prosto na dziewczynę. Złapał ją, kiedy się potknęła.

- Błagam o wybaczenie, panienko!

- Dalej, błagaj - powiedziała dziewczyna znajomym głosem. Memphis wyszczerzył się. Serce znów zabiło mu szybciej, ale tym razem z czystej radości.

- O, Kreolska Księżniczka we własnej osobie!

- Musimy przestać tak na siebie wpadać, poeto - stwierdziła Theta.

W muzeum Evie wróciła, ciągnąc za sobą Willa, Sama i Jericho, jednak hol był pusty, na ulicy również nie było śladu po Memphisie Campbellu.

- Był tutaj! - powiedziała. - I, wujaszku, mówił o Knowles' End! Nie uważasz, że to dziwne?

- Jesteś pewna, że nie był reporterem? - spytał Will.

- Mógłby być - przyznała Evie. - Ale wydawał się uczciwy. Pytał o symbol, oko z... Lepiej to narysuję.

Evie naszkicowała oko z błyskawicą i podsunęła rysunek Willowi. Sam zbliżył się do Evie i zapytał:

- Pytał o ten symbol?

- Mówiłaś, że jak się nazywał? - odezwał się Will.
- Memphis. Memphis Campbell - odparła Evie.
- Wie pan, co oznacza ten symbol, profesorze? - spytał Sam. Z dużym zainteresowaniem wpatrywał się w rysunek oka.

Will obrzucił kartkę spojrzeniem.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem. A teraz proszę, nie przeszkadzajcie mi. Mam co robić.

Obrócił się na pięcie i zostawił ich w holu.

Memphis i Theta siedzieli u pana Reggiego w Harlemie, popijali koktajle czekoladowe i rozmawiali. Theta miała wrażenie, że nigdy nie mówiła tak dużo od czasu, kiedy poznała Henry'ego. Doprowadzała Memphisa do śmiechu opowieściami o wyczynach artystów, a chłopak opowiadał jej o zakładach i zbieraniu liczb, i o tym, jak irytujący potrafił być Isaiah, lecz dziewczyna widziała, jak bardzo przy tym kocha młodszego brata. Rozmawiali tak długo, że stracili rachubę czasu. Theta spóźniła się na przedstawienie, ale zbyła to wzruszeniem ramionami.

- Powiem im, że w metrze był pożar - powiedziała.

- Naprawdę nie masz na nic ochoty? Na kanapkę, może zupę? - spytał Memphis.

- Po raz ostatni powtórzę, że nie - odparła Theta.

Była świadoma tego, że wszyscy w lokalu się na nich gapią. Kiedy podnosiła wzrok i napotykała ich spojrzenia, szybko się odwracali, zajmowali sztucami albo udawali, że czytają gazetę.

Tak wiele pytań chciał jej wciąż zadać. Skąd pochodziła? Czy wciąż śniła o oku? Czy w ogóle o nim myślała od czasu nalotu na klub? Czy ona również leżała bezsennie, wpatrywała się w sufit i wyobrażała sobie jego twarz?

- Dziewczyna Ziegfelda, tak? - powiedział tylko.

- Słyszałam, że stanowisko poety jest już zajęte - zażartowała Theta. - A skoro mowa o poezji, czytałeś Zmęczony blues Langstona Hughesa?

- „Głęboko w noc melodię tę grał” - zacytował Memphis, uśmiechając się szeroko.

- „Gwiazdy zgasły i księżyc też spał” - dokończyła Theta.
- Nigdy wcześniej nie czytałam czegoś tak pięknego.

- Ja też.

Wydawało się, że ich otoczenie się rozplywa - brzęk naczyń na zapleczu, głośny łoskot kasy, cichy szmer rozmów - i był już tylko Memphis, Theta i ta chwila. Dłoń dziewczyny przesunęła się lekko w jego stronę. On również przesunął swoją, delikatnie muskając czubki jej palców.

- Moja koleżanka Alma urządza w tę sobotę imprezę ze zbiórką na czynsz. Może chciałabyś przyjść? - zaproponował.

- Pewnie - odpowiedziała.

Lokal znów się ożywił. Starszy mężczyzna przeszedł obok nich, posyłając im ponure spojrzenie. Memphis i Theta cofnęły dłonie i zamilkli.

STRASZLIWY WYBÓR

Evie i Jericho jedli późny lunch w zaniedbanej jadalni Benningtona. Jericho coś opowiadał, ale Evie zatęła w myślach. Oparłszy brodę na dłoni, wpatrywała się niewidzącymi oczami w kawę, którą bezmyślnie mieszała przez dobre dziesięć minut.

- No i postrzeliłem tego mężczyznę w plecy - powiedział Jericho, sprawdzając, czy Evie go słucha.

- Interesujące - odparła.

- A później obciąłem mu głowę i schowałem ją pod łóżkiem.

- Oczywiście - mruknęła. - Evie. Evie!

Dziewczyna uniosła wzrok i uśmiechnęła się słabo.

- Tak?

- Nie słuchasz.

- Ab - so - lut - nie słucham, Jericho!

- Co przed chwilą powiedziałem? Evie spojrzała na niego tępo.

- Cóż, cokolwiek to było, na pewno było bardzo, ale to bardzo mądre.

- Właśnie powiedziałem, że postrzeliłem mężczyznę w plecy i obciąłem mu głowę.

- Z pewnością na to zasłużył. Och, Jericho, przepraszam. Nie mogę przestać myśleć, że istnieje jakiś związek między tym Johnem Hobbesem a naszymi morderstwami.

- Ale dlaczego?

Evie nie mogła mu opowiedzieć o piosence, a bez tego nie miała właściwie żadnych podstaw.

- Nie sądzisz, że to interesujące, iż przed pięćdziesięciu laty miały miejsce niewyjaśnione morderstwa o podobnej naturze?

- Interesujące, ale to daleka przeszłość. Gdybyś chciała dowiedzieć się o nich więcej, moglibyśmy pójść do biblioteki...

Evie jęknęła.

- Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym tam wróciła. Będę grzeczna. Jericho się uśmiechnął.

- Biblioteka jest twoim przyjacielem, Evie.

- Biblioteka być może jest twoim przyjacielem, Jericho, ale mnie nienawidzi.

- Musisz po prostu nauczyć się z niej korzystać. - Jericho bawił się widelcem. Odchrząknął. - Mógłbym ci kiedyś pokazać, jak to się robi.

Evie wyprostowała się.

- Jericho! - powiedziała z szerokim uśmiechem.

Również się uśmiechnął.

- To żaden problem. Moglibyśmy nawet pójść...

- Znam kogoś, kto mógłby za nas dowiedzieć się o tamtych dawnych morderstwach.

- Kto to taki? - spytał Jericho. Miał nadzieję, że nie wyczuła jego rozczarowania.

- Ktoś, kto jest mi winien przysługę.

Evie podbiegła do budki telefonicznej w Benningtonie i zatrzasnęła za sobą drzwi z matowego szkła.

- Poproszę Algonquin cztery, pięć, siedem, dwa - powiedziała do słuchawki i zaczęła, aż telefonistka odprawi swoje czary.

- T.S. Woodhouse, „Daily News”.

- Panie Woodhouse, tu Evie O'Neill. Dzwonię w sprawie tej obiecanej przysługi.

- Wal.

- Czy może pan wykopać jakieś informacje o sprawie niewyjaśnionego morderstwa na Manhattanie w lecie tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego roku?

Usłyszała śmiech reportera.

- A co, masz sprawdzian z historii, kotku?

- Po prostu niech mi pan przekaże wszystko, co uda się panu znaleźć. Aha, panie Woodhouse, to sprawa między nami. Rozumie pan?

- Cokolwiek mówisz, kotku.

Bardzo z siebie dumna Evie wyszła z budki telefonicznej i ruszyła z powrotem w stronę sali jadalnej. Kiedy mijała windę, drzwi się otworzyły i ujrzała w środku wytrąconą z równowagi Pannę Lillian.

- Ojej. Zjechałam na dół, zamiast pojechać na górę. Męczyła się z zakupami, więc Evie zaproponowała, że zanieś ciężką torbę do jej mieszkania.

- Kochanie, wejdz, proszę - powiedziała panna Lillian. - Tak miło mieć gości. Nastawię czajnik.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - powiedziała Evie, ale starszuszka już poszła do kuchni.

Evie słyszała trzask zapalniczki i syk gazu. Nie miała ochoty rozmawiać. Taki był problem z proponowaniem pomocy starszym ludziom. Prawie potknęła się o burego kota, który miauknął zaskoczony i uciekł. Drugi kot, czarny i żółtooki, wyglądał spod stołu. Było dość ciemno i niewiele widziała. Panna Lillian wróciła do pokoju i zapaliła światło.

- Jakie urocze mieszkanie - wykrztusiła Evie z nadzieją, że jej grymas może uchodzić za uśmiech.

W mieszkaniu panował koszmarny bałagan, wszędzie leżały sterty papierzynek i książek, każdą płaską powierzchnię pokrywały różnorakie drobiazgi - ozdobne zegary pokazujące różne godziny, mosiężne kandelabry z ogarkami ciemnych świec, popiersie Thomasa Jeffersona, oprawiony w ramki obraz ponurych purytanek na wzgórzu, rośliny, uschnięte kwiaty w szklanym wazonie, którego ścianki pokrywała warstwa brudu oraz niewielki kolorowany ferrotyp,

przedstawiający, jak zakładała Evie, młodą Lillian i Adelaidę w wykrochmalonych fartuchach. Gdyby istniała nagroda za zły gust, pomyślała Evie, siostry Proctor byłyby faworytkami.

- Twoja herbata, kochanie. Usiądź, proszę - powiedziała panna Lillian.

Staruszka wskazała na fotel bujany obok starej fisharmonii.

- Dziękuję - odparła Evie, już obmyślając usprawiedliwienia, dlaczego powinna zaraz wyjść: choroba wuja, pożar w budynku, nagły przypadek gangreny.

- Razem z Addie mieszkamy w Benningtonie niemal od początku. Wprowadziłyśmy się na wiosnę tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego. W kwietniu. - Zmarszczyła czoło. - A może w maju.

- Wiosna roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego - powtórzyła dziewczyna z namysłem. - Panno Lillian, czy pamięta pani historię mężczyzny nazwiskiem John Hobbes, który w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym został powieszony za morderstwo?

Panna Lillian wydeła wargi.

- Nie wydaje mi się.

- Oskarżono go o zamordowanie niejakiej Idy Knowles.

- Ach, Ida Knowles! Tak, to pamiętam. Uciekła z łowcą posagów, tak mówili. A później... tak, tak, teraz pamiętam! Ten mężczyzna...

- John Hobbes.

- Został za to skazany. Och, wydawał się złym człowiekiem. Hiena cmentarna, o ile dobrze sobie przypominam. Szarlatan.

- Pamięta pani może szczegóły tej sprawy albo coś, co się z nim wiązało? Cokolwiek? - Evie sączyła herbatę. Miała dziwny posmak.

- Nie, obawiam się, że nie, kochanie. Jestem już staruszką. O, a oto i nasza Addie.

Panna Adelaide trzymała na rękach czarnego, żółtookiego kota i miała na sobie sukienkę najpewniej pochodzącą z czasów prezydentury Teddy'ego Roosevelta.

- Złapałam Hawthorne'a na próbie podjadania moich begonii. Cóż za diabełek - powiedziała, drapiąc pomiaukującego kota.

- Panna O'Neill spytała właśnie o sprawę Idy Knowles... pamiętasz ją, prawda, moja droga?... i tego strasznego człowieka, który został za to powieszony. Ale ja obawiam się, że niewiele pamiętam. Hawthorne, chodź tutaj i zjedz coś.

Położyła odrobinę sałatki z kurczaka na talerzyk u stóp, a wtedy kot wyrwał się z objęć Adelaidy i podbiegł do niego.

- Powiesili go w noc komety - powiedziała panna Addie sennym głosem.

- Komety Salomona? - spytała Evie ostrożnie.

- Tak, zgadza się. Kazał im. To było jego ostatnie życzenie.

- John Hobbes poprosił, by powieszono go w noc Komety Salomona? - powtórzyła Evie. Chciała być pewna, że niczego nie pomyliła. Uderzyło ją to jako coś bardzo ważnego, choć nie miała pojęcia, dlaczego. - Ciekawe, czemu miałyby to zrobić?

- Komety to znaki o wielkim znaczeniu! - Panna Lillian zaśmiała się cicho. - Starożytni wierzyli, że to czas, kiedy zasłona oddzielająca nasz świat od tamtego jest najcieńsza.

- Nie rozumiem.

- Gdybyś chciała otworzyć drzwi do wielkiej krainy duchów, zapewnić sobie powrót, czyż to nie najlepszy moment na zaplanowanie śmierci?

- Ale, panno Proctor, to przecież niemożliwe - sprzeciwiła się Evie najłagodniej jak umiała.

- Ten świat jest niemożliwy - odparła panna Lillian z uśmiechem. - Wypij herbatę, moja droga.

Evie przełknęła resztę napoju i wypluła kawałki listków.

- Ładny talizman - stwierdziła panna Addie, spoglądając na wisiorek Evie,

- Och, to prezent od brata - odparła Evie.

Gdyby opowiedziała im, że James zginął, mogłyby cmokać współczująco albo skierować rozmowę na wszystkich zmarłych krewnych, co zajęłoby cały dzień i noc. Musiała uciekać.

Panna Addie wyciągnęła palec i przesunęła nim po powierzchni półdolarówki. Zbladła.

- Jaki to straszliwy wybór.

- Co ma pani na myśli? - spytała Evie.

- Addie może spojrzeć w głąb nieśmiertelnej duszy - stwierdziła panna Lillian. - Addie, kochana, pozwoliłaś, żeby herbata ci wystygła, a mamy wciąż tyle do zrobienia. - Panna Lillian podniosła się pośpiesznie. - Obawiam się, że muszę cię pożegnać, panno O'Neill. Dziękuję za odwiedzin.

- Straszliwy wybór - powtórzyła Addie, patrząc na Evie z takim współczuciem, że dziewczyna poczuła się wręcz zgubiona.

Na korytarzu wypełnionym niepewnym blaskiem - dlaczego nie mogli się zabrać za naprawę lamp? - Evie myślała o dziwnej ostatniej prośbie Johna Hobbesa. Czy uważał, że może wrócić po śmierci? To było oczywiście absurdalne, tak mógł sądzić szaleniec i egoista, którym najwyraźniej był. Za dwa tygodnie ta sama kometa powróci na niebo nad Nowym Jorkiem.

Kiedy czekała na rządzącą windę, po jej plecach przeszedł dreszcz, choć nie wiedziała dlaczego. Chciałaby porozmawiać z Mabel, pośmiać się na temat koszmarnego wystroju mieszkania sióstr Proctor. Nigdy nie miały tak długiej przerwy

w kontaktach i Evie wahała się między złością na Mabel a straszliwą tęsknotą. Kiedy drzwi windy się otworzyły, jej palec zawisł nad przyciskiem z numerem piętra przyjaciółki. W ostatniej chwili przycisnęła przycisk holu.

W zatłoczonym mieszkaniu sióstr Proctor Hawthorne otarł się z sympatią o nogę panny Adelaidy. W drugim pokoju panna Lillian szczebiotała na temat przebiegu tego dnia. Panna Addie zajrzała do resztek herbaty Evie, przyjrzała się ułożeniu listków na dnie filiżanki i zmarszczyła czoło.

WIĘZIENIE TOMBS

Detektyw Malloy wkroczył do muzeum, przepychając się obok poszukiwaczy dreszczyku i straszliwym grymasem uciszając każdego, kto próbował pytać go o Pentaklowego Zabójcę.

- Wujaszek jest w tej chwili nieobecny, detektywie. Ma pan coś nowego?

Skinął w stronę biblioteki. Evie przekazała oprowadzanie gości Samowi, po czym zaprowadziła detektywa Malloya do biblioteki i zamknęła za nimi drzwi. Mężczyzna rzucił kapelusz na mosiężną figurkę przedstawiającą orła.

- Skorzystałem z tej wskazówki na temat Bractwa. Okazuje się, że w ciągu ostatnich kilku lat sekta się odrodziła. Miejscomi się na nią skarżyli. I zgadnij, kto jest jej przywódcą?

- Domyślam się, że nie Will Rogers.

- Brat Jacob Call - wyjaśnił Malloy.

Detektyw wziął garść orzeszków z kryształowej misy na biurku Willa.

- Chodzą wieści, że głosi nadejście Komety Salomona, a wraz z nią Bestii. - Umilkł na chwilę. - Jak się okazało, hoduje bydło i co kilka tygodni przyjeżdża, do miasta, żeby sprzedawać mięso rzeźnikom.

- Jest rzeźnikiem!

- Owszem. I był tu w czasie każdego z morderstw. Kazałem chłopakom go złapać i sprowadzić tutaj. Ale na razie nie chce z nami rozmawiać. Pomyślałem, że może twój wuj mógłby się z nim zmierzyć.

Evie zagryzła wargi.

- Detektywie, mogłabym spróbować. Malloy uniósł brwi.

- Przesłuchać potencjalnego zabójcę? Obawiam się, że nie.

- Mógłby się otworzyć przed dziewczyną. W końcu nie jestem takim zagrożeniem jak policja.

- Doceniam odwagę, panno O'Neill, ale to nie jest zadanie dla ciebie.

Uchylił kapelusza i życzył jej miłego dnia.

Evie natychmiast wybiegła na zewnątrz. Muzeum było zatłoczone i ten jeden raz żałowała, że tak jest. Zaczęła podskakiwać, próbując zwrócić na siebie uwagę nad głowami płacących klientów.

- Sam! - zawołała. - Sam Lloyd! Potrzebuję cię! Sam pojawił się z uśmiechem u jej boku.

- Wiedziałem, że w końcu to zrozumiesz. Evie przewróciła oczami.

- Ochłoń, stary. Potrzebuję twojej pomocy w dostaniu się do Tombs.

- Jedna nauczka nie wystarczy?

- Och, Jericho! - zawołała Evie. - Mógłbyś tu przyjść? Sam jest mi potrzebny do zadania o niezwyklej wadze.

- Mógłbym ci w tym pomóc - stwierdził Jericho.

- Już to robisz! - zaszczębiotała Evie. Wzięła Sama pod rękę i pociągnęła go w stronę drzwi. - Wszystko ci powiem po drodze.

Sam i Evie pożyczili stary samochód Willa, żeby pojechać z Upper West Side do cieszącego się złą sławą miejskiego więzienia. To była długa droga, a Sam miał nastrój do rozmowy.

- Twoja przyjaciółka Mabel wciąż robi maślane oczy do olbrzyma?

- Jericho? Aha - powiedziała Evie, prawie wzdrygając się na słowa „twoja przyjaciółka Mabel”.

- Co takiego jest w tym gościu?

- Nie lubisz go, bo on cię nie cierpi.

- To nie jest jedyny powód - stwierdził Sam.

- Co to ma znaczyć?

- Nic takiego. Pewnie ty też lubisz olbrzyma. - Jericho?
Och, właściwie jest całkiem miły.

- Czyli go nie lubisz - stwierdził z uśmiechem Sam.

- Tego nie powiedziałam.

Mijali licznych producentów muzyki popularnej przy Tin Pan Alley i zbliżyli się do modnych domów dzielnicy Gramercy.

- Masz chłopaka? - spytał Sam po chwili.

- Żaden chłopak długo mnie nie utrzyma. Sam spojrzął na nią z ukosa.

- To wyzwanie?

- Nie. Stwierdzenie faktu.

- Zobaczymy.

- Nadal jesteś mi winien dwadzieścia dolców - zauważyła Evie.

- Jesteś do mnie o wiele bardziej podobna, niż ci się wydaje, Evie O'Neill.

- Ha!

- To znaczy, chciałem powiedzieć, że podobam ci się o wiele bardziej, niż ci się wydaje.

- Jedź dalej, Lloyd.

Samochód przepychał się wśród tłumów odzianych w ciemne garnitury biznesmenów, którzy mocno trzymali swoje meloniki, by nie porwał ich silny wiatr wiejący od East River i pędzący ulicami wąskimi jak kaniony.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Sam z tajemniczym uśmiechem.

Evie uniosła brew.

- Tak? A co to takiego? Już ci mówiłam, że bank zamknięty.

- Coś na szyję.

Wyciągnął jakiś przedmiot z kieszeni na szyję i podał jej. Evie sapnęła.

- A niech mnie! To wygląda jak prawdziwy diament. Skąd to masz?

- Uwierzysz w hojną ciotunię?

- Nie.

- Tak właśnie myślałem. Tam, skąd to wziąłem, nikt nie będzie za tym tęsknił. Mają ich mnóstwo.

- Sam... - Evie westchnęła.

- Znam ten typ. Nie obchodzi ich, co się dzieje z kimkolwiek poza nimi samymi. Kupują wszystko, co każą im kupować czasopisma i plakaty, a później zapominają, kiedy pojawi się coś nowego.

- A wuj Will sądzi, że to ja jestem cyniczna! - Evie wepchnęła naszyjnik z powrotem do kieszeni Sama. - Nie możesz tak po prostu zabierać rzeczy, które do ciebie nie należą, Sam.

- A czemu nie? Jeśli robią to wielcy przemysłowcy, są bohaterami. Jeśli maluczcy, tacy jak ja, są przestępcami.

- Teraz mówisz jak bolszewik. Powiedz mi, nie jesteś jednym z tych anarchistów, prawda?

- Bomby i rewolucja? To nie w moim stylu. Ja mam swoją własną misję - powiedział Sam. Ostatnie słowa przyszły mu z trudem.

- Jaka to jest misja? Sprowadzanie dziewcząt na manowce za pomocą ukradzionych klejnotów?

Sam spojrzał na nią z ukosa.

- Słyszałaś kiedyś o czymś zwanym Projektem Bizon?

- Wątpię.

- Cóż, jeśli zaczniesz szukać informacji, nic nie znajdziesz. To była tajna rządowa operacja w czasie wojny.

- To skąd ty o tym wiesz?

- Moja matka brała w niej udział. Przeszła jakiś test...

- Test? Co...

- Nie wiem. Cokolwiek to było, zdobyła sporo punktów. Pokłócili się o to z ojcem. Słyszałem ich z drugiego pokoju. Powiedziała, że czuje, że musi pójść. „Co możemy zrobić?” - mówiła. Ojciec powiedział, że nie. Ojciec kocha słowo „nie”. - Sam spochmurniał. - Tak czy inaczej, jakiś miesiąc później pojawili się ci goście z rządu. Mieli papiery ojca. Powiedzieli mi, że mogą go odesłać do Rosji, jeśli nie będzie współpracował. Ojciec nie miał zamiaru wrócić do Rosji, żeby umrzeć z głodu albo dać się zabić. Miał ładny dom i interes, handlował futrami. Tamtej nocy matka spakowała się i wyszła. Przysłała nam tylko jeden list. Większość treści została ocenzurowana. Ale pisała, że robią dobre rzeczy, ważne rzeczy dla kraju. Że to zmieni ludzkość. A później już nie mieliśmy żadnych wieści. Kiedy ojciec do nich napisał, powiedzieli, że umarła na gripę. Miałem osiem lat.

- Przykro mi. To straszne. - W popołudniowym słońcu miasto migotało jak miraż. - Ale Sam Lloyd nie brzmi jak rosyjskie nazwisko.

- Siergiej Lubowicz. Ojciec zmienił nasze nazwisko na Lloyd, kiedy dotarli z matką do Nowego Jorku. Kiedy się urodziłem, uparł się, żeby nazwać mnie Sam. Jak Wuj.

- Wydawało mi się, że wyglądasz znajomo - zażartowała Evie. - Gdzie jest teraz twój ojciec?

- W Chicago, jak sądzę.

- Nie wiesz?

- Nie dogadywaliśmy się z ojcem. On lubi mówić „nie”, a ja miałem mówić „tak”. Nie spodobało mu się, kiedy też zacząłem mówić „nie”. I bardzo mu się nie spodobało, kiedy powiedziałem, że mam zamiar się dowiedzieć, co się naprawdę stało z mamą.

- Mówiłeś chyba, że umarła.

- Tak nam powiedzieli. Dwa lata temu dostałem to. Wyciągnął z kieszeni podniszczoną kartkę z drzewami i górami. Evie udawała, że widzi ją po raz pierwszy.

- Ładna. Gdzie to?

- Nie wiem. Tamte słowa z tyłu. To po rosyjsku.

Evie przyjrzała się delikatnemu, wyraźnie kobiecemu pismu.

- To znaczy „lisek”. Takie przezwisko nadała mi matka. Nikt poza nią mnie tak nie nazywał. Wtedy dowiedziałem się, że matka żyje, i postanowiłem ją odnaleźć. I dlatego wyruszyłem. Zaciągnąłem się do marynarki... ale odkryli, że mam tylko piętnaście lat. Wtedy trafiłem do cyrku.

- Nie mów!

- Słowo harcerza!

- Nie jesteś harcerzem - odparowała Evie. Wpadli na wybój i Evie zatoczyła się na Sama. - Przepraszam. - Cofnęła się, czerwona na twarzy.

Sam uśmiechnął się.

- Nie ma za co. Chyba będę musiał wjechać na kolejny. Evie odchrząknęła.

- Cyrk?

- Cyrk. Uczyłem się na akrobatę. Dobrze sobie radzę na linie. Zwinne stopy. Byłem nawet w latającym cyrku, robiłem sztuczki na skrzydłach.

- Samolotu w locie? Sam wyszczerzył się.

- Powinnaś kiedyś spróbować. Choć, gdybyś chciała zobaczyć kogoś, kto robi to naprawdę dobrze, najlepsza jest Belle Butler, niezwykła akrobatka.

- Mógłbyś mi powiedzieć, kto to?

- Stara przyjaciółka. Evie uniosła brew. - Jakiego rodzaju przyjaciółka?

Sam uśmiechnął się, ale nie zaspokoił jej ciekawości.

- Cyrk dowiózł mnie na Coney Island. Kiedy ruszyli na południe na Florydę, by przezimować, ja postanowiłem zostać tutaj, zobaczyć, czy uda mi się zarobić tyle, bym mógł odnaleźć matkę.

Evie znów spojrzała na pocztówkę. Był to piękny obrazek przedstawiający błękitne niebo i wysokie drzewa, z górami w tle. Oddała ją Samowi, który znów schował ją do kieszeni kurtki.

- To chyba trochę mało.

- Znajdę ją - powiedział Sam zdecydowanym głosem. - Teraz znasz już prawdę o mnie. A co z tobą? Jak wylądowałaś u wuja?

Czy powinna powiedzieć mu prawdę? Wtedy musiałaby przyznać, że próbowała odczytać kartkę jego matki i nic nie zobaczyła. Mógłby się wściec. Albo mógłby poprosić, żeby znów spróbowała. A gdyby jej się nie udało, uznalby ją za kłamczuchę.

- Zabiłam człowieka za to, że ubliżył mojej godności - powiedziała niefrasobliwie.

- Naturalnie. I?

- I... obrabowałam sklep z drobiazgami. Zawsze mi za mało tanich bransoletek.

- Rzecz jasna. I?

- I... oskarżyłam miejscowego złotego chłopca o to, że zrobił dzieciaka pokojówce.

Sam zagwizdał.

- Dla zabawy?

Evie podniosła wzrok. Wydawało się, że słońce wisi tak nisko, że mogłaby go dotknąć, jak migocząca dekoracja z folii na broadwayowskim przedstawieniu.

- Byłam na imprezie pełnej tych „radosnych młodych ludzi”, których tak nie cierpisz. Owszem, należałam do nich.

Było późno, upiłam się i... nieważne, słyszałam takie plotki - skłamała. - Ale okazało się, że to prawda.

- Nie rozumiem. Skoro to prawda, dlaczego cię tu zesłali?

Evie żałowała, że nie może powiedzieć mu prawdy, ale obiecała Willowi, że będzie trzymać buzię na kłódkę, i nie chciała zrobić niczego, co mogłoby zagrozić jej pobytowi w Nowym Jorku.

- Naprawdę zabiłam kogoś w Ohio.

- Hm. A później w Nowym Jorku zaczęły się te morderstwa. Tylko zbieg okoliczności?

- I tu mnie masz, Lloyd. Obawiam się, że będę musiała cię teraz zabić. Bądź kochany i nie ruszaj się, kiedy będę cię dusić. - Evie żartobliwie uniosła ręce do jego szyi, a wtedy Sam szarpnął kierownicą. Samochód skręcił gwałtownie i dziewczyna krzyknęła.

- Odejdę bez hałasu, siostró - powiedział Sam, prostując koła. - Tylko nas nie rozbij.

Zaparkowali należące do Willa starego forda T przecznicę dalej i w drodze do Tombs uskoczyli przed tramwajem grzechocącym na kocich łbach Centre Street. Imponujące, eliptyczne w kształcie więzienie miało wieżyczkę na każdym końcu, a otaczały je wysoki kamienny mur i żelazne ogrodzenie, które sprawiały, że wyglądem bardziej przypominało średniowieczną fortecę niż nowoczesną nowojorską budowlę.

- Jeśli dam ci ten znak - Sam uniósł palec do skrzydełka nosa - to znaczy, że masz odwrócić uwagę stójkowego, kiedy ja będę kradł to, czego potrzebujemy. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale jak się dowiemy, gdzie go trzymają? - spytała Evie z rozpaczą w głosie.

Kiedy znaleźli się w budynku, otoczył ich zgiełk policjantów i złoczyńców. Zupełnie jak na premierze broadwayowskiego przedstawienia zbrodniarzy.

Sam podszedł do policjanta siedzącego przy biurku w pobliżu wejścia.

- Przepraszam. Ta pani tutaj słyszała, że mogą państwo przetrzymywać jej brata, Jacoba Calla.

Oficer porozmawiał z kimś przez telefon i wrócił, kręcąc głową.

- Żadnych odwiedzin.

- Rozumiem. Chcieliśmy się tylko upewnić, że nie trzymacie go pod ziemią. W tamtym miesiącu miał zapalenie płuc i wilgotne powietrze po prostu mu szkodzi - stwierdził Sam.

Policjant zwrócił się do Evie.

- Jest w gabinecie naczelnika na tym piętrze, więc nie musi się panienka przejmować.

Evie zatrzepotała rzęsami i bardzo starała się robić wrażenie zrozpaczonej.

- Dziękuję. Był pan naprawdę kochany.

Sam uniósł palec do nosa w tajnym znaku, a wtedy Evie przewróciła oczami. Zakołysała się.

- Och, ooch... - jęknęła.

Postarała się omdlewać w jak najbardziej atrakcyjny sposób, a policjant ją złapał. Spod przymkniętych powiek patrzyła, jak Sam kradnie jego klucze.

- Och, dziękuję panu bardzo. Może mogłabym gdzieś usiąść, aż poczuję się lepiej?

Policjant zaprowadził ich do środka na ławkę dla oczekujących. Evie mrugnęła do Sama, a on szepnął jej do ucha, aż poczuła dreszcz na karku.

- Siostro, razem moglibyśmy stworzyć piekielnie dobry zespół. Z przodu w grupie pijaków zrobiło się zamieszanie i policjant porzucił Evie i Sama, by pomóc przywrócić porządek. Evie chwyciła Sama za rękę i pociągnęła go w głąb budynku.

- Pozwolę sobie zauważyć, siostró, że to nie jest dla mnie najprzyjemniejszy sposób spędzania czasu - wyszeptał Sam, kiedy przemykali labiryntem korytarzy niesławnego więzienia.

- Jak miniemy strażników? - spytała Evie.

Widziała policjanta siedzącego na taborecie za biurkiem i wypełniającego dokumenty.

- Zostaw to mnie.

- Sam - powiedziała ostrzegawczo, kiedy się zbliżyli. Policjant uniósł wzrok i Evie wydawało się, że spojrział prosto na nich. Słyszała, jak Sam mamrocze coś pod nosem, prawie jak modlitwę. Uniósł rękę, jakby chciał ich osłonić i policjant wrócił do papierkowej roboty, jak gdyby wcale ich nie widział. To było bardzo dziwne i Evie powiedziała sobie w duchu, że wcale ich nie zobaczył.

- Cóż za łut szczęścia - powiedziała.

- Idź dalej - polecił Sam.

Znaleźli Jacoba Calla w obskurnym pokoju wyposażonym w dwa krzesła i stół. Miał na sobie te same ogrodniczki i czarny kapelusz co podczas ich ostatniego spotkania. Na jego szyi nadal wisiał pentakl. Podwinął rękawy i Evie widziała prymitywne tatuaże wyłaniające się spod mankietów.

- Witam ponownie - powiedziała Evie. - Pamięta mnie pan, panie Call?

Brat Call ledwie zaszczycił ją spojrzeniem. - Ano.

- Słyszałem, że nie chce pan nic powiedzieć policji. Dlaczego?

- Im nie powiem. Wam nie powiem - stwierdził.

- Jaka szkoda. Wydaje mi się, że mamy mnóstwo do omówienia. Na przykład to. - Evie położyła na stole Księgę Bractwa.

Jacob Call spochmurniał.

- Skąd to masz?

Evie otworzyła książkę i zaczęła przewracać kartki, ale nie pozwoliła mu nawet spojrzeć.

- Fascynująca lektura. O wiele lepsza niż Moby Dick. Na przykład, ten fragment.

Otworzyła księgę na jedenastej ofercie, Zaślubinach Bestii i Niewiasty Obleczonej w Słońce. Położyła tom na stole i patrzyła, jak Call spogląda na niego z zadziwieniem.

- Rytuał ofiar. Zaczął się, prawda? Przyzywanie Bestii? Mężczyzna pochylił się i z szacunkiem położył dłoń na stronie.

- Jak to widział prorok - stwierdził. - Gdy ogień płonie na niebie, wybrany dopełni ostatniej ofiary. Bestia w nim wzbierze i zacznie się Armagedon.

Evie przeszedł po plecach dreszcz. Walczyła, by zachować panowanie nad sobą.

- A Bestia przybędzie na ten świat poprzez rytualne zab... to znaczy ofiary. Zgadza się?

Jacob Call skinął głową.

- Świat popadł w grzech. Pan oczyści go krwią poprzez wybranego.

- A ty jesteś wybranym - zasugerowała Evie. Mężczyzna wydał wargi.

- Dlaczego miałbym ci powiedzieć? Nie jesteś z policji ani jednym z wiernych. Jesteś zwykłą dziewczyną.

- Podobnie, jak Ruta Badowski była dziewczyną? - warknęła Evie. Ten Jacob Call wcale jej się nie podobał. - Powiedz mi, naprawdę wysłałeś jej oczy policji jako ofiarę dla Bestii, by było wiadomo, że wypełniłeś prorocstwo? - zaryzykowała.

- Ja... zrobiłem to. Na chwałę Pana.

Jacob Call nie byłby dobrym pokerzystą, pomyślała Evie. W tej krótkiej chwili zaskoczenia zdradził się - nie wiedział, że kłamała. Nie znał szczegółów morderstwa.

- A co z dłońmi Tommy'ego Duffy'ego? Co z nimi zrobiłeś? - naciskała.

Jacob Call siedział z kamienną twarzą.

- Powiedziałem wszystko, co żem zamierzał. Już nic nie powiem.

- W porządku. Chciałabym wiedzieć jeszcze tylko jedno, a później dam ci spokój. Ten wisior... Co on oznacza? Jacob Call nadal siedział w milczeniu.

- Spadajmy, Evie - wtrącił Sam. - Słyszę, jak ktoś idzie korytarzem.

- Jest zaiste uroczy! - powiedziała Evie, świadomie go prowokując. - Po prostu muszę taki mieć. Skąd go wzięłeś?

- Pan nie pozwoli, by z niego sztydzić! - Jacob posłał jej wściekłe spojrzenie.

- A kto mówi, że sztydzię z Pana? Chcę tylko znać nazwisko twojego jubilera. A może pozwolisz, żebym odkupiła twój...

Evie wyciągnęła palec, jakby chciała dotknąć naszyjnika, a wtedy Jacob Call walnął pięściami w stół, aż odskoczyła.

- Jest mój i tylko mój. Powiedział bowiem Pan: „Namaszczcie swe ciała i przygotujcie ściany swoich domów. Zwiążcie ducha swego ze Świętym Znamieniem i noście je zawsze na sobie, a będziecie chronieni w życiu tym i następnym. Ale strzeżcie się, by Święte Znamię nie zostało zniszczone. Gdyż wówczas przetniecie więź z duchem swoim!”.

- Rozumiem - powiedziała Evie. Dostała to, po co przyszła. - W takim razie zajrzę do Tiffany'ego. Ale i tak dzięki.

- Co to za bzdury z przywiązywaniem się do Świętego Znamienia? - spytał Sam, kiedy wyslizgnęli się z więzienia i szli energicznym krokiem do miejsca, gdzie zaparkowali samochód Willa.

- Wydaje się, że wierzy, że można związać swojego ducha z tym wisiorkiem, że to jakiś magiczny przedmiot, który pozwala żyć po śmierci.

Sam zagwizdał.

- W co to ludzie nie uwierzą. Myślisz, że to nasz zabójca?

Evie pokręciła głową.

- Nie sądzę. Zabójca nie wysłał oczu Ruty Badowski w paczce. Wymyśliłam to, a on podchwycił.

- Może tylko udaje, że nie wie.

- Może - przyznała Evie, ale nie była przekonana.

Na rogu ulicy gazeciarz reklamował wieczorne wydanie.

- Ekstra! Ekstra! „Daily News”! Pentaklowy Zabójca!
Przeczytajcie!

Evie rzuciła dzieciakowi jakieś drobniaki i zagapiła się na nagłówek:

**ZABÓJCA NAŚLADOWCA! PENTAKLOWY
POTWÓR SIĘGA PO OKRUTNĄ KARTĘ Z HISTORII?**

- Ten drań! - wściekała się Evie. - Dałam mu wskazówkę, a on wykorzystał ją, żeby wyrobić sobie nazwisko!

- Nigdy nie ufaj prasie, laleczko - stwierdził Sam.

Evie przerzuciła kartki i razem przeczytali artykuł, stojąc na ulicy pośród tłumu pieszych.

- „W lecie roku 1875 częściowo rozłożone ciało niezidentyfikowanego mężczyzny znaleziono na torze wyścigowym w Belmont. Ciało nosiło ślady dziwnych tatuaży, w tym pięcioramiennej gwiazdy, a do koszuli przyczepiono kartkę. Żywioły zmyły większość atramentu, ale dwa słowa pozostały czytelne »jeździec« i »gwiazdami«". - Evie aż sapnęła. - Błady Jeździec Niosący Śmierć pod Gwiazdami. Trzecia ofiara. Rzeczywiście sięga po kartę z historii.

Wskoczyli do samochodu Willa i szybko wrócili do muzeum, a gdy Sam parkował, Evie wpadła do środka, przeszkadzając Willowi w zajęciach.

Uniosła gazetę.

- Znalazłam trzecią ofiarę! - Wybiegła, pozostawiając oniemiałego Willa ze studentami.

Will chwilę później wpadł do biblioteki.

- Evie, co ty, u diaska, sobie myślałaś, przerywając mi zajęcia?

- Wujaszku, posłuchaj! - Przeczytała mu fragment artykułu T.S. Woodhouse'a. - Pięćdziesiąt lat temu! Trzecia ofiara miała miejsce pięćdziesiąt lat temu...

- Evie - powiedział Will.

- Dlatego zabójca zaczął od piątej ofiary... ponieważ pierwsze cztery już nastąpiły, a on tylko kończy zadanie!

- Evie, Evie! - przerwał jej Will. - Jacob Call się przyznał.

- Że co?

- Pół godziny temu. Terrence do mnie zadzwonił. Przyznał się do wszystkiego. Powiedział, że jest wybranym, który miał sprowadzić koniec.

- Ale on nie jest zabójcą. Nie może nim być.

- Ależ jest, Evie. Policja w Nowym Bractwie potwierdziła, że przez ostatnie sześć miesięcy nauczał o nadejściu Bestii i przybyciu Komety Salomona. Przyznał się do popełnienia zbrodni. To już koniec - stwierdził stanowczo Will. - Może dziś wieczorem zrobisz sobie wolne i pójdziesz na tańce z przyjaciółmi? Zasłużyłaś na to. Muszę wracać na zajęcia.

Evie siedziała na szerokich schodach i słuchała wypływającego z sali głosu Willa, który opowiadał o naturze zła. Jericho usiadł obok niej.

- W kinie Palace grają dziś Fausta Murnaua.

- Cudownie - powiedziała Evie, próbując uporządkować myśli.

- Zastanawiałem się, czy może byś... Rozległo się pukanie do drzwi.

- Zobaczę, kto to. - Evie westchnęła. - Pewnie kolejny reporter.

- Chciała pójść ze mną - dokończył Jericho, odprowadzając ją wzrokiem.

Czarnoskóra kobieta stojąca na schodach muzeum była wysoka, szeroka w ramionach i elegancka. Miała na sobie brązowy kostium w kratę i beżowy kapelusz z czerwoną wstążką. Nie wyglądała na reporterkę, zachowywała się raczej jak królowa.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytała Evie. Uśmiech kobiety był uprzejmy, lecz oficjalny.

- Szukam doktora Williama Fitzgeralda.

- Obawiam się, że właśnie prowadzi zajęcia.

- Rozumiem. - Kobieta pokiwała głową, jakby się nad czymś zastanawiała. - Mogę zostawić wizytówkę?

- Naturalnie.

Kobieta wyjęła z torebki prostą kremową wizytówkę. Evie przeciągnęła palcem po literach. Panna Margaret Walker, adres w śródmieściu.

- Pracuje pani dla pana Fitzgeralda? - spytała kobieta. Słowo „pracuje” wypowiedziała dość dziwnie, z niejaką podejrzliwością, która kazała Evie zachować rezerwę.

- Jestem jego siostrzenicą, Evie O'Neill.

- Siostrzenicą - powtórzyła panna Walker. - Cóż. To ciekawe. Evie nie wiedziała, co myśleć o panie Margaret Walker. Nieczęsto ktoś sprawiał, że czuła się tak zaniepokojona.

- A czy pani współpracuje z moim wujem, panno Walker? Wargi kobiety zadrżały, przez chwilę nawet malował się na nich grymas przypominający uśmiech.

- Nie. - Kobieta zaczęła schodzić, po czym się odwróciła.
- Panno O'Neill, jeśli wolno mi spytać, ile ma pani lat?

- Siedemnaście.

- Siedemnaście... Życzę miłego dnia, panno O'Neill.

Evie odwróciła wizytówkę i z zaskoczeniem odkryła, że Margaret Walker pozostawiła krótką wiadomość, napisaną pismem równie precyzyjnym i rzeczowym, jak ona sama.

„To wraca”.

Co wracało? Kim była Margaret Walker? I kim była dla Willa?

Wróciwszy do biblioteki, Evie z zaskoczeniem zastała w niej Willa.

- O, już skończyłeś. Ktoś chciał się z tobą widzieć. Kobieta. Zostawiła wizytówkę.

Will wpatrzył się w nazwisko na kartoniku. Odwrócił go i przeczytał drugą stronę.

- Kim ona jest, wujaszku?

- Nikim, kogo bym znał - odparł Will i wyrzucił wizytówkę Margaret Walker do kosza.

ZAPAKUJ KŁOPOTY

Evie śniła.

W zgodzie z przedziwną, zapętłającą się logiką snu, siedziała na starej drewnianej huśtawce za rodzinnym domem w Ohio, a James ją bujał. Czuła rozpaczliwą potrzebę, by obejrzeć się za siebie, upewnić się, że on tam jest, i wyszeptać ostrzeżenie, ale huśtawka wznosiła się coraz wyżej i wyżej, a Evie mogła jedynie mocno się trzymać. Za czwartym razem uniosła się tak wysoko, że wisiołek spadł jej z szyi. Wyciągnęła rękę, by go złapać, i spadała w dół, w dół, w dół, w aksamitną wieczność.

Kruk wyrwał jej z palców naszyjnik i poleciał z nim w pełne burzowych chmur ciemnoszare niebo nad olbrzymim polem pszenicy. Z chmur wystrzeliła błyskawica i uderzyła w ziemię. Zboże zapłonęło. Evie uniosła rękę, by osłonić twarz przed gorącem.

Kiedy ją opuściła, znajdowała się na opuszczonych ulicach wokół Times Square. Pod wielkim plakatem reklamującym Marlowe Industries na wózku inwalidzkim siedział weteran i grzechotał kubkiem.

- Nadszedł czas - powiedział.

Ładna kobieta ze zdjęcia wuja Willa przejechała obok na łyżwach, śmiejąc się.

- To cały ty, Williamie - powiedziała.

Evie usłyszała śmiech, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Willa, młodego Willa z rodzinnych zdjęć. Gdy znów spojrzała, to był James, stojący na obrzeżach znajomego lasu we mgle. Był blady. Tak bardzo blady. Nieobecny wzrok i cienie pod oczami. Zamachał do Evie, a ona podążyła za nim przez lasy, do obozu. Na beczce stał patefon, odgrywający marszową piosenkę Pack up your troubles in your old kit bag. „Zapakujcie problemy do starego worka i śmieJCie się, śmieJCie, śmieJCie...”.

Worki z piaskiem tworzyły mur przed długim okopem. Zapora z drutu kolczastego rozciągała się na całe kilometry. A wszystko spowijała mgła.

„Nie pozwólcie, by radość i śmiech poczuły kłopoty. ŚmieJCie się chłopcy, to jest szyk...”.

Nad linią drzew pojawił się długi, poszarpany dach, jak zapomniany baśniowy zamek we mgle. Gdzie był James?

Płyta obracała się. „Po co się martwić? To nigdy nie miało sensu...”.

Żołnierze stali i rozmawiali, jedli z puszek i pili z manierek. Zamrugła i na ułamek sekundy chłopcy stali się szkieletowymi widmami. Evie wrzasnęła i zasłoniła oczy, a kiedy znów spojrzała, byli zwykłymi żołnierzami. Jeden uniósł manierkę w jej stronę w geście toastu. Uśmiechnął się, a wtedy z jego ust wyskoczyła szarańcza.

„Zapakujcie problemy do starego worka i śmieJCie się, śmieJCie, śm...”.

Ziemią wstrząsnął wybuch. Kolumna ostrego białego blasku przeszła niebo i rozprzestrzeniała się falami, dziesiątkując drzewa i żołnierzy - ciało odpadało od kości, oczy znikwały z oczodołów, kończyny topiły się, usta otwierały się w bezdźwięcznym krzyku, a patefon zasyczał. Evie biegła. Jej bose stopy brodziły w krwawym błocie, które plamiło koszulę nocną, twarz i ramiona. Krew stała się makami, które wyrastały obok wypalonych drzew. Widziała Jamesa przed sobą, zwróconego do niej plecami. Był cały i zdrowy!

James. Zawołała go po imieniu, ale w świetle snów nie wydawała dźwięków. James, James! Była tak blisko. Dotrze do niego i razem uciekną z tego straszliwego miejsca. Tak, uciekną. Nic im nie będzie. Będą...

Obrócił się powoli w jej stronę, zdjął maskę przeciwgazową, a wtedy zobaczyła, że jego piękna twarz jest

upiornie biała i szkieletowa, a pozbawione warg zęby błyszczą.

I zaczął się topić, jak wszyscy pozostali.

Evie obudziła się, drżąc. Usiadła, podciągnęła kolana do piersi i zaczekała, aż jej oddech się uspokoi. Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie. Wyczerpana, poszła do kuchni napić się wody, a później usadowiła się na fotelu w gabinecie Willa i próbowała się uspokoić, porządkując bałagan na jego biurku. Podniosła kryształowy przycisk do papieru. Nożyk do listów. Oprawione w ramki zdjęcie kobiety, którą widziała, kiedy trzymała rękawiczkę Willa. Gdyby chciała, mogłaby ścisnąć którąkolwiek z tych rzeczy w dłoniach, skupić się i poznać tajemnice Willa. Jericho też. I Sama, Mabel i Thety. Lista była nieskończona. Uznała jednak, że to byłaby swego rodzaju kradzież, poznawanie sekretów ludzi bez ich zgody. I nie była pewna, czy chce wziąć na siebie odpowiedzialność związaną z wiedzą.

Odstawiła zdjęcie na miejsce i opuściła dłoń na półdolarówkę na szyi. Jej obecność ją ogrzewała. Nigdy nie umiała jej odczytać - moneta była zbyt nasycona własnymi wspomnieniami. Ale lubiła czuć jej ciężar na szyi. To było ostatnie, co łączyło ją z Jamesem, a James łączył ją ze wszystkim, co dobre. Przypomniła sobie kartkę urodzinową, która towarzyszyła prezentowi:

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, dziewczyno.

Masz już siedem lat? Nim się zorientuję, będziesz przypinać gardenie do letnich sukienek i siadać z dżentelmenami na ganku przed domem - rzecz jasna, pod czujnym okiem twojego kochanego brata. Obawiam się, że Francja jest koszmarnie błotnista. Ty byś się świetnie bawiła, robiąc babeczki z błota i rzucając nimi w Niemców. Jutro jest wielki dzień, więc przez jakiś czas nie będę pisał. Masz małą

pamiętkę od swojego starszego brata. Nie wydaj wszystkiego na cukierki w sklepie Hale'a.

Całuję,

James

Tydzień później dostali ten koszmarny telegram, że James nie żyje, a jej rodzina została rozbita i sklejona z powrotem, jak upozowane zdjęcie za popękaną szybką.

Na biurku Willa leżała egzemplarz „Daily News” otwarty na artykule T.S. Woodhouse'a o Pentaklowym Zabójcy. Jej brat od dawna nie żył, a gdzieś w tym mieście morderca łamał ludziom serca. Evie obróciła wisiołek i myślała o pogrążonych w żalu rodzinach Ruty Badowski, Tommy'ego Duffy'ego i Eugene'a Meriwethera. Wiedziała, jak to jest czekać na kogoś, kto nigdy nie wróci do domu. Wiedziała, że smutek, jak blizna, z czasem blakł, ale nigdy nie znikał do końca. Wuj Will nie chciał, by wykorzystywała swoje talenty do złapania zabójcy, uważał to za zbyt niebezpieczne. Mylił się. Niebezpiecznie było z nich nie korzystać. Zresztą, to nie miało znaczenia, skoro Jacob Call się przyznał. Dlaczego nie czuła się z tym lepiej?

Jericho zapomniał zaciągnąć zasłony i teraz obudził go neonowy blask miasta, które nigdy nie spało. Podeszedł do lustra i stał przed nim nagi od pasa w górę, przyglądając się sobie. Był wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z szerokimi barami rolnika, którym by został, gdyby się nie rozchorował. Cicho wysunął szufladę biurka i wyjął skórzane etui z kryjówki pod stertą złożonych podkoszulek, rozwinął je i przeciągnął palcem po ciemnoniebieskich fiołkach. Chciał opuścić pięść i je zmiażdżyć. Zamiast tego wyciągnął ręce przed siebie i trzymał je tak przez kilka długich sekund, patrząc, a potem je opuścił. Jego dłonie nie drżały, skóra była gładka, oczy błyszczące. Serce biło spokojnie, uspokajająco. Gdyby ktoś na niego spojrzał, nigdy by się nie domyślił.

Jedynie ktoś bardzo bliski mógłby poznać prawdę. A on nie zamierzał pozwolić, by ktokolwiek się tak zbliżył.

Wyczuł poruszenie w mieszkaniu, a kiedy uchylił odrobinę drzwi, zobaczył, jak Evie wychodzi z gabinetu Willa i wraca do pokoju. Błękitne światło padające przez okna podkreśliło kształt jej ciała pod nocną koszulą i Jericho poczuł łaskotanie w brzuchu. Upomniał się, że nie powinien patrzeć, ale nie przestawał. Kiedy zniknęła mu z oczu, cicho zamknął drzwi i zaczął robić pompki. Przeszedł przez wyczerpującą serię powtórzeń, odliczając je w głowie: trzydzieści... pięćdziesiąt... sto. Kiedy skończył, na jego ciele błyszczała cienka warstwa potu, co nappełniło go ulgą. Pot był dobry. Zdrowy. Normalny. Znów wyciągnął ręce. Spokojne jak skała. Ukrył etui pod koszulkami i zasunął szufladę.

W Harlemie impreza Almy trwała w najlepsze. Trąbka Gabe'a zawodziła i wyła. W niewielkim mieszkanku na parterze tłum gości tańczył i pił, śpiewał i krzyczał w noc. Kiedy Memphis wkroczył do środka pod rękę z Thetą, powitały go uniesione brwi i kilka spojrzeń. Wszystko się skończyło, gdy Rita, przyjaciółka Almy, podeszła prosto do Thety i spytała głośno:

- Masz szluga?

- Mam dziesięć. Którego chcesz? - odpowiedziała Theta. Na te słowa Rita się roześmiała i rzuciła:

- Jest w porządku.

Później już było dobrze. Wkrótce wszystkich pochłonęła świetna zabawa. Lub prawie wszystkich. Gabe wciągnął Memphisa w kąt.

- Bracie, kiedy powiedziałem ci, że powinieneś znaleźć sobie dziewczynę, nie chodziło mi o białą.

Memphis nie chciał się kłócić z przyjacielem, więc powiedział jedynie:

- To wolny kraj.

Poszedł do kuchni, żeby kupić kilka drinków, a Gabe podążył za nim.

- Wcale nie. Wiesz o tym.

- Cóż, powinien być.

- Powinien a jest to nie to samo. Co się stanie, kiedy jej się znudzisz albo, co gorsza, o coś cię oskarży? Pamiętasz Rosewood?

- Dwa piwa! - rzucił Memphis do sprzedawcy alkoholu. - Dlaczego przypominasz mi teraz o tym miasteczku, Gabrielu?

- Tamto miasteczko doszczętnie spłonęło, bo biała kobieta powiedziała...

- Gabrielu! - zawołała Alma ponad zgiełkiem. - Będziesz dał w ten róg czy gadał przez całą noc?

- Nie wkurzaj się, kochaniutka - odpowiedział Gabe z uśmiechem, który jednak zniknął z jego twarzy, gdy zwrócił się do Memphisa. - Nie wystarczy, że włóczą się po okolicy i zajmują najlepsze stoliki w naszych klubach, a my nie możemy u nich nawet usiąść?! Albo że próbują przejąć nasze interesy od środka, jak to się stało z Hotsy Totsy? Teraz ty chcesz paradować z jedną z nich?

- Nie paraduję, Gabrielu.

- Bracie, sam się prosisz o kłopoty. Zrób nam wszystkim przysługę. Odprowadź ją do drzwi, znajdź jej taksówkę jadącą do śródmieścia i pożegnaj się.

- Nie mów mi, jak mam kierować swoim życiem, Gabe - powiedział Memphis.

Gabe chwycił Memphisa za rękaw.

- Nie próbuję nim kierować, próbuję je uratować. Złapią cię niewłaściwi ludzie, a nie uda ci się wyleczyć tego, co ci robią.

- Mówiłem ci, że już nie lecę - powiedział Memphis przez zaciśnięte zęby.

Wyślizgnął się z uścisku Gabe'a, zapłacił za piwo i przepchnął się przez roztańczony tłum do miejsca, gdzie Theta siedziała i machała nogą w rytm szalonych melodii, które Count wygrywał na pianinie.

- Wszystko w porządku, poeto? - spytała Theta.

- Ja? Ja się nie martwię.

- Pewnie, że nie. - Theta spojrzała mu w twarz. - Trochę tu duszno, co? Może powinniśmy wyjść i złapać oddech?

Mieszkanie Almy było zapchane od miejsca, w którym siedzieli, aż po drzwi na drugim końcu. Próba przebicia się zajęłaby im całą wieczność. Memphis wskazał więc na okno. Wraz z Thetą wyszli przez nie i znaleźli się w zadbanym, kwadratowym ogrodzie przeciętym sznurkami, na których wisiało pranie. Powietrze było rześkie, co stanowiło przyjemną odmianę po zaduchu wewnątrz.

- Skąd jesteś? - spytał Memphis.

- Zewsząd.

- Ale skąd pochodzi twoja rodzina?

- Ludzie w tym kraju bardzo lubią wiedzieć, skąd się pochodzi i z jakiej rodziny - mruknęła Theta. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Ojciec zmył się, zanim się urodziłam. Matka zostawiła mnie na schodach jakiegoś kościoła w Kansas, kiedy byłam jeszcze mała. Miałam trzy latka, gdy adoptowała mnie niejaka pani Bowers. Nie nazwałbyś jej pełną matczynych uczuć. Kiedy tylko nauczyłam się stepować, trafiłam do teatru Orpheum, osiem przedstawień tygodniowo.

- Nie umiem sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek mógł cię porzucić - powiedział Memphis z taką szczerością, że Thecie zaparło dech w piersiach.

- Ostrożnie, poeto. Jeszcze mogę zacząć ci wierzyć.

- Jestem wiarygodnym gościem.

- Tak? Udowodnij to. Powiedz mi jakąś tajemnicę o sobie. Memphis zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział.

- Kiedyś umiałem uzdrawiać - powiedział w końcu. - Nazywali mnie Uzdrowicielem z Harlemu. Cudownym Memphisem. Raz w tygodniu w kościele stałem z przodu i kładłem dłonie na głowach ludzi, zabierałem ich cierpienie i choroby.

- Żarty sobie ze mnie robisz? - Theta miała bardzo poważną minę.

Memphis pokręcił głową.

- Chciałbym. - Opowiedział jej o śmierci matki, jak tamtej nocy utracił dar i nigdy go nie odzyskał. - Pewnie i dobrze.

Theta słuchała uważnie. Widziała, że jest szczery. Chciała mu opowiedzieć o Kansas. O tym, co zrobiła i dlaczego musiała uciekać. Ale jaki gość zostałby z nią, gdyby usłyszał coś takiego?

- Chodź tutaj.

Theta zgięła palec i Memphis podążył za nią w wąską uliczkę między dwoma rzędami prania. Tak ukryci, pocałowali się, a wokół nich szalała noc. Ich wargi smakowały słodko ciastem kokosowym Almy i domowym piwem.

- To się dzieje bardzo szybko, nie sądzisz? - spytał Memphis. Nie pamiętał czasu, kiedy nie znał Thety, gdy nie wypełniała jego myśli i snów.

- Życie pędzi szybko, poeto.

Memphis objął jej policzek dłonią i przysunął wargi do warg. Nikt wcześniej nie całował Thety tak jak on. Byli niezręczni chłopcy przepełnieni nerwowym pożądaniem. Właściciele teatrów, starsi „wujkowie”, którzy ją obmacywali, kiedy przechodziła, albo którzy chcieli „sprawdzić” jej kostium, by upewnić się, że jest stosowny aż po bieliznę. Takim mężczyznom pozwalała czasem na pocałunek, żeby

uchronić się przed czymś gorszym. I oczywiście Roy. Piękny, okrutny Roy, którego pocałunki były znaczące, jakby musiał podbić Thetę, napiętnować ją swoimi ustami. Tamci mężczyźni nigdy naprawdę nie widzieli Thety. Ale pocałunek Memphisa był inny. Namiętny, lecz łagodny. Wzajemne zrozumienie w pożądaniu. To był dzielony pocałunek, Całował ją. Był z nią. Memphis cofnął się.

- Wszystko w porządku?

- Nie - stwierdziła Theta.

- Co się stało?

Theta spojrzała na niego zza gęstych, ciemnych rzęs.

- Przestałeś.

Przyciągnął ją do siebie. Chwyciła sznurek na pranie, żeby się przytrzymać, i ze śmiechem padli na ziemię w stercie prania, które trzeba będzie znów wyprać.

- Zostańmy tutaj - powiedział Memphis, a Theta wsparła głowę na jego piersi, nasłuchując spokojnego bicia jego serca, gdy ją tulił.

Na zewnątrz miasto poruszało się i wzdychało przez sen. Para z sykiem wznosiła się nad studzienkami kanalizacyjnymi i owijała wokół latarni jak ogon zapomnianego bóstwa. Głęboko pod ziemią, w na wpół ukończonych tunelach nowych linii metra szczury biegły wzdłuż torów tuż przed tym, co w ich wyobrażeniach je goniło, coś bardziej straszliwego od najgorszych szczurzych koszmarów. Tania wróżka, której związek z duchami ograniczał się do pociągania sznurka palcem u nogi, żeby wywołać stukanie, poczuła nagle potrzebę, by zasłonić kryształową kulę tkaniną i zamknąć ją na klucz w szafie. W Chinatown dziewczyna o ciemnych włosach i zielonych oczach ukłoniła się z szacunkiem przodkom, pomodliła się i przygotowała do wędrówki w snach, pośród żywych i umarłych. Na północy nad Hudsonem, w porzuconej, zrujnowanej wiosce wiatr niósł

straszliwe śmiertelne krzyki widmowych mieszkańców, a dźwięk odbijał się słabym echem w wiosce poniżej, tak że mężczyźni zgięci nad warcabami na tyłach sklepu wielobranżowego popatrzyli po sobie nerwowo i przerwali rozgrywkę, aż wiatr i dźwięk zniknęły. Gdzie indziej w kraju działo się podobnie - matka śniła o zmarłej córce i, jak mogła przysiąc, obudziła się, słysząc mrożące krew w żyłach słowa: „Mamo, wróciłam”. Członek Ku - Klux - Klanu, który opuścił spotkanie w lesie, żeby odlać się przy starym drzewie, nagle podskoczył, jakby poczuł zwisającą stopę, która przesunęła się po jego ramionach, naznaczając go. Nic tam nie było, ale i tak potarł ramiona i pośpiesznie wrócił do ognia i braci w bieli. Młody Odżibwej przyglądał się, jak srebrzysty jastrząb krąży nad jego głową i znika. W starym domu na wsi mały chłopiec obudził rodziców.

„Dwie dziewczynki wołają mnie, żebym pobawił się z nimi w chowanego na polu kukurydzy” - szepnął.

Zaspany ojciec kazał mu wracać do łóżka, a kiedy chłopiec mijał okno na piętrze, zobaczył, jak świetliste dziewczynki w długich spódnicach i bluzkach z kołnierzykami znikają na polu, krzycząc żałobnie:

„Chodź, chodź pobawić się z nami...”.

A jeszcze dalej, na szerokich preriach owianych legendą w amerykańskim umyśle, stała ukryta w cieniu postać, czekająca na swoją chwilę jak strach na wróble oczekujący żniw.

ARCHANIOL GABRIEL

Gabe nie czuł obecności duchów, kiedy szedł na zachód w stronę domu. W głowie wciąż mu szumiało po skręcie, którego wypalił na imprezie Almy. Noc zrobiła się chłodna, więc nachuchał w dłonie, żeby je rozgrzać. To był dobry dzień, najlepszy w życiu Gabe'a. Poznał wielką Mamie Smith. Miał zaledwie osiemnaście lat, ale inni muzycy traktowali go jakby był jednym z nich, uśmiechali się, gdy wygrywał solówki, komplementowali jego zagrania.

Jedyną chmurą była kłótnia z Memphisem. Co on sobie myślał, przyprawdzając tę dziewczynę na imprezę? Owszem, była ładna. Ale w okolicy było mnóstwo ładnych dziewcząt, które nie sprawiały kłopotów - a przynajmniej nie większe niż przeciętna kobieta. Nie podobało mu się, że rozstali się w złości. Memphis i Theta zmyli się bez pożegnania. Jeśli tak chciał to rozegrać, świetnie. Kiedy dziewczyna rzuci go dla jakiejś białej grubej ryby, kto będzie musiał nadstawić rękawa, żeby Memphis mógł się wypłakać? Gabe, rzecz jasna.

Zaskoczył go dźwięk. Raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy. Takt na trzy czwarte, jak nierówno wygrywany walc. Ale kiedy się obrócił, nikogo nie zobaczył.

Zaczynał się denerwować Memphisem i dziewczyną, co zabijało jego dobry nastrój. Uniósł kołnierz kurtki dla ochrony przed wiatrem wyjącym od Hudsonu i ruszył dalej. Wiatr musiał się zadowolić popychaniem puszki na ulicy. Na górze jęczały puste tory kolejki nadziemnej na Dziewiątej Alei. Gabe odgrywał w głowie najlepsze chwile tego dnia. Ściskanie dłoni Clarence'a Williamsa, który obiecał mu świetlaną przyszłość z wytwórnią Okeh Records.

„Będiesz grał dla każdego” - powiedział i Gabe poczuł się ustawiony.

Znów przerwał mu ten dźwięk - raz, dwa trzy, raz, dwa trzy, stuk, krok, krok, stuk, krok, krok.

- Jest tam kto?! - zawołał Gabe w mrok.

Coś wyskoczyło spomiędzy szerokich opon zaparkowanego forda i Gabe krzyknął. Kiedy kot ruszył dalej ulicą, szorując brzuchem po ziemi, chłopak roześmiał się.

- Rany, kocie. Następnym razem zaanonsuj się wcześniej. Ja nie mam dziewięciu żywotów.

Potrząsając głową, szedł dalej, nucąc pod nosem kawałki piosenki Mamie Smith, a jego dłonie nieświadomie poruszały się na niewidzialnej trąbce. Ażurowe tory kolejki nadziemnej sprawiały, że na ziemię padały pasy światła i Gabe znów przypomniawszy sobie ostrzeżenie Isaiaha. „Most. Nie przechodź pod mostem”. Nigdy by nie powiedział tego przyjacielowi, ale z Isaiahem było wyraźnie coś nie tak. Ta cała sprawa z przepowiadaniem przyszłości była dobrym przykładem. Mały przesadził z żartem - Gabe prawie uwierzył, że dzieciak też był przerażony. Zbyt bogata wyobraźnia - na tym polegał problem z tym chłopcem.

Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, stuk, krok, krok.

Znów ten przeklęty dźwięk. Gabe się odwrócił. Nagle zrobiło się bardzo mgliście. Światła klubu Whoopee wydawały się odległe i niewyraźne.

„Nie przechodź pod mostem. On tam jest”.

Gabe postawił kołnierz. Dlaczego pozwalał, by dręczyły go głupie słowa chłopca? Odgłos kroków odbijał się echem. Wydawało się, że dochodzi ze wszystkich stron. Mgła jeszcze zgęstniała. Jak to możliwe? Jak mogła zgęstnieć w ciągu kilku chwil? Czy zbliżył się do rzeki? Czy się zgubił? Gabe poczuł się zdezorientowany. Którędy mógł wrócić do klubów? We mgle rozległo się gwizdanie.

- Gabrielu...

Ktoś wołał go po imieniu. Nie rozpoznawał głosu.

- Kto tam? - Gabriel, anioł. Posłaniec...

- Memphisie, to ty? Spadaj...

Gabe szukał czegoś, czym mógłby się w razie czego zamachnąć, ale nic nie widział. „Nie przechodź pod mostem. On tam jest .

Jeśli to był żart, Gabe wcale się nie śmiał. Szybko ruszył przed siebie.

Mężczyzna wyszedł z mgły jakby się z niej narodził. Ubranie miał staromodne i trzymał w ręku laskę ze srebrną gałką. Uśmiechał się do Gabe'a. To był zimny, zimny uśmiech i Gabe'owi zrobiło się słabo.

- Archanioł Gabriel, którego trąba wstrząsnęła posadami niebios.

- Jeśli szukasz trębacza, ja jestem zajęty w zespole Counta
- powiedział Gabe.

Serce waliło mu szybko w piersi. To był jakiś dziwny gość z laską, który do tego pewnie był pijany. Mógłby go pokonać, gdyby do tego doszło. To dlaczego nagle tak się bał?

"Nie przechodź pod mostem. On tam jest. Umrzesz".

- Gabriel, którego trąba zwiastowała narodziny Jana Chrzciciela. Jezusa Chrystusa. I którego wołanie zaświadczy o nadejściu Bestii - mówił dalej dziwny mężczyzna. Jego oczy wypełniał ogień i Gabe odkrył, że nie może odwrócić wzroku.
- „A ósma ofiara była ofiarą anioła, wielkiego posłańca, którego niebiańska muzyka poruszała sfery niebieskie i przywitała ogień na niebiosach. I oto zagrał na swej złotej trąbie i zapowiedział narodziny Bestii".

Mężczyzna jakby rósł. Jego oczy były bliźniaczymi płomieniami, a skóra się poruszała. Zmieniała.

- „I powiedział Pan, niech każdy język wita i sławi Starożytnego Smoka, gdyż Jego jest ścieżka prawości".

We mgle rozbrzmiał straszliwy zgiełk demonicznych szeptów, tchnienie samych piekieł.

- Spojrzysz na mnie, Gabrielu? Spojrzysz na mnie i będziesz zadziwiony?

Gabe odkrył, że nie może się odezwać, gdyż stała przed nim istota nie do opisania.

KNOWLES' END

Gazety ogłaszały aresztowanie Jacoba Calla wielkimi nagłówkami: ZABÓJCA ZŁAPANY! O, BRACIE - TA SPRAWA ZOSTAŁA ROZWIĄZANA! WSZYSTKO DOBRZE! Choć detektyw Malloy utrzymywał publicznie, że Jacob Call jest jedynie podejrzanym, opinia publiczna już go osądziła i uznała winnym. Ale Evie rozmawiała z mężczyzną. Widziała, że nie wiedział zbyt wiele o zabójstwie Ruty Badowski. Zupełnie jakby chciał zwrócić na siebie uwagę, kiedy już go aresztowali.

Na znak pojednania Evie zostawiła Mabel prezent - zdjęcie Jericho, które gdzieś się poniewierało. Owinęła je krótkim liścikiem: „Przepraszam, okrągła buźko. Wybaczysz swojej złej kumpeli? Evie”. W odpowiedzi Mabel od razu przyszła, przytuliła przyjaciółkę i obiecały sobie, że już nigdy się nie pokłócą. Evie zorganizowała lunch z Jericho, po czym przy stole ogłosiła, że strasznie jej przykro, ale musi pilnie zadzwonić. Kiedy wróciła po czterdziestu minutach, pozostała dwójka prowadziła uprzejmą rozmowę na temat twórczości Tołstoja. Nie były to jeszcze fajerwerki namiętności, ale nie było też żadnych niegrzecznych odzywek, więc dziewczyna uznała to za dobry znak.

Teraz, owinięte fartuchami, siedziały na krzesłach w salonie piękności przy 57. Ulicy, a dwie fryzjerki czesały i układały ich włosy.

- Miałabyś ochotę na przygodę?! - zawołała Evie ponad szumem wody w umywalce.

- Jaką przygodę?! - odkrzyknęła Mabel.

- Nie ufasz mi, prawda?!

- Ha!

Rozmowa ucichła na chwilę, gdy fryzjerki osuszały ich włosy ręcznikami, a następnie zaprowadziły je na krzesła.

Tam zabrały się do pracy, układając włosy Evie w fale i rozczesując długą czuprynę Mabel.

- Są takie chwile, kiedy jeden przyjaciel wymaga ślepego zaufania od drugiego, moja droga. To jest właśnie ta chwila - powiedziała Evie po długiej przerwie. - Poza tym, czy kiedykolwiek sprowadziłam cię na manowce?

- Chcesz dostać listę?

- A gdybym ci powiedziała, że chodzi o Pentaklowego Zabójcę i że mamy podjąć konieczne śledztwo? - Grzebień fryzjerki zatrzymał się nad włosami Mabel. Evie posłała kobiecie spojrzenie. - Założę się, że wtedy byś ze mną poszła, co? - Absolutnie, że tak! Wzięłabym rewolwer i posłała mu sześć kulek. A potem bym go zadźgała, tak na wszelki wypadek. - Fryzjerka wzruszyła ramionami i wróciła do czesania. - Trzeba mieć pewność.

- I to jak - zgodziła się Evie.

- Auć! - jęknęła Mabel, gdy grzebień natrafił na splątane włosy. Uniosła rękę do bolącej głowy.

- Przepraszam, panienko. Niezła czupryna. Myślała kiedyś panienko, żeby się ostrzyć?

- Nawet niech pani nie próbuje - westchnęła Evie. - Od wieków próbujemy ją namówić.

- W porządku - powiedziała Mabel. - Zrobię to! Evie uścisnęła przyjaciółkę.

- Mabel, w końcu znalazłaś się w dwudziestym wieku! Hip, hip, hura!

- Carpe diem! - stwierdziła Mabel. Fryzjerka potrząsnęła głową.

- Ja się tam nie znam na tych zagranicznych gwiazdach filmowych, ale będzie panienko doskonale wyglądać w takiej fryzurze jak Clara Bow - powiedziała i złapała za nożyczki.

Słońce było piękną, wielką kulą, kiedy Mabel i Evie wysiadły z pociągu przy 155. Ulicy i ruszyły na północ ulicami, wzdłuż których stały wielkie budynki mieszkalne w stylu elżbietańskim i mniejsze kamienice. Minęły tawernę Old Wolf i sklep spożywczy Johnsona, wyszły za róg, obchodząc agencję nieruchomości pośredniczącą w wynajmie mieszkań i ruszyły w stronę rzeki, gdzie domów było mniej. Dwóch chłopaków w zakurzonych ogrodniczkach grało w piłkę, opisując przy tym swoją grę, jakby to była rozgrywka drużyny bejsbolowej Yankees.

- Przy bazie Babe Ruth, wielki Bambino, król uderzeń, zamachnął się w stronę trybun...

Chłopcy skinęli im głowami, a Evie się zamachnęła.

- Uderz jak prawdziwy mistrz! - powiedziała. W końcu dziewczęta skręciły w Knowles' End, zapomnianą boczną uliczkę, która wspinała się na wzgórze nad Hudsonem. Dom wznosił się na wietrznym pagórku jak gargulec.

- Proszę, nie mów mi, że tam idziemy - sapnęła zdyszana Mabel. To była niezła wspinaczka. - Pewnie zjedzą nas szczury albo spotkamy monstrum doktora Frankensteina.

- Czyż to nie będzie wspaniałe popołudnie? Przynajmniej wyjdiesz z najbardziej szykowną fryzurą w mieście. Włosy masz naprawdę ostatni krzyk mody! Tak się cieszę, że postanowiłaś je obciąć!

Mabel nie dała się zauroczyć.

- Evie. Dlaczego mnie tu sprowadziłaś? Co to ma wspólnego ze śledztwem w sprawie morderstwa?

- Wierzę, że to może być kryjówka Pentaklowego Zabójcy. Mabel gapiła się na nią, oszołomiona.

- Theta miała rację, kiedy nazwała cię Evil. Wierzę, że potrzebujesz pomocy Zygmunta Freuda. To jedyna osoba, która ma jakąkolwiek szansę zrozumieć działanie twojego bardzo chorobliwego umysłu.

Evie wzięła przyjaciółkę pod ramię.

- Powiem ci coś bardzo tajnego, a związanego ze sprawą. Ale musisz przysiąc na Biblię Króla Jakuba...

- Jestem ateistką.

- To musisz przysiąc na biblię ateistów, że nikomu nie powiesz.

- Nie ma czegoś takiego jak biblia ateistów.

- To powinniśmy ją napisać. Przysięgnij na grób samego Szejka!

- Przysięgam na grób Valentino - powiedziała Mabel.

- Mam informacje z dobrego źródła, że w tym domu możemy znaleźć wskazówki potwierdzające tożsamość zabójcy. - To nie było do końca kłamstwo.

- Myślałam, że policja już zamknęła zabójcę... tego Jacoba Calla, czy jak mu tam. - Mabel przez chwilę patrzyła Evie w twarz. - Nie wierzysz, że jest Pentaklowym Zabójcą.

- Nazwij to przecuciem.

- O, nie. Nie, nie, nie!

- Proszę, Mablesie. Muszę to zrobić.

Złamała się i powiedziała Mabel wszystko, czego nie zdradziła jej wcześniej na temat śledztwa - o trzymaniu w dłoni klamerki buta Ruty Badowski, pogwizdywaniu, związkach Jacoba Calla z Knowles' End i dziwnej, krótkiej wizycie Memphisa Campbella w muzeum, w czasie której wspomniał, że dom wydaje się zamieszkaany.

- Rany, Evie - powiedziała Mabel, drżąc, a później zaczęła myśleć. Evie znała miny przyjaciółki i wiedziała, że ta właśnie obmyśla plan. - Nie pójdziemy tam bez odpowiednich środków ostrożności. - Mabel wezwała Evie gestem i ruszyła w dół wzgórza, w stronę chłopców rzucających piłkę. - Znacie ten stary dom na wzgórzu?

- Nie, panienko - powiedzieli.

- Ktoś tam mieszka? Widzieliście, żeby ktoś wchodził albo wychodził?

- Nikt tam nie wchodzi. Nawet jeśli to zakład - stwierdził jeden chłopak z naciskiem.

Mabel popatrzyła na Evie, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz?”.

- Cóż, my wchodzimy. To... taki zakład. Naszej korporacji studenckiej - poinformowała ich Mabel. Drugi chłopiec potrząsnął głową.

- To wasz pogrzeb, panienko.

- Chcielibyście zarobić dziesięć centów?

Chłopcy podążyli za nimi aż na róg ulicy - podobno matki nie pozwalały im chodzić dalej.

- Jeśli z panną O'Neill nie wyjdziemy w ciągu trzydziestu minut, sprowadźcie policję - poinstruowała ich Mabel.

- Dla nikogo nie pójdziemy po gliny. Są nie lepsi od tego domu.

- A może, jeśli nie wrócimy za trzydzieści minut, z całej siły rzucicie tą piłką w okno, a potem pobiegniecie po matki. Możecie to zrobić?

- To nasza jedyna piłka do bejsbola.

- Pięćdziesiąt centów - zaproponowała Evie.

- Pięćdziesiąt centów? Panienko, będę rzucał jak sam Babe Ruth.

- Byczo! - Evie wręczyła każdemu po ćwierćdolarówce. - Posłuchajcie, ufamy wam, że zostaniecie na stanowisku jak porządni goście i będziecie pełnić straż. Jesteście rycerzami, którym powierzono misję.

- Że co?

- Gapcie się na tę norę i nie ważcie mi się zmyć - powiedziała Evie.

Kazała im splunąć i przysiąc, a później wraz z Mabel ruszyły w stronę potężnej ruiny Knowles' End.

W swoim czasie dom z pewnością odznaczał się urodą, miał wspaniałe wieżyczki, taras, dwa niewielkie kominy i jeden bardzo duży, do tego łukowate okna. Ale teraz okna zabito dechami, a dwie okiennice, które jeszcze pozostały, wisiały na pojedynczych gwoździach i mogły zaraz odpaść. Dwuskrzydłowe dębowe drzwi poszarzały ze starości. Blizny znaczyły miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się kołatka, ale zniknęła - sprzedana lub skradziona. Drzwi były zamknięte na klucz.

- Musi być jakieś wejście do środka. Sprawdźmy z drugiej strony - powiedziała Evie.

Potknęła się o coś na podwórku i zobaczyła, że to lalka. Jej porcelanowa twarz popękała i w szczelinach przypominających blizny pojawiła się pleśń.

Na tyłach znajdowało się wejście dla służby. Evie wyjęła szpilkę do włosów i bez trudu otworzyła prosty zamek. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i dziewczęta znalazły się w pokoju kredensowym z wysokimi serwantkami. Śmierdziało zgnilizną i kurzem. Słabe promienie słońca padały przez otwory okiennic.

Evie wyjęła z kieszeni latarkę, której promień ukazał popękany sufit i kurz.

- Do diaska, czego ty tutaj szukasz, Evie?

Nie była pewna. Potrzebowała czegoś, co mogłaby odczytać.

- Zobacz, czy uda ci się odnaleźć stary wisior z pentaklem.

- Pentakl, jak Pentaklowy Zabójca? - spytała niepewnie Mabel.

- To tylko wisiorek - skłamała Evie. - Spokojne, staruszko. Ojej...

Evie wkroczyła do pomieszczenia, które w swoim czasie musiało być salą balową. Niektóre z mebli okryto płachtami,

przez co miejsce przypominało bardziej cmentarz niż dom. Obok sporego kominka stała aksamitna sofa. Jej pokrycie zbutwiało, a wypełnienie wysypywało się na podłogę. Brudna żółta tapeta zwisała ze ścian. W niektórych miejscach całkiem się wytarła, ukazując przegniłe belki. Cokolwiek miało wartość, zostało dawno zabrane. Nie było książek, sreber ani bibelotów, niczego, co mogłoby jej pomóc. Zniknęło nawet oświetlenie. W jednym rogu stał fortepian, któremu brakowało kilku klawiszy. Evie uderzyła w jeden, a brzęk odbił się głośnym echem. Spomiędzy dwóch klawiszy wypełził nieduży czarny pająk i Evie gwałtownie cofnęła dłoń. Na przeciwległej ścianie wisiało popękane lustro, odbijając pokój. Dziewczynie wydawało się, że w jednym z odłamków widzi jakieś poruszenie, i podskoczyła.

- Co się stało? - spytała Mabel i Evie zorientowała się, że to jej przyjaciółka się zbliżyła.

- Nic takiego. - Evie objęła wzrokiem cały pokój. - Ciekawe. - Co?

- Stojąc na zewnątrz, widziałam jeden wielki komin, ale ten kominek jest malutki.

- Nie mamy czasu oddawać się krytyce architektury, Evie. Za chwilę ci chłopcy pobiegną po matki. O ile już nie pobiegli do najbliższego baru po koktajle. Nie powinnaś im dawać pieniędzy z góry.

- Szukaj dalej - poleciła jej Evie.

- Czego? - spytała Mabel. Nie wiem.

- Idę na górę.

Mabel podbiegła do niej.

- Evangelino Mary O'Neill, nie zostawisz mnie ani na chwilę! Trzymam się ciebie, jak George i Ira Gershwin.

- O, rapsodio. Już nigdy nie będę błękitna - rzuciła Evie, choć dziwnie się czuła, żartując w takim grobowcu.

- Mogłabyś się ruszyć?

Wielkie schody prowadziły na piętro. Elegancko rzeźbione słupki balustrady były w niektórych miejscach przegniłe. Schody skrzypiały pod ich stopami i Evie miała tylko nadzieję, że uniosą ich ciężar. Omiotła światłem latarki surowe olejne portrety, srebrzyste od pajęczyn. Na szczycie znajdował się długi korytarz prowadzący w prawo i w lewo, wzdłuż którego ciągnęły się drzwi. Evie miała oczy szeroko otwarte, cały czas szukając czegoś, co mogłaby zabrać, co mogłaby odczytać, czegoś osobistego.

- Tędy - powiedziała Evie, skręcając w prawo.

Naciskała klamki kolejnych drzwi, ale wszystkie były zamknięte na klucz. Na tyłach domu znalazły kolejne schody. Te były wąskie, zabudowane i prowadziły do pokoju na poddaszu z mansardowym oknem, zabitym deskami. Przez pęknięcia wpadały wąskie promienie słońca, które jednak nie wystarczały, by rozproszyć mrok. Evie pomachała latarką. Jej promienie ukazały łoże z baldachimem. Komodę z trzyczęściowym lustrem. Szafę. Mabel ostrożnie otworzyła jej skrzypiące drzwi. Wewnątrz było pusto, pozostało jedynie kilka kapeluszy. W komodzie znalazły pociemniałe lustro i szczotkę do włosów.

Nagle Mabel wrzasnęła.

- Co się stało? Co się stało? - spytała Evie z walącym sercem.

Mabel wciąż piszczała, pokazując na łóżko. Kiedy światło latarki ukazało uciekającego szczura, dziewczęta wpadły na siebie, cały czas wrzeszcząc.

- To ostatnia kropla, Evie! - wykrztusiła Mabel. - Możemy iść, proszę?

- W porządku - powiedziała Evie.

Nie mogła jednak odpędzić poczucia, że jej się nie powiodło. Kiedy odwróciła się, żeby wyjść, zaczęła o coś nogą i wpadła na Mabel.

- Evie! Chcesz mnie przerazić na śmierć?

- Przepraszam. - Evie zwróciła światło latarki w stronę podłogi. Część deski przegniła, a poniżej widziała jakiś ukryty pakunek.

- Przytrzymaj to. - Podała Mabel latarkę. Z sapnięciem oderwała deskę.

- Nie mów mi, że masz zamiar włożyć tam rękę - powiedziała Mabel.

- W porządku. Nie powiem ci.

Evie stłumiła krzyk i wsunęła palce pod zbutwiałą deskę, w mroczną przestrzeń poniżej, starannie macając w poszukiwaniu przedmiotu. Kiedy go pochwyciła, wyszarpnęła go z krzykiem i cała zadrżała.

- A niech mnie! Nie chcę tego powtarzać. Mabel przycisnęła się do niej.

- Co to takiego?

Evie wytarła warstwy kurzu z pudełka po pończochach i uniosła wieko. Wewnątrz znajdowała się mała skórzana książeczka. Mabel trzymała latarkę, a Evie otworzyła książkę na przypadkowej stronie. Na górze znajdowała się data: 22 marca 1870 r.

- „Dziś papa leży na stole w jadalni, okryty całunem, gotowy do pogrzebu. Jestem ostatnią z Knowlesów. Och, ale jestem zagubiona” - przeczytała Evie. - Dziennik Idy Knowles - powiedziała w zadziwieniu.

- Czy na to właśnie liczyłaś?

- Lepiej!

- To cudownie. Spadajmy. To miejsce sprawia, że przechodzą mi po plecach ciarki.

Zbiegły po schodach najszybciej, jak mogły, i Mabel ruszyła w stronę kuchni, którą weszły. Jednakże uwagę Evie przyciągnęły drzwi powoli otwierające się na drugim

końcu korytarza za jej plecami. Nie zauważyła ich wcześniej. A jeśli była tam jakaś ważna wskazówka?

- Evie! Chodźmy! - syknęła Mabel, ale Evie już dotarła do drzwi.

Weszła do środka i znalazła się w małym pomieszczeniu. Były tam kolejne drzwi, umieszczone, co dziwne, pośrodku ściany. Nacisnęła klamkę, a wtedy klapa w podłodze ustąpiła i dziewczyna wpadła do szybu na pranie. Lecąc w dół, z wrzaskiem drapała gładkie ściany; próbowała się czegoś złapać, w jakiś sposób spowolnić spadanie. Kiedy wyleciała na drugim końcu, jej płaszcz zaczepił o coś ostrego i zawisła. Ostrożnie wysunęła się z płaszcza, ale opuszczając się, cały czas się go trzymała. Okrycie rozerwało się przy kołnierzu i spadła. Wylądowała na ubitej ziemi, z nieprzyjemnym łupnięciem, od którego zazgrzytały jej kości. Niczego nie złamała, ale nie miała latarki, a jej nowy brokatowy płaszcz był w strzępach - kawałek jaskrawej tkaniny zaczepił się na wylocie szybu.

Evie podniosła się z trudem. Zaczekała, aż jej wzrok przyzwyczai się do mroku i pomieszczenie zacznie nabierać niewyraźnych kształtów. Stare palenisko. Stół ogrodniczy zawalony narzędziami. Pościel wisząca na sznurku, sztywna i zakurzona. Jedna z rzeczy poruszyła się lekko i Evie czuła łoskot krwi w uszach. Nikogo tam nie było. Ale rzeczy się poruszyły, była tego pewna. Uniosła rękę i poczuła lekki podmuch. Skąd? W tym ciemnym grobowcu nie było okien.

- Evie! Wszystko w porządku? - Przerażony głos Mabel odbijał się echem od szybu na pranie. - Evie!

- Mabel, kochanie, szkoda, że tego nie widzisz, tu jest lokal pierwsza klasa, a John Barrymore właśnie robi mi koktajl z szampanem - zażartowała Evie, żeby się uspokoić.

- Nie waż się ze mnie szydzić!

- Wszystko na medal, okrągła buźko. Szukam schodów. Za chwilę będę na górze.

Mabel nadal gadała. To właśnie robiła, kiedy się denerwowała, ale Evie była jej wdzięczna, potykając się w mrocznej piwnicy. Uniosła rękę i podążyła za słabym podmuchem.

- ...nie wierzę, że mnie na to namówiłaś...

Podmuch doprowadził do ściany. To niemożliwe - powietrze nie mogło się przesączać przez mur.

- ...już nigdy, przenigdy nie podążę za tobą do wyłomu, Evil O'Neill...

Było tak ciemno. Evie macała ścianę, szukając spojenia. Wydawało jej się, że w ciszy słyszy szepty, cichy, monotony dźwięk. Dostała gęsiej skórki. Tak, szepty. Jak szelest skrzydeł. Brzęczenie owadów. Ciche warczenie psów. Tysiące języków szepczących jednocześnie.

- Spokojnie, dziewczyno, spokojnie - powiedziała do siebie. Tak mówił do niej James, kiedy uczył ją, jak jeździć na łyżwach po zamrożonym stawie, trzymając ją za rękę.

Teraz jej dłonie drżały, podobnie jak oddech. Usłyszała chrzęst, gdy stanęła na czymś twardym. Pochyliła się, by odnaleźć ten przedmiot, i odkryła, że to kawałki kryształowej klamerki buta. Jak ta, której brakowało na bucie Ruty Badowski. W jej głowie kłębiły się myśli i zrobiło jej się słabo. Rzuciła klamerkę jak coś nieczystego. Powróciły szepty. Wydawało się, że w ciemnościach coś się porusza. Stare palenisko nagle zapłonęło i Evie aż się cofnęła. Równie szybko zgasło.

Na górze usłyszała głośny trzask, a później krzyk Mabel.

- Mabel! Mabel! - zawołała Evie.

- Te bachory rzuciły piłkę! - wrzasnęła dziewczyna. - Lepiej spadajmy, zanim przyjdą ich matki i każą nas aresztować za wtargnięcie na teren prywatny.

Evie potykała się po piwnicy, szukając wyjścia, i prawie krzyknęła z radości, kiedy znalazła schody. Szybko pobiegła w górę po rozchwianych stopniach i zaczęła walić w drzwi, aż Mabel ją wypuściła. Ramię w ramię wypadły przez frontowe drzwi na słońce, nie zamykając ich za sobą i nie zatrzymując się, aż dotarły na peron metra i ujrzały pociąg turkoczący na torach długiego metalowego kręgosłupa miasta.

Evie wiedziała, że Will się wścieknie, kiedy opowie mu o wyprawie do Knowles' End, ale miała nadzieję, że da się przekonać, gdy pokaże mu dziennik Idy, który udało jej się wyrwać z rąk Mabel z obietnicą, że przeczytają go razem, kiedy już podzieli się swoim odkryciem z wujem Willem. Teraz usadowiła się przy stole na piętrze biblioteki muzeum, przy zielonej lampce, i przeczytała kilka wpisów na końcu.

7 września 1874. Dziś był wieczór cudów! W ciemnym salonie moja droga Mary obcowała z duchami mojej zmarłej matki i ojca. Wzięliśmy się za ręce, a Mary i pan Hobbes mówili w dziwnych językach. Rozległ się stukot, a świeca zamigotała ponad woskową zasłoną i zgasła. Znaleźliśmy się w ciemnościach.

- Nie bój się, maleńka - powiedziała Mary w transie, a ja od razu wiedziałam, że przez nią mówi mój kochany papa.

Och, usłyszeć jego słowa dochodzące z tak niewyobrażalnej odległości, podnieść zasłonę na najcenniejsze chwile, było jak balsam lepszy od wszystkiego, co zaznałam.

- Jak tam moje lilaki? - spytała matka, jak za życia. Jej ukochane lilaki!

Tęsknota w sercu sprawiła, że z trudem się odezwałam.

- Piękne jak zawsze - odpowiedziałam i choć to było niestosowne, nie mogłam powstrzymać łez.

Zbyt krótki był ich pobyt na tej płaszczyźnie i mam nadzieję, że wkrótce znów spróbujemy.

3 października. Pan Hobbes jest osobliwym człowiekiem. Na szyi nosi przedziwny wisior, medalion, na którym wytłoczono konstelację przedziwnych symboli. Mary mówi, że to święty artefakt tajnego zakonu. Czasem widzę, jak siedzi w chłodzie biblioteki i studiuje starożytny tekst. Jak mówi, Dobry Pan nim pokierował i pozwolił mu go odnaleźć w dziupli bliźniaczego dębu. Księga jest mistycznym dziełem zawierającym klucze do tamtego świata, którym nie można podzielić się z niewtajemniczonymi, powiedział przepraszająco, zamknął księgę w serwantce i schował klucz do kieszeni. Uznałam to za nieco aroganckie z jego strony, że w taki sposób przywłaszczył sobie moją serwantkę. Ale Mary mówi mi, że pan Hobbes jest uduchowionym człowiekiem, który nie przejmuje się ziemskimi troskami i konwenansami, choć jest na tyle dobry, by nadzorować, na własny koszt, naprawy domu, co jest dla mnie wielkim pocieszeniem, gdyż pragnę, by Knowles' End powróciło do dawnej chwały.

28 października. Cóż za hałas! Młoty pana Hobbesa przeszkadzają nam w dzień i w noc. Przeniosłam się do starego pokoju na poddaszu, by unikać kurzu i potwornego hałasu.

22 listopada. Pan Hobbes nie pozwala mi wejść do mojej własnej piwnicy. Kiedy poczułam się tym urażona, powiedział mi bardzo uprzejmie, że w piwnicy był potworny nieszczęśliwy wypadek i stare palenisko trzeba wymienić, razem z większością wyposażenia. Uśmiechał się, kiedy to mówił, a zauważyłam, że uśmiech ten nie odbijał się w jego oczach, które mają najzimniejszy odcień błękitu.

15 stycznia. Nie czuję się dobrze i muszę leżeć w łóżku. Mary mówi, że wyczerpał mnie nerwowo smutek wynikający z tak częstych rozmów z moją drogą matką i ojcem, jak również ciągle przychodzące listy od taksatora, domagające się zapłaty podatku. Nie mam pieniędzy.

- Sprzedaj mi Knowles' End, moja droga, ja zapłacę podatki, ty będziesz tu żyć jak wcześniej, a nikt nie musi się dowiedzieć, że nie jesteś jedynym właścicielem domu. Twoja pozycja nigdy nie będzie kwestionowana - powiedziała mi Mary.

Nie mogę znieść myśli o sprzedaży Knowles' End, ale o wiele gorzej byłoby je utracić na aukcji. Muszę się nad tym zastanowić. Mary zaproponowała mi słodkie wino i nalegała, bym je wypła dla uspokojenia nerwów.

20 stycznia. Mój sen przerywają straszliwe koszmary.

21 kwietnia. Napotkałam go w ciemnym salonie, nagiego.
- Patrz na mnie i bądź zadziwiona - warknął.

A jego oczy płonęły jak bliźniacze ogniska. Później nic już nie pamiętam, ale obudziłam się w swoim pokoju dobrze po południu z bólem głowy. Mary utrzymuje, że nie potrzebuję lekarza, jedynie odpoczynku, i powinnam pozwolić, by się mną zajęła.

Maj. Nie wiem, który dzień dziś mamy, gdyż dni zlewają się razem jak prądy w strumieniu. Oni organizują na dole dziwne seanse. Słyszę ich, ale jestem zbyt słaba, by zejść na dół, i zbyt przerażona.

Sierpień. Jest strasznie gorąco. Dom przenika ohydny smród, od którego robi mi się niedobrze. Lokator zniknął, nie wiem, gdzie się udał.

1 września. Bestia skrada się po korytarzach domu, przerażając wszystkich wewnątrz. Służący, ci którzy zostali, boją się go. Opowiada fantastyczne opowieści. Raz stwierdził, że jest ostatnim ocalałym członkiem zaginionego plemienia wybranego, choć wiem, że był biednym jak mysz kościelna prostakiem, wychowanym w sierocińcu na Brooklynie. Za każdym razem jest nowa opowieść, aż nie da się ocenić, co jest prawdą, a co wymysłem.

20 września. Już nie będę piła słodkiego wina tej kobiety.

28 września. Brak wina sprawił, że strasznie się pochorowałam. Przez tydzień leżałam w łóżku, drżąc i wymiotując, a opiekowała się mną nasza ostatnia służąca, kochana Emily. Wyznała, że boi się tak samo jak ja. Wygląda na to, że przypadkiem trafiła do zamkniętego pokoju, kiedy był otwarty, i prawie wpadła przez klapę do szybu, który według jej przypuszczeń musi prowadzić do piwnicy.

3 października. Obudziły mnie w nocy krzyki, ale nie wiem, gdzie kończyły się sny, a zaczynała jawa.

8 października. Emily nie pojawiła się od sześciu dni.

10 października. Z wysiłkiem wstałam z łóżka i zesłam na dół. Okiennice były zamknięte, a dom robił wrażenie grobowca.

- Gdzie Emily? - spytałam pana Hobbesa, chłodna jak zawsze, choć pod szlafrokiem trzęsły mi się kolana.

- Wyjechała dość nagle, żeby udać się do siostry, która zaczęła rodzić - odpowiedziała bestia.

- Dziwne, że nie wspomniała mi o tym ani nie przyszła odebrać wypłaty - powiedziałam.

- Nie chciała cię kłopotać takimi przyziemnymi sprawami - odparł.

- A dlaczego wyjechała bez torebki? - spytałam, gdyż najpierw poszłam do jej pokoju i tam ją znalazłam, nietkniętą.

Pani White zmaterializowała się u jego boku, przyciągnięta moim głosem.

- Upewnimy się, że ją odzyska, biedactwo. Tak martwiła się o siostrę.

Jaka kobieta wyjeżdża bez torebki?

13 października. Pan Hobbes znów powstrzymał mnie przed wejściem do piwnicy.

- Tam nie jest bezpiecznie - powiedział, a coś w tonie jego głosu, błękanie jego spojrzenia sprawiło, że pośpieszyłam do swojego pokoju.

15 października. Słyszę szepty w ścianach. Och, z pewnością czeka nas jakaś straszliwa katastrofa!

17 października. Pani White pojechała na wieś jako medium. Ta szarlatanka! Zostałam sama w domu z nim.

19 października. Dziś, kiedy zobaczyłam, jak powóz pana Hobbesa wyjeżdża na ulicę, pośpieszyłam na dół i szpilką do włosów poruszałam w zamku serwantki, aż ustąpił. Później przeczytałam jego straszliwą księgę. Jest bluźniercza! Nieprzyzwoita! Pełna degeneracji i zepsucia. Z trudem powstrzymałam się przed wrzuceniem jej do pieca. Och, jestem w niebezpieczeństwie! Znów napisałam do mojego drogiego kuzyna i tyle mu też powiedziałam. Dlaczego, och, dlaczego zgodziłam się sprzedać dom tej straszliwej kobiecie? Podstęp i oszustwo! Kłamstwa, same kłamstwa! Odzyskam go. Jestem Ida Knowles, a to jest mój dom, wybudowany przez mojego ojca. Ale najpierw chcę odkryć, co dzieje się w piwnicy. Muszę to zobaczyć na własne oczy.

- Co się dzieje w piwnicy? - spytała samą siebie Evie. Jericho zajrzał do biblioteki. Był zdyszany.

- Evie, możesz pomóc? Mamy tłumy.

- Idę - powiedziała i odłożyła dziennik na bok.

PRELUDIUM

Memphis wyszedł na paskudny poranek, szary, zimny i mokry. Nocny deszcz sprawił, że na drogę do domu spadły jesienne liście, tworząc matowy złocisty dywan. Octavia poprosiła go, by je zmiotł, zanim wyjdą do kościoła, co też uczynił, zebrał je na szufelkę i wyrzucił do kosza. Broadwayem przejechał z wyciem syren policyjny sedan, a za nim drugi i trzeci. Memphis wychylił się nad furtką, próbując się zorientować, co się dzieje. Zatrzymał sąsiada, który przebiegał obok.

- Co się dzieje?

- Ponoć znaleźli ciało na cmentarzu Trinity - odparł mężczyzna.

- Na cmentarzu Trinity jest mnóstwo ciał. To w końcu cmentarz - stwierdził z ironią Memphis.

- Myślę, że to Pentaklowy Zabójca - dodał mężczyzna i pośpieszył ulicą, by dołączyć do pozostałych.

Memphis rzucił miotłę i ruszył za nim.

Za wysokimi bramami z kutego żelaza, które prowadziły na cmentarz, zebrał się tłum. Niektórzy wciąż byli w szlafrokach, kapciach i z chustkami na głowach. Matki zapędzały dzieci z powrotem na chodniki i kazały im tam zostać, o ile nie chciały dostać porządnego klapsa. Policja tłoczyła się na łagodnych zboczach starego cmentarza, miejsca wielkiej bitwy podczas wojny o niepodległość. Tablica upamiętniająca ten fakt wciąż się tam znajdowała. Memphis cofnął się i wspiał na latarnię, próbując coś zobaczyć.

Na ulicy rozległ się krzyk, a później westchnienia i dalsze okrzyki, gdy wieści przechodziły z ust do ust, unosząc się nad głowami ludzi jak zabójcza fala. Memphis zauważył fryzjera Floyda, zeskoczył i podbiegł do niego.

- Co się stało, Floyd? Co się dzieje?

Fryzjer spojrział na niego smętnie i potrząsnął głową.

- Niedobrze, Memphis.

Chłopak poczuł się tak, jakby połknął kawał lodu, który powoli topił się w jego wnętrzu.

- Kto to? - spytał, ale krew już szumiała w jego uszach jak preludium.

- To Gabriel Johnson. Mówią, że zabójca odciął mu usta i powiesił go jak ukrzyżowanego anioła.

ŚMIERĆ NIE MA JUŻ WŁADZY

Memphis siedział na zatłoczonej ławce w kościele Mother AME Zion między ciotką Octavią i Isaiahem. Z przodu trumna Gabe'a błyszczała pod dywanem lilii, które ufundowała sama Mamie Smith. Wszystkie miejsca były zajęte, a wzdłuż tylnej ściany stały trzy rzędy ludzi. Było duszno i kobiety ochładzały się drewnianymi wachlarzami, które dostarczył dom pogrzebowy.

Pastor Brown stanął na ambonie i ze smutkiem zwiesił głowę.

- Młody człowiek, powalony w pełni życia przez niewypowiedziany akt przemocy. To prawie nie do zniesienia.

Ludzie płakali i pociągali nosami, gdy pastor Brown mówił o nieżyjącym przyjacielu Memphisa, o pełnym nadziei życiu przedwcześnie zakończonym. Memphis przełykał ślinę i myślał o kłótni tamtej nocy, kiedy Gabe został zabity. Żałował, że nie może tego cofnąć, porozmawiać. Chciał móc powstrzymać przyjaciela przed samotnym wyjściem z imprezy. Czy gdyby wyszli razem, żyłby nadal? Wyjął szczęśliwą króliczą łapkę Gabe'a. Pani Johnson wręczyła mu ją wcześniej.

- Chciałby, żebyś ją miał. Byłeś dla niego jak brat - powiedziała.

Memphis mocno ścisnął ją w dłoni.

- Śmierć nie ma już władzy nad bratem Johnsonem - zagrzmał pastor Brown.

- Amen - powiedziała jedna z kobiet.

- Gdyż Pismo zapewnia nas: „Zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie - jak Chrystus powstał z martwych dzięki chwale Ojca. Jeżeli bowiem przez śmierć, podobną do Jego śmierci, zostaliśmy z Nim złączeni w jedno, to tak samo będziemy z Nim złączeni

w jedno przez podobne zmartwychwstanie". Oto słowo Pańskie.

- Alleluja! - wykrzyknęło kilka osób. Oraz: - Słowo Pańskie.

- Módlmy się teraz za naszego brata, Gabriela Rolly Johnsona, by Jezus Chrystus przyjął go do siebie i by znalazł wiekuisty pokój. Amen.

- Amen - odpowiedzieli zebrani. Chór zaczął śpiewać.

Smutne nuty znanej pieśni religijnej omyły Memphis, ściągając go w straszliwe głębiny jak kamienie w kieszeni. Ciotka Octavia płakała w chusteczkę, cicho modląc się „Panie, Panie przez łzy. Od czasu do czasu wyciągała okrytą rękawiczką dłoń i ścisnęła rękę Memphisa, by go pocieszyć, lecz chłopak miał suche oczy i pozostał niemy. Spojrzał na Isaiaha, który nie podnosił wzroku. Myślał o tym, co jego braciszek powiedział Gabe'owi u pana Reggiego. „Umrzesz". Czy Isaiah naprawdę widział, że Gabe'owi coś się stanie? A jeśli ktoś podsłuchał ich rozmowę? A jeśli ktoś powie coś policji? Musiał ochronić brata, niezależnie od wszystkiego.

Po mszy procesja ruszyła Broadwayem, powoli i żałobnie. Zakon Łosi zapłacił za pogrzeb i upierał się przy stosownym pożegnaniu. Szli na przodzie ze swoimi szarfami. Papa Charles prowadził, przyciskając kapelusz do piersi. Za nim kilkunastu najlepszych muzyków Harlemu wygrywało żałobny lament na rogach, a chór kobiet w czarnych sukniach śpiewał. Trumna Gabe'a jechała na platformie ciężarówki w stronę tymczasowego miejsca spoczynku w domu pogrzebowym Merrick. Później rodzina miała go pochować. Dziennikarze krążyli po chodnikach, robiąc notatki i zdjęcia. Gdy mijała ich trumna, w ostatniej chwili zdejmowali kapelusze. Memphis szedł za nią powolnym, pełnym szacunku krokiem, aż do samego domu pogrzebowego. Nie był w nim od śmierci matki i nie mógł zmusić się do wejścia.

- Złapię trochę powietrza - wyjaśnił Octavii, która pogłaskała go po policzku, nazwała biedaczkiem i machnęła ręką.

Memphis prześlizgiwał się niezauważony przez tłumy ludzi, którzy próbowali zobaczyć ostatnią ofiarę Pentaklowego Zabójcy. Niektórzy byli jedynie ciekawskimi gapiami. Inni złościли się i krzykiem żądali odpowiedzi od szeregowców policjantów. Nie złapali zabójcy? Nie był za kratami? Co teraz? Co mieli zamiar zrobić, żeby ochronić obywateli Nowego Jorku? Kiedy znów poczują się bezpiecznie? Policja zachowała milczenie.

Na rogu Memphis zauważył dziewczynę z muzeum. Czy nie mieli pomagać w złapaniu tego zabójcy? Dlaczego go jeszcze nie złapali? Memphisa przepełnił gniew, podszedł do Evie O'Neill i postukał ją w ramię. Minęła chwila, nim go rozpoznała.

- A, to pan, panie Campbell.

- Wiecie, już kim jest zabójca? - Jeszcze nie.

Memphis pokiwał głową. Zacisnął zęby.

- Czy... czy znał pan zmarłego? - spytała.

- Był moim najlepszym przyjacielem.

- Tak mi przykro - powiedziała i Memphisowi wydawało się, że rzeczywiście jest jej przykro. Nie tak, jak ci dziennikarze, którzy mówili „współczuję tej straty”, a później zadawali pytanie, czy najlepszy przyjaciel nie był przypadkiem ćpunem albo czy to wszystko nie jest winą jazzu.

- Memphis!

Na dźwięk głosu Thety Evie i Memphis odwrócili się. Biegła ulicą, na twarzy miała sceniczny makijaż, a na kostium zarzuciła płaszcz. Evie zauważyła błyszczące cekiny. Theta szybko uścisnęła Evie i odwróciła się do Memphisa.

- Przyszłam, jak tylko usłyszałam - powiedziała.

- Wy... wy się znacie? - spytała Evie.

- Odszedł - powiedział chłopak łamiącym się głosem. - Gabe odszedł.

Theta mówiła cicho, uspokajająco do Memphisa i Evie poczuła się dziwnie, stojąc w milczeniu.

- Tak mi przykro z powodu twojego przyjaciela - powiedziała, choć wydawało się to puste.

Memphis odwrócił się do niej. Spochmurniał.

- Chcę wam pomóc w odnalezieniu zabójcy Gabe'a.

- Jest coś, co możesz zrobić - zaczęła niepewnie Evie. - Pomoże nam w śledztwie, gdybyśmy mieli coś, co należało do zmarłego... to jest, Gabriela. Najlepiej coś, co miał na sobie w noc śmierci.

- I co to da? - spytał Memphis.

- Proszę - błagała Evie. - Proszę, zaufaj mi. Chcemy go złapać tak samo jak ty.

Memphis sięgnął do kieszeni i wyciągnął króliczą łapkę.

- To był jego szczęśliwy amulet. Nigdzie się bez niego nie ruszał.

- Dziękuję. Obiecuję, że będę go bardzo pilnować - powiedziała Evie, ale Memphis nie słuchał.

Theta wzięła go za rękę i tylko na siebie patrzyli. Evie odeszła, pozostawiając ich samych w prywatnej, bezgłośnej rozmowie.

Dziennikarze przyciskali się do barykady, domagając się komentarzy, próbując wydusić cytaty, a gliniarze stali nieruchomo z zaciśniętymi wargami. T.S. Woodhouse był z przodu, na samym środku. Evie próbowała prześlizgnąć się obok.

- Czyż to nie kotek - powiedział, uniemożliwiając jej przejście. - Musimy przestać tak na siebie wpadać.

- To może wyjedziesz?

- Nie jesteś zła za tamten artykuł, co?

- I to jak! Poprosiłam cię o przysługę, a ty mi się odwdzięczyłeś, kradnąc moją sugestię i drukując ją w gazecie.

T.S. Woodhouse rozłożył szeroko ręce w pojednawczym geście.

- Jestem reporterem, panno O'Neill. Pozwól, że ci to wynagrodzę. Powiedz mi, co o tym masz, a ja zrobię cały artykuł na twój temat. Może dam ci trochę miejsca, a ty napiszesz, co tylko zechcesz. Będiesz najślynniejszą dziewczyną na całym Manhattanie.

- Przykro mi... już nie rozmawiam z prasą.

Ruszyła dalej, a Woodhouse przyśpieszył kroku, żeby ją dogonić.

- Daj spokój, kotku. Gliniarze ciągle wciskają nam ten sam kit. Wiemy, że Jacob Call nie może być Pentaklowym Zabójcą, chyba że może wykończyć kogoś z za krat albo ma współnika. Powiedzmy... współnik. To dobrze brzmi.

- Do widzenia, panie Woodhouse.

T.S. Woodhouse chwycił Evie za ramię, a ona patrzyła na niego tak długo, aż cofnął rękę. Wskazał głową na innych dziennikarzy.

- Ci goście byli o krok przede mną, nie mam na dzisiaj żadnego artykułu. Wychwalałem muzeum twojego wuja Willa. Próbuję też wyrobić sobie nazwisko. Rozumiesz?

Rozumiała. Rozumiała również, że T.S. Woodhouse zrobiłby cokolwiek, powiedział cokolwiek, zdeptał każdego, żeby tylko zdobyć materiał na artykuł. Popęlniła błąd, nawiązując z nim kontakt. I nadszedł czas, by T.S. Woodhouse dostał za swoje.

- Dobrze, panie Woodhouse - powiedziała Evie. - Wierzmy, że zabójca kieruje się starożytnym tekstem mistycznym, Ars Mysterium.

- Tak? - powiedział Woodhouse, niemal się śliniąc. - To dobrze.

- A teraz ani słowa na ten temat, nawet wydawcy - Evie zagryzła wargi i wyciągnęła szyję, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje - ale wierzymy, że następna zbrodnia będzie miała miejsce dzisiaj, na moście Hell Gate. Może powinieneś tam być z fotografem.

- Serio mówisz?

- Czy okłamałabym tak szlachetnego przedstawiciela prasy? T.S. Woodhouse mierzył swoją ambicję z jej historią. Widziała to po jego wykrzywionych wargach.

- Dzięki, kotku - powiedział w końcu.

- Nie ma za co... i mówię szczerze, panie Woodhouse.

To był koszmarne dzień, ale kiedy oddalała się od T.S. Woodhouse'a, Evie czuła niejaką satysfakcję na myśl o tym, jak będzie stał i zamarzał w lodowatym wietrze na Hell Gate, czekając na historię, która się nie wydarzy, a inni reporterzy znów będą o krok przed nim.

TA SAMA PIOSENKA

- Niech to diabli! - Will zgasił papierosa w popielniczce. Cała czwórka - Evie, Jericho, Sam i Will - siedziała przy jednym z długich stołów w bibliotece. Will zamknął muzeum wcześniej mimo tłumów domagających się, by największy manhattański ekspert w dziedzinie okultyzmu oprowadził ich po zbiorach wiedzy tajemnej.

- Będzie nadal zabijał, a my będziemy zawsze krok za nim. - Nie musi tak być - stwierdziła Evie. Spojrzała Willowi w oczy. - Mogę dowiedzieć się wszystkiego co konieczne.

- Jak to zrobisz? - spytał Jericho.

- Za pomocą tego.

Evie położyła na stole króliczą łapkę należącą do Gabe'a. Sam uniósł brwi.

- Masz zamiar złapać zabójcę za pomocą kawałka futra?

- Należała do Gabriela Johnsona. Miał ją przy sobie w noc śmierci. - Evie spojrzała na Willa. - Wujaszku, mogę to odczytać. Wiem, że mi się uda. Daj mi tylko szansę.

- Odczytać co? - spytał Jericho.

Will spojrzał na nią spode łba.

- Skąd to masz?

- Dostałam od jego przyjaciela. Will pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne, Evangelino.

Evie zerwała się z krzesła i walnęła pięścią w stół. Miała już dość oporów Willa. Próbowali działać jego metodą, co skończyło się kolejnym trupem.

- Nawet nie spróbować - to jest zbyt niebezpieczne! Jericho spojrzał na Sama, który wzruszył ramionami.

- Na mnie nie patrz. Ja tam nic nie wiem - stwierdził Sam.

- Gdzieś tam krąży zabójca, a my musimy go powstrzymać wszelkimi możliwymi sposobami - błagała Evie.

- Proszę.

- To szaleństwo - szepnął Will. Przeczesał włosy palcami.

- Czy ktoś mi powie, co tu się dzieje? - spytał Jericho.

- Jestem Wróżbiarką - stwierdziła Evie.

- Evangelino!

- Powinni wiedzieć, wujaszku! Mam już dość zachowywania tego w tajemnicy. - Odwróciła się do Jericho i Sama. - Umiem odczytywać przedmioty. Pierścionek, nożyk do papieru, rękawiczka... dla mnie to coś więcej niż tylko rzeczy. Daj mi zegarek, a powiem ci, co jadłeś na obiad... albo poznam twoje najgłębsze tajemnice. To zależy. - Znow spojrzała na Willa. - Co powiesz, wujaszku?

Założywszy ręce za plecami, Will obszedł całą bibliotekę dookoła. Zatrzymał się przy Evie i wpatrywał się w nią tak długo, że aż poczuła się niezręcznie.

- Dobrze, ale zrobimy to pod kontrolą. Rozumiesz?

- Cokolwiek mówisz, wujaszku.

- Poprowadzę cię. Nie zagłębiaj się zbyt, Evangelino. Masz pozostać neutralna. Być widzmem.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć, i przerwę.

- Jeśli poczujesz się choć odrobinę zagrożona, przerwij natychmiast.

- Kapuję, wujaszku.

- Dobrze, że choć jedna osoba to robi. - Sam potrząsnął głową.

- Wkrótce wszystko stanie się oczywiste - odparł Will. - Evie, usiądź tutaj.

Evie usadowiła się na skórzanym fotelu.

- Wygodnie ci? - spytał Will.

- Tak. - Serce waliło jej w piersiach, w ustach zrobiło się sucho. Miała nadzieję, że jest na to gotowa.

- Pamiętaj, jeśli poczujesz się choć trochę zagrożona...

- Rozumiem, Will - zapewniła go Evie.

- Czy to bezpieczne? - spytał Jericho.

- Ja zapewnię jej bezpieczeństwo - zapewnił go starszy mężczyzna. - Zaczynaj, kiedy będziesz gotowa.

Will złożył króliczą łapkę w jej rękach. Evie przymknęła oczy i zaczęła obracać ją w dłoniach, czekając. Dalej, pomyślała. Proszę... Oczekiwanie na połączenie trwało kilka sekund, ale kiedy do tego doszło, obrazy z dnia Gabe'a zalały ją oszalamiającą falą. Jakby Evie zanurzyła się w lodowatym jeziorze i teraz wznosiła się ku powierzchni.

- Nie mogę... nie mogę ich rozróżnić...

- Zwolnij. Nie śpiesz się. Oddychaj i skup się - poinstruował ją Will.

Evie zaczęła oddychać wolniej. Słyszała to, podobnie jak łagodny szum krwi. Wcześniejsze, nieistotne sceny z dnia Gabriela rozproszyły się. Była z nim na ciemnych ulicach Harlemu. Wszystko otaczała mgiełka, jak na nie do końca wywołanym zdjęciu, ale widziała Gabriela idącego pod torami kolejki nadziemnej i czuła to, co on czuł.

- Jest na coś zły... - powiedziała Evie niepewnie.

- Nie za blisko - ostrzegł Will.

Evie znów odetchnęła. W miarę, jak się skupiała, ulica stała się mniej zamglona. Widziała migotanie odległego neonu, zaczynała nawet czuć woń dymu i śmieci. Słyszała kroki, dziwny pusty stukot.

- Ktoś za nim idzie.

- Ostrożnie, Evie.

- Nagle zrobiło się bardzo mglisto, ale ktoś tam jest.

Najpierw zobaczyła laseczkę, srebrną z głową wilka. Mężczyznę, który ją niósł, nadal spowijały ciemność i mgła. Gabe zawołał, a ponieważ nic nie usłyszał w odpowiedzi, nadal szedł w cieniu nadziemnych torów. Evie widziała jedynie to, co on widział. Słyszała jednak powolne, zdecydowane kroki na ulicy. Poczowała pierwsze ukłucie niepokoju Gabe'a. A później usłyszała pogwizdywanie.

Evie aż sapnęła.

- To ta sama piosenka!

- Evie, czas przerwać - polecił Will, ale ona nie miała zamiaru. Była blisko. Tak blisko.

Kroki. Blisko. Raz, dwa, stuk. Raz, dwa, stuk. Laska błyszczała we mgle.

- To on. Nadchodzi.

- Evie. Koniec - polecił Will.

Evie mocno ścisnęła króliczą łapkę. Mężczyzna wyszedł z cieni i tętno Evie przyśpieszyło.

- Widzę go!

- Evie, koniec! - zagrział Will.

Zaklaskał głośno kilka razy i trans został przerwany. Evie opuściła talizman i zamrugała, w oczach miała łzy.

- Znam go! Widziałam go już wcześniej! - powiedziała. Podbiegła do wielkiego zbioru notatek i akt, przerzucając papiery, aż znalazła to, czego szukała.

- To on - powiedziała, rzucając na stół gazetowe zdjęcie Johna Hobbesa. - Mężczyzną pod mostem był John Hobbes. Gabriela Johnsona zamordował martwy człowiek.

TYLKO HISTORYJKI

Will wpatrywał się w ogień. Zacisnął zęby.

- Jak to możliwe, wuju? Jak to możliwe, że mężczyzna, który nie żyje od pięćdziesięciu lat, zabił tych wszystkich ludzi?

- Widziałaś kogoś, kto wyglądał jak on, laleczko. I tyle - powiedział Sam.

- Wiem, co widziałam!

- Mówię ci, to siła sugestii. Wszyscy tkwimy po uszy w legendzie Johna Hobbesa. Widziałaś jego facjatę w gazetach, więc była już w twoim umyśle, kiedy zapadłaś w trans. Wyposażyłaś zabójcę w pierwszą twarz, która przyszła ci na myśl.

- Przestań się na mnie gapić, dobrze?! - powiedziała Evie do Jericho, który odwrócił wzrok. Czaszkę Evie zaczynały szarpać drobne szpony bólu głowy. - Wujaszku, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jak John Hobbes mógł zabić Gabriela Johnsona i być może wszystkich pozostałych?

Sam objął Evie ramieniem.

- Mówię ci, kochanie, to nie był on.

- To on - stwierdził Will, w końcu przerywając milczenie.

W sali panowała cisza, przerywana jedynie trzaskiem drewna pochłanianego przez ogień.

- Will - odezwał się po chwili Jericho - nie mówisz chyba poważnie, że wierzysz, że to duch zabija tych ludzi, prawda?

- Wierzę - odparł Will chrapliwie.

- Bez urazy, profesorze, bo to muzeum jest naprawdę na medal, ale nie ma czegoś takiego jak duchy - stwierdził Sam.

- Taki jesteś tego pewien? - Will odwrócił się do nich. Blask płomieni sprawiał, że jego twarz znalazła się w cieniu. - Istnieją przejścia między tym światem a światem zjawisk nadnaturalnych. Duchy. Istoty demoniczne. Niewyjaśnione i

nieokreślone. Tajemnicze. Mam poświęcone im całe księgi i archiwa.

- Ale to są tylko historyjki, które opowiadają sobie ludzie - stwierdziła Evie. Głowa bolała ją coraz bardziej.

- Na ziemi nic nie ma większej mocy od słów. - Will spacerował po pomieszczeniu. - Ludzie sądzą, że to granice tworzą narody. Bzdura, tworzą je słowa. Wierzenia, deklaracje, konstytucje... słowa. Opowieści. Mity. Kłamstwa. Obietnice. Historia. - Will chwycił stertę wycinków z gazet, które trzymał na biurku. - To i to... - objął gestem przepelnione półki biblioteki - jest świadectwem bogatej nadnaturalnej historii tego kraju.

- Ale, Will, nie mówisz jedynie, że duchy istnieją. Twierdzisz, że mogą wracać z zaświatów i zabijać - zauważył Jericho.

Will opadł na krzesło, ale stopą stukał miarowo w podłogę.

- Wiem. To niemożliwe. Nie powinny być zdolne... - powiedział bardziej do siebie niż do zebranych. - Pełniłem straż.

- Straż nad czym? - spytał Jericho.

Krzesło nie mogło pomieścić Willa; zerwał się i znów zaczął spacerować. Po drodze ściągnął kolejną stertę wycinków z biurka.

- Tutaj. Spotkania z duchami. Działalność nadnaturalna. W ostatnim roku się wzmożła. Zamiast kilku doniesień od czasu do czasu, codziennie pojawia się coś nowego, całe setki.

- I sądzisz, że wiąże się to z naszą sprawą, że Paskudny John powrócił z martwych? - Evie uniosła dłoń, żeby rozmasować skroń.

- Jestem tego pewien - stwierdził Will. - Pytanie nie brzmi, czy John Hobbes powrócił z martwych, ale jak i dlaczego.

- Duchy istnieją. Duchy są prawdziwe - szeptała Evie jak mantrę. Zobaczyła, że Jericho się na nią gapi. - Co się stało?

- Nic takiego - odparł Jericho i szybko odwrócił wzrok. Will poddał się i sięgnął po papierosa. Zaciągnął się kilka razy, po czym znów się odezwał.

- Części ciała - powiedział, wypuszczając dym. - Sądzę, że musi je pochłonąć, żeby stać się silniejszym. Bardziej cielesnym. Duch stający się ciałem. Wypaczenie transsubstancjacji. Z każdym zabójstwem staje się coraz silniejszy. Teraz jest bardzo silny. Wkrótce stanie się niepowstrzymany.

Evie zadrżała na samą myśl.

- A wtedy?

- Armagedon. Dosłownie piekło na ziemi.

- Ale on tak naprawdę nie może stać się Antychrystem? - spytał Jericho.

- Wierzy, że poprzez ten rytuał stanie się Bestią. Wiara jest wszystkim. A my nie mamy pojęcia, do czego on jest zdolny. Nie gramy tutaj zgodnie z zasadami naszego świata. To jego zasady, zasady świata nadnaturalnego.

- To jak go powstrzymamy? - spytała Evie. - Jak się powstrzymuje ducha?

- Musimy spotkać się z nim na jego zasadach. Pozbyć się go zgodnie z jego własnymi przekonaniem. Jeśli ostatnia strona Księgi Bractwa zawierała jakieś zaklęcie czy inkantacje służące do odesłania Johna Hobbesa, musimy wiedzieć, co było na tej karcie. I musimy rozwiązać tajemnicę jego związku z tą książką. Dlaczego jest dla niego taka ważna?

Evie otworzyła Księgę Bractwa, przeciągając dłonią po nierównej krawędzi w miejscu, gdzie wyrwano ostatnią kartkę. Pozostały trzy ofiary: Zniszczenie Złotego Bożka, Lament Wdowy i Zaślubiny Bestii i Niewiasty Obleczonej w Słońce. Wróciła do poprzednich ofiar.

- Ciało znalezione w Belmont w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym musiało być trzecią ofiarą, czyli Błady Jeździec Niosący Śmierć pod Gwiazdami - stwierdziła Evie.

- A poza Idą Knowles, w piwnicy Knowles' End znaleziono dokładnie dziesięć ciał - zauważył Jericho.

- Dziesięcioro sług i pan - zgodziła się Evie. - Pracznia i pokojówka zaginęły, podobnie jak lokatorzy. Ich wszystkich można uznać za służących. Druga ofiara. Och, wujaszku. To pasuje!

- To kim była pierwsza ofiara? - spytał Sam. Uniósł ręce.
- Ja tylko wam wtóruję. Nie wierzę w duchy.

Evie wpatrywała się w obraz czegoś, co wyglądało jak dom albo stodoła.

- Pierwsza ofiara... Poświęcenie Wiernych. Ida Knowles była wierna. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Ale nie była pierwsza - stwierdził Jericho.

- Zgoda - westchnęła Evie.

Wuj Will sięgnął po kolejnego papierosa.

- Nie podoba mi się, że poszłaś do Knowles' End, Evie. Nie po tym, czego się dowiedzieliśmy.

- Ale to tylko dom, wujaszku.

- Koszmarny, koszmarny dom kiedyś pełen trupów - powiedział Sam radosnym tonem. - Jestem pewien, że w Boże Narodzenie jest tam pierwsza klasa.

- To jego dom - stwierdził Will. - Jego kryjówka i wyobrażam sobie, że nie potraktowałby zbyt miło intruzów. Evie, ty i Mabel nic tam nie zostawiłyście, prawda?

Evie pomyślała o małym kawałku materiału zaczepionym na krawędzi szybu na pranie - zbyt małym, by traktować go poważnie, czyż nie?

- Nie, wujaszku.

- Dlaczego nie pójdziemy tam i nie spalimy go do gołej ziemi? - spytał Sam.

- Ponieważ nie do końca wiemy, z jakiego rodzaju istotą mamy do czynienia - wyjaśnił Will. - A jeśli to uczyni go silniejszym? Nie. Dopóki nie odpowiemy na pytanie, dlaczego Paskudny John przeprowadza ten rytuał, dlaczego jest dla niego ważny i dopóki nie odkryjemy, co było na tamtej zaginionej kartce, naszą jedyną nadzieją jest powstrzymanie go przed kolejnym zabójstwem. Wiemy, że musi je ukończyć przed nadejściem Komety Salomona...

- Czyli za cztery dni - przypomniał wszystkim Jericho.

- Jeśli uda nam się powstrzymać go przed dokończeniem zadania w terminie, przegra. Czas jest tu kluczem.

Sam bawił się monetą. Położył ją na wierzchu prawej dłoni, podrzucił i zręcznie złapał lewą.

- Ma pan zamiar powiedzieć detektywowi Malloyowi, że poluje pan na ducha zabójcy, który zawisł przed pięćdziesięciu laty? Nieważne, że jest pańskim kumplem, profesorem... i tak zamknie nas wszystkich w wariatkowie.

- Sam ma rację - stwierdził Jericho. Will pokiwał głową.

- Zgoda. Nie możemy powiedzieć Terrence'owi. Zostaliśmy sami. Evie, jaka jest następna ofiara?

Evie otworzyła na właściwej stronie.

- Zniszczenie Złotego Bożka. „I oto nie uwierzyli, lecz uwiódł ich złoty cielec. Oddawali cześć fałszywym bożkom i zostali za to przeklęci. A dziewiątą ofiarę zrodziły pożądlivość i grzech. Złoty cielec został zniszczony, obdarty ze skóry swojego wstydu i umieszczony na ołtarzu Pana. I Bestia była zadowolona”.

Evie uniosła wzrok i zorientowała się, że Jericho znów się w nią wpatruje.

- A niech cię, Jericho, co się dzieje? Wyrosła mi nagle druga głowa?

- Przepraszam. Po prostu... nie jesteś taka, jak się spodziewałem.

Nie chciał wyrazić tego w taki sposób.

Evie była zmęczona i przestraszona, a ból głowy zaczął się na poważnie. I do tego jeszcze Jericho uważał ją za dziwadło. Bał się jej. Miała nadzieję, że z nim będzie inaczej. Był myślicielem, filozofem, ale wcale się nie różnił od ograniczonych umysłów z jej miasteczka. Ze złością chwyciła jego chłodną rękę.

- Zgadza się, jestem prawdziwą gwiazdą taniego przedstawienia - powiedziała. Próbował się cofnąć, ale zacisnęła palce na zegarku. - Co ty na to, Jericho? Chciałbyś, żebym poznała twoje tajemnice? Wszystkie te małe kłamstewka, które ukrywasz przed światem?

- Nie!

Jericho wyrwał rękę tak szybko, że niemal stracił równowagę.

Evie poczuła łzy w kącikach oczu i gulę w gardle. Nie miała zamiaru płakać przy wszystkich, więc wybiegła z biblioteki i uciekła do łazienki.

- Niezła robota, Fryderyku - mruknął Sam i poszedł za nią. Sam usiadł na podłodze przed drzwiami łazienki. Miał nadzieję, że Evie go słyszy.

- Laleczko, nie obchodzi mnie, czy mogłabyś odczytać każdą moją tajemnicę. Nie mam nawet nic przeciwko siedzeniu przed tym kibelem przez całą noc. To znaczy, moje nogi miałyby coś przeciwko, ale na nie nie zwracaj uwagi, one lubią się skarżyć.

Evie nie odpowiedziała i Sam westchnął. Nigdy wcześniej nie spotkał nikogo obdarzonego dziwnym darem. Nigdy. To było ich już dwoje. Para. Para to coś dobrego.

- To nie jest tak, że z tobą jest coś nie w porządku. Chciałem po prostu, żebyś to wiedziała.

Cisza.

- Nie śpiesz się, laleczko. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.
Ogrzeję twoje miejsce.

W łazience Evie oparła głowę o drzwi.

- Dziękuję - szepnęła, choć Sama już nie było.

Nieznajomy stał w ciemnościach piwnicy, nasłuchując szeptów domu. Widział, że coś jest nie tak. Dom robił wrażenie naruszonego. Nieczystego. Będzie musiał znów namalować symbole, by przywrócić mu czystość. „Namasćcie swoje ciała i przygotujcie ściany swoich domów”. Święta przysięga.

Paskudny John zdjął kawałek płaszcza Evie z krawędzi szybu.

Dom znów do niego szeptał. Dziewczyna. Dziewczyna się tego dopuściła. Zapłaci za swój grzech. Ale najpierw musiał przygotować dom do ofiary następnego dnia.

Pogwizdując starą melodię, wymacał tajemne drzwi. Otworzyły się dla niego, a wewnątrz przywitały go westchnienia i szepty.

DZIEWIĄTA OFIARA

Kiedy następnego popołudnia detektyw Malloy przyszedł w odwiedziny, nie wydawał się zadowolony. Wskazał na tłumy zwiedzających.

- Jak widzę, interes się kręci.

- W ciągu kilku tygodni muzeum z zapomnianego stało się modne - stwierdził Will.

Dwie chichoczące studentki poprosiły Willa o autograf, on jednak odmówił ku ich wielkiemu rozczarowaniu. Detektyw Malloy przyglądał się tej wymianie zdań.

- I na tym polega problem.

- Co ma pan na myśli? - spytała Evie.

Nigdy wcześniej nie widziała, by detektyw zachowywał się tak rzeczowo. Czuł się niezręcznie, to było wyraźnie widoczne. Ale nie miała pojęcia, dlaczego. W końcu powinien być chyba zadowolony, że muzeum jego starego przyjaciela wyszło z długów?

Detektyw zniżył głos.

- Will, krążą pogłoski, że możesz być zamieszany w te zabójstwa.

Will zrobił wielkie oczy.

- Co takiego?

- To bzdury! - sprzeciwiła się Evie.

- Wiem. Ale sprawa nie wygląda dobrze, gość, który wie wszystko na tematy okultystyczne, który podsunął nam Jacoba Calla, którego muzeum jest teraz najmodniejszym miejscem w mieście, opisywanym we wszystkich gazetach...

- Nie miałem nic wspólnego z tymi artykułami w prasie, mogę cię zapewnić - warknął Will, a Evie miała nadzieję, że nikt nie widział jej rumieńca.

- Mówię ci tylko, że być może powinieneś zacząć się trzymać z dala od tego. Zostawić sprawę policji.

- Ale jesteśmy tak blisko - powiedziała Evie. - Znajdziemy go. Żałowała, że nie mogą powiedzieć detektywowi Malloyowi, kto tak naprawdę jest jego przeciwnikiem, ale to oczywiście nie było możliwe. Jak mogli wyznać, że szukają ducha? Zamknąłby ich na całą wieczność.

- Will, mówię ci to jako przyjaciel, zdejmuję cię z tej sprawy. Wracaj do wykładów. Od tej pory ja się tym zajmuję.

Wuj Will wyprostował się.

- A jeśli się sprzeciwię?

- To jesteś sam. Nie ochronię cię. - Detektyw Malloy znów założył kapelusz. - Fitz, nie rób nic głupiego. Musisz wiedzieć, kiedy się poddać.

- Poddajemy się? - spytała Evie, kiedy detektyw wyszedł.

- W życiu.

Wieczorem Evie, Jericho, Sam i Will znów tłoczyli się przy stole w bibliotece.

- Dziewiąta ofiara, Zniszczenie Złotego Bożka - powiedziała Evie. Zaklęła pod nosem. - On gdzieś krąży, gotów znów zabić, a my nie mamy pojęcia, gdzie się kieruje.

Ukryła głowę w dłoniach.

- Nie pozwól, by opanowała cię frustracja, Evangelino. Myśl. Złote bożki... - Will zakręcił kółkiem zapalniczki, wzbudzając iskry, które zgasił palcem.

- Złoto. Pieniądze, chciwość... Wall Street, bankowiec albo broker? - zasugerował Jericho.

- Złoty Pałac w Chinatown? - rzucił Sam. Evie słyszała wyczerpanie w jego głosie.

- W Biblii jest to złoty cielec. Ale nie możemy być pewni, że ofiara ma biblijną naturę. Pamiętajcie, że Księga Bractwa to pastisz - stwierdził Will.

- Pewnie będziemy tu siedzieć przez całą noc. - Evie westchnęła.

- Nie sądzę, byśmy mieli całą noc - zauważył Jericho.

- Nikt z nas nic nie jadł - powiedział nagle Will. - Idę do delikatesów Wolfa na Broadwayu po kanapki z pastrami. Pracujcie dalej. Zaraz wracam.

- Zobaczymy - powiedziała Evie, kiedy Will wyszedł, i wzięła Biblię z rąk Jericho.

Od czasu, kiedy odkrył, że jest Wróżbiarką, wymienili zaledwie kilka słów. Jego uwaga wciąż ją bolała. Evie raz za razem czytała biblijny fragment, szukając wskazówki, ale nic jej nie przychodziło na myśl.

- Oddawanie czci fałszywym bożkom. Oddawanie czci fałszywym bożkom... - Coś próbowało ukształtować się w jej umyśle. - Jak się nazywa... - Przerwała w pół słowa i gorączkowo przerzucała kartki pisma. Położyła palec na fragmencie. - Ba'al - powiedziała nagle. - Oddawanie czci Ba'alowi. O Boże...

- Co się stało, laleczko? - spytał Sam.

- Wiem, gdzie uderzy następnym razem - stwierdziła Evie, sięgając po płaszcz i kapelusik.

- Dokąd idziemy?

- Teatr Globe! - wrzasnęła Evie.

- A co tam jest? - spytał Jericho.

- Rewia Ziegfelda - powiedział Sam i pobiegł za dziewczyną.

MAŁA BETTY SUE BOWERS

Theta siedziała przed lustrem w garderobie, zmywając resztki makijażu. Na lustrach wisiały szale i boa. Garderobiana już pochowała kostiumy, pośpiesznie porzucone przez dziewczęta, które ruszyły na spotkanie swoich wielbicieli i narzeczonych maklerów. Poza nią teatr był pusty. Theta lubiła atmosferę pustego teatru.

Miała sześć lat, kiedy zadebiutowała w teatrze muzycznym w Peorii w stanie Illinois, jako Mała Betty Sue Bowers. Miała na sobie sukienkę w czerwono - biało - niebieskie paseczki i srebrne buty do stepowania, które błyszczały w świetle reflektorów. Śpiewała i tańczyła do God Bless America, a jej apodyktyczna przybrana matka stała w kulisach i podpowiadała każde słowo. Widownia była zauroczona. „Łobuziak z loczkami”, tak ją nazywali i "Mała laleczka". Wkrótce występowała w teatrach wodewilowych Orpheum na całym środkowym zachodzie Stanów. Theta nienawidziła wodewilu, nienawidziła godzin pracy, przeciągów za sceną i patrzących pożądliwie „wujków”, którzy zapraszali ją, żeby usiadła im na kolanach. Przemierzali kraj, odwiedzając małe miasteczka z ich podupadłymi teatrzykami rewiovymi. Każdej nocy pani Bowers kręciła jej włosy na wałkach i uderzała Thetę w pośladki szczotką do włosów, ze słowami „Tylko tego nie popsuj”. Theta bała się zasnąć, bała się, że zmierzwi te loki i rano dostanie o wiele poważniejsze lanie. Nigdy nie poszła do szkoły. Nigdy nie miała przyjęcia urodzinowego ani prawdziwej przyjaciółki.

Kiedy skończyła czternaście lat, nie była już „Łobuziakem z loczkami”. Jej ciało zaczynało nabierać kobiecych krągłości, miała długie, kształtne nogi i wydęte wargi. Była zbyt stara, by grać uroczą małą dziewczynkę, a zbyt młoda, by występować w bardziej pikantnych przedstawieniach. Wkrótce miała stracić pracę. Właśnie

podpisali kontrakt na miesięczne występy w Palace w Kansas City, kiedy Theta poznała przystojnego kelnera imieniem Roy. Uciekła z nim dwa tygodnie później. To okazało się jeszcze większym błędem niż pozostanie z panią Bowers. Z początku Roy sprawiał, że czuła się bezpieczna. Wkrótce jednak okazało się, że ma obsesję na jej punkcie - co nosiła, gdzie chodziła, z kim się widywała. Raz nawet zamknął ją na całą noc w łazience, kiedy wyszedł z kumplami. Theta otworzyła zamek wytrychem i wyślizgnęła się przez okno na pierwszym piętrze. Royowi się to nie podobało. Wcale mu się to nie spodobało.

Następnego ranka, z podbitym okiem i pękniętą wargą, próbowała wrócić do domu. Stała na ganku pensjonatu z niewielką walizką w kratę. Od łez piekła ją warga.

- Proszę, mamó. Przepraszam - błagała.

- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, Betty Sue - powiedziała pani Bowers i zamknęła drzwi.

Theta próbowała się zachowywać tak, jak wyobrażała sobie dobrą żonę, ale Roy denerwował każdy drobiazg. Pończochy jej się przekrzywiły. Tost był za bardzo przypieczony. Jej długie włosy, grube jak włosie szczotki, nie były stosownie upięte, przez co wyglądała jak „jakaś indiańska squaw!”. Dom nie był wystarczająco czysty. Jeśli u rzeźnika nie kupiła najlepszego mięsa, była koszmarną gospodynią. Jeśli udało jej się dostać dobry kawałek steku, cóż, pewnie musiała flirtować. Pieczenie po uderzeniu szczotką było niczym w porównaniu z ciosami ręką Roya. Noce były najgorsze. Zaciskała zęby i gapiła się w sufit, czekając, aż to się skończy. Raz próbowała zatrudnić się do skeczu w Palace, ale Roy jej zakazał, a poza tym zaczęła się moda na filmy. Teatryki wodewilowe przerabiano na eleganckie sale kinowe. Dni wodewilu się kończyły. Czasem, kiedy Roy pracował, a gorąco z jadłodajni na parterze

wznosiło się przez linoleum i w mieszkaniu panował popołudniowy upał, Theta rozbierała się do bielizny, odsuwała dywany i tańczyła przy akompaniamencie radioodbiornika, udając, że jest Josephine Baker w Folies Bergere w Paryżu. W tych fantazjach dodawały jej siłę wyobrażone uwielbienie i pochlebstwa widzów, ich zbiorowe pożądanie. Było to poczucie nieskrępowanej wolności, tańca, ponieważ mogła tańczyć, ponieważ kochała tańczyć, a nie dlatego, że ktoś tego od niej oczekiwał.

- „Dlaczego jesteś taki paskudny?” - nuciła swoim chropawym głosem, kładąc jedną dłoń na szczupłym brzuchu.

Drugą sięgała coraz wyżej i wyżej, jakby mogła w każdej chwili zerwać gwiazdkę z nieba albo wybić otwór w sklepieniu niebieskim i przez niego uciec. W jedno z takich parnych i dusznych popołudni na prerii Theta tak kompletnie zatopiła się w swojej ucieczce, śpiewając razem z głosem z radioodbiornika, i tak bardzo radowała się poruszeniami ciała - jej kończyny, jej biodra, jej, jej i tylko jej - że nie usłyszała, jak Roy przekręca klucz w zamku.

- No, no, no, czyż to nie piękne? - warknął, a ona odwróciła się z westchnieniem i zobaczyła, jak zajmuje całe wejście. Lekko się pochylił, a jego umięśnione przedramiona oparte o futrynę były jak gotowa wystrzelić proca. - To tak spędzasz czas, kiedy ja pracuję?

Wrócił do domu pijany i wściekły. Jej umysł wypełniały przygotowania, wiele drobnych przypochebień, pełnych nadziei gestów pojednawczych, odwracających jego uwagę od gniewu. Musiała je mieć w gotowości, by uniknąć pobicia.

- Zrobić ci obiad, Roy? Usiądź i rozluźnij się, a ja zrobię ci kanapkę - powiedziała. Miała nadzieję, że nie słyhać desperacji w jej głosie.

- Kanapkę?! Tak twoim zdaniem wygląda porządny domowy posiłek?! - krzyknął Roy.

Dokonała złego wyboru. Nie miało znaczenia, czy się rozplacze, czy zacznie krzyczeć. Robiła to wiele razy. Nikt nie przyszedł, żeby się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Opuszczano rolety i zamykano okna, by odciąć się od jej cierpienia. Tak już było w tym mieście. Nauczyła się znosić to w milczeniu. Odkryła, że wtedy bicie trwało krócej. Wsunął dłoń w jej włosy, jak kochanek, ale nie było nic romantycznego w szarpnięciu, od którego w jej oczach pojawiły się łzy, które wygięło jej szyję w jego stronę, wykrzywiło jej ciało tak, że mogła tylko iść za nim jak pies przy nodze pana. Pierwsze uderzenie było ostrzeżeniem. Zapiął ją policzek.

- Chcesz zatańczyć? He?

Plask.

- Lubię tańczyć.

Plask.

- Zatańczmy więc. Chcę zatańczyć ze swoją dziewczyną.

Rzucił ją na łóżko i przycisnął obie jej ręce za głowę jedną wielką dłonią. Stłumiła krzyk, kiedy poczuła, jak rozszarpuje słabą ochronę jej bielizny, i po raz drugi, gdy ta sama ręka zasypywała ją ciosami, aż jej wargi zaczęły krwawić, a w uszach dzwoniło. Później jego uda brutalnie rozsunęły jej i mogła jedynie łykać strach wraz z metalicznym posmakiem krwi.

Przerażenie obudziło dziwne nowe uczucie w jej wnętrzu, coś, nad czym nie mogła zapanować. Pamiętała, że jej ręce robiły się coraz cieplejsze, jej ciało zapłonęło. Pamiętała wyraz twarzy Roya - białka jego oczu robiły się coraz większe, jego usta otworzyły się w zaskoczeniu tuż przed tym, jak zaczął krzyczeć.

Theta mocno zacisnęła powieki. Po tym fragmencie w głowie zawsze czuła pustkę, jak na filmie, gdy zabrakło jednej szpuli. Pamiętała pociąg, kolejny pociąg i Nowy Jork, do

którego dotarła brudna, bez grosza i na wpół zagłodzona, a przeżyła, sypiając na ławkach w parkach, ukrywając się w toalecie damskiej na dworcu Grand Central i wślizgując się do kin, w których przesypiała całe dni i wychodziła dopiero, kiedy ją wygoniono. Nocami kradła butelki mleka pozostawiane przed drzwiami. O włos unikała brutalnych mężczyzn spoglądających na nią z ciemnych uliczek i wolno jadących samochodów. Mogłaby tak żyć dużo dłużej, gdyby nie zobaczyła Henry'ego siedzącego przy stoliku przy frontowym oknie jadłodajni Horn&Hardart Automat przy Szóstej Alei. Skrobał coś na cienkim białym papierze, nie zwracając uwagi na jedzenie. Theta prawie zemdląła z głodu. Odważyła się wejść do środka i kręciła w pobliżu jego stolika z nadzieją na resztki, kiedy Henry bez słowa popchnął w jej stronę drugą połowę swojej kanapki. Z początku się zawahała - wiedziała, jak się żyje na ulicy, i instynkt podpowiadał jej, by nie brała nic od obcego. Ale taki głód był jak zwierzę, które mogło pożreć ją od środka. Bestia głodu zwyciężyła i Theta jadła tak szybko, że prawie zwymiotowała kanapkę. Nadal się nie odzywając, Henry podszedł do błyszczących, jasno oświetlonych maszyn, wrzucił kilka monet, zaczekał, aż taca się obróci, otworzył szklane drzwiczki i wyjął najpierw porcję ryżowego puddingu, a później karton mleka. Przyniósł je, postawił przed Thetą na zasypianym okruszkami lakierowanym blacie stolika i patrzył, jak z mechaniczną precyzją wkłada kolejne łyżeczki puddingu do ust i popija je czterema łykami mleka. Nie przeszkadzało jej, że biały płyn spływa po jej policzkach. Później siedziała otępiała, prawie jak naćpana, jednocześnie najedzona i zemdlona.

- Jak się masz? Jestem Henry Bartholomew DuBois IV - powiedział Henry bardzo powoli, wyciągając rękę.

Miał najdłuższe, najbardziej eleganckie palce, jakie Theta widziała w życiu. Wszystko w nim było jasne. Długie i gęste

plowe włosy. Miękkie brwi i ciężkie, jasne rzęsy, które sprawiały, że jego orzechowe oczy wydawały się wiecznie zaspane. Białe piegi na ramionach, policzkach i nosie, które pokazywały się jedynie w słońcu. Nawet jego wargi, bezustannie wygięte w uśmiechu rozbawienia, były jedynie odrobinę ciemniejsze od skóry. Byłby kompletnie niezauważalny, gdyby nie ekscentryczny strój - tweedowe spodnie noszone na szelkach, sztywno wykrochmalona biała koszula, rozpięta kamizelka i słomkowy kapelusz z czerwono - niebieską wstążeczką, noszony na bakier, co świadczyło o psotnej naturze - lub przynajmniej impertynencji.

- Betty - wykrztusiła, krótko ściskając jego palce.

Henry przechylił głowę i obejrzał ją od góry do dołu.

- To strasznie pospolite imię jak na tak interesującą dziewczynę.

Z trudem unosiła powieki.

- Masz się gdzie zatrzymać? - spytał cicho Henry. Theta gwałtownie uniosła powieki. Chwyciła nóż.

- Tylko spróbuj, kolego, a pożałujesz.

- Cóż, pomijając wszystko inne, wolałbym nie zakończyć życia, ugodzony zwyczajnym nożem do masła - powiedział Henry tonem, jakim mógłby wygłosić powitanie. - Mogę cię zapewnić, Betty, że jestem dżentelmenem i zawsze dotrzymuję słowa.

Theta była tak zmęczona. Zupełnie jakby głód był korkiem zatrzymującym jej uczucia. Kiedy został usunięty, rozpłakała się.

- Już dobrze, kochanie. Chodź.

Henry powiedział jej później, że nigdy nie widział, by ktoś tak piękny tak paskudnie płakał.

Theta podążyła za Henrym do jego kawalerki pod przeciekającym dachem przy St. Mark's Place, gdzie podał jej poduszkę i koc. Kiedy tuliła je do siebie, wciąż nieufna, on

przyciągnął stare wiklinowe krzesło do podniszczonego pianina przy kratce wentylacyjnej. Nucił cicho pod nosem i robił notatki na tych samych kartkach papieru, pełnych skreśleń i plam atramentu.

- Możesz zostać - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Nie ma gosposi. Rury przeciekają. Łazienkę na dole dzielimy z dziesięcioma bardzo ekscentrycznymi sąsiadami. Zimą jest zimno, a latem gorąco jak diabli. W sumie niewiele lepiej niż na ulicy. Ale i tak zapraszam.

Doszła do wniosku, że będzie chciał coś w zamian, ale nigdy nie spróbował. Theta przespalała całą noc i większość dnia. Kiedy się obudziła, znalazła pączka na wyszczerbionym talerzyku i zwiędłą stokrotkę wciśniętą do pustej butelki po mleku, na której wspierała się kartka:

Mam nadzieję, że dobrze spałaś. Poprosiłbym Cię, żebyś niczego nie ukradła, ale tu nie ma czego ukraść. Możesz zostać, ile tylko zechcesz. Z poważaniem,

Henry DuBois IV

Nie miała gdzie pójść, więc zjadła pączka i umyła talerz. Później umyła inne talerze i odłożyła je na miejsce. Henry wrócił do pokoju tak czystego, że wyszedł i upewnił się, że wszedł do właściwego mieszkania.

- Nie nazywasz się przypadkiem Królowa Śnieżka? - spytał. Zjedli miskę klusek ze sklepu na parterze i rozmawiali do późna.

To Henry przekonał ją, by obciąła włosy. Ramię w ramię poszli do fryzjera przy Bleeker Street, Theta w ubraniu Henry'ego. Siedziała całkiem nieruchomo, patrząc przed siebie, kiedy nożyczki przebijały się przez jej gęste loki. Poczowała, że jej głowa staje się lżejsza, jakby ogolono ją z ciężaru wspomnień, duchów przeszłości. Kiedy fryzjer obrócił fotel tak, że spojrzała w lustro, Theta ze zdziwieniem otworzyła usta. Łagodnie pogłaskała nagą skórę na szyi, z

przyjemnością dotykając zarostu wysoko na karku, gdzie jej włosy tworzyły prowokujące V. W lustrze widziała, jak Henry zagryza wargę.

- Na co się gapisz, pianisto? Nigdy wcześniej nie widziałeś chłopczycy? - powiedziała z mrugnięciem.

- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na tej ulicy - powiedział Henry.

Theta czekała, aż ją pocałuje. Kiedy tego nie zrobił, poczuła dziwną mieszaninę rozczarowania i ulgi.

Uczcili to butelką szampana w artystycznym klubie w Greenwich Village, kawałek od MacDougal Street, gdzie z dala od oceniających spojrzeń piękni chłopcy tańczyli ze sobą, pierś przy piersi, trzymali się razem i wymieniali pełne tęsknoty spojrzenia ponad stolikami, wokół których siedzieli atrakcyjni mężczyźni. Theta słyszała, że takie miejsca istnieją, i знаła mężczyzn, którzy interesowali się innymi mężczyznami - „cioty”, nazywała ich pani Bowers, wykrzywiając usta w grymasie, i Theta czuła, jak wstyd związany z tym określeniem owija się wokół jej serca - ale nigdy wcześniej nie poszła do takiego klubu. Bała się, że nie będzie tam mile widziana, ale jej obawy okazały się bezpodstawne.

W ciemnościach klubu Henry usadowił się wygodnie i rozglądał dookoła, a jego spojrzenie co raz to padało na przystojnego, ciemnowłosego młodzieńca, który od czasu do czasu nieśmiało odwracał wzrok. W tej chwili Theta w końcu zrozumiała.

- I wszystko jasne, dzieciaku - powiedziała.

Następnie, niczym gwiazda estrady, podeszła wolnym krokiem do ciemnowłosego młodzieńca, przyciągnęła sobie krzesło i powiedziała:

- Mój kumpel, Henry, będzie nowym Georgem Gershwinem. Powinieneś poprosić go do tańca, zanim będzie sławny i bogaty.

Dużo później siedzieli wszyscy razem na pluszowej kanapie, Theta po jednej stronie Henry'ego, przystojny chłopak po drugiej, a wraz z nimi dwaj studenci z New Jersey i marynarz pochodzący z Kentucky, pijąc i śmiejąc się, śpiewając i wymieniając krawatami. Próbowali wymyślić nowe imię dla Thety, która, jak ogłosił Henry, po prostu nie była Betty. Przelecieli wszelkiego rodzaju imiona, od wytwornych - Gloria, Hedwig, Natalia, Carlotta - aż po głupiutkie w rodzaju Ma Dżong, Merry Christmas, Ruby Valentino czy Maria Siekiera.

- Może mogłabyś nazywać się Sigma Chi! - zawołał jeden ze studentów, doprowadzając ich do kolejnego ataku śmiechu.

- To straszne - powiedział Henry, chichocząc. Jego policzki leciutko się zaróżowiły, przez co wyglądał jak rozpustny ministrant.

- Alfa Beta! Delta Ypsilon! Phi Beta Kappa! Delta Theta!

- Zaraz... jak brzmiało to ostatnie? - spytała.

- Theta - powtórzył student, a jego towarzysze powtórzyli. Byli głośni i pełni zaraźliwej pijackiej radości.

- Theta - powiedziała, smakując je na języku. - Niech będzie Theta.

Uparła się przy nazwisku Knight, Rycerz. Z nim czuła się silna i dzielna. Nazwisko jak zbroja. Gdyż w tym nowym życiu postanowiła się bronić.

- Za pannę Thetę Knight! - wznieśli toast chłopcy, a Theta wypijała za swoje nowe nazwisko.

Ze śmiechem tańczyli pod żyrandolem, który zalewał ich plamami światła, i miała nadzieję, że ta noc się nie skończy.

Tydzień później Theta obudziła Henry'ego tak wcześnie, że niebo dopiero nabierało błękitnego poblasku, w którym

oboje wydawali się bezradni. Oczy miała zapuchnięte i czerwone, policzki mokre od łez. Minęły dwa miesiące, od kiedy opuściła Kansas i Roya, od kiedy skrzywdził ją po raz ostatni.

Henry wsparł się na ramionach. Głos miał rozespany.

- Co się stało, kochanie?

Opowiedziała mu o tym, co stało się w Kansas, pod koniec nie udało się jej powstrzymać od łez. Przez te ostatnie tygodnie była taka radosna, jakby została uratowana ze wzburzonej po ulewach rzeki i ogrzała się na brzegu w promieniach gorącego słońca, ale później obudziła się i odkryła, że w nocy poziom rzeki się podniósł i znów pociągnęła ją w głąb.

Henry wysłuchał jej uważnie. Kiedy skończyła, przyciągnął ją do siebie i przytulił do nagiej, gładkiej piersi.

- Ożenię się z tobą, jeśli chcesz - powiedział. Pocałowała go w dłoń i uniosła je do twarzy.

- Nie mogę urodzić tego dziecka, Hen. Powoli pokiwał głową.

- Znam kogoś, kto mógłby nam pomóc.

Powiedział to zupełnie naturalnie - „nam”. I Theta wiedziała, że się nie rozstaną, że zawsze tacy będą, dwie połówki jednej całości, najlepsi przyjaciele.

Dostali nazwisko mężczyzny i adres, zapisany na kawałku papieru ukrytym w dłoni Thety. Padało, kiedy szli uliczką i wkroczyli do nędznego budynku, gdzie dwóch wyraźnie przerażonych mężczyzn spacerowało i paliło. Później wspięli się na czwarte piętro po zniszczonych schodach, mijając zamknięte drzwi, za którymi wrzeszczały dzieci i były uciszane. Smród gotowanej ryby unosił się w długim, ciemnym korytarzu, aż Thecie zrobiło się niedobrze i z trudem powstrzymała wymioty. W końcu dotarli na najwyższe piętro i zapukali do prostych brązowych drzwi mieszkania

śmierdzącego lizolem. Żyłasty mężczyzna o pomarszczonej twarzy wprowadził ich do brudnej poczekalni, w której stały trzy krzesła, każde z innej parafii. Po prawej znajdowała się wanna na wpół wypełniona krwawą wodą i zbiór noży. Za zasłoną jęczała kobieta. Theta chwyciła Henry'ego za rękę tak mocno, że bała się, iż ją złamie. Żyłasty mężczyzna wskazał na kozetkę przykrytą prześcieradłem, kazał się jej rozebrać i położyć.

Kobieta znów krzyknęła, a wtedy Theta zbiegła po schodach i wypadła na mokrą uliczkę, nie przejmując się, że przemoknie.

- W porządku - powiedział Henry, kiedy ją dogonił. Był zdyszany - Znajdziemy pieniądze.

Henry sprzedał pianino i znaleźli innego lekarza, drogiego, ale czystego. Kiedy było po wszystkim, Theta leżała na łóżku Henry'ego, obolała i otępiała po eterze. Obiecała mu wówczas, że kupi mu nowe pianino, choćby to była ostatnia rzecz w jej życiu. Henry ścisnął jej rękę i usnęła.

Dwa tygodnie później dostała pracę u Ziegfelda. Podała fałszywe nazwisko, pochodzenie i wiek, ale wszyscy tak robili. To właśnie kochała w tym mieście - można było stać się każdym. Kiedy akompaniator opuścił zespół, żeby grać w modnym klubie w lepszej dzielnicy, zaproponowała, żeby zatrudnili Henry'ego. Dodatkowe pieniądze pozwoliły im wynająć większe mieszkanie w Benningtonie. Udawali rodzeństwo, co było absurdalne, gdyż wyglądali zupełnie inaczej, nawet jeśli dusze mieli podobne. I każdego tygodnia Theta wrzucała dolara do starej puszeki po kawie oznaczonej „Fundusz na pianino”.

Sądziła, że mogli tak żyć wiecznie, Theta i Henry, nie należąc do nikogo poza sobą i sobą nawzajem. Ale nie spodziewała się, że spotka Memphisa. Nie chodziło tylko o to, że śnili o tym samym symbolu, co z pewnością było dużą

sprawą. Nie, chodziło o samego Memphisa. Był życzliwy, silny i przystojny. Jego obecność napełniała ją lekkością i nadzieją, choć nie mogli mieć nadziei, by żyć razem. A gdyby Flo się dowiedział, wyrzuciłby ją z zespołu.

Daisy zostawiła na toaletce parę kolczyków z rubinami, jeden z wielu prezentów od tego maklera czy tamtego krytyka teatralnego. Theta przez chwilę zastanawiała się, czy ich nie sprzedać i nie oddać kasy na sierociniec, choćby po to, żeby nauczyć tę bezmyślną krowę większej troski o swoje rzeczy. Zostawiła je jednak i wyłączyła światła, po czym ruszyła przez zaciemniony teatr w słabym blasku świateł roboczych. Dotarła właśnie za kulisy, kiedy usłyszała dobiegające z głębi teatru pogwizdywanie, które kazało jej się zatrzymać.

- Wally?! To ty? - zawołała. Jej serce biło coraz szybciej. Pogwizdywanie ucichło. Nie było odpowiedzi.

Theta przyśpieszyła kroku. Jeśli to jakiś bałwan robił sobie żarty, mógł dostać za to w zęby. Theta przerzuciła nogi przez scenę i zeskoczyła do pierwszego rzędu. Znow to usłyszała - wesołe pogwizdywanie dochodzące gdzieś z głębi teatru. Żałowała, że nie zostawiła świateł.

- Kto tam?! - zawołała. - Daisy, jeśli to ty, przysięgam, że nie będziesz mogła tańczyć przez całe miesiące po tym, jak połamię ci nogi.

Pogwizdywanie nie ucichło, nie mogła też umiejscowić jego źródła. Wydawało się, że dochodzi ze wszystkich stron. Pobiegnęła przejściem po prawej, po ciemku uderzyła nogą o oparcie jednego z foteli, ale nie zatrzymywała się. Rzuciła się na drzwi teatru i odkryła, że są zamknięte na klucz.

Skąd dochodziło pogwizdywanie? Cofnęła się przejściem, spoglądając w stronę balkonu. Nagle zapalił się reflektor, oślepiając ją. Mrugając, odwróciła się i pobiegła z powrotem do garderoby, a melodia podążała za nią. Wszystkie drzwi były otwarte i Theta ostrożnie szła słabo oświetlonym

korytarzem, obawiając się, że ten, kto pogwizdywał, mógł wyskoczyć zza tych drzwi. Była teraz naprawdę przerażona. Pod rękawiczkami jej skóra była gorąca i swędziała.

- Nie - szepnęła. - Nie.

Na końcu korytarza zobaczyła wąski pasek światła. Wejście dla aktorów było otwarte. Pobiegnęła w jego stronę. Jej palce płonęły niechcianym gorącem. Pogwizdywanie stało się głośniejsze. Wydawało się, że dobiega zza jej pleców. Światła robocze migotały i gasły, kiedy je mijała. Potknęła się i upadła na kolana, krzywiąc się z bólu. Dotknęła dłonią ściany i poczuła, jak drewno się rozgrzewa. Z sapnięciem odepchnęła się i znów pobiegła w stronę drzwi. Drzwi, drzwi, drzwi. Wejście dla aktorów, droga ucieczki. Wejście dla aktorów, które właśnie się zamykało.

TEN, KTÓRY PRACUJE OBIEMA RĘKAMI

Memphis obudził się z poczuciem, że coś jest nie tak. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył, że łóżko Isaiaha jest puste, natychmiast wstał i z bijącym szybko sercem przeszukał mieszkanie. Sprawdził łazienkę i kuchnię. Octavia chrapała w łóżku i chłopak bardzo się starał, żeby jej nie obudzić. Wyjrzał przez okno salonu i zobaczył jak brat w samej piżamie stoi w zimnym ogrodzie. Podbiegł do niego.

- Isaiah, co ty robisz? - Memphis potrząsnął chłopcem. Isaiah był zimny.

- Rozmawiam z Gabrielem. - Chłopiec szczekał zębami. Spojrzenie miał niepewne, jak w transie. - Memphis, bracie - wyszeptał. - Nadchodzi burza... Nadchodzi burza...

- Isaiah! Isaiah! - Memphis mocno potrząsnął bratem.

- Co się tu dzieje, w imię niebios? - Octavia wyszła w szlafroku. - Co robicie na zewnątrz w środku nocy?

- Isaiahowi przyśnił się koszmar. Dalej, stary, obudź się!

- A dziewiątą ofiarę zrodziła pożądlivość i grzech... - powiedział Isaiah. Przewrócił oczami, a jego wargi zadrżały. Octavia uniosła dłoń do ust.

- Słodki Jezu. Memphis, pomóż mi wnieść go do środka. Razem zanieśli trzęsącego się Isaiaha do środka i położyli go na łóżku. Octavia upadła na kolana obok łóżka i uniosła jedną dłoń do jego czoła, a drugą do swojego serca.

- Klękaj, Memphisie Johnie. Módl się ze mną. Modlitwą wypędzimy szatana z tego dziecka.

- W Isaiahu nie ma szatana! - warknął Memphis. - Nadchodzą, bracie... - wyszeptał Isaiah. Zaczął się trząść coraz bardziej gwałtownie.

- Zostań ze mną - poleciała Octavia. - Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Memphis z przerażeniem przyglądał się scenie rozgrywającej się w sypialni. Jego najlepszy przyjaciel nie żył.

Brat chorował od wizji. Matka przedwcześnie spoczęła w grobie i nawiedzała jego sny, a ojciec odszedł i pewnie już nie wróci. Memphis miał wszystkiego serdecznie dosyć. Chciał złapać Thetę i uciec od tego wszystkiego.

- Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach - modliła się gorliwie Octavia. - Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć. Orzeźwia moją duszę. Memphisie Johnie, gdzie ty się wybierasz?

- Jak najdalej stąd! - krzyknął Memphis.

Zarzucił płaszcz na pizamę, wcisnął bose stopy w buty i wybiegł z budynku, a jego krokami kierowała wściekłość. W nocy pojawiła się mgła. Otaczała uliczne latarnie i zmieniała Harlem w miasto duchów. Nieliczni ludzie na ulicach, otuleni oparem, byli niczym roześmiane cienie. Memphis odwrócił się od nich i ruszył w stronę zamożniejszych dzielnic.

Dlaczego tak się działo? A jeśli Isaiah był chory, jak ich matka? Nie wiedzieli, jak źle się sprawy miały, aż było zbyt późno. Czy to było ostrzeżenie? Pamiętał, jak siostra Walker powiedziała, że Isaiah jest jak radiodbiornik, który łapie sygnały. Jakie sygnały łapał Isaiah i jak je powstrzymać?

Odkrył, że znajduje się przed cmentarzem Trinity. Otwarta brama skrzypiała na wietrze. Dlaczego była otwarta? Czarny kot przeszedł przez drogę, każąc Memphisowi się zatrzymać.

- Dalej! Spadaj! - syknął do niego.

Memphis zadrżał. Zrobiło się zauważalnie chłodniej, choć nie wiedział, dlaczego. Nie przez wiatr. Właściwie powietrze było nieruchome. Ani jedno drzewo się nie kołysało. Żadnego szelestu liści. Memphis dostał gęsiej skórki. Nagle pomyślał, że powinien odwrócić się, wrócić do domu i naciągnąć kołdrę na głowę.

- Kra! - Na nagich gałęziach drzewa siedział kruk i obserwował go.

- Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnął w jego stronę Memphis. Na cmentarzu zobaczył sylwetkę we mgle. Postać się nie ruszała. Po prostu tam stała.

- Memphisie...

Głos był szorstki, jak szelest wysuszonych liści w rynsztoku. Memphis stał całkiem bez ruchu, ale drżały mu kolana. Obłoczki pary wydobywające się z jego ust były jak kod strachu. Próbował się odezwać, ale język całkiem mu wysechł.

- Gabe?

Postać wezwała go gestem.

- Bracie...

Kruk znów zakrakał. Memphis zaczął się śmiać. Tracił zdrowe zmysły, to się właśnie działo. Utknął w koszmarze i nie umiał się obudzić. Czując na sobie fatum, podążył za postacią w głąb mglistego cmentarza, aż dotarł do mauzoleum, na którym powieszono ciało Gabe'a. Teraz wśród mgły stał Gabe w garniturze, w którym go pochowano. Jego skóra była błyszcząca i naciągnięta na pełną twarz, do tego migotał na krawędziach, przemijający, fosforyzujący, jak głębinowa ryba, która na chwilę wyłoniła się na powierzchni. Memphis był świadom dźwięku, jak ostrej nuty wygrywanej na trąbce. Wypełnił uszy chłopaka i przyśpieszył bicie jego serca. Kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię, sparaliżowany. Nad nim Gabe migotał sennie, jakby Memphis widział jego kolejne cykle. Przyjaciół o smutnych oczach. Roześmiany demon. Gnijąca maska śmierci obleziona przez muchy, oczy zaszyte, język wycięty.

Kiedy Gabe się odezwał, był to długi, wymęczony szept, jakby to miały być ostatnie dźwięki, które miał kiedykolwiek wydać.

- Na rozstaju dróg będziesz miał wybór, bracie. Strzeż się tego, który pracuje obiema rękami. Nie pozwól, by oko cię zobaczyło...

Memphis trząsł się. Dźwięk trąbki osiągnął taką wysokość, że chłopak miał ochotę zacząć krzyczeć. Mgła zawirowała wokół Gabe'a, a ostatnim, co usłyszał Memphis, zanim stracił przytomność, było ciche ostrzeżenie:

- Nadchodzi burza... Wszyscy są potrzebni...

Siostra Walker siedziała przy kuchennym stole, w szlafroku, z głową owiniętą szalem, przed sobą miała kubek kawy, z którego nie upiła nawet łyka, i słuchała, jak Memphis mówi o swoim zmarłym przyjacielu. Siedziała całkowicie bez ruchu, kiedy opowiadał gorączkowo swoją historię, która zaczęła się od transu Isaiaha, a skończyła na cmentarzu Trinity. Nie poruszyła się nawet, kiedy opowiedział jej, jak Gabe wypowiedział ostrzeżenie - „Nadchodzi burza” - tuż przed tym, jak zniknął we mgle. Kiedy Memphis skończył, rozlegało się jedyne miarowe tykanie kuchennego zegara, a przez okno wpadał pierwszy blask świtu.

W końcu siostra Walker się odezwała.

- Memphisie, chciałabym, żebyś mnie bardzo uważnie posłuchał. Przeżyłeś straszny szok. Nie wiem, co się wydarzyło na tym cmentarzu, ale na razie chciałabym, żeby to pozostało między nami. Nie mów nikomu... nikomu, rozumiesz?

Memphis był zbyt zmęczony, by zrobić cokolwiek, poza skinieniem głową.

- Co się tyczy Isaiaha, na razie przestanę z nim pracować, dopóki nie poczuje się lepiej. Kiedy przyjdzie następnym razem, poćwiczymy arytmetykę i nic więcej.

- Isaiahowi się to nie spodoba - powiedział tępo Memphis.

- Isaiahem ja się będę martwić. - Rozkaszała się i wrzuciła do ust pastylkę. Później otuliła Memphisa płaszczem, jak mogłaby to zrobić matka, i chłopak poczuł, że zbiera mu się na płacz. - Wracaj do domu, Memphisie. Odpocznij.

Siostra Walker stała w drzwiach i patrzyła, jak Memphis wlecze się do domu. Paskudnie kaszłała - zbyt mało snu. Łyk lekarstwa i gorąca herbata na jakiś czas pomogą. A na to, co właśnie usłyszała, nie miała lekarstwa - jedynie głębokie uczucie przerażenia, że jakaś nienazwana groza miała unieść swoje mroczne skrzydło nad ich krajem, a oni wszyscy zginą w jego cieniu.

FAŁSZYWI BOŻKOWIE

Samochód zatrzymał się z piskiem hamulców przed teatrem Globe. Evie wyskoczyła z niego zanim jeszcze ucichł silnik. Próbowwała otworzyć główne wejście.

- Zamknięte! - krzyknęła.

- Wejście dla aktorów! - zaproponował Jericho.

Skoczył w boczną uliczkę, Evie i Sam podążyli za nim. Wejście dla aktorów było szeroko otwarte. Klamka częściowo się stopiła, a futryna poczerniała.

Pod Evie. uginały się nogi, kiedy skradała się ciemnym korytarzem, mijając garderoby, których lustra migotały w ciemnościach.

- Jericho? - wyszeptała. - Sam?

- Tutaj - powiedział Sam, wyłaniając się z garderoby. Evie aż podskoczyła.

Na scenie było jasno i kiedy się zbliżyła, zobaczyła włączony reflektor. Widziała podświetlane schody z układu z oddawaniem czci Ba'alowi i serce zabiło jej szybciej.

- Theta? - powiedziała. Żadnej odpowiedzi.

Evie wyszła na scenę. Uniosła dłoń, by osłonić oczy przed oślepiającym reflektorem i podążyła za jego blaskiem do ołtarza na szczycie schodów. To miejsce aż migotało, gdyż światło odbijało się od zdobionego cekinami kostiumu martwej dziewczyny.

- Sam! Jericho! - krzyknęła Evie i mimo strachu pobiegła po schodach. Na widok ciała wyciągnęła rękę, by zachować równowagę i nie polecieć w dół.

- Czy to ona?! - zawołał Sam i podbiegł do niej.

- Nie - odpowiedziała słabo Evie. Dziewczyna była blondynką.

- Jej skóra... - odezwał się Sam. Położył dłoń na ramieniu Evie, a ona podskoczyła.

- Zniknęła - dokończył Jericho.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i dotarły do nich okrzyki:

- Nie ruszać się!

Przejściami między rzędami foteli kroczyli policjanci z wyciągniętą bronią. Evie widziała ich kajdanki.

- Jesteś aresztowana - powiedział jeden z policjantów.

Evie wyciągnęła ręce i bez słowa sprzeciwu dała się zabrać na posterunek.

Detektyw Malloy był wściekły. Kiedy Evie siedziała wraz z Jericho i Samem na krzesłach przed jego biurem, słyszała, jak naskoczył na wuja Willa.

- ...zatarcie śladów na miejscu przestępstwa... włamanie i wtargnięcie... chyba mówiłem ci, że masz się trzymać z dala...

- Powiem mu, że to był mój pomysł - stwierdził Sam.

- Byczo. Ja też mu powiem, że to był twój pomysł - zgodziła się Evie.

Policjanci wciągnęli na posterunek opierającego się T.S. Woodhouse'a i rzucili go bezceremonialnie na krzesło obok Evie i pozostałych.

- Ej, mam swoje prawa, wiecie przecież! - ryknął Woodhouse.

- Tak? - odwarknął policjant. - Nie na długo. Hej, sierżancie, złapałem tego na miejscu przestępstwa, jak robił ukradkowo zdjęcia ciała aparatem przypiętym do nogi. Czy to nie szczyt wszystkiego?

- Ten aparat jest własnością „Daily News”, stary! - ryknął T.S. Na widok Evie stwierdził: - No, no, no, czyż to nie mój ulubiony kotek. - Uśmiechnął się szyderczo. - Tamtego wieczoru zafundowałam mi niezłą wycieczkę. Ars Mysterium, tak? Raczej Stek Bzdur.

- Dostał pan dokładnie to, na co pan zasłużył, panie Woodhouse.

Oczy mężczyzny zabłyśły.

- Tak? A jak myślisz, co powie twój wuj, jeśli dowie się, że to ty przekazywałaś mi informacje w tej sprawie?

- To byłaś ty? - spytał Sam, unosząc brwi.

- I to jak - odparł Woodhouse, nie odrywając spojrzenia od Evie.

- Szantażuje mnie pan, panie Woodhouse? Wzruszył ramionami.

- Być może.

- Świetnie. Chce pan wiedzieć, kim jest Pentaklowy Zabójca? To Paskudny John Hobbes we własnej osobie, który powstał z martwych, by dokończyć rytuał, który zaczął w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym. A kiedy skończy, sprowadzi piekło na ziemię.

- Evie - powiedział ostrzegawczo Jericho.

Evie patrzyła T.S. Woodhouse'owi w oczy. Odpowiedział cynicznym śmiechem.

- Niezła jesteś, kotku. To ci przyznam. Ale na twoim miejscu nie czekałbym na kolejne artykuły ukazujące muzeum w dobrym świetle... i ciebie też, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

Will wyszedł na korytarz.

- Ani słowa, aż wrócimy do domu.

- Na razie, kotku - powiedział T.S. Woodhouse. - To była miła znajomość.

Henry spał, zwinięty twarzą do ściany. Theta wsunęła się do łóżka i przytuliła do niego. Objęła ramieniem jego bok. Poruszył się i ścisnął jej dłoń. Theta zaczęła płakać i Henry odwrócił się w jej stronę.

- Theto? Co się stało?

- Byłam w teatrze. Usłyszałam hałas. Ktoś tam był, Hen! Henry walczył z sennością i próbował zrozumieć, co mówi Theta.

- Kto tam był? O czym ty mówisz, kochanie?

- Wróciłam, a tam był Wally z gliniarzami. Wyglądał, jakby ktoś go skopał. Udawałam, że poszłam na miasto i właśnie przechodziłam obok, i spytałam, co się stało.

Theta wtuliła twarz w bok Henry'ego. Czuł jej drzenie.

- To była Daisy - wykrztusiła w końcu. - Pentakłowy Zabójca dopadł Daisy. Musiała wrócić po kolczyki i... to mogłam być ja, Henry.

Theta znów się rozplakała. Przytulił ją mocno. Myśl o tym, że mógłby stracić Thetę, przeraziła go.

- Coś ci się stało?

- Nie. Och, Hen, usłyszałam to straszne pogwizdywanie dochodzące ze wszystkich stron. Biegłam, ale nie mogłam otworzyć drzwi i... - Jej głos ucichł, stał się niemal szeptem. - Znów się zaczęło, Hen. Jak w Kansas.

Henry wiedział, co stało się w Kansas. Wiedział również, że od tamtego czasu się nie powtórzyło.

- Cóż, teraz jesteś bezpieczna. Przy mnie.

- Co się dzieje, Hen?

- Nie wiem, kochana.

Henry objął Thetę, ona oparła głowę o jego pierś i leżeli tak aż do świtu.

DZIKI CZŁOWIEK Z BORNEO

Poranne gazety miały używanie w związku ze śmiercią Daisy Goodwin. OSTATNI UKŁON! MORDERSTWO W REWII! PENTAKLOWE PRZEDSTAWIENIE! Evie czytała artykuł na pierwszej stronie „Daily News”, kiedy do środka wpadł Sam, niosąc w ręku papier robiący wrażenie oficjalnego dokumentu.

- Mam wieści!

Wspiął się szybko po spiralnych żelaznych schodach do miejsca, gdzie Evie stała pośród wysokich regałów, i przeciągnął się jak kot, który wie, że czeka na niego miseczka ze śmietanką.

- Dobra. Poddaję się. Czemu, u diaska, jesteś taki zadowolony z siebie?

- Znalazłem dokumentację podatkową Knowles' End. - Przerzucił nogi przez balustradę, wskoczył na drabinkę na kółkach i odepchnął się.

- Od kiedy to tak dobrze znasz się na prowadzeniu badań?

- Cóż, polegałem na swoim uroku osobistym - przyznał Sam. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak pomocne mogą być urzędniczki.

Evie zbiegła po schodach na parter i truchtała obok Sama, który jechał na drabince. - I co? Znalazłeś coś ciekawego?

Sam znów odepchnął drabinkę.

- I to jak. Przez ostatnie trzydzieści lat podatki opłacała pani Eleanor Joan Ambrosio. - Zrobił dramatyczną pauzę.

Evie przewróciła oczami. - I co z tego?

- To nazwisko nic dla mnie nie znaczyło, więc zacząłem kopać. Ambrosio to nazwisko po mężu. Jej nazwisko panięskie to Blodgett. Coś ci to mówi?

- Nie.

Evie wyciągnęła rękę do drabinki, lecz Sam znów się odepchnął i złapała tylko powietrze. Naprawdę dobrze się bawił, widziała to wyraźnie.

- Mary White wyszła za gościa nazwiskiem Blodgett. Eleanor to ich córka.

Evie dotrzymywała kroku drabince.

- Czyli jej córka zatrzymała Knowles' End? Dlaczego?

- Dokładnie o tym samym pomyślałem. Widzisz, myślimy podobnym torem.

- Mógłbyś stamtąd zejść? Kręci mi się w głowie. Evie gwałtownie zatrzymała drabinę i Sam zeskoczył.

- Ech, laleczko. Mówisz takie urocze rzeczy.

- Sam, ostrzegam cię. Możesz być kolejną ofiarą.

Sam usadowił się na krześle i oparł nogi na stole. Założył ręce na karku tak, że jego łokcie wystawały po obu stronach głowy jak skrzydła.

- Jeśli wolno mi tak powiedzieć, to był doskonały pomysł z mojej strony, sprawdzić dokumentację podatkową.

- Kiedy już skończysz się chwalić, czy mógłbyś to wyjaśnić? - Wydawało mi się to dziwne. Jeśli córka odziedziczyła tę starą rudere, czemu ją zatrzymała? Czemu jej nie sprzedała, żeby zarobić trochę kasy? Czemu chciała zachować to stare brzydactwo? - Znów przerwał.

- Będziesz mnie trzymał w napięciu przez całą noc? Sam wyszczerzył się.

- Całą noc? - powtórzył.

- Mów dalej.

Sam zakołysał się na krześle.

- Zacząłem kopać głębiej i znalazłem ofertę kupna posiadłości wystosowaną przez firmę Milton and Sons. Najwyraźniej uznali, że to doskonałe miejsce na luksusowy apartamentowiec, i byli gotowi zapłacić niezłą sumkę. Ale

oferta została odrzucona, a podpis złożyła prawowita właścicielka, pani Mary White Blodgett.

Wrzucił winogrono do ust i poczekał, aż jego słowa wybrzmiały.

- Nasza Mary White? Dawna kochanka Johna Hobbesa?

- Ano, ta sama.

Serce Evie zabiło szybciej.

- Jak dawno temu złożono tę propozycję?

- Trzy miesiące temu.

- Mary White wciąż żyje? - spytała Evie z szeroko otwartymi oczyma.

- Owszem. Mieszka w jednej z tych chałup za Coney i wciąż nie chce sprzedać domu na wzgórzu.

- Zastanawiam się, dlaczego.

- Może powinniśmy się dowiedzieć.

Mary White Blodgett mieszkała przy Surf Avenue w zniszczonym przez słońce wiatry parterowym domku z widokiem na kolejkę górską Thunderbolt. Jej córka, Eleanor, przywitała Willa i Evie w podomce, z włosami upiętymi wsuwkami.

- Pani Ambrosio? - spytał Will.

- A kto pyta?

- Miło mi panią widzieć. Jestem William Fitzgerald. Z muzeum. Rozmawialiśmy przez telefon.

W oczach kobiety pojawił się błysk zrozumienia.

- A, tak. Owszem. Moja matka to już staruszka i jest bardzo chora. Proszę jej nie denerwować.

- Oczywiście - odparł Will, zdejmując kapelusz.

Pani Ambrosio przeprowadziła ich przez pokój dzienny zaśmiecony pudełkami po czekoladkach Whitman's Sampler i buteleczkami napoju Radithor, które jeszcze nie trafiły do kosza na śmieci. Śmierdziało starym piwem i solą.

- Dziewczyna do sprzątania ma dziś wolne - powiedziała i trudno było ocenić, czy to wisielczy dowcip, czy próba usprawiedliwienia... a może obie te rzeczy naraz. - Proszę zaczekać w kuchni.

Evie przyciskała ręce do boków. Nie chciała nawet stać w tym miejscu, nie wspominając o siadaniu. Na brudnym kuchennym stole buteleczka podpisana MORFINA stała niebezpiecznie blisko tej oznaczonej TRUTKA NA SZCZURY. Brudna strzykawka opierała się na zakrwawionym kłębku waty.

Pani Ambrosio zniknęła za zasłoną, ale nadal słyszeli jej głos, wysoki i przenikliwy.

- Mamo! Ci ludzie przyszli do ciebie w sprawie pana Hobbesa.

Pani Ambrosio nagle pojawiła się znowu, pośpiesznie schowała buteleczki do szafki i zamknęła drzwiczki.

- Czasem pojawiają się szczury - wyjaśniła. - Jak mówiłam, jest bardzo chora. Macie piętnaście minut. Później czas na jej drzemkę.

Znajdująca się za zasłoną sypialnia Mary White przypominała grobowiec. Rolety opuszczono i ostry blask słońca na plaży przenikał jedynie wokół ich krawędzi. Staruszka siedziała na łóżku, oparta o poduszkę. Miała na sobie szlafmycę i brudny peniuar z brzoskwiniowego jedwabiu. Pod delikatną skórą jej ramion szaro - niebieskie wypukłości żył były jak łańcuch górski wyrysowany na zgięciach starej mapy.

- Chcecie się dowiedzieć o moim Johnie - powiedziała słabym głosem, dysząc z trudem.

- Tak, pani Blodgett. Dziękuję.

Will usiadł na jedynym krześle, zmuszając Evie, by usiadła na brzegu łóżka. Staruszka pachniała mentolową maścią i czymś chorobliwie słodkim, jak przekwitłe kwiaty.

Ten zapach sprawiał, że dziewczyna miała ochotę wybiec z domu na plażę.

- Znałeś mojego Johna? - Mary White uśmiechnęła się, ukazując brązowe zęby.

- Obawiam się, że nie - odparł wuj Will.

- Taki kochany człowiek. Co tydzień przynosił mi goździki. Czasem białe, czasem czerwone. Albo różowe w szczególne dni.

Evie zadrżała. Z tego, co wiedzieli, John Hobbes bynajmniej nie był kochanym człowiekiem. Zabił wielu ludzi i odcinał im fragmenty ciała. Sterroryzował i prawdopodobnie zabił Idę Knowles. A jeśli się nie mylili, jego duch powrócił, by dokończyć makabryczny rytuał i sprowadzić straszliwe zniszczenie.

- Tak. Cóż. Czy mogłaby nam pani opowiedzieć o wierzeniach Johna? - spytał Will. - O sekcje Bractwo i...

- To nie była sekta! - wykrztusiła staruszka. Evie pomogła jej napić się wody z brudnej szklanki. - Próbowali sprawić, żeby wydawał się diaboliczny. Ale wcale taki nie był. Był piękny. Byliśmy poszukiwaczami sfery duchowej. Jefferson, Waszyngton, Franklin... oświeceni ludzie, twórcy naszego wielkiego narodu... oni znali tajemnice starożytnych. Tajemnice, których nie znali nawet masoni w swoich lożach. Chcieliśmy oswojzić ludzkie umysły, strzaskać ich kajdany. Świat, który znamy, zginie, a w jego miejsce narodzi się nowy. Taka była nasza misja. Odrodzenie. John to wiedział.

- A co z lokatorem, który zaginął? Ze służącą? - upierał się Will.

- Kłamstwa - warknęła Mary. - Lokator uciekł, nie płacąc czynszu. Służąca była arogancka. Wyjechała do siostry i nawet się nie pożegnała.

- A Ida Knowles?

- Ida? - Mary uniosła dłoń do ust i rozejrzała się dookoła.
- Kim jesteście? Czego chcecie? - spytała, podnosząc głos. - Nie powiedziałam, że was przyjmę!

Evie ujęła za chłodne, chude ręce Mary White.

- Rozumiem, o co pani chodzi z panem Hobbesem - zaczęła mówić. - Te wszystkie świętoszki uważają, że my, nowoczesne dziewczyny, jesteśmy niemoralne. Ale my jedynie pragniemy żyć pełnią życia. - Evie spojrzała na Willa, który lekko skinął głową, by mówiła dalej. - Cóż, założyłabym się, że gdyby pan Hobbes dziś tu był, bawiłby się jak każdy nowoczesny człowiek.

Pani White uśmiechnęła się. Dwa z jej zębów były spróchniałe. Położyła wilgotną dłoń na policzku Evie.

- Spodobałabyś mu się. John zawsze lubił ładne buźki. Evie zmusiła się, by powstrzymać krzyk rodzący się w gardle.

- Jestem tylko ciekawa, jeśli nie ma pani nic przeciwko, dlaczego zachowała pani Knowles' End? Mogłaby pani zarobić na nim majątek.

- Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Evie, gwałtownie kiwając głową. - Po prostu byłam ciekawa, dlaczego nie.

- Żeby John miał dokąd wrócić. Powiedział, że to bardzo ważne. „Nigdy, przenigdy nie sprzedawaj domu, Mary, albo nie będę mógł do ciebie wrócić”.

Evie dostała gęziej skórki.

- Ale jak?

Mary White oparła głowę na przetartej satynowej poszewce i spojrzała w stronę światła przenikającego wokół krawędzi rolety.

- Johnny nie wszystko mi mówił. Tylko on rozumiał nieskończony plan Wszchemogącego. Wiecie, jego ciało było namaszczone, jak dzieło sztuki, Wenus Botticellego czy

Dawid Michała Anioła. Wszędzie piętna. Nosił je jak drugą skórę.

- Dlaczego?

- To wszystko było częścią jego planu. Powróci. Odrodzi się. Wskreszenie. A kiedy się odrodzi, sprowadzi koniec czasu. Świat zostanie oczyszczony przez ogień. Będzie nim władał jak bóg. A my będziemy u jego boku. - Zaśmiała się prawie jak pensjonarka, co stało w całkowitej sprzeczności z pomarszczoną twarzą. - Nazywał mnie swoją Panią Słońce. Och, był księciem. - Mary otworzyła z wysiłkiem szufladę nocnego stolika i wyjęła małe czarne pudełko. - Otwórz je.

Na czarnym aksamicie spoczywała gruba złota obrączka, zmatowiała ze starości.

- Jest piękna - powiedziała Evie.

- Należała do niego - wyszeptała. - Dałam mu ją. Nazywałam go mężem, choć nie wzięliśmy jeszcze ślubu. Nosił ją prawie do samego końca, mój Johnny.

Palce Evie zamrowiły z pragnienia, by ją wziąć i odczytać. Należała do niego. Do Johna Hobbesa.

- Odłóż ją, jeśli możesz - poleciła pani Blodgett. Evie niechętnie zamknęła pudełko.

- Och, ale wygląda na to, że jest pani niewygodnie, pani Blodgett. Doktorze Fitzgerald? Czy mógłby pan pomóc jej usiąść wygodniej?

Will wydawał się nieco skołowany, ale starał się pomóc staruszce, która na każdym kroku stawiała mu opór. W tym czasie Evie szybko schowała obrączkę do kieszeni, odłożyła pudełko na miejsce i zamknęła szufladę.

- Ach. Tak lepiej, prawda?

- Tak, dziękuję - powiedziała Mary, jakby to ona o tym pomyślała. Później mówiła dalej. - Ale musiał najpierw przygotować świat. Oczyszczyć go z grzechu. Wziąć go na siebie, jak zbawiciel. Zjeść grzechy świata. - Łzy wypełniły

oczy Mary White. - Zamordowali go. Mojego Johnny'ego. Był taki piękny, a oni go zamordowali. Filistyni! Filistyni. - Znów się rozkaszała, a Evie podała jej wodę. - Nigdy nikogo nie skrzywdził! Przyciągał do siebie ludzi, szczególnie kobiety. - Uśmiechnęła się i poklepała Evie po ramieniu. Sama sugestia, że mogłaby dotknąć Johna Hobbesa, sprawiła, że dziewczynie zrobiło się niedobrze. - Boli mnie. Gdzie jest Eleanor z moim lekarstwem? Idiotka. Zawsze się spóźnia.

- Już, już - uspokajała ją Evie. - Za chwilę będzie lekarstwo. Ale jedno mnie bardzo ciekawi. Czy pan Hobbes kiedykolwiek wspominał o rytuale związania ducha albo odesłania go na tamten świat, kiedy już wykonał swoje zadanie? Mary White zmarszczyła czoło.

- Nie. Czy zawołasz ją, żeby przyniosła lekarstwo?

- Oczywiście, że tak! A pan Hobbes nosił wyjątkowy wisior, prawda?

- Tak - odpowiedziała Mary zbolalym głosem. - Zawsze.

- A gdzie jest teraz ten wisior?

- Wisior? - Jej oczy zamglily się i Evie obawiała się, że nie zdążą dowiedzieć się tego, czego potrzebowali.

- Dał go pani? - zasugerowała dziewczyna. - Jako prezent od kochanka?

- Mówiłam ci, zawsze go nosił - warknęła staruszka. - Miał go na sobie, kiedy umierał. Został z nim pochowany. Eleanor! Moje lekarstwo! - zawołała.

- Został pogrzebany w zbiorowym grobie z innymi biedakami. Już go dawno nie ma - powiedział cicho Will do Evie.

- Nie, nie, nie! Mój Johnny nie trafił do zbiorowego grobu - poprawiła go pani White, której słuch najwyraźniej był w lepszym stanie niż pamięć.

- Przepraszam. Sądziłem...

- Zapłaciliśmy strażnikowi, żeby wydał nam ciało. Zgodnie z życzeniem Johnny'ego, pochowaliśmy go w domu.

- To znaczy na Brooklynie czy w Knowles' End?

- Nie - sprzeciwiła się staruszka z wyraźną irytacją. - W jego prawdziwym domu.

- Czyli gdzie? - spytała Evie.

- W Bractwie, kochana. Na starym wzgórzu, razem z wiernymi.

Pokój zdawał się wirować. Evie słyszała głos kobiety jakby z wielkiej odległości.

- Pan Hobbes pochodził z Bractwa? - Tak, oczywiście.

- Ale przecież pożaru w Bractwie nikt nie przeżył - zauważyła Evie.

- Tylko jeden. Mogłabyś mi podać to pudełko na kapelusze, kochana?

Evie zdjęła pudełko z komody. Mary White sięgnęła do środka i wyjęła fałszywe dno, ukazując oprawiony w skórę modlitewnik. Spomiędzy jego cieniutkich kart wyjęła mniejszą, złożoną kartkę papieru i podała ją Evie.

Był to sporządzony przez władze hrabstwa akt urodzenia z wioski Bractwo, datowany na szóstego czerwca 1842 roku. Yohanan Hobbesson Algoode, syn pastora Johna Josepha Algoode'a i Ruth Algoode (zmarła przy porodzie).

- Tak się dla niego poświęcili, dla wybrańca.

Zasłona się odsunęła. Córka Mary White trzymała w jednej ręce strzykawkę, a w drugiej gumową rurkę.

- Czekałam - warknęła Mary White. - Chcesz, żeby mnie bolało, tak? Wcześniej żyło mi się tak dobrze.

- Tak, tak. Kiedy mieszkałaś w posiadłości na wzgórzu. Wiem. Gdybyś nie płaciła tych przeklętych podatków za ten stary dom, nie musiałybyśmy mieszkać w tej śmierdzącej dziurze. Kiedyś o tym pomyślałaś?

Mary White jęknęła, kiedy jej córka wbiła igłę w posiniaczone zgięcie ramienia matki, po czym rozwiązała rurkę. Po chwili oczy staruszki zaczęły błyszczeć od morfiny.

- On nadchodzi. - Mówiła coraz wolniej. - Powiedział, że po mnie przyjdzie, a ja czekałam. Wszystko dla niego zachowałam. Powiedział, że wróci, a ja wiem, że to zrobi. - Jej oczy się zaszklily. - Cóż za piękny człowiek.

Zamknęła oczy, a Evie i Will sami odprowadzili się do drzwi.

Bezpieczni w jasnych promieniach słońca ruszyli szybkim krokiem między spacerującymi rodzinami.

- Oczywiście! - powiedział Will.

Zatrzymał się przed kolorowym plakatem reklamującym Dzikiego Człowieka z Borneo. Tuż przed namiotem mężczyzna w czerwonej cyrkowej marynarce i cylindrze zachęcał ciekawskich, by „weszli do środka i obejrzeni dzikusa, na wpół potwora, na wpół człowieka”. Za ich plecami kolejka górską wspinała się powoli na górę, po czym opadła w dół, a pasażerowie wrzeszczeli ze strachu i radości. To była ostatnia przejażdżka, gdyż już wkrótce rozrywki przy promenadzie miały zostać zamknięte aż do następnego lata.

- Oczywiście - powtórzył Will. - Teraz wszystko ma sens.

- Cudownie. Mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Yohanan to po hebrajsku Jan. John Hobbeson Algoode. John Hobbes - stwierdził Will. - Paskudny John Hobbes był synem pastora Algoode'a, wybrańcem. Przepowiedzianą Bestią. Powrócił, by dokończyć dzieło ojca i sprowadzić piekło na ziemię.

Znów szli, a słowa Willa były równie szybkie, jak jego kroki.

- Mary powiedziała, że musi zjeść grzech świata. Wziąć na siebie ich grzechy. Dlatego odcina części ich ciał zgodnie z pieczęciami i spożywa je. To starożytna magia, przekonanie,

że zjedzenie fragmentów ciał wrogów czyni człowieka silniejszym. Niepokonanym. Dwa poproszę, z dodatkami.

Will zatrzymał się przed budką z hot dogami. Wyciągnął dwie ćwierćdolarówki i podał je chłopakowi za ladą, w zamian odbierając dwa hot dogi. Jednego podał Evie, która wzięła go niepewnie.

- Uch - powiedziała, krzywiąc się na widok jedzenia. - Wujaszku, no naprawdę...

Will pochłonął swoją porcję, nie przerywając mówienia.

- W wypadku Johna pomaga mu się to ucieleśnić. Dodaje sił.

Evie odgryzła mały kawałek kielbaski. Była zadziwiająco smaczna i dziewczyna odkryła, że nawet rozmowa o kanibalizmie nie powstrzyma jej przed zjedzeniem całego hot doga.

- Jeśli ten wisior jest jego połączeniem z tym planem, jego ochroną, to musimy go jedynie zniszczyć, a w ten sposób zniszczymy jego powiązanie z tym światem. Zgadza się?

- Wydaje się to rozsądnym założeniem.

- Ale ona powiedziała, że go z nim pochowali.

- Tak - stwierdził Will z namysłem. - Będzie paskudnie.

Evie przerwała żucie.

- Nie mówisz poważnie. - Gapiała się na Willa. - O, mamusiu, mówisz poważnie.

Will wyrzucił papieraek po hot dogu do kosza.

- Jedziemy do Bractwa. I potrzebujemy łopaty.

Jericho wrócił do Benningtona z archiwum miejskiego, do którego wysłał go Will. Nawet nie zdjął płaszcza.

- Znalazłem! Mam dokumenty.

Podał je Willowi i ponuro skinął głową Samowi, który siedział przy stole w jadalni z Evie.

- Sam. Zasiedziałeś się.

- Dotrzymuję Evie towarzystwa - stwierdził chłopak. Uśmiechnął się triumfalnie do Jericho.

Will przeczytał dokument na głos.

- Yohanan Hobbeson Algoode został zabrany do sierocińca Mother Nova, do którego przyjęto go dziesiątego października tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku. Zapiski dyrektora na jego temat są krótkie, a przy tym przedstawiają Yohanana Algoode'a jako chłopca cichego, ale marudnego, moczącego się nocą, aroganckiego i skłonnego do drobnych aktów okrucieństwa. Kiedy został przyprowadzony do dyrektora, żeby ten go ukarał, powiedział tylko „Jestem Starożytnym Smokiem, wybranym przez Pana”. Inne dzieci go unikały. Nazywał sam siebie Bestią. Po dwóch nieudanych próbach Yohananowi udało się uciec latem tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku. Dalszych dokumentów brak.

- Czyli wiemy, że to on. Ale wciąż nie wiemy, jak go powstrzymamy - powiedział Jericho, w końcu zdejmując płaszcz i wieszając go na stojaku. - Ostatnia karta Księgi Bractwa, ta z inkantacją służącą do związania i zniszczenia Bestii, została wyrwana. Sam powiedziałeś, że musimy się go pozbyć w zgodzie z jego wierzeniami. Ale jak znajdziemy te informacje na czas? Kometa przybędzie za dwa dni.

- Muszę wam coś pokazać. - Evie rozwinęła chusteczkę, w której ukryła obrączkę Johna Hobbesa.

- Czy to jest to, co myślę? - spytał Will, a Evie pokiwała głową. - To ci zaczyna wchodzić w nawyk, Evangelino.

- Will, jeśli uda mi się go zobaczyć, zrozumieć, znajdziemy się o krok przed nim.

- Myślisz, że to dobry pomysł, laleczko? - spytał Sam. - Ten gość jest zabójcą.

- I duchem - dodał Jericho.

- Po co jest moc, jeśli się z niej nie korzysta?

- Podziwiam twoją odwagę, ale zaczynam wątpić w zdrowe zmysły - stwierdził Sam.

Will kucnął obok dziewczyny.

- Evie, to nie jest już zabawa na przyjęciu. Ta obrączka należy do Bestii we własnej osobie.

- Rozumiem.

- Wejdź tam, zdobądź to, czego potrzebujemy, a później wyjdź - poradził Will i Evie znów pokiwała głową. - Zaklaskam trzy razy, żeby pomóc ci się wydostać. Jeśli poczujesz, że jesteś w niebezpieczeństwie...

- To mi się nie podoba. Czy tobie się to podoba, Fryderyku? - mruknął Sam.

- Wtedy wypowiesz hasło. Ustalmy je teraz.

- Może „nie”? - zaproponował Sam. - Albo „bzdury”? Albo „stop”?

- „James” - stwierdziła Evie. - Hasłem jest „James”.

- Dobrze. - Will pokiwał głową.

- Evie, jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - spytał Jericho.

- Ab - so - lut - nie.

Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć. Jej dłonie drżały ze strachu i podniecenia - zatopienie się w transie było bardziej ekscytujące niż stolik z przodu w najlepszym nocnym klubie.

- Połóż to w mojej dłoni.

- Nie podoba mi się to - mruknął Sam, ale i tak dał jej obrączkę do ręki.

Evie mocno zacisnęła ją w pięści, a na górze położyła drugą dłoń, jak pieczęć. Minęła chwila, nim odnalazła właściwy rytm, a później w umyśle spadała poprzez czas.

- Widzę miasteczko o błotnistych ulicach... - powiedziała Evie w transie. - Konie i wozy. Nie mogę... przyśpiesza...

- Skup się. Oddychaj - polecił Will.

Evie odetchnęła głęboko trzy razy i obraz się ustabilizował.

- Widzę tłum i kaznodzieję...

Wysoki, brodaty mężczyzna w czarnym garniturze stał na przewróconej skrzynce na owoce i wygłaszał kazanie na obrzeżach małego miasteczka. Zebrał się tłum. Większość go wyszydziała. Evie postrzegala ich roześmiane twarze jako wręcz diaboliczne. Kaznodzieja nie cichł. Jeśli już, jego głos nabral siły.

- Musicie się przygotować, aby, kiedy nadejdzie dzień sądu, kiedy Bestia dokona Bożej sprawiedliwości na grzesznikach, policzono was między wybranych przez Pana i oszczędzono. Przygotujcie ściany domów, ozdabiając je jego znakami, by przyspieszyć jego święte przyjście, i namaśćcie swoje ciała, by świadczyć o jego chwale! - grzmiał kaznodzieja.

U jego boku stał drobny chłopiec w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat, o bladej twarzy i niebieskich oczach. Chłopiec uniósł oprawioną w skórę księgę.

- Oto jest Słowo Boże! Ewangelia Bractwa!

Ktoś rzucił pomidorem, który rozbryztał się na twarzy kaznodziei i zsunął w dół, brudząc mu garnitur. Wszyscy zaczęli się śmiać. Kapłan wytarł twarz chusteczką, nie przerywając płomiennego kazania. Ale chłopiec patrzył ostro na tego, który rzucił pomidora, i coś w jego wzroku powstrzymało śmiech mężczyzny.

- Evie? - spytał Will, kiedy umilkła.

- Jestem tutaj - odpowiedziała. - Zmienia się. Widzę wozy nad rzeką. Jest zimno. Oddech kapłana paruje. Modlą się...

W umyśle widziała, jak wielebny Algoode unosi ręce do niebios, zwracając się do swojego niewielkiego zgromadzenia.

- Jesteście wybranymi, wiernymi, Bractwem...

- Anioł Pana ukazał mi się w niebiosach jako ognisty promień i rozkazał mi rozstać się z zepsuciem starego świata i zbudować w tym kraju nowe Boskie niebo... - powtarzała za nim Evie. - Krew Baranka płynie w naszych żyłach, krwią rozgromimy naszych wrogów i wypełnimy prawdziwą Bożą misję na ziemi.

Połączenie na chwile stało się niepewne, a później Evie znów spadała. Skupiła się ze wszystkich sił i zobaczyła stopy chłopca, kiedy biegł przez liście, słyszała jego oddech. Leżał na brzegu rzeki, obserwował leniwie płynące chmury i przez chwilę Evie czuła jego samotność i wątpliwości. Spomiędzy drzew wyszedł jelen, szukający pożywienia. Uniósł głowę, a wtedy chłopiec rzucił kamieniem i roześmiał się, gdy zwierzę się spłoszyło i uciekło do lasu.

- Evie, gdzie jesteś?

- W kościele, tak sędzę - odpowiedziała powoli, gdy obraz w jej umyśle znów się zmienił.

Chłopiec o niebieskich oczach został rozebrany od pasa w górę i przywiązany do krzesła. Otaczali go wierni. Kręcił się na siedzeniu, wpatrując się w kaznodzieję, który obracał żelazo do piętnowania w węglach paleniska. Było ich w sumie dwanaście - pentakl i po jednym na każdą z jedenastu ofiar.

- Twoje ciało musi być silne. Pan nie zniesie żadnej słabości pośród swoich wybranych. - powiedział kaznodzieja. Wyciągnął rozpalone do czerwoności żelazo i podszedł do chłopca, który wrzeszczał i wrzeszczał.

- O Boże - powiedziała Evie. Nie była świadoma tego, że łzy płyną jej po twarzy.

- Will, niech ona przestanie - ostrzegł Jericho.

- Zgadza się z Fryderykiem Wielkim - wtrącił Sam.

Will się zawahał.

- Jeszcze chwilę. Jesteśmy blisko.

Sam nie czekał.

- Hej, lalczko? Czas zaczerpnąć powietrza. Słyszysz mnie?

- Powiedziałem, że jeszcze chwilę! - warknął Will.

Umysł Evie uciekł przed strachem chłopca. Przez chwilę koziółkowała szaleńczo przez szybki strumień obrazów. Zmusiła się do oddychania i zachowania spokoju, zamiast ucieczki. Wkrótce obrazy znów się uspokoiły.

- Już dobrze - powiedziała opanowanym głosem. - Już dobrze.

Chłopiec siedział nad rzeką z Księgą Bractwa otwartą na ostatniej stronie. Bicie serca Evie przyśpieszyło, kiedy próbowała ją zobaczyć.

- Brakująca strona. Mam ją - powiedziała, a Will sięgnął po pióro. - „W tym naczyniu więzę twojego ducha. Ogniovi polecam twojego ducha. W ciemność rzucam cię, Bestio, byś nigdy nie powrócił”.

Młody John Hobbes wyrwał kartkę z książki, porwał ją na strzępki i rzucił na rzekę.

- Mamy to, Evie. Możesz przestać - powiedział Will.

Evie nigdy nie znalazła się tak głęboko. Była jedynie częściowo świadoma ich głosów, jak rozmów w drugim pokoju, kiedy zasypiała. To uczucie było prawie jak narkotyk i nie chciała przestawać.

- Jestem teraz gdzie indziej - powiedziała sennym głosem. Odkryła, że idzie po grubej warstwie mokrych liści w niebiesko - szarym lesie w stronę obozowiska. Mężczyźni i kobiety o poważnych twarzach wychodzili ze skromnych domów z bali i szli z dziećmi w stronę szalowanej deskami białej stodoły, ozdobionej tymi samymi pieczęciami, które John Hobbes wypisywał na dole każdej pozostawionej przez siebie kartki. Na drzwiach znajdował się symbol z pięcioramienną gwiazdą i węzem.

- Pentakl Bestii - mruknęła.

- Evie, klasnę teraz w dłonie - powiedział Will.

Zrobił to, a Evie zagłębiła się jeszcze bardziej. Znajdowała się teraz poza jego zasięgiem.

W transie podążyła za pozostałymi do kościoła. Kobiety siedziały po jednej stronie na prostych krzesłach, dzieci u ich stóp, a mężczyźni po drugiej. Ponury pastor Algoode stanął na przedzie z synem u boku.

- Nadszedł czas. Słyszałem w mieście, że w tej właśnie chwili władze jadą do Bractwa, by nas rozdzielić. Ojciec, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią. Tak, nadszedł czas, by wybraniec rozpoczął swoją podróż!

- Alleluja! - wykrzyknęła jedna z kobiet, unosząc dłonie.

- Nadszedł czas, by zaczął się rytuał! By Bestia przybyła i wykonała wyrok na grzesznikach!

- Alleluja! - dołączyli inni.

- Jesteśmy wierni. Musimy być silni. Pan nie zniesie żadnej słabości pośród swoich wybranych. - Pastor Algoode otworzył księgę i odnalazł potrzebną stronę. - I usłyszałem głos anioła jak głos grzmotu, mówiący „Nikt z wiernych nie wejdzie do królestwa Pana, jeśli nie oczyszcza swego ciała olejami i płomieniami niebios. Ich poświęcenie będzie pierwsze, poświęcenie wiernych, a Bestia weźmie od nich księgę i skąpie się w dymie ich dziesięciny. Tak dokona się pierwsza ofiara i rozpocznie rytuał”. Alleluja!

Pastor Algoode podał dwa dzbany, których zawartością oblewali się wierni. Evie czuła smród nafty. Jej serce zabiło szybciej.

Pastor Algoode zdjął naszyjnik, założył go na szyję chłopca i położył dłoń na jego czole.

- Weź nasze ciało i uczyn je swoim. Tako rzecze Pan. Idź. Zrób, co musisz. Znajdź mieszkanie i uczyn je świętym. Przygotuj ściany swojego domu. Nie zapomnij oddać nam hołdu.

Spokojnie i w milczeniu chłopiec wyszedł ze stodoły i zamknął ją od zewnątrz. Po drugiej stronie drzwi pastor Algoode wciąż się modlił, a kongregacja podjęła żałobną pieśń. Evie poczuła dym. Czarne smugi wydostawały się ze szpar w ścianach stodoły. Płomienie lizały dach. Chłopiec stał bez ruchu, modląc się i pozwalając, by dym wypełniał jego płuca.

- Pan nie zniesie żadnej słabości pośród swoich wybranych - powtarzał raz za razem.

Wewnątrz dzieci krzyczały i kaszlały. Kobiety próbowały podtrzymać pieśń. Głos pastora stłumił ból, przez co jego modły zmieniły się w przerażający krzyk. Evie chciała uciec, ale nie mogła. Nie mogła zmusić dłoni do puszczenia obrączki, nie pamiętała też hasła. Znalazła się zbyt głęboko i nie miała pojęcia, jak się wydostać albo prosić o pomoc. Krzyki zmieniły się w pojedyncze jęki. Dach się zapadł. Dym. Evie kaszlała. Dusił ją. Krzyki z lasu - ktoś wspinał się na zbocze. Chłopiec otworzył oczy. Evie przez chwilę wydawało się, że widziała płomienie odbijające się w tych chłodnych oczach. Ruszył spokojnie przez las w stronę wołającego mężczyzny. Nagle zatrzymał się i odwrócił do Evie. Coś w jego twarzy - spokojnej, zimnej, okrutnej - sprawiło, że serce dziewczyny zabiło szybciej. Patrzył prosto na nią!

- Widzę cię - powiedział, a jego głos nie był głosem chłopca. Był straszliwy, bardziej zwierzęcy niż ludzki. - Widzę cię teraz.

- J - James - wyszeptała Evie, nagle przypominając sobie hasło. - Pomocy. James.

Kiedy się ocknęła, Jericho nią potrząsał. Palce miała zdrętwiałe, ale obrączka zniknęła. Sam ją zabrał.

- Evie! - krzyknął Jericho. - Evie! Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- O Boże, o Boże!

- Powinniśmy przestać, Will! - warknął Jericho.

- Już dobrze - odparł Will.

- Widziałam go... widziałam Bestię! Straszne, straszne! Zakrztusiła się, ale nie zwymiotowała. Głowa ją rozboleła, a obraz rozmywał się przed oczami.

- Przyniosę jej wody - powiedział Sam i pobiegł do kuchni. Evie trzymała się krawędzi biurka. Policzki miała blade, a czoło złane potem. Czowała, że pokój się wokół niej kręci.

- On... on na mnie spojrzał! Prosto na mnie! Powiedział: „Widzę cię, widzę cię”!

- Co to do diabła ma znaczyć? - spytał Sam. Wrócił z wodą i próbował skłonić Evie, by się napiła, ale ona nie mogła.

- Już dobrze - powiedział Will, wyraźnie wstrząśnięty.

- Wcale nie jest dobrze! Nie możesz jej tego robić. - warknął Jericho w stronę oszołomionego Willa. Wziął Evie na rękę, zaniósł do jej pokoju i położył na łóżku.

Evie nigdy nie czuła się tak chora. Jej głowę przeszywał ból, a żołądek podchodził do gardła, kiedy leżała na przepoconej pościeli w ciemnym pokoju. Wszystkie dźwięki odbijały się echem w jej czaszce. Miała niewyraźne wrażenie, że znów śni o Jamesie, ale łączył się on z obrazami, które wyciągnęła z obrączki Johna Hobbesa, aż nie mogła być już pewna, co się działo. W pewnym momencie widziała Paskudnego Johna grającego z Jamesem w szachy na polu bitwy, a patefon obracał płytę tak szybko, że piosenka stała się parodią. Widziała też Henry'ego biegnącego między drzewami i wołającego kogoś imieniem Louis. Na brzegu lasu stała kobieta w koszuli nocnej i masce przeciwigazowej. Kiedy uniosła maskę, Evie zobaczyła, że to panna Addie.

- Jaki to straszliwy wybór - powiedziała, kiedy niebo rozjaśniło się i dotarły do nich pierwsze fale wybuchu.

O wpół do dziesiątej wieczorem Evie obudziła się dręczona straszliwym pragnieniem. Powłokła się do kuchni po wodę i zobaczyła, że u wuja Willa pali się światło. Drzwi były otwarte, ale i tak zapukała cicho.

- I jak się czujesz? - przywitał ją Will.

- Lepiej. - Evie usadowiła się na niewygodnym krześle. Wydawało się zaprojektowane tak, by gość nie został dłużej. - Co się wydarzyło dzisiaj, pod koniec?

- Nawiązałaś z nim nadnaturalną więź. Widziałaś go, ale on też widział ciebie. Takie jest niebezpieczeństwo związane z twoim darem... możesz otworzyć się na drugą stronę. - Will splótł palce i lekko postukał nimi w brodę. - Słyszałaś historię sióstr Fox z Hydesville w stanie Nowy Jork?

- Czy to kwartet radiowy? Na wargach Willa pojawił się uśmiech.

- W połowie dziewiętnastego wieku nie było radioodbiorników. Siostry Fox mieszkały w Hydesville w stanie Nowy Jork, w domu, który podobno był nawiedzony. Najmłodsze z sióstr, Maggie i Kate, utrzymywały, że nawiązały kontakt ze światem duchów. Zadawały pytania, a duch, którego nazwały „Panem Rozszczepioną Stopą”, odpowiadał stukaniem. - Will dla efektu postukał w biurko. - Stały się sensacją w ruchu spirytystycznym i prowadziły seanse dla wielu sławnych ludzi.

- Tak się dzieje, kiedy nie ma radioodbiorników - stwierdziła Evie.

- Cóż, później dziewczynom się odmieniło. Zrobiły się religijne i wyznały, że ich kontakty z duchami były skomplikowanym oszustwem, że same sfabrykowały stuki, odpowiednio zginając duże paluchy u nóg. Ciężko im się żyło. Rozpiły się. Niektórzy twierdzili, że piły, żeby zagłuszyć te zjawiska.

Evie wpatrywała się w duży palec u nogi, który spoczywał na płamie na dywanie.

- Czy ta historia ma jakąś puentę?

- Rok później Margaret Fox wszystkiego się wyparła. Odmieniło jej się. Mówiła każdemu, że wszystko działo się tak, jak opowiadały. Wierzę jej. Sądzę, że siostry się bały i dlatego przestały i wyrzekły się tego wszystkiego. Zupełnie jakby chciały powiedzieć niespokojnym duszom: „Odejdźcie. Jesteśmy dla was zamknięte”. A długo po ich śmierci w piwnicy ich domu w Hydesville znaleziono ludzki szkielet.

Will przerzucił stertę wycinków na biurku. Pewnie przeglądał je od wielu godzin, jak domyślała się Evie.

- Dlaczego dzieje się tak teraz? - spytała Evie. Will znów splótł palce.

- Nie wiem. Coś przyciąga takich jak Hobbes. Jakaś energia. Duchy przyciągają sejsmiczne ruchy energii, chaos i niepokój polityczny, ruchy religijne, wojna, przemysł i wynalazki. Ponoć podczas wojny o niepodległość widziano wiele duchów i niewyjaśnionych zjawisk, podobnie jak później w trakcie wojny secesyjnej. Ten kraj opiera się na pewnym napięciu. - Przycisnął do piersi pięści. - Istotą demokracji jest dualizm, przeciwstawne siły zawsze spierają się ze sobą. Różne kultury. Wierzenia. Wszystko to razem stworzyło ten kraj. Ale zachowanie tej równowagi wymaga wielkiej energii, a jak już mówiłem, energia przyciąga duchy. Opuścił dłonie na biurko.

- Czy możemy go powstrzymać?

- Wierzę, że tak. - Will uśmiechnął się słabo. - Rano pojedziemy do Bractwa, ekshumujemy jego ciało i zabierzemy źródło jego mocy w tej sferze, czyli wisior.

- A później co?

- Zabierzemy go do muzeum, gdzie utworzymy ochronny krąg. Wykorzystując inkantację, uwięzimy jego ducha w

wisiorze, a później zniszczymy wisior przed nadejściem Komety Salomona.

Evie widziała, że Will patrzy na nią z nowym uznaniem.

- Byłaś dziś bardzo dzielna, Evangelino.

- Tak?

- Najdzielniejsza. Wiesz, to cecha rodzinna.

Evie poczuła się lepiej z zapewnieniami Willa. Żołądek już nie podchodził jej do gardła, a głowa przestała tak boleć. Odkryła, że jej wzrok przyciąga jedyne zdjęcie na biurku Willa - tajemnicza kobieta, którą zobaczyła, kiedy tamtego dnia przed tygodniem trzymała rękawiczkę Willa. Minął dopiero tydzień? Wydawało się, że całe lata.

- Kim ona jest, wujaszku?

Will przeciągnął palcem po twarzy kobiety.

- Rotke Wasserman. Przez jakiś czas była moją narzeczoną.

- Dlaczego się z nią nie ożeniłeś? - spytała Evie i natychmiast tego pożałowała.

A jeśli kobieta rzuciła Willa przed ołtarzem? A jeśli zostawiła go dla mężczyzny bogatszego i bardziej wpływowego? - Umarła - powiedział cicho Will. - Och.

- Wiele lat temu - dodał, jakby to mogło złagodzić jego słowa. - Od tego czasu nie umiałem zatrzymać drugiej rękawiczki. Zawsze mi się gubi.

Evie nie wiedziała, co powiedzieć. Tak naprawdę nie uważała swojego wuja za bardzo ludzkiego. Przypominał raczej podręcznik, który od czasu do czasu pamiętał, żeby założyć krawat. Ale teraz wyraźnie widziała, że był w rzeczy samej ludzki i nosił głęboką ranę imieniem Rotke.

- Przykro mi - powiedziała po chwili.

- Cóż. Oboje kogoś utraciliśmy, jak sądzę. Will odwrócił zdjęcie do ściany.

Evie szukała pocieszenia w talizmanie z monety. Było coś, o co chciała spytać Willa, chciała go o to spytać od kiedy odkryła, że duchy naprawdę istnieją. Dopiero teraz poczuła się wystarczająco odważna.

- Te opowieści o ludziach nawiązujących kontakt ze zmarłymi, mediach... Czy naprawdę można się skontaktować z kimś z drugiej strony, jeśli się tego chce?

Spojrzenie Willa spoczęło na dłoni Evie zaciśniętej na naszyjniku.

- Lepiej pozwolić zmarłym spoczywać w pokoju - powiedział łagodnie.

- A jeśli oni nie znaleźli pokoju? Jeśli potrzebują pomocy? Jeśli raz za razem pokazują się w snach? - Evie poczuła, że zaraz się rozpłacze. Ostatnio był z niej prawdziwy wodospad. Zwalczyła to. - Jeśli próbują do człowieka dotrzeć i coś mu powiedzieć, ale on tego nie łapie?

- A jeśli próbują cię skrzywdzić? - spytał Will. - Czy kiedykolwiek o tym pomyślałaś?

Nie. Nie pomyślała. Ale James? James nigdy by jej nie skrzywdził. Prawda?

- Ludzie, zdaje się, wierzą, że nienawiść to najbardziej niebezpieczne uczucie. Ale miłość jest równie niebezpieczna - stwierdził. - Istnieje wiele opowieści o duchach nawiedzających miejsca i ludzi, którzy najczęściej dla nich znaczyli. W rzeczy samej, jest ich więcej niż historii o zemście.

- Wujaszku, jeśli wierzysz w duchy i chochliki...

- Nie wierzę w chochliki...

- Chochlikowate - powiedziała Evie, przewracając oczami. - To dlaczego masz taki problem, żeby uwierzyć w Boga?

- A jaki bóg pozwoliliby, żeby powstał taki świat? - spytał, nieco zbyt długo patrząc jej w oczy, zanim spojrzał na

kieszonkowy zegarek. - Chyba zaraz zaczniesz się Kapitan Zmrok i Tajny Oddział. Posłuchamy?

- Brzmi nieźle.

Will włączył radioodbiornik. Rozległa się złowroga muzyka.

- Gdziekolwiek kryje się zło, gdzie zbierają się cienie, tam znajdzie się Kapitan Zmrok i jego Tajna Brygada, którzy walczą przeciwko siłom niegodziwości i chronią obywateli tego kraju przed wszelkiego rodzaju złoczyncami...

Ciemny salon wypełniły efekty dźwiękowe, muzyka i starannie wyszkolone głosy aktorów, którzy udawali, że pokazują złym ludziom, gdzie jest ich miejsce.

To nie wystarczyło, żeby odpędzić duchy.

Deszcz uderzał łagodnie w okna. Drzewa w Central Parku kołysały się na wietrze. A na ciemnej ulicy było słychać pogwizdywanie, gdy John Hobbes szedł mokrymi ulicami w stronę Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej.

Bez trudu wszedł do starej rezydencji z jej zbiorami toreb gris gris, listów czarownic i zdjęć duchów. Drobiazgi. Zabawki. Parasol otwarty dla ochrony przed tajfunem. Za dwa dni nic z tego i tak nie będzie się liczyć. Tyle że najpierw miał pracę do wykonania. Pogwizdując, John Hobbes odwiedził starą bibliotekę. Spowijał ją mrok, ale on bez trudu widział zabałaganione biurko. Teraz doskonale widział w ciemnościach. Najpierw wysunął szufladę i zostawił niewielki prezent. Potrzebował jeszcze czegoś. Zobaczył to na biurku, mrugające do niego spod sterty wycinków. To wystarczy. Tak, to się nada. Wrzucił to do kieszeni i wyszedł z muzeum, podśpiewując cicho „Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma...”.

W sypialni na górze Sam obudził się, mając wrażenie, że słyszał śpiew, ale wszędzie panowała cisza, więc przewrócił się na drugi bok i spał dalej.

WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE

Memphis szedł zasypanymi liśćmi ulicami Upper West Side. Mocniej otulił się płaszczem dla ochrony przed ostrym wiatrem. Nadeszła zima. Wiatr niósł zapach dymu z kominów. Noce miały swój ciężar. „Wszystko będzie dobrze, Memphisie. Przestań się martwić”. Memphis ruszył szybciej, pragnąc dotrzeć do Muzeum Amerykańskiego Folkloru, Przesądów i Wiedzy Tajemnej. Siostra Walker kazała mu zachować incydent z duchem Gabe a dla siebie, mówiła, że smutek i zmęczenie sprawiły, że coś sobie wyobraził. Ale trans Isaiaha, nawiedzenie przez Gabe'a i sen, który dzielił z Thetą, to było już zbyt wiele i Memphis chciał, żeby ktoś wyjaśnił mu, co się działo.

W pewnej odległości widział gotyckie wieże Benningtona wyłaniające się spomiędzy rzadziejących liści. Tam mieszkała Theta i przez chwilę żałował, że nie może po prostu tam pobiec i się z nią zobaczyć, zapomnieć o całym szalonym świecie. Ale jej świat był równie tajemniczy jak wszystko, czym się martwił. Nie mógł nic z tym zrobić, a poza tym musiał uzyskać odpowiedzi i dlatego ruszył dalej.

W okolicach Central Park West i 88. Ulicy Memphis zorientował się, że ktoś za nim idzie. Kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył ich - dwaj mężczyźni śledzący go w sporej, ale niezmiennej odległości. Memphis od pierwszego spojrzenia wiedział, że to tajniacy. Serce zabiło mu szybciej i nakazał sobie zachować spokój. Nie miał pokwitowań. Nic mu nie będzie. Przyśpieszył kroku. Mężczyźni też. Zdecydowanie go śledzili. Memphis rozejrzał się po ulicy, szukając drogi ucieczki. Wzdłuż Central Park West robotnicy kopali tunel nowej linii metra. Czy mógłby się tam ukryć? Nie, zostałby uwięziony i pewnie przy okazji złamał nogę. Ale mógłby ich przegonić. Memphis zaczekał, aż zobaczył jadący ulicą samochód, a wtedy wyskoczył przed niego, zmuszając

kierowcę do gwałtownego szarpnięcia kierownicą i zablokowania na chwilę ruchu. Pobiegł w stronę Central Parku. Płuca go paliły, a buty stukały głośno na ścieżce prowadzącej między drzewami i ostrymi czarnymi głazami. Na ścieżkę padały rozproszone promienie słońca. Ponad zdyszczanym oddechem Memphis słyszał biegnących za nim gliniarzy, krzyczących. Byli szybsi, niż się spodziewał, ale chłopak miał zamiar być jeszcze szybszy. Odważył się obejrzeć jeszcze raz - byli coraz dalej i wypełniła go radość. Kiedy znów spojrzął przed siebie, ujrzał niańkę, wózek na drodze i przerażenie na twarzy kobiety, która stała nieruchomo, niezdolna zejść mu z drogi. Biegł zbyt szybko w dół wzgórza. Próbował się zatrzymać i poślizgnął się, wylądował na trawie, posiniaczony i oszołomiony. Spodnie miał rozdarte na kolanach i zakrwawione. Mimo to, podniósł się. Niestety, było już za późno, mężczyźni dopadli go, podnieśli brutalnie i wykręcili ręce za plecami.

- Co my tu mamy? - wydyszał jeden z gliniarzy i Memphis ucieszył się, że ich przynajmniej zmęczył. - Chyba złapaliśmy posłańca od liczb.

- To nie ja - stwierdził Memphis. - Nie mam pokwitowań.

- Ach tak? To co takiego masz w kieszeniach? - spytał drugi glina.

Wyciągnął zwitek pokwitowań z własnej kieszeni i wepchnął je do kieszeni Memphisa.

- Powiedziałbym, że jest tu co najmniej dwadzieścia pięć pokwitowań, wystarczająco dużo, żeby sędzia cię zamknął, chłopcze.

- Ale one nie są moje!

Kiedy powiedział te słowa, zorientował się, jak głupie były, jak próżny był jego sprzeciw. Słowo dwóch białych gliniarzy przeciwko jednemu czarnemu posłańcowi? Walka była ustawiona.

- Zadzwońcie do Papy Charlesa - powiedział Memphis. -
Da wam, co chcecie.

- Nie pracujemy dla Papy Charlesa - powiedział jeden
gliniarz z szyderczym uśmiechem i Memphis wiedział, że
bierze kasę od Dutcha Schultza. - Idziesz do śródmieścia,
chłopcze.

Policjanci pociągnęli go w stronę samochodu, który
podjechał do krawężnika. Z tyłu Memphis widział wysokie
wieże Benningtona wznoszące się za zasłoną chmur, jak
miraż.

DOBRE POCHODZENIE

Dochodziła już czwarta i na grzbiety gór Catskill padały długie cienie, kiedy wuj Will zjechał na bok tuż za podniszczonym drogowskazem do Bractwa. Droga wiała się doliną. Minęli niewielkie gospodarstwo; na stodole wymalowano białą farbą jeden z tradycyjnych lokalnych symboli. Liście nabrały jesiennych odcieni czerwieni, złota i oranżu. Poniżej miasteczko rozwijało się jak zdjęcie na pocztówce - same dwuspadowe dachy, gazowe latarnie i iglice kościoła. Wydawało się staroświeckie, jakby czas zatrzymał się na przełomie wieków. O takich miejscach politycy lubili mawiać z nostalgią i traktować jako symbol wszystkiego co amerykańskie.

Później skręcili na północ. Drogi były błotniste i do celu dotarli dużo później niż zakładali. Zameldowali się w motelu na obrzeżach miasteczka. Był rustykalny, wybudowany w stylu chaty z bali, miał też duży parking dla samochodów i wozów. Wuj Will uderzył w dzwonek. Przywitał ich właściciel, mężczyzna z podkręcanymi do góry wąsami, ale marynarką w nieco nowocześniejszym stylu. Will podpisał się w księdze meldunkowej jako John Smith z rodziną z Albany i zapłacił za dwa pokoje - jeden dla Evie, a jeden dla niego i Jericho.

- Przyjechaliście państwo na jarmark? - spytał właściciel.

- Ależ tak. Słyszeliśmy, że jest najlepszy w całym stanie - odpowiedział Will ze słabym uśmiechem. - Syn i córka nie mogą się doczekać, aż go odwiedzą.

Evie posłała Willowi zaskoczone spojrzenie.

Nadal się uśmiechając, lekko potrząsnął głową, jakby chciał ostrzec „udawaj razem ze mną”.

- Bo i tak jest - stwierdził z dumą właściciel. - Polecam szczególnie metodystów i ich dżem brzoskwiniowy. Jest wyjątkowy.

- Evangeline rzeczywiście lubi dżem brzoskwinowy, prawda, kochanie?

- Nigdy mi go dosyć - odpowiedziała Evie.

Will wziął klucze i pośpiesznie ruszyli do pokojów.

- Dlaczego musimy się tu zatrzymać? - spytała Evie z konsternacją, obejmując spojrzeniem ciemny pokój z cedrową boazerią i niewygodnym łóżkiem.

Kiedy wjechali do miasteczka, widziała uroczą starą gospodę. Ci tutaj nie mieli nawet telefonu.

- Nie będziemy budzić tak wielkiego zainteresowania - wyjaśnił Will. Na podniszczonym biurku rozłożył prostą mapę. - Według tego stary obóz znajdował się na górze, w tych okolicach. Grób Johna Hobbesa powinien być w lesie gdzieś za starym domem spotkań. Na górę prowadzi tylko jedna droga, o ile w ogóle można nazwać to drogą. Pewnie będzie ciężko, szczególnie jeśli pogoda się pogorszy. A niestety, musimy iść tuż przed zmrokiem...

- Według „Poradnika rolnika” słońce zachodzi o szóstej dwadzieścia pięć - wtrącił Jericho.

- To musimy się tu spotkać najpóźniej za kwadrans szósta.

- Spotkać się tutaj? Gdzie się wybieramy?

- Gdzie wy się wybieracie - poprawił ją Will. - Wraz z Jericho pójdziesz na jarmark.

- Och, wujaszku. Myślałam, że byłeś po prostu grzeczny!

- To będzie dla nas korzystne. Chcemy zrobić wrażenie turystów. Żeby nikt się nie zorientował, o co naprawdę nam chodzi.

Evie miała wyraźne wspomnienie z wizyty na jarmarku stanu Ohio - pochorowała się od smrodu zwierząt gospodarskich i nadmiaru waty cukrowej. Jarmarki nie mogły się równać z manhattańskimi nocnym klubami, ona i Jericho pewnie umrą z nudów zanim jeszcze udadzą się w stronę

dawnego Bractwa. Niestety, ton Willa świadczył o tym, że jest zdecydowany.

Evie westchnęła głęboko.

- Dobra, wujaszku. Pójdę jeść dżem brzoskwiniowy z wieśniakami. Ale masz wobec mnie dług wdzięczności.

Will zawiózł Evie i Jericho na jarmark, po czym sam udał się do ratusza, żeby zobaczyć, jakie informacje uda mu się odnaleźć na miejscu. Młodzi kupili bilety i przemierzali się po jarmarku razem z całym tłumem. Ustawiono kilka długich białych namiotów, przez co całość robiła wrażenie średniowiecznego obozowiska. Wewnątrz oczekiwało ich bogactwo rozkoszy - na lichych drewnianych stojakach prezentowały się sterty wielkich dyń. Ręcznie malowane szyldy reklamowały NAJLEPSZĄ SZARLOTKĘ W CAŁYM HRABSTWIE oraz MYDŁO ŁUGOWE SCHROBSDORFFA - NIE MA LEPSZEGO ŚRODKA CZYSZCZĄCEGO! Jak również pikle, powidła ze śliwek, karmelową prażoną kukurydzą w tutkach z gazety oraz serwetki zdobione haftem tak delikatnym, że prawie niewidocznym. Targowisko wypełniał wesoły zgiełk:

- Oporządzenie dla koni od Ferbera - tędy proszę!

- Gra w warcaby, tylko jeden cent!

- Przyjdźcie na wystawę motoryzacyjną i obejrzyjcie automobile przyszłości!

Przeszli przez długi i szeroki pawilon zwierząt gospodarskich, gdzie w zagrodach tłoczyły się zadbane zwierzęta, a poważni rolnicy stali w pobliżu z założonymi rękami, nerwowo oczekując na werdykt sędziów.

Kiedy wyszli z pawilonu, odkryli, że estradę pośrodku zajęła staromodna orkiestra dęta. Zespół wygrywał Abide with Me a siwowłose pary siedziały na składanych krzesłach i śpiewały tę starą pieśń. Dzieci w najlepszych ubrankach biegały dookoła uśmiechnięte i z szeroko otwartymi oczami, a

ich wiatraczki wirowały szaleńczo na wietrze. Mimo wcześniejszych narzekań Evie była oczarowana. Przez krótką chwilę mogła zapomnieć, że przybyli tu w straszliwym w celu. Stali w kolejce do przejażdżki na wozie z sianem, śmiejąc się, gdy jego koła podskakiwały na wybojach, a później śmiejąc się ponownie, kiedy wytrząsali siano z włosów i ubrań jak psy otrząsające się z wody. Przy niewielkiej drewnianej ladzie skropili miodem grube kromki świeżego chleba zanurzone wcześniej w roztopionym maśle i zjedli je. Evie roześmiała się, kiedy wielka kropla miodu spłynęła z chleba Jericho, a on spróbował ją złapać językiem.

- Coś przegapiłeś - powiedziała.

Bez namysłu przeciągnęła mu kciukiem po ustach. Jego wargi rozchyliły się lekko, jakby chciał wziąć jej kciuk w usta. Cofnął się i uniósł dłoń.

- Dziękuję, Evie.

- Nie ma za co - odpowiedziała nieśmiało. Jericho patrzył na nią w sposób, którego nie umiała nazwać. - O, popatrz! Przejedźmy się na diabelskim młynie - poprosiła i ruszyła szybko w jego stronę.

Kupili bilety po cencie i usadowili się na metalowym siedzeniu. Zakołysało się lekko, kiedy się wznosili, a wtedy Evie krzyknęła i chwyciła Jericho za ramię. W odpowiedzi on wziął ją za rękę i w miarę jak wznosili się coraz wyżej, dziewczyna czuła ściskanie w żołądku, zarówno z powodu wysokości jak i bliskości jego ciała.

- Popatrz tam! Jeśli się przyjrzyysz, możesz zobaczyć nasz motel - powiedziała Evie, wysuwając dłoń, by wskazać kierunek.

Pokazywanie ręką było nieuprzejme, ale jeszcze bardziej nieuprzejme było trzymanie za rękę chłopca, w którym kochała się jej przyjaciółka, nawet jeśli on robił to z czystej uprzejmości.

- Gdzie?

Jericho nachylił się lekko w jej stronę, żeby spojrzeć i Evie znów zadrżała.

- Och... chyba już go nie widać. - Usiadła prosto na siedzeniu i mocno zacisnęła ręce na drążku.

Kiedy zeszli z diabelskiego młyna, odkryli, że zrobiło się chłodniej. Strzępiaste chmury unosiły się na zamglonym niebie nad czerwono - złotymi wzgórzami.

- Zimno ci? - spytał Jericho.

- Trochę - odpowiedziała. Szczękała zębami. Wskazała na stojący z boku drewniany pawilon. - Tam chyba będzie cieplej.

Szyld nad wejściem głosił ZDROWSZE RODZINY DLA LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI. Jasnowłosy chłopiec wypadł ze środka i pobiegł po schodach, z dumą prezentując brązowy medal na wstążce.

- Wygrałem!

- Dzielny chłopak! A co wygrałeś? - spytała Evie, a on pozwolił jej zobaczyć napis. - „Tak, mam dobre pochodzenie”. Cóż, pewnie dobrze dla ciebie.

W budynku znajdowały się długie stoły i otoczone parawanami miejsca podpisane BADANIE. Całe rodziny siedziały na krzesłach, czekając na swoją kolej, a wokół krążyły pielęgniarki w wykrochmalonych fartuchach i sztywnych białych czepkach, zapisując informacje i odprowadzając każdego po kolei za parawan. Ojcowie wypełniali kwestionariusze i odpowiadali na pytania, matki kołysały niespokojne niemowlęta i zachęcały starsze dzieci, by siedziały prosto, wszystko w nadziei, że też dostaną jeden z tych brązowych medali, z których tak dumny był tamten chłopiec. Podawano ciepłe kakao i Jericho poszedł po nie, a Evie czekała.

Przy pobliskim stoliku wysoki szczupły siwowłosy mężczyzna przepytywał młodą parę.

- Czy ktoś w państwa rodzinie cierpiał na problemy z sercem? Polio? Skoliozę? Krzywicę? - Kręcili głowami, a mężczyzna się uśmiechał. - Doskonale, doskonale. A problemy psychiczne? Czy ktoś z państwa rodziny przejawiał jakieś niezwykle zdolności? Na przykład, gdybym miał w ręku kartę, czy mogliby państwo... cóż, powiedzmy, wyczuć, co to za karta? Czy chcieliby państwo poddać się testom w kierunku takich zdolności?

Uwagę Evie przykuła przeciwległa ściana, gdzie wisiała duża tablica. Tablicę, którą zdobiły niewielkie migoczące żaróweczki, podzielono na pół. Po lewej stronie strzałka wskazywała na szybko migającą żarówkę, a towarzyszył jej tekst:

CO CZTERDZIEŚCI OSIEM SEKUND W STANACH ZJEDNOCZONYCH RODZI SIĘ CZŁOWIEK, KTÓRY BĘDZIE CIĘŻAREM DLA SPOŁECZEŃSTWA. AMERYKA POTRZEBUJE ICH MNIEJ, A WIĘCEJ...

Strzałka po drugiej stronie wskazywała na żaróweczkę, która rzadko migotała. Tekst brzmiał:

CO SIEDEM I PÓŁ MINUTY W STANACH ZJEDNOCZONYCH RODZI SIĘ OSOBA WYSOKIEJ KLASY, KTÓRA BĘDZIE ZDOLNA PRACOWAĆ I PRZEWODZIĆ. ZALEDWIE CZTERY PROCENT WSZYSTKICH AMERYKANÓW ZALICZA SIĘ DO TEJ KLASY.

DOWIEDZ SIĘ O DZIEDZICZENIU. MOŻESZ POMOC POPRAWIĆ TĘ SYTUACJĘ. - FUNDACJA ULEPSZANIA LUDZKOŚCI: CZYNIMY AMERYKĘ SILNIEJSZĄ PRZEZ NAUKĘ EUGENIKI.

Jericho wrócił z kakao. Ze zmarszczonym czołem spojrział na tablicę. Podeszła do nich uśmiechnięta pielęgniarka z podkładką do pisania.

- Chcą się państwo poddać testom?

- Jakim? - spytała Evie.

- Nie potrzebujemy medali - stwierdził krótko Jericho.

- Słyszeli państwo o eugenicie? - spytała pielęgniarka, jakby go nie usłyszała. - To wspaniały ruch naukowy, którego celem jest pomóc Ameryce zrealizować w pełni swój potencjał. To kierowanie ludzką ewolucją.

- Przecież każdy rolnik wie, że kluczem do uzyskania najlepszej trzody jest rozmnażanie - wyjaśniła pielęgniarka, jakby prowadziła zajęcia w szkółce niedzielnej. - Jeśli rozmnaża się gorszej jakości zwierzęta, otrzymuje się gorszej jakości potomstwo. Należy zachować najlepsze linie, by uzyskać najlepsze potomstwo. Tak samo jest z ludźmi. Ile kosztują Amerykę narodziny ułomnych ludzi? To są nieszczęśnicy. Degeneraci. Schorowani, szaleni, kalecy i słabi na umyśle. Recydywiści, jakich można znaleźć w niższych klasach. Defekty typowe dla pewnych ras. Liczni agitatorzy, którzy wywołują taki niepokój w naszym społeczeństwie, są przykładem gorszego elementu, prowadzącego do skundlenia naszej amerykańskiej kultury. Czystość to kamień węgielny naszej wspaniałej cywilizacji. Eugenika proponuje naprawę tego, co jest chore w naszym społeczeństwie.

- Chodźmy - szepnął Jericho do ucha Evie, ale pielęgniarka nadal mówiła.

- Wyobraźcie sobie Amerykę, w której wyeliminowano wszystkie problemy zdrowotne i społeczne. Nie byłoby chorób. Wojen. Ubóstwa i zbrodni. Panowałby pokój, gdyż ludzie o lepszych, podobnych umysłach mogliby dojść do porozumienia. Prawdziwa demokracja! Ludzie nie zostali stworzeni równi, ale mogliby. Celem ludzkości jest ciągła

droga naprzód i w górę! Naprawa - powtórzyła uśmiechnięta pielęgniarka. - Na pewno nie chcą się państwo poddać testom? To zajmie tylko kilka chwil, a mamy pyszne ciasteczka.

- Nie jesteśmy zainteresowani - powiedział krótko Jericho i wypadł na zewnątrz.

- Jericho! Jericho, zwolnij trochę - wysapała Evie. Podążyła za nim z budynku Zdrowszych Rodzin. Szedł energicznie, a ona miała problemy z dotrzymaniem mu kroku.

- Co się stało? Co jest nie tak?

- Nic - powiedział Jericho, choć było oczywiste, że jest inaczej. Nigdy nie widziała go tak wściekłego. Zawsze był tak chłodny i opanowany. - To nie nauka. To bigoteria. I... i ja nie lubię eksperymentów. - Odetchnął głęboko, jakby zmuszając się do uspokojenia. - Czas wracać. Już jesteśmy spóźnieni.

Wyszli po drugiej stronie jarmarku i ruszyli w stronę autobusu, który czekał, by zawieźć ludzi z powrotem do miasteczka. Tuż za płotem kilku mężczyzn stało na niewielkim, prowizorycznym podwyższeniu. Nosili ogrodniczki, proste czarne marynarki i czarne kapelusze. Evie zatrzymała się gwałtownie.

- Popatrz, to Jacob Call.

Unosząc wysoko świętą księgę, brat Jacob Call grzmiał do tłumu.

- Pastor Algoode mówił prawdę i pokazał drogę. Nie widzicie, co się dzieje w tym kraju? Grzech zakorzenił się w naszych domach. Chciwość i zawiść niszczą fundamenty. Zgubiliśmy drogę. Żałujcie, grzesznicy, gdyż oto nadchodzi koniec! Wysłuchajcie słowa Pana, jak je przekazał swojemu prorokowi, sprawiedliwemu wielebnemu Algoode'owi, amen!

- Bractwo - wyszeptała Evie.

- I oto Pan odezwał się głosem tysiąca węży, mówiąc: „Namaszczcie swe ciała i przygotujcie ściany swoich domów, gdyż nadejdzie koniec”. Pan Bóg wasz posłał Bestię!

- Bestia przyjdzie - powtórzyli mężczyźni.

Jeden z mężczyzn zatrząsł się, a jego oczy wywróciły się białkami. Mówił w językach, gdy jego ciało drżało.

- Nadchodzi Kometa Salomona! Starożytny Smok powstanie i tylko wierni zostaną uratowani, by walczyć w świętej Bożej wojnie, a grzesznicy zginą!

Evie i Jericho musieli ich wyminąć, by dotrzeć do autobusu.

- Nie mogę - powiedziała.

- Nie martw się, jestem z tobą. - Jericho ustawił się między nią a mężczyznami.

Evie poczuła na sobie ich spojrzenia. Odruchowo mocniej otuliła się płaszczem. Żałowała, że włożyła wzorzyste pończochy i pomalowała usta, choć jednocześnie złościła się, że pogarda fanatyków wywołuje w niej takie uczucia. Chłopiec w wieku może czternastu lat przyglądał się jej uważnie, a na jego twarzy malowało się pożądanie przemieszane z nienawiścią.

- Grzech świata był grzechem kobiety! - krzyknął chłopiec. Jeszcze nie przeszedł mutacji; był młodszy, niż jej się wydawało.

- Idź dalej - wyszeptał Jericho, biorąc ją za rękę.

Evie próbowała patrzeć przed siebie, ale słyszała, że chłopiec coś powiedział, a słowo to przyciągnęło jej uwagę. Spojrzała w jego stronę. Jego twarz wykrzywiała nienawiść.

- Nierządnica - syknął chłopiec.

Uniósł rękę, jak do rzutu, i Evie była wstrząśnięta, kiedy trafiła ją pecyna błota i rozbryznęła się na jej płaszczu.

- Nierządnica! - powtórzył chłopiec.

Ludzie gapili się na nią - na nią, jakby to ona zrobiła coś złego. Chciała na nich nakrzyczeć. Chciała z całej siły uderzyć chłopca. Chciała się też rozplakać.

- Nierządnic! - krzyknął Jacob Call i mężczyźni dołączyli do niego całym chórem. - Nierządnic!

Jericho mocniej chwycił Evie za rękę i ruszyli w stronę bram jarmarku. Ale słyszała, jak wołają za nią.

Nierządnic, nierządnic, nierządnic, nierządnic!

JAK BOGA KOCHAM

Memphis się spóźniał. Powiedział Isaiahowi, że odbierze go z domu siostry Walker o piątej, a zbliżała się szósta i Isaiah był głodny. Ciotka Octavia podawała kolację punktualnie o szóstej piętnaście, a jeśli do tego czasu nie zdążyli się umyć i usiąść przy stole, szli spać głodni. Isaiah był zły, że siostra Walker nie pozwalała mu czytać kart. Przez całe popołudnie zajmowali się wyłącznie dodawaniem, przez co czuł się bardzo rozzalony. Nie miał zamiaru spędzić całej nocy, przewracając się z boku na bok z głodu ze względu na Memphisa. Wiedział jednak, że siostra Walker nie pozwoli mu wyjść bez dorosłego, więc zaczekał, aż pójdzie do kuchni po herbatę.

- Chyba go widzę, sestro! - powiedział i wybiegł, zanim zdążyła go złapać.

Nigdy wcześniej nie wracał sam do domu od siostry. To było ekscytujące, jak tajemny świat do zbadania. Szkoda tylko, że robiło się ciemno. Nie lubił ciemności. Droga prowadziła go obok domu pogrzebowego i pomyślał o swojej mamie, leżącej w trumnie w białej niedzielnej sukience, i o Gabie. To go zasmuciło i trochę przestraszyło. Teraz musiał przejść obok cmentarza Trinity po ciemku. Wszyscy wiedzieli, że wtedy wychodzą zmarli. Zaburczało mu w żołądku i pomyślał o tym, że Octavia nie da mu kolacji.

Isaiah wstrzymał oddech - przechodząc obok cmentarza, należało wstrzymywać oddech, to też wszyscy wiedzieli - biegnąc przez pierwsze jesienne liście obok wysokich murów. Miał nadzieję, że jego płuca wytrzymają. Trudno jest biegać i jednocześnie wstrzymywać oddech. Pod koniec kręciło mu się w głowie. Wpadł na Ślepego Billa Johnsona i krzyknął:

- Przestraszył mnie pan! Bill uśmiechnął się.
- Isaiah Campbell! Myślałeś, że jestem duchem?

- Aha. Nie lubię przechodzić obok cmentarza, ale jeśli nie dotrę na czas do domu, ciotka Octavia nie da mi kolacji.

- W takim razie lepiej się pośpieszmy. Chodź, znam skrót.
- Bill stukał laską o chodnik. Zatrzymali się na rogu. - Lubisz magiczne sztuczki?

- Chyba tak.

- Chyba tak? A co to za odpowiedź? - spytał Bill, udając urażonego. - Czeka cię coś wyjątkowego. Ćwiczyłem swoją magiczną sztuczkę. Chcesz zobaczyć?

- Pewnie - powiedział chłopiec. Odbijał piłeczkę, za każdym razem bez trudu ją łapiąc.

- Popatrz! Na tej dłoni leży róża. - Bill otworzył prawą dłoń by pokazać ją chłopcu, po czym znów ją zamknął. - Hokus - pokus! - Otworzył dłoń. - Co widzisz?

Isaiah zmrużył oczy i przyjrzał się nieco ściśniętej róży.

- Nic się nie stało.

- Nic?

- Zupełnie nic.

- Spróbujmy raz jeszcze. O wielkie duchy tej krainy, dajcie mi żabę w prawej ręce! - Bill znów otworzył dłoń. Róża wciąż była różą.

Isaiah roześmiał się.

- Nadal nie ma żaby - powiedział.

- A niech to! Czytałem książkę o magii i tak dalej. Pewnie po prostu nie mam wyczucia.

Isaiah chciał opowiedzieć staruszkowi, co on umie. Memphis zawsze powtarzał, żeby o tym nie gadał, ale Memphisa nie było w okolicy. Poszedł gdzieś sobie i zupełnie zapomniał o bracie. Miał ochotę się rozplakać, ale chłopcy nie płakali. Wydawało się, że istnieje cała lista rzeczy, których Isaiahowi nie wolno było robić, i miał już tego dość.

- Ja umiem robić magiczne sztuczki - wyrzucił z siebie Isaiah.

- Naprawdę?

- Aha. Siostra mówi, że jestem wyjątkowy.

Jeśli Memphis miał przed nim tajemnice, to Isaiah mógł mieć tajemnice przed Memphisem. Mógł je też zdradzać.

- Naprawdę? A co czyni cię takim wyjątkowym?

- Siostra mówi, że nie powinienem o tym opowiadać.

- Staremu Ślepemu Billowi możesz przecież powiedzieć, co nie? A komu niby rozgadam?

- Siostra nie pozwala.

- Aha. Rozumiem. Pozwalasz, żeby kobieta tobą rządziła, chłopczyku?

Szybko niczym wąż złapał piłeczkę lewą ręką i uniósł ją wysoko.

- Ej!

- Jesteś taki wyjątkowy, to może mi ją odbierzesz? A może wcale nie jesteś wyjątkowy?

- Jestem!

- To nic strasznego, synu. Nie wszyscy możemy być wyjątkowi. - Ja jestem wyjątkowy! - powiedział Isaiah, tak rozzłoszczony, że aż się popłakał.

Ślepy Bill oddał mu piłeczkę i pogłaskał go po głowie.

- Już, już, nie chciałem cię obrazić, chłopczyku. Oczywiście, że jesteś wyjątkowy. Widzę to. Ślepy Bill to widzi.

- Naprawdę?

- Tak, proszę pana, tak, proszę pana.

Słowa staruszka były jak balsam na serce Isaiaha. Kogoś przynajmniej obchodziły jego uczucia. Isaiah miał dość bycia małym i ignorowanym. Miał dość wszystkich - siostry, Memphisa, ciotki Octavii, nauczycieli, zgromadzenia z kościoła Mother AME - którzy mówili mu, co mu wolno robić, a czego nie. Po co być wyjątkowym, jeśli nie można nikomu o tym powiedzieć?

- Dobrze. Powiem panu. Ale musi mi pan obiecać, że zachowa to w tajemnicy.

Mężczyzna uniósł dłoń do serca.

- Jak Boga kocham.

To była najbardziej solenna obietnica, jaką usłyszał Isaiah.

- Widzę rzeczy w umyśle. Kiedy siostra trzyma karty, rozpoznaję, jakie wyjęła, zanim jeszcze je zobaczę.

Wargi Billa zadrżały.

- Tak? Byłbyś świetnym pokerzystą.

- Siostra mi nie pozwala.

- Tego się mogłem spodziewać.

- I czasami... - Isaiah zawahał się.

- Tak?

- Czasami widzę rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły.

Bill poczuł ściskanie w żołądku, które rozpływało się w jego krwi jak głód.

Drżącą dłonią znów pogłaskał chłopca po głowie. Isaiah chwycił wielkie łapsko mężczyzny i przekręcił je.

- Ma pan bliznę.

- Stara rana z czasów, kiedy zbierałem bawełnę. Te kolce wyciągają się i rzucają się na ciebie!

Bill przestraszył Isaiaha, który krzyknął, ale zaraz zaczął się śmiać. Lubił Billa, lubił, kiedy staruszek sobie z niego żartował. Kojarzył mu się z tatą, który brał Isaiaha za obie ręce i kołysał nim, kiedy szli ulicą, a matka łajała ich obu, mówiąc: „Marvin, rozciągniesz mu ramiona”. Wspomnienie mamy i taty sprawiło, że posmutniał.

Dotarli do wąskiej uliczki, o której mówił mu Bill.

- Skrót - powiedział staruszkowi.

- Dziękuję. - Bill zwolnił. - Jesteś tutaj, chłopczyku?

Wydajesz się smutny.

- Myślałem o mamie. Ona umarła.

- Cóż. To rzeczywiście smutne. - Bill zwolnił jeszcze trochę. Uliczka, jak wiedział, była ślepa i kończyła się ceglanym murem. Kilka razy tam spał. - Mógłbym zabrać to, co smutne, z twojej głowy, gdybyś chciał.

- Jak mógłby pan to zrobić?

- Podejdź bliżej, a ci pokażę.

Isaiah miał wątpliwości. Nie chodziło tylko o to, że ciotka zabroniła mu rozmawiać z nieznajomym - Ślepy Bill nie był do końca nieznajomym. Chłopiec po prostu się zawahał, coś w głębi jego duszy kazało mu być ostrożnym, ale i tak ruszył za mężczyzną.

- To nie jest skrót, panie Johnson. Na końcu jest mur.

- Mój błąd. Musiałem myśleć o innej ulicy. Wiesz, ślepemu bywa trudno. A teraz podejdź tutaj. Podejdź.

Isaiah obrócił się i spojrzał na pustą ulicę.

- Chyba się nie boisz, co? Taki wyjątkowy gość?

- Nie. Nie bojem się - odparł Isaiah.

„Nie boję się”, powiedziała Memphis. Cóż, Memphisa tu nie było. Isaiah podszedł do staruszka.

- Muszę tylko położyć ci dłoń na głowie, o tak. Swędzi? Odrobinę swędziało i Isaiah roześmiał się.

- Uważam to za „tak”. A tutaj?

Bill przesunął dłoń naprzód tak, że czubki jego palców mocno chwyciły czoło Isaiaha.

- To miłe.

- Dobrze. Teraz trochę ścisnę i już nie będziesz smutny. Isaiah nagle doznał przeczucia związanego z bratem, coraz silniejszego przekonania, że tamten wpakował się w kłopoty, że coś jest nie tak.

- Muszę wracać do domu, panie Johnson. Octavia będzie na mnie czekać z kolacją.

- Nie ruszaj się, synu.

- Muszę iść.

- Nie szarp się. Nie szarp się.

Isaiah czuł, jak przepelnia go panika. Przerazenie rozwinęło się w straszliwą wizję - widział brata stojącego na rozstaju dróg pod ciemniejącym niebem.

- Puszczaj! - krzyknął Isaiah, próbując na próżno wyrwać się z mocnego uścisku Billa. - Puszczaj, puszczaj!

Bill sapnął, trzymał mocno; w nagrodę przeszył go prąd.

Isaiah szarpał się i rzucał w jego uścisku, a jeśli przypominało to przeszłość, kiedy jeszcze widział, oczy chłopca wywróciły się, ukazując białka. Może w kącikach jego ust zebrała się odrobina śliny. Serce Billa zaczęło bić szybciej i przez chwilę pamiętał bieganie na bosaka po polach tytoniu, pod niebem, które rozciągało się we wszystkich kierunkach. Przed nim unosiła się liczba - jeden, cztery, cztery. Liczba. Dostał liczbę! Billa przeszył kolejny dreszcz, silniejszy niż wcześniej. Język zwinął się w jego ustach i Bill poczuł smak metalu. Widział rozstaje, chmurę kurzu unoszącą się nad drogą, jakby przed burzą, i wysokiego, wychudzonego mężczyznę w cylindrze. Chłopiec był nieruchomy i cichy. Upadł na chodnik u stóp Billa, a staruszek kucnął obok niego, nasłuchując, jak oddycha.

- Ej! Ej! - zawołał ktoś od strony ulicy. Bill zaklął pod nosem i cofnął rękę. - Tutaj! Potrzebujemy pomocy!

Głos zbliżył się do nich i stał się niewyraźnym zarysem sylwetki. Cieniem. Och, gdyby tylko miał jeszcze kilka chwil! Ile mógłby jeszcze zobaczyć? Ile mocy posmakować?

- Co się stało? - Głos mężczyzny był ostry, oskarżający.

- Nie wiem. Mały się zgubił. Próbowałem pomóc mu znaleźć drogę, a wtedy on dostał jakiegoś ataku, tak mi się wydaje. W moim stanie trudno mi powiedzieć. - Bill położył dłoń na lasce. - Wołałem... nie słyszał mnie pan?

- Chyba tak - odpowiedział tamten. - Pewnie to właśnie mnie tu ściągnęło. Dobrze, że pan tu był.

- Dobry Pan musiał nas prowadzić. Ludzie byli tak podatni na sugestie.

Octavia krzyknęła, kiedy zobaczyła mężczyznę niosącego bezwładnego Isaiaha w stronę wejścia. Bill Johnson szedł tuż za nimi. Chłopca położono do łóżka. Wezwano lekarza.

Octavia podała kukurydziany pudding. Bill położył talerz na kolanach i zaczął jeść. Od dawna nie jadł domowego jedzenia, a Octavia świetnie gotowała.

- Co się stało? - spytała.

- Cóż, proszę pani, mały się zgubił, a ja próbowałem mu pomóc... - Bill opowiedział jej tę samą historię, co wcześniej.

Prawie skończył, kiedy usłyszał, jak starszy Campbell wpada przez frontowe drzwi, jakby miał je wyważyć.

- Gdzie on jest? Gdzie Isaiah?! - Panika w jego głosie.

- Odpoczywa. - Stał w głosie kobiety. - Przepraszam...

- Oszczędzaj głos na modlitwę, Memphisie Johnie. Już słyszałam od pani Robinson, że zostałeś aresztowany i Papa Charles musiał zapłacić za ciebie kaucję - stwierdziła z goryczą.

- Mogę zobaczyć Isaiaha?

Bill nic nie słyszał i musiał założyć, że porozumieli się inaczej - skinieniem głowy, gestem. Jak wiele bezgłośnych rozmów przegapił przez te lata? Słyszał, jak Memphis znika w innym pokoju - bez wątpienia, by znaleźć się u boku brata. Ci dwaj byli blisko, a ich związek umocniła tragedia. To skłoniło Billa do zawahania, ale odepchnął od siebie te myśli. Nie jego zadaniem było przywracanie sprawiedliwości na świecie.

- Niech pani nie będzie zbyt surowa dla chłopca - powiedział do Octavii. Gest pojednawczy.

Wstał, żeby odejść, a Octavia podała mu laskę, jak również kolejną porcję puddingu w papierze pergaminowym.

- Dziękuję panu, panie Johnson.

- Mów mi Bill.

- Dziękuję, Bill. - Słyszał wahanie w jej głosie. - Słodki Jezu, panie Jezu. A gdyby pan z nim nie był? A gdyby był sam?

- Niezbadane są ścieżki Opatrzności.

- Proszę do nas zaglądać! - zawołała za nim Octavia. Był już przy furtce prowadzącej na ulicę.

- Dziękuję. Z pewnością skorzystam.

Bill Johnson ruszył w noc, która nie była tak ciemna jak miejsce, w którym był jeszcze niedawno. Wyjął różę z kieszeni i mocno ścisnął ją lewą dłonią.

- Tak mi przykro, chłopczyku. Naprawdę mi przykro - wyszeptał Ślepy Bill.

Kiedy znów otworzył dłoń, róża zmieniła się w popiół.

W ciszy sypialni na tyłach Memphis patrzył, jak jego brat oddycha. Każdy oddech był jak oskarżenie - gdzie... byłeś... bracie? Przełknął ślinę. A jeśli to on sprowadził to na Isaiaha? Jeśli przekleństwo przeznaczone dla Memphisa dotknęło miast tego jego braciszka? Zrobiło mu się niedobrze, a na czoło wystąpił pot.

- Nie martw się, stary - wyszeptał. - Naprawię to. Zajmę się tym.

Memphis położył dłonie na drobnym ciałku Isaiaha, zacisnął powieki i czekał na ciepło i trans, dziwne sny o uzdrawianiu. Ale nic się nie stało. Jego dłonie nie ogrzały się. Brat spał dalej, jak zaczarowany mieszkaniec zaklętej krainy z baśni, a Memphis, zabójca smoków, stał po drugiej stronie niezdożytego muru królestwa.

Osunął się obok łóżka i ukrył twarz w bezużytecznych dłoniach.

BRACTWO

Ruiny starego Bractwa znajdowały się w gęstych lasach na zboczu góry Yotahala, co w języku plemienia Oneidów oznaczało „słońce”. Ale tego ostatniego nie pozostało zbyt wiele, gdy Ford Willa powoli wspinał się trzy kilometry w górę wąską bitą drogą przez gęste lasy, których mroku nie rozświetlał słaby blask późnego popołudnia. Zaczął padać słaby śnieg. Delikatne płatki tańczyły w blasku reflektorów modelu T. Samochód nie dawał zbyt wiele ciepła i Evie drżała na tylnym siedzeniu, podskakując na każdej nierówności.

- Już blisko - powiedział Will ponad rzeżeniem silnika. - Rozglądaj się za podwójnym dębem. Tam skręcamy.

- Nic nie robiłam, tylko przechodziłam obok - powiedziała Evie, kontynuując wcześniejszą rozmowę. Wciąż czuła się wstrząśnięta spotkaniem z wiernymi obok jarmarku. - Zupełnie nic.

- To nie twoja wina. Nie ma nic bardziej przerażającego od kategorycznego przekonania kogoś, kto wierzy, że ma rację - powiedział Will. Kulił się nad kierownicą, rozglądając we wszystkie strony, nie ufając Evie i Jericho. - Archiwista powiedział mi, że w ostatnich latach sekta Bractwa zyskała na popularności.

- Ale dlaczego?

- Kiedy świat porusza się naprzód zbyt szybko dla niektórych, próbują nas zatrzymać swoim strachem - wyjaśnił Will. - Miejmy nadzieję, że zostaną na jarmarku. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby odkryli, że ekshumujemy ciało syna ich proroka.

Z boku drogi, gdzie wyrastały drzewa porośnięte korą przypominającą obtarte kolana, Evie zauważyła wiszący na cienkiej gałązce talizman ze zwierzęcego futra ze znajomym pentaklem. Odruchowo okryła nagą szyję połą płaszcz.

- Chyba się zbliżamy.

- Jest i podwójny dąb.

Jericho wskazał na potężne drzewo, którego sękate konary łączyły się ze sobą w dziwnym tańcu powykręcanej kory..

Will zjechał z drogi na polanę i zaparkował za wciąż porośniętym bujnym listowiem zagajnikiem.

- Mam nadzieję, że te krzaki na wystarczająco długo ukryją naszą obecność - powiedział.

Z bagażnika wyciągnął naftową lampę turystyczną, którą zapalił i przygasił; latarkę dla Evie; i dwie łopaty, z których jedną podał Jericho. Kiedy to zrobił, Evie przypomniał się ich ponury cel. Will zarzucił łopatę na ramię, uniósł latarnię i oświetlił nią leżące przed nimi imponujące, gęsto zalesione zbocze.

- Tędy - powiedział, prowadząc ich na wzgórze ledwie widocznym śladem wydeptanej ścieżki.

Słaby blask zachodzącego słońca sprawiał, że las wypełniała szarość. Evie próbowała sobie wyobrazić młodego Johna Hobbesa, który dorastał w takiej izolacji, z dala od przyjaznych ogni gospód i plotek sąsiadów, mając ten las za jedynego towarzysza.

Wspinali się coraz wyżej i Evie rozboleły nogi. Cieszyła się, że włożyła wygodne buty. Powietrze rozrzedziło się i każdy oddech wydawał się wielkim wysiłkiem. Obejrzała się za siebie i nie dostrzegła już kryjówki ich forda.

- Jak... daleko... jeszcze? - wydyszała. Bolały ją mięśnie.

- Już prawie - odparł Will, równie zdyszany.

Niemal jak za sprawą czarów, ścieżka przestała się wznosić. Wyszli za pagórek i Evie zapało resztki tchu w piersiach.

- Panie i panowie, Stare Bractwo - powiedział Will przyciszonym głosem.

Dotarli do porzuconych ruin starego obozowiska. Na polanie stała garstka butwiejących chat z bali. Popękane drzwi

wisiał na przerdzewiałych zawiasach, a ciemne, puste okna sprawiały, że całość robiła wrażenie czaszki. Kamienne truchło studni porastały chwasty. Wykładana kamieniami dróżka była wciąż widoczna pod opadłymi liśćmi i koniczyną. Wiła się między okrytymi mgłą drzewami. Po lewej szum rzeki mieszał się z graniem świerszczy i ćwierkaniem ptaków. Światło latarki Evie odbiło się w oczach lisa i dziewczyna aż podskoczyła. Lis uciekł, a latarka zadrżała.

- Stary kościół - powiedział Will, idąc szybko w stronę dużego kwadratu pośrodku osady, gdzie masa poczerniałego drewna wyglądała jak mauzoleum.

Evie przekroczyła ostrożnie popękany próg, porośnięty wysokimi chwastami, i weszła do środka. Wszystkie nocne filozoficzne debaty o naturze zła nie przygotowały ją na to uczucie, na autentyczny ciężar głodnej niegodziwości naciskający na jej nagą skórę. Dawny kościół w Bractwie niósł mimo swego rozkładu charakterystyczny ciężar i cierpliwą wytrwałość zła. W szumie wiatru niemal słyszała dziecięcy śmiech, jęki i groźne szepty. Chciała uciekać. Ale dokąd? Jakie miejsce znajdowało się poza zasięgiem zła?

Stery rozpadających się cegieł tworzyły półokrąg w jednym rogu i Evie rozpoznała w nich palenisko, które widziała, kiedy trzymała obrączkę Johna Hobbesa. Wyglądało teraz jak poczerniałe koryto, cegły poszarzały i porośły śliskim mchem. Tuż za nim, na trawie leżało żelazo do wypalania piętna. Evie uniosła je ostrożnie. Pentakl Bestii. Upuściła je szybko, czym przestraszyła niewielkiego węża, który wyślizgnął się spod sterty kamieni. Evie zajrzała do paleniska i zobaczyła świeży chrust oraz ogarki świec. Ktoś niedawno z niego korzystał. Serce zabiło jej szybciej na myśl o tym, kto mógł ukrywać się w tych lasach.

- Wciąż korzystają z niego jako miejsca spotkań - powiedział Will, jakby czytając jej w myślach.

Wskazał na płaskie kamienie umieszczone w kręgu wokół cynowego znaku. Czubkiem buta przekręcił znak. Tył również zdobiła pięcioramienna gwiazda z węzłem.

Will spojrział na ciemniejące niebo.

- Znajdźmy ten grób.

Zmrok zapadał coraz szybciej. Lasy spowijały granatowe cienie. Kiedy minęli spalony kościół i ruszyli w dół wzgórza, na niebie pojawił się zamglony półksiężyc. W blasku latarki Willa ukazał się niski kamienny murek cmentarza. Za nim leżały poczerniałe kamienie nagrobne, przechylone jak powykrzywiane zęby. Evie omiatała światłem latarki kolejne nagrobki, próbując odczytać nazwiska. Jedidiah Blake. Richard Jean. Mary Schultz. Na każdym kamieniu znajdował się napis POWSTANIE.

- Szukajcie czegoś niezwykłego... zwierzęcych kości, pentagramu, talizmanu albo innych ofiar. Pewnie uczcili jego grób - polecił Will.

Evie trzymała się blisko Jericho. Jej obcasy zagłębiały się w miękkiej glebie i próbowała nie myśleć o tym, co pogrzebano pod tą ziemią. Żałowała, że nie włożyła wełnianych pończoch - tu było o wiele zimniej niż w dolinie. Przed ich twarzami unosiły się niewielkie szare chmurki, jakby z ich płuc wydobywały się duchy powietrza. Z nieba zniknął ostatni blask, zamigotały pierwsze gwiazdy. Blask latarki Evie odbijał się od grobowców, które w tym blasku wydawały się widmowe.

- A jeśli go nie znajdziemy? - spytała.

- Przekopimy każdy grób, aż znajdziemy - odpowiedział Will.

Wiatr znów zaczął gwizdać nad górą. Był jak czubki palców muskające jej skórę, obracające ją jak w dziecinnej zabawie, w której miała zasłonięte oczy.

- Tutaj! - zawołał Jericho.

Will podszedł do niego i uniósł lampę nad miejscem oznakowanym prostym drewnianym krzyżem obwieszonym talizmanami. U jego podstawy złożono czaszkę niewielkiego zwierzęcia.

- Jak myślisz, czy to tu? - spytała Evie.

Will wytarł brud z krzyża, ukazując wyryte w drewnie inicjały YHA.

- Yohanan Hobbeson Algoode - powiedział Will. - Kopiemy.

Ustawił lampę przy krzyżu. Wraz z Jericho zdjęli marynarki, podwinęli rękawy i zabrali się do roboty. Zadaniem Evie było trzymanie latarki skierowanej w ich stronę i nasłuchiwanie dźwięków. Co chwila podskakiwała, machając przy tym latarką.

- Skieruj ją na nas, proszę - powiedział Will.

Evie potrzebowała czegoś, co by zajęło jej umysł, więc wpatrywała się w przedramiona Jericho, gdy machał łopatą, obserwowała poruszenia mięśni, siłę jego uchwytu. Pamiętała, jakie wrażenie zrobił na niej dotyk jego dłoni, jak tarcza. Był dla niej tajemnicą w wielu kwestiach i odkryła, że chciała poznać jego tajemnice - nie ukraść je przez portfel lub ulubione pióro, ale dostać w prezencie. Chciała okazać się godna zaufania. Wyjątkowa. Było w nim coś, co ją niepokoiło. Wydawał się nieco groźny, podobnie jak i ona. Nie mogła być z mężczyzną, który tego w niej nie rozumiał, tego mroku pod fasadą niefrasobliwości, który z nim flirtował, ale uciekał przerażony, gdy musiał stawić czoło wewnętrznej burzy. Patrzyła na wielkie dłonie Jericho przy pracy i wyobrażała sobie, jak pieścącą jej nagą skórę, wyobrażała sobie smak jego ust i dotyk ciała przy ciele.

Równie szybko próbowała się pozbyć tych obrazów. Jericho był facetem Mabel. Evie pomyślała o licznych listach przyjaciółki na ten temat. Ale to były fantazje pensjonarki.

Jericho i Mabel nie pasowali do siebie. Gdyby pasowali, już by do czegoś doszło, prawda? Evie nie mogła odebrać przyjaciółce tego, czego tamta nigdy nie miała, prawda?

Evie w milczeniu złażała się za samą myśl. Jericho pewnie potrzebował kogoś takiego jak Mabel. Dobrej, oddanej, rozsądnej Mabel, która pamiętałaby o wyłączeniu świateł i przyniesieniu mleka. Dziewczyny, która by się o niego troszczyła. Evie miała straszliwe przeczucie, że ona sama należała raczej do osób beztrojskich. Ubrania rzucone na łóżko. Książki poplamione kawą. Rachunki opłacane w ostatniej możliwej chwili. Chłopcy całowani i zapominani w ciągu tygodnia. Rozumiała to, ale zrozumienie jej nie pocieszało.

Rozległ się huk, kiedy łopata Jericho uderzyła w drewno. Mimo zimna on i Will byli złani potem. Jericho wskoczył do dołu. Wsunął wąską krawędź łopaty pod sosnowe wieko trumny, podważając je. Z sapnięciem uniósł wieko, ukazując przegniłe zwłoki Johna Hobbesa.

Nie mieli ciała do pochowania, kiedy James umarł. Niczego, co mogłoby upamiętnić jego odejście. Był grób, który odwiedzali co roku w jego urodziny, ale wewnątrz nie było kości, munduru ani niczego, co było jej bratem.

Ciało Johna Hobbesa spoczywało spokojnie w drewnianej trumnie w prostym wełnianym garniturze, a Pentakl Bestii błyszczał na jego szyi. Jego wargi zostały zszyte nitką, która w kącikach rozerwała się, ukazując długie pożółkłe zęby. Jego ciało było tak pozbawione życia, rozkładające się i zniszczone jak porzucone chaty Bractwa. Był rzeczą. Bierną. Jak kamień. Jak wspomnienie. Czyli tak wyglądała śmierć. Nieodwołalna. I Evie poczuła nagle dziwną ulgę, że jednak nie zobaczyła ciała Jamesa, jakby dzięki temu mogła udawać, że nigdy nie umarł.

Jericho sięgnął i zdjął naszyjnik. Podał go Evie, która trzymała go tak, jak trzymałaby jaszczurkę za ogon. Wyszedł z jamy i wytarł dłonie o spodnie - bezużyteczny gest, gdyż jego ubranie było równie brudne jak ręce.

Evie wpatrywała się w przedmiot, który trzymała. Pragnęła go wyrzucić, spalić go tu i teraz.

- Chyba nie powinnam tego trzymać - powiedziała. - Mogę dostać chusteczkę, wujaszku?

Evie ostrożnie owinęła wisior. Miała go właśnie oddać Willowi, kiedy po prawej rozległ się wysoki trel. Evie skierowała latarkę w stronę źródła dźwięku. Światło zadrzało na ocierających się o siebie gałęziach. Suche liście przesuwają się po ziemi na kawałku pustej przestrzeni między nagrobkami. Nic, a później znów dźwięk, z lewej. Tym razem szybko machnęła latarką. Promień złapał ruch. Dłonie Evie zadrzały. Kolejny trel, z przodu. I drugi z tyłu. Z prawej i z lewej. Stojąc tuż przy grobie, Evie machała latarką.

Mężczyźni z jarmarku wyszli w blask. Evie naliczyła ich pięciu, do tego chłopiec, który pobrudził jej płaszcz. Nieśli sznur i myśliwskie noże. Chłopiec trzymał u boku myśliwską strzelbę. Wydawała się dla niego zbyt wielka.

- To teren prywatny. Święta ziemia - powiedział.

Evie ukryła owinięty w chusteczkę naszyjnik w pięści i przeniosła dłoń za plecy.

- Tak, tak. Oczywiście - powiedział Will. Wydawał się przerażony i dezorientowany, a to przstraszyło Evie bardziej niż mężczyźni.

- Jakiego grzechu się dopuściliście? - spytał mężczyzna.

- Słyszeliśmy, że tu zakopano złoto - powiedział nagle Jericho. - Postąpiliśmy źle. Teraz to widzimy. Pójdziemy sobie. Przepraszam, że was niepokoił.

Spokojnie pochylił się, by podnieść łopatę. W ciszy cmentarza rozległ się strzał i zaskoczony Jericho upuścił narzędzie.

Jacob Call wyszedł z za jego pleców, w dłoniach trzymał dymiącą broń.

- Nasi wrogowie nas oszukują. Pan powiedział, że w czasach zamętu przed Dniem Sądu, waszymi wrogami będą nie tylko ludzkie grzechy. Będą was oszukiwać, nauczał. Takie jest słowo ziemskiego posłańca Pana, błogosławionego pastora Algoode'a. Amen.

- Amen - powtórzyli pozostali.

- Wierni dotrzyмали jego przymierza. Czekamy na wolę i cel Pana. Kometa to potwierdza: „Kiedy światło pali niebo jak ogon smoka”. Bestia powstanie.

- Powstanie! Alleluja! - wykrzyknęli mężczyźni.

- Nadchodzi Dzień Sądu. Jesteśmy błogosławieni. Alleluja.

- Alleluja! - powtórzyli.

- Proszę, posłuchajcie mnie. - Will wyciągnął rękę, by ich powstrzymać. - John Hobbes nie jest Bestią, którą przepowiedział jego ojciec. Nie ma zamiaru powrócić do sfery duchowej, kiedy objawi się w pełni. Spełnia jedynie rytualne ofiary, by móc władać...

Jacob Call spoliczkował Willa.

- Bestia zabije niegodziwych. Sprowadzi plagi i zarazę na ich Sodomę i Gomore. Wierni zostaną namaszczeni. - Rozsunął koszulę, ukazując dwa piętna, a Evie domyśliła się, że musi być ich więcej. - Zostaniemy rozpoznani po znamieniu i oszczędzeni. Nasza wielka armia powstanie i wrzuci Bestię z powrotem w ogień piekieł, gdzie wybrańcy zostaną wskrzeszeni i otoczeni chwałą! Wzniesie się na wysokość niebios i usiądzie w niebiańskiej radzie z pastorem Algoodem, a ten kraj będzie Bożym krajem. Alleluja!

- Alleluja! - powtórzyli wierni.

- A jak go odeślecie, kiedy zakończy się jego zadanie? A jeśli Bestia nie da się pokonać? Czy się nad tym zastanowiliście? A co, jeśli, zyskawszy całą ziemię, dojdzie do wniosku, że nie ma ochoty oddawać władzy?

- Zostało to nakazane. Ścieżka obiecana w Księdze Bractwa. To Boża wola. Tego, co Bóg wprowadził w ruch, żaden człowiek nie powstrzyma.

- Alleluja!

Tych ludzi nie dało się przekonać. Evie czuła ich nienawiść. Ich przekonanie. Mogliby zniszczyć wisiołek i ducha Johna Hobbesa, ale nie mogli zabić tego, co po nim pozostało. Świat był tyranem.

Chłopiec szepnął do Jacoba, który zmrużył oczy i spojrzał na Evie.

- Co tam masz, córko Ewy?

- Nic.

Evie trzymała rękę z naszyjnikiem za plecami.

- Nierządniczkę kłamie - powiedział chłopiec. Uniósł broń. - Nie wierzę ci.

Evie spojrzała na Willa, który skinął głową. Powoli wyciągnęła rękę i pokazała im wisior.

- Złodzieje. Bałwochwalcy. Rozpustnicy. Grzesznicy. Jaka jest kara dla wrogów Boga? - zagrzemiał Jacob Call.

- Spłoną! - zawołał jeden z wiernych.

Przekazywali sobie z ręki do ręki pochodnię, aż dotarła do wysokiego mężczyzny, który ją zapalił. Jej płomień rzucał upiorne cienie na blade pnie drzew.

- Nie chcecie tego zrobić - powiedział Will, gdy zapłonęła druga pochodnia. - To ściągnie policję.

Jeden z mężczyzn na krawędzi kręgu zaczął kołysać się i bełkotać, a jego odwrócone wierzchem do dołu dłonie zeszywniały. W kącikach jego ust pojawiła się ślina.

- Przyciągnie to ich uwagę, zanim Bestia powstanie! Będzie na was zły! - mówił dalej Will z desperacją w głosie.

Zapalono więcej pochodni. Dwaj mężczyźni podeszli ze sznurem. Jericho chwycił łopatę i przygotował się do walki.

- Uciszyć oszustów! - rozkazał Jacob Call. Mężczyźni ruszyli w stronę Jericho, który zamachnął się łopatą, zatrzymując ich.

- Pozwólcie nam odejść, a nie wrócimy - powiedział Will. Ale tamci się zbliżali. Jericho znów się zamachnął i chłopiec uniósł strzelbę, gotów do strzału. Byli uwięzieni. Bezradni. Przebyli całą tę drogę bez sensu. Złośliwy świat zwycięży, jak wtedy, kiedy jej brat został rozerwany na kawałki, nie pozostawiając nic do pochowania i wszystko do opłakiwania. Byli martwi.

- Pan nie zniesie żadnej słabości pośród swoich wybranych! - krzyknął chłopiec, i wtedy w Evie coś pękło.

Jej strach zmienił się w gniew. Patrzyła na zadowolonego z siebie, triumfującego chłopca, który spaliłby cały świat, żeby tylko udowodnić, że ma rację. Splunęła mu w twarz.

- To z pewnością by się spodobało temu sukinsynowi - warknęła.

Szybkim ruchem rzuciła lampę do grobu. Stary wełniany garnitur Johna Hobbesa stanął w ogniu i całe ciało zaczęło płonąć.

- Uciekajcie! - zawołała i ruszyła do lasu.

Jej ruch i zaskakujące gorąco płomienia oszołomiły nowych wiernych z Bractwa na kilka cennych sekund, kiedy próbowali zdecydować, co jest ważniejsze - uratowanie ciała ich ukochanego starszego czy pogoń. To dało im wystarczającą przewagę.

- Tędy! - krzyknęła Evie, biegnąc w dół wzgórza, w kierunku, który wydawał jej się właściwy.

Zrobiło się ciemno i las z każdej strony wyglądał tak samo, przez co trudno było ocenić, gdzie się znajdowali.

- Will! Jericho! - zawołała.

- Tutaj! - odkrzyknął Jericho i zobaczyła jego koszulę po prawej.

Biegli razem, jak stado. Evie wciąż ścisnęła naszyjnik w pięści. Wiatr stał się silniejszy, uderzając w nich z hałasem jak setka rozwścieczonych głosów. Odpychała go od siebie. Nad nimi rozległ się trzask wystrzału. Ostrzeżenie.

- Gdzie... samochód...? - wysapała Evie. - Tutaj!

Jericho pociągnął ją za sobą. Zobaczyła forda między drzewami i pobiegła do niego, jakby był szalupą ratunkową.

Will gwałtownie otworzył drzwi od strony kierowcy i wsunął się za kierownicę. Sięgnął do sprzęgła.

- Dlaczego nie chce zapalić?

- Silnik jest za zimny. Trzeba uruchomić za pomocą korby - powiedziała Evie.

- Jericho... korba - wydyszał Will.

- Kupię ci nowy samochód, przysięgam - obiecała Evie. Jericho podbiegł do przodu i położył rękę na masce dla równowagi. Drugą sięgnął do korby. Rozległ się kolejny trzask.

- Jericho! Nie zaciskaj dłoni na korbie, bo może odbić! - zawołała Evie. - Nie chcesz złamać ręki!

Jericho pokiwał głową. Popchnął korbę do przodu, raz, dwa razy. Silnik zakaszłał i znów ucichł. Pomiędzy drzewami tuż nad nimi zamigotały pochodnie. Płomienie na szczycie wzgórza zawahały się, zamarły, jakby zagubione i niepewne, czy powinny zniszczyć ten las, czy go rozświetlić. Jak ostrzegła Evie, metalowy pręt błyskawicznie odskoczył i Jericho ledwie zdążył cofnąć się i uniknąć obrażeń. Silnik ożył - tak - tak - tak - tak.

Na wzgórzu rozległy się krzyki. Pochodnie, już całkiem zdecydowane, ruszyły zygzakiem w dół zbocza, ciągnąc za sobą wściekłe ogony płomieni i dymu. Silnik zadrżał i istniała groźba, że znów zgaśnie.

- Nie! - krzyknęła Evie, jakby jej reprimenda mogła zmusić samochód do posłuszeństwa.

Will nacisnął kilkakrotnie sprzęgło i tym razem silnik zaskoczył. Pochodnie były blisko. Evie wyraźnie widziała mężczyznę, kiedy Jericho obchodził starego forda.

Rozległ się strzał. Jericho cofnął się i w straszliwym tańcu znów wpadł na samochód.

- Jericho! - wrzasnęła Evie.

Chłopak jęknął i padł na kolana.

- Will, on chyba dostał!

- Nie dopuść, żeby silnik zgasł! - powiedział Will. Pobiegnął do Jericho, a Evie wślizgnęła się za kierownicę. Jej serce biło w rytm silnika forda. Płakała, jakby mogła wyzbyć się strachu poprzez łzy i płytki oddech. Tamci znów ruszyli.

Will wciągnął Jericho na tylne siedzenie, a Evie dodała gazu, bardzo ostrożnie, żeby nie zgasić silnika.

- Co robisz? - spytał Will.

- Prowadzę!

Samochód wyrwał się naprzód, spod kół poleciały kamyczki i liście, gdy ford wypadł na bitą drogę. Rozległy się strzały, ale Evie była zbyt szybka dla wiernych. Nim dotarli do drogi, oddaliła się od nich na kilkanaście długości auta.

Jericho jęczał, jego głowa osunęła się na oparcie. Evie dodała gazu i z oszałamiającą prędkością pokonała zakręt, aż tylne koła wypadły z drogi. Wuj Will spoglądał z góry na światła w dolinie.

- Dobry Boże - sapnął.

- Mój ojciec ma salon samochodowy! - krzyknęła. - Prowadziłam wszystko, co możesz sobie tylko wyobrazić!

- Dowieź nas w jednym kawałku!

Ścinała zakręty, raz ostro szarpnęła, o włos mijając samochód jadący w górę. Ford zakołysał się na dwóch kołach, po czym znów opadł na wszystkie cztery. Siedzący na tylnym siedzeniu Will zaklął. W końcu zobaczyli przed sobą światła wioski.

- Gdzie w tej dziurze jest szpital?! - wrzasnęła, kiedy wjechali na główną ulicę.

- Zabierz nas do motelu - polecił Will.

- Matko Boska, został postrzelony, Will! Potrzebuje lekarza! - Nie możemy zabrać go do szpitala.

- Dlaczego nie? - Odwróciła się. Will miał ponurą minę.

- Później ci powiem. Na razie mi zaufaj. Zajmiemy się nim w gospodzie. Patrz, gdzie jedziesz!

Evie chciała krzyczeć. Chciała nakrzyczeć na Willa - za całą sprawę, za Bractwo, za Jericho. To było szaleństwo i miała dosyć.

- Lepiej, żebyś się nie mylił, wujaszku.

Wyjechała z centrum miasteczka i ruszyła z powrotem do motelu.

- Cokolwiek zrobię, nie sprzeciwiaj mi się - powiedział Will, kiedy dotarli na miejsce.

Ubrał Jericho w swój płaszcz i zapiął go. Zniknął w motelu, a po chwili wyszedł z dwoma mężczyznami, którzy pomogli podnieść Jericho i zatargać go do przedsionka. Żona właściciela spoglądała z dezaprobatą na tę brudną trójkę wciągającą na wpół przytomnego młodego mężczyznę do jej przybytku.

- Mówiłem ci, jaka jest kara za grzech - powiedział wuj Will na tyle głośno, by usłyszała go żona właściciela.

- Bracie mój - dodała Evie, przybierając w miarę możliwości skruszoną i zatroskaną minę. Nadal się trzęsła po wcześniejszych przejściach. - Ojciec tak bardzo się stara.

- Ta dzisiejsza młodzież. - Kobieta zacmokała z dezaprobatą.

Kiedy znaleźli się w pokoju, wuj Will umieścił zamroczonego Jericho na łóżku i podziękował mężczyznom drobnym napiwkami. Evie zamknęła drzwi na klucz, a Will obmył dłonie z cmentarnej ziemi i zdjął Jericho płaszcz. Nie widziała dokładnie, gdzie Jericho został trafiony. Nie było krwi, choć jego koszula, pokryta plamami ziemi i trawy, wydawała się przemoczona.

- Evie, potrzebuję pomocy - powiedział Will. - Otwórz moją torbę i wyjmij niewielką skórzaną torebkę zamykaną na suwak.

Evie odnalazła ją i podała Willowi. Wewnątrz były cztery niewielkie fiołki wypełnione gęstym niebieskim płynem i dziwna strzykawka.

- Co to?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Szybko, umieść fiołkę w komorze strzykawki.

Evie wypełniła polecenie. Rozległ się głośny trzask, gdy wuj Will rozerwał koszulę Jericho. Dziewczyna próbowała zrozumieć, co widzi. Na chwilę świat dookoła zwolnił, kiedy próbowała znaleźć w tym sens i nie mogła. Kula pozostawiła duży otwór tuż pod sercem Jericho. Pod raną znajdowała się maszyna, skomplikowany system mosiężnych rur i przewodów.

- Evie!

Głos Willa sprawił, że wróciła myślami do bieżącego zadania. Odebrał jej strzykawkę i postukał w szkło, żeby pozbyć się banieczek powietrza z niebieskiego płynu.

- Nie ma czasu go zabezpieczać. Na początku będzie poruszony. Musisz być gotowa.

- Nie rozumiem... - powiedziała Evie, wpatrując się z przerażeniem, jak Will wbija strzykawkę w pierś Jericho i naciska tłok.

- Następna!

Evie naładowała strzykawkę kolejnym flakonikiem. Jericho się nie poruszał.

- Nie! Potrzebujemy lekarza!

- Powiedziałem: następna!

- Niech cię diabli, Will - mruknęła Evie i załadowała trzecią ampulkę.

Will wycelował strzykawkę w chwili, kiedy Jericho zerwał się z łóżka i zaczął się rzucać jak opętany. Oczy miał szalone, rozglądał się, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje i kim oni są. Zamachnął się lewą ręką, zrzucając stojącą przy łóżku lampkę na podłogę. Prawą trafił Willa w szczękę i starszy mężczyzna wyładował oszołomiony na ziemi.

- Evie! Wbij ją. Już!

Dziewczyna złapała porzuconą strzykawkę i wbiła ją w nogę Jericho, po czym wycofała się do kąta, kiedy zaczął wierzgać.

- Jericho...

Zatoczył się w jej stronę, kołysał przez dwie sekundy, po czym nieprzytomny padł na łóżko.

Evie wciąż kulila się w kącie.

- Czy on...?

Will dotknął opuchniętej szczęki, skrzywił się i wyczerpany padł na sąsiednie łóżko.

- Nic mu nie będzie. Niech śpi.

Zaskoczyło ich głośne pukanie. Will okrył Jericho kocem, a Evie podbiegła do drzwi i uchyliła je. Żona właściciela próbowała spojrzeć jej nad ramieniem, ale dziewczyna nie otwierała szerzej drzwi.

- Co tu się dzieje, do diaska?

- Brat się przewrócił i zrzucił lampę - powiedziała Evie. -
Ojciec oczywiście zapłaci za zniszczenia.

- To miejsce dla porządných ludzi. Nie życzę tu sobie
hołoty. - Kobieta starała się spojrzeć nad głową Evie.

- Tak. Oczywiście.

Evie zamknęła drzwi i siedziała na łóżku Willa,
przyglądając się, jak wprawnie zszywa poszarpaną skórę na
piersi Jericho. Patrzyła na śpiącego młodego mężczyznę.
Wyglądał jak anioł.

- Co było w tym płynie?

- To specjalne serum. Więcej nie mogę ci powiedzieć.
Gonitwa myśli w głowie Evie groziła szaleństwem. Z trudem
formułowała słowa.

- Czym jest Jericho?

- Eksperymentem - powiedział Will stanowczo, jak
nauczyciel zegnający klasę. Obciął cienką nić chirurgiczną i
schował narzędzia w torebce, w której trzymał też strzykawkę
i fiolki. - Gdzie wisior?

Evie zapomniała o nim w całym tym chaosie. Podeszła do
płaszczka i wyjęła brudny przedmiot, który podała Willowi.

- Co teraz zrobimy?

- Kiedy wrócimy do muzeum, stworzymy krąg ochronny.
Wykorzystując to, co podejrziałaś z brakującej strony,
zwiążemy jego ducha z powrotem z wisiorem i zniszczymy
go.

- Wierzysz, że to zadziała?

- Muszę w to wierzyć - odpowiedział.

- Chciałabym, żebyś opowiedział mi o Jericho -
powiedziała Evie.

Will wyjął papierosa. Poklepał się po kieszeni na piersi.

- Gdzie się, u diabła, podziła moja zapalniczka?

- Ciągle ją gubisz. - Evie podała mu kartonik zapalek. -
Jericho?

Will zapalił papierosa i wypuścił chmurę dymu.

- Chyba lepiej, żeby to Jericho ci opowiedział. To jego historia, nie moja... Evie, dobrze ci dzisiaj poszło - powiedział, wyciągając rękę, co dziewczyna zignorowała. Jeśli to mu się nie spodobało, nie dał po sobie znać. - Biorąc pod uwagę naszych gości dziś wieczorem, myślę, że powinniśmy wyjechać wcześniej, przed świtem. Powinnaś odpocząć. Evie potrząsnęła głową.

- Będę czuwać przy Jericho.

- Nie ma potrzeby. Nic mu nie będzie.

- Będę czuwać.

- Nie ma potrzeby...

- Will! Ktoś musi czuwać!

Ton głosu Evie był jednocześnie pełen złości i błagalny, cały straszliwy wieczór przelała w odmowę opuszczenia boku Jericho.

Will pokiwał głową.

- W porządku. Mogę spać w twoim pokoju.

Chwilę później słyszała, jak porusza się po drugiej stronie cienkiej ściany, pewnie spacerując i paląc. Evie namoczyła ręcznik i łagodnie wytarła brud i serum z rany Jericho. Później położyła się na pustym łóżku Willa i leżała na boku, patrząc, jak pierś mężczyzny podnosi się i opada. Czuwała, jak długo starczyło jej sił. Nie mogła jednak zwalczyć wyczerpania i zapadła w niespokojny sen.

LAMENT

Deszcz bezustannie uderzał w pozamykane stoiska i nieruchome kolejki promenady na Coney Island, kiedy Mary White Blodgett obudziła się z morfinowego otępienia z szybko bijącym sercem i poczuciem, że świat zbyt prędko obraca się wokół własnej osi. Zaczęła wzywać córkę, ale przypomniała sobie, że Eleanor wybrała się do kasyna.

Wzdłuż ręki Mary promieniował ból. Och, jakże żałowała, że nie ma więcej morfiny. Jeśli miała przetrwać godziny do czasu, kiedy wróci jej córka, ta niewdzięcznica, musiała zająć umysł. Zamknęła oczy i wspominała czasy, gdy była wielką kobietą.

Och, była królową balu, zanim jeszcze wyszła za mąż, jak na dziewczynę pochodzącą z tak skromnej rodziny nie mogła narzekać na brak zalotników. Ale to Ethan White zwrócił jej uwagę. Był starszy od niej, władczy i pedantyczny, całkowicie pozbawiony romantyzmu, ale miał dobrą rękę do interesów, co miało zapewnić jej wszelkie wygody, a ich ślub opisały wszystkie gazety z Poughkeepsie. Dorobił się majątku na spekulacji ropą. Jakieś zakurzone miasteczko w Teksasie wymiotowało czarnym złotem, a pieniądze wpływały na rachunek państwa White. Mieli kawior i domek na północ od miasta, jak również lożę w operze, której Mary tak naprawdę nie lubiła, ale uczęszczała, by wszyscy mogli podziwiać jej futra i klejnoty. Wielka dama, pani Ethanowa White.

Wiedziała o dziewczynie w teksańskim Lubbock. Nic by się nie stało, gdyby Ethan postanowił ją zatrzymać, zachowując przy tym dyskrecję. Ale ona była w stanie błogosławionym, a w głowie Ethana nagle pojawiła się romantyczna wizja prawdziwego rycerza. Miał zamiar zostawić Mary dla dziewczyny. Jego prawowita żona padłaby ofiarą skandalu. Nie mogłaby już siedzieć w loży w operze, spoglądając z góry na tych wszystkich maluczkich,

podnoszących na nią wzrok, pełnych zazdrości. Patrzyliby na nią z litością. A litości Mary White nie mogła znieść. Kłóciła się z Ethanem, a nawet go błagała - Mary nigdy nie błagała i nawet teraz, na łóżku mokrym od morfinowych potów, zacisnęła wargi na to nieprzyjemne wspomnienie - ale on był zdecydowany. Postanowił najpierw pójść do prawników i przygotować dokumenty. Miał jej zapewnić wszelkie wygody, o ile będzie trzymać język za zębami i nie zrobi zbyt wielkiego zamieszania.

Mary nie miała zamiaru stać się celem plotek.

Każdego wieczoru Ethan dla uspokojenia wypijał szklaneczkę sherry. Mary kazała pokojówce przynieść sherry, jak zwykle. Dodała do niej arsenik, który zawsze mieli pod ręką, na wypadek gdyby polne myszy postanowiły zagnieździć się w piwnicy. W ciemnej sypialni siedziała na bujanym fotelu, z tomikiem poezji Johna Donne'a na kolanach, a jej mąż wił się i szarpał na łóżku, wyciągając rękę w jej stronę, gdy ona spokojnie przewracała kartki. W wieku dwudziestu czterech lat Mary White została bardzo bogatą wdową. Zapakowała żałobną woalkę razem ze wszystkim, co miało jakąkolwiek wartość i przeniosła się do hotelu Plaza na Manhattanie.

Skrzypienie wyrwało Mary z rozważań. Nasłuchiwała czujnie, aż upewniła się, że to tylko wiatr i deszcz uderzające w ściany domku.

W taką właśnie burzową noc poznała Johnny'ego. Sześć miesięcy wcześniej słuchała wystąpienia wielkiej teozofistki madame Blavatsky w koledżu Cooper Union. Rosyjska dama zrobiła na niej wielkie wrażenie swoimi wizjami wiecznie ewoluującej ludzkości, jedności ze sferą boską i duchową. Spotkała się prywatnie z wielką kobietą, proponując dofinansowanie w zamian za wiedzę ezoteryczną. „Poznasz mężczyznę, który otworzy ci drzwi do innego świata”,

powiedziała jej madame Blavatsky i następnego dnia podczas ulewy, gdy w pobliżu nie było jej powozu, imponujący mężczyzna o hipnotyzujących błękitnych oczach zaproponował, że ją podwiezie. Nazywał się John Hobbes i dzielił jej fascynację mistycyzmem. Jak wyznał, był potomkiem świętego plemienia zwanego Bractwem, ulubieńców Boga, i został wybrany spośród nich, by wypełnić ich świętą misję na Ziemi. Pokazywał jej cuda, których nie umiała wyjaśnić, i dzielił się wiedzą, której nawet sobie nie wyobrażała. Przeszła na jego wiarę, a on obiecał jej świetlistą drogę, gdyż miała zostać jego Panią Słońce.

To właśnie poczucie wielkiego przeznaczenia, wysokie mniemanie o sobie, połączyły Mary i Johna. Byli ponad wszelkimi zasadami. Istnieli na wyższym planie egzystencji i dla wyższych celów. Przed przygodami w świecie duchów Mary dręczyły czasem wątpliwości z powodu tego, co zrobiła Ethanowi. Ale z pomocą Johna zrozumiała, że było to właściwe, przesądzone z góry - gdyby nie ukarała Ethana i nie odziedziczyła jego pieniędzy, nie mogłaby pomóc Johnowi w wypełnieniu misji. Wobec tego było dobre, właściwe i przesądzone z góry to, że tamtej nocy zabiła męża.

W domu zaskrzypiała podłoga, ale Mary tak zatoneła we wspomnieniach, że prawie nie zwróciła na to uwagi. Wróciła myślami do Johna pokazującego jej starą księgę z jedenastoma ofiarami, wyjaśniającego, co miał zrobić - do czego został wybrany. Z początku, musiała to przyznać, miała wątpliwości. Nawet się bała. Ale pocałował ją słodko, a później gwałtownie, obezwładniając ją tak, jak lubiła, jak tego pragnęła, i należała do niego. Był złocistym bóstwem. A ona, Mary White, była jego uświęconą małżonką. Bestia przybędzie. Świat spłonie. Z popiołów wyrośnie nowe społeczeństwo. Będą nim władać jako król i królowa. Ona, Mary White, która przyszła znikąd. A kiedy John powiedział,

że zostanie zabity w ofierze przypominającej tę pomniejszą przed dwoma tysiącami lat, wypełniła jego polecenia, przekupiła strażników i woźnicę, i w środku nocy powiozła jego ciało brukowanymi uliczkami Nowego Jorku. Kazała go pochować na wzgórzach za ruinami starej wioski i, jak obiecała, zachowała Knowles' End przed zburzeniem lub nowymi właścicielami, co miesiąc płacąc podatki, choć w tym celu musiała wydać cały swój majątek i zamieszkać w chałupie. Mówił o tym bardzo wyraźnie, a kiedy spytała o powód, nie odpowiedział. To była jedyna tajemnica, którą przed nią zachował. Deski podłogi zajęczały głośno.

- Kto tam? Kto tam? - Podciągnęła kołdrę pod brodę. - Jestem staruszką! Czego chcesz?

Znów rozległo się skrzypienie. To nie był wiatr szarpiący okiennicę. Z pewnością dźwięk dobiegał z wnętrza i z pewnością były to deski. Och, dlaczego powiedziała Eleanor, że może wyjść na noc?

Skrzypienie ucichło za zasłoną. Mary poczuła szum krwi w uszach.

- Kto... kto? - wychrypiała.

Zasłona odsunęła się bardzo powoli i mrok wypełnił złocisty blask. Mary White wydała cichy okrzyk radości.

- Wiedziałam, że przyjdiesz!

John Hobbes podszedł do łóżka staruszki. Był nagi od pasa w górę, a ona wpatrywała się w czarne symbole poruszające się na jego emanującej złocistym blaskiem skórze. Dlaczego nie podbiegł, by ją objąć? Czy zestarzała się tak bardzo, że jej widok go odrzuca? Ale jej postać, jej twarz były jedynie skorupą, łączył ich duch. Wkrótce uczyni ją swoją królową, swoją Panią Słońce. Wrócił do niej, jak obiecał.

- Byłam wierna, jak obiecywałam. Zachowałam stary dom. Milczał. Nic, poza stukaniem kropel deszczu i upiornym

wyciem wiatru. Za oknem rozbłysła błyskawica, oświetlając jego profil. Jego oczy. Z jego oczami było coś nie tak.

- Johnny. Johnny miłości moja... - W kącikach jej oczu zebrały się łzy. - Minęło tyle czasu. Pozwól, że ci się przyjrzę.

Nadal nic nie mówił. Mary się rozzłościła. Czyż nie dotrzymała swojej umowy przez te wszystkie lata?

- „I oto Bestia ciałem się stała, a gdy mówił, mówił jakoby językami ognia i niebios zadrżały od tego dźwięku”.

Mary White wydała zduszony okrzyk radości. Jego głos! Po tylu latach, wciąż tak dźwięczny. Wciąż tak wspaniały.

- Tak, tak, miłości moja... Mów do mnie, swej pokornej służebnicy...

- Musisz napisać kartkę, Mary.

- Tak, kochany. Cokolwiek.

Pod jej dłonią nagle pojawiła się kartka, jakby wyczarowana. I pióro też. Powiedział jej, co napisać, powiedział, by schowała ją w kieszeni, gdzie zostanie znaleziona.

- Znaleziona? Nie rozumiem, Johnny...

- „Zaś lament wdowy uciszył każdy język i niebios stworzyły się przed jej krzykami...”.

Nie. To nie mogło być tak. Nie dziesiąta ofiara. Miał na myśli jedenastą, Zaślubiny Bestii i Niewiasty Obleczonej w Słońce. Mieli się połączyć. Ona miała zostać nieśmiertelna, jak on. Mieli stać się...

- I tak oto dokonała się dziesiąta ofiara.

- John. John!

- Patrz na moją nową postać i bądź zadziwiona.

Cała miłość, którą do niego czuła, zmieniła się w lodowaty strach. Wyłaniał się w rozbłyskach kolejnych piorunów: Skrzydło. Szpon. Końce zębów ostre jak brzytwy. I oczy, płonące, bezdenne oczy, okna duszy, lecz w tych bliźniaczych sadzawkach płomieni duszy nie było. Widziała w nich

wyłożone jak w księdze oszustwo swojego życia, głupią wiarę, że mogła, że ktokolwiek mógł, uciec przed konsekwencjami tego świata, uciec przed śmiercią. To było oszustwo. Prawdziwy wąż w ogrodzie. „I proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia”.

- Popatrz na mnie.

Mary White patrzyła, była zdumiona i nie mogła oderwać od niego wzroku, nie mogła wydobyć oddechu z piersi, gdy jej krzyk umarł, nim dosięgnął języka.

Na brzegu wiatr tworzył niewielkie pagórki z piasku i znów je rozrzucał, niosąc ziarenka dalej. Iluzjoniści pakowali karty i kości. Pies zaszczeakał i został wynagrodzony resztkami hot doga. Kobieta z brodą wzdychała przy oknie - jej kochanek się spóźniał. Świat obracał się i kołysał, wprawiony w ruch niewidzialnym palcem. Cienka zasłona szarych chmur przemknęła po niebie. Księżyc schował się za nimi i ukrył zasmuconą twarz.

SIERŻANT LEONARD

Jericho usiadł na łóżku i syknął z bólu. Był obolały i nie miał koszuli. Wyblakła blizna, biegnąca wzdłuż całej szerokiej piersi, była teraz częściowo przykryta miękkim puchem. Pojawiła się też nowa rana - zaszyty otwór po lewej, nad mięśniem piersiowym - i Jericho przypomniał sobie, jak byli otoczeni w lesie, przypomniał sobie odgłos wystrzału i uderzenie. Złożył razem wszystko, co musiało się wydarzyć, i uświadomił sobie z coraz większym przerażeniem, że Evie z pewnością już wiedziała. Ale oto leżała na drugim łóżku, zasnęła w ubraniu i w butach. Zorientował się, że została z nim. Dowiedziała się i została.

Znów położył się na boku, patrząc, jak oddycha na wyciągnięcie ręki od niego. Nie była piękna, kiedy spała - miała otwarte usta i cicho pochrapywała, co sprawiło, że się uśmiechnął, mimo wszystkiego, co się wydarzyło. We śnie poruszyła się i przeciągnęła, a on odwrócił wzrok. Przez okno wpadały pierwsze promienie świtu. Malutki blaszany zegar na stoliku pokazywał dziesięć po piątej. Evie otworzyła oczy, a Jericho szybko podciągnął prześcieradło, by ukryć blizny.

- Jericho? - spytała Evie zaspanym głosem.

- Co się stało, Evie?

- Zostałeś postrzelony. Z wujaszkiem ściągnęliśmy cię tutaj - odpowiedziała ostrożnie. - Jericho, co jest w tych niebieskich fiolkach?

- Ile trzeba było?

- Trzy.

- Czy ja... czy zrobiłem krzywdę tobie albo Willowi?

- Nie - skłamała. - Jericho, proszę.

- Nie zrozumiesz - powiedział cicho.

- Ciągłe mi to mówisz. Przestań.

- Nie zrozumiesz.

- Nie rozumiem, jeśli mi nie powiesz.

- Polio. Nie było cudów. Pochłonęło mnie jak wcześniej moją siostrę. Odebrało mi władzę w nogach, później w rękach, a na końcu w płucach. Umieścili mnie w metalowej trumnie i powiedzieli, że tak spędzę resztę życia. Uwięziony. Nigdy nie będę samodzielnie oddychał. Nigdy nie będę chodził ani jeździł konno. Nigdy nikogo nie dotknę. - Jego spojrzenie omiotło krągłości ciała Evie. - Nie będę robił nic poza gapieniem się na ten sufit aż umrę. Po wojnie wracali żołnierze bez rąk i bez nóg. Ludzie rozerwani na kawałki. W tajemnicy wypróbowywali nowy wynalazek, projekt Dedal, by pomóc powracającym żołnierzom.

- Jaki wynalazek? Jericho odetchnął głęboko.

- Połączenie człowieka i maszyny. Ludzko - robocią hybrydę. Zastępowali to, co zostało zniszczone przez wojnę lub chorobę, stalą, drutami i zębatkami. Mieliśmy być cudem epoki przemysłowej. Robotyk. Gapisz się na mnie.

Evie szybko odwróciła wzrok.

- Ja... przepraszam. To fantastyczne. Po prostu nie rozumiem... - Znów na niego spojrzała. - Proszę.

- Byliśmy królikami doświadczalnymi - mówił dalej Jericho. - Nie chcieli powiedzieć nam nic poza tym, że maszyna zastąpi nasze wadliwe elementy i w swoim czasie zleje się z organizmem. Osiągnięto to za pomocą nowego cudownego serum... to ten błękitny płyn w fiolkach... i witaminowego toniku. Miały utrzymywać równowagę między naszymi dwiema istotami. Obiecywali, że odmienimy ludzkość.

- To oszałamiające. Ale dlaczego w gazetach nic nie napisali? Przecież to największa historia od czasu, kiedy Mojżesz przyniósł Dziesięć Przykazań?

- Ponieważ nie zadziałało - stwierdził z goryczą Jericho. - Ale... nie rozumiem.

- Mówiłem ci, że byli inni. - Jericho jednym palcem przetaczał zużyta ampułkę po dłoni. - Ich ciała odrzuciły serum, maszynę albo jedno i drugie. Mijało kilka dni albo kilka tygodni, lecz później dostawali gorączki, a infekcja paliła ich zniszczone ciała, udowadniając, że tak naprawdę pozostali ludźmi. Lecz ci, którzy umarli, mieli szczęście.

- Szczęście? - spytała Evie. Jericho spoważniał.

- Niektórzy oszaleli. Widzieli rzeczy, których nie było, mówili w przestrzeń. Wykrzykiwali proroctwa. Albo wariowali, aż salowi przychodzili z pasami, a i wtedy trzeba było bardzo wielu mężczyzn, żeby ich utrzymać. Lekarze szpikowali ich prochami, próbując wymyślić rozwiązanie. Patrzyłem, jak zapadają się w siebie. Skorupy odsyłane do domów wariatów, żeby tam umrzeć.

Jericho umieścił ampułkę na stoliku. Szkło wciąż miało niebieskawy odcień.

- Na łóżku obok mnie leżał pewien żołnierz. Sierżant Barry Leonard z Topeki. Pamiętam, jak powiedział mi, że gdybym chciał wyobrazić sobie Topekę, mam sobie wyobrazić piekło ze sklepem odzieżowym. A w tym sklepie i tak nie ma niczego, co chciałoby się kupić. To był zabawny gość.

Jericho uśmiechnął się do wspomnień, po czym znów spoważniał.

- Wrócił z wojny bez obu nóg i jednej ręki. Na łóżku leżało mniej niż pół człowieka. Ludzie przechodzili obok. Nawet nie patrzyli. Zupełnie, jakby się bali, że, gdyby spojrzeli, złapałoby jego pecha. Jego ból był dla nich straszniejszy od śmierci.

Evie oparła głowę na ugiętej ręce. Jericho usiadł i owinał się kołdrą, lecz Evie udało się spojrzeć ukradkiem na jego pierś - miękkie złociste włosy, piękne mięśnie, długa stara

blizna obok nowszej, dzieła wuja Willa. Chciała go dotknąć, pocałować w środek piersi.

- Wzięli nas obu do Dedala, powiedzieli, że jesteśmy dobrymi kandydatami. Razem wjechaliśmy na wózkach. Zanim odurzył mnie eter, zobaczyłem, jak sierżant Leonard uśmiecha się do mnie. „Nie przyjmuj drewnianych monet, dzieciaku”. Zawsze to powtarzał. - Jericho uśmiechał się słabo. - Wciąż pamiętam to uczucie, kiedy po raz pierwszy od miesięcy poruszyłem palcami u nóg. Nie uwierzysz, że paluch może być czymś tak niewiarygodnym. Kiedy po raz pierwszy wyszedłem na zewnątrz i poczułem słońce na twarzy... - Potrząsnął głową. - Chciałem sięgnąć i ściągnąć słońce z nieba, trzymać je jak piłkę, którą dostało się w dzieciństwie na urodziny i nie chce się jej wypuścić z rąk. Po tygodniu już biegałem. Sierżant Leonard pobiegł obok mnie i dodawał mi otuchy. Kiedy skończyliśmy, poklepał mnie po plecach jak brata. Powiedział, że jesteśmy nowym gatunkiem, przyszłością. Sposób, w jaki to mówił, z zadziwieniem i nadzieją... - Jericho otrząsnął się z tego wspomnienia. - Siadywaliśmy razem na ławce na dziedzińcu, patrzyliśmy na słońce zachodzące nad wzgórzami i podziwialiśmy jego niezmiennność.

Evie miała ochotę coś powiedzieć, ale wszystko, co przychodziło jej na myśl, brzmiało pusto. Poza tym Jericho z nią rozmawiał, opowiadał jej historię, którą pragnęła usłyszeć i bała się to przerywać.

- Zaczęło się od jego dłoni. - Jericho przerwał, pociągnął łyk wody ze szklanki, mówił dalej. - Pewnego dnia nie mógł zacisnąć jej w pięść. Pamiętam tę chwilę tak wyraźnie. Odwrócił się do mnie i powiedział: „Zupełnie, jakby moja cholerna ręka się upiła. Dzieciaku, nie odkręciłeś jej przypadkiem na szybki numer, kiedy spałem, prawda?”.

Powiedział to tak, jakby to był żart. Ale widziałem, że się boi. Lekarzom nic nie mówił. Powtarzał, że jest zdrowy jak rydz.

Jericho bawił się kawałkiem prześcieradła między palcami, naciągał je i znów rozluźniał.

- Miał bardzo zmienne nastroje. Bywał wzburzony. Pewnego razu rzucił talerzem ziemniaków w ścianę i wybił w niej dziurę.

Oczy miał udrećzone. Poprosił mnie, żebym poszedł z nim biegać. Biegłem aż do utraty sił. On nie mógł albo nie chciał się zatrzymać. Zostałem, nie mogłem dotrzymać mu kroku. Później widziałem, jak stoi na dziedzińcu w deszczu. Po prostu tam stał i pozwalał, by go omywał. Wybiegłem, żeby namówić go do wejścia do środka, a on powiedział: „To tak, jakbym miał w środku zbyt wiele. Naciska i naciska, nie może znaleźć ujścia”. Skłoniłem go, żeby wrócił do budynku i się położył. W ciemnościach słyszałem, jak szepce: „Proszę... proszę... proszę...”. W każdym razie pewnego wieczoru oszalał. Rozebrał się do naga i biegał po szpitalu, jak małpa zawisał na rurach, rozbijał okna. „Jestem przyszłością!”, wrzeszczał. Trzeba było czterech salowych, żeby go złapać i przywiązać do łóżka. Doktorzy przyszli i wyjaśnili, że proces się zdestabilizował. Dla jego własnego dobra musieli to powstrzymać.

Jericho na dobrą minutę ukrył głowę w dłoniach, nim zaczął mówić dalej.

- Krzyczał na nich, wrzeszczał: „Nie możecie mi tego zrobić! Jestem człowiekiem! Popatrzcie na mnie, jestem człowiekiem!”, raz za razem. Zrobili mu jakiś zastrzyk, żeby go uspokoić, ale on wciąż się szarpał, wrzeszczał, że jest człowiekiem, ma swoje prawa, a oni musieli dać mu tylko szansę, cholerną szansę. Później lek zaczął działać i nie mógł już stawiać takiego oporu. Płakał, prosił, błagał ich i Boga, kiedy wywozili go na wózku. - Jericho pokręcił głową. - Jak

słyszałem, odwrócili proces. Co gorsza, musieli amputować drugą rękę. Rozeszło się po całym ciele.

Jericho umilkł. Na zewnątrz ktoś próbował uruchomić samochód. Silnik protestował.

- Powiesił się na pasku pod prysznicem.

- O mój Boże - powiedziała Evie. - To straszne. Jericho przytaknął mechanicznie.

- Nie wiedzieli, jak to zrobił, bez rąk i nóg.

Silnik samochodu zaskoczył, a oni nasłuchiwali jego spokojnego mrużenia, gdy zakaszłał, po czym zamruczał miarowo i odjechał. Jericho mówił teraz ciszej, prawie szeptem.

- Było późno, spałem. Obudził mnie jego płacz. Na oddziale panowała ciemność, jedyne światło dochodziło zza drzwi dyżurki pielęgniarek. „Dzieciaku”, powiedział do mnie, a jego głos... jego głos był jak duch. Jakby ta część jego osoby już umarła i powróciła po resztę. „Dzieciaku, to gorsze niż Topeka”. Opowiedział mi, że kiedyś w czasie wojny natrafił na niemieckiego żołnierza, który leżał na trawie z raną brzucha i wypadającymi wnętrznościami. Mógł tylko leżeć i cierpieć. Żołnierz popatrzył na sierżanta Leonarda, a choć nie mówili tym samym językiem, jedno spojrzenie wystarczyło, by się porozumieli. Niemiec leżący na ziemi i Amerykanin stojący nad nim. Strzelił tamtemu w głowę. Nie zrobił tego w gniewie, jakby strzelał do wroga, ale jako drugi człowiek, jeden żołnierz pomagający drugiemu. „Jeden żołnierz pomagający drugiemu”. Tak to ujął. - Jericho znów umilkł. - Powiedział mi, co chce, żebym zrobił. Powiedział mi, że nie muszę. Powiedział, że jeśli to zrobię, upewni się, że Bóg mi wybaczy, jeśli tym się martwię. Jeden żołnierz pomagający drugiemu.

Jericho zamilkł. Evie pozostała bez ruchu.

- Znalazłem jego pasek w toalecie i pomogłem mu dostać się na wózek. Kiedy jechaliśmy do łazienki, panowała cisza. Pamiętam, że podłoga była bardzo czysta, jak lustro. Musiałem zrobić nowy otwór w pasku, żeby zacisnąć go wokół jego szyi. Nawet bez rąk i nóg dużo ważył. Ale ja byłem silny. Tuż przed spojrzał na mnie, a ja do śmierci nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Jakby właśnie zrozumiał jakąś wielką tajemnicę, ale było już zbyt późno, by spożytkować tę wiedzę. „Życie to gra w kości, dzieciaku. Nie pozwól, by wzięli cię bez walki”, powiedział.

Cisza. Odległe szczekanie psa. Wiatr uderzający o szybę, jakby chciał, żeby go wpuścić.

- Później zabrałem wózek i odstawiłem go na miejsce. Wślizgnąłem się pod kołdrę i udawałem, że śpię, aż nadszedł ranek i go znaleźli. Wtedy zasnąłem. Na bite dwanaście godzin.

Evie miała sucho w gardle, ale nie chciała sięgnąć po wodę. Przełknęła ślinę, by złagodzić pobołowanie gardła, starając się robić to jak najciszej. Po chwili Jericho mówił dalej.

- Nie wiem, czy ta historia o niemieckim żołnierzu była prawdziwa, czy wymyślił ją, żeby mi pomóc. To nie ma znaczenia. Boże przebaczenie też nie. Po śmierci sierżanta Leonarda zamknęli program Dedal. Był zbyt wielkim ryzykiem. Lekarze i naukowcy mnie także chcieli wyłączyć. Obawiali się tego, co mogło stać się ze mną. Wsadziliby mnie z powrotem do żelaznej trumny i zgniłbym w niej, ale wtedy wtrącił się twój wuj. Powiedział, że zabierze mnie do domu, żebym umarł z godnością. Następnie zrobił zapas serum. Dla nich Jericho Jones zmarł przed dziesięciu laty. Gdyby Will mnie nie zabrał, leżałbym tam, gapiąc się w sufit, i żaden żołnierz by mi nie pomógł.

Evie usiadła.

- Ale zostałeś wyleczony. Mógłbyś być kluczem do zadziwiających postępów w nauce.

- Wyleczony? - prychnął Jericho. - Żyję każdego dnia ze świadomością, że jeśli coś pójdzie nie tak, wrócę do żelaznej trumny. Jestem jedyny w swoim rodzaju. Pół człowiek, pół maszyna. Dziwoląg.

- Nie jesteś dziwolągiem.

- Nie wiem nawet, kim jestem - powiedział Jericho. Spojrzał na Evie. - Ty też jesteś inna.

- Na to wygląda.

- W takim razie jesteśmy podobni.

Jericho wziął Evie za rękę. Obrócił jej dłonie wierzchem do dołu i pogładził palcem wewnętrzną stronę nadgarstków. Miękkość jej skóry była cudowna. Jericho nie wiedział, czy będzie funkcjonował jak normalny mężczyzna. Wiedział jedynie, że ma takie uczucia. Pragnął Evie. Rozpaczliwie jej pragnął. Trzymając jej dłonie, wyobrażał sobie, jak to by było, pocałować ją, kochać się z nią. Była nieco rozpieszczona i często samolubna, rozrywkowa dziewczyna, która jednak miała w sobie sporo dobroci. Czerpała z życia pełnymi garściami, on zaś trzymał się na dystans, nie odważył się. Sprawiała, że czuł się żywy i chciał więcej.

Głośne pukanie do drzwi sprawiło, że Evie aż podskoczyła. Bała się, że to właściciel przyszedł ich wyrzucić, ale za drzwiami stał Will. Na głowie miał kapelusz, a w ręku zegarek kieszonkowy. Niebo zaczynało już szarzeć.

- Dobrze. Widzę, że już wstaliście. Świta. Czas jechać, zanim Bractwo po nas przyjdzie.

KOMETA SALOMONA

Brudny samochód Willa przejechał z południowego Bronksu na Manhattan i miasto wyłoniło się spośród mgły i dymu jak miraż z ziemi i stali. Evie była wyczerpana po przejściach w Bractwie i nocy spędzonej na czuwaniu nad Jericho oraz późniejszym słuchaniu jego poruszającego wyznania. Niepokoiły ją też uczucia, jakie zaczynała wobec niego żywić.

Niekończące się szeregi budynków Manhattanu przelatowały za oknami auta, a ona myślała, jak blisko byli śmierci w Bractwie. Ale zwyciężyli. Mieli naszyjnik. Wieczorem przeprowadzą rytuał i na dobre wygnają Johna Hobbesa z tego świata. A później pójdzie do Willa i poprosi, żeby wyjaśnił jej, o co w tym wszystkim chodziło. Później. Położyła dłoń na własnym talizmanie i usnęła.

Dzień Evie wypełniały nerwy. Wydawało jej się, że w muzeum nigdy nie było większego ruchu, Kometa Salomona podwoiła liczbę odwiedzających. Burmistrz Walker poprosił nowojorczyków, by tuż przed północą zgasili światła, by kometa mogła ukazać się w pełni blasku. Wielu mieszkańców miasta już wyciągnęło krzesła i poduszki - a nawet materace - na smołowe plaże dachów budynków lub tarasów. Sklepiki z tandetą wyprzedały kapelusiki i gwizdki. Nocne kluby ogłaszały specjalne loterie o północy i serwowały drinki o nazwach w rodzaju Sensacja Salomona albo Spadająca Gwiazda. Zorganizowano nawet konkurs piękności w strojach kąpielowych, którego zwyciężczyni miała zostać nazwana Miss Komety. Zupełnie jakby ktoś zorganizował przyjęcie i zaprosił na nie cały Manhattan. Jednakże Evie nie była w nastroju do świętowania - jeśli nie zrobią wszystkiego tak, jak trzeba, nadejdzie koniec. John Hobbes pozostanie i sprowadzi piekło.

Kiedy ostatni klient wyszedł z muzeum, Evie zamknęła drzwi na klucz i wraz z Samem i Jericho udała się do biblioteki. Była siódma. Kometa miała przelecieć nad niebem Manhattanu punktualnie minutę przed północą. Jericho ułożył się na kanapie, wciąż zmęczony po przejściach poprzedniej nocy.

- Dobrze się czujesz, Jericho? - spytała Evie nieśmiało. - Może coś ci przynieść?

- Nie, czuję się... pierwsza klasa - powiedział, wypróbując z uśmiechem nowe słowo.

Sam obserwował ich z ukosa. W Bractwie wydarzyło się coś oprócz odnalezienia wisiora i ucieczką przed nowymi wiernymi. A Samowi się to nie podobało.

- Rany, jestem kłębkiem nerwów - powiedziała Evie. Włączyła radiodbiornik. Orkiestra Paula Whitmana grała specjalny godzinny koncert jazzowy, dedykowany „Staremu królowi Salomonowi”. Wesole piosenki wydawały się nie na miejscu, biorąc pod uwagę ich zadanie tego dnia.

- Jest coś, czego nie rozumiem - powiedział Sam. - Jak to możliwe, że nie dopełnił jeszcze dziesiątej ofiary? Myślicie, że spełni dwie ostatnie ofiary razem, dziś w nocy?

Erie przygryzła paznokieć. To było dziwne.

- Nie wiem. Wiem natomiast, że jeśli spalimy dziś naszyjnik i powtórzymy inkantację, na zawsze pozbedziemy się Johna Hobbesa.

Will wpadł do biblioteki, niosąc torbę z zakupami.

- Mam tu to, czego potrzebujemy.

Podał Evie kawałek kredy, a Samowi puszkę soli. - - Evie, narysuj duży krąg na podłodze, a wewnątrz pentagram. Sam, ty rozsyp sól dookoła biblioteki.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi biblioteki, bardzo głośne i bardzo uporczywe.

- I co teraz? - powiedziała Evie. - Nie martwcie się, powiem im grzecznie, że muzeum jest zamknięte.

Zaskoczył ją widok detektywa Malloya przed wejściem. Nie był pełen swego zwyczajowego wisielczego humoru. Właściwie jego minę można było określić jedynie jako ponurą. Evie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Wyminął ją i w towarzystwie kilku policjantów wszedł do biblioteki,

- Było kolejne morderstwo - powiedział Malloy. - Mary White Blodgett znaleziono na Coney, w Tunelu Miłości. Te same znaki, co wcześniej. Odcięto jej język.

- „Na widok Bestii wdowa zaczęła lamentować, aż jej język uciszono...” - powiedziała Evie.

- Lament Wdowy. Dziesiąta ofiara - dodał Sam. Will zbladł.

- Córka pani Blodgett powiedziała, że przedwczoraj odwiedziłeś ją wraz z młodą damą. Podobno zadawaliście jej dziwne pytania o Johna Hobbesa - mówił dalej Malloy.

- To prawda - przyznał Will.

- I nie podzieliłeś się tym ze mną, Fitz? - Detektyw wydawał się urażony i zły.

- Nie sądziłem... to było bez znaczenia. Kierowałem się przeczuciem.

- Mnie płacą za kierowanie się przeczuciami - powiedział Malloy. - I mówiłem ci, żebyś trzymał się z dala od tej sprawy. A gdybym spytał cię, czy masz w muzeum klamerkę od drugiego buta Ruty Badowski, co byś na to powiedział?

- Powiedziałbym, że to niedorzeczne - odparł Will. Twarz Malloya była ponura i trochę zmęczona, jakby powiedziano mu o nieuchronnej śmierci starego przyjaciela.

- Pytam cię jako przyjaciel, Will. Will spojrzał na niego ostro. - Jak już mówiłem, niedorzeczne. Malloy powoli pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że masz rację. Możemy się rozejrzeć, profesorze?

Policja już kłębiła się po muzeum, opróżniając szuflady i otwierając szafki. Jeden z policjantów prawie upuścił figurkę i Will zawołał:

- Czy mógłby pan być ostrożniejszy?! To bezcenne artefakty. Kolejny policjant sięgnął do szuflady biurka Willa i wyciągnął klamerkę buta Ruty Badowski.

- Jest tutaj. Dokładnie tak, jak w wiadomości.

- Jak to... - Will na chwilę znieruchomiał. - Zaczekaj. Jaka wiadomość? O czym ty mówisz?

- Czy możesz mi wyjaśnić, jak rzecz należąca do ofiary morderstwa znalazła się w twoim muzeum? - Malloy nawet nie mrugnął.

- Nie wiem. - Will zaklął pod nosem. - Przysięgam, że nie wiem, Terrence.

- I pewnie nie wiesz też, jak twoja zapalniczka wylądowała na miejscu zbrodni, tak? - Detektyw Malloy uniósł zaginioną zapalniczkę Willa.

Will natychmiast sięgnął do pustej kieszeni na piersi. - Ja... ostatnio ją zgubiłem i...

- Znaleziono ją w domu Mary White Blodgett.

- Ja wziąłem klamerkę - odezwał się nagle Sam. - Znalazłem ją na nabrzeżu i pomyślałem, że zarobię parę dolców. Zdarzają się dziwni goście, którzy płacą za taki towar.

- Sam, nie - ostrzegła go Evie.

Uśmiechnął się do niej słabo.

- W porządku, laleczko. Powiedzmy, że to za te dwadzieścia dolców.

- Niezłą masz ekipę, Fitz - powiedział Malloy. Rozejrzał się dookoła. Pentakl wyrysowany na podłodze. Rozsypana sól. Naszyjnik. - Co tu się dzieje, Will?

- Jeśli ci powiem, uznasz, że zwariowałem.

- Jeśli mi nie powiesz tutaj, powiesz mi w śródmieściu! - zagrział Malloy. - Chyba nie rozumiesz, w jakie kłopoty się wpackowałeś, Fitz!

- Detektywie Malloy, czy mógłby nam pan powiedzieć, o jaką wiadomość chodzi? - spytała Evie.

- Napisała ją pani Blodgett tuż przed śmiercią i schowała do kieszeni szlafroka. Córka potwierdza, że to jej pismo. Twierdzi, że mordercą jest Will.

Will aż się zakołysał.

- Co takiego?

- To stek bzdur! - krzyknął Sam.

- Powiedziała, że znajdziemy dowód na to w muzeum. Powiedziała, że od jakiegoś czasu pytałeś ją o morderstwa, że zrobiłeś to, żeby wzbudzić zainteresowanie muzeum. - Potężne ramiona Malloya opadły. Wydawało się, że przez te kilka chwil od kiedy wziął do ręki złamaną klamerkę buta Ruty Badowski, postarzał się o dziesięć lat. - Panie Fitzgerald, musi pan udać się z nami do śródmieścia i odpowiedzieć na kilka pytań. Chłopaki, Weźcie też na dokładkę tego małego złodziejzka.

- Och, bystry jest. Bardzo, bardzo bystry - powiedział Will, bardziej do siebie niż do kogoś innego. - Nie widzicie? Wiedział, że jesteśmy blisko! Wiedział! Zmusił ją do napisania tej kartki. Zastawił pułapkę, a my się w nią złapaliśmy.

- Och, wujaszku! - odezwała się Evie. - Co zrobimy?

- O czym wy mówicie? - spytał Malloy.

- Terrence, wiem, że to będzie brzmiało, jakbym całkiem oszalał, ale zapewniam cię, że jestem w pełni władz umysłowych. Pentakłowy Zabójca nie jest naśladowcą i z pewnością nie jestem nim ja. To John Hobbes.

Twarz Malloya pozostała bez wyrazu.

- John Hobbes, który zginął przed pięćdziesięciu laty? Mówisz mi, że tych zbrodni dopuścił się nieżyjący człowiek?

- Dzięki jakimś czarom jego duch objawił się w tej sferze, owszem. Wiem, że to brzmi jak wariactwo...

- Ale to prawda! - przerwała Evie. - Dlatego musieliśmy udać się do Bractwa, odnaleźć jego ukryty grób i wykopać ciało. To dlatego musimy zniszczyć jego naszyjnik... by uwolnić jego ducha z tego świata. A jeśli nie zrobimy tego przed nadejściem komety, będzie po wszystkim.

Evie zorientowała się, jak głupio brzmią jej słowa. Inni policjanci uśmiechali się szyderczo. Malloy się nie uśmiechał i wydawał się bardzo rozgniewany.

- Wiesz co, Fitz, nigdy nie sądziłem, że wierzysz w ten kit, który sprzedajesz w tym muzeum. Nigdy też nie uważałem cię za mordercę. - Odwrócił się do pozostałych policjantów i powiedział: - Bierzcie go.

Policjanci otoczyli Willa i Sama, wyprowadzając ich z muzeum.

- Morderstwo. Okradanie grobów. Niszczenie cudzej własności. Kradzież. I deprawacja nieletnich... - Malloy umilkł, jednak Evie usłyszała pełnię zmęczenia i niesmaku w jego głosie. - Nikogo nie da się poznać do końca.

Evie pobiegła za nimi. Jej obcasy stuknęły na marmurowej posadzce.

- Proszę, nie może go pan zabrać, detektywie Malloy! Musimy dziś powstrzymać Johna Hobbesa. Uderzy podczas pojawienia się Komety Salomona i stanie się Bestią. To nasza ostatnia szansa!

- Kochanieńka, nie wiem, co ci mówił, ale nie ma czegoś takiego jak duchy zabójcy. Nie ma czegoś takiego jak duchy, kropka. Nie ma upiora, który pragnie przyzwać Bestię mającą sprowadzić koniec świata. To bajki. I tyle. Przykro mi. - Na twarzy Malloya malowało się współczucie.

- Terrence, posłuchaj mnie, proszę. Musisz go powstrzymać, zanim dziś w nocy złoży ostatnią ofiarę - błagał Will, kiedy policjanci prowadzili go do oczekującego samochodu.

- Jeśli dziś zaatakuje, pan będzie wolny, profesorze - warknął jeden z mężczyzn, zamykając drzwi.

Evie spacerowała po bibliotece. Jericho ją obserwował.

- Jak my go powstrzymamy? Myśl, Evie, myśl.

- Zabrali naszyjnik.

- Musi być jakiś inny sposób.

Evie otworzyła Księgę Bractwa, starannie przyglądając się każdej stronie. Kiedy dotarła do ostatniej kartki, jedenastej ofiary, wpatrywała się w nią. Bestia stała nad leżącą kobietą, ich dłonie łączyły się. Był też mały ołtarz. Nad nimi na niebie płonął ogień komety.

- Dlaczego chciał, żeby Mary White zachowała dom? - myślała na głos.

- Potrzebował miejsca, do którego mógłby wrócić - powiedział Jericho. - Bezpiecznego.

- Ale ciała pozostawiał w miejscach bardzo publicznych. Mógłby więc udać się gdziekolwiek. Dlaczego tam? Do czego jest mu potrzebny?

Evie znów zaczęła krążyć po pomieszczeniu.

- Zaczynasz mi przypominać twojego wuja - stwierdził Jericho. - Kręci mi się w głowie.

- Przepraszam. - Evie usiadła przy długim stole zarzuconym niebezpiecznie wysokimi stertami książek i zaczęła myśleć. Wzięła do ręki dziennik Idy Knowles. - Jak możemy zakładać, Ida Knowles zrobiła ostatni wpis tuż przed zejściem pod ziemię. Co tam było?

- Policja odnalazła jedynie piwnicę pełną kości.

- „Namasćcie swe ciała i przygotujcie ściany swoich domów...” - wyrecytowała Evie.

Wróciła myślami do dnia, kiedy wraz z Mabel udała się do Knowles' End. Z zewnątrz zwróciła uwagę na wielki komin, ale wewnątrz nie widziała odpowiadającego mu kominka. A później, w piwnicy poczuła podmuch.

Evie zerwała się nagle i zaczęła krążyć po bibliotece, chowając do kieszeni zapałki i zbierając latarki.

- Co robisz?

- Myślę, że tam jest ukryte pomieszczenie, miejsce, które jest dla niego wyjątkowe, i to tam ukrywa to, co utrzymuje go przy życiu. - Evie spojrzała na zegar. Było wpół do jedenastej.

- Musimy się pośpieszyć, jeśli mamy dotrzeć na czas.

Jericho podniósł się, krzywiąc się z bólu.

- Gdzie idziemy?

- Nie będziemy czekać, aż John Hobbes znajdzie sobie ostatnią ofiarę. Przeniesiemy walkę na jego teren. Idziemy do Knowles' End.

W TRZEWIACH BESTII

Jak powstrzymać ducha? Jak przeciąć nić zła, kiedy wplotła się już w materię świata? Te pytania wypełniały umysł Evie, kiedy wraz z Jericho jechała samochodem Willa ulicami pełnymi imprezowiczów gotowych przywitać Kometę Salomona. Chłopczyce tańczyły improwizowanego kankana, zataczając się z jednej imprezy na drugą. Przed nimi szczudlarz kołysał się na długich, chudych nogach, blokując drogę. Pijany mężczyzna w kolorowym kapelusiku nagle zatrąbił na Evie, aż krzyknęła.

- Mam cię!

Zachichotał i odtoczył się, śmiejąc się jak diabeł. Dziewczyna ponagliła klaksonem szczudlarza. Pojawiła się wolna droga, a ona znów zatrąbiła, ostrzegając wszystkich pozostałych.

Dalej na północ tłumy się przeredziły. Cienie wznoszącej się nad ich głowami wielkiej metalowej klatki torów kolejki nadziemnej padały na maskę forda - jasno, ciemno, jasno, ciemno. Wkrótce jechali opuszczonym nabrzeżem Hudsonu, a reflektory samochodu były jedynym źródłem światła. W końcu dotarli do starego domu Knowlesów. Spoglądał na ulicę jak zapomniany bóg, a nad nim wznosił się wielki, biały księżyc.

Evie, podobnie jak poprzednim razem, prześlizgnęła się na tyły, do wejścia dla służby. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypieniem. Poprzednio odwiedziła dom w środku dnia, w blasku słońca. Teraz było bardzo ciemno i każdy kształt wydawał się groźny. Evie włączyła latarkę. Słaby blask padł na zniszczoną skrzynię, kredens, zlew. Oświetlił przygarbionego szczura na blacie. Zwierzak zwrócił nos w stronę światła, po czym uciekł w bezpieczny mrok.

- Tędy - powiedziała Evie.

Poprowadziła Jericho do pokoju kredensowego i próbowała nie myśleć o Johnie Hobbesie czekającym wewnątrz jednej z tych szaf, gotowym wyskoczyć, kiedy będzie przechodziła obok. Pośpiesznie ruszyła korytarzem łączącym kuchnię z resztą domu.

- Ostrożnie - wyszeptała. - Wszędzie są pułapki.

Było wiele drzwi i nie miała pewności, które prowadzą do piwnicy. Z pewnością nie chciała dotrzeć tam w taki sposób jak poprzednio.

- Co utrzymuje go przy życiu? Jakie jest jego połączenie z tym światem? - spytał Jericho.

- Nie wiem, ale musi kryć się gdzieś w tym domu. Zburzę każdą ścianę, żeby to odnaleźć - powiedziała Evie. - Która godzina?

Jericho postawił kanistry z naftą, które niósł, i uniósł zegarek pod latarkę Evie.

- Dwadzieścia po jedenastej.

- Nie mamy wiele czasu.

Dom wydawał jej się inny. Próbowwała określić, co dokładnie się zmieniło. Ożywiony. Przebudzony. Gotowy. Takie słowa przychodziły jej na myśl, jakby dom był żywym organizmem; wielkim łonem gotowym do straszliwego porodu. Światło latarki muskało zbutwiałe tapety. Ściany były śliskie od pary. Po plecach Evie również spływał pot. Chłód ostatniej wizyty zastąpiło niemal duszące gorąco. Otworzywszy drzwi, natrafiła na płytką szafę. Jej wnętrze było wilgotne. Sprawdzili pozostałe drzwi i znaleźli sypialnię, gabinet i ubikację.

- Czemu nie możemy go znaleźć? - spytała Evie. - Nie rozumiem, dlaczego nie możemy odnaleźć wejścia. Było tu wcześniej. Prawie jakby... - Jakby dom ukrywał je przed nami. - Szukajmy dalej. Jestem pewna, że musiałam źle zapamiętać. Po prawej jest salon.

Dotarli do niego, ale przesuwane drzwi były zamknięte.

- Wcześniej były otwarte.

Rozsunęli je z wysiłkiem. Jericho powoli poruszał latarką, oświetlając wnętrze. Ono również wyglądało inaczej. Z mebli zdjęto płachty.

- Wcześniej tak nie było - wyszeptała Evie.

- Czeka na nas - powiedział Jericho.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała Evie. Jericho nie odpowiedział, ale oboje to czuli. Dom. Dom czekał.

Promień latarki Evie przesuwiał się powoli po ścianach. Wydawały się lekko wyginać na zewnątrz. Jak płuca, oddychające, pomyślała, lecz natychmiast odpędziła od siebie tę myśl. W mroku ledwie widziała. Promień dotarł do pękniętego lustra, odbicie ją oślepiło. Zamrugła i mogłaby przysiąc, że w powidoku ujrzała ponure widmowe twarze. Obróciła się z sapnięciem, ale z tyłu niczego nie było. Dom jęczał i skrzypiał.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Jericho.

- A jaki wybór mamy? Jeśli go teraz nie powstrzymamy, objawi się w pełni. A wtedy nie będziemy mogli z nim walczyć.

- Ale już nie mamy wisiora. Jak... - Zniżył głos, jakby dom mógł nasłuchiwać. - Jak zwiążemy jego ducha?

- Znajdziemy coś innego - odpowiedziała równie cicho Evie. - Albo spalimy to miejsce, jeśli będziemy musieli.

Jericho poruszył dłonią.

- Widziałaś to światło? - Podążył za wąskim promieniem do rozety wyrzeźbionej w kominku. - Sądzę, że za tym może coś się kryć. - Zbliżył twarz, próbując coś zobaczyć.

- Jericho, nie! - krzyknęła nagle Evie.

W twarz Jericho uderzył podmuch zatechłego powietrza. Zakaszłał, zakrztusił się i pomachał ręką. Pachniało mdląco

słodko, jak przekwitające kwiaty. Jericho zamrugał i potrząsnął głową.

- Wszystko w porządku?

- Tak, w porządku - odpowiedział, ale głos mu drżał.

W kominku nagle zapłonął ogień, a Evie i Jericho aż podskoczyli.

- On wie, że tu jesteśmy - wyszeptała dziewczyna.

- Skąd może to wiedzieć?

- Myślę... myślę, że dom mu to mówi. Musimy się pośpieszyć. Która jest?

Jericho znów spojrzał na zegarek.

- Dwadzieścia po jedenastej.

- To samo mówiłeś, kiedy pytałam poprzednim razem.

Jericho znów uniósł zegarek do latarki Evie. Sekundnik się nie poruszał.

- Nie działa. Działał doskonale zanim...

Zanim weszliśmy do domu. Nie musiał tego mówić.

- Nie podoba mi się to - wyszeptał Jericho, ocierając krople potu z czoła. Miał nieco szkliste oczy i Evie żałowała, że nie jest w pełni sił. - Sądziś, że to, co utrzymuje jego ducha przy życiu, kryje się gdzieś we wnętrzu tego domu?

Evie pokiwała głową.

- To lepiej nie marnujmy czasu. Spalmy go. Spalmy i uciekajmy.

Wiatr uderzył w dom, który zajęczał. Will mówił bardzo wyraźnie, że muszą pozbyć się ducha Johna Hobbesa na jego zasadach - powinni zwięzać go z wisiosem i spalić. Ale policja zabrała naszyjnik, a Will trafił do aresztu. Wszystko zależało od Evie i Jericho.

- Spalmy go i uciekajmy - zgodziła się Evie. Chwyciła kanister z naftą. Dom był bardzo duży. - Musimy go zniszczyć do szczętu. Ja pójdę na górę, ty możesz pracować tutaj.

Jericho potrząsnął głową.

- Nie spuszczę cię z oczu.
- Jericho, bądź rozsądny.
- Nie. Zostajemy razem.
- To zabierajmy się do roboty.

Przechodzili szybko od pokoju do pokoju, ochlapując naftą wszystko, co mogło się zapalić. Evie wślizgnęła się do pokoju na poddaszu, który kiedyś należał do Idy Knowles. Przez szparę w deskach, którymi zabito okno, widziała miasto. Byli tam ludzie, bawili się, tańczyli, świętowali powrót komety, nieświadomi tego, co oznaczał. Z dołu dobiegała cicha, niewyraźna muzyka. Brzmiała nieco jak głosy wzniesione w pieśni religijnej. Gestem kazała Jericho przerwać rozlewanie nafty i znieruchomieć, ale już nic nie słyszała.

- Pośpieszmy się - powiedziała.

Kiedy schodzili po schodach, jeden pękł i Jericho omal nie spadł, Evie musiała mu pomóc wstać. Wrócili do sali balowej i dziewczyna aż sapnęła. Krzesła ustawiono w kręgu, jak w Bractwie.

- Jericho - wyszeptała, wycofując się z pokoju.
- „Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma...” - zaśpiewał Jericho i roześmiał się.

- Jericho, to nie jest śmieszne.

Na jego twarzy malował się przedziwny uśmiech,

- Słyszysz tę muzykę?

Evie przechyliła głowę, nasłuchując, ale tym razem nie słyszała nic poza jękami i skrzypieniem starego domu. - Nie.

- To jak przyjęcie! - Jericho uśmiechnął się. - Zatańczmy. Uwielbiasz tańczyć, prawda, Evie?

Wziął ją w ramiona i obracał tak szybko, że zakręciło się jej w głowie.

- Jericho, co z tobą? - spytała Evie.

Nagle przypomniała sobie - chmura kurzu z rozety. Potężne rośliny, które członkowie Bractwa wykorzystywali do wytwarzania wina i dymu. Jericho był teraz pod jego wpływem.

- Zawsze chciałem z tobą zatańczyć - mruknął, tuląc twarz do jej szyi. - Wiesz, obserwowałem cię. Kiedy myślałaś, że nikt nie patrzy. - Przysunął usta do jej ucha. Jego oddech był ciepły, sprawiał, że czuła mrowienie skóry. - Myślałem o tobie, późno w nocy. Tak wiele nocy...

Musiała go wydostać z domu, to było najważniejsze. Źle oceniła to miejsce. Było wspólnikiem, równie groźnym, jak sam John Hobbes. Zrobiliby wszystko, żeby go ochronić.

- I zatańczymy - powiedziała Evie. - Ale nie tutaj.

- Tak. Tutaj - powiedział, przyciągając ją do siebie, mocno przyciskając.

Mogłaby przysiąc, że ściany westchnęły i skądś dobiegł koszmarny chichot.

- Znam lepsze miejsce! Tędy - powiedziała Evie, ciągnąc Jericho do kuchni.

Musiała wyprowadzić go za drzwi, na świeże powietrze. Potem mogła rzucić zapaloną zapałkę do domu i pobiec z Jericho jak najdalej.

- Gdzie mnie zabierasz? - spytał Jericho sennym głosem.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - odpowiedziała Evie. Choć starała się brzmieć swobodnie, jej głos drżał.

Jakby wyczuwając jej plan, drzwi się zatrzasnęły.

- Nie! - Evie kręciła gałką, szarpała ją, ale drzwi się nie poruszyły, nawet kiedy napierała na nie całym ciałem, raz za razem.

Byli uwięzieni. Dom nie chciał ich wypuścić. Jericho wyciągnął rękę.

- Zatańcz ze mną - powiedział chrapliwie.

- Jericho, musimy wyjść. Teraz. Rozumiesz?

- Rozumiem tylko, że cię pragnę.

Zapach nafty był wszędzie. Niewiele trzeba, by całość stanęła w płomieniach z nimi w środku. Świetnie. Jeśli nie udało im się wyjść tędy, spróbuje innej drogi - wyłamię okiennice, rąbnie krzesłem w zamek, cokolwiek, byle tylko się wydostać.

Evie chwyciła Jericho za wyciągniętą rękę i pociągnęła go za sobą. Chichotał - ów dźwięk sprawił, że przeszył ją dreszcz i miała ochotę uciec, pozostawiając za sobą wszystko, łącznie z nim. Dotarła do frontowych drzwi, kiedy usłyszała coś na zewnątrz. Czy ktoś szedł ulicą? Czy gdyby krzyknęła, usłyszałby ją? Podbiegła do okna obok frontowego wejścia, gotowa wyłamać deski gołymi rękami, gdyby okazało się to konieczne.

Pogwizdywanie. Osoba idąca ulicą pogwizdywała znajomą melodię z przeszłości. Evie dostała gęziej skórki.

- Nadchodzi. Musimy się ukryć.

Evie gorączkowo rozejrzała się po pomieszczeniu, obróciła się dookoła. Gdzie? Gdzie mogli się ukryć? A jeśli w tej właśnie chwili Paskudny John wracał do domu, przynosząc ze sobą ostatnią ofiarę? Czy Evie mogła znaleźć w sobie tyle sił, by ukryć się i zaatakować, zanim dokończy swoje makabryczne zadanie? Musiała tylko poczekać i uderzyć, nim nadejdzie kometa. Wtedy dla Johna Hobbesa wszystko się skończy. Zrobi to. Musiała to zrobić. Ale gdzie się ukryć? Światło latarki Evie wędrowało po błyszczących ścianach pokrytych grubą warstwą śluzu.

Pogwizdywanie zbliżało się.

- Słyszysz ich? - wymamrotał Jericho. - Są tutaj. Czekają. Jericho. Musiała go uciszyć. Po lewej było niewielkie pomieszczenie. Evie popchnęła go w jego stronę.

- Wejdz do środka - powiedziała.

Jericho nacisnął klamkę i podłoga zapadła się pod nim. Zniknął w ciemnościach.

- Jericho! Jericho! - krzyknęła Evie w stronę ciemnego otworu.

Nie było odpowiedzi. Czy kłapa prowadziła do piwnicy, jak szyb? Czy leżał tam teraz, na ziemi, ze złamaną nogą albo zmiażdżoną czaszką? Ale gdzie było wejście? Znów wbiegła do dużego holu i zatrzymała się, nasłuchując. Pogwizdywanie ucichło. Jej serce biło tak mocno w klatce żeber, że bała się, że połamią się pod jego naciskiem. Rusz się, Evie, powiedziała sobie, ale strach ją paraliżował. Jak mogła wygrać z tak niewypowiedzianym złem? Przecież gdyby się teraz poddała, wszystko szybko by się skończyło i przynajmniej nie musiałyby patrzeć, jak świat płonie. Dom wzdychał i mruczał wokół niej, jakby wyrażając swoją zgodę.

I nagle to zobaczyła. Pod schodami były drzwi, których nie było wcześniej. Wydawały się śliskie od wilgoci i w ciemnościach błyszczały jak kość.

- Jericho! - zawołała ponownie. - Idę do ciebie. Nie ruszaj się. Dom wstrzymał oddech. Przed oknami od frontu przemknął cień, szybko jak ptasie skrzydło. Był w domu. Nadchodził. Evie pobiegła w stronę drzwi do piwnicy. Gałka przekręciła się bez trudu. Drzwi otworzyły się. Mogła pójść tylko w dół, w głąb terytorium Paskudnego Johna.

Na schodach było ciemno. Evie przesuwiała dłońmi po ścianach, wymacując każdy stopień. Gips był ciepły w dotyku, wilgotny i lepki. Jej serce biło szybko, w głowie szumiało pulsowanie krwi. Dom znów ucichł, co uznała za bardziej przerażające niż szepty. Miała nadzieję, że Jericho nic się nie stało. Zmusiła się do kontynuowania, aż dotarła do poziomej ziemi. Zrobiło się nieznośnie gorąco. Ziemia pod jej stopami wydawała się miękka, nasiąknięta wodą. Ogrzewała podeszwy jej stóp, zmuszając ją do dalszego marszu. Evie ostrożnie

stawiała kroki. Którędy iść? Gdzie jest John Hobbes? Czy powinna włączyć latarkę? Czy też spowita mrokiem była bezpieczniejsza? Co kryło się w potężnej, niepojętej ciemności?

Ściany oddychały. O Boże. Słyszała je. Nie mogła dłużej znieść ciemności. Drżącymi dłońmi włączyła latarkę.

Gdzieś z góry dobiegało ciche, wysokie pogwizdywanie, podobne do dziecinnej rymowanki. Ale ta rymowanka nie nadawała się dla żadnego dziecka.

Rozległ się głos Johna Hobbesa.

- „I pan rzekł głosem jakoby tysiąca aniołów. Pozostała tylko jedenasta ofiara, Zaślubiny Bestii i Niewiasty Obleczonej w Słońce...”. Wiem, że tu jesteś, Pani Słońce. Czuję cię.

Evie próbowała zrozumieć. Nazwał ją Panią Słońce. Ją. Panią Słońce. Niewiastą Obleczoną w Słońce. Paskudny John był w domu. Był w domu, gotów dokończyć przeobrażenie. Szukał jej - jej! Evie zmusiła się do dalszego marszu, omiatała światłem latarki pomieszczenie, szukając Jericho. Pragnęła znaleźć się gdzieś daleko - w nocnym klubie, w Benningtonie lub nawet w nudnej bibliotece muzeum. Głupio uwierzyła, że mogła pokonać zabójcę, ducha, samą Bestię.

Nad jej głową pogwizdywanie ucichło i zaczęła się piosenka:

- „Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma. Poderżnie gardło i kości weźmie, sprzeda za grosze dwa...”.

Strach zmienił Evie w bezużyteczny cień jej samej. Musiała się wydostać. Wydostać. Ruszyła biegiem w stronę niepewnych schodów. Nic jej nie obchodziło - musiała zaryzykować. Pobiec w górę i na zewnątrz. Znaleźć pomoc. Wrzeszczeć na całe gardło, aż cały Nowy Jork ją usłyszy i przybędzie. Ale nie... Jericho. Musiała najpierw odnaleźć Jericho. Może wpadł do środka i znalazł drogę wyjścia.

Powtarzała to sobie, zmuszając się do stawiania kolejnych kroków. Pewnie właśnie teraz biegł po pomoc i już za chwilę drzwi wpadną do środka, a tę przekłętą kryjówkę wypełni policja. Tak, już za chwilę usłyszy, jak Jericho wykrzykuje jej imię. „Evie! Evie! Jesteś bezpieczna. Wychodź!”. Przerażona Evie zaczęła chichotać i musiała zakryć usta dłonią.

Nad jej głową skrzypiały deski podłogi. Serce zabiło jej szybciej. Choć w piwnicy było wilgotno, zaschło jej w gardle i zakrztusiła się. Odgłos kroków na górze był pełen zdecydowania, całkowicie sprzecznego z chaosem w jej krwi. Łup. Łup. Łup. Łup. W wąskiej szparze pod drzwiami na szczycie schodów ujrzała cień.

W umyśle Evie pojawiły się ostre, jednowyrazowe impresje i polecenia. On. Tutaj. Ukryć się. Gdzie? Idź. Już. Gdzie? Nadchodzi. Nadchodzi. W dół. Ukryć się. Gdzie?

Przypomniała sobie ruch powietrza, który poczuła, kiedy przysła do domu z Mabel. Biegiem wróciła do ciemnej piwnicy i uniosła rękę z nadzieją, że znów go poczuje. Jej dłoń musnęła chłodny podmuch. Podążyła za nim do przeciwległej ściany, za paleniskiem. Mogłaby zupełnie przegapić ukryte drzwi, gdyby nie wyciągnęła ręki i nie wymacała pęknięcia. Obmacała je i stłumiła jęk, kiedy nie mogła znaleźć zamka ani klamki, żadnej drogi do środka.

Drzwi piwnicy zaskrzypiały. Kroki na schodach.

A wtedy drzwi przed nią otworzyły się z własnej woli. Ze środka wylewało się światło. Blask księżyca, zrozumiała Evie. To była droga wyjścia. To musiała być droga wyjścia.

Evie przeszła przez wąski przedsionek, który otwierał się na większe pomieszczenie. Jak się zorientowała, światło padało przez otwór wysoko w górze, niewielkie okno, które wyglądało na nocne niebo. Brakujący komin, pomyślała i zadrżała. Samo pomieszczenie nie miało żadnych okien ani drzwi, poza wejściowymi. Miało dziwny kształt, jakby

gwiazdy. W jednym rogu stał stary żelazny piecyk. Malowany pentakl zajmował całą podłogę. Pośrodku ustawiono wielki ołtarz ozdobiony płaskorzeźbą komety. Obracała się powoli, obejmując wzrokiem cały pokój. Na ścianach wymalowano symbole - jeden dla każdej z jedenastu ofiar, każdego z mordów.

Przepełniło ją straszliwe zimno. Jak mogła być taka głupia? Ile razy słyszała to zdanie i się nad nim nie zastanowiła? Było w Księżce Bractwa i w dzienniku Idy Knowles. Podczas transu słyszała, jak wypowiada je pastor Algoode. Nowi uczniowie z Bractwa głosili je przed jarmarkiem. Na zbutwiałych domach w starym obozie na wzgórzu wymalowano dokładnie takie same symbole.

„Przygotujcie ściany swoich domów...”.

To nie wisior, księga ani żaden przedmiot utrzymywał Johna Hobbesa przy życiu. To było miejsce. Pokój. Ten pokój.

Księga Bractwa leżała na ołtarzu, otwarta na karcie jedenastej ofiary. Evie wpatrywała się w rysunek pięknej dziewczyny odzianej w migotliwą złotą szatę. Na czole i wyciągniętych dłoniach miała wymalowane wszechwiedzące oko. Jej pierś była otwarta, a serce znajdowało się w dłoniach Bestii.

To była jego prawdziwa kryjówka. Powód, dla którego kazał Mary White zachować dom. A teraz weszła do niego, prosto w trzewia Bestii. Musiała się natychmiast stąd wydostać. Gdyby okazało się to konieczne, rzuci zapalkę i odeśle Paskudnego Johna do piekła, o ile którekolwiek go przyjmie.

Z głębi piwnicy dobiegał śpiew:

- „Paskudny John, Paskudny John, w fartuchu pracę ma”.

Evie sięgnęła po zapalki w kieszeni. Tak, rzuci zapalkę i ucieknie. Panika sprawiła, że nie myślała jasno. Była

zdesperowana. Przykucnęła jak zwierzę, które wiedziało, że dopadł je wilk.

Nie zemdlej, nie zemdlej, nie zemdlej, cokolwiek zrobisz, nie zemdlej, dziewczyno...

Wilk dotarł do drzwi. Jego cień wpadł do środka. Evie zapaliła drżącymi palcami zapalniczkę i patrzyła, jak płomień gaśnie. Zapalała kolejną i kolejną, bezrozumnie, cały kartonik zapalniczek wypalony. I mimo ostrzeżeń umysł Evie nie współpracował z nią. Wywróciła oczami i nieprzytomna osunęła się na ziemię.

NIEWIASTA ODZIANA W SŁOŃCE

Gwiazdy. To Evie zobaczyła na początku. Nad jej głową niebo migotało fałszywą nadzieją gwiazd. Głowa bolała ją w miejscu, którym uderzyła nią o podłogę. W ustach czuła posmak krwi.

- A, obudziłaś się. Dobrze.

Evie skupiła wzrok na Johnie Hobbesie. Był potężnym mężczyzną z gęstymi wąsami. Zdjął koszulę i wyraźnie widziała piętna pokrywające jego pierś, plecy i ramiona jak koszmarny gobelin. „Namaśćcie swe ciała...”.

I te same oczy, które widziała wcześniej, lodowate i niebieskie.

- Jak to miło z twojej strony, że do mnie przyszałaś. Oszczędziłaś mi konieczności pójścia po ciebie. - Zamigotał przed nią jak wosk ze świecy, niestabilny, lecz wciąż zdolny zapłonąć.

- Jericho! - krzyknęła Evie. - Jericho!

Na twarzy Paskudnego Johna pojawił się uśmiech.

- Twój towarzysz obecnie nie czuje się najlepiej - powiedział, a Evie bała się spytać, co to znaczy.

Usiadła i ze zdziwieniem zorientowała się, że może zrobić to swobodnie.

- A po co więzy? - spytał, jakby mógł czytać w jej myślach. Evie zdrętwiała ze strachu.

- Dlaczego? - spytała. Tylko tyle udało jej się wykrztusić, przerażenie ograniczało jej zdolność mówienia.

- Dlaczego? - powtórzył John Hobbes, jakby ona była bezczelnym dzieckiem, a on jej zirytowanym, lecz cierpliwym nauczycielem. - Dlaczego miałbym pozwolić, by ten świat istniał dalej? Jest pełen grzechu, występku i wszelkiego rodzaju zepsucia. Potrzebuje nowego boga, by nim pokierował, Pani Słońce.

- Nie jestem twoją Panią Słońce - wyszeptała.

John Hobbes wyciągnął mały kawałek materiału z jej brokatowego płaszczyka.

- Niewiasta Odziana w Słońce.

Uśmiechnął się, a wtedy Evie poczuła pulsowanie krwi w głowie. Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki i patrząc, co mogłaby wykorzystać na swoją korzyść. Serce zabiło jej szybciej, gdy zorientowała się, że drzwi są lekko uchylone. Rzuciła się naprzód, lecz one, jakby wyczuwając jej plan, zatrzasnęły się przed nią. Waliła w nie pięściami.

- „I rzekł Pan, niech Bestia złączy się z Niewiastą Odzianą w Słońce. Namaść jej ciało, jak i swoje”.

John Hobbes podszedł do piecyka. Wystawały z niego żelaza do piętnowania, a ich symbole rozgrzewały się do czerwoności na węglach.

- Ja... ja... - Strach sprawił, że Evie krztusiła się słowami. Myśl, Evie. Miała zamiar spalić dom i Paskudnego Johna wraz z nim, ale ten plan się nie powiódł. Potrzebowała nowego planu. Will powiedział, że muszą związać jego ducha ze świętym przedmiotem, takim jak naszyjnik, a później wypowiedzieć słowa i zniszczyć ten przedmiot. Ale co miała pod ręką? Rozglądała się gorączkowo, szukając czegokolwiek, jakiegoś przedmiotu, który mogłaby wykorzystać.

- Ten pokój jest twoją siłą, tak? „Przygotujcie ściany swoich domów”. Czyż nie tak? Co się stanie, jeśli zniszczę te ściany? Jak się wtedy objawisz? - spytała, grając na zwłokę.

- Na to już za późno. Kometa jest prawie nad nami. Jeszcze trzy minuty. Zostaniesz moją narzeczoną, a twoje serce zapewni mi nieśmiertelność. I będziesz żyła dalej, jak wierni. Nadszedł czas, moje Bractwo.

Błyszczące ściany odetchnęły. Wydęły się jak membrana i Evie widziała przyciśnięte do nich twarze i dłonie. Zatoczyła się do tyłu w stronę ołtarza, gdy ciała przepchnęły się na drugą stronę i pomieszczenie wypełnili puści zmarli z Bractwa -

żywe trupy z poparzoną skórą, miejscami wypaloną aż do kości. Szkieletowe twarze bez oczu. Bez ust. Wierni. Przeklęci. Gotowi na ostatnie poświęcenie, ostatnią ofiarę. Nie zatrzymają się, dopóki jej serce nie zostanie wyrwane z piersi i Bestia nie stanie się kompletna.

- Są tutaj ze mną. Wybrańcy z Bractwa, poświęceni w pierwszej z jedenastu ofiar. Niech to będzie miłe Panu!

Z odgłosem jak wiatr wyjący nad Bractwem, wierni odpowiedzieli:

- Amen, amen, amen...

- Żądają hołdu za swoje poświęcenie. I dostaną go.

Martwi z Bractwa zbliżali się do niej. Szli po nią. Evie wyprzedziła Johna Hobbesa i podniosła żelazo z piecyka. Poparzyło jej dłoń i upuściła je z krzykiem. Owinęła rąbkiem spódnicy żelazny uchwyt i znów podniosła piętno, unosząc je przed sobą. Jej dłoń drżała.

- W tym naczyniu, wiązę t - twójego ducha. Ogniewi p - polecam...

Nie pamiętała słów.

W śmiechu Johna Hobbesa było całe okrucieństwo dziecka uradowanego swoją władzą, kiedy zgmiotło butem owada.

- To musi być święta relikwia! Jedynie pobłogosławiony przedmiot może utrzymać ducha.

- Jericho! - krzyknęła znowu, choć wiedziała, że to nie ma sensu. Rzuciła żelazem do piętnowania w ścianę, a ono upadło na ziemię.

- Nieważne. Mogę namaścić twoje ciało, kiedy będziesz już martwa.

Evie uniosła rękę do piersi, jakby to mogło wystarczyć, by powstrzymać Bestię i jego wiernych przed wyrwaniem jej serca. Palcami musnęła krawędź wisiora z półdolarówki, chwyciła go i zacisnęła na nim dłoń jak przerażone dziecko.

Martwi z Bractwa, wcale nie niemi, otworzyli usta i podnieśli taki hałas, że Evie przeszedł dreszcz. Ich usta się rozchyliły i zwymiotowali czarną oleistą substancję, która spadała na ziemię jak rzeka węży. Wspinała się po nogach Johna Hobbesa, gdzie łączyła się z piętnami na jego skórze. Przykryła go jak pancerz, a później została wchłonięta.

- Patrz na moją postać i bądź zadziwiona!

Wyciągnął ręce, odrzucił głowę do tyłu i wydał okrzyk udręki lub ekstazy. Jego ciało zafalowało, jakby coś próbowało się wyrwać z jego wnętrza. Evie wpatrywała się w przerażeniu w wykrzywioną twarz Johna Hobbesa. Jego wargi wygięły się w okrutnym grymasie. Zęby stały się długie i ostre jak brzytwa, a paznokcie zmieniły się w szpony. Z pleców wyrosły skrzydła, białe jak owcze runo. Pokój wypełniło światło. Przed jej oczami przeobrażał się w doskonałą, straszliwą postać. Od tego widoku bolały ją oczy. Potrzebował już tylko jej serca.

- Pan nie zniesie żadnej słabości pośród swoich wybranych! - powiedział Bestia.

Jego głos był jak tysiąc głosów mówiących jednocześnie, demoniczna symfonia.

Evie na chwilę opuściła wola walki. Nie dało się walczyć ze złem tak wielkim, tak doskonałym. Mogła się jedynie poddać. Niech już będzie po wszystkim. Nocne niebo widziane przez niewielki otwór zaczęło się rozjaśniać - Kometa Salomona zgodnie z przepowiednią powróciła na niebo. Jałowość walki ciążyła Evie jak kamień na grobie.

- Kometa jest niemal nad nami - ogłosił John Hobbes.

Jego dłoń kończyła się szponami, wystarczająco ostrymi, by ją otworzyć. Będzie jak wszyscy pozostali. Ruta Badowski w zniszczonych pantoflach do tańca. Tommy Duffy, z brudem po ostatniej rozgrywce bejsbolowej nadal pod paznokciami. Gabriel Johnson, zabrany w najlepszym dniu swojego życia.

Albo nawet Mary White, czekająca na przyszłość, która nigdy nie nadeszła. Będzie jak ci wszyscy śliczni, zadbani chłopcy, którzy wymaszerowali na wojnę z bronią u boku, obiecując dziewczętom, że wrócą do domu na Gwiazdkę, a na ich twarzach malowała się ekscytacja. Mieli powrócić do domu jako mężczyźni, bohaterowie opowiadający o swoich przygodach, jak to spuścili wrogom lanie i znów umieścili świat na właściwych torach, wcisnęli w równe linie podziału na tak i nie. Czarny i biały. Dobro i zło. Tu i tam. My i oni. Miast tego ginęli zaplątani w drut kolczasty we Flandrii, wypaleni przez gorączkę na froncie zachodnim, rozerwani na kawałki na ziemi niczyjej, wijąc się w okopach z uśmiechami na twarzy, co zawdzięczali fosgenowi, chlorowi albo gazowi musztardowemu. Niektórzy wracali do domu z nerwicą frontową, z drżącymi rękami, mrugając i mamrocząc pod nosem, wypełniając rozkazy osobistej wojny, która rozgrywała się w ich umysłach. Albo, jak James, po prostu znikali, oddelegowani do ksiązek historycznych, których nikomu nie chciało się czytać, a ich medale lądowały w zamkniętych komodach. Zwyczajne pionki poruszane niewidzialnymi dłońmi we wszechświecie, który znudził się sam sobą.

I oto była, kolejny pionek. Evie miała ochotę się rozpłakać. Ze strachu. Owszem, z wyczerpania. Ale głównie z okrutnego poczucia bezużyteczności, przeklętej głupiej arbitralności tego wszystkiego.

- „Potem wielki znak się ukazał na niebie, na którym ogień płonął, niewiasta obleczona w słońce, a na jej głowie wieniec z gwiazd. Zaś jej serce było darem dla Bestii, sercem świata, które miał pożreć, by stać się kompletnym i przez tysiąc lat chodzić po ziemi...”.

Póldolarówka ocierała się o dłoń Evie, która pomyślała o Jamesie, a wtedy w jej głowie pojawiła się koszmar, rozpaczliwa myśl. Nie. Nie mogła. Musiało być coś innego.

Umarli się zbliżali. Szli po nią.

Evie zdjęła z drzeniem naszyjnik i uniosła go przed sobą.

- W tym naczyniu więzę t - twojego d - ducha...

Trzęsa się tak bardzo, że bała się, że nie uda jej się wypowiedzieć słów.

Martwi wciąż się zbliżali. Widziała teraz jedynie puste oczodoły w ciemnych twarzach. Martwe białe palce wyciągnięte do niej. Pociemniałe usta, z których na policzki wypływała czarna posoka.

- Ogniovi polecam twojego ducha - powiedziała Evie nieco głośnie.

W jej stronę wyciągnęły się ręce. Martwe palce dotykały jej stóp, a ona z krzykiem odepchnęła je kopniakami. Starła się przy tym nie stracić równowagi i nie wpaść w tłum przeklętych.

Zrobiło się jaśniej. Ile jeszcze zostało do komety? Minuta? Trzydzieści sekund?

Wycie i syczenie Bractwa było ogłuszające. Mówili tysiącem języków. Jednakże pod kakofonią słyszała jęki. Pod wściekłością wyczuwała ich strach. Ich pełne nacisku, nakładające się warczenie odbijało się od ścian.

- Zabij ją, zabij ją, zabij ją. Jesteś Bestią, Bestią, Bestią. Bestia musi powstać...

- Ta moneta nie jest świętą relikwią, Pani Słońce - zaszydził John Hobbes.

Evie mocno zacisnęła dłoń na póldolarówce, czując jej krawędź wbijającą się w dłoń, co uspokajało, lecz i bolało. Jedyna fizyczna więź z jej bratem.

- Dla mnie jest - wychrypiała i po chwili krzyknęła: - W ciemność rzucam cię, Bestio, byś nigdy nie powrócił!

Dusze Bractwa krzyknęły. Ogień lizał ściany. Wyglądało to tak, jakby nagle ożył makabryczny obraz. Bractwo krzychało, gdy po raz kolejny pochłaniały je płomienie. Zamknęła oczy. Wisiorek trząsał się gwałtownie w jej dłoni. Syczenie ucichło, zastąpione przez mrozącą krew w żyłach symfonię krzyków i jęków, gardłowego warczenia i szczekania, dźwięków, których nie umiała i nie chciała rozpoznać. Poczła dym. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, jak wrzeszczące dusze Bractwa są wciągane w ściany, otoczone płomieniami sprzed lat.

Paskudny John pozostał. Dzięki dziesięciu ofiarom stał się silniejszy. Być może zbyt silny, by go powstrzymać. A Evie bała się, że cokolwiek miała, to było zbyt mało.

- Rozerwę cię na strzępy - warknął, rzucając się na nią. Evie uniosła monetę.

- W tym naczyniu...! - krzyknęła.

Jego postać zamigotała, ciało przeszła seria paroksyzmów, które Evie wydawały się bardzo bolesne. Z kącików jego ust płynęła czarna krew. Zęby obluzowały się i zaczęły wypadać. Potężne szpony cofnęły się.

- Wiążę t - twojego... - Zadziwienie sprawiło, że zapomniała słów.

- Zniszcz mnie, a nigdy nie dowiesz się, co się stało. Ani co nadejdzie - wykrztusił John.

Chciał odwrócić jej uwagę. Sztuczka. Oszustwo. - W tym naczyniu wiążę twojego ducha... John Hobbes krzyknął. Padł na kolana. Jego skóra poruszała się, jakby pod spodem kłębiły się szczury.

- Nigdy się nie dowiesz... o bracie - powiedział. Evie zrobiło się zimno.

- Co z moim bratem?

Zachichotał, jednak chichot szybko przeszedł w kaszel. Kilka kropelek czarnej krwi padło na twarz Evie, która z trudem powstrzymała krzyk.

- Co z moim bratem?! - wykrzyknęła.
- Nie masz pojęcia... co zostało... uwolnione.
- O co ci chodzi?

John Hobbes wyszczerzył się. Na resztkach zębów miał plamy krwi.

- Zapytaj... Jamesa.

Jego skrzydła niemal przewróciły Evie, która upuściła wisiołek. Z krzykiem rzuciła się w jego stronę, ale on też, i jego dłoń była szybsza. Szarpali się, Bestia zyskiwał przewagę. Był nad nią, a kometa znajdowała się tak blisko. Spomiędzy skóry na jego palcu wskazującym wyłonił się pazur, a później drugi na środkowym - dość, by ją rozciąć, by zabrać jej serce.

Evie położyła dłoń na monecie z drugiej strony, zmuszając się do dotknięcia jego palców.

- W tym naczyniu więzę twojego ducha. Ogniovi polecam twojego ducha. W ciemność...

- Tracisz...

- Rzucam cię, Bestio, byś nigdy nie powrócił! - dokończyła Evie.

W niebieskich oczach Johna Hobbesa po raz pierwszy pojawił się prawdziwy strach, gdy Kometa Salomona zapłonęła nad nimi, a jego postać została wciągnięta w półdolarówkę, która zatrzęsała się i rozgrzała do czerwoności w dłoni Evie, aż dziewczyna była zmuszona ją upuścić. Z jej środka wystrzeliła wielka kolumna ognia, która połączyła się z kometą, jasna jak wybuch. Równie szybko kometa zniknęła, podobnie jak wisiołek, który zmienił się w garść popiołu. Nocne niebo pociemniało. W mgiełce ukazały się gwiazdy.

Evie usłyszała kolejny syk i podniosła się. Z poczerniałych ścian wystrzeliły płomienie i tym razem nie było to odległe wspomnienie. To był prawdziwy ogień. Gorąco sprawiało, że piekły ją oczy, że z trudem mogła zaczerpnąć tchu bez kaszlu, i znów zaczęła panikować. Jak miała się wydostać? Co powinna zrobić? Przez chwilę stała nieruchomo, odrętwiała ze strachu i grozy całego wieczoru. Spojrzała na niebo, jakby czekała, aż podejmie decyzję za nią. Gęsty czarny dym unosił się, zasłaniając gwiazdy. Nie. Nie zaszła tak daleko, nie poświęciła tego, co znaczyło dla niej najwięcej, by się teraz poddać. Sufit ugiął się, zaczęły opadać z niego kawałki tynku. Z niemal zwierzęcym rykiem Evie rzuciła się w stronę drzwi, unosząc rękę dla osłony przed ognistymi iskrami. Przebiegła przez piwnicę i na drżących nogach wspięła się po schodach, wołając Jericho.

- Evie? Evie!

Na dźwięk jego głosu poczuła nową nadzieję.

- Jericho? Wołaj dalej!

Podążyła za jego głosem do pokoju, w którym spadł przez podłogę. Złapała latarkę i poświeciła do środka. Nie było tak głęboko, teraz to widziała. Kiedy spadał, musiał uderzyć się w głowę. Opuściła rękę do otworu, i to wystarczyło, by go dosięgnąć.

- Musimy spadać. I to szybko - wychrypiała.

- Co się stało z...? - Przetarł oczy.

- Odszedł - powiedziała. - To już koniec.

Deski pękały. Okna rozpadały się, zasypując ich odłamkami szkła. Dom trząsł się na fundamentach, osiadając w pożarze, jakby miał zamiar zabrać ze sobą wszystko i wszystkich. Evie i Jericho pobiegli do kuchni.

- Dlaczego zapaliłeś zapałkę?! - wrzasnęła Evie.

- Nie zrobiłem tego! - przysięgał Jericho.

Kuchenne drzwi nie chciały ustąpić. Evie gorączkowo szarpała klamkę. Jericho napał na nie całym ciałem, ale zamek wciąż trzymał. Dziewczyna wrzasnęła, kiedy dach się zapadł i drzwi w końcu się otworzyły. Nie czekając, chwyciła Jericho za rękę, pociągnęła go na drugą stronę i razem pobiegli przez trawnik w stronę ulicy. Za ich plecami dom się rozpadał.

Straż pożarna skierowała sikawki na dymiące ruiny Knowles' End, które zapadło się w ostatnim ukłonie. Nie dało się go uratować. W końcu jeszcze przed śmiercią Johna Hobbesa oblali go naftą.

Evie siedziała na krawężniku, z kocem na ramionach, i patrzyła jak płonie. Jericho nie chciał pomocy lekarza, twierdził, że nic mu nie dolega. Usiadł obok niej, wciąż miał nieco niewyraźne spojrzenie. Na ulicy stał tłum gapiów. Część dzieciaków próbowała podejść bliżej, przyciągana przez płomienie i zamieszanie, ale matki kazały im zachować bezpieczną odległość.

Evie wiedziała, że już nigdy nie uwierzy w bezpieczną odległość.

- Płaczesz - powiedział Jericho.

- Naprawdę? - odpowiedziała słabo Evie. - Co za głupota. Uniosła dłoń do pustego miejsca na szyi i zapłakała.

LUDZIE UWIERZĄ WE WSZYSTKO

Will siedział w małym zawilgoconym pokoju przesłuchań i opierał głowę na rękach. Zegar pokazywał piątą po południu. Drzwi otworzyły się i Malloy usadowił się na krześle naprzeciwko.

- Zabraliśmy twoją siostrzenicę i asystenta spod starego domu Knowlesów.

- Czy ona...

- Nic się jej nie stało. Dom spłonął do szczytu, ale jej się nic nie stało. - Malloy milczał odrobinę za długo. - Przysięga, że walczyła z zabójcą, duchem Paskudnego Johna Hobbesa, który wrócił do życia.

Will wpatrywał się w dłonie i nic nie mówił.

- To naprawdę cholernie dziwne, ale ten wisior, który wykopaliście? Cóż, kiedy chłopcy poszli, żeby usunąć go z dowodów, okazało się, że została po nim garść popiołu. Najdziwniejsza rzecz, jaką widzieli. Pewnie o tym też nic nie wiesz? Will zachował milczenie.

- Miałem też wieści od chłopaków z Bractwa. Tam również był wczoraj pożar. Zaczął się, kiedy przelatowała kometa, czyli w tej samej chwili, co pożar Knowles' End. W tych lasach wcale nie było sucho, wręcz przeciwnie, ostatnio padało przez cały dzień. Podpalenie to też nie było. Nie, wygląda na to, że stare obozowisko w lesie, i tylko stare obozowisko w lesie, w jednej chwili spłonęło w całości. Nic nie pozostało. Nawet jeden kamień czy kawałek drewna. - Malloy pochylił się. Worki pod jego oczami były większe niż zazwyczaj. - Will, co tu się dzieje?

Will w końcu podniósł wzrok.

- A co chcesz, żebym ci powiedział?

Wydawało się, że Malloy rozważa to przez dłuższą chwilę, aż w końcu westchnął.

- Nic - powiedział. - Nie wiem i nie chcę wiedzieć, Fitz. Chciałbym za dziesięć lat przejść na emeryturę, więc to ja ci powiem, co się stało. Miasto dowie się tylko, że Pentaklowy Zabójca został zastrzelony i spłonął w pożarze, a jego tożsamość pozostaje nieznana. Został zabity przez jednego z naszych mundurowych. Oficer Lyga zasługuje na awans. To dobry człowiek. Teraz będzie bohaterem. Bohaterowie są potrzebni. Bohaterowie sprawiają, że ludzie śpią spokojniej. Taka jest historia. Rozumiesz?

- Myślisz, że ludzie w to uwierzą?

- Ludzie uwierzą we wszystko, o ile będzie to oznaczało, że mogą dalej żyć i nie muszą się zbytnio zastanawiać. - Malloy wstał i otworzył drzwi. - Jesteś wolny.

W drzwiach położył dłoń na ramieniu Willa.

- Will, co się dzieje?

- Odpocznij, Terrence.

- Nie chcę zostać twoim wrogiem, Will! - zawołał za nim Malloy.

Will wędrował labiryntem korytarzy posterunku. Minął pomieszczenie o szklanych ścianach z na wpół opuszczonymi roletami. Wewnątrz dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach czekało na rozmowę z komendantem. Obaj siedzieli spokojnie, jakby byli przyzwyczajeni, że zawsze stawiają na swoim, i to spotkanie miało wyglądać tak samo.

Will pobladł i przyśpieszył kroku. Wyszedł z posterunku na mglisty poranek. Rzucił dwa centy gazeciarzowi i przeczytał artykuł o śmierci Pentaklowego Zabójcy, któremu towarzyszyło upozowane zdjęcie oficera Lygi przy amerykańskiej fladze i nagłówek BOHATERSKI POLICJANT ZAPEWNIŁ BEZPIECZEŃSTWO MIASTU. Szybko działali. Żadnej wzmianki o Willu i muzeum. Will zostawił gazetę na pobliskiej ławce i wcisnął ręce w kieszenie spodni, by ukryć ich drżenie.

Memphis zaczekał, aż ciotka Octavia uśnie, po czym zamknął drzwi do sypialni, w której spał Isaiah, i przekradł się do niego. Wpatrywał się w dłonie. Minęły trzy lata od czasu, kiedy próbował wyleczyć matkę i poczuł nacisk duchów pośród wielkiego trzepotu skrzydeł. Może na zawsze utracił dar uzdrawiania? Miał już dość bycia zbyt przerażonym, by spróbować.

Memphis ukląkł przy łóżku. Pomyślał o modlitwie, ale o co by się modlił? Czy prosił Boga o pomoc, czy o przebaczenie? Nie był pewien, czy w nie wierzył, więc nic nie powiedział, tylko położył dłonie na ciele brata i zaczął myśleć o uzdrawianiu. Kiedy tak klęczał przy bracie, nic nie czuł. Żadnego śladu ciepła. Żadnego zapachu kwiatów, zanim został przeniesiony do świata duchów i dziwnych widoków.

- Nie poddam się, do diabła - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Słyszysz mnie? Nie poddam się!

Memphis odetchnął głęboko. Zaczęło się jako drzenie palców. Później znajome ciepło wypełniło jego żyły jakby ktoś nagle odkręcił kran. I nim zdążył pomyśleć, został wciągnięty do cienistej krainy pomiędzy światami. Wokół siebie czuł nacisk duchów, ich dłonie delikatnie spoczywające na jego rękach, ramionach, wielki łańcuch uzdrawiania. Usłyszał głos matki, cichy i łagodny:

- Memphisie.

Miała na sobie płaszcz migoczący jak tafla jeziora w blasku księżyca. Nie wydawała się chora i wychudzona jak ostatnim razem, kiedy ją widział. Była śliczna, choć nieco poważna. To była jego matka w tym miejscu i chciał do niej podbiec.

- Nie mamy dużo czasu, synu.

- Mamo? Czy to ty?

- Muszę ci to powiedzieć, póki mogę. Zostaniesz wezwany do wielkich wyborów i wielkich poświęceń -

powiedziała. - Wszyscy są potrzebni, ale tylko ty możesz zdecydować, jaka jest właściwa ścieżka. Nadchodzi burza, a ty musisz być gotów.

- A co z Isaiąhem? Matka nie odpowiedziała.

- Jest coś, czego nigdy ci nie powiedziałam. Coś, co powinnam była ci powiedzieć...

Uspokajające duchy zniknęły. Stali na rozstajnych drogach z jego snu. W pewnej odległości widział dom i sękatę drzewo.

Na niebie kłębiły się ciemne chmury przetykane blaskiem błyskawic. Matka spojrzała na niebo ze strachem. Zerwał się gwałtowny wiatr, unosząc pył.

- Niczego nie możesz sprowadzić z powrotem, Memphisie. Jeśli odeszło, to odeszło. Obiecuj mi!

Ogarnęła ją chmura kurzu.

- Mamo, uciekaj!

- Obiecuj mi!

Memphis zataczał się na drodze, próbując prześcignąć duszący pył. Widział, jak na polu po prawej pszenica czernieje, gdy przechodzi przez nią chudy mężczyzna w ponurym płaszczu i cylindrze. Przed Memphisem przeleciał kruk.

Trans został przerwany. Memphis upadł na podłogę z głośnym hukiem. Był mokry od potu i trzął się. Trafił do leczącego miejsca. Widział w tym świecie swoją matkę.

- Memphisie. Co robisz na podłodze?

Isaiah obudził się i patrzył na niego rozespany, jakby to był zwyczajny ranek.

- Isaiah? - wykrztusił Memphis. - Isaiah?

- Tak się nazywam. Zachowujesz się dziwnie - powiedział chłopiec. - Pić mi się chce.

Jego brat został uzdrowiony. Został uzdrowiony, a dokonał tego Memphis. Jego dłonie wciąż mrowiły. Nie

utracił daru, on powrócił. Memphis wziął brata w ramiona i rozplakał się.

- Co się dzieje?

- Nic. Nic, mały. Wszystko dobrze.

- Ale nadal chce mi się pić.

- Przyniosę ci coś do picia. Zostań tutaj. Nie idź sobie gdzieś.

- Nigdzie - poprawił sennie Isaiah.

- To też.

Memphis pobiegł do kuchni i wsunął szklankę pod kran, złościąc się, że woda nalewa się tak powoli.

- Dziękuję - powiedział, choć nie wiedział do kogo i dlaczego.

Zakręcił wodę i pośpieszył do Isaiaha.

Za oknem w kuchni chmury przeszła błyskawica. Kruk przyglądał się w milczeniu.

NADCHODZĄCA BURZA

Evie, Theta i Mabel wyszły na słoneczne, rześkie popołudnie. Był to piękny, bezchmurny dzień, powietrze wydawało się jak nowo narodzone, a Evie poczuła nagłe pragnienie zakupu nowego kapelusza. Minęły cztery dni od kiedy w tamtym małym pomieszczeniu stawiała czoło Johnowi Hobbesowi, Bestii. Cztery dni, od kiedy uwięziła jego duszę w swojej najświętszej relikwii i oddała ją, by uratować ich wszystkich. Jej ręka wciąż sięgała do nagiej szyi pod szalem, brakowało jej tego ciężaru. Od tego czasu ani razu nic się jej nie śniło, ale próbowała o tym nie myśleć. Próbowana nie myśleć o niczym. Właściwie nie rozmawiała z wujem Willem o tamtej nocy. Wydawał się jeszcze bardziej odległy niż wcześniej, zamykał się ze swoimi książkami i wycinkami prasowymi, aż sam prawie zmienił się w ducha. Postanowiła, że później zapyta go o Wróżbiarzy. Zapyta go, jak może się zorientować, czy istnieją inni, podobni do niej, i jak mogłaby uczynić swoją moc silniejszą, lepiej nad nią panować. Tak wiele chciała się dowiedzieć. Ale to wszystko mogło poczekać. Na razie wraz z Mabel i Thetą jechały tramwajem do znanego tancerce kapelusznika, gdzie Evie miała zamiar kupić nowy kapelusik bez ronda ozdobiony wstążką ze skomplikowaną kokardą, sygnalizującą, że jest wolna i zainteresowana propozycjami. To było ich miasto. To był ich czas. Obiecywała Mabel, że będą żyły pełnią życia, i miała zamiar w końcu spełnić tę obietnicę.

Tramwaj zatrzymał się na światłach, a zanim ruszył, uchwytów po jego zewnętrznej stronie, na wysokości ramion Evie, złapał się Sam.

- Witam moje panie - powiedział.

- Sam! Złaź! - odparła ostro Evie.

Chłopak obejrzał się za siebie na szybko poruszającą się ulicę.

- To mi się wydaje kiepskim pomysłem.

- Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że wypuścili cię z Tombs.

- Możesz przypisać to mojemu urokowi osobistemu, siostró. Udało mi się też wydostać parę kajdanek. - Jego uśmiech sugerował coś nieprzyzwoitego i Evie przewróciła oczami. - Chciałem ci tylko dać znać, że nie będzie mnie przez parę dni - powiedział.

- Założę czarny welon i przeplącę całą noc. Theta i Mabel zaczęły chichotać i odwróciły się.

- Będziesz za mną tęsknić. Wiem to, siostró. - Posłał jej jeden z tych drapieżnych uśmiechów.

- Ej! - zawołał konduktor. - Złaź stamtąd!

- Sam, pakujesz się w kłopoty! Chłopak wyszczerzył się.

- Ech, kochanie, ja kocham kłopoty!

- Może zejdziesz, zanim się zabijesz?

- Przejmujesz się moim dobrostanem?

- Złaź.

Sam zeskoczył z tramwaju, niemal przewracając kobietę popychającą wózek.

- Przepraszam panią.

Otrzepał ręce i zawołał za nimi:

- Pewnego dnia, Evie O'Neill, zakochasz się we mnie na zabój!

- Nie wstrzymuj oddechu!

Sam udał, że strzała przebija mu serce i upadł. Evie roześmiała się.

- Idiota.

Theta uniosła brwi.

- Ten chłopak naprawdę się w tobie zabijał, Evie. Evie przewróciła oczami.

- Nie żartuj. To nie ma nic wspólnego ze mną. Ten chłopak pragnie tylko tego, czego nie może mieć.

Theta spojrzała na jasne światła Broadwayu, ozywające w zapadającym zmroku.

- To tak jak my wszyscy, czyż nie?

Nim Evie dotarła do muzeum, było już ciemno i wszyscy zwiedzający wyszli. Nucąc melodię, którą usłyszała w radio, rzuciła szal, płaszcz i torebkę na krzesło i ruszyła do biblioteki. Drzwi były lekko uchylone i ze środka dobiegał głos kobiety.

- Nadchodzi burza, Will. Czy jesteś gotów, czy nie, nadchodzi.

- A jeśli się mylisz? - spytał Will. Wydawał się zdenerwowany.

- Naprawdę sądzisz, że to pojedyncze wydarzenie? Czytasz gazety tak samo jak ja. Widziałeś znaki.

Rozmowa przycichła i Evie przybliżyła się, by ją podsłuchać.

- Mówiłam ci wtedy, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- Próbowałem, Margaret. Przecież wiesz.

Musieli gdzieś przejść. Dźwięki stały się stłumione i Evie słyszała tylko pojedyncze słowa i frazy. „Bezpieczna przystań”. „Wróżbiarze”. „Będą potrzebni”.

Evie nachyliła się, wyęzając słuch.

- A co z twoją siostrzenicą? Wiesz, kim jest. Musisz ją przygotować.

Serce dziewczyny zabiło szybciej.

- Nie. Absolutnie nie.

- Powiesz jej albo ja to zrobię.

Nie mogąc tego dłużej znieść, Evie wpadła do środka.

- Powiesz mi co?

- Evie! - Will upuścił papierosy. - To prywatna rozmowa.

- Usłyszałam, że rozmawiacie o mnie.

Dziewczyna odwróciła się do wysokiej, imponującej kobiety stojącej przy biurku Willa. To była ta sama kobieta, która odwiedziła ich przed prawie dwoma tygodniami i zostawiła wizytówkę. Ta, której Will rzekomo nie znał.

- Czego on mi nie mówi?

- Panna Walker właśnie wychodziła.

Will posłał kobiecie ostrzegawcze spojrzenie, a ona pokręciła głową - Evie nie była pewna, czy z rezygnacją, czy dezaprobatą.

- Pewnie tak. - Kobieta założyła kapelusz. - Znam drogę do wyjścia. Nadchodzi burza, Will, czy jesteś gotów, czy nie - powtórzyła i majestatycznym krokiem wyszła z biblioteki.

Evie zaczekała, aż usłyszy szybki stukot obcasów na marmurowej posadzce, po czym odwróciła się do Willa.

- Kim jest ta kobieta?

- Nie twoja sprawa.

Will zapalił papierosa, ale Evie wyrwała mu go z palców i gwałtownym ruchem zgasiła w popielniczce.

- Ale mówiła o mnie! Chcę wiedzieć, dlaczego - spytała ostro Evie. - I mówiłeś wcześniej, że jej nie znasz!

Will przez chwilę wahał się przy biurku, i wydawał się przy tym całkowicie zagubiony. Później jednak powróciło opanowanie uczonego i znów był nieskazitelnym Willem Fitzgeraldem. Udawał, że poprawia rzeczy na biurku, nadając im pozory uporządkowania.

- Evie, dużo myślałem. Byłoby najlepiej, gdybyś wróciła do Ohio.

Dziewczyna zatoczyła się, jakby ktoś ją uderzył.

- Co takiego? Ale wujaszku, obiecywałeś...

- Że będziesz mogła na trochę zostać, owszem. Evie, jestem starym kawalerem, mam swoje przyzwyczajenia. Nie nadaję się do opieki nad dziewczynką...

- Mam siedemnaście lat! - wrzasnęła.

- Mimo wszystko.
- Nie rozwiązałbyś tej sprawy beze mnie.
- Wiem. I próbuję wybaczyć sam sobie, że cię w to zamieszałem.

Will opadł na fotel. Nie był przyzwyczajony do siedzenia bez ruchu i wydawało się, że nie wie, co zrobić z rękami. W końcu oparł je na podłokietnikach, jakby był Lincolnem pozującym do pomnika.

- Ale... dlaczego? - spytała Evie.

Stała przed nim żałośnie jak uczennica błagająca dyrektora szkoły o jeszcze jedną szansę. Nienawidziła się za to.

- Ponieważ... - zaczął mówić Will. - Ponieważ tutaj nie jest bezpiecznie.

Evie czuła, że zaraz rozplacze się ze złości. Jej głos drżał.

- Dlaczego nie powiesz mi, co się dzieje?

- Musisz mi zaufać, Evie. Im mniej wiesz, tym lepiej. To dla twojego dobra.

- Mam już serdecznie dosyć tego, że wszyscy inni decydują, co jest dla mnie dobre.

- Na tym świecie są pewni ludzie, Evie. Nie wiesz, do czego są zdolni.

Na pomalowanych tuszem rzęsach Evie zawisły łzy.

- Obiecałeś mi, że będę mogła zostać.

- I dotrzymałem tej obietnicy. Sprawa została zakończona. Czas wracać do domu - powiedział Will najłagodniej jak umiał.

Pomogła mu rozwiązać tę sprawę. Zniosła bóle głowy i krwawą bitwę z Johnem Hobbesem i widmowym zgromadzeniem w tej śmierdzącej dziurze. Oddała jedyną rzecz, która się dla niej liczyła - talizman z półdolarówki i szansę, by dowiedzieć się, co się stało z Jamesem - żeby doprowadzić ją do końca. I taka była jej nagroda? To niesprawiedliwe. Bardzo niesprawiedliwe.

- Znienawidzę cię na zawsze - wyszeptała, przegrywając walkę ze łzami.

- Wiem - odpowiedział cicho Will. Jericho zajrzał do środka.

- Will. Powinieneś to zobaczyć.

Na schodach muzeum zebrali się dziennikarze. Wydawali się źli, znudzeni i gotowi na historię zawierającą krew. Pentaklowy Zabójca nakręcał im sprzedaż i pewnie z trudem z niego zrezygnowali. Z przodu stał sam T.S Woodhouse.

- Ja się tym zajmę. - Will wyszedł do dziennikarzy. - Panowie i panie. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Jeśli marzycie o odwiedzinach w muzeum, otwieramy jutro o dziesiątej trzydzieści.

- Panie Fitzgerald! Hej, Fitz, tutaj!. - Reporterzy się przekrzykiwali.

- Czy doszedł pan już do siebie po aresztowaniu?

- Tak, profesorze, dlaczego zabrali pana do ciupy? Sprzątnął pan kogoś?

- Co może nam pan powiedzieć o Pentaklowym Zabójcy?

- Jest jakaś prawda w pogłoskach, że był w tym pewien element nadnaturalny? Jakieś czary - mary? - spytał T.S. Woodhouse.

Will uniósł ręce w uspokajającym geście. Wykrzywił usta w grymasie, który miał udawać uśmiech.

- Pozostawiam sprawy nadnaturalne w muzeum.

- Czy zabójca rzeczywiście był duchem? - upierał się T.S. Woodhouse. - Takie krążą plotki, profesorze.

- Policja wydała oświadczenie. Macie swoją historię, panie i panowie. Obawiam się, że ja nic nie mogę do niej dodać. Życzę miłego wieczoru.

Woodhouse odwrócił się do Evie.

- Panno O'Neill? Może pani ma dla nas oświadczenie?

- Evie. Wejdzmy do środka. Jest zimno.

Evie stała na schodach, drobna i blada w słabym oświetleniu. Zostawiła płaszcz wewnątrz i chłodny październikowy wiatr przenikał jej sukienkę. Will chciał, żeby wróciła do środka. Później odeśle ją do Ohio, gdzie jej rodzice też każą jej wracać do środka. Miała już serdecznie dosyć słuchania poleceń tego pokolenia, które tak bardzo sknociło sprawę. Sprzedali swoim dzieciakom stek kłamstw. Bóg i ojczyzna. Kochajcie swoich rodziców. Wszystko jest sprawiedliwe. A później wysłali tych chłopców, jej brata, by walczyli w potwornej wojnie, która ich okaleczyła, zabiła i zniszczyła. Mimo to, nadal kłamali, oczekując od niej, że będzie powtarzać za nimi. Nie miała zamiaru.

Wiedziała teraz, że świat bynajmniej nie jest sprawiedliwy. Wiedziała, że potwory istnieją naprawdę.

- Ja wam powiem, co się wydarzyło - stwierdziła. Jej oczy błyszczały.

- Evie, nie - ostrzegł wuj Will, ale dziennikarze już się odwrócili i skupili na niej uwagę.

Mężczyzna w czarnej fedorze zrobił zdjęcie i Evie zamrugwała, oślepiona ostrym blaskiem.

- Jak się nazywasz, kochanie?

- Evangeline O'Neill. Ale przyjaciele nazywają mnie Evie. Oczywiście, zazwyczaj wtedy, kiedy dzwonią do mnie z paki.

Dziennikarze zaczęli się śmiać.

- Podoba mi się. Prawdziwe z niej żywe srebro - powiedział jeden z nich. - I do tego niezły kociak.

- Owszem - mruknął z zachwytem T.S. Woodhouse.

- Panno O'Neill! John Linden z „Gotham Trumpet”. Może artykuł na wyłączność dla nas?

- Patricia Ready od Hearsta, panno O'Neill. My dziewczyny powinniśmy trzymać się razem, co nie?

- Tutaj, laleczko. Uśmiechnij się do mnie. Wspaniale!

Wszyscy domagali się jej historii, wołając „panno O'Neill, panno O'Neill!". Jej nazwisko wykrzykiwano na Manhattanie, w centrum świata.

- Który z nas dostanie wywiad na wyłączność?! - zawołał jeden z dziennikarzy.

- A to zależy od tego, który z was ma dzin! - odparowała Evie i wszyscy zawyli ze śmiechu.

T.S. Woodhouse uchylił kapelusza i podszedł bliżej.

- Twój stary kumpel, T.S. Woodhouse z „Daily News". Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie żalu? Wiesz, że zawsze miałem do ciebie słabość, kotku. Mój ołówek jest ostry, niemal tak ostry, jak ty. Może powiesz nam, co wiesz, kochanie?

Evie posłała spojrzenie wujowi i Jericho. Za nimi muzeum wypełniała cisza. Ponad nimi miasto świeciło tysiącem kwadratów chłodnego blasku.

- Panno O'Neill? Evie? - T.S. Woodhouse oparł ołówek o notes.

- Wuj nie jest do końca szczery. Aby rozwiązać sprawę, wykorzystano szczególne zdolności... pewnie można nazwać je nadnaturalnymi. Moje zdolności.

Dziennikarze znów zaczęli gadać i pokrzykiwać. Evie uniosła dłonie.

- Ponieważ wszyscy jesteśmy nowojorczykami i nie bandą bałwanów, pewnie chcielibyście, żebym je wam zademonstrowała. Panie Woodhouse, w końcu może się pan okazać użyteczny.

Dziennikarze zaśmiali się, a T.S. uklonił.

- Twoja prośba jest dla mnie rozkazem.

- Doskonale. Czy mogę dostać coś, co do pana należy? Rękawiczkę, zegarek... właściwie cokolwiek się nada.

- Chce twój portfel - zażartował jeden z zebranych.

- Pod warunkiem, że to nie będzie twoje serce, Thomasie.

- Nie słyszeliście? Jestem dziennikarzem. Nie mam go - odparował Woodhouse.

Evie wyciągnęła rękę.

- Cokolwiek się nada.

Wcisnął chusteczkę w jej dłoń, przez chwilę nie cofając palców. Z początku Evie nic nie czuła i stłumiła panikę. W końcu jej wymalowane usta wygięły się w uroczym uśmiechu.

- Panie Woodhouse, mieszka pan na Bronksie, przy ulicy w pobliżu irlandzkiej piekarni o nazwie Black Holly's Biscuits.

Jest pan winien bukmacherowi pięćdziesiąt dolarów za walkę Martin - Burns. Sugeruję, żeby je pan zapłacił, on nie robi na mnie wrażenia cierpliwego człowieka. Woodhouse zmarszczył czoło.

- Każdy mógłby się tego dowiedzieć.

- Siedemnastolatka?! - wykrzyknął inny dziennikarz.

Evie mocniej zacisnęła rękę i chusteczka zdradziła głębsze tajemnice. Pochyliła się, by wyszeptać mu do ucha te prywatne sekrety. Wyraz jego twarzy przeszedł od zaskoczenia do pełnego gorzkiego zrozumienia.

- Nowy nagłówek - ogłosił tłumom. - „Uroczą jasnowidzka widzi wszystko, rozwiązuje zagadkę morderstwa”.

Dziennikarze przeciskali się bliżej.

- Co się stało, Evie? - Tutaj, Evie!

- Hej, panno O'Neill, uśmiech! Tak jest! T.S Woodhouse uniósł ołówek.

- Grafit mi marznie, kochanie. Evie spojrzała mu prosto w oczy.

- Od jakiegoś czasu miałam ten... dar - zaczęła.

Powiedziała im, że jej umiejętność odczytywania przedmiotów doprowadziła ich do zabójcy. Trzymała się blisko oficjalnej historii - szaleniec zabity przez dzielnych

chłopców w mundurach. Nie powiedziała im, że są rzeczy, których powinni się bać, że duchy, które wyobrażali sobie w mroku nocy, były prawdziwe. Nie wspomniała o nadchodzącej burzy, przed którą ostrzegała panna Walker. Zamiast tego zabawiła ich kolejnym pokazem - kilka zabawnych faktów podejrzanych w notatniku reportera. Zbierał się tłum. Podobało im się. Ona im się podobała. W największym mieście świata, w jego największej chwili, była w samym centrum. Will nie mógł jej teraz odesłać do domu. Zaczęłyby się protesty. Sama by je zorganizowała, gdyby musiała.

- Panno O'Neill... hej, piękna! Tutaj!

Proszek magnezjowy wybuchł małutkimi językami światła. Pojawił się kolejny błysk i następny. Oślepiły Evie i pozostawiły powidoki tak mocne, że musiała odwrócić głowę. Spodziewała się zobaczyć Willa i Jericho, ale stopnie za jej plecami były puste. Odwróciła się znów w stronę tłumu. Po drugiej stronie ulicy, na krawędzi parku, stała nieruchomo Margaret Walker i obserwowała. Flesz znów rozbłysł, a kiedy Evie odzyskała wzrok, kobieta również zniknęła.

PROJEKT BIZON

Ślepy Bill Johnson zapukał do drzwi domu ciotki Octavii. Drzwi zaskrzypiały i usłyszał, jak zaprasza go do środka. Siedzieli w salonie, Octavia podała kawę i maślane ciasteczka.

- Nie wiem, jak mogę panu podziękować, że pan tam był, panie Johnson - powiedziała kobieta łamiącym się głosem.

- Proszę pani, cieszę się, że dobry Bóg mnie tam skierował.

- Ma pan bardzo ładny nowy kapelusz i garnitur, panie Johnson.

- Bill. Dziękuję, proszę pani. Kupiłem za wygraną. Wypadła moja liczba. Wygrałem dwieście dolarów, ot tak. - Bill pstryknął palcami.

- To musiała być niebiańska nagroda za dobre uczynki. Bill odchrząknął.

- A jak... no... miewa się mały?

- Nie słyszał pan? - Wyczuwał radość w głosie kobiety. - Jest w porządku. Lepiej niż w porządku. Wyzdrowiał, jakby nic mu się nie stało.

- Rozumiem. - Ręce Billa drżały, złożył je na kolanach. - A pamięta, co się stało?

- Nie, zupełnie nic. Lekarz mówił, że to musiała być jakaś gorączka. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

- Może... - powiedział Bill, po czym potrząsnął głową, jakby odrzucał tę myśl. - Może nie powinienem o tym wspominać.

- O czym?

- Zastanawiałem się, czy może nie zmęczył się, zgadując karty u panny Walker.

Popijał kawę i czekał. Kiedy Octavia w końcu się odezwała, mówiła głosem zduszonym z niepokoju i napięcia.

- Panna Walker pomaga Isiahowi z arytmetyką. Ma problemy z dodawaniem. Nie wiem nic o kartach.

- No i narobiłem. Powiedziałem więcej niż powinienem. Proszę nie zwracać na mnie uwagi, panno Octavio.

- Bardzo bym to doceniła, panie Johnson...

- Bill.

- Bill, gdybyś powiedział mi, co wiesz. Dziękuję.

- Cóż, pewnie nie wiem wszystkiego. Mały powiedział mi, że ma dar i że panna Walker uczy go, jak korzystać z tego daru. Moja babka nazywała to wzrokiem. - Bill wziął kolejne ciasteczko, zanurzył je w kawie. Było pyszne. - Ale wiadomo, jak to jest z dziećmi. Pomyślałem, że mały coś sobie zmyśla. Wie pani, próbuje dodać sobie wagi.

- Rozumiem.

Była wściekła. Już nie będzie więcej odwiedzin w domu panny Walker, Bill był tego pewien.

- Mógłbym zajrzeć do Isaiaha, jeśli to nie kłopot?

- Odpoczywa teraz - odparła Octavia.

- Ach, rozumiem. Nie chcę sprawiać problemów. Pomyślałem po prostu, że mógłbym się nad nim pomodlić.

- Modlitwa jest zawsze mile widziana.

- Tak, proszę pani. Na pewno.

Octavia poprowadziła Billa do sypialni na tyłach i stanęła obok niego przy łóżku Isaiaha.

- Panie - powiedział Bill i pochylił głowę. - Przepraszam, panno Octavio, ale trochę się wstydzę modlić przy ludziach.

- Oczywiście - powiedziała i usłyszał, jak drzwi się zamykają.

Bill wyciągnął rękę i dotknął głowy chłopca, miękko jak skóra jagnięcia. Tylko posmak. Tylko tego potrzebował. Kolejnej liczby. Tym razem będzie ostrożny. Poczuł, jak energia chłopca wpływa w niego, i nagle zaczął się krztusić. Szybko cofnął dłonie. Palce mu drżały. Co to było? Co poczuł?

W półmroku pokoju Bill widział zarysy kształtów - szeroka szafa na ubrania, słaby blask okna. Kształty. Światło. On... widział. Tylko odrobinę, ale jednak. I Bill wiedział, że ktoś nałożył leczącą moc na chłopca. Ktoś obdarzony darem większym niż Isaiah Campbell. O wiele większym. Billa swędziały ręce, by spróbować raz jeszcze, ale słyszał, jak ciotka chłopca woła go po imieniu. Jeszcze będzie czas. Przypomniawszy sobie historyjkę, którą usłyszał na polu, kiedy był dzieciakiem. Coś o żółwiu i zającu. Powolny i spokojny zwycięża w wyścigu. Tak to szło. Cierpliwość. Teraz niezbędna była cierpliwość. Bill miał zamiar być żółwiem. Tak, miał mnóstwo czasu.

Billa Johnsona już od dawna nie było, kiedy Memphis wrócił do domu, ale ciotka Octavia siedziała w salonie i machała drutami tak gorączkowo, jakby chciała zabić sweter, a nie go wydzierać.

- Co się stało? Coś z Isaiahem? - spytał Memphis.

- Wiem o waszych wyprawach do siostry Walker i kartach. Wiem o tym, i to się skończy - powiedziała. - Do choroby doprowadziło to, co robiliście z tamtą Walkerową. Tak sędzę.

Memphis spuścił wzrok.

- On ma dar.

- Co ona mu zrobiła?

- Nic! Mówiłem ci, że ma dar.

- Weź Pismo. Idziemy się modlić.

Octavia wkroczyła do sypialni Isaiaha. Memphis niechętnie podążył za nią.

- Memphisie Johnie, musisz uklęknąć obok mnie. Pomodlimy się teraz za twojego brata, pomodlimy się, by ta kobieta nie sprowadziła diabła do tego domu.

Memphis padł na kolana obok ciotki przy łóżku Isaiaha, ale nie podobało mu się to.

Dlaczego? - pomyślał. Dlaczego mam się modlić do Boga? Co on zrobił dla mnie i mojej rodziny?

Poczuł, jak wzbiera w nim gniew, doprowadzając go do łez.

- Nie zrobię tego.

Szok u Octavii przeszedł powoli w ponure zdecydowanie.

- Obiecałam waszej mamie, że zajmę się jej chłopakami, i mam zamiar to zrobić. A teraz pomódl się ze mną.

- A może zapytasz Boga, dlaczego zabrał mi matkę? A może zapytasz go, kiedy ojciec wróci do domu? A może zapytasz go, co ma przeciwko mojemu braciszкови?

Chciał uderzyć kogoś lub coś. Chciał spalić cały świat, uzdrowić go i spalić ponownie.

Spodziewał się, że Octavia nawrzeszczy na niego za to bluźnierstwo i wywali go z domu. Ona jednak powiedziała cicho:

- Weź sobie kurczaka z lodówki. Ja się pomodlę, a porozmawiamy później.

To było jeszcze gorsze. Octavia skłoniła głowę.

- Panie Jezu... proszę, ochroń tego chłopca. Nie wiedział, co czyni. To dobry chłopiec, Jezu...

Isaiah obudził się.

- Ciociu, dlaczego się modlisz? Memphis? Gdzie się wybierasz?

Memphis nie był głodny, i to nie było miejsce dla niego. Nie wrócił na cmentarz od czasu, gdy zobaczył ducha Gabe'a. Nie chciał już siedzieć z umarłymi. Potrzebował żywych. Pragnął Thety. Poszedł do biblioteki i w ciszy wypowiedział własną modlitwę. Otworzył zeszyt i pisał, aż mu zeszytwniały palce, a światła w restauracji po drugiej stronie ulicy zgasły. Pisał, aż poczuł, że wyrzucił z siebie wszystko. Miał powód,

by pisać, i kogoś, dla kogo mógł to robić. Na dole napisał tylko dwa słowa: „Dla Thety”. Dopełniwszy wyznania, złożył je w kopercie i zostawił dla listonosza.

W teatrze Globe rewia Ziegfelda trwała w najlepsze. Widownia była ożywiona. Wyła ze śmiechu i klaskała. Cały wieczór wypełniała gorączkowa, szalona atmosfera. Od śmierci Daisy zainteresowanie przedstawieniem jeszcze wzrosło, a za kulisami mówiło się, że na widowni są agenci z Hollywood, poszukujący kolejnej Louise Brooks albo Eddiego Cantora. W blasku reflektorów Theta błyszczała w sukience z dużym dekoltem, kiedy przerzucała się żartami z Henrym.

- To mój brat, Henry - zagruchała Theta, wysuwając biodro w stronę fortepianu. - Tak w każdym razie mówię właścicielowi mieszkania.

Mrugnęła i widownia zawyła. Na tyłach teatru Florenz Ziegfeld uśmiechnął się. Niektórzy biedacy mogli całe życie się starać i nigdy nie zobaczyć swojego nazwiska w świetle reflektorów. Ale niektórzy mieli w sobie coś wyjątkowego, a Theta Knight zaliczała się do nich.

- Jestem tą panienką, co tatusia kocha, perły noszę zawsze zamiast szkła. Jeśli kasę masz, to wszystko będzie dobrze, taka jest już ta dewiza ma... - śpiewała Theta.

- Nauczyła nas tego nasza droga mamusia! - wykrzyknął Henry i widownia zaczęła gwizdać.

Piosenka była kłamstwem, błyskotką mającą odwrócić uwagę ludzi od ich problemów i trosk. Ale wszyscy w milczeniu zgadzali się na to, by ich oślepiła. Światła sceny zmieniły Henry'ego i Thetę w sylwetki na tle malowanych dekoracji. Henry walił w klawisze, a Theta śpiewała na całe gardło.

Podtrzymywali kłamstwo, a ludzie to uwielbiali.

Sam siedział przy powykrzywianym stoliku na tyłach mrocznej knajpy kilka przecznic od stoczni Brooklyn Navy Yard. Lokal był swego rodzaju saloonem odwiedzanym przez robotników portowych i starych marynarzy, śmierział kiepską gorzałą i potem. Sam siedział zwrócony plecami do ściany, żeby móc objąć wzrokiem całe pomieszczenie. Patrzył, jak mężczyzna w mokrym od deszczu płaszczu otrząsa się przy drzwiach i rusza na tyły. Wślizgnął się do boks obok Sama. Przez chwilę nie rozmawiali. Sam położył pocztówkę na stole. Po chwili mężczyzna uniósł ją i wyjął spod spodu pięćdziesiąt dolarów. Odwrócił kartkę, przeczytał ją i oddał Samowi.

- Projekt Bizon. Powiedzieli, że zamknęli go po wojnie. Ale nigdy tego nie zrobili.

- Co to takiego?

Mężczyzna niemal niezauważalnie potrząsnął głową.

- Pomyłka. Sen, który zmienił się w koszmar. Tamta stara piosenka.

Sam zacisnął wargi.

- Dałem ci pięćdziesiąt dolarów. Wiesz, jak trudno mi było zebrać taką kasę?

Mężczyzna wstał i mocniej wcisnął kapelusz na głowę, przez co jego twarz znalazła się w cieniu.

- Ona wciąż żyje, jeśli to chciałeś wiedzieć.

- Gdzie?

- Są prawdy na tym świecie, których ludzie tak naprawdę nie chcą znać. Dlatego wynajmują takich jak ja. Dzięki czemu mogą chodzić na tańce i do pracy, wracać do domów do rodzin. Kupować radioodbiorniki i pastę do zębów. Chcesz usłyszeć moją radę? Zapomnij o tym, dzieciaku. Idź stąd i ciesz się życiem. Tym, które ci pozostało.

- Nie jestem taki.

- To życzę ci powodzenia.

- I tyle? Naprawdę masz zamiar nawiać i zostawić mnie z niczym?

Mężczyzna przygryzł policzek od środka i rozejrzał się szybko, by się upewnić, że nikt się nie przygląda. Wyjął z kieszeni tanie pióro z motelu i zapisał nazwisko na serwetce.

- Chcesz poznać odpowiedzi? Tam możesz zacząć. Sam wpatrywał się w serwetkę. Zacisnął zęby.

- Czy to jakiś żart?

- Mówiłem ci, żebyś zapomniał, co nie?

Mężczyzna podszedł do drzwi i zniknął w deszczu i mroku.

Sam wpatrywał się w blat stołu. Chciał w coś uderzyć. Chciał się zalać w pestkę i rzucić butelką w księżyc. Spojrzał na nazwisko na serwetce, po czym zgniótł ją i wrzucił do kieszeni. Miał zamiar odnaleźć matkę i poznać prawdę, niezależnie od tego, ile czasu to mogło zająć i jak niebezpieczne się okazać.

Jeden z mężczyzn obrócił się lekko w jego stronę.

- Nie zobacz mnie - warknął Sam i tamten w ogóle go nie zobaczył.

Sam wślizgnął się niezauważony w tłum, po drodze zwijając portfele.

Podmuch wiatru zawył nad brukiem Doyers Street, poruszając papierowymi lampionami herbaciarni. W pokoju na tyłach dziewczyna o zielonych oczach wyszła z transu z sapnięciem.

- Co się stało? - spytał starszy mężczyzna. - Co widziałaś?

- Nic. Nic nie widziałam. Zmarszczył czoło.

- Powiedziano mi, że możesz chodzić w snach, rozmawiać z umarłymi.

Wzruszyła ramionami i przyjęła jego pieniądze.

- Może umarli nie chcą mieć z tobą nic do czynienia.

- Jestem człowiekiem honoru! - wykrzyknął.
- Zobaczymy.
- Jesteś kłamcą! Mieszkańcem bez honoru!

W drodze na zewnątrz trzasnęła frontowymi drzwiami tak mocno, że aż zatrzęsły się okna.

Młody mężczyzna wyszedł z kuchni. Był wyraźnie przestraszony. - Kiedyś chyba mówiłaś, że umiesz powstrzymać duchy.

Dziewczyna wyglądała przez okno.

- Myliłam się.

Gwar w drugim pokoju sprawiał, że Mabel nie mogła się uczyć. Rodzice zorganizowali jedno ze swoich zebrań. W ciągu ostatnich dwudziestu minut dyskusja rozgorzała na dobre i dziewczyna wiedziała, że spotkanie nie skończy się przed bladym świtem.

- Nie popieramy przemocy - powiedział pan Rose. - Chodzi nam o reformy, nie o rewolucję.

- Bez rewolucji nie może być reform. Popatrzcie na Rosję - upierał się mężczyzna mówiący z wyraźnym akcentem.

- Tak, popatrzcie na Rosję - sprzeciwił się inny. - Chaos.

- A co z robotnikami? Jeśli nie będziemy się wspierać, upadniemy. W jedności siła.

Mabel wystawiła głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pokój był pełen dymu i ludzi. Wszędzie leżały gazety i broszury. Matka perorowała na temat warunków w fabryce odzieżowej, w której prawa robotnic nie były przestrzegane.

- Zupełnie jak w fabryce Triangle Shirtwaist, w której był pożar - wyjaśniła.

Mabel zobaczyła przystojnego młodzieńca siedzącego na kanapie. Patrzył na nią i miała wrażenie, że skądś go zna. Wróciła do swojego pokoju i wyszła na schody przeciwpożarowe, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Chwilę później przystojny mężczyzna wyszedł przez okno, żeby do niej dołączyć.

- Pamiętasz mnie?

- Union Square - powiedziała Mabel, gdyż wtedy właśnie wróciło do niej wspomnienie. - Uratowałeś mnie.

Wyciągnął rękę.

- Arthur Brown.

- Mabel Rose - odparła, ściskając jego dłoń. Uśmiechnął się.

- Wiem.

- Nie powinieneś być tam z pozostałymi?

- Spędzą kolejną godzinę na kłótniach i do niczego nie dojdą - powiedział ze śmiechem i Mabel też się uśmiechnęła. Tak zazwyczaj wyglądały takie wieczory. - W końcu zgodzą się wygłosić kolejne przemówienie albo napisać artykuł w gazecie. Może spróbują stworzyć związek zawodowy robotników portowych albo zorganizują pikietę takiej czy innej firmy.

- Czy to źle? - spytała Mabel.

- Nazywają się radykałami, ale wcale nimi nie są.

- A ty jesteś, jak mniemam? - Mabel czuła się nieco obrażona w imieniu rodziców. - Moi rodzice wiele poświęcili dla dobra innych.

Arthur Brown nie odwrócił wzroku.

- W tym własną córkę?

Ta uwaga przeszła Mabel do szpiku kości. Poczerwieniała.

- To było niegrzeczne.

- Owszem. Przepraszam. Mają dobre intencje. Mabel przechyliła głowę.

- Ale...?

Arthur uśmiechnął się przepaszająco.

- Są czasy, gdy przemiany potrzebują pewnej pomocy. Jest wśród nas grupa, która pragnie przyśpieszyć zmiany. Na nasz sposób. Gdybyś chciała się kiedyś z nami spotkać, taka bystra dziewczyna jak ty mogłaby się nam przydać.

- Zazwyczaj pomagam rodzicom - stwierdziła Mabel. Pokiwał głową.

- Oczywiście. Zapomnij, że o tym w ogóle mówiłem. To nie musi być spotkanie. W pobliżu jest lokal, w którym podają najlepsze koktajle czekoladowe. Lubisz koktajle czekoladowe?

Miał wielkie brązowe oczy. Mabel poczuła dreszcz, kiedy w nie spojrzała.

- A kto ich nie lubi?

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i dziewczyna zobaczyła zarys pistoletu.

- To moja wizytówka.

Mabel wpatrywała się w czarne litery.

ARTHUR BROWN.

- Naprawdę się tak nazywasz? Uśmiechnął się krzywo.

- W tej chwili tak.

Dziewczyna zadrżała w chłodnym powietrzu.

- Powinam wrócić do nauki.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Mabel Rose.

Uchylił kapelusza i przytrzymał dla niej okno, po czym powrócił do jadalni i dyskusji, która, jak wiedziała Mabel, mogła potrwać do późnych godzin nocnych.

Z bezpiecznej sypialni obserwowała, jak Arthur Brown peroruje z pasją. Mówił z dużą pewnością siebie jak na kogoś tak młodego. Raz zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się, a wtedy Mabel szybko się schowała. Zastanawiała się przez chwilę, po czym otworzyła ukrytą szufladę w pożytywce i włożyła do środka wizytówkę Arthura Browna.

W zaniedbanym mieszkaniu w starym Benningtonie panna Addie odwróciła się od okna i zaczęła się kręcić po pokoju, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. W końcu zawołała do siostry:

- Daj mi się przebrać, siostró!

Wyszła po chwili w starej koszuli nocnej i fartuchu.

- Już.

Panna Lillian przyniosła z kuchni kota, łownego burasa imieniem Felix. Jaka szkoda. Po śmietance z opium zwiśł w jej ramionach. Położyła go na kuchennym stole, który przykryła wcześniej gazetami. Nucąc pod nosem, panna Addie wysunęła szufladę sekretarzyka i wyciągnęła sztylet, równie stary, jak ostry.

- Ładna melodia, siostró. Co to? - spytała Lillian.

- Coś, co usłyszałam w radio. Śpiewała to sopranistka, ale jej głos mi się nie podobał. Zbyt piskliwy.

- Tak to bywa - powiedziała ze śmiechem panna Lillian. - Jesteśmy gotowe?

- Nadszedł czas - stwierdziła panna Addie.

Panna Lillian mocno trzymała Felixa, którego serduszko zaczęło bić mocniej. Próbował się wyrwać, ale był zbyt otepiały.

- Wkrótce będzie po wszystkim, kiciu - zapewniła go panna Lillian.

Zamknęła oczy i wypowiadała długie szeregi słów, starych jak świat, kiedy panna Addie wbiła nóż w brzuch kota, robiąc konieczne nacięcie. Zwierzę znieruchomiało. Sięgnęła do jamy brzusznej i wyciągnęła wnętrzności, wrzucając je do miski. Część spadła na jej fartuch i kobieta ucieszyła się, że wcześniej się przebrała. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w miskę. Panna Lillian odłożyła zakrwawione ciało kota i dołączyła do niej.

- Co się dzieje, siostró?

- Nadchodzą - powiedziała panna Addie. - Och, siostró droga, nadchodzą.

W ciszy muzeum Will siedział przy biurku, a jedynym źródłem światła była zielona lampka. Wcześniej zauważył pozbawionego wszelkich oznakowań sedana zaparkowanego po drugiej stronie ulicy i dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy siedzieli w środku i obserwowali. Jeden z nich jadł orzeszki, a skorupki wyrzucał przez okno. Will zamknął drzwi i, pogwizdując wesołą melodyjkę, podszedł do pobliskiego baru automatycznego z widokiem na muzeum, gdzie kupił sobie kanapkę i kawę, których prawie nie ruszył. Dopiero, kiedy zobaczył, jak sedan odjeżdża, wrócił do muzeum, marszcząc czoło na widok załamania w kawałku celofanu, który zostawił na ościeżnicy. Powoli przeszedł się po budynku, sprawdzając każde pomieszczenie. Po starannej inwentaryzacji stwierdził, że niczego nie brakuje. Tylko się rozejrzeli. Na razie.

Will wyciągnął szyję, by spojrzeć na fresk, anioły i demony wiszące nad wzgórzami, równinami i rzekami, nad patriotami, pionierami, Indianami i emigrantami w nowym świecie. Później, w łagodnym zielonym blasku starej biblioteki szedł między regałami, aż dotarł do eleganckiego, oprawionego w skórę wydania Deklaracji Niepodległości. Spomiędzy jego stron wyciągnął podniszczoną kopertę. W prawym górnym rogu znajdowała się pieczęć DEPARTMENT ZJAWISK PARANORMALNYCH USA, 1917. Otworzył plik na pierwszej stronie.

Memorandum.

Do: William Fitzgerald, Jacob Marlowe, Rotke Wasserman, Margaret Walker Ścisłe tajne. Projekt Bizon.

Will siedział przy biurku, po raz kolejny czytając akta. Kiedy skończył, usiadł i wpatrzył się w cienie. Siedział tak bardzo długo.

MEŹCZYZNA W CYLINDRZE

Kraj był zobowiązaniem i kraj był ideałem wolności, zrodzonym ze zbiorowego pragnienia niespokojnego narodu zbudowanego na marzeniach. Każda skała, każdy strumień, każdy wschód i zachód słońca wydawały się świetną okazją i gwarancją na więcej. Ziemia była silna. Rzeki płynęły szybko niesione prądami pożądania. Fioletowe góry wznosiły się nad równinami porośniętymi słodką trawą. Wiązy i dęby, potężne sekwoje i sosny świętowały radośnie, wznosząc pieśń na zboczach, które opadały łagodnie w stronę dolin wdzięcznych za ich śpiew. Słupy telefoniczne wznosiły się przy drogach, a ich samotne przewody rozciągały się ponad polami jak delikatna obietnica kontaktu. Rozchwiane płoty z hikory, które sprzyjały dobremu sąsiedztwu, otaczały wiejskie domostwa, czerwone stodoły i stoickie młyny. Zboże szeleściło na ciepłym wietrze.

W miasteczkach znajdowały się główne ulice znane z niewyraźnych, przyjemnych wspomnień. Wieża kościelna. Fryzjer. Lodziarnia. Rynek i park idealnie nadający się na piknik. Rzeźnik. Piekarz. Po drugiej stronie bajkowych miasteczek mosty upiękzone blaskiem chwały jesiennego listowia wznosiły się nad strumieniami pełnymi ryb nadających się dla samego króla. W budynku sądu, pod rzeżącym wentylatorem palce kobiet pracowicie wyszywały - NIE MA JAK W DOMU, BOŻE, BŁOGOSŁAW AMERYKĘ - a ich mężowie wachlowali się złożonymi gazetami, przysłuchując się debacie, czy człowiek został stworzony na obraz wielkiego rzemieślnika, nakręcony kluczykiem na plecach i puszczony w ruch, by odegrał swoją rolę w tajemniczym przeznaczeniu, czy też wypełził spośród błota i drzew dżungli, krewny zwierząt, eksperyment ewolucji puszczony swobodnie na świat wyboru i przypadku. Nie wydano wyroku.

Drogi potrzebowały przestrzeni. Rozciągały się. Krążyły i podbijały. Mijały otwarte tereny. Jelenie i antylopy. Bizony. Plemiona zepchnięte na bok pod strażą krzyża, gdyż ten naród miał swoje rezerwy. Dotrzymywały kroku kolei, wielkiemu żelaznemu kręgosłupowi postępu i przemysłu. Pieśń cykad łączyła się z gwizdem parowozu i ostrym sygnałem ceglanych fabryk, gdy wypuszczały spoconych robotników o piątej, a o siódmej znów ich przyjmowały. Górnicy wykopywali węgiel i wyciągali go z głębin ziemi, jednym okiem cały czas obserwując kanarka. Na zachodzie ropa wypływała z twardej ziemi, plamiąc wszystko pieniędzmi. Na polach bawełny płaczący zawiesili swe harfy na drzewach.

Drogi dotarły do miast. Błyszczące miasta, pełne gorączkowej ambicji, bogate w pragnienia, były złocistym rajem proroków biznesmenów, a plakaty reklamowały obfitość przepowiadaną na Wall Street, obiecywaną na Madison Avenue: „Lekarze polecają Lucky Strike!”, „Linie lotnicze Imperial Airways - poruszaj się z duchem czasów!”, „Oczywiście, że chcesz kupić pastę do zębów Colgate!”, „Studebaker - automobil z prawdziwą reputacją!”. Ludzie rzeźbili pomniki wielkim jednostkom, które stworzyły naród, prowadziły armie, a ich przekonania zostały bezpiecznie wykute w marmurze i granicie. Ludzie tworzyli sobie bożki i znów je obalali, chrzcili serpentynami, błogosławili łzami zysków i strat, w wysokich oknach z zapamiętaniem świętując dobre czasy, które przecież nie mogły się skończyć w krainie utuczonego cielęcia.

Koło niebios obróciło się w stronę zmroku, gwiazdy jeszcze się nie zapaliły. Niespokojny wiatr kołysał czubkami drzew. Stojąc w tylnych wejściach domów matki odrywały dzieci od zabawy w chowanego i w kopanie puszek, by się umyły i pomodliły przed kolacją. Dzieci narzekały, ale matki pozostawały stanowcze i zabawy porzucano z obietnicą jutra.

Zapalały się lampy. Fabryki, szkoły, sądy i kościoły cichły. Łagodna wieczorna mgła opadała jak balsam zapomnienia.

Na cmentarzach martwi spali z otwartymi oczyma.

Szary mężczyzna w wysokim cylindrze wyszedł z mgły i przyjrzał się krainie. Nie stał w tym miejscu od długiego czasu i wiele się zmieniło. Zawsze wiele się zmieniało. Jego skóra była szara i cętkowana jak skrzydło ćmy. Jego oczy były wąskie i czarne, nos ostry, a wargi cienkie. Poszarpany płaszcz wisiał nad nim jak rozwinięty całun pogrzebowy. Otrząsnął pył z jego licznych fałdów. Kruki wyleciały z krakaniem w niebo teraz zakryte złowrogimi chmurami nadchodzącej burzy. Odezwał się szeptem do kruków. Później mówił do drzew i skał, rzek i wzgórz. Mówił w wielu językach i w języku poza słowami.

Martwi nasłuchiwali w grobach.

Szary mężczyzna wszedł na miodowe pole, pozwalając, by żdźbła łaskotały jego skórzaste dłonie. Wyświecony kapelusz niewyraźnie odbijał ziemię. Królik skakał z miejsca na miejsce, szukając pożywienia. Zaciekawiony, podszedł blisko ostrego szpica buta szarego mężczyzny, a wtedy ten podniósł zaskoczone zwierzę za kark. Królik szarpał się i kopał. Gestem szybkim jak sztuczka magika szary mężczyzna sięgnął długimi palcami przez futro i skórę królika i wyciągnął jego serduszko, wciąż pulsujące gorączkowo. Królik szarpnął się jeszcze dokładnie dwa razy, odruchowo, i znieruchomiał. Mężczyzna w cylindrze ścisnął serce swoją kruchą pięścią. Krew kropla po kropli spadała na żywną ziemię.

Martwi słyszeli.

Mężczyzna w cylindrze zamknął oczy i odetchnął słodkim powietrzem. Serce królika w jego dłoni pulsowało słabo.

- Nadszedł czas - powiedział głosem równie zniszczonym, jak jego płaszcz.

Serce wyślizgnęło się z jego palców. Odrzucił głowę do tyłu i uniósł długie, zakrwawione palce do stalowego nieba. Chmury się zakłębiły. Wiatr przygiął pszenicę. Wypowiedział słowo i na czubkach jego palców pojawiła się błyskawica. Uniosła się. Niebo wypełnił gorączkowy blask. Jego włócznia uderzyła w samotne drzewo, które stanęło w ogniu, jak płonący sygnał na wielkiej beżowej równinie, widziany przez nikogo poza wiatrem, słyszany przez nikogo poza chodzącymi umarłymi.

Mężczyzna w cylindrze szedł przez pole w stronę śpiących miasteczek i miast, fabryk i pól bawełny, torów kolejowych, dróg, słupów telefonicznych i serpentyn. W stronę pomników bohaterów, w stronę pragnienia i rozczarowania ludzi. Wokół niego trzaskały błyskawice, a za nim ziemia była czarna jak popiół.

NA SZCZYCIE ŚWIATA

James przyzywał ją, stojąc na obrzeżach spowitego mgłą lasu. Evie słyszała swój przyśpieszony oddech, gdy podążała za nim przez śnieg pośród drzew. Rześkie powietrze wypełniał mocny zapach sosny i nawet we śnie Evie wiedziała, że jest inaczej. Niewłaściwie. Nigdy wcześniej nie słyszała oddechu ani nie czuła sosen. Musnęła dłonią drzewo i poczuła na dłoni szorstką korę. Podobnie jak wcześniej, podążyła za Jamesem na polanę pełną skazanych na śmierć żołnierzy. Spojrzała w prawo. Gęsta mgła rozrzedziła się nieco na szczycie, ukazując jej blanki i zarys wieżyczek. Zamek? - zastanawiała się Evie.

Sierżant upuścił papierosa i Evie chciała krzyknąć do niego, kazać mu uciekać. Błysk, kiedy się pojawił, wydawał się nieskończenie jaśniejszy, potężniejszy niż wcześniej. Evie wyczołgała się z okopu i pobiegła przez krwawe pole maków. James czekał. We śnie napięła mięśnie, czekając na chwilę, kiedy zdejmie maskę przeciwgazową i stanie się koszmarnym widmem.

James uniósł dłoń do maski. Kiedy ją zdjął, nadal był złotym chłopcem, ulubionym synem.

Otworzył usta, a ona znów się napięła, czekając na nową grozę.

- Cześć, dziewczynko - powiedział głosem, którego nie słyszała od dziesięciu lat. - Nie powinni byli tego robić.

Evie obudziła się ze stłumionym jękiem, czoło miała mokre od potu. Ręce jej drżały. Odezwał się do niej! Powietrze. Potrzebowała powietrza. Wspięła się po schodach przeciwpożarowych na dach. Nocne powietrze wysuszyło pot na jej ramionach. Zrobiło jej się chłodno - był już listopad, lato odeszło na dobre - ale nie mogła znieść myśli o powrocie do pokoiku i niespokojnego snu. Na obrzeżach Central parku pijak zataczał się od krawężnika do krawężnika, wykrzykując imię dziewczyny i płacząc. Od czasu do czasu zwracał twarz

do nieba, jakby błagając niewidoczny sąd o litość, po czym potrzasał głową.

Zaskoczył ją dźwięk dobiegający z tyłu. Był tam Jericho w płaszczu narzuconym na piżamę, z książką w ręku.

- Przepraszam. Nie chciałem cię niepokoić - stwierdził.
- Już jestem zaniepokojona.
- Drżysz.
- Nic mi nie jest.
- Wcale nie. - Zdjął płaszcz i otulił nim jej ramiona.
- Teraz tobie będzie zimno.
- Ja tego tak nie czuję.
- Och - powiedziała Evie.
- Znów miałaś ten sen? Pokiwała głową.
- Ale było inaczej. Odezwał się do mnie, Jericho. Spojrzał mi prosto w twarz i powiedział: „Nie powinni byli tego robić”.
- Kto? Czego robić?
- Nie wiem. Ale nie mogę pozbyć się uczucia, że to coś więcej niż sen, że próbuje mi powiedzieć coś ważnego.
- A może to tylko sen, bo za nim tęsknisz. Ja czasem nadal śnię o swojej rodzinie.
- Może.

Jericho wziął ją za rękę. Przeszył ją dreszcz wywołany jego dotykiem; to również próbowała zignorować.

- Nie sądziłem... nie odważyłem się mieć nadziei, że zrozumiesz. Zakładałem, że uznasz mnie za dziwadło - powiedział.

- Wszyscy jesteśmy dziwadłami. Moglibyśmy zatrudnić się w cyrku. Zobaczcie Odmieńców z Manhattanu! Małym dzieciom i kobietom brzemiennym wstęp wzbroniony.

Evie zaśmiała się z goryczą, tłumiąc łzy.

- Przez ten cały czas sądziłem, że jestem osamotniony. Inny. Ale ty też jesteś inna. - Patrzył na nią zupełnie inaczej. - Przez długi czas chciałem umrzeć. Doszedłem do wniosku, że

wewnątrz już jestem martwy, że zabili mnie, kiedy zmienili mnie w maszynę. Ale już nie czuję się martwy. - Jego twarz była tak blisko jej twarzy. Położył dłoń na jej plecach. - Wiem, czego teraz pragnę.

- To znaczy? - wyszeptała Evie.

W pocałunku Jericho nie było nic niezręcznego ani niepewnego. Przycisnął wargi do jej warg. Evie poczuła, że całe jej ciało ożywa. Odepchnęła go.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie? - Spochmurniał. - Z powodu tego, czym jestem?

Potrząsnęła głową.

- Z powodu Mabel. Spojrzał jej w oczy.

- Ja nie pragnę Mabel. Pragnę ciebie. Powiedz mi, że nie chcesz, żebym cię całował, a przestanę.

Evie nic nie powiedziała. Jericho przyciągnął ją blisko i znów ją pocałował. Evie odpowiedziała pocałunkiem, ciesząc się dotykiem jego warg. Ciesząc się jego dłonią w jej włosach, ciesząc się ręką zaciśniętą na jego koszuli. Tak przecież działał świat, czyż nie? Człowiek miał na coś nadzieję, a życie zniecka dawało mu w twarz. Mabel pragnęła Jericho, Jericho pragnął Evie. A sama Evie w tej chwili pragnęła zapomnieć. Całowanie się z Jericho tej nocy nie musiało nic znaczyć. Jutro korba znów wprawi w ruch tryby świata. Mogła wszystko naprawić jutro albo pojutrze. Ale było teraz, a teraz potrzebowała właśnie tego. Potrzebowała go. Evie oparła głowę o szeroką pierś Jericho i pozwoliła, by wziął ją w ramiona. Pocałował czubek jej głowy i oboje zwrócili wzrok na wschód, skąd nadchodził świt, muskając budynki słabym blaskiem.

Coś się zbliżało. Coś, czego nie rozumiała. Coś straszliwego. I bała się.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał Jericho, muskając wargami jej kark.

- Tak. Wszystko na medal - skłamała.

Na ulicy pijak przestał wołać dziewczynę. Opadł na kolana, oparł głowę o bruk i krzyknął:

- Co utraciliśmy, co utraciliśmy...

Gdzieś w jednym z bezimiennych budynków grało radio, a radosny głos Ala Jolsona zagłuszał żal pijaka w rynsztoku. „Siedzę na szczycie świata... toczę się... toczę się...”.

Słońce pojawiło się na horyzoncie. Od jego blasku zapiekły ją oczy.

- Pocałuj mnie - powiedziała Evie.

Ujął jej twarz w dłonie i jego pocałunek zasłonił niebo.

Od Autorki

Stworzenie Wróżbiarzy wymagało długich badań. Wiele godzin spędziłam w licznych bibliotekach i archiwach lub nad książkami, plikami tekstowymi, źródłami i zdjęciami. Żaden historyk ani archiwista nie ucierpiał podczas pisania tej książki, ale niektórzy byli zadrezczani pytaniami. Jestem wdzięczna za pomoc i wiedzę tych cudownych, znających się na rzeczy ludzi.

Powiedziawszy to, muszę podkreślić, że to beletrystyka, i dla dobra opowieści niezbędna była pewna swoboda. Autorka bierze na siebie pełną odpowiedzialność za ten popełniony z premedytacją akt narracyjnego majstrowania. (Narracyjne Majstrowanie to nazwa mojego nowego zespołu. Wyobrażam sobie, że to postmodernistyczny zespół hipsterów, w różnym stopniu zarośniętych. Ale tracę wątek).

„A jakież to majstrowanie?”, możecie spytać. Cóż, w rzeczywistości istniał klub Hotsy Totsy prowadzony przez słynnego gangstera Legsa Diamonda. Znajdował się w pobliżu dzielnicy teatrów w Nowym Jorku, nie na Harlemie. Ale nie umiałam się oprzeć tej nazwie, więc ją zachowałam. Nie ma ukrytego afrykańskiego cmentarza na Manhattanie - a jeśli jest, jest ukryty tak, że nawet ja o nim nie wiem; nie ma Muzeum Niesamowitości; ani zamieszkanego przez zdziwaczale staruszki, słabo oświetlonego Benningtona, jeśli pominiemy ten, który istnieje w wyobraźni.

Jednakże duża część tego, co czytacie, pochodzi bezpośrednio z książek historycznych, a kilka najbardziej zatrważających elementów dekoracji w całości opiera się na faktach. Ruch eugeniczny jest prawdziwy, podobnie jak te mrozące krew w żyłach podświetlane tablice na jarmarkach stanowych. Podobnie jak Zdrowsze Rodziny dla Lepszej Przyszłości, Ku - Klux - Klan, Ustawa wykluczająca Chińczyków (i ustawa o imigracji z roku 1924), jak również

Kościół Kolumny Ognia. Często potwory, które tworzymy w wyobraźni, nie są aż tak przerażające, jak potworne czyny, jakich dopuszczają się zwyczajne istoty ludzkie w imię takiej czy innej sprawy.

Staralam się pozostać jak najwierniejsza realiom historycznym, tworząc opowieść zawierającą tajemnicę, magię, potwory i niewyjaśnione zagadki - albo, jak to się mawia u mnie w domu, po prostu kolejny wtorek.

Jeśli interesuje Was ten okres, są na jego temat świetne źródła. Pełną bibliografię można znaleźć na stronie cyklu, [TheDiviners - Series.com](http://TheDiviners-Series.com). Życzę przyjemnej lektury.

Podziękowania

Wielu ludzi odegrało dużą rolę w przeprowadzeniu Wróżbiarzy od początkowego impulsu „mam ten zwariowany pomysł...” do ukończonej książki i byłoby zaniedbaniem z mojej strony, gdybym nie zwróciła uwagi na ich nieocenione wsparcie. Na wielkie podziękowania zasługują: cała banda z Little, Brown Books for Young Readers: Megan Tingley, Andrew Smith, Victoria Stapleton, Zoe Luderitz, Eileen Lawrence, Melanie Chang, Lisa Moraleda, Jessica Bromberg, Faye Bi, Stephanie O'Cain, Renee Gelman, Shawn Foster, Adrian Palacios i Gail Doobinin.

Moja redaktorka, wspaniała Alvina Ling, pracuje nawet ciężiej niż James Brown (zwłaszcza, że on już nie żyje) i kierowała rozwojem tego manuskryptu pewną ręką, błyskotliwymi uwagami, a od czasu do czasu wspomagała mnie wypadami na karaoke. Podobnie jej asystentka Bethany Strout, która ma doskonałe oko do szczegółów i świetnie śpiewa Baby Got Back.

Mój agent, Barry Goldblatt, jest jak zawsze, wspaniały i mówiłabym tak nawet, gdybyśmy nie byli małżeństwem. Ale na moje szczęście jesteście.

Adiustatorka JoAnna Kremer z pewnością musi być rządowym agentem stworzonym w laboratorium w celu oczyszczenia manuskryptów z rażących błędów. Bez wątplenia redaktorka merytoryczna Elizabeth Segal pochodzi z tego samego laboratorium. Wielkie dzięki.

Nic z tego by nie powstało bez brawury mojej niewiarygodnej asystentki Tricii Ready, która pomagała mi ze wszystkim, od badań po pilnowanie kalendarza, zaczytywanie manuskryptu i zaopatrzenie w napoje.

Zawsze oszałamia mnie życzliwość ekspertów, którzy są gotowi pomóc nieszczęsnym autorom z badaniami. Dlatego muszę podziękować niezrównanej Lisie Gold, bogini badań.

Chciałabym być samolubna i zachować ją dla siebie, ale ona jest na to zbyt wspaniała: www.lisagold.com.

W Nowym Jorku jest wiele cudownych bibliotek i bibliotekarzy, a spora część z nich przysłała mi na pomoc jak super - bohaterowie, tyle tylko, że bez tych ostentacyjnych peleryn. Przekazuję wielkie podziękowania i makietę Ryana Goslinga naturalnej wielkości bibliotekarkom Karyn Silverman z Elisabeth Irwin High School i Jennifer Hubert Swan z Little Red School House. Kolejne podziękowania i kosz owoców dla Erica Robinsona z New York Historical Society; Richarda Wiegela i Marka Ekmana z Paley Center for Media; Virgila Talaida z New York Transit Museum, Careya Stumma i Bretta Diona z New York Transit Museum Archives, i wszystkim z biblioteki publicznej miasta Nowy Jork, Schomburg Center for Research in Black Culture i biblioteki publicznej Brooklynu.

Historycy Tony Robins i Joyce Gould zabrali mnie na historyczne wycieczki, odpowiednio po Harlemie i Chinatown/Lower East Side - nie wiem, jak podziękować im za poświęcony czas. Doktor Stephen Robertson z Uniwersytetu Sydney, autor *Playing the Numbers: Gambling in Harlem Between the Wars* oraz bloga *Digital Harlem*, po swoim wykładzie na Uniwersytecie Columbia uprzejmie odpowiedział na moje pytania dotyczące zbierania liczb. A muzyk Bill Zeffiro był źródłem wiedzy o muzyce w latach dwudziestych.

Mam dług wdzięczności wobec moich pierwszych czytelników, do których zaliczają się Holly Black, Barry Lyga, Robin Wasserman, Nova Ren Suma i Tricia Ready, za ich nieocenione uwagi do pierwszych szkiców. Wielkie podziękowania dla innych kolegów i koleżanek po piórze, którzy dotrzymywali mi towarzystwa w tej podróży, słuchali jęków, odpowiadali na pytania i pozwolili rozwijać różne

scenariusze bez połknięcia kapsułki z cyjankiem. A są to Holly Black, Coe Booth, Cassandra Clare, Gayle Forman, Maureen Johnson, Jo Knowles, Kara LaReau, Emily Lockhart, Josh Lewis, Barry Lyga, Dan Poblocki, Sara Ryan, Nova Ren Suma i Robin Wasserman.

Jak zawsze dziękuję synowi Joshowi, za cierpliwość i łagodne przewracanie oczami „Ona już taka jest, kiedy zbliża się termin”. Dzięki, dzieciaku.

Na koniec podziękowania dla cudownych baristów z Red Horse Cafe na Brooklynie. Chris Derrick, Bianca, Aaron, Jen, Julia, Seth, Brent i Carolina dostarczyli mi takich ilości kawy, że może się to kwalifikować jako wykroczenie.

Jeśli kogoś pominęłam, proszę o przyjęcie najszczerzych przeprosin. Kiedy spotkacie mnie następnym razem, zaczynicie się krzywić, aż w ramach rekompensaty zaproszę Was na lody.